

KIRSTEN
TRANTER
DZIEDZICTWO



Tranter Kristen

Dziedzictwo

KIRSTEN TRANTER

Pisarka i poetka australijska. Urodziła się w Singapurze, a wychowywała w Sydney. W 1998 wyjechała na studia literaturoznawcze do USA. Tam, na Rutgers University w New Jersey, obroniła pracę doktorską z angielskiej poezji renesansu. Pracuje jako wykładowca na University of Sydney i University of California w Berkeley; mieszka w pobliżu San Francisco. Jej dorobek twórczy obejmuje recenzje, eseje literackie, poezję, opowiadania oraz dwie powieści – *Dziedzictwo* i *A Common Loss*. *Dziedzictwo* było nominowane do ABIA Literary Fiction Award, ALS Gold Medal, Indie Debut Fiction Award i Miles Franklin Award.

www.kirstentranter.com

Tytuł oryginału:
THE LEGACY

Copyright © Kirsten Tranter 2010
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz
2014

Polish translation copyright © Marek Fedyszak 2014

Ilustracja na okładce: PlusONE/Shutterstock

Projekt graficzny okładki: Andrzej Kuryłowicz

ISBN 978-83-7985-019-8

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS A. KURYŁOWICZ

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

O książce

Nominowana do kilku nagród literackich historia trójki przyjaciół z Sydney, którą amerykański „Kirkus Reviews” uznał za „powieściowy debiut roku”.

Centralnymi postaciami opowieści są Julia Alpers (narratorka), jej przyjaciel Ralph oraz piękna i bogata Ingrid. Ich studencka przyjaźń nosi piętno niespełnionej miłości: Julii do Ralpa i Ralpa do Ingrid, będącej jego kuzynką. Odziedziczywszy okazały majątek, Ingrid wyjeżdża do Europy, gdzie poznaje przystojnego i znacznie starszego marszanda, Gila Greya. Zakochuje się i po ślubie zamieszkuje z nim w Nowym Jorku, gdzie Grey jest ważną postacią w świecie sztuki, a jego nastoletnia i wyjątkowo uzdolniona córka Fleur święci sukcesy jako malarka. Ingrid zapisuje się na studia na Uniwersytecie Columbia; przygotowuje pracę na temat starożytnych tekstów zapisanych na ołowianych tabliczkach. Rankiem 11 września 2001 udaje się na umówione spotkanie w World Trade Center i przepada bez wieści. Wiele miesięcy później, nie mogąc pogodzić się ze śmiercią przyjaciółki, Ralph prosi Julię, aby pojechała do Nowego Jorku i przyjrzała się ostatnim chwilom jej życia. Prawda – ukryta w otaczającej Ingrid sieci tajemnic i kłamstw – nikomu nie przyniesie ukojenia. Czy dziewczyna faktycznie zginęła tamtego tragicznego dnia wraz z tysiącami innych, czy też wciąż żyje? Poznanie odpowiedzi na to pytanie pomoże Julii w podjęciu decyzji o własnej przyszłości...



Australian Government



Autorka wyraża wdzięczność

Radzie Literackiej Australia Council for the Arts

za pomoc podczas pracy nad tą powieścią.

Ku pamięci zmarłych przyjaciół, Josha i Kirstin

*Więc dobrze! Jeśli ona umrze w pewne popołudnie,
W popołudnie szare, przydymione, żółtym i różanym wieczorem;
Jeśli umrze i zostanie z piórem w dłoni,
Z dymem, co splywa z dachów;
Przez chwilę w zwątpieniu,
Nie wiedząc, co czuć, w niewiedzy, czy pojmuję
Mądrze czy głupio, zbyt leniwie czy nadto śpiesznie...
Czy ona nie uzyska mimo wszystko przewagi?
Ta muzyka udana, gdy ma „zamierającą kadencję”,
Skoro teraz mowa o konaniu –
I czy miałbym do uśmiechu prawo?*

T.S. Eliot, *Portret damy*¹

PROLOG

Gdy Fleur zapukała do drzwi mojego pokoju, pewnie spałam, bo miałam wrażenie, że pukanie mnie zbudziło. Domyśliłam się, że słyszała co nieco ze sprzeczki z ubiegłej nocy. Wówczas nie wydawała się ona zbyt głośna, ale tego ranka pomyślałam, że cały świat jest przyćmiony i przytłumiony. Światło było bardzo nikłe, zaledwie przed chwilą rozjaśniło mrok nocy.

Wpuściłam ją do środka. Spojrzałyśmy na siebie.

– Zaraz wrócę – powiedziała i kilka minut później zjawiała się z herbatą w filiżance na spodku. Delikatność porcelany, przejrzystej nawet w tym przyćmionym świetle, była na swój sposób cudowna. Siła i kruchość w jednym.

Usiadła w fotelu przy biurku – ja siedziałam na szeszlunku – i zapaliła papierosa.

– Przepraszam – powiedziała. – Wiem, że tego nie lubisz, ale trudno. – Wypaliła go do połowy. – Pojadę z tobą. Do szpitala.

Siedziałam prawie nieruchomo.

– Nie – odparłam.

– Przejrzałaś się w lustrze? – zapytała.

Uśmiechnęłam się do niej, a raczej spróbowałam się uśmiechnąć. Zabolało.

Fleur dopaliła papierosa i zgasiła go na poszczerbionym metalowym spodku, który ze sobą przyniosła.

– W porządku – stwierdziła. – Zadzwońię do Carla.

Nie oponowałam.

Zeszła na dół i zamknęła drzwi swojego pokoju. Jej głos ledwie docierający do mojej sypialni słyszałam tylko dlatego, że wyteżęłam słuch.

Sukienka, którą miałam na sobie poprzedniego wieczoru, utworzyła jedwabny krąg na podłodze. Była szaroperłowa i miała rozcięcie z boku, które ukazywało siniec na moim udzie, przypominający brzydki rozgnieciony kwiat. Gil cały czas stał obok mnie, by zasłonić ten widok. Wszedł do mieszkania z impetem pełnym furii, niczym atakujący wąż.

Znowu dramatyzuję.

Fleur wróciła z gazetą i wręczyła mi ją. Przyniosła też magazyn i usiadła, trzymając go w ręce. Podniosła z biurka i obracała w dłoniach małą amfore, po czym odstawiła ją na miejsce.

– Nie lubię, gdy tu przychodzi. Szkoda, że tym razem nie pojechałaś do szpitala. – Westchnęła i to krótkie westchnienie było wyrazem irytacji. – Ale i tak przyjdzie i cię pozszywa.

Pewnie się skrzywiłam na te słowa, bo spojrzała na mnie zmrużonymi oczami, po czym wsparła nogi na biurku i zabrała się do lektury magazynu. Miała na stopach skarpetki w prążki w trzech powtarzających się kolorach. Przez jakiś czas obserwowałam kontrast, jaki tworzyły z białą powierzchnią blatu.

– Zaczekam tu – powiedziała, nie patrząc na mnie. Przewróciła kartkę. – Tato pojechał już do galerii. Nie ma jego torby, chyba więc będzie nocował na północy stanu. – To wyznanie przyszło jej z wyraźnym trudem.

Nie słyszałam, jak wychodził.

*

W moim pokoju nie ma luster, toteż nie musiałam się przeglądać. Carl był kuzynem Gila, chirurgiem plastycznym, którego gabinet znajdował się kilka przecznic dalej. Przesyłał stamtąd recepty dla Gila na antybiotyki lub inne lekarstwa. Podejrzewałam też, że kilka recept przefaksował również dla Fleur.

Ranek nagle nabrał treści: czekałam na przybycie Carla. Potem poczekam, aż skończy i wyjdzie. Na tym właściwie kończyły się moje przemyślenia.

Wydawało się, że trochę trwało, zanim przyszedł. Przeczytałam cały dział mody, ale gdy dotarłam do ostatniej strony, stwierdziłam, że nie pamiętam ani słowa, a z lektury wyniosłam tylko niejasne odczucie, że modne jest zestawianie czerni z bielą. Zamknęłam i złożyłam gazetę, gdy zadzwieczał dzwonek i Fleur poszła otworzyć.

Słyszałam, jak rozmawiają. Dobiegł do mnie odgłos cieknącej w kuchni wody. Carl wszedł do pokoju z teczką z brązowej skóry i staroświecką torbą lekarską. Za nim stanęła Fleur trzymająca miednicę,

z której wydobywała się para. Carl miał na sobie białą koszulę i popielate spodnie od garnituru. Gdy się do mnie uśmiechnął, ujrzałam jego śnieżnobiałe zęby.

– Och, Ingrid, Ingrid – powiedział z wyrzutem.

Próbowałam się uśmiechnąć. Zabolało, ale starałam się, jak mogłam. Próbowałam zachować pewność siebie. Moje kończyny poruszały się niezgrabnie. Carl przyciągnął krzesło do szeslonga i usiadł. Fleur postawiła miednicę na biurku dokładnie tam, gdzie wcześniej spoczywały jej stopy. Spojrzałam na nie. Fleur wsunęła miękkie i zdarte na palcach czarne baletki.

Carl błysnął do mnie białą uśmiechu i pokręcił nieznacznie głową.

– Och, te schody! – rzekł, spoglądając na mnie z ukosa. – To prawdziwe utrapienie. – Głos zadrżał mu odrobinę i wtedy zerknęłam na niego szybko.

– O tak – odparłam niejednoznacznie.

Stłumione wcześniej dźwięki nabrały teraz świeżej, nieprzyjemnej dla mojego ucha ostrości. Zmarszczyłam brwi. Carl podał mi maleńki kubek wypełniony jasnoczerwonym płynem. Wypiłam i poczułam ciepło.

– No – powiedział, przeciągając to słowo, i zabrał się do pracy.

*

W sumie założył mi tylko trzy szwy, maleńkie paski lepkiej taśmy, które zespoliły rozciętą skórę tuż nad łukiem brwiowym. Wiedziałam o tym, bo tego popołudnia, myjąc zęby, spojrzałam jednak w lustro w łazience. Szybko odwróciłam wzrok, ale zdążyłam je zobaczyć.

Gdy Carl skończył, delikatnie pocałował mnie w rękę.

Zamknawszy torbę, wstał i zrobił się rozmowny. Powiedział, jak bardzo się cieszy na naszą wspólną kolację w przyszłym tygodniu.

Skinęłam głową.

– Dzięki, Carl – powiedziałam. – Dzięki, że wpadłeś. – Źle to zabrzmiało, więc dodałam: – Że zajrzałeś do nas.

– Masz wszystko, czego ci trzeba? – zapytał. – Mogę posłać Fleur, by coś kupiła?

Fleur uniosła szyderczo brwi. Wróciła i stała z założonymi rękami

oparta o framugę.

– Niczego nam nie brakuje – powiedziała, a ja znowu skinęłam głową.

– Odpocznij – zalecił Carl. – Na pewno cholernie boli cię głowa. – I znowu jego uśmiech z ukosa. Wyszedł, szybko zbiegając ze schodów w rytmie na dwa: da-dam, da-dam.

Na biurku stała buteleczka z czerwonym płynem, na kubku widoczny był ślad tego, co wcześniej wypiałam. Trochę napoju z *Alicji w Krainie Czarów*, pomyślałam i sięgnęłam po buteleczkę. „Wypij mnie”.

Fleur również nalała sobie porcję, gdy już wypiałam swoją.

– Zdrówko – powiedziała i opróżniła kubek.

Położyłam się na szezlongu i zamknęłam oczy. Nie bolało.

Usłyszałam, że Fleur śmieje się z czegoś, co czyta w magazynie, i się uśmiechnęłam.

– Nie powinnaś być w szkole? – zapytałam.

Odpowiedziała takim samym śmiechem. Otworzyłam oczy.

– Nie powinnaś być w szkole? – powtórzyła, przedrzeźniając mnie.

– Cóż, powinnam – odparłam. – Nie. Dzisiaj nie muszę.

– Ja też dzisiaj nie pójde – stwierdziła i przewróciła kartkę. –

Poniedziałkowe lekcje to strata czasu.

Minęła minuta.

– Ale później pójde do atelier – wyjaśniła. – Nie na długo. Wróce na kolację. Możemy zamówić coś z tajskiej kuchni.

*

Tego wieczoru jadłyśmy przy blacie pośrodku kuchni tylko dlatego, że Fleur nie zgodziła się przynieść kolacji na górę, a gdy już zeszałam, chciałam być razem z nią.

– Opiekujesz się mną – powiedziałam, uświadamiając sobie jednocześnie, że to prawda. Fleur miała pełne usta i nie odezwała się ani słowem. – A powinno być odwrotnie – dodałam.

– I czasem jest – odparła.

Nie jestem pewna, co miała na myśli: czy to, że czasem się nią opiekuję, czy to, że macochy w zasadzie czasem opiekują się swoimi

pasierbicami. Wtedy zabrzmiało to pokrzepiająco. Gdy ułożyłam się do snu na szezlongu, znowu nastąpiło stłumienie wrażeń, lecz jedna z myśli wryła mi się na chwilę głęboko w świadomość. Wiedziałam o tym, że Fleur jest zarówno zbyt młoda, by się mną opiekować, jak i wystarczająco dorosła, by niebawem stracić ochotę na sprawowanie tej opieki. Zastanawiałam się, jak daleko się posunie, żeby mnie chronić, jak bardzo sama się nią opiekowałam i jakiego rodzaju lojalność z jej strony sobie tym zapewniłam.

Nasz wspólny kubek ze śladem czerwieni na plastiku stał na biurku. Niezupełnie w kolorze krwi lub rubinów, jednak przywodził je na myśl. Niczym ciekłe tworzywo sztuczne, wyraźnie sztuczny wiśniowy barwnik. Amfora na moim biurku była dokładnie tam, skąd Fleur ją wzięła, obrócona pod tym samym kątem, w tym samym miejscu. Wiedziałam, że Fleur jest bystrą dziewczyną.

Zdawałam sobie sprawę, że moje zaufanie do Fleur nakłada na nią niesprawiedliwe brzemie, ale postanowiłam być niesprawiedliwa. Uliczny gwar za oknem wędrował powoli ku niebu, samochody mijaly nasz budynek daleko w dole, syreny zawodziły cichnym wyciem. Leżałam ze swą buteleczką napoju Alicji i myślałam o historii, którą mogłabym opowiedzieć, o klątwie, którą mogłabym rzucić, o zwojach, które mogłabym wypełnić. Mogłabym to wszystko wyryć na stalowych płytach długości mojego ciała, ułożonych w sterty pod ścianami.

Te lustrzane, lśniące drzwi rozplynęły się i zapadłam w sen, w którym uciekałam statkiem na drugi brzeg rzeki. Miasto na wyspie zostawało za mną. Miałam radosne poczucie swobody, dopóki nie ujrzałam za sterem promu mężczyzny z ręką wyciągniętą po zapłatę. Wtedy zrozumiałam, że rzeki, którą się przepławiamy, nikt nigdy nie przepłynął w przeciwnym kierunku, i w błagalnym geście chwyciłam jego dłoń. On posłał mi okrutny, tak dobrze znany mi uśmiech, a wokół mnie zaczęły spadać mieniające się w mroku złotym blaskiem monety, w których ugrzęzłam po kolana.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Gdy tamtego czwartkowego popołudnia w sierpniu przyszedłam do domu, na kuchennym blacie leżały trzy zaadresowane do mnie listy – ich kremowobiałe prostokąty jaśniały na tle błękitnych kafelków. Jeden wyróżniał się długą kopertą spęczniałą od zawartości.

Papier listowy w kopercie był gruby, w tym samym co ona kremowym kolorze. Zdobily go wytłoczone inicjały: RH.

List został napisany własnoręcznie przez Ralpa, którego gryzmoły stanowiły wyzwanie dla każdego, kto pragnął odczytać choć jedno słowo. Wyjęłam z koperty coś jeszcze – bilet na samolot. W jedną stronę, w klasie biznes, z Sydney do Nowego Jorku. Położyłam go wraz z listem na blacie.

Julio,
tutaj czeka na Ciebie powrotny. Mam nadzieję, że wysłuchasz mojej propozycji.

Przyjdź, proszę. Może w sobotę? Mam nadzieję, że masz się dobrze.

Ucałowania

R.

Ten list nawet ze strony Ralpa był gestem przesadnie teatralnym. Na odwrocie koperty wydrukowano adres, ale przecież dobrze go znałam. Garden Court. Kirribilli. Przesunęłam palcami po tuszu liter odcisniętych na powierzchni papieru.

Dom był cichy i pusty. Z czajnika wydobył się pisk, który przeobraził się w muzyczną nutę. Wyłączyłam gaz, ale sięgając ręką do pokrętki, musiałam przemóc odruchową chęć – nagłą i palącą jak ogień – by podnieść list i przytknąć róg kartki do płomienia. Ładnie by się palił. Wiadomość od Ralpa wzbudziła dawne sprzeczne uczucia. Spalić ją albo zachować na zawsze w szufladzie. Na razie zostawiłam list na blacie i zaczęłam się obwiniać o to, że dałam się tak szybko wytrącić z równowagi.

Za oknem trawnik opadał ku drzewom ocieniającym go przy ogrodzeniu. Żywa zieleń trawy urągała panującej wokół suszy; Jenny,

moja ciotka, zarzekała się, że to dzięki odporności zasianej odmiany, ale ja podejrzewałam, iż po prostu nie żałuje wody. Za linią drzew wzgórze zaczynało opadać ku morzu. Wyszłam na werandę. Trawa jakby zatrzymywała zmierzch niczym dłonie, światło przelewało się przez palce jak woda. Bądź piasek. Drobne białe ziarenka plaży. List od Ralpha sprowokował mnie do myślenia przerysowanymi przenośniami.

U dołu trawnika, tam gdzie drzewa wyznaczały jego obrzeże, stał kamienny posąg Diany zmniejszony do połowy naturalnej wielkości. Przynajmniej ja zawsze dopatrywałam się w nim postaci bogini łowów. Gdy teraz niktęła w przedwieczornym półmroku, pomyślałam, że mogłaby być klasycznym posągiem dowolnej kobiety, dziewczyny bądź bogini, odzianej w szaty typowe dla rzeźby ogrodowej. Kiedyś była pewnie elementem jakiejś fontanny. Za drzewami linia horyzontu ukazywała przypominające wodny mur morze, które z nadejściem wieczoru zaczynało się zlewać z niebem. Przyjechałam z położonego za wodą centrum i smog wciąż zalegał na moim ubraniu, a skóra pokryta była drobnym pyłem.

Moja ciotka, właścicielka tego domu, siedziała na drewnianym składanym krześle w niewielkiej odległości od werandy. Na drugim krześle ujrzałam Keitha, właściciela galerii, w której wystawiano jej obrazy. Oboje trzymali w dłoniach filiżanki i rozmawiali cichym głosem. Siwowłosa Jenny siedziała wyprostowana. Keith, pochylony, wspierał się łokciami o kolana. Uniósł dłoń w pytającym geście, wskazując coś w oddali. Ciotka skinęła głową. Słaby szmer słów ulatywał w powietrze, niktąc w otaczającej przestrzeni. Weszłam z powrotem do domu.

Jego ściany były pokryte obrazami, dziełami Jenny oraz innych malarzy, przeważnie otrzymanymi w prezencie przez lata. Małe ramy zawieszane obok dużych płócien i pod nimi tworzyły osobliwą mozaikę. Abstrakcyjne i wierne zasadom linearyzmu prace ciotki wyróżniały się niezwykłym błękitem. Jej dom był dla mnie bezpiecznym schronieniem w dzieciństwie i czasem nadal spełniał taką funkcję. Niektórzy mają domy, gdzie ich rodzice mieszkają od zawsze i dokąd zawsze mogą wrócić. Moich rodziców nie było na miejscu – ojciec od dawna już nie żył, matka mieszkała daleko – a dawniej i tak często się przeprowadzali,

ale ten dom należał do prawdziwych stałych w moim życiu.

Jenny weszła z werandy do kuchni. Keith ze stukiem oparł krzesła o ścianę, po czym stanął w drzwiach i się przywitał.

– Rozmawiamy o następnej wystawie – wyjaśnił z dłonią zaciśniętą na drugiej ręce, wsparty swym pochylonym długim ciałem o framugę i jak zwykle trochę niezdecydowany. Miał serdeczną, szczerą twarz, którą z łatwością rozjaśniał uśmiech, i bystre oczy. – Twoja ciotka uważa, że potrzebuje całe pół roku na przygotowanie prac. – Powiedział to życzliwym tonem, zniecierpliwieniu w jego głosie brakowało powagi.

– Nie maluję już tak szybko jak kiedyś – zauważyła Jenny.

Wszyscy roześmialiśmy się na te słowa: Jenny zawsze pracowała w bardzo powolnym tempie, które kontrastowało z krzykliwymi barwami jej gotowych obrazów.

Żegnając Keitha, ciotka masowała sobie kciuk. W dowcipnej uwadze o tempie malowania tkwiło ziarno prawdy. Początki artretyzmu zaczęły spowalniać jej ruchy.

– Więc masz tyle czasu, ile chciałaś? – zapytałam, gdy Keith wyszedł.

– O tak. Mniej więcej.

Nie wydawała się usatysfakcjonowana. Przeczesła teraz dłonią obcięte prosto tuż nad ramionami włosy, jakby zamierzała spać je z tyłu, i znieruchomiała.

Trzymałam w ręce list.

– To od Ralpha – wyjaśniłam. – Zaprosił mnie do siebie na sobotę, więc chyba pojedę.

Wypowiadając te słowa, wiedziałam, że to zaproszenie nie podziałało jak woda na spragnioną duszę, lecz raczej niczym łyk whisky na dochodzącego do siebie alkoholika. Bo czy była jakaś różnica? Tak właśnie przebiegała ta moja autoracjonalizacja.

– To dobrze. Minęło sporo czasu, prawda? – powiedziała Jenny ostrożnie obojętnym głosem.

– Przesłał mi bilet na lot do Nowego Jorku. Nie wiem, co planuje. – Miałam oczywiście pewne domysły, ale nie chciałam ich werbalizować.

Dłoń ciotki spoczęła na moim przedramieniu. Nakryłam ją na chwilę własną dłonią.

– Do Nowego Jorku? – Po twarzy Jenny przebiegł cień zmartwienia. – Daj mi znać, jak się sprawy mają.

Zwieńczyła swój gest klepnięciem po ręce, podniosła kubek z herbatą, którą jej zaparzyłam, i powoli wróciła korytarzem do swojej pracowni. To największe pomieszczenie w domu w dzień zawsze było rozświetlone promieniami słońca wpadającymi przez liczne okna i świetlik w suficie. Żeby nie było widać, co znajduje się wewnątrz, drzwi atelier zostały przeszklone wzorzystymi szybami, jakby ktoś odcisnął palce na szkle, gdy jeszcze stygło. Jenny zamknęła je za sobą. Za szybami widać było rozmazane plamy koloru i światła. Przypominało to obraz Bonnarda przedstawiający żonę artysty w kąpeli, jedyną reprodukcję, jaką ciotka miała w domu. Na tym płótnie każdy kafelek łazienki bił w oczy błyszczącym, opalizującym kolorem, niczym tęczą na plamie oleju.

Spojrzawszy ponownie na list, postanowiłam położyć go na toaletce w swoim pokoju. Nie chciałam, by trafił do którejś z szuflad, gdzie bym go pieczołowicie przechowywała, udając, że tak wcale nie jest. Na toaletce leżałby pewnie miesiącami, pokrywając się kurzem. To zakrawałoby na niedbałość. Różnica była niewielka, ale pomyślałam, że przecież mam swoją dumę.

*

Jazda do Kirribilli ciągnęła się bez końca, choć było to raptem kilka kilometrów. Udało mi się parę razy skrócić po drodze w niewłaściwą ulicę. Jeździłam tam wiele razy, ale zawsze z innego kierunku, nigdy zaś z domu ciotki. Gdy zatrzymałam samochód na podjeździe, zbliżała się jedenasta. Dom wydawał się jaśniejszy, jego brzoskwiniowe ściany bardziej wyblakłe od słońca. Drzewa plumerii okalające go od frontu były nagie i brzydkie. Zapukałam. Drzwi otworzył piękny osiemnastolatek. Miał krótko przystrzyżone złociste włosy. Był boso i nosił czarną koszulę bez rękawów oraz sarong w jaskrawych batikowych kolorach. Na jego twarzy malował się spokojny uśmiech Buddy.

– Szukam Ralpa...

Zanim zdążyłam wypowiedzieć nazwisko, chłopak mi przerwał:

– Julia, tak, oczywiście, wejdź. – Ponieważ wszedł mi w słowo, można było odnieść wrażenie, że myślał, iż szukam samej siebie.

– Ralpa – powtórzyłam i przestąpiłam próg domu.

Wewnątrz było ciepło. Znany mi korytarz ciągnął się w przyćmionym świetle, po jednej stronie wznosiły się majestatycznie schody. Światło wpadające przez witrażowe szyby w drzwiach tworzyło wzory na posadzce. Chłopak zniknął. Czekałam. Po chwili ukazał się w drzwiach na przeciwległym końcu korytarza i przytrzymał je dla mnie.

– Tutaj – powiedział. Przez drzwi widać było blask, dosłyszałam też szum płynącej wody.

Weszliśmy do przestronnej cieplarni, oranżerii z przeszklonym dachem. Gdy bywałam w tym domu dawniej, gospodarze nigdy z niej nie korzystali, mimo że ojciec Ralpa naprawdę lubił bawić się w ogrodnika. Wszechobecne rośliny tworzyły ciemnozielone strefy cienia rozjaśnione miejscami przez jaśniejsze paprocie, delikatnie odznaczające się na tle większych i mocniejszych liści czegoś, co przypominało wielkie aspidistry. Słońce wpadało przez szyby, lecz jego światło było przechwytywane i rozszczepiane przez gęszcz roślin sięgających niekiedy szklanego dachu. Wydawało się też, że jest wyprane z ciepła, a gęsty i wilgotny żar pochodzi z innego źródła. Z częściowo zasłoniętej przez rośliny fontanny w przeciwległym kącie oranżerii – dużej kamiennej urny ozdobionej girlandami kamiennych kwiatów – dobiegał szum wody. W kontakcie z wilgotnym powietrzem zmiękła mi skóra.

Przed czarnym polakierowanym stołem stały dwa wyplatanie z trzciny krzesła. Na jednym z nich siedział ze skrzyżowanymi nogami Ralph. Widok tak drogiej mi i znanej sylwetki, kształt rąk i nóg wywołały tępy ból w mojej piersi. Widywałam go siedzącego w takiej pozycji setki razy – w tym domu, w moim, na stole poplamionym winem wylanym z kieliszka późnym wieczorem w jakiejś kuchni, obok mnie na zajęciach, naprzeciw mnie w barze na terenie kampusu. Tęskniłam za nim i ta tęsknota zżerała mnie teraz niczym nagłe

pragnienie. Na widok Ralpa wydało mi się niemożliwe, że w ogóle funkcjonowałam, nie widując go od tak dawna. Przypomniałam sobie przezornie, że zawsze tak było, ilekroć widzieliśmy się po długiej przerwie.

Chłopak podszedł do wózka stojącego w pobliżu krzesła i z brzękiem wrzucił do dwóch szklanek lód ze srebrnego kubelka.

– Ralph – powiedziałam.

W odpowiedzi uniósł ręce i wypowiedział moje imię, nie zmieniając pozycji na krześle. Pocałowałam go, wyczuwając pod skórą wysoką kość policzkową.

– Miło cię widzieć – rzekł. – Usiądź. Tak się cieszę, że zdołałaś przyjechać.

Usiadłam.

– Napijesz się? Wino? A może chcesz trochę whisky? – Ruchem dłoni wskazał chłopaka i się uśmiechnął. – To jest Aaron.

Aaron obdarzył mnie promiennym uśmiechem i podał mi kieliszek. Jego zawartość miała zapach brandy. Od skwaru kręciło mi się już w głowie. W dłoni czułam zimne szkło kieliszka.

Zapytałam Ralpa, jak się czuje. To pytanie nie mogło już być rzucone mimochodem. Ralph zawsze był chudy, ubranie nigdy go nie opinało. Było jak zwykle kosztowne, dobrze skrojone i luźno zeń zwisało. Miał piękną koszulę w kolorze kawy. Uśmiechnął się do mnie półgębkiem. Jego oczy – wypełniony światłem brąz – nie utraciły dawnego blasku.

– Nowe leki działały cuda, choć tobie może być trudno to dostrzec. Parę miesięcy temu byłem w znacznie gorszym stanie.

Problem z sercem, rodzaj arytmii, która sprawiała, że biło czasem zbyt wolno lub zbyt szybko, odziedziczył w genach.

– A ty wciąż pracujesz? – zapytał, jakby moja praca stanowiła jakieś osobliwe hobby.

– Tak, w księgarni. Dobrze mi idzie.

– I nadal mieszkasz u ciotki w Mosman?

– Owszem.

– A Mark?

– Nadal jest. – Odczekałam chwilę. – Zamierzam się

przeprowadzić – dodałam niepewna, ile szczegółów chcę ujawnić. Niedawno temat przeprowadzki został ponownie poruszony przez Marka bez większego przekonania.

– Och, przykro mi. – Zamyślił się. – Przeprowadzka – powiedział z lekką odrazą. – To zawsze... wytrąca z równowagi.

– Gorąco tutaj – powiedziałam po chwili. Sukienka kleiła mi się do siedzenia, nogi pocily się pod rajstopami. Przypomniałam sobie, jak czytałam jego list w kuchni i jak pragnęłam go spalić, i poczułam miłe ciepło płomienia przy dłoni tak wyraźnie, jakbym to w końcu zrobiła.

– Zaprosiłem cię tutaj, żeby porozmawiać o Ingrid – rzekł po minucie, tak jak się spodziewałam. – Chcę, żebyś poleciała do Nowego Jorku. Sam, jak wiesz, nie mogę.

Wyjaśnił mi, na czym polega jego pomysł.

– Chciałbym po prostu dowiedzieć się paru podstawowych rzeczy. Nad czym pracowała? Jak wygląda miejsce, w którym mieszkała? Co lubiła tam robić? Może uda ci się poznać kilkoro jej przyjaciół. Możesz przekazać ode mnie pozdrowienia Maeve i Gilowi. Byłbym wdzięczny. Po prostu bardzo trudno było... – Przerwał i zaczął od nowa: – Bardzo żałuję, że przez kilka ostatnich lat nie byłem częścią jej życia. Pomyślałem, że gdybym mógł się dowiedzieć o nim trochę więcej, chyba łatwiej byłoby zapomnieć.

Spojrzałam na niego.

– Czy to w ogóle ma dla ciebie sens? – zapytał.

– Tak – odparłam. I tak było. Sama myślałam podobnie podczas minionych jedenastu miesięcy. Zbliżała się rocznica jej śmierci. – Chcesz zatem otrzymać coś w rodzaju raportu o życiu Ingrid?

– Wszystko, co możesz mi powiedzieć – rzekł. – Nie oczekuję pełnego dossier. Wiem, że to zakrawa na podglądactwo. Ale nie o to mi chodzi.

Aaron wędrował po palmiarni, podlewając rośliny z konewki i spryskując liście mgiełką z rozpylacza.

Ralph odwrócił wzrok.

– Gil nie chce mi nic powiedzieć. Nikt mi nie pomógł.

– A Eve? – zapytałam, mając na myśli jego matkę. – Czy się tam po coś nie wybiera?

– Nie. Już tyle nie podróżuje. Spędza więcej czasu w Sydney. Zapytałam, czy jest w domu. Odparł, że nie.

– Na swój sposób zamieniliśmy się rolami. To zabawne. Mniej więcej pół roku temu. Ona miała dość tego domu, a ja mieszkania. Zawsze je bardzo lubiła... zanim je zająłem, przez wiele lat było jej własnością. Wprowadziła się więc tam, a ja przeniosłem się z powrotem tutaj. Teraz mieszkam tu tylko z Aaronem.

Usłyszawszy swoje imię, Aaron spojrzał w naszą stronę, po czym wrócił do podlewania roślin.

Przywiozłam bilet z myślą, że być może będę chciała go oddać. Trzymałam go teraz w rękach.

– Nie można go zwrócić – powiedział Ralph. – Wiedziałem, że nie pozwolisz, by się zmarnował.

Roześmiałam się.

– W Plazie umieścić cię nie mogę – wyjaśnił przeproszającym tonem – ale mam dla ciebie lokum.

Chodziło o mieszkanie, które jego stryj Robert miał w West Village i w którym od czasu do czasu się zatrzymywał – na ogół mieszkał w Londynie, gdzie prowadził kilka restauracji.

Parę lat wcześniej, gdy podróżowałam przez rok po maturze, spędziłam trochę czasu w Nowym Jorku. Była to jedna ze zwykłych długich podróży dookoła świata, jakie odbywają australijskie nastolatki: Stany, Europa, Londyn, dom. W Anglii określali ten rok mianem przerwy, jakby to był pusty czas. Później, niedługo po tym, jak Ingrid poznała Gila Greya, gdy wszyscy wciąż się przyjaźniliśmy, przyjechałam do Nowego Jorku z Ralphem na parę tygodni.

Pomyślałam o nowojorskiej metropolii: o metrze, parku, długich prostych alejach i uliczkach w śródmieściu. Wymagało to pewnej odwagi. Wyobraziłam sobie dziurę w ziemi na końcu Manhattanu.

– Wiem, że nie wróciłaś na wydział prawa – powiedział Ralph. Nie zapytałam, skąd o tym wie. – Jestem pewien, że w księgarni poradzą sobie przez jakiś czas bez ciebie. Jeżeli chcesz, po prostu pojedź tam na parę tygodni. Pospaceruj po kampusie Columbii. Weź ze sobą aparat. Napisz, co nowego w sklepie Prady. Albo tam, gdzie Ingrid robiła zakupy. J. Crew. Kto wie. Rób, co chcesz. – Wzruszył ramionami, ale

nie spuszczał mnie z oka. – Nie ciekawi cię Fleur? – zapytał. – Nigdy jej nie spotkaliśmy. Bardzo chciałbym wiedzieć, jaka jest. Wiedziałaś, że teraz fotografuje, że przestała malować?

Ralph miał dar przekonywania, ale chyba nic by nie wskórał, gdyby nie szereg sprzyjających okoliczności. Miałam dosyć schematu, w jaki ułożyło się moje życie: nie Jenny i jej domu, z którego przeprowadzki do mieszkania Marka nie mogłam sobie wyobrazić. Miałam dosyć Marka. Zwiększyłam liczbę godzin pracy w księgarni, postanowiwszy zrobić sobie wolny semestr z niejasnym zamysłem poświęcenia się pisaniu: scenariusza, szkicu, czegokolwiek – najpierw był romans, potem powieść kryminalna, gatunek zmieniał się co miesiąc. W rzeczywistości wiedziałam, że nie potrafię uporać się z górą lektur i prac zadawanych w każdym tygodniu zajęć. W księgarni był mały ruch i Martin często pozwalał mi wychodzić do domu wcześniej. Niewiele zdołałam napisać. Był to rok przerwy odmiennego rodzaju, inny niż zamorska podróż, w którą wyruszyłam po osiągnięciu pełnoletności, raczej luka, która mogła się nigdy nie zapełnić, okres narastającego poczucia bezcelowości.

Moja decyzja o wylocie nie miała wiele wspólnego z Ingrid, która już została zamknięta w jakiejś szafce pamięci, a myśl o otwarciu jej drzwi nie była zbyt interesująca. Pociągający był pomysł wyjazdu.

Wszystko to jednak mogło nie mieć znaczenia. Jadąc do domu, próbowałam sobie przypomnieć choć jeden raz, gdy odmówiłam prośbie Ralpa. Bez skutku. Mój samolot odlatywał za trzy tygodnie.

*

Zaledwie kilka tygodni wcześniej Mark zauważył coś, co mi uświadomiło, że naprawdę wszystko zmierza w złym kierunku. Stał przepasany jednym ręcznikiem, a drugim wycierał mokre włosy.

– Już od tygodni niczego nie zwinęłaś, Julio – powiedział i przewiesił ręcznik przez ramię. – Zacznę myśleć, że już ci nie zależy.

Wszedł boso do kuchni. Rozległ się brzęk filiżanek i talerzy. Korytarz, z którego się wyłonił, był pogrążony w cieniu, broniąc słońcu dostępu o jedynej porze dnia, kiedy jego promienie choć trochę się do niego zbliżały. Poranne słońce świeciło jasno przez okna za moimi

plecami. Siedziałam w dużym, starym skórzanym fotelu Marka, którego pożałowałam najbardziej ze wszystkich jego rzeczy.

Miał rację, a ja nawet tego nie zauważyłam. Już od tygodni niczego sobie nie przywłaszczyłam.

*

Dwa lata wcześniej dosłownie wpadliśmy na siebie w barze w Potts Point niedaleko księgarni, w której pracowałam. Udało mu się przy okazji wylać pół piwa na moją sukienkę; kupił mi następnego drinka i kręcił się przy mnie, gdy siedziałam tam niczym uczestniczka rywalizacji o miano miss mokrego podkoszulka. Chyba podobał mu się ten widok, a mnie to nie przeszkadzało. Gdy po drugiej kolejce odwrócił głowę, światło padło na jego ciemnobrązowe włosy i sprawiło, że wyglądały jak włosy Ralpa. Serce, czujne i pełne poczucia winy, zabiło mi mocniej.

Kiedy po raz pierwszy został u mnie na noc, bez zastanowienia zabrałam mu jedną ważną rzecz – klucze – i później uświadomiłam sobie, że chciałam, by po nie wrócił. Ucieszyłam się, ujrawszy go w drzwiach następnego wieczoru. Znowu został na noc i tym razem wychodząc, zabrał klucze ze sobą. Wbrew swej woli zostawił pióro, które wyjęłam z kieszeni jego marynarki. Drobiazg. Nie jestem pewna, czy w ogóle zauważył jego brak.

U mnie to się zaczęło wcześniej, nie tak jak u większości dziewczyn, które zaczynają kraść w sklepach w trzynastym roku życia i przestają ze wstydu, gdy rodzice muszą je zabrać ze sklepowego biura ochrony lub – co gorsza – z posterunku policji. Najpierw były zabawy przedmiotami ustawionymi na toalecie mojej matki, fascynującym zestawem flakoników z perfumami, pudełeczek i pudrów, szczotką do włosów ze srebrnym spodem i lusterkiem. Działo się to w czasach, gdy jeszcze skrapiała się francuskimi perfumami i wodami marek, które można było kupić w aptekach, zanim przeszła na olejek jaśminowy i szalwią lekarską. Gdy wychodziła z domu, stawałam tam, oglądałam je wszystkie z detalami i dbałam o to, by zawsze odkładać na miejsce. Stanowiło to rodzaj puzzli. Pewnego dnia matka wróciła do domu niespodziewanie, zanim wszystko wróciło na miejsce. Drzwi domu

otworzyły się i zamknęły. W mojej dłoni spoczywała bransoletka z niebieskich koralików. Zacisnęłam na niej palce. Cała reszta stała tam, gdzie powinna. Zamierzałam się schować pod łóżkiem – zastanawiałam się teraz, dlaczego tak się bałam, że matka mnie na tym nakryje – ale wymknęłam się z sypialni i dołączyłam do niej w kuchni, gdzie zdejmowała płaszcz i otwierała lodówkę.

– Kochanie! – zawołała na mój widok, jakbym ją zaskoczyła obecnością w domu. Przytuliła mnie na chwilę i przez materiał sukienki poczułam ucisk koralików bransoletki w rozpiętej kieszeni. Naszyte po bokach sukienki kieszenie miały zaokrąglony kształt i każda była zapinana na duży guzik. Obawiałam się, że bransoletka wypadnie. Niepotrzebnie.

Matka ani słowem nie wspomniała o zgubie. Myślałam o tym, by odłożyć bransoletkę na miejsce, ale nie chciałam tego robić. Bałam się też, że zostanę przyłapana na gorącym uczynku. W puzderku, do którego sięgnęłam, leżało wiele bransoletek, a tę akurat matka bardzo rzadko nosiła.

Wspomniała o niej dopiero po wielu miesiącach.

– Widziałeś tę moją bransoletkę z niebieskimi koralikami?
– zapytała pewnego ranka mojego ojca. Przed chwilą skończyła się malować i mówiąc to, zakładała kolczyki. Właśnie wetknęła do ucha drugi. – Wiesz, którą mam na myśli?

Ojciec nawet nie spojrział znad gazety i wydał z siebie mruknięcie, które mogło oznaczać zaprzeczenie.

Peter, mój brat, popatrzył na mnie z wyrzutem z podłogi, na której leżał z książką przed sobą. Matka pomaszerowała z powrotem do swojego pokoju i wyszła stamtąd z nagimi przegubami dłoni. Nie wspomniała więcej o bransoletce z niebieskimi koralikami, a ja delektowałam się poczuciem, że coś mi uszło płazem.

Okazało się, że potrafię zabierać różne rzeczy w sposób niezauważalny dla innych i nie zdradzać się w sytuacjach, gdy spostrzegli ich zniknięcie. Z upływem lat dochodziło do tego coraz rzadziej.

Przeważnie wyносиłam książki z domu Marka – tylko sporadycznie, więc nie było to takie patologiczne – i zawsze

zostawiałam je na stercie w kącie mojej sypialni, skąd Mark zabierał je z powrotem, gdy miał na to ochotę.

Ralph dawał mi różne rzeczy tak często, że nie czułam potrzeby zabierania mu czegokolwiek. To, czego od niego pragnęłam, było tak duże i nieosiągalne, że przywłaszczenie sobie jakiegoś przedmiotu czyniłoby to pragnienie jeszcze bardziej żenującym.

Ingrid zabierałam jedynie drobiazgi – ołówek z kieszeni torebki, spinkę do włosów – lecz nigdy nie wkładałam w to serca i te pamiątki nie emanowały żadną mocą. Odkładałam je na miejsce. Radość, jaką czerpała z odnalezienia spinki, którą włożyłam z powrotem do jej torebki, sprawiała, że czułam się niczym dobrotliwy anioł. To było coś nowego. Odnalazłszy spinkę, kawałek metalu przymocowanego do tworzywa imitującego szylkret, Ingrid zatrzęsnęła ją i otworzyła. Spinka przypominała kształtem liść jesienny. Spięła nią włosy i błyszczący plastik odznaczył się na tle jej złocistych włosów. Wtedy zrobiło mi się żal, że ją zwróciłam. Piękno tego przedmiotu ujawniło się dopiero na niej; nie dostrzegłam go, gdy zabrałam spinkę i oglądałam ją sama.

Chwilami czekałam, aż trafi się jakiś przedmiot Ingrid, który warto będzie zabrać. Coś, czego bym nie znalazła, gdybym szukała. Po jakimś czasie zapomniałam o tym i pragnienie minęło.

*

Gdy zegnaliśmy się tego ranka, Mark wręczył mi gazetę, dbając o to, bym coś wyniosła z jego mieszkania. Dopiero co dostarczona na próg była jeszcze złożona. Zawahałam się, zanim ją przyjąłam. Mark nie potrafił dawać. Pisał pracę doktorską z filozofii, w całości poświęconą rewizji późnodwudziestowiecznych teorii daru i wymiany. Lektura tych wszystkich dzieł zaburzyła w nim zdolność dawania czegokolwiek bez obawy, że akceptuje bądź narusza jakieś zasady moralne i etyczne. Nawet gazeta była więc darem dziwnie ekstrawaganckim. W dniu urodzin kwestia darów stawała się irytująca, ale na ogół mi to nie przeszkadzało; pobudzało tylko niewielkie poczucie obowiązku, co – jak przypuszczam – było w pewnym sensie jego zamiarem. Tak wyglądało nasze zaangażowanie – zawsze ostrożne, zabarwione strachem przed ryzykiem. Z pełnym cynizmem ciągnęłam tę znajomość, żeby

udowodnić coś sobie lub światu: że mam już za sobą fascynację
Ralphem i jestem zdolna podtrzymać dojrzały związek. Albo jego
pozory.

Pocałował mnie na pożegnanie, wciąż przepasany ręcznikiem.
Gazetę rzuciłam na tylne siedzenie samochodu i przestałam na nią
zwracać uwagę.

Zanim Ingrid została naszą przyjaciółką, Ralph lubił opowiadać o swoim pierwszym spotkaniu ze mną. Pracowałam wówczas w wypożyczalni wideo w Kings Cross na zmianie, która zaczynała się po południu i trwała do późnego wieczoru. Wypożyczalnia mieściła się na granicy Cross i okolicznych mniej obskurnych dzielnic, stanowiąc w promieniu półtora kilometra jedyne miejsce, które nie miało w ofercie wyłącznie pornosów. Był późny wieczór w środku tygodnia, cisza i spokój. Jadłam właśnie baton czekoladowy, który wzięłam ze stosu na ladzie, i ściszywszy dźwięk, oglądałam w zawieszonym wysoko na ścianie telewizorze film z Humphreym Bogartem.

Wypożyczalnia była olbrzymim lokum z niskim sufitem i regałami ustawionymi zbyt blisko siebie. Do środka schodziło się po trzech schodkach z poziomu ulicy. Na wystawie mrugał czerwony neon z napisem VIDEO MANIA. Litera O błyskała od czasu do czasu. Napis zawsze przywodził mi na myśl łaciński okrzyk. Ingrid też to dostrzegła, gdy tam przyszła.

– *Video, videre, visi, visus!* – skandowała triumfalnie, recytując główne formy czasownikowe.

– A co z manią? – zapytałam ją kiedyś.

Ingrid wahała się przez chwilę.

– *Maneo, manere, mansi, mansus!*

Ralph czytał, siedząc w kącie. Potarł skroń i przyglądał się jej z powątpiewaniem.

– Z tego słowa nie da się utworzyć formy „mania”.

Ingrid skrzywiła się i spojrzała w okno. Światło jarzeniówek sprawiało, że jej żółte włosy stały się dziwnie matowe, a czerwony płaszcz był czerwiejszy niż kiedykolwiek. Neonowe „O” mrugnęło i nagle rozbłysło. Przez chwilę w oknie idealnie odbiła się jej twarz – piękna w klasyczny sposób, z rysami surowszymi we wzmocnionym świetle – a za nią moja, ciemne włosy i brwi, niewyraźna plama bladej cery i cynobrowych ust.

W szkole średniej dziewczyny, które – opalone i jasnowłose – na pierwszy rzut oka przypominały Ingrid, naśmiewały się ze mnie

z powodu mojej karnacji, twierdząc, że wyglądam jak fanka gotyckiego rocka: moje włosy były niemal czarne, a skóra zawsze piekła się na raka, nigdy na złocistobrązowy kolor. No i nosiłam czarne rzeczy, podczas gdy one różowe i jasnoniebieskie. Nie wydawało mi się to zniewagą – nie miałam czarnej kredki do oczu ani masy srebrnej biżuterii, którą nosiły prawdziwe fanki gotyckiego rocka. Ingrid była od nich inna, co dostrzegłam nie od razu; po pewnym czasie zrozumiałam, że takie same dziewczyny w jej szkole znalazły powody, by ją także wykluczyć, a ona gardziła nimi głęboko.

Wiedziałam, przywoławszy tę wiedzę z magazynu etymologicznego mojej pamięci, że *video* znaczy po łacinie „widzę”. Później w starym zniszczonym słowniku łacińskim ciotki sprawdziłam znaczenie słowa *maneo*. Zatrzymać się, zostać gdzieś. Czekać. Oczekiwać zrzędzenia losu.

*

Jednakże tamtego wieczoru, gdy Ralph po raz pierwszy przyszedł do Videomanii, żadne z nas nie znało jeszcze Ingrid. Była jesień 1996 roku, kończył się drugi semestr, nadszedł ciepły październikowy wieczór. Ralph wszedł tuż za innym, starszym gościem, który wrzucił stos filmów do pojemnika na zwroty. Pudełka zsunęły się bezładnie na stertę pozostałych. Ralph nosił okulary w szylkretowych oprawkach, miał na sobie brązową marynarkę z aksamitnego sztruku i trzymał ręce głęboko w kieszeniach. Jego ciemne włosy były wilgotne i przeczesał je dłonią. Przez moment obserwował ekran nad sobą. W wypożyczalni było dwóch innych klientów, dwie dziewczyny, które razem podeszły do lady z dwoma filmami. Zerknęłam na pudełka – komedie, nowości – i zdjęłam filmy z półki z tyłu. Dziewczyny chichotały. Gdy wyszły, Ralph pochylił się ku mnie nad ladą i zsunął okulary, tak że patrzył na mnie znad szkieł.

– Nie ma pani przypadkiem *Ben Hura*, wydanie z tysiąc osiemset sześćdziesiątego roku z powtórzonym wersem na sto szesnastej stronie?

Uśmiechnęłam się i przez chwilę wytrzymałam jego spojrzenie. Przytoczył kwestię z filmu prezentowanego na ekranie, ze sceny, która rozegrała się chwilę przedtem, zanim wszedł do wypożyczalni.

Sięgnęłam ręką, by przerzucić kartki leżącego na ladzie tomu o rozmiarach książki telefonicznej – długiego spisu filmów, w którym można było sprawdzić dowolny film i dowolnego aktora – udając, że szukam.

– Albo Chevalier Audubon z tysiąc osiemset czterdziestego roku? – zapytał.

Zatrzasnęłam księgę.

– Nikt nie ma – odparłam, godząc się na tę grę. – Bo taka nie istnieje.

Uśmiechnął się, nie rozchylając warg, spuścił wzrok i lekko zastukał palcami o ladę.

– Czy w tej części mówię, że spadnie deszcz, a ty wyciągasz butelkę whisky? – zapytałam.

Uniósł wzrok.

– Mogę po nią skoczyć za róg – odparł. – Albo moglibyśmy zobaczyć *Sokoła maltańskiego*. To film, który powinienem obejrzeć na jutrzejsze zajęcia. – Stał prosto i zaczął unosić ramiona, ale zrezygnował i osunął się na ladę.

– Zaczynasz mnie ciekawić. Trochę – oświadczyłam, a on zamrugał oczami, wsunął ręce z powrotem do kieszeni i spojrzał na mnie z ukosa.

Schyliłam się, żeby zebrać stos zwrotów. Łagodne porno na motywach legend arturiańskich. Wielki, wysadzany klejnotami miecz widniał na poczesnym miejscu okładki obok kobiety o bardzo długich i starannie ułożonych blond włosach oraz rycerza z odsłoniętą przyłbicą, który przywiązywał ją do drzewa albo rozplątywał więzy. Film należał do tych wyrafinowanych z końca działu w przeciwległym kącie wypożyczalni. Gdy się wyprostowałam, mały dzwonek na drzwiach zadzwieczał, gdy te otworzyły się i zamknęły. Ralph zniknął.

Godzinę później jego powrót wydawał się mało prawdopodobny. Gdy wszedł zmoczony trochę deszczem i bardziej wymięty niż wcześniej, właśnie tłumilałam ziewnięcie, oglądając początek *Sokoła maltańskiego*.

– Przepraszam – powiedział. – Coś mnie zatrzymało. – Miał butelkę w torebce z szarego papieru, a z górnej kieszeni jego marynarki

wystawała zgnieciona paczka papierosów.

– Wejdz tutaj – zaprosiłam go i otworzyłam część lady, która podnosiła się niczym zwodzony most.

Ralph uśmiechnął się szeroko i po raz pierwszy odsłonił zęby. Jeden z siekaczy zachodził mu ukośnie na dolny ząb. Za ladą stało parę krzeseł z popękanego winylu, które pierwotnie mogły mieć dowolny kolor, a teraz były szarozielone. Zajął jedno z nich. Nogi miał długie i chude i skrzyżował je w kolanach wyćwiczonym ruchem, splatając ciasno.

Kiedy opowiadał tę historię na imprezach i w barze w kampusie, zazwyczaj był już nieźle wstawiony, ale zawsze pamiętał tytuły filmów, które oglądaliśmy najpierw w wypożyczalni, a potem, gdy skończyłam pracę, u niego w mieszkaniu za rogiem. W pewnym momencie puściliśmy *Sir Galaharda*, zwróconego arturiańskiego pornosa, którego nie odłożyłam na półkę, i po dziesięciu minutach, gdy druga grupka dziewczec weszła do rycerskiej komnaty, przerwaliśmy, zaśmiewając się do łez. Przeważnie oglądaliśmy filmy *noir* z mniej skąpo odzianymi panienkami w opałach.

Ja też pamiętałam te filmy, ale sama nigdy nie opowiadałam tej historii. Słyszac po raz trzeci, jak opowiada ją ludziom, którzy prawdopodobnie już ją znali, wstałam i poszłam po kolejnego drinka, kiedy Ralph doszedł do punktu, gdy zaprosiłam go za ladę. Następnym razem zostałam, żeby dosłuchać do końca, i odniosłam całkiem pozytywne wrażenie. Oboje nie mogliśmy przedstawić tej części opowieści identycznie. Cóż by bowiem powiedział na wieść o rozpaczliwym poruszeniu mego serca w momencie, gdy z uśmiechem dał nura pod zwodzonym mostem lady i biorąc do ręki mały kieliszek, wetknął papierosa do ust?

Początkowo nie wydawał mi się przystojny, chociaż jego twarz była inteligentna i interesująca. Zwykle zakochiwałam się na przekór intuicji w atrakcyjnych mężczyznach o wyraźnie wypaczonej osobowości i poranionej psychice. Byłam już wcześniej zakochana lub tak mi się zdawało: miałam za sobą długotrwały licealny romans, który skończył się moim znudzeniem i jego chroniczną niewiernością, oraz namiętne, krótkotrwałe przygody w rozmaitych miejscach podczas

rocznej podróży przed rozpoczęciem studiów. Nigdy jednak nie wierzyłam w miłość od pierwszego wejrzenia, kiedy więc uśmiechnął się i dołączył do mnie za ladą, zlekceważyłam czystość tego uczucia. Nie rozumiałam go ani się nad nim nie zastanawiałam; stanowiło nieznaną, czysto brzmiącą nutę w nowej tonacji. Później bardziej sensowne wydawało mi się to, że moje uczucia do Ralpha rozwijały się z czasem niczym przyjaźń – tak jak rzeczywiście dojrzewała nasza przyjaźń – ale od samego początku ich mroczna i skomplikowana natura przypominała średniowieczne miasto.

Do swoich relacji Ralph sporadycznie włączał krótką opowieść o tym, co robił przez godzinę poprzedzającą jego powrót z butelką; chodziło o jakiś niesprecyzowany incydent w uliczce za sklepem monopolowym.

– Nigdy nie oglądałem *Ben Hura* – powiedział facet obok mnie, gdy słyszałam tę historię po raz czwarty, siedząc na zapadającej się kanapie, która była chyba gotowa wchłonąć nas podczas tego wieczoru. Znajdowaliśmy się w barze uniwersyteckim.

– To książka, nie film – zwrócił mu pogardliwie uwagę Ralph. – Mówimy o *Wielkim śnie*.

Wydawało się, że w tej opowieści chodzi głównie o zademonstrowanie zdolności przytaczania dialogu z filmu pod wpływem nagłego impulsu i o wzbudzenie podziwu dla moich umiejętności w tym zakresie. Zgadzałam się, że warto tak dobrze znać treść *Wielkiego snu*, choć byłam w mniejszości. W tym sensie rzeczywiście czułam, że byliśmy bratnimi duszami. Ale nie tego Ralph dowodził tą opowieścią. Za czwartym razem jego najwyraźniej nieustanne pokazy własnej inteligencji zaczęły mnie drażnić. Chwyciłam za kolano faceta, który nie widział *Ben Hura*. Miał na sobie czarne dżinsy.

– Moglibyśmy go kiedyś obejrzeć – powiedział i mnie pocałował. Zapadłam się jeszcze głębiej w miękkiej kanapie i poczułam, jak Ralph wstaje z miejsca obok i wychodzi.

*

W dniu naszego pierwszego spotkania zasnęłam na kanapie Ralpha

i rano obudziło mnie słabe brzęczenie stojącego przed nią telewizora oraz głośny brzęk szkła w przejeżdżających za oknem śmieciarkach. Na wspólne śniadanie przyrządziliśmy grzanki z bekonem i mocną herbatę. Ralph mieszkał sam w małym mieszkaniu z wysokim sufitem i cytrynowymi ścianami w jednym z budynków wzniesionych w stylu art deco przy ulicy na tyłach Cross, w miejscu, gdzie opadała ku zamożnej Elizabeth Bay. Do wypożyczalni było stamtąd zaledwie dziesięć minut spacerem wąskimi, krętymi i nierówno wybrukowanymi uliczkami.

Marzyłam czasem o własnym mieszkaniu, o przyjemności posiadania przestrzeni tylko dla siebie, lecz koszt wynajmu był dla mnie zdecydowanie zbyt wysoki. W domu, w którym mieszkałam przez rok, w końcu przeniosłam się do najlepszego pokoju – z balkonem, od frontu. Był to niszczący, wąski szeregowiec w stylu wiktoriańskim w Newtown, położony kilka przecznic od południowego krańca kampusu. Dzieliłam go z dwiema studentkami tajemniczych dla mnie kierunków: patologii mowy oraz medycyny. Balkon obwisł niepokojąco w jednym miejscu, ale można je było z łatwością ominąć. Bardzo lubiłam opierać się wieczorem o balustradę z kutego żelaza z drinkiem w dłoni i przez liście wysokiego drzewa eukaliptusowego rosnącego przed domem obserwować wiszący na niebie gęsty smog oraz słuchać syku zapalających się na noc latarni.

Później Ralph przychodził posiedzieć ze mną w wypożyczalni niemal każdego środowego wieczoru i oglądaliśmy wszystko, co kazano mu obejrzeć na zajęciach z filmoznawstwa, lub film z Humphreym Bogartem albo coś ze stosu zwrotów, czego żadne z nas jeszcze nie widziało. Od czasu do czasu oglądaliśmy razem *Wielki sen*. Nie wiedzieć czemu Ralph nie znosił *Casablanki* i gdy pewnego wieczoru chciałam ją zobaczyć, wyszedł w złym humorze. Obejrzałam film do końca i wypłakiwałam się w chusteczkę, gdy przyszedł ostatni klient tego dnia; zażądał wykazu filmów z udziałem któregoś z braci Baldwinów i wypożyczył je wszystkie. Bywały dziwniejsze życzenia.

Okazało się, że oboje z Ralphem studiujemy na Uniwersytecie w Sydney, w starym kampusie z neogotyckimi gmachami z piaskowca, usytuowanym w podupadłej dzielnicy miasta, wiele kilometrów na

zachód od Cross – ja na drugim, a on na trzecim roku – ale jakoś nigdy nie trafiliśmy na te same zajęcia, chociaż oboje studiowaliśmy nauki humanistyczne i uczęszczaliśmy na wykłady z literatury angielskiej i historii sztuki. Plan studiów Ralpa był chaotyczny, obejmował zajęcia na wszystkich wydziałach od rusycystyki po archeologię, filozofię i językoznawstwo, a tymczasem on usiłował (bez powodzenia, jak się okazało) wybrać przedmiot kierunkowy.

Naśmiewałam się z niego, że wybrał przedmiot ze względu na piękno budynku, w którym odbywały się zajęcia. Zawsze unikał tych prowadzonych w paskudnych nowoczesnych pawilonach pobudowanych wokół kampusu. Filozofię studiował dłużej, niż powinien, po prostu dlatego, że uwielbiał kręte kamienne schody na starym czworokątnym dziedzińcu i zwietrzałe gargulce, które sterczały z rynien, rzygając wodą, gdy padał deszcz. A także dlatego, że na zajęcia z filozofii uczęszczało więcej zadumanych, przystojnych chłopców niż na inne przedmioty. Duża betonowa biblioteka budziła w nim ciągłe rozczarowanie i odrazę, a czas poświęcany nauce w kampusie spędzał w niewielkiej bibliotece wydziału historii sztuki w Mills Building, którego bielone omszałe mury wznosiły się obok zaniedbanych kortów tenisowych. Oboje byliśmy zafascynowani Transient Building, usytuowaną naprzeciwko Mills, olbrzymią budowlą z okładziną z rdzewiejącej na brzegach blachy falistej, która stała tam od lat czterdziestych XX wieku i była niemal piękna w swojej ponurej prostocie; z jej okien w aluminiowych ramach mrugały świetlówki.

*

Spotykaliśmy się co piątek w barze uniwersyteckim, dokąd moi pozostali przyjaciele chodzili pograć w Trivial Pursuit. Robili to w kącie lokalu, siedząc przy piwie na jednej z brudnych czerwonych kanap aż do zmroku. Okazało się, że Ralph zna część moich barowych przyjaciół i świetnie się do nich dopasował. Nasz związek od razu nabrał intensywności odróżniającej go od reszty moich przyjaciół, nawiązanych przeważnie z ludźmi, których poznałam na uczelni, oraz z ich znajomymi spędzającymi czas w barze i klubach studenckich. Z nimi nigdy nie udało mi się osiągnąć podobnej bliskości. W związku

z Ralphem znalazłam coś, czego nieświadomie pragnęłam: błyskawicznie zawiązaną zażyłość. Mój krąg towarzyski poszerzył się o jego przyjaciół i w weekendy łączyliśmy z jednej imprezy na drugą, od Newtown, gdzie mieszkałam, po Surry Hills na wschodzie miasta, kolejną sąsiadującą z Kings Cross dzielnicę, zamieszkaną licznie przez studentów. Parę razy wybraliśmy się do Bondi, gdzie pewnego wieczoru znalazłam się sama i marznąc, czekałam na autobus po tym, jak Ralph zniknął na parterze z kimś, kogo mgliście kojarzyłam z seminarium z literatury angielskiej (pamiętałam tylko, że jest wielkim entuzjastą twórczości Keatsa).

Co parę tygodni przyjeżdżałam z Ralphem do jego domu rodzinnego na lunch, który przeciągał się do późnego popołudnia i niezmiennie składał się z jakiejś pieczeni. Duża stara rezydencja z rozrastającym się bezładnie ogrodem pełnym drzew plumerii, poinsecji i pnącego się jaśminu stała na północnym brzegu portu. Ten solidny, kanciasty i piękny dom miał czerwone dachówki i mury pomalowane na szarobrzozkwiniowy kolor, który wypływał z upływem czasu i tylko pod parapetami okien zostały małe jaskrawe łaty. Wewnątrz było mnóstwo błyszczącego drewna, brązów i antyków, szerokie schody pokryte wykładziną dywanową oraz pokoje o idealnych proporcjach i wysokich oknach.

Ingrid poznałam kilkanaście tygodni po pierwszej wizycie Ralpha w wypożyczalni, podczas spotkania w rezydencji. Jego matka właśnie wróciła z jednej ze swoich częstych długich podróży, a on unikał kontaktów z nią. Była zaopatrzeniowcem jakiegoś luksusowego butik; chyba nie potrzebowała tej pracy, ale bardzo ją lubiła. Wydawało się, że jej zajęcie polega głównie na lataniu po całym świecie w poszukiwaniu ładnych rzeczy, które mogła przywieźć do domu.

Ojciec Ralpha, George, był dobrodusznym człowiekiem o nieco kapryśnym usposobieniu, które chętnie demonstrował, wcielając się w rolę zrzędlivego staruszka. Gdy ich odwiedzałam, lubił wszczynać ze mną wymuszone spory. Był równie wysoki jak Ralph i zawsze nosił kraciaste koszule w niewiele różniących się kolorach, niekiedy z szarym rozpinanym swetrem. Wzbogacił się na pracy w branży finansowej, handlując akcjami i pożyczając pieniądze, ale teraz, po ciężkim zawale

przed rokiem, wydawało się, że się wycofał. Od czasu do czasu słyszałam, jak ochrzania przez telefon jakiegoś podwładnego lub z przejściem doradza koledze z biura. Jego stan był poważny, ale nie znosił jakichkolwiek wzmianek na ten temat; gdy Ralph sugerował przy stole, co powinien, a czego nie powinien jeść bądź pić, machał rękami, nie wypuszczając kieliszka z dłoni, i spierał się z synem.

– To i tak bez różnicy, do cholery! – krzyczał. – Wszystkiemu winne te cholerne geny! A teraz podaj butelkę, bo sam ją wezmę i zaleję się w trupa.

Niesłusznie wbił sobie do głowy, że jestem studentką filmoznawstwa, połączywszy to ze studiowaniem historii sztuki i pracą w wypożyczalni filmów. Zastanawiałam się czasem, czy nie jest trochę głuchy.

– Jak tam twoje dzieło? – pytał za każdym razem, przyglądając mi się z uwagą. Miał chyba na myśli mój własny film albo może scenariusz filmowy bądź długi esej. – Co? Jak studia? Mam nadzieję, że uczysz się pilnie!

Ralph był w jego obecności przygaszony. Rozważniej niż zwykle popisywał się swą inteligencją, licząc na to, że zwróci uwagę ojca, ale łączyła ich nic prawdziwej sympatii. Zawsze to w końcu Ralph przynosił butelkę i nalewał z niej alkohol bądź podawał ziemniaki, a pod wieczór wręczał mu filiżankę herbaty.

Tamtej niedzieli drzwi otworzyła Eve, matka Ralpha. Spóźniłam się. Eve pocałowała mnie i owiała chmurą zapachu perfum Chanel.

– Wejdz, kochanie, tak się cieszę, że przyjechałaś. Pozwól, że cię przedstawię mojej siostrzenicy. Będiesz zachwycona tym spotkaniem.

Razem z nią podszedł do mnie ich mały chart Racer. Obwąchał mnie obojętnie i oddalił się wielkimi susami.

Przeszliśmy korytarzem o ścianach wyklejonych czerwono-czarną tapetą, z drewnianymi wieszakami na płaszcze i lśniąco-czarnymi stolikami. W salonie, do którego weszliśmy, dominowało duże wykuszowe okno. Aksamitny fotel stał odwrócony do mnie tyłem, a nad oparciem widać było zaczesane do tyłu ciemnoblonde włosy siedzącej w nim osoby. Z jednej jego strony, jak zwykle w swoim wytartym fotelu klubowym, siedział George, a z drugiej, na krześle, które chyba przyniesiono

z drugiego końca salonu, przyjaciel Ralpa Ed. Racer też usadowił się obok aksamitnego fotela. Sam Ralph stał z nogami skrzyżowanymi w kostkach, spoglądając z zaciekawieniem na kobietę w fotelu. Podniósł wzrok i posłał mi promienny uśmiech.

– Julia! – zawołał. – Chodź i poznaj kuzynkę Ingrid.

Ingrid spojrzała wtedy na mnie z powagą, ukazując całe piękno swojego profilu.

Eve zajmowała się parzeniem herbaty i kawy po drugiej stronie pokoju. Nosila luźną szmaragdowozieloną sukienkę z mieniącego się jedwabiu, stanowiącą najbardziej jaskrawy element w pokoju, i miała białe stopy z paznokciami pomalowanymi na jasnoczerwony kolor. Eve była niska, o głowę niższa od Ralpa. Nigdy nie widziałam, by zamieniła z mężem więcej niż jedno zdanie. Ich wzajemna wrogość miała swe źródło w jakimś zadawnionym sporze, którego powodu Ralph nawet nie pamiętał. Przy mnie jakby ignorowali się nawzajem, ale według Ralpa pod nieobecność gości każda ich rozmowa kończyła się kłótnią.

– Od tygodni powtarzałam Ralphowi, by przyjechał do domu i spotkał się z Ingrid – wyjaśniła Eve. – Przywiozłam ją z Perth. Ralph, przynieś trochę mleka. Julio, Ingrid studiuje na uniwersytecie, właśnie zaczęła... może ty też ją znasz.

Ralph zniknął w kuchni. Ingrid nie wstała z miejsca. Przywitaliśmy się. Miała na sobie sukienkę, która sprawiała wrażenie pokrytej rozgniecionymi różami. Jej gęste włosy zostały zaczesane na jedną stronę i przerzucone przez ramię. Ingrid pociągała za ich końce. Z łańcuszka na jej szyi zwisała delikatna srebrna ramka, wyglądając tak, jakby kiedyś zawierała owalną kameę.

Spojrzała na mnie z odrobiną rezerwy. Rozpoznałam ją: tydzień wcześniej siedziała dwa rzędy przede mną w dużej sali amfiteatralnej podczas wykładu na temat *Mojej ostatniej księżnej* oraz paru innych wierszy Roberta Browninga. Przyszła wtedy w czerwonym płaszczu, który zsunął się z pleców i zmięty leżał za nią na fotelu. W kształcie jej ramion było coś solidnego, wyglądała na zapaloną pływaczkę. Broda Ingrid spoczywała na dłoni przez całą godzinę, łokieć wspierał się na małym składanym biurku, drugą ręką robiła notatki. Siedzący obok

chłopak też zwrócił na nią uwagę i obserwowałam, jak zerka kątem oka i uśmiecha się, opuściwszy pióro i schyliwszy się po nie. Ingrid ledwie odwróciła wówczas głowę, ale gdy wykład dobiegł końca i wychodzili jedno za drugim, gawędziła z nim łaskawie, ściskając w dłoni płaszcz. Spojrzałam na swoje skąpe notatki z godzinnego wykładu.

Neptun???

Skąd wiemy

Rozkaz, którego wykonania nie może odmówić

Tajemnica – plama – skaza na kobiecej seksualności – uśmiech

Obraz – coś, co mamy osiąść – posąg, władza

Mówca/słuchacze

I dalej w tym stylu, telegram z niedokończonych zdań.

Spojrzałam na nią teraz. Rozgniecione róże na sukience z bliska wyglądały jak namalowane, widać było pociągnięcia czerwoną farbą na starym jedwabiu. Eve zaczęła do niej mówić, kontynuując rozmowę przerwana zapewne moim przybyciem.

– Pomogę Ralphowi – powiedziałam i się cofnęłam.

Nalewał właśnie mleko z kartonu do srebrnego dzbanka.

– Kuzynka Ingrid? – zapytałam.

– Przyszywana. Ale tak. – Ralph zamknął drzwi lodówki i wsparł się rękami o kuchenny blat. – Wiesz, że po śmierci swojego szwagra Eve była w Australii Zachodniej, żeby pomóc zamknąć, sprzedać dom albo po prostu coś z nim zrobić. Okazało się, że Ingrid jest jego córką, moją kuzynką. Jej matka była przyrodnią siostrą Eve. Zmarła przed wielu laty. Eve jednak rzadko ją widywała i nie przepadała za jej mężem, więc nie utrzymywaliśmy żadnego kontaktu z tymi kuzynkami. Prawdę mówiąc, zapomniałem, że mam kuzynki z tej strony. A teraz Ingrid mieszka tutaj.

Potarłam palcem spatynowane miejsce na dzbanku. Gdy Ralph chwycił za jego ucho, musnął ręką moją dłoń, wylewając odrobinę mleka.

– Chodzimy nawet razem na zajęcia. Nie zwracałem uwagi na to, co mówi do mnie Eve. Myślałem, że opowiada o kuzynce Margaret. Ingrid twierdzi, że po prostu się nie domyśliła. Może jest nieśmiała. To błyskotliwa dziewczyna. Podoba ci się, prawda?

– Owszem – przyznałam. Tylko czemu zabrzmiało to jak protest?
– Sama nie wiem... jestem zaskoczona, to wszystko.

Ralph ujął na chwilę dłonią moją twarz, jego kciuk znalazł się tuż obok moich ust. Słyszałam głos zadającego pytanie Eda i w odpowiedzi głos Ingrid. Był miły, nieco ochryply i zarazem łagodny. Ralph opuścił dłoń i wrócił do reszty towarzystwa.

Podczas lunchu Ingrid znajdowała się w centrum uwagi i znosiła to z obojętną swobodą. Nie było jasne, czy zdaje sobie sprawę z własnej urody. Wynikało to nie tylko ze skromności, ale można było tak uznać. Ed próbował zrobić na niej wrażenie. Był szkolnym kolegą Ralpha, który u boku muskularnego Eda wyglądał na bledszego i chudsze niż zwykle. Ten wioślarz o kanciastej zuchwie i pięknych zębach studiował ekonomię i pewnie pisana mu była kariera polityka konserwatysty. Kilka razy spotkałam go z Ralphem w kampusie. Zawsze zżymał się na swojego opiekuna naukowego, który najwyraźniej był marksistą. Ed to jedyna znana mi osoba, która mieszkała w kampusie, w kamiennym budynku jednego z najstarszych i najbogatszych college'ów, mającym głęboko osadzone w murach okna skrzydłowe z malowniczymi szybkami w ołowianych ramkach. Cała reszta moich znajomych z uczelni nadal mieszkała z rodzicami lub – jeżeli było ich na to stać – przeprowadziła się do wspólnie wynajmowanych domów, takich jak mój. College Eda, choć najlepiej usytuowany, miał w kampusie najgorszą opinię z powodu rozpustnych imprez, na których studentki były rutynowo gwałcone przez swoich kolegów. Sam Ed nie wydawał mi się odbiorcą tego typu kultury uniwersyteckiej, ale mimo wszystko przez pewien czas zachowywałam w stosunku do niego tendencyjną nieufność.

Miałam włosy świeżo obcięte na pazia z krótką grzywką i George zaczął mnie nazywać przy lunchu Pandorą, twierdząc, że przypominam mu Louise Brooks w *Puszcze Pandory*. Na ścianie wypożyczalni wisiał w tandetnej ramie plakat z tego filmu z różanoustą Louise spoglądającą spod ciężkich powiek.

– Zgadza się... – potwierdził radośnie Ralph. Siedział obok mnie.
– Cóż, nie możesz mi cytować kwestii z niemego filmu
– zauważyłam.

– To prawda – odparł z zawiedzioną miną.

– Chciałam się upodobnić do podlotkowej Lois Lane – wyjaśniłam. – Spróbuj z tej beczki – dodałam, ale Ralph odwrócił się już do siedzącej po drugiej stronie stołu Ingrid.

Ingrid napotkała moje spojrzenie i uśmiechnęła się blado. Podczas lunchu zamieniłyśmy niewiele słów. Rozmowę z nią zdominowali mężczyźni.

Eve patrzyła z podziwem na istotę, którą przywiozła ze sobą do domu, zadowolona, że ma takie powodzenie. Podzieliła się ze mną swoimi wrażeniami z Perth:

– To takie z pozoru dziewicze miejsce. A w rzeczywistości zupełnie nieciekawe.

Po posiłku Ingrid trafiła ze mną do kuchni, gdzie uprzątałyśmy resztki pieczonego kurczaka i przygotowywałyśmy talerze na tort Pawłowej, który Eve kupiła na deser.

– Przykro mi z powodu twojego ojca – powiedziałam.

Wodziłam palcami po malunkach na leżących przede mną talerzykach z czarno-czerwonymi wzorami na brzegach pokrytych złotą farbą. Wydawało się, że można ją zdrapać paznokciem, ale nie chciała zejść. Ingrid odkręciła kran – płukała talerze w wielkim ceramicznym zlewie.

– Dzięki – odparła spokojnie i wytarła dłonie ręcznikiem w czerwono-białą kratę. – Jeżeli przyjedziesz tu w przyszłym tygodniu, poznasz Victorię – dodała. – Moją siostrę.

– Siostrę?

– To ona jest tą ładną – powiedziała z uśmiechem.

– Naprawdę? – Zastanawiałam się, jak w takim razie określić

Ingrid.

Odpowiedziała na moje zadane w myślach pytanie:

– Ja jestem mołem książkowym.

Przytrzymałam stos talerzyków deserowych na kuchennym blacie.

Ingrid oparła się o zlew.

– Pojedziemy potem się napić? – zapytała. – Gdzieś po twojej stronie zatoki?

– Chętnie – odparłam. Ingrid budziła moją ciekawość. I już wtedy

coś mi mówiło, że jest jej pisane stać się częścią życia Ralpa w stopniu, którego nie mogłam zlekceważyć. – Dokąd chcesz pójść?

– Nie wiem! – powiedziała ze śmiechem. – Pamiętaj, że nie znam tego miasta. Pochodzę ze starego dziewiczego Perth.

Wzięła duży nóż i zaczęła nim dość niezdarnie kroić tort.

– Zróbmy to przy stole – zaproponowałam.

*

Eve poleciała do Perth tuż po śmierci ojca Ingrid, żeby „pomóc się wszystkim zająć”, jak mi wyjaśniła, gdy po posiłku siedzieliśmy w salonie. Ingrid została sama w domu, próbując zdecydować, co z nim zrobić, kiedy Victoria, jej siostra, wróciła po pogrzebie do Queenslandu. Eve załatwiła wystawienie domu na sprzedaż.

– Był w dobrym stanie – powiedziała. – W dobrej dzielnicy. Trochę za daleko od centrum, ale przynajmniej blisko plaży. Dobrze wyjdą na jego sprzedaży. – Handel nieruchomościami należał do wielu dziedzin, na których świetnie się znała. Ingrid i tak zamierzała zapisać się na studia na Uniwersytecie w Sydney (była wówczas na drugim roku na Uniwersytecie Australii Zachodniej i studiowała tam filologię klasyczną oraz angielską), a Eve pomogła „przyśpieszyć tę procedurę”, tak aby jej siostrzenica mogła zacząć jeszcze w tym, rozpoczętym przed blisko tygodniem semestrze. Eve była zaprzyjaźniona z kimś z senatu uczelni i nie bała się skorzystać z tej znajomości. – Tkwienie tam byłoby dla niej nonsensem. – Skrzywiła się. – Przywiozłam ją więc tutaj. Tak czy owak, nieźle jest mieć w tym starym dużym domu jakieś towarzystwo.

Wydawało się, że Ingrid w ogóle tego nie słucha. Rozmawiała z Edem i Ralphem, a George się im przyglądał. Racer usadowił się obok Ingrid, kładąc siwy pysk na jej kolanie, ona zaś delikatnie głaskała go po głowie. Ojciec Ralpa wyglądał starzej niż ostatnim razem, gdy go widziałam; jego zaczesane do tyłu siwiejące włosy były rzadkie, a policzki zapadnięte. Zamiast zwykłych zniszczonych mokasynów miał na nogach pantofle. Mimo wyrazu zmęczenia na twarzy w jego zwróconych na Ingrid oczach pojawił się błysk zainteresowania.

Spojrzał na mnie i mrugnął.

– Pies uważa, że teraz należy do niej – zauważył radośnie. – Zero lojalności.

Ingrid zaprotestowała z uśmiechem. Racer pozostał u jej boku wyciągnięty na podłodze, z łapami ułożonymi przed sobą. Ralph wstał, ostrożnie przestąpił czworonoga i podszedł do mnie.

– Chodź na dwór – rzekł. – Prawie w ogóle nie rozmawialiśmy.

Stanęliśmy za tylnymi drzwiami. Ralph zapalił papierosa.

– Tato jest szczęśliwy – powiedział. – Uwielbia ją.

– To dobrze.

– Prawda, że tak?

– Naprawdę dobrze.

W miarę jak gasło światło, trawnik za domem stawał się coraz ciemniejszy. W powietrzu unosił się zapach wilgoci.

– Czy ty też jesteś chory? – zapytałam.

Nie wiem, co mnie do tego skłoniło. Ralph miał skrzyżowane ręce i nie patrzył na mnie.

– To wszystko jest zapisane w tych cholernych genach, prawda? – Rozdeptał niedopałek butem. – Cóż, niezupełnie. Wejźmy do środka.

– Ralph.

– Nie, Julio. Nie chcę o tym mówić. To znaczy... nic mi nie jest.

Ujął pośpiesznie moją dłoń, same palce, po czym ruszył do domu. Serce zabiło mi szybciej i zwolniło. Weszłam za nim do środka.

Spotkanie zakończyło się dopiero po jakimś czasie. George pił już wtedy sherry. Eve obrzuciła go gburowatym spojrzeniem, Ralph natomiast cackał się z nim, znajdując mu ulubiony kieliszek, ten ze złoconym brzegiem. Ralph i Ed nocowali w domu, żeby zgodnie z rytuałem towarzyszącym transmisjom tenisa w telewizji „obejrzyć mecz” z George’em.

– Do zobaczenia w przyszłym tygodniu – powiedziała Eve i pocałowała mnie w policzek.

Gdy wychodziliśmy, Ed uparł się, że podwiezie nas do przystani promu swoim nowo zakupionym samochodem, starym jaguarem. Chciał się nim pochwalić. Auto stało na podjeździe obok domu – zielone z ciemnozielonymi fotelami i małym skaczącym kotem na masce silnika. Karoseria była nieco poobijana, w drzwiach od strony kierowcy

było wgniecenie, a spod lakieru przeświecała blacha. Poskromiłam w sobie chęć chwycenia kota, by sprawdzić, jak mocno został osadzony i czy nie oderwę go ręką.

– Ładny – powiedziała Ingrid.

Otworzyła drzwi i usiadła za kierownicą. Ed wyglądał na zdenerwowanego. Trzymał kluczyki w dłoni i chyba nie był pewny, co z nimi zrobić. Drugą dłonią wspierał się o dach auta. Ingrid położyła ręce na kierownicy.

– Potrzebuję samochodu – stwierdziła. – Ten mi się podoba.

Przez chwilę wydawało się, że Ed ma zamiar wręczyć jej kluczyki. Gdyby wtedy na niego spojrzała, to pewnie by to zrobił. Popatrzyła jednak przed siebie, opuściła ręce i wysiadła z auta.

– Możesz mi pomóc w zakupie – oświadczyła. – W ogóle nie znam się na samochodach.

– No jasne, świetny pomysł. – Ed odetchnął chyba z ulgą. – Mogę ci pomóc coś znaleźć.

– Chciałabym mieć karmanna gnię – oznajmiła Ingrid. – Albo garbusa. Używanego, ale musi dobrze chodzić. Myślisz, że mi się uda?

Ed odparł, że jego zdaniem to możliwe. Ingrid otworzyła drzwi z tyłu i usiadła, kładąc dłonie na oparciu fotela kierowcy.

– To takie dziwne mieć pieniądze – zauważyła niemal ze smutkiem.

Pomyślałam, że dzisiaj wszystko jest dziwne. Północny brzeg jeszcze bardziej niż zwykle wydawał się inną – o wiele bogatszą – planetą w porównaniu ze znanym mi miastem po drugiej stronie mostu. I nagle poczułam, że nie mogę się doczekać odjazdu. Obeszłam samochód i usiadłam z przodu na fotelu pasażera.

Ed zawiózł nas w dół wzgórza, jadąc za szybko, po czym wrócił do domu. Gdy czekałyśmy na prom, niebo nad wodą zasnuł mrok nocy. Na promie usiadłyśmy na zewnątrz i trzęsłyśmy się z zimna. Ingrid patrzyła zachłannie na zbliżające się miasto. Nie wiedziałam, czy w Perth są jakieś promy. Wydawało mi się, że to niedorzeczne pytanie.

– Podoba ci się Sydney? – zapytałam.

– Bardzo. Wspaniale jest być w końcu tutaj. Od tak dawna chciałam przyjechać na wschód.

Wszyscy z Perth, którzy dotarli na wschód, chyba zawsze byli zadowoleni z wyjazdu. W powietrzu unosiły się sól, mgiełka oraz wilgotna woń samego promu, metalu i drewna. W oddali nad Darling Harbour zaczęły wybuchać fajerwerki, po czym rozległa się seria stłumionych trzasków, gdy dźwięk dotarł przez wodę. Deszcz pomarańczowych i zielonych iskier spadł i zniknął. Spojrzałyśmy po sobie, zastanawiając się, co to za uroczystość. Wzruszyłam ramionami.

Policzki Ingrid zaróżowiły się z zimna, jej oczy lśniły. Rozmawiałyśmy o autobusach, pociągach i o tym, czym pojedziemy dalej. Prom dobił do brzegu i zeszliśmy z kołyszącego się pokładu na nabrzeże.

*

Wylądowałyśmy w jakimś pubie niedaleko mojego domu w Newtown i piłyśmy bez przerwy aż do zamknięcia. Ingrid dobrze grała w bilard i pokonała mnie trzy razy z rzędu.

- W Perth poza tym niewiele jest do roboty – wyjaśniła.
- Myślałam, że jesteś mołem książkowym.
- Ależ jestem – zapewniła. Posłała czerwoną kulę do luzu z przyjemnym dla ucha stukiem i potarła końcówkę kija kredą.

Piła i rozmawiała ze mną z jakąś niezrozumiałą determinacją, jakby ćwiczyła do roli lub do końca wywiązywała się z obowiązku. Trudno było w ogóle ocenić, czy rzeczywiście dobrze się bawi. Nie chodziło o to, że czuła się nieswojo. Była równie opanowana jak przez cały dzień. Osobowość Ingrid cechował dziwny brak głębi, choć jej inteligencja była oczywista. Albo też wszelka głębia wydawała się całkowicie nieodgadniona, niemożliwa do spenetrowania. Od czasu do czasu po jej twarzy przemykał cień smutku i powagi, chmura zakrywająca słońce, po czym równie szybko zniknął. „To błyskotliwa dziewczyna” – powiedział Ralph. Przypuszczalnie taka była. Bez trudu można było sobie wyobrazić, że jest bardzo dobrą studentką i wszystkie prace oddaje na czas. Zazdrość, którą poczułam, gdy pojawiła się z pustym wisiosem i piękną fryzurą, ciążyła niczym kamień w moim sercu. I nigdy nie wygasła; pod jej wpływem dostawałam czasem delikatnych mdłości.

Ale to nie wszystko. Przypomniałam sobie, że Ingrid jest w żałobie, i rozpoznałam w jej zachowaniu automatyzm, który mógł być tego skutkiem, potrzebą skupienia się mocniej niż zwykle, żeby wykonywać wszystko normalnie. I chyba właśnie ona kryła się za gorliwością, z jaką wypytywała mnie o życie w Sydney i dzielnicę, w której się znalazłyśmy, o to, jak długo tam mieszkam, o dziewczyny, z którymi wspólnie wynajmowałam dom.

Powiedziałam jej to, co mogłam wyjawiać o Leah i Johannie. Nie spędzałyśmy czasu poza domem razem, woląc żyć osobno. Wydawało się, że Johanna poświęca cały swój czas na naukę albo na ostre balangi na prochach mieszanych przez dwóch zaprzyjaźnionych studentów medycyny, chłopaków o wiecznie przekrwionych oczach, którzy wpadali do niej raz w tygodniu. Mimo wyraźnego uzależnienia od narkotyków i szalenie ryzykownego hobby udawało im się sprawiać wrażenie ludzi inteligentnych i kompetentnych. Receptura była za każdym razem inna – jakaś odmiana ekstazy lub kokainy w niekształtnych tabletkach, których parę razy próbowałam, ale nigdy nie przypadły mi do gustu. Leah świata nie widziała poza swoim chłopakiem, skupionym i milczącym facetem, który usiłował nie gapić się na moje nogi, gdy wychodziłam rano spod prysznicza lub przygotowywałam śniadanie.

– To przypomina mieszkanie z dwiema siostrami – zauważyła Ingrid.

Zrobiłam wielkie oczy ze zdziwienia.

– Nie – zaprzeczyłam. – Nie sędzę. Ale skąd miałabym to wiedzieć?

Ingrid skinęła z zadumą głową. Opróżniła swą szklankę dokładnie w tym samym momencie co ja, poszła do baru i przyniosła kolejne drinki. Ułożyła równo kule i zbijała je, nie załamując się niepowodzeniami i przyjmując wygraną z promiennym uśmiechem. Porażka z nią mnie nie zmartwiła i czułam satysfakcję, zadowolona i poniekąd dumna, że jestem z kimś, kto gra tak dobrze. Nie była tak po prostu ambitna; wydawało się, że czerpie większą przyjemność z dobrej rozgrywki, trudnego celnego zagrania niż ze zwycięstwa nade mną. Swą wyższość przyjmowała bez emocji, ale nie mogłam się w myślach

powstrzymać od pytania, jak by zareagowała, gdybym nagle popisała się serią udanych zagrań, co zdarzało mi się czasem po drugim drinku. Tego wieczoru jednak zwycięska passa nie nadeszła i nie miałam okazji tego sprawdzić.

Związała włosy w koński ogon, który wił się jak wąż na jej ramieniu, i posłała czarną kulę do luzu w zawziętym skupieniu, przez chwilę pochylając się jeszcze nad stołem. Uniosłam ku niej szklanekę.

– Zdrowie – powiedziała i pośpiesznie podeszła do stolika, by wziąć swą szklanekę i stuknąć nią o moją. – Twoje zdrowie!

Rozejrzała się radośnie po pubie, jakby liczyła na to, że wszyscy uczczą jej zwycięstwo. Kilka osób – nie było wśród nich kobiet – patrzyło z podziwem w naszą stronę i promienny uśmiech Ingrid jakby spływał na nich wszystkich. W końcu chyba alkohol uderzył jej do głowy i taka zabawna Ingrid podobała mi się jeszcze bardziej.

Uświadomiłam sobie, że spędziłyśmy w swoim towarzystwie większość ostatnich dwunastu godzin i było całkiem nieźle.

Gdy zamknęli pub, wsiadła do taksówki i się pożegnałyśmy. Dotarłszy do domu, zadzwoniłam do Ralpa, chcąc mu opowiedzieć, jak nam minął wieczór, ale jego telefon w mieszkaniu w Kings Cross nie odpowiadał. Przypuszczalnie Ralph nocował u rodziców, dokąd niebawem miała dotrzeć Ingrid.

*

Skończył się jeden semestr i zaczął nowy; zajęcia, na które uczęszczał teraz Ralph, obejmowały sporo filmów science fiction i w związku z tym na ekranie roiło się od obcych.

Pewnego wieczoru przyszedł do wypożyczalni i wsunął do odtwarzacza *Historię O*. Zapytałam, czy występują w nim jacyś obcy, o których nie pamiętam.

– Nie – odparł. Westchnął i z ponurą miną oglądał napisy. – To na zajęcia z literatury angielskiej. Pomyślałem, że zanim przeczytam książkę, obejrzę film. – Wyciągnął z torby zmięty program nauczania i przejrzał go uważnie. – Służebność, seks i subiektywność.

A w przyszłym tygodniu *Dziwne losy Jane Eyre!* Uwielbiam Orsona Wellesa. W porządku. Czy *Wichrowe wzgórza* zostały zekranizowane?

Ściszyłam głos w odtwarzaczu i wzruszyłam ramionami.

– Jeśli nawet, to tutaj nie uda ci się ich obejrzeć.

Ralph powoli przechylił na bok głowę, śledząc akcję na ekranie.

– Nie sędzę, by ta część znajdowała się w książce – zauważyłam.

– A ja mam cholerną nadzieję, że tam jest – mruknął Ralph.

– Druga część jest właściwie bardziej zbliżona do oryginału – oświadczyła jakaś kobieta czekająca z kasetą w dłoni przy ladzie.

*

Wcześniej zaprosiłam Ingrid, by odwiedziła mnie w wypożyczalni, i tego właśnie wieczoru przyszła tam po raz pierwszy. Miała na sobie czerwony płaszcz, który skrywał pod rozchylonymi połami żółtą sukienkę; znowu nosiła naszyjnik, a pukle włosów spływały na jedno ramię. Przywitała się, po czym pobiegła wzrokiem ku ekranowi, na którym miotała się O lub jedna z pozostałych dziewczyn. Rumieniec rozlał się od jej szyi po policzek.

Uśmiechnęła się, patrząc wprost przed siebie.

– Czy to *Historia O*? – zapytała.

– Byłaś zainteresowana wypożyczeniem tego filmu? – zagadnął ją Ralph.

Ingrid roześmiała się na całe gardło. Jej policzki, na których bladł rumieniec, były rozpalone. Skóra miała jasnobrazowy kolor, skutek przebywania przez całe życie latem na dworze.

– Nie! – zaprotestowała. – Poznałam go, bo czytam tę powieść na zajęcia. Te, na które oboje uczęszczamy. – Przyjrzała się uważnie ekranowi. – Widzę, że muszę ją wreszcie dokończyć – dodała i spoglądała to na mnie, to na Ralpa. – Mogę? Wystarczy tam miejsca dla mnie?

Ralph zsunął się z krzesła, nie spuszczaając z niej oczu.

*

– Co teraz chcesz obejrzeć? – zapytał ją otwarcie, gdy skończyliśmy oglądać *Historię O* i odbyliśmy poważną dyskusję o narracyjnych odejściach od pierwowzoru. Gwałtownie szukaliśmy też kolejnego filmu. Tego wieczoru, w sobotę, w wypożyczalni panował

spory ruch i raz po raz wchodziłam na górę, by przynieść filmy, oraz odkładałam na półkę zwroty.

– Och... – Głos Ingrid umilkł. – *Casablancę*.

– Obejrzymy ją – zgodził się Ralph.

Przewróciłam oczami. Pudełko leżało na samym wierzchu sterty zwrotów. Ingrid najwyraźniej ujrzała je, zanim wymieniła tytuł filmu. Włożyłam go do odtwarzacza.

– Może kupię nam coś do jedzenia? – zaproponował Ralph, gdy zaczął się film. Dokładnie tak, jak się spodziewałam. – Niedaleko stąd sprzedają świetne sushi.

Wyszedł. Skończyłam układać pudełka na półkach i wróciłam do lady.

– Co naprawdę byś chciała obejrzeć? – zapytałam, przerzucając kartki grubego informatora filmowego.

Ingrid posłała mi spojrzenie, którym prosiła o wyrozumiałość.

– Wiesz, co sobie pomyślałam, gdy tu weszłam? To idiotyczne... bardzo chętnie obejrzałabym *Ognie świętego Elma*. – Przyjrzała się uważnie swoim palcom z krótkimi, poobgryzanymi paznokciami i roześmiała się zażenowana. – Straszne, prawda? Dzisiaj jestem w nostalgicznym nastroju. – Popatrzyła na mnie. – Po tym wyznaniu będę musiała cię zabić.

Też się roześmiałam.

– Wtedy nie będziemy mogły go obejrzeć. – Wróciłam za ladę. – Najpierw *Casablanca*.

Jej krzesło zaskrzypiało. Usiadła wygodnie.

– Na jakie jeszcze zajęcia chodzisz?

Przez moment gapiłam się na nią w osłupieniu, nie mogąc sobie przypomnieć. Moją uwagę przyciągnął pusty srebrny owal naszyjnika Ingrid.

– Z historii sztuki – odparłam, przytomniejąc. – Z filmu... modernizm. I zajęcia na temat obrazu miasta w literaturze angielskiej.

– Przydaje się – zauważyła, wskazując odruchowo na półki wokół nas. – Do studiowania. Na zajęcia z filmu.

– A, tak – odparłam, spoglądając na sterty gównianych hollywoodzkich komedii romantycznych i filmów akcji w wypłowiałych

pudełkach. Mieliśmy niewielki dział filmów zagranicznych oraz lepszy zbiór klasyki niż w wielu innych wypożyczalniach, ale trudno byłoby to nazwać kolekcją kina autorskiego. – Trochę.

Ingrid uśmiechnęła się, jakbym właśnie w pełni się z nią zgodziła.

– Bardzo lubisz *Casablancę*? – zapytała.

– Tak.

– Kto nie lubi?

Uśmiechnęłam się i sięgnęłam ręką do przycisku PLAY na odtwarzaczu.

*

Półtorej godziny później, gdy Ralph wrócił z jedzeniem w foliowej torbie, wciąż rozmawiałyśmy w ten urywany sposób, w jaki się prowadzi rozmowę z przyjaciółką, oglądając film – komentarz rzucony tu i tam, odpowiedź, wspólny jęk na widok sceny na ekranie, wspólne westchnienie. Przywykłam już do tego, że załatwienie prostych sprawunków zabiera mu sporo czasu. Zdążyłyśmy rozpocząć projekcję *Ogni świętego Elma* i rozmawiałyśmy o skazanym na porażkę Andrew McCarthym oraz o tym, że James Spader nigdy nie zagrał lepiej niż w roli Steffa, czarnego charakteru w *Dziewczynie w różowej sukience*. Ralph przyniósł ze sobą z ulicy ciepłe wieczorne powietrze, ale ja nagle zadrżałam.

– Judd Nelson! – zawołał radośnie. – Dzięki Bogu nie zdążyłem na *Casablancę*.

Następnej niedzieli znowu pojechałam z Ralphem do jego rodzinnego domu. Mieszkał tam przez większość ubiegłego tygodnia, ale po późnowieczornym wypadzie do miasta spędził ostatnią noc w swoim mieszkaniu. Zaczęliśmy wieczór na imprezie w Redfern, jednej z dziwniejszych dzielnic nieopodal uniwersytetu, gdzie studenci mieszkali obok bloków zasiedlonych pod nadzorem komisji mieszkaniowej przez rodziny Aborygenów. Przyjęcie odbywało się w wiktoriańskiej rezydencji, która jakoś uniknęła przeróbki na kamienicę i teraz zajmowało ją co najmniej sześćdziesięciu studentów. Ingrid była z nami, ale po północy zniknęła. W pewnym momencie widziałam, jak całowała się z Edem w kącie pokoju i wtedy jakaś dziewczyna podeszła do nich i gniewnie uderzyła Eda w ramię. Przeszli się całować. Ingrid spojrzała na rywalkę, przechyliła głowę, po czym w zamyśleniu przełożyła włosy przez ramię. Tymczasem Ed wstał i poszedł za rozgniewaną dziewczyną. Nigdy nie słyszałam, by Ingrid rozmawiała o tym incydencie.

Gdy już postanowiliśmy wyjść, Eda też nie było. Przypuszczalnie Ingrid wyszła razem z nim – jej rywalka została w rezydencji i tańczyła teraz z kimś innym w salonie od frontu. Po dawnej furii nie było śladu. Ralph niepokoił się o Ingrid. Przez pół godziny przeszukiwał górne piętra domu, zanim zszedł na dół. Muzyka była okropna i chciałam wyjść.

– Spory ten dom – powiedział.

Miał na sobie czarną koszulkę z napisem „Bo czuję się tani” w innym odcieniu czerni. Koszulka była znoszona i miękka w dotyku – nagle wspomnienie chwili, gdy moja dłoń spoczęła na jego plecach, nie chciało odejść – ale teraz go nie dotknęłam. Ralph był rozdrażniony i wędrował wzrokiem po pokoju, unikając mojego spojrzenia. Nie chciał słyszeć o Edzie.

– To niedorzeczne – rzekł.

– Nieprawda. Chodź. Tu jej nie ma.

Ociągał się. Zagryzał wargę. Włożyłam płaszcz. Jedną z osób mieszkających w rezydencji, dziewczyna z włosami jak strąki,

zatrzymała się przy nas.

– Twoja przyjaciółka Ingrid? – powiedziała. – Wyszła niedawno... w towarzystwie dwóch osób? Sylvii i Dave’a? – Wszystko, co mówiła, brzmiało jak pytanie. – Chyba nawet próbowała cię znaleźć, żeby się z tobą pożegnać...

Ralph skinął głową i wyszedł za mną za próg. Przebyliśmy pieszo szmat drogi wzdłuż opuszczonych stacji rozrządowych, zanim znaleźliśmy taksówkę, która zawiozła mnie do domu i odjechała z Ralphem. Kiedy w niedzielę późnym rankiem przyszedłam do jego mieszkania, miał szarą i wymizerowaną twarz. Zastanawiałam się, czy nie wrócił do domu niedługo przed moją wizytą. Rozpromienił się, zjadłszy wysoką stertę zwęglonych grzanek.

Tego dnia mój samochód – stary garbus, prawdopodobnie taki, jakiego potrzebowała Ingrid, tyle że przeważnie odmawiający posłuszeństwa – był sprawny. Ruszyliśmy do Kirribilli. Między zastrzałami mostu widać było cudowny błękit nieba.

Tym razem Ingrid powitała nas przy drzwiach z Racerem u boku. Zanim podeszła, by nas pocałować, oparła się o framugę.

– Tu jesteście... wczoraj w nocy zgubiłam was w tym wielkim domu. – Uśmiechnęła się i wzruszyła lekko ramionami. – Niedługo zjawi się Victoria. Jest tu również przyjaciółka cioci Eve ze Stanów. Jest... przecież ją znasz, Ralph! Jest niesamowita.

Dom wypełniała woń piekającej się jagnięciny. Salon łączył się z drugim pokojem od frontu, zwykle oddzielonym podwójnymi rozsuwanymi drzwiami z drewna dębowego. Teraz drzwi były rozsunięte. W pokoju stał fortepian, jakieś fotele, a biblioteczki przy ścianach mieściły sporo książek. Na podłodze, podobnie jak w pozostałych pokojach, leżały dywany. W tej rodzinie pianistką była Eve. Ralph nigdy nie zgodził się dla mnie zagrać. Ktoś grał teraz na instrumencie, choć początkowo myślałam, że to jakieś nagranie, że fortepian nie powinien mieć tak delikatnego brzmienia. Wtedy ujrzałam siedzącą przy nim kobietę. Jej plecy były wyprostowane, tułów nieruchomy, a ręce przesuwały się z gracją po klawiaturze.

– To Maeve – wyjaśniła Eve, zaglądając do pokoju z fortepianem.
– Moja dobra znajoma.

– Zagraj coś Beethovena – zażądał rozdrażniony George ze swojego fotela. – Już nie mogę znieść tego Debussy’ego.

Muzyka wydawała mi się piękna, delikatna i jakoś stłumiona po drodze do naszych uszu, jakby docierała z oddali. Utwór się zakończył albo to Maeve go skróciła, po czym wstała i podeszła do nas.

Wcześniej przy innych okazjach myślałam, że Eve przypomina ptaka, i dzisiaj w jaskrawoniebieskim stroju znowu wyglądała jak ptak. Idąca ku nam spokojnym, nieśpiesznym krokiem Maeve sprawiała wrażenie zwierzęcia odmiennego rodzaju, a raczej istoty nadludzkiej. Jej długa prosta suknia była czarna jak smoła. Uścisnęła moją dłoń. Spojrzałam znowu i tym razem tkanina sukienki wydała mi się zielona niczym szyja dzikiej kaczki i granatowa jak gęste pióra. Białe i pozbawione ozdób dłonie Maeve miały idealny kształt.

– Jakże miło cię poznać – powiedziała z przyjemnym, nowojorskim i nieco europejskim akcentem, jakby mi czegoś gratulowała. Jej ciemnobrązowe, niemal czarne włosy z siwym pasmem biegnącym od skroni opadały do ramion. W chwili powitania traktowała mnie z wielką atencją, ale potem przestała zwracać na mnie uwagę. Usiadła w aksamitnym fotelu, który teraz uważałam za miejsce Ingrid, a ta stanęła obok.

– I jak cudownie, Ralph, że w końcu poznałeś swoją wspaniałą kuzynkę! – zawołała.

Ralph pochylił się, pocałował ją w policzek, a ona na chwilę przytrzymała jego dłoń.

– Przyszywaną – odparł odruchowo.

– Przyszywaną – powtórzyła, trochę go przedrzeźniając. – Cóż, nie mogę uwierzyć, że ukrywała się przez te wszystkie lata.

– Wcale się nie ukrywałam – zastrzegła Ingrid.

– Oczywiście, że nie – rzekła Maeve. – Po prostu jestem zachwycona, że... tu trafiłaś.

Eve złączyła dłonie, na jej twarzy malował się wyraz lekkiego samozadowolenia.

– Z radością gościmy ją w naszym domu.

Wtedy rozległ się dzwonek przy drzwiach, bijąc trzy razy, i wszyscy podnieśliśmy wzrok. Ingrid poszła otworzyć.

– Victoria przyjeżdża z lotniska – wyjaśniła Eve, zwracając się do Ralpa. – Pracowała nad jakimś projektem... robili zdjęcia? Chyba w Queenslandzie. Na Złotym Wybrzeżu? – W jej ustach zabrzmiało to jak nazwa nieznanego, obcego kraju. Pewnie dla niej Złote Wybrzeże było obcym krajem. W swoich podróżach trafiała do Europy i Stanów Zjednoczonych, nigdy jednak na północ Australii. – Victoria jest modelką – dodała.

Gdy weszły we dwie do pokoju, Victoria wyglądała jak Ingrid, która przeszła przez ręce wizażystów jakiegoś magazynu – z jaśniejszymi o ton i zwisającymi nienaturalnie prosto włosami. Jej sukienka była w brzoskwiowym kolorze, który pasował do barwy jej ust. Kilka dni później zobaczyłam tę sukienkę na okładce czasopisma na kobiecie bardzo przypominającej Victorię. Dziewczyna miała takie same oczy jak Ingrid, niebieskie i przenikliwe, ale jej rzęsy pokrywała gruba warstwa czarnego tuszu. Była tylko dwa lata starsza i widząc je razem, miałam wrażenie, że dostrzegam wszystko, czego Ingrid – z włosami splecionymi luźno w warkocz średniowiecznej damy, z porwanym i postrzępionym, lecz mimo to okazałym koronkowym rąbkiem spódnicy – dokonała, żeby odróżnić się od siostry.

Victoria siedziała przy stole naprzeciw mnie. Gdy tylko ustaliła, że pracuję w wypożyczalni wideo, miałyśmy temat do rozmowy. Lubiła filmy i myślała o aktorstwie.

– Masz zamiar starać się o przyjęcie do szkoły aktorskiej?
– zapytałam.

– Och, byłoby świetnie – odparła bez entuzjazmu. – Miałabym jednak kłopot ze znalezieniem czasu na studia. Mój agent wybiera dla mnie jakieś role. – Uśmiechnęła się do mnie ze współczuciem.

Poruszała widelcem i jedzenie wędrowało po talerzu, ale niezbyt często trafiało do jej ust.

– Mam szczęście – powiedziała niespodziewanie. – Mogę jeść do woli i nie przybieram na wadze. W odróżnieniu od Ingrid! – Victoria była niewiele chudsza od swojej siostry. – To przez to twoje bezczynne siedzenie – zgaśniła ją władcym tonem.

Ingrid zignorowała jej uwagę. Chłodna obojętność, z jaką to zrobiła, sprawiła, że cała ta sytuacja wyglądała na grę – okrutną grę –

którą toczyły od dzieciństwa. I dlatego byłam ciekawa, jaką postać przybrałby odwet Ingrid, gdyby kiedyś nastąpił.

– Uwielbiam aerobik – dodała Victoria i uśmiechnęła się do zebranych przy stole.

Maeve zrobiła okrągłe oczy. Z początku czułam do Victorii niechęć, ale jej całkowite lekceważenie tego, co któreś z nas mogło o niej pomyśleć, spowodowało, że nabrałam do niej większej sympatii. Eve weszła do jadalni z dużą tartą owocową w rękach. Ciasto lśniło od grubej powłoki lukru: morele, truskawki i czarne borówki pod warstwą złota. Wszyscy milczeliśmy, gdy rozdawała kawałki tarty, a Victoria nie wróciła przy jedzeniu do rozmowy.

– Jestem pod wielkim wrażeniem tak dobrej znajomości łaciny przez Ingrid – powiedziała Maeve do George’a, gdy skończyliśmy jeść. – Nie miałam pojęcia, że można tutaj, w szkole średniej, zdobyć tego rodzaju wykształcenie! Choć oczywiście powinnam była się domyślić. – Uśmiechnęła się do Eve. – Skoro jest tutaj moja błyskotliwa przyjaciółka. Zawsze zastanawiałam się, jak cudownie byłoby czytać Wergiliusza w oryginale. *Eneidę*.

George mruknął z aprobatą.

– Może ci ją zacytować. Wystarczy, że poprosisz.

– Nie – odparła Ingrid.

Gdy ze stołu uprzątnięto naczynia, Eve powiedziała, że chce posłuchać jeszcze gry Maeve.

– Zagraj nam Mozarta. Albo coś, co lubisz.

Maeve wstała z gracją i zapytała Ingrid:

– Pójdiesz przewracać mi nuty?

Weszły razem do pokoju z fortepianem. Teraz było tam ciemno – niebo się zachmurzyło – i Ingrid zapaliła lampę stojącą obok instrumentu. Gdy Maeve grała, stała obok niej, bezszelestnie przewracając kartki nut. Muzyka miała tak samo stłumione brzmienie jak wcześniej. Gdy utwór się zakończył, Maeve uniosła wzrok i uśmiechnęła się do Ingrid.

Przyglądająca się im Eve sprawiała wrażenie szczęśliwej. Siedziała obok mnie na kanapie.

– Maeve jest z Nowego Jorku – wyjaśniła. – Prowadzi tam

galerię... to spektakularne, naprawdę cudowne miejsce w Chelsea. Wybiera się na pustynię, żeby obejrzeć jakieś obrazy. Dzieła paru aborygeńskich artystów, które zamierza wystawić. Maeve! – zawołała. – Co to za miejsce, do którego jedziesz? W sprawie obrazów?

– Utopia – odparła Maeve, nie odwracając się do niej.
– Utopia – powtórzyła z zadowoleniem Eve. – Niewiarygodne.
– I do miejsca o nazwie Studnia Dwudziesta Trzecia.
– Piękna twórczość – zauważyła Eve. – Na pustkowiu.
– Utopia – powiedział Ralph. – Trudno mi sobie wyobrazić, że jest nią w rzeczywistości.

Próbowałam wyobrazić sobie Maeve na pustyni i okazało się, że przychodzi mi to z większą łatwością niż w wypadku pozostałych osób z naszego grona. Z wyjątkiem Ingrid – widziałam ją oczyma wyobraźni z plecakiem, warstwą kremu z filtrem przeciwsłonecznym na nosie, wyrazem wytrwałości w zmaganiu z upalnym słońcem w oczach i czerwonym pyłem na skórze.

Maeve kontynuowała rozmowę z Ingrid, która teraz siedziała obok niej na długim stołku fortepianowym i ze spuszczonego wzrokiem zdejmowała coś ze spódnicy. Maeve przyglądała się jej spokojnie i kiwała głową, ani na chwilę nie odrywając od niej oczu.

– Ty też jesteś malarką? – zapytałam Maeve, gdy dołączyły do nas we dwójkę. Ingrid spojrzała na nią wyczekująco.

– Nie. – Maeve uśmiechnęła się do mnie z żalem. – W moim fachu muszę umieć rozpoznać czyjś talent. I w dość młodym wieku zdałam sobie sprawę, że sama go nie mam.

Ingrid zmarszczyła brwi.

– Ale kocham to, co robię – dodała Maeve. – Przyjemnie jest pielęgnować talent, widzieć, jak jest nagradzany.

*

Zanim Maeve wyjechała na pustynię, spędziła siedem dni u Eve i George'a, po czym została na kolejny tydzień przed powrotem do Nowego Jorku. W ciągu dnia zabierała Ingrid do galerii i na długie podwieczorki w wytwornych lokalach w mieście, czasem z udziałem Eve. Ingrid darzyła ją podziwem i zainteresowaniem ze strony starszej

kobiety bardzo jej pochlebiało.

– Ona tyle wie – powiedziała mi parę dni po powrocie Maeve z pustyni. – Twierdzi, że twoja ciotka to naprawdę dobra malarka.

– Bo tak jest.

Siedziałyśmy za ladą wypożyczalni tuż po rozpoczęciu mojej zmiany.

– Przedwczoraj widziałam w galerii jej obrazy. Są niesamowite.

– Podobają mi się.

Byłam ciekawa, kiedy zjawi się Ralph.

Ingrid siedziała z brodą wspartą na dłoniach i spoglądała przez okno.

– Żałuję, że nie nauczyłam się grać na fortepianie – powiedziała ze smutkiem.

– Znasz łacinę – odparłam, choć to najwyraźniej było marnym pocieszeniem. Westchnęła.

Ingrid zaczęła odtąd wpadać do wypożyczalni niemal co środę wieczór, a w piątki ze mną i Ralphem piła w barze na terenie kampusu. Lubiła grać w scrabble oraz monopol i robiliśmy to przy naszym stoliku w kącie sali, siedząc na tych samych fotelach i czerwonej kanapie. Teraz było nas troje.

Po blisko miesiącu znajomości z Ingrid stało się dla mnie jasne, że ona wie więcej o stanie zdrowia Ralpa niż ja. W jej zachowaniu w stosunku do niego od czasu do czasu widać było zatroskanie, rodzaj obawy, która przypominała mi, jak Ralph pochylał się nad ojcem, wręczając mu szklankę wody lub kieliszek wina, upominając go i pilnując. Pewnego dnia po lunchu siedzieliśmy w salonie, popijając, już lekko wstawieni, gdy wszedł Ralph z kilkoma starymi raketami tenisowymi pod pachą.

– Kto ma ochotę zagrać? – zapytał, odbijając żółtą piłkę od pokrytej wykładziną podłogi. Uderzała o nią z głuchym stukiem i nie odskakiwała zbyt wysoko. Twarz Ralpa pałała blaskiem, a w jego zachowaniu można było wyczuć zabawne, maniackalne zdenerwowanie, ruchy były zbyt zamaszyste i wymuszone. Zbliżał się wieczór, ale w połowie kwietnia na dworze było ciepło. Ziewnęłam. George roześmiał się chrapliwie. Ingrid spojrzała na Ralpa z ukosa i zapytała:

– Skąd je wyciągnąłeś?

– Ze schowka pod schodami.

Racer popatrzył ze znużoną miną na odbijającą się piłkę i nie ruszył się z miejsca u boku Ingrid, która tasowała talię kart.

Ralph rzucił jej piłkę. Ponieważ jego kuzynka za późno podniosła rękę, nie zdołała chwycić piłki i ta potoczyła się w kąt salonu. Oboje zastygli w bezruchu i czekali, aż drugie po nią pójdzie. Pies podniósł się powoli, podszedł sztywnym krokiem do piłki, trącił ją nosem i spojrzał z wyrzutem na Ralpa, po czym przyniósł ją Ingrid do nóg. Pogładziła go po głowie.

Ralph sięgnął po piłkę.

– W takim razie ty zagraj, Julio.

Na terenie posiadłości znajdowały się korty, na których jeszcze nie byłam – widziałam je tylko z góry.

– Czemu?

Wziął mnie za rękę i poderwał z fotela.

– Chodźmy.

– Nie bądź śmieszny – odezwała się do niego Ingrid. – Przecież nie

grasz w tenisa.

– Co ty wiesz na ten temat? – zdziwił się. – Skąd miałabyś wiedzieć?

Ingrid spojrzała na George'a. Ten wzruszył tylko ramionami, rozsiadł się jeszcze wygodniej w swoim fotelu i przywołał Racera. Ingrid wstała. Ralph puścił moją dłoń. Kuzynka wyprowadziła go pod rękę na korytarz koło schodów i słyszałam, jak szepcze doń natarczywie, a on cicho odpowiada.

– Nie jestem inwalidą, do kurwy nędzy – oświadczył. W końcu doszli jakoś do porozumienia.

– Pójdziemy na spacer – oznajmiła Ingrid, gdy wrócili do pokoju. Mówiąc to, patrzyła na Ralpha. – Julio? Pójdiesz z nami?

Zeszliśmy tarasowym ogrodem na niższy poziom porośnięty włóknistymi paprociami, a potem po omszałych schodach, betonowych płytach pełnych rys i pęknięć, na kort. Królowały tam pnącza powoju i jaśminu, a jeden długi wąż wił się jak wąż wzdłuż potarganej siatki, kwitły też niebieskofioletowe kwiaty. Ingrid miała na sobie białą bluzkę z niemal przezroczystej bawełny, etaminy lub muślinu w drobne kropki – kiedyś słyszałam, jak nazwała je szwajcarskim groszkiem – z wiecznie rozplecionymi tasiemkami zwisającymi z rozchylonego kołnierzyka. Światło przeszło przez tkaninę i tworzyło wokół Ingrid purpurowy półcień. Pojedyncze włosy unosiły się w powietrzu, jakby były naelektryzowane. Z palcami na luźnej nici oplotu rękojeści obracała w dłoniach raketę. Rama była wytarta, widać było na niej resztki żółtej farby, a nagie drewno miało barwę siana lub starej wikliny. Trawiasta powierzchnia kortu spłowiła od słońca i wyglądała niczym wyschnięty, twardy i niemal czarny mech na schodach.

– Co mamy robić? – zapytałam znudzona swoją rolą w planie, w którego tworzeniu nie brałam udziału. – Będziesz grał?

Ralph wzruszył ramionami. Ingrid najwyraźniej zwyciężyła w ich sporze. Rzucił piłkę w jej stronę, a ona posłała ją niezbyt mocno na drugą stronę kortu, zakreślając łuk w powietrzu płynnym ruchem ręki. Widać było napięte mięśnie jej barku i ramienia. Ralph spojrzał na mnie. Z jego twarzy nie umiałam nic wyczytać. Podniosłam drugą raketę – przyniósł tylko dwie; trzecia, praktycznie pozbawiona naciągu, została

w domu pod nadzorem Racera – i poszłam po piłkę. Nie byłam tenisistką. Przez pewien czas leniwie odbijałyśmy piłkę nad siatką. Ja pudłowałam w co drugim zagranie. Jej to się nie zdarzało. Ralph przyciągnął z kąta kortu stare poobijane krzesło i rozparł się na nim z dłońmi splecionymi na karku, skrzyżowawszy przed sobą stopy w tenisówkach. Co jakiś czas głośnym krzykiem podawał nam wyrywkowo wynik meczu. Rozbolały mnie stopy. Nosłam czarne skórzane buty na niskich obcasach z dwiema klamerkami z boku oraz spódnicę, która krępowała nagle ruchy i utrudniała bieganie. Ingrid była boso. Palce jej stóp wyginały się w kontakcie z ziemią.

– Dobra. – Po moim ostatnim uderzeniu piłka trafiła w siatkę. – Skończyłam.

Ralph podszedł do mnie, zabrał mi raketę i schylił się po piłkę. Wydawało się, że Ingrid nie ma nic przeciwko temu. Zerknęła na niego tylko chwilami, ale chyba przez cały czas obserwowała go uważnie spod oka. Ralph kilkakrotnie wyrzucił piłkę do góry, łapiąc ją, po czym zaczął odbijać od powierzchni kortu. Parę razy obrócił raketę wokół osi. Uśmiechnął się do mnie szeroko, ukazując krzywy siekacz i pozostałe zęby. Nie ruszyłam się z miejsca. Ingrid też stała i czekała. Nagle Ralph zaserwował – szybko i z gracją. Ona przesunęła tylko stopę w bok, wyciągnęła rękę i bez trudu złapała piłkę.

Ruszyła wolnym krokiem z powrotem do domu. Ralph szybko ją dogonił. Po schodach i następnym tarasie ogrodu szli razem, niemal ramię w ramię. Ingrid smagała raketą trawę i paprocie. Przyglądałam się im z tyłu. Byli tego samego wzrostu i przez chwilę wyglądali jak brat i siostra, szatyn i blondynka. Przypomniałam sobie, że są kuzynami. Zostałam zastąpiona, bo przecież to ja powinnam była iść tuż obok Ralpa, czuwać nad nim. To poczucie wykluczenia samo w sobie było bolesne, ale jego nieuchronność sprawiała, że trudno było mi chować jakąś urazę; żal słabł i szybko przemijał. W takich chwilach łatwo zapomniałam, że ja pierwsza zaprzyjaźniłam się z Ralphem; zwłaszcza że Ingrid tak często ostentacyjnie i łaskawie zapraszała, bym dołączyła do ich starego rodu. Oboje odwrócili się do mnie dokładnie w tym samym momencie.

– Idziesz, Julio? – zapytała, wciąż śmiejąc się z czegoś, co

powiedział Ralph.

Patrzyła przy tym na mnie, ale jego spojrzenie spoczęło na twarzy Ingrid. Zwiększyłam tempo marszu i dogoniłam ich, lecz potem szłam krok za nimi.

Chciałam zapytać później Ralpa o ich szeptaną rozmowę w korytarzu, o jej protesty przeciwko grze w tenisa, uznałam jednak, że jeżeli zechce, to sam mi o tym powie.

*

Wiedza, którą Ingrid najwyraźniej miała na temat jego choroby, stanowiła element szybko zawiązującej się między nimi zażyłości. Wydawało się, że Ralph jest coraz bardziej zafascynowany swą kuzynką. Często nocował teraz w domu rodzinnym, tolerując jakoś zimną wojnę między rodzicami, która po części była przyczyną jego wyprowadzki rok wcześniej.

– Teraz dzięki obecności Ingrid atmosfera w domu jest znacznie lepsza – wyjaśnił mi pewnego wieczoru w wypożyczalni. – Oboje tak bardzo ją kochają. Tato jeszcze bardziej niż Eve. – Ralph tylko czasami zwracał się do Eve per mamó. Zwykle mówił jej po imieniu. – Sądzę, że chce ją adoptować. Gdyby mógł to uczynić zgodnie z prawem, chyba by to zrobił.

– Oboje kochają ciebie, a to niczego między nimi nie zmieniało – przypomniałam.

– To prawda. Ale ona trafiła do nas. w pełni ukształtowana... nie musiała z nami dorastać, prawda?

Pomyślałam o Ingrid. Sprawiała wrażenie istoty nie w pełni ukształtowanej, istniejącej tylko w zarysie i pragnącej przybrać ostateczną formę. I wiedziałam, że właśnie to wyraźne poczucie drzemiących w niej możliwości tak bardzo pociągało George'a, dostrzegającego już kres własnego życia i rozumiejącego, że życie Ingrid tak naprawdę dopiero się zaczyna.

– W każdym razie oboje ją kochają i to sprawia, że są miłsi dla siebie. Ona jakoś kruszy lody. Może dlatego, że nie zwraca uwagi na nich i na ich kłótnie. Na całe to napięcie. Jest taka... skupiona na sobie i na tym, co robi. I uwielbia nasz dom. Wyprowadza psa na spacer

i gotuje.

– Ingrid gotuje?

– No dobrze, gotowała wczoraj wieczorem i efekt był okropny... nie wiedziałem, że można zrobić coś takiego z makaronem. Mój Boże. Ale bardzo się starała.

Popatrzył z ukosa na ekran telewizora.

– Tak czy inaczej, nie martw się. Nie zrezygnuję z mieszkania.

– Ja się nie martwię.

Bo też dotąd się nie martwiłam, ale teraz zastanawiałam się, czy nie powinnam zacząć.

*

Wyobraziłam ich sobie razem w domu – nie wiedzieć czemu mogłam ich zobaczyć tylko siedzących razem na łóżku w dawnym pokoju Ralpha lub w pokoju gościnnym, który obecnie stał się sypialnią Ingrid, gdzie na ścianach wisiały w ramkach jej ryciny, a jej żółta, wykonana szydełkiem narzuta była za mała na tak duże łóżko – pijących herbatę z filiżanek i whisky, palących przy otwartym oknie, rozmawiających do późnej nocy w kręgu żółtego światła lampy.

Pewnego wieczoru, gdy pojechałam spotkać się z nimi i wspólnie wyjść do miasta, lecz Ralph się nie zjawił, sama spędziłam taką noc z Ingrid. Czekaliśmy na niego i w końcu dałyśmy za wygraną. Około jedenastej usmażyłam dla nas omlet, a Ingrid przyglądała mi się uważnie, jakbym wykonywała jakąś zagadkową operację.

– Co jadłaś, gdy dorastałaś? – zapytałam.

– W naszym domu kuchenka mikrofalowa była podstawowym sprzętem – wyjaśniła z bladym uśmiechem. – Po śmierci mamy przez jakiś czas mieliśmy panią do gotowania, kogoś w rodzaju niani, a potem mnóstwo potraw z mikrofalówki lub z baru na wynos. – Podniosła widelec i zaczęła mu się przyglądać. Był maleńki, jak te do jedzenia ostryg lub podobnych potraw. – Jak myślisz, do czego on służy?

– Nie wiem.

– Do jedzenia tortu?

– Bardzo maleńkiego.

Chciałam zapytać o jej zmarłych rodziców, ale nie mogłam się na

to zdobyć. Pewnie była to jedna ze spraw, o których Ingrid rozmawiała z Ralphem podczas tych pogawędek w środku nocy.

Później usiadłyśmy w jej pokoju – ja na podłodze wyłożonej grubą wykładziną w kolorze morskiej zieleni, a ona na łóżku, tak jak sobie wyobrażałam. Splotła włosy w warkocz i otworzyła okno skrzynkowe nad łóżkiem; księżniczka w starych, spranych dżinsach.

– Tu jest zupełnie inaczej niż w domu, w którym dorastałam – wyznała. – Mój był bardzo... podmiejski.

Popatrzyła na mnie.

– Twój ojciec też nie żyje – zauważyła.

Wyprostowałam się. Mój ojciec zginął w wypadku samochodowym, gdy miałam osiem lat. Nie miałam o nim zbyt wielu wspomnień – był kapryśny, chłodny, rzadko okazywał czułość. Całował mnie czasem przed snem w skroń, przyciągając do siebie oburącz. To było dobre wspomnienie.

– Dowiedziałam się o tym od Ralpa. Przykro mi.

– Nie ma sprawy.

– A twoja matka wyjechała.

– Co jeszcze ci mówił? – zapytałam z wymuszonym uśmiechem.

– Że jest jakąś hippiską. Albo buddystką.

Westchnęłam. Myśl o matce budziła we mnie zażenowanie.

– Nie wiem, co teraz robi. Mieszka na północy w jakiejś komunie.

Prawie nie mamy kontaktu. – Raz na jakiś czas przysyłała mi pocztówki.

– Poznałaś za to mojego brata Petera.

Pewnego wieczoru wpadliśmy na niego w pubie. Spotkanie było trochę dziwne, ponieważ zwykle obracamy się w innych kręgach. Peter był cztery lata starszy i właśnie kończył staż w szpitalu. To, jak oboje dorastaliśmy – jako dzieci dysfunkcyjnych i niekomunikatywnych rodziców – nie doprowadziło do stworzenia bliskiej więzi między nami; inaczej, niż zdarzało się między niektórymi braćmi i siostrami. Każde z nas schroniło się we własnym, wykluczającym innych świecie. Darzyliśmy się jednak dość dużą sympatią. Dzięki Jenny, siostrze matki, spotykaliśmy się raz na jakiś czas na jej urodzinach, w Boże Narodzenie i na okolicznościowym lunchu, gdy chciała przyrządzić coś, co sprawdzało się tylko jako potrawa dla minimum sześciu osób, na

przykład paellę. Nie przejmowała roli matki, przynajmniej nie w ten krytyczny, pełen napięcia sposób, którego sama doświadczyłam jako wyłącznej formy macierzyństwa. Odkąd jednak pamiętałam, ciotka była jedyną stałą, jedyną troskliwą postacią w naszym życiu. Zawsze mogliśmy liczyć na to, że scementuje naszą rodzinną wspólnotę.

– Jestem blisko związana z moją ciotką – wyjaśniłam.

Ingrid skinęła głową.

– Zawsze pragnęłam mieć ciotkę – odparła. – Z istnienia Eve ledwie zdawaliśmy sobie sprawę. Ale gdy byłam mała, myślałam, że fajnie byłoby mieć ciotkę. – Ingrid skubała palcami narzutę.

– Mieliśmy więc szczęście.

Ingrid znowu zaczęła spoglądać pożądliwym wzrokiem przez okno. Z tego pokoju widać było tylko wodę, skrawek błękitu ujęty za dnia w ramy drzew. Teraz, nocą, skrzyła się w blasku księżyca.

Kuzynka Ralpha zmieniła temat i opowiedziała mi o tym, jak dorastało się tam, gdzie mieszkała, o okropieństwach szkoły średniej dla dziewcząt, w której się uczyła. Zaparzyła herbatę i przyniosła ją na górę na tacy, używając filiżanek, spodków i dzbanuszką na mleko z porządnej porcelany. Filiżanki były stare i delikatne, pokryte wzorkiem w róże i winorośl. Widziałam, jak ostrożnie się z nimi obchodzi, i pomyślałam o podmiejskim świecie potraw odgrzewanych w kuchenkach mikrofalowych i wszystkim, przed czym uciekała. Skwapliwość, z jaką wpisała się w to życie ludzi ze starymi pieniędzmi i odziedziczoną po przodkach porcelaną, była teraz bardziej zrozumiała. Ja też bardzo lubiłam ten dom – miałam wrażenie, że odwiedzam jakieś miejsce z kart powieści, obcuję z innym światem, pełnym piękna i bogactwa, które jego mieszkańcy uważali za całkowicie naturalne – ale ona zdołała się tu wprowadzić i uczynić dom własnym. Cicha дума z jego posiadania łączyła się z uczuciem zachwytu, że rzeczywiście tego dokonała.

Wzruszyła delikatnie ramionami i wręczyła mi filiżankę.

– Czyż nie są piękne? – powiedziała. – Całe to miejsce jest takie... wspaniałe. – Obróciła dzbanek z herbatą na tacy. – Ralph to szczęściarz. – Spojrzała na mnie. – Ty też jesteś szczęściarą.

Przypuszczalnie Ingrid uważała mnie za część tego świata, osobę

mającą już w nim swoje miejsce, miejsce zajęte przed nią.

– To wszystko jest bardzo odległe od tego, jak ja dorastałam – odparłam. – Jak powiedziałaś, bliższy nam był świat potraw podgrzewanych w kuchence mikrofalowej. Dopiero w ostatnich kilku latach moja matka z tego zrezygnowała.

Ingrid wspomniała o tym, jak bardzo się jej podoba mieszkanie u George'a i Eve. Jej matka od dawna nie żyła, a ojciec rzadko bywał w domu. Jako inżynier zatrudniony w przedsiębiorstwie górniczym spędzał długie okresy z dala od Perth. W pewnym sensie zapewniało jej to coś w rodzaju swobody, ale Ingrid najwyraźniej odczuwała osamotnienie i polubiła życie w domu, w którym rodzina była częściej obecna.

– Czy to nie jest czasem nieznośne? – zapytałam. – No wiesz... te ich swary.

Spojrzała na mnie, marszcząc brwi, jakby była speszona, i odparła:

– Nie... niespecjalnie.

George darzył ją szczególną sympatią i przesadzał z podziwem dla jej błyskotliwości. Ralph zawsze miał przeciętne wyniki w nauce i to go zadowalało, lecz Ingrid była najlepsza z każdego przedmiotu i wszystkie egzaminy zdawała z wyróżnieniem. Zastanawiałam się czasem, czy Ralpa nie razi atencja, jaką George darzył Ingrid, i to, jak chwalała jej osiągnięcia intelektualne. Ale chyba nie czuł się dotknięty – sam nie wykazywał tego rodzaju ambicji i wydawało się, że George to akceptuje.

Pieniądzy im nie brakowało, ale mimo to oczekiwania, że Ralph znajdzie po studiach jakieś użyteczne zajęcie, jakąś pracę lub twórczą pasję, były zaskakująco nikłe. Wyglądało na to, że nie ma takich nadziei. Wówczas nie rozumiałam, jak poważna może być choroba Ralpa. George oraz Eve mieli jednak tę świadomość; kiedy teraz na to patrzę, widzę, że postanowili nie przymuszać syna. Ale oboje po prostu go uwielbiali, odczuwali chyba równie wielką dumę i tak samo cieszyli się z jego elegancji, wdzięku i dowcipu, jak cieszyliby się z dowolnych innych osiągnięć.

George wiązał z Ingrid własne ambicje i to właśnie on wpadł na pomysł, by studiowała w Stanach. Wiele lat temu złożył krótką wizytę szkolnemu koledze na Harvardzie i wyjechał stamtąd z dozgonnym

szacunkiem dla amerykańskich uniwersytetów z Ivy League. „Oni wiedzą, co robią – mawiał. – Energia. Nowe idee. Wspaniałe rzeczy”. Wyglądało na to, że sam nie ma niezaspokojonych ambicji naukowych. Kiedyś oznajmił mi, że nie jest znawcą literatury, lecz zna się na rachunkach i to napawa go dumą. Cieszy go jednak, iż ktoś jest intelektualistą lub twórcą i robi rzeczy, które on docenia. George uważał się za staroświeckiego mecenasa sztuki i bardzo lubił oglądać swoje nazwisko w programach teatralnych i koncertowych na liście „specjalnych darczyńców” lub ujęte w „grupie producenckiej” najbardziej hojnych donatorów. Eve przynosiła je z przedstawień, a George zostawiał w dość widocznych miejscach, żeby wpadły nam w oko. Ingrid, choć bardzo podziwiała artystów, sama nie była osobą twórczą, lecz George postrzegał chyba jej życie jako rodzaj powstającego dzieła sztuki – fascynującego, nieprzewidywalnego, urzekającego występu – i pragnął dla siebie roli opiekuna lub producenta. „Ona coś z tego zrobi – powiedział mi kiedyś, mrugając znacząco. – Daleko zajdzie”.

Ingrid robiła już plany na ostatni rok studiów, a później zamierzała uzyskać magisterium. „Harvard! Princeton! – wołał George. – Czemu nie!”. Ingrid wspominała czasem o Oksfordzie bądź Cambridge, ale o tych uczelniach George wyrażał się z gderliwą pogardą. „Byliby szczęściarzami, gdybyś u nich studiowała. Cholerni starzy sztywniacy. Będą cię traktowali jak przybysza z kolonii... zawsze tylko w ten sposób”. Ilekroć mówił o snobizmie Anglików, zawsze przebijała w tym jego urażona kiedyś duma. „Za to Amerykanie cię pokochają. Olśnisz ich, dziewczyno”.

Gdy Ingrid pracowała nad jakimś esejem lub przekładem na zajęcia, często przynosiła książki do jadalni. Gdy przychodziłam, siedzieli tam czasem oboje z George’em; ona ssała ołówek pochylona nad podręcznikiem, a on czytał gazetę przy drugim końcu stołu, podchodząc do niej co pewien czas, by wziąć do ręki jedną z jej książek po łacinie lub w grece i z cofniętym podbródkiem zerknąć do niej przez szkła połówek. „Wspaniałe” – mówił, wzdychając i chichocząc, bądź kręcił głową i kładł dłoń na ramieniu Ingrid. Potrafił wyrecytować z pamięci kilka wersów poezji Wergiliusza, ale z języków znał tylko

angielski.

*

Herbata – mocny, pachnący earl grey – nie pozwoliła nam zasnąć tamtej nocy w jej pokoju, ale o drugiej nad ranem obie już ziewałyśmy.

– Powinnaś przenocować tutaj – stwierdziła Ingrid.

Ułożyłam się do snu w łóżku Ralpa. Było świeżo zaścielone, pościel czysta i nakrochmalona.

Kiedy otępiona od zbyt długiego snu zesłam rano do kuchni, Ralph – w podkoszulku i wytartych spodniach – przyrządzał grzanki.

– Co ty tu robisz? – zapytałam.

Roześmiał się i zaproponował mi przypalone pieczywo.

– Nie chciałem cię budzić.

Potem przyszła Ingrid.

– Nastaw wodę, dobrze? – poprosiła Ralpa, pocierając powieki. Przechyliła się i przywarła ustami do jego policzka. Dłoń Ralpa spoczęła na chwilę na jej włosach oraz karku, po czym opadła w geście pełnym wahania i powściągliwości.

Obserwując ich w takich momentach, czułam się nieswojo. Wydawało się, że całe jego uwielbienie i pożądanie spływa po niej niczym woda, i nic nie wskazywało na to, że Ingrid je dostrzega, odwzajemnia bądź odrzuca. Nie potrafiłam ocenić, czy to, co widzę, jest starannie wyreżyserowanym przedstawieniem ani jak się ma do ich zachowań na osobności. Te przeciągające się do późnej nocy rozmowy w jej sypialni przy herbacie i whisky. Jej miłość do niego rzucała się w oczy, ale nie było wiadomo, do czego doszło. Mogło się to wiązać z faktem, że są kuzynami, i być może Ingrid nie chciała przekroczyć granicy kazirodstwa, lecz wydawało się, że powód jest inny. Powinnam chyba być bardziej zbulwersowana tym, że Ralph jest w niej wyraźnie zakochany, ale on tak skwapliwie korzystał ze sposobności do innych perwersyjnych zachowań, że to akurat nie rzucało się w oczy.

Nie chciał o tym rozmawiać i długo nie poruszałam tego tematu. Pewnego wieczoru siedzieliśmy w barze w kampusie, nie jak zwykle przy niskim stoliku na kanapie, ale koło okien, czekając, aż Ingrid wróci z naszymi drinkami. Był to przedostatni tydzień zajęć, połowa czerwca,

praktycznie koniec roku. Ingrid nie śpieszyła się z powrotem i rozdrażniony Ralph się niecierpliwił. Bębnił palcami w blat stolika i raz po raz podnosił wzrok w poszukiwaniu swojej kuzynki. Wreszcie oboje ujrzeliśmy Ingrid w połowie drogi od baru, rozmawiającą z gościem w czerwonej koszuli. Chodził z nami na zajęcia z filmoznawstwa, był przystojny i przytakując Ingrid, odgarniał dłonią za ucho przydługie włosy. Ralph zrobił ponurą minę. Zwykle nie okazywał zazdrości tak otwarcie i to dodało mi odwagi.

– Co cię łączy z Ingrid? – zapytałam.

– Nic – odparł z dość obojętnym wyrazem twarzy. – Nie bądź tak kurewsko niepewna, Julio. – Wtedy po raz pierwszy odezwał się do mnie naprawdę ostro. Ku swojemu przerażeniu poczułam napływające do oczu łzy i szybko powstrzymałam płacz.

Wtedy zjawiała się Ingrid. Niezdarnie postawiła trzy szklanki na stoliku, wylewając ze wszystkich część zawartości, i usiadła. Chwyciła swoją i stuknęła nią w szklankę Ralpha, jakby czekała, aż wzniesie toast. On wypił w milczeniu. Ingrid uniosła brwi i spojrzała na mnie.

– Na zdrowie – powiedziałam. – Za koniec semestru.

– Uśmiechnęła się. – I za udane podróże – dodałam. Ingrid planowała w przerwie wakacyjnej podróż do Wenecji. Przewiesiłam torbę przez ramię i wstałam. – Do zobaczenia. Muszę popracować nad esejem. Na jutrzejsze zajęcia.

Ralph chwycił mnie za nadgarstek i rzekł:

– Nie odchodź. – Próbowałam wyrwać rękę. – Zostań – poprosił cicho. – Dopij drinka.

– Zadajesz jej ból – upomniała go spokojnym głosem Ingrid.

Puścił mnie, a ja zabrałam szklankę i odeszłam.

Gdy byłam w połowie drogi do wyjścia, natknęłam się na faceta w czerwonej koszuli.

– Cześć – zagadnął. – Właśnie rozmawiałem z Ingrid.

Ona jest kuzynką twojego chłopaka, prawda?

– Jest jego kuzynką... przyszywaną... a on nie jest moim chłopakiem. – Ze szklanki wylał się alkohol, gdy ktoś trącił mnie w łokieć. W barze był tłok.

– Spokojnie – rzekł gość w czerwonej koszuli i położył dłoń na

moim ramieniu. – A więc nie jest gejem? Byłem ciekaw.

Przypomniałam sobie, jak miał na imię.

– Tom – powiedziałam.

– Zgadza się! Jak ci idzie na zajęciach? Skończyłaś swój esej?

Rozmawialiśmy tam przez jakiś czas. Tom postawił mi drinka i staliśmy przy barze, potrącani przez przechodzących ludzi.

Popatrzyłam w bok i ujrzałam Ralpa, który zamawiał coś do picia.

Odwrociłam wzrok, ale mnie zauważył.

– Julio – powiedział w pośpiechu. – Przepraszam... – Spojrzał dalej i zobaczył Toma. – W porządku, nie ma o czym mówić. – Rzucił pieniądze na kontuar i zabrał zamówione dwa drinki.

Tom miał dużo do powiedzenia o francuskiej nowej fali. Bardzo mnie to ucieszyło. Poszliśmy obejrzeć koncert grupy jego znajomych w jakiejś suterenie. Więcej o Ralphie nie myślałam.

*

Dwa wieczory później Ralph pojawił się w wypożyczalni. Przyniósł kubek dobrych lodów oraz butelkę pierwszorzędnego ginu i próbował znowu cytować Bogarta. Zignorowałam to i zapytałam:

– Ingrid też przyjdzie?

Wzruszył ramionami.

– Jest czymś zajęta. Chyba w teatrze. Dokładnie nie wiem.

Przyniosłam dwa papierowe kubki. Tydzień wcześniej wszystkie szklanki potłukły się w ciasnym zlewie: Ingrid próbowała mi pomóc.

– Jesteśmy sami, dziecinko. – Wsparł się łokciami o ladę. – Zaprosisz mnie do siebie?

Podniosłam ladę i Ralph znalazł się po drugiej stronie. Poszedł po krzesło. Otworzyłam butelkę; nakrętka puściła z trzaskiem. Poczułam na karku usta Ralpa – zaskoczona wzdrygnęłam się i odsunęłam. Ralph stał za mną i nie wiedziałam, czy mi się to przywidziało. Patrząc na mnie, wziął butelkę i nalał ginu do kubków.

– Jak miewa się Tom? Powiedz mi coś o nim.

– Och, to świetny gość.

– Masz na szyi wielką malinkę.

Podciągnęłam kołnierz sukienki.

– Brawo – powiedział i napił się ginu.

– Masz jakiś problem?

– Ależ nie.

Spojrzałam na niego i dostrzegłam ciemnoróżowy ślad na szyi tuż nad kołnierzykiem koszuli.

– Ty też masz malinkę! – Wydałam stłumiony krzyk udawanego przerażenia i parsknęłam śmiechem. Ralph też się roześmiał, ale nie spojrzał mi w oczy. Opróżnił kubek i nalał sobie jeszcze jedną porcję.

*

Tego samego wieczoru zadzwieczał sklepowy telefon. Dzwonił Ed.

– Cześć! Jak się masz? Skąd wzięłeś ten numer?

– Od pewnego czasu próbuję cię znaleźć. Wiedziałem, że pracujesz w jakiejś wypożyczalni wideo w Cross. To zresztą nie ma znaczenia. Zastałem Ralpa? – Głos Eda był pełen napięcia.

Wiedziałam, że nie może mieć dobrych wieści.

– Jest tutaj. Zaraz go poproszę.

Przytknęłam słuchawkę do piersi. Ralph był pochłonięty lekturą opisu na odwrocie jakiegoś pudełka z filmem i jadł czekoladę.

– Ralph?

– Tak? – Podniósł wzrok.

– Dzwoni Ed. Do ciebie. – Podałam mu telefon.

– Ed? Cześć, Ed. W czym mogę pomóc?

Twarz Ralpa zrobiła się szara jak popiół. Słuchał, pokiwał głową i powiedział:

– W porządku. Dzięki... Nie, w porządku, dziękuję. – Rozłączył się. – Chodzi o tatę.

Skinęłam głową.

– Jest w szpitalu Royal North Shore – wyjaśnił, wziął swój płaszcz i pozbierał książki.

– Mam z tobą pojechać? – zapytałam. Ralph pokręcił głową. Gdy wychodził, wręczyłam mu jego torbę.

Parę godzin później pojechałam taksówką do szpitala. Zajrzałam przez drzwi do poczekalni. Ralph siedział obok Ingrid na niewygodnym

z pozoru plastikowym krześle, z głową wspartą na jej ramieniu. Wyglądało na to, że śpi. Ingrid siedziała spokojnie i czytała książkę.

Uznałam, że skoro tak siedzą, to pewnie wszystko jest w porządku. Przynajmniej na razie. Nic się nie stało. Sama nie wiem, co sobie myślałam. Eve nie było widać. Nie potrafiłam się zmusić, żeby wejść do poczekalni, i pojechałam do domu.

Tego wieczoru Ed wstąpił do domu w Kirribilli, szukając Ralpa... bądź Ingrid; zawsze się nad tym zastanawiałam. I znalazł George'a w końcowej fazie poważnego ataku serca. George zmarł wczesnym rankiem następnego dnia. Kilka godzin później pojechałam do domu Eve i stojąc przed drzwiami, doświadczyłam podobnych uczuć jak w szpitalu – wstrętu, wyczerpującego fizycznego wrażenia odrzucenia – ale zmusiłam się, by zapukać. Ed otworzył drzwi i wpuścił mnie do środka.

Ingrid i Eve siedziały na kanapie, a Racer leżał u ich stóp. Pies był czujny i niespokojny. Na twarzy Eve malował się ponury wyraz rezygnacji. Ingrid wstała na mój widok.

– Jest na górze – powiedziała po prostu i usiadła.

*

Mijały dni. Gdy przyjechałam tydzień później, dzień przed pogrzebem, Ralph i Ingrid byli oboje w salonie. Ona znowu siedziała na aksamitnym fotelu, a on tam, gdzie wcześniej widziałam Eve. Słyszałam ją, jak rozmawia przez telefon w drugim pokoju. Właśnie wrócili ze spotkania w biurze swojego prawnika, gdzie otwarto i odczytano testament. Ralph palił papierosa, czego nigdy wcześniej nie robił przy mnie w domu.

– Wolałabym, żebyś nie palił – powiedziała Ingrid. Zignorował ją i spojrzał na mnie. Usiadłam obok niego.

– Jak poszło? – zapytałam.

Ralph popatrzył na swoje dłonie. Panowała napięta atmosfera. Podobne, choć odrobinę odmienne wrażenie odniosłam, natknąwszy się na nich, gdy byli sami. Twarz Ingrid cechował nowy rodzaj powagi. Miała na sobie same popielate rzeczy, elegancką jedwabną koszulę i dopasowane spodnie z szerokimi nogawkami, w których przypominała

mi Katharine Hepburn. Nikt się nie odzywał. Z drugiego pokoju nadal dolatywał stłumiony głos Eve.

Ingrid odchrząknęła.

– Cóż, George zostawił mi trochę pieniędzy – powiedziała.

Czekałam.

– Całkiem sporo.

Wydawało się, że Ralph na swój sposób ożył, i dopiero wtedy uświadomiłam sobie, jak nieruchomo tkwił do tej pory.

– Och, dostałem swoją część – wyjaśnił. – Eve też. Starczyło dla wszystkich. – Zgasił papierosa. – W porządku – rzekł. – Umieram z głodu, Julio. Możesz nam zrobić coś do jedzenia? Tylko proszę, nie pozwól Ingrid zbliżyć się do kuchenki.

Stopniowo ogarniała mnie radość z jej szczęścia, ale widząc trwożliwe zakłopotanie Ingrid, bałam się ją okazać. Znaczące mrugnięcia okiem kierowane do mnie przez George'a, jego zadowolenie i duma z jej osiągnięć nabrały teraz nowego znaczenia. Tym spadkiem tak naprawdę kupił sobie rolę producenta wszelkich przyszłych wyborów Ingrid, wspaniałego spektaklu, który – jak zawsze sobie wyobrażał – ona uczyni ze swojego życia. Było w tym coś bezinteresownego – przecież sam nie mógł się już cieszyć przedstawieniem, którego kreację umożliwił – ale mimo wszystko miałam wrażenie, że tym uczynkiem zapewnił sobie przynajmniej równie wielką satysfakcję jak jej. Ralph wydawał się poruszony tą wieścią, ale nie był zaskoczony. Najwyraźniej wiedział, co się święci. Dopiero później domyśliłam się, że sam się do tego przyczynił.

Porządna żeliwna patelnia pokryta na dnie i brzegach resztkami przypalonej potrawy leżała w kuchennym zlewie. W lodówce poza jajkami i jakąś starą sałatą było niewiele. Powąchałam mleko w kartonie. Nadawało się do spożycia. Gdy uświadomiłam sobie, że stoję tam gotowa troszczyć się o nich wszystkich, przez chwilę czułam się trochę jak służąca; przekonanie, że jestem ich niezawodną przyjaciółką, zostało zachwiane. Pomyślałam, że chodzi o pieniądze. Bardziej niż kiedykolwiek jako jedyna w tym gronie byłam ich pozbawiona. Ale to uczucie minęło. Otworzyłam szafki, wyjęłam miskę, po czym włożyłam ją z powrotem.

– Jadę do delikatesów! – zawołałam do Ralpa, wyciągając kluczyki samochodu. – Niedługo wrócę.

*

Po śmierci ojca Ingrid stała się zamożna. Teraz była niewiarygodnie bogata. George zostawił jej dość funduszy, by mogła sfinansować każdą swoją zachciankę – w świecie doktorów z Ivy League lub gdziekolwiek. Nigdy nie rozmawiali o faktycznych kwotach, ale wiedziałam, że Ralph ma wystarczająco dużo środków, by wieść wygodne życie bez potrzeby pracy zarobkowej – przynajmniej – a jej część spadku dorównywała jego części.

– Ile tego jest? – zapytałam go raz, po pogrzebie. – Czy gdyby chciała, mogłaby kupić dom? Taki jak ten? – Nie znałam tak naprawdę innej miary bogactwa.

Ralph prychnął.

– Tak – odparł zgryźliwym tonem. – Gdyby chciała, mogłaby kupić cały kwartał. – Pewnie trochę przesadził.

Dość szybko okazało się, że nie jest rozgoryczony z powodu tych pieniędzy – w zasadzie chyba nigdy nie odczuwał tego rodzaju gorczy – tylko niepokoi się planami Ingrid na przyszłość. Jeszcze przed śmiercią George’a toczyły się rozmowy na temat spadku – przynajmniej jedna z Ingrid i jedna z Ralphem – w których George wyraził pragnienie, by Ingrid mogła rozwijać swoje zainteresowania i „poznać świat”. Żadne z nich, z wyjątkiem George’a, chyba jednak nie wiedziało, ile jest tych pieniędzy ani jak dużo przypadnie jej w udziale.

Eve miała dom, jak wyjaśnił mi Ralph, więc dostała swoją część. Raczej nie żywiła urazy w sprawie pieniędzy, które George zapisał Ingrid, zauważyłam jednak, że teraz traktuje ją inaczej; być może kierując się życzliwością, dokonywała czegoś w rodzaju ponownej oceny sytuacji i rozmyślała o skutkach procesu, który uruchomiła, wprowadzając swą siostrzenicę do rodziny. Pewnego ranka siedziałam z nią przy kawie, podczas gdy Ralph i Ingrid ubierali się na piętrze. Była przygaszona, zamiast stroju w ulubionych perłowych barwach miała na sobie blad różowy top z długimi rękawami.

– Wyobraź sobie – powiedziała, trzymając dłoń na filizance – że

poinformowałam Maeve o spadku dla Ingrid. Pogratulowała nam i stwierdziła, że Ingrid „dobrze się spisała”. – Eve uniosła brwi. – Myślę, że trochę się zagalopowała.

Powiedziałam jej to. Sugerowanie, że to rodzaj osiągnięcia... nie twierdę, iż nie ma prawa... ale to nie znaczy, że przyświecał jej taki cel. To absurd. Ingrid jest wyraźnie zaszokowana całą sprawą. George był wielkim ekscentrykiem. Któż mógł przypuszczać.

Czyżby prosiła mnie o słowo otuchy, o to, bym przyznała, że Ingrid znalazła drogę do jego serca, mając całkowicie uczciwe zamiary? Tak uważałam i wydawało się, że Eve też tak sądzi. Zdałam sobie sprawę, że mówi coś do mnie, a właściwie do siebie, raczej o Maeve niż o Ingrid.

*

Ralph nie palił się do podróży – był im dziwnie przeciwny i głęboko przywiązany zarówno do domu rodziców, jak i własnego mieszkania, a także do swoich codziennych zajęć. Ale Ingrid szalenie zależało na podróżowaniu. Zdoławszy wyrwać się z Perth, pragnęła zobaczyć świat. Planowaną wcześniej wycieczkę do Wenecji w przerwie międzysemestralnej zamierzała teraz przedłużyć, aby spędzić więcej czasu w Europie kontynentalnej i w Anglii.

– Rzym – powiedziała z błyskiem w skupionych oczach. – Tyle tam jest do obejrzenia.

Początkowo Eve miała zamiar z nią polecieć, jednak się rozmyśliła. Za życia George’a bardzo dużo podróżowała i teraz chyba brakowało jej energii. Okazało się, że Maeve uczestniczy w biennale weneckim z jakimś artystą ze swojej galerii. zaproponowała, że oprowadzi Ingrid po wystawie i zabierze ją na wszystkie przyjęcia.

Pewnego wieczoru, mniej więcej tydzień po pogrzebie George’a, Eve rozmawiała z Maeve przez telefon.

– Jest zachwycona, że tam będziesz, Ingrid – powiedziała, zakończywszy rozmowę, i splotła dłonie. W jej głosie pobrzmiwała ulga. – Tak bardzo się cieszę. Maeve zadzwoni jutro rano, żeby z tobą porozmawiać. Chce, żebyś zatrzymała się w jej hotelu, i próbuje zarezerwować ci pokój. – Wydawało się, że lekka nieufność do

przyjaciółki, której Eve dała wyraz kilka dni wcześniej, zniknęła bez śladu.

Ralph z pewną niechęcią obserwował, jak te plany przybierają konkretny kształt.

– Ingrid wyjeżdża tylko na sześć tygodni – przypomniałam mu. – Wróci...

– Och, wiem – odparł. – A potem znowu wyjedzie. – Uśmiechnął się blado.

Miałam ochotę przyznać żałośnie, że zabił mi ćwieka, ale tylko go objęłam. Nie odwzajemnił uścisku. Cofnęłam się i ujrzałam jego poważną minę.

– To jej dobrze zrobi – zauważyłam. – Ma bzika na punkcie wyjazdu. To... poszerzy jej horyzonty. – Nawet mnie samej wydawało się, że cytuję jakiś pretensjonalny tekst.

– Wiem. – Westchnął. – Spędzimy razem uroczne wakacje, prawda?

*

Zanim Ingrid wyleciała do Wenecji, pieniądze ze spadku zaczęły mieć dla niej coraz większe znaczenie. Na jej twarzy wciąż malowała się powaga, którą zauważyłam w dniu odczytania testamentu. Pewnego wieczoru siedziała ze mną w wypożyczalni, czytając przewodniki po Włoszech i Europie. Miała ich całą stertę. Wyglądała na zmartwioną.

– Tam jest tyle do zobaczenia. – W jej ustach zabrzmiało to niczym powód do straszego niepokoju. – I tyle należy wiedzieć. Tak naprawdę nie mam o niczym pojęcia.

– Będziesz się dobrze bawić – zapewniłam ją. – I przecież masz olbrzymią wiedzę... prawda? Czyż nie wiesz o tym wszystkim, o tych ruinach ze zdjęć?

Ingrid przewracała kartki książki w niebieskiej okładce.

– Tam po prostu jest tyle zabytków.

– Zawsze możesz wrócić i zobaczyć to, czego nie zdołasz obejrzeć tym razem – powiedziałam. – Potraktuj to jako rekonesans. – Wzięłam do ręki jedną z jej książek. O podróżach za małe pieniądze. – Ten przewodnik nie będzie ci potrzebny – zauważyłam. – Maeve chyba cię oprowadzi?

– Ona przyjeżdża na biennale od wieków! Może poznam paru artystów. Nie mogę się doczekać!

Ingrid ulegała romantycznej fascynacji artystami; podczas kilku spotkań z moją ciotką okazywała jej pełen podziwu respekt.

– Nigdy wcześniej nie spotkałam prawdziwego artysty – powiedziała mi po ich pierwszej rozmowie. – To fascynujące.

*

W tych pierwszych paru miesiącach pobytu w Sydney fascynowało ją i zadziwiała wiele rzeczy. Tajska kuchnia była zdumiewająca. Koktajlbary i galerie sztuki na wschodnich przedmieściach były odlotowe i niesamowite. Zatłoczone targi przy Oxford Street, pełne ubrań, świec i wszelkiego badziewia – fantastyczne. I właśnie ta chęć odczuwania zadowolenia i zachwytu sprawiała, że zabieranie jej w nowe miejsca było takie przyjemne – w każdym z nich kryło się coś fascynującego. Ingrid była zażenowana własnym entuzjazmem: „Jestem taka rozgorączkowana – mówiła ze śmiechem. – Wiem! W porządku, zaraz ochłonę”. I pięć minut później znowu się zachwycała:

„Zdumiewające! Jak długo istnieje to miejsce? Co jest w tej potrawie? Jak się nazywa ten napój? O mój Boże!”. Po pewnym czasie oswoiła się z miastem i przestała czynić tyle uwag o wszystkich nowościach.

Widziałam też, jak usilnie stara się być „bardziej na luzie”.

– Przecież ja jestem drętwa – mówiłam. – Ode mnie niczego się nie nauczysz.

– Mylisz się – protestowała. – Nie masz pojęcia. Wszystkiego uczę się od ciebie. Na przykład... stalowego spojrzenia.

– Stalowego spojrzenia?

– Tak.

– To niedorzeczne.

– A widzisz, właśnie tak teraz patrzysz! Miażdżysz człowieka swoim spojrzeniem! Uwielbiam je! – Siedziałyśmy w klubie nocnym niedaleko mieszkania Ralph, był późny wieczór i Ingrid musiała przekrzykiwać muzykę. – W porządku... już kończę. Idę potańczyć.

– Proszę bardzo.

Ja nie tańczyłam. Ku mojemu zdziwieniu w tej jednej rzeczy Ralph

też nie dotrzymywał jej towarzystwa. Obserwował ją z miejsca, w którym siedzieliśmy bądź staliśmy, i mierzył wzrokiem każdego, z kim tańczyła, ale nigdy jej nie przerywał.

Gdy myślałam o tym, co Ingrid będzie robiła w Wenecji, Rzymie i wszędzie tam, dokąd miała zamiar dotrzeć w tej podróży po Europie, wyobrażałam sobie, że będzie oglądać tuzin ruin dziennie, zbada każdy zakątek Koloseum, spędzi wiele godzin przed obrazami w weneckich kościołach. Moje własne wspomnienia z wizyty w Rzymie podczas rocznej „przerwy” były bardzo mgliste. Koloseum wzbudziło we mnie obrzydzenie. Nie mogłam odpędzić myśli o gladiatorach umierających w kałużach krwi, o okropieństwach rozgrywających się w podziemiach tej budowli, które teraz zostały udostępnione zwiedzającym. Zapamiętałam sporo smacznych dań z makaronu i przystojnych mężczyzn na ulicach, właściwie na każdym kroku, skutery i małe czerwone samochody. Wystawy księgarń wypełnione elegancko ułożonymi nowościami, pudła z wymieszanymi bezładnie książkami na ulicy. Przypuszczałam, że doznania Ingrid będą o wiele bardziej wyrafinowane i wzbogacające duchowo od moich. Czasem też wyobrażałam sobie jakąś wakacyjną przygodę.

W studiach Ingrid, w lekturach starożytnych tekstów i ulubionych wierszy, intrygowała ją myśl o miłości i jej zniewalającej nieraz sile. Kiedy studiowała *Antygonę*, dostała obsesji na jej punkcie, skonsternowana i zafascynowana tą historią. „Jej brat już nie żyje – mówiła z niewidzącym spojrzeniem. – Więc dlaczego? Czego zamierza dowieść?” Wzdychała. „Ale co jeszcze mogła uczynić? Cóż innego jej pozostało?” Ślęczała nad Owidiuszem, nad zawartymi w *Metamorfozach* opowieściami o młodych kobietach i mężczyznach zniszczonych przez własne pragnienia i z pełnym podziwu respektem odnosiła się do wielkich namiętności opisanych w romansach z czasów panowania Edwarda VII. Na tych samych zajęciach czytałyśmy razem *Wiek niewinności* i płakałyśmy na filmie, raz późnym wieczorem w wypożyczalni i ponownie nazajutrz w domu w Kirribilli, z prażoną kukurydzą z piekarnika. Nie mogła znieść zakończenia... nie chciała oglądać go po raz drugi.

– Nie – powiedziała. – Dlaczego on nie wchodzi do środka? To niewiarygodne. Czemu ona nie schodzi do niego?

– Dobra – odparłam. – Wyjdz. Ja chcę to obejrzeć. – Ingrid wyszła z pokoju i tłukła się po kuchni.

Nie przenosiła jednak tego romantycznego spojrzenia na świat do własnego życia miłosnego. Jedyne związki, które tworzyła, były przelotne i wymuszone. To o jej względy zawsze zabiegano i gdy już wreszcie ulegała, czyniła to z chłodnym zaciekawieniem, które nigdy nie przeradzało się w prawdziwe uczucie bądź pożądanie. Teraz jednak sądzę, że na podstawie tego, co widziałam, nie mogę wyrokować. Nawet wówczas zastanawiałam się, jak Ingrid się zmienia, gdy zamykają się drzwi, gasną światła i nikt inny jej nie widzi oprócz tych chłopaków, z którymi czasami wychodziła (ale chyba rzadko sypiała). Nie przestało mnie też ciekawić, jak wyglądają chwile, które spędza z Ralphem.

Wydawało się, że nigdy nie dziwi jej uwaga otoczenia, zainteresowanie mężczyzn, a gdy już na nie reagowała, często miałam wrażenie, które odniosłam podczas pierwszego wspólnego wyjścia z Ingrid: że zdobywa nowe doświadczenia z determinacją naukowca raczej niż z prawdziwym, żywym uczuciem. Było to dziwne w zestawieniu z jej autentycznym entuzjazmem dla życia w ogóle.

Czasami miałam dosyć tego, że ilekroć z nią wychodziłam, nikt mnie nie zauważał, i wtedy pozwalałam sobie na zarzut narcyzmu pod jej adresem. Na ogół jednak, o dziwo, niezbyt mi to przeszkadzało. Wówczas usychałam z tęsknoty za Ralphem i najbardziej raniła mnie rywalizacja o niego. Oczywiście wygrała ją w cuglach, lecz nie obnosiła się przede mną z tym zwycięstwem, więc nie mogłam jej za to nienawidzić.

Wydawało się, że chciała się zakochać, ale nie zdołała. Kiedy więc o tym pomyślałam, życzyłam jej radosnego włoskiego romansu z jakimś egzotycznym turystą z plecakiem lub miłośnikiem sztuki. Być może z większym zainteresowaniem reagowałaby na mężczyzn spoza kręgu jej znajomych, mężczyzn ze świata, który tak bardzo pragnęła poznać. Obcy akcent zawsze robił na niej duże wrażenie; bardzo lubiła słuchać, jak mówi Maeve, i zwracała uwagę na drobne różnice w słowach, których przyjaciółka Eve używała na określenie znanych rzeczy. „Śmietanka – mówiła Ingrid – ale tak naprawdę ma na myśli mleko, racja?”. „Bicykl. Motocykl”. Gdyby zaczęła się zakochiwać w innych

mężczyznach, zamiast – jak się wydawało – zabawiać się krótko z przypadkowymi adoratorami, może Ralph przestałby o niej myśleć. Nie żebym przypuszczała, iż wtedy zwróci się do mnie; bardzo dobrze wiedziałam, że Ingrid jest jedynym wyjątkiem od jego prawdziwych zainteresowań, czyli mężczyzn – zwłaszcza tych, którzy wyglądali na heteryków – oraz sporadycznych kontaktów z kobietami, zawsze jednak anonimowych bądź tak przygodnych, że wychodziło właściwie na to samo.

Jej fascynacje Owidiuszem nasuwały mi jednak czasem myśl, że gdy w końcu się zakocha, ta miłość będzie dramatyczna i głęboka, a Ingrid wcieli się w tę rolę. Rolę kogo? Służebnicy uczucia, gdy ono w końcu nadejdzie. Oczywiście nie miałam pojęcia, że przybierze wówczas taką postać.

*

Ekscytacja podróżą, którą Ingrid odczuwała przed śmiercią George'a, była teraz stłumiona, rosła za to jej nerwowość. Spokój cechujący ją, gdy przybyła do Sydney, ustąpił miejsca czemuś w rodzaju stałego, subtelnego podniecenia. Stale wodziła dłonią po drugiej ręce. Próbowwała nawet palić papierosy.

Dni przebywania z nią, Ralphem oraz Eve sprawiły, że znużyło mnie towarzystwo Ingrid i stałam się bardziej niż przedtem zazdrosna o jej znajomość z Ralphem. On przez większość dnia był pogrążony w dość głębokim milczeniu. Oglądał telewizję i czytał, a gdy już odrywał się od tych zajęć i podnosił wzrok, to patrzył z niepokojem właśnie na Ingrid. Ona zaś po raz pierwszy chyba to sobie uświadomiła. Co wieczór zostawiałam ich na kanapie w małym pokoju telewizyjnym na piętrze; Ingrid siedziała z nogami ułożonymi na poduszce obok.

Kiedy wyjechała dwa tygodnie po pogrzebie, Ralph wziął się w garść. Koniec z oglądaniem telewizji w ciągu dnia. Poświęcił sporo czasu ostatniemu esejowi, który już dawno powinien był skończyć; jego nauczyciel znacznie przedłużył termin oddania pracy z uwagi na śmierć ojca, lecz Ralph przeciągał strunę. Częściej bywał teraz w swoim mieszkaniu w Kings Cross, gdzie jak zawsze czytał przy kuchennym stole, mając przed sobą olbrzymi stos książek z biblioteki, który z dnia

na dzień wydawał się coraz wyższy. Esej miał jakiś związek z Malorym albo od tego się zaczęło. Gdy wstąpiłam do niego w drodze do pracy, najnowszy dodatek do sterty książek stanowiła złowieszczo obszerna kolekcja tytułów poświęconych teoriom Freuda i Junga. Ucieczka w lekturę i pracę nad esejem początkowo wydawała się dobrym sposobem na odsunięcie się od Ingrid przed jej wyjazdem, tak aby jej nieobecność była mniej bolesna. Pisanie eseju ciągnęło się jednak po wyjeździe Ingrid i zaabsorbowanie nim stało się dla Ralpa szansą na jeszcze gwałtowniejsze oderwanie od niej myśli. Wyglądał okropnie, kilkudniowy zarost przeobraził się w nierówną krótką brodę, a w pralni w jego mieszkaniu leżały sterty ubrań. Regularnie przychodził do wypożyczalni na mojej zmianie, ale stał tam z markotną miną wsparty łokciami o ladę, nie oglądając filmu, który odtwarzałam z magnetowidu. Albo też przynosił książkę i usiadłszy na zapleczu, czytał, gryzmołąc coś na karteczkach, które później przyklejał do poszczególnych stron. Od czasu do czasu podnosił wzrok i powoli skupiał go na mnie.

„Wenecja. Jaka tam jest pogoda o tej porze roku?” – zastanawiał się. Albo: „Co ci się podobało w Rzymie? Przypomnij mi, gdzie nocowałaś?”. Kiedyś z książką o Jungu w dłoni zapytał:

- Gdybyś była archetypem, to który byś wybrała?
- Nie wiem.
- No dalej, wybierz jakiś.
- Sam wybierz.

Obrzucił mnie krytycznym spojrzeniem.

- Alicja w Krainie Czarów. Dama z Shalott.
- To nie archetyp. I te dwie postaci są zupełnie odmienne.
- Tak sędzę.
- No a ty? – zapytałam raz.
- Piotruś Pan – odparł opryskliwie i powrócił do lektury.

Starłam się zachować cierpliwość.

Wreszcie pewnego wieczoru, gdy spodziewałam się jego wizyty, nie przyszedł i wówczas poczułam ulgę. Jakiś fajny klient zaczął ze mną rozmowę i uświadomiłam sobie, że pragnę, by poprosił mnie o numer telefonu. Miałam zamiar dać mu firmową wizytówkę z niewielkiego pliku na ladzie, ale musiałabym zapisać na niej swoje imię i prywatny

numer, co wydawało mi się nieco zbyt trudne i trochę rozpaczliwe. Wtedy zadzwonił telefon i usłyszałam w słuchawce Ralpa, który poinformował mnie, że ukończył esej. Chciał to wspólnie uczcić. Jego głos brzmiał inaczej i wówczas zdałam sobie sprawę, jak bardzo brakowało mi w nim poczucia humoru, odkąd zmarł George.

Przystojny klient sam wziął wizytówkę i trzymał ją w dłoni. Uśmiechnęłam się doń, zapisałam na niej swoje imię oraz numer telefonu i oddałam mu.

– Do zobaczenia – rzekł i wyszedł z wypożyczonym francuskim filmem z napisami.

Ralph nie odpowiedział na moje pukanie. Odczekałam minutę, nacisnęłam klamkę i drzwi się otworzyły. Spał na kanapie. Pozostawiona przez Ingrid kolekcja przewodników leżała rozrzucona na niskim stoliku. Sterta książek zniknęła z kuchennego stołu i tworzyła teraz dwa wysokie stosy obok drzwi. Sam stół był usłany gazetami, wśród których znajdowało się coś, co wyglądało na starannie spięty zszywkami esej z okładką. Zbliżała się pierwsza trzydziści. Twarz śpiącego Ralpa była nieznośnie bezbronna, pod zapadniętymi oczami miał ciemne kręgi, sen nie starł z niej wszystkich śladów smutku. Cofnęłam się za próg mieszkania.

*

Kilka dni później po książkach z biblioteki nie było śladu, a przewodniki stały razem na dolnej półce regału pod ścianą. Weekendowe wydania gazet leżały na niskim stoliku. Twarz Ralpa była pokryta drobnymi skaleczeniami.

– Nigdy więcej nie pozwól, bym tak długo się nie golił – powiedział. – Nie znoszę wychodzić z domu w takim stanie. Zimno jest? – Wyjrzał przez okno. – Od wielu dni nie byłem na dworze.

Pojechaliśmy na lunch do Kirribilli. Eve kupiła w miejscowych delikatesach pieczonego kurczaka i przyrządziła sałatkę. Przez całe popołudnie oboje z Ralphem kłócili się bez specjalnego entuzjazmu, aż ona opadła chyba z sił. Z dumą pokazała nam pocztówkę od Ingrid – zestaw panoramicznych widoków z Wenecji. Do Ralpa kartki nie było.

Powróciliśmy do tego, co przypominało dawne schematy. Nie

byłam jednak na tyle naiwna, by oczekiwać, że wszystko wróci do stanu sprzed przybycia Ingrid. Zresztą dzięki jej obecności wiele rzeczy mogło się podobać. Brakowało mi inteligencji Ralpa, którą popisywał się w towarzystwie Ingrid, jego dodatkowych starań, których mnie tak często nie okazywał. Był bardziej pogodny niż parę tygodni wcześniej, ale zatracił błyskotliwość z czasów, gdy go poznałam, i nie sposób było odgadnąć, czy to skutek żalu po śmierci ojca, czy tęsknoty za Ingrid. Złościł się czasem na mnie, bywał opryskliwy, choć nigdy nie wybuchał gniewem. Zaczęłam się cieszyć na jej powrót.

*

Pewnego dnia zadzwoniła do mnie wczesnym rankiem.

– Telefonowałam do ciebie parę razy – powiedziała. – Trudno cię zastać.

Nie znosiła zostawiać wiadomości na automatycznej sekretarce. Parę razy słyszałam, jak próbuje to zrobić; gadała i gadała, nie dochodząc do sedna sprawy, aż wreszcie kończyła się taśma.

– U mnie wszystko w porządku – zastrzegła. – Chciałam tylko powiedzieć „cześć”. Tęsknię za wami!

– Ingrid, tutaj dopiero wstaje dzień.

– Och, przepraszam. Stale mi się myli.

– Nie ma sprawy. Nie spałam. Jak było w Wenecji?

– Nie spałaś? W Wenecji... wspaniale, jest taka piękna. Bardzo się cieszę, Julio, że tu przyjechałam. Muszę ci coś wyznać... zakochałam się. – Zabrzmiało to bardzo poważnie.

Uśmiechnęłam się.

– Bardzo mnie to cieszy.

– Dziękuję.

Nagle jej głos zrobił się bardzo cichy z powodu jakichś zakłóceń na linii, niknąc na przestrzeni dzielących nas kilometrów.

– Halo?

– ...przyjacielem Maeve.

– Przepraszam, nie dosłyszałam.

– Co? Och, mówiłam o Gilu. Gilu Greyu.

– To przyjaciel Maeve?

Trudno było skojarzyć Maeve, z jej ciemnym upierzeniem i lekkim chodem, z jakimś młodym, układnym i mówiącym z przyjemnym akcentem osobnikiem, którego wyobrażałam sobie w roli wakacyjnego kochanka Ingrid.

– Tak, z Nowego Jorku. – Jej głos znowu utonął w głuchoj ciszy, po czym nagle powrócił: – ...we Florencji, pałac!

– Nie słyszę cię. Coś szwankuje na linii.

– Jaka szkoda. Posłuchaj, jestem we Florencji. Zostaję tu tydzień dłużej i przebukowałam bilet.

– W porządku, brzmi świetnie.

– Możesz powiedzieć Ralphowi?

– O czym?

– Że zostanę dłużej.

– Może sama do niego zatelefonujesz?

– Próbowałam się dodzwonić do domu Eve...

– W porządku. Baw się dobrze.

– Nie mogę się doczekać, kiedy ci o tym opowiem.

– Cześć.

– *Ciao, ciao!*

Niemal natychmiast z powrotem zasnęłam i obudziłam się, gdy telefon znowu zaczął dzwonić. Sięgnęłam ręką, by podnieść słuchawkę ze stolika przy łóżku, ale tam jej nie było; został tylko sygnał zgłoszenia, który po chwili ustąpił miejsca długiemu brzęczeniu. Przyśniło mi się to. Telefon ponownie zadzwonił, tym razem naprawdę. Byłam przekonana, że to znowu Ingrid, i poczułam przerażenie. Telefon nie przestawał dzwonić. Odebrałam. Usłyszałam głos Ralpa.

– Śpisz jeszcze? Już późno!

– Nie śpię, nie śpię.

– Taak, oczywiście.

– Dzwoniła do mnie Ingrid.

– Naprawdę? Kiedy? U niej wszystko gra?

– Owszem, tylko zostanie tydzień dłużej.

– Och, w porządku. Nie zdąży na rozpoczęcie zajęć.

Palce kleiły mi się do słuchawki.

– Sądzę, że dotrze tutaj w samą porę. Powiedziała, że jest

zakochana.

- Och.
- W jakimś przyjacielu Maeve.
- O! Ciekaw jestem, kto to taki.
- Jakiś gość imieniem Gil.
- No, no.
- Przeczuwałam, że coś takiego się stanie.
- Można się było tego spodziewać, prawda?

Oboje milczeliśmy. Potem Ralph się pożegnał. Kilka sekund później telefon znowu zadzwonił. Odebrałam od razu. Ponownie usłyszałam głos Ralpha.

– Idiota ze mnie – powiedział ze śmiechem. – Zapomniałem, w jakiej sprawie do ciebie dzwoniłem. – Chciał, żebym poszła z nim do księgarni kupić książki na zajęcia z powojennego kina niemieckiego, na które oboje się zapisaliśmy.

Znowu się położyłam. Gdy się ocknęłam, Ralph stał w drzwiach mojego mieszkania. Powiedział coś po francusku i rozpoznałam słowo „sen” w tym języku.

– *Merde* – jęknęłam.

Zamknął drzwi, usiadł na łóżku i spojrzał w podłogę. Słońce stało wysoko na niebie, a w mojej niewietrzonej sypialni panował zaduch. Siadłam po turecku. Miałam na sobie krótką sukienkę z żółtej bawełny z małą dziurą przy brzegu, w której lubiłam spać. Czyżbym nosiła ją poprzedniego dnia? Pokręciłam głową. Miałam w niej mętlik. Ralph wyciągnął rękę – wydawało mi się, że zrobił to powoli – i położył dłoń na moim kolanie. Wtedy uklęknęłam i objęłam go za szyję, wtulając głowę w jego ramię. Przyłgnęliśmy do siebie nawzajem. Oddech Ralpha był tak samo urywany jak mój.

Zmagałam się z wykreowanym w świadomości wyobrażeniem sukienki uniesionej ponad mą głowę, moich rąk uwięzionych w niej przez sekundę, spętanych bawełnianą tkaniną. Zamknęłam oczy. Pokój wypełnił się powietrzem, potem powstała w nim próżnia, zapętlenie czasoprzestrzeni.

Ralph odgarnął mi włosy z czoła. Minę miał ponurą. Uśmiechnął się i rzekł:

– Ubierz się.

Wstałam i poszłam wziąć prysznic.

Kiedy wróciłam, Ralph siedział na łóżku ze skrzyżowanymi w kostkach nogami, oparty plecami o ścianę, i czytał jakąś podniesioną z podłogi powieść. Nie przerwał lektury nawet wtedy, gdy zrzuciłam ręcznik, którym byłam przepasana, i zdjęłam ubranie z toaletki. Żółta sukienka leżała zmięta na podłodze. Otworzyłam szafę i wyjęłam spódnice. Spojrzałam ukradkiem na jego wąskie i rozluźnione przy czytaniu usta. Przez chwilę usiłowałam stać prosto i nie zgiąć się w pół niczym kawałek blachy. Zastanawiałam się z roztargnieniem, czy tak właśnie czuje się człowiek uderzony w brzuch. Wciągnęłam na siebie spódnice i włożyłam długi golf.

Zeszliśmy w dół wzgórza do księgarni i kupiliśmy książki. Pewnie rozmawialiśmy po drodze i w sklepie – widzę teraz jego twarz na tle półek, gdy wskazywał mi tytuł i pytająco unosił brwi. Wybrał po dwie ze wszystkich potrzebnych lektur, zaniósł je na ladę i zapłacił.

– *Merci* – powiedziałam.

– *De rien* – odparł Ralph. Nie wiedzieć czemu cały ten dzień miał francuski charakter.

Po powrocie Ingrid z podróży ujrzałam ją po raz pierwszy na naszych wspólnych zajęciach z literatury klasycznej i angielskiej, na które chodziłam, żeby spełnić jakiś wymóg programowy studiów na wydziale anglistyki. Przyciągnęła moją uwagę z drugiego końca sali. Ralph siedział obok niej. Wyglądał na zmęczonego i rozdrażnionego. Potem wszyscy troje poszliśmy na lunch. Ingrid miała na sobie nową ciemnoniebieską bluzkę z drobnymi plisami, przypominającą sukienkę madonny. Po naszej dżdżystej zimie w Sydney jej opalenizna bardziej niż kiedykolwiek rzucała się w oczy.

Opowiedziała mi o Gilu Greyu.

– Cóż, to dobry znajomy Maeve. Kiedyś wspólnie prowadzili galerię. A wiesz, kto nas poznał ze sobą? Marszand twojej ciotki! Keith... zobaczyłam go w jednej z sal na biennale i przypomniałam sobie, że poznałam go w jej domu w twojej obecności... i on był z Gilem. I tak bym go spotkała za sprawą Maeve, ale ostatecznie poznał nas ze sobą Keith.

Ralph gapił się w przestrzeń. Przypuszczalnie słyszał to już wcześniej.

– Tak czy owak... Gil był w Wenecji ze swą córką Fleur. Fleur jest artystką... kimś w rodzaju cudownego dziecka.

– Ile ma lat? – zapytałam.

– Trzydzieści.

– I oni też wybierali się na biennale?

– No... tak... cóż, ona tam wystawiała.

– Wystawiała tam swoje dzieła?

– Zdumiewające, prawda? Fleur maluje niesamowite obrazy abstrakcyjne. Jest sławna! Sławę zyskała w wieku czterech lat. Jej obrazy malowane palcami... to autentyczna sztuka.

Ralph jeszcze się nie odezwał.

– To prawda – rzekł teraz, tłumiąc ziewnięcie. – Eve wie o niej wszystko... chyba za pośrednictwem Maeve. Była cudownym dzieckiem.

– Ale teraz już nie maluje palcami? – upewniłam się.

Ingrid zacisnęła usta.

– Cóż, wszystkie jej obrazy, które widziałam, zawierały pewne elementy namalowane palcami. Trudno było ocenić. Ale nie tylko palcami...

– A Gil prowadzi galerię z Maeve? – zapytałam.

– Cóż, nie. Początkowo byli wspólnikami. Teraz Gil jest marszandem. Ale tak naprawdę kolekcjonuje dzieła sztuki.

Zastanawiałam się, ile on ma lat.

– Całymi dniami spacerowaliśmy po Wenecji. I po Florencji. Jest taka piękna. – Twarz Ingrid promieniała. Patrzyłam na swój talerz z lasagne ze stolówki, skubałam potrawę i wspominałam smaczne jedzenie w Rzymie.

Ralph odsunął swój talerz z rozdrażnieniem. Niewiele zjadł.

– Czemu wzięłaś bezmięsnego hamburgera? – zapytałam. – Nigdy nie są dobre. Mogę zjeść twoje frytki?

Wzruszył ramionami i zapalił papierosa.

– Od kiedy palisz camele? – zapytałam. Zaproponował mi jednego, ale odmówiłam. Daj mu kilka dni, pomyślałam. Cieszy się, że wróciła. Tak naprawdę jednak nie potrafiłam ocenić, czy rzeczywiście się cieszył.

*

W nowym semestrze Ingrid uczyła się jeszcze pilniej niż normalnie, natomiast ja i Ralph staliśmy się chyba jeszcze większymi obibokami. Ona chodziła na kurs starożytnej greki dla zaawansowanych i taszczyła ze sobą grube encyklopedie i podręczniki gramatyki. Do wypożyczalni wstępowała rzadziej, wcześniej też wychodziła z uniwersyteckiego baru w piątkowe i sobotnie wieczory; w weekendy bywała czasem z nami na przyjęciach i wydawało się, że jest jeszcze mniej zainteresowana mężczyznami niż wcześniej. Ed nadal bardzo się starał o jej względy podczas lunchów w Kirribilli, pokazywał jej samochody na sprzedaż i udzielał sporadycznych lekcji jazdy.

– Wiesz ojej wielkim romansie w Wenecji? – zapytałam go kiedyś na przyjęciu. Paliliśmy papierosy w ogródku za domem, a w środku Ingrid piła z butelki wódczanego drinka o smaku lemoniady

i niby-rosyjskiej nazwie.

Ed wyglądał na przygnębionego.

– Taak, wiem. Z tym artystą z Nowego Jorku.

– Właściwie to on nie jest artystą – skorygowałam jego informację.

– Och, nieważne, z kolekcjonerem dzieł sztuki, artystą, marszandem. Na pewno był wspaniały. I naprawdę inteligentny. Chuj mu w dupę. – Ed opróżnił butelkę z piwem i rozejrzał się w poszukiwaniu miejsca, w które mógłby ją cisnąć. – Amerykański onanista. Mógłby być jej ojcem.

Wtedy podszedł do nas Ralph lekko chwiejący się na nogach. Zanim dotarliśmy na przyjęcie, wciągnął małą działkę amfy, a przecież źle tolerował ten narkotyk. Ja nie miałam ochoty, bo nie znosiłam nerwowej paranoi, którą wywoływała amfetamina.

– Tylko mi nie mówcie, że rozmawiacie o Greyu – poprosił. Ed popatrzył na mnie i nic nie powiedział. Ralph wręczył mu piwo i rzekł: – To dobrze.

Noc była ciemna. Na ziemi rozstawiono kilka świec w słoikach po dżemie. Ogród był mały, stąpaliśmy po brunatnej, zwiędniętej trawie. Dwaj faceci, których znałam z zajęć z historii sztuki, próbowali rozpałić ognisko w metalowym pojemniku na śmieci stojącym koło płotu. Podszedł do nich trzeci i wszczął spór o to, czy warto zmarnować butelkę taniej whisky na rozpałkę i czy w ogóle nada się do tego celu.

– Wypiję ją!

– Przecież jest masa piwa!

– Gdzie w takim razie podziła się benzyna do zapalniczek?

– Wejźmy do środka – zaproponowałam i Ralph oraz Ed ruszyli za mną.

Tego wieczoru Ed nie opuszczał mnie na krok. Mniej więcej godzinę później zaczął się do mnie przystawiać i dziwnie mnie to wkurzyło. Chwilę wcześniej skarżył się jeszcze na Ingrid.

– Lubię cię, Julio – powiedział, gdy odepchnęłam jego dłoń od mojej piersi.

– Ja też cię lubię.

Spoglądał gdzieś obok mnie, a ja zastanawiałam się, czy nie za szybko się zirytowałam. Miał na sobie polo upstrzone napisami „North

Shore”, ale na swój sposób nosił je z wyczuciem stylu. Gdy na niego patrzyłam, jego twarz zaczęła tracić kamienny dotąd wyraz zniechęcenia. Miałam ochotę wygładzić dłonią jego zatroskane czoło. Ta chwila minęła.

Skrzyżował ręce i rzekł:

– Nie licz na to, że poszczęści ci się z Ralphem. – Spojrzał mi w oczy z goryczą. Odczułam jego słowa jako cios poniżej pasa, dokładnie tak, jak miałam odczuć.

– Nie chcę być twoją pieprzoną nagrodą pocieszenia – odparłam. Cios był dość celny.

– Ty możesz widzieć to w ten sposób, Julio. Nikt inny by tego tak nie odebrał.

Nie wiedzieć czemu najbardziej zaboląły mnie te słowa i ponura niechęć w jego głosie. Odeszłam.

Gdy wychodziłam z przyjęcia, Ralph kłócił się z Ingrid w pokoju przy korytarzu. Ingrid miała znudzoną minę. Po raz pierwszy byłam świadkiem sprzeczki między nimi. Cekał mnie długi spacer do domu.

*

Nigdy więcej nie widziałam, by się kłócili, ale coraz częściej w ich stosunkach pojawiało się napięcie. Ralph spędzał mniej czasu w domu w Kirribilli niż dawniej. Ja znalazłam jeszcze jedno zajęcie – w antykwariacie naprzeciwko wypożyczalni wideo. Pracowałam tam co sobotę, ograniczając obecność w Videomanii zaledwie do paru zmian. Okazało się, że ten układ bardzo mi odpowiada. Ralph był z tego powodu niesamowicie szczęśliwy. Ilekroć przychodził tam przez pierwsze tygodnie, znowu odgrywał stary numer z *Wielkiego snu*: „Nie ma pani przypadkiem wydania *Ben Hura* z tysiąc osiemset sześćdziesiątego roku?”. Gdy miałam na to ochotę, zgadzałam się na tę grę.

– Tak miało być! – powiedział z radością, w charakterystyczny dla siebie ironiczny sposób przeciągając samogłoski.

Nie byłam pewna, czy ma na myśli pracę w antykwariacie, czy nasze spotkanie. Nie zapytałam.

– Pewnie przyjemnie jest mieć pracę – zauważył, wodząc palcem

po niewidocznej linii na ladzie, gdy pewnego dnia wstąpił do sklepu razem z Ingrid. Była to jedna z tych chwil, w których wydawało się, że wszystko między nimi wróciło do pewnej równowagi. Właśnie skończyłam pakować stertę książek dla jakiegoś klienta. Ingrid zerknęła na niego z niepokojem.

– Pewnie przyjemnie jest nie potrzebować pracy – odparłam po kilku sekundach.

Ralph spojrział na mnie i rzekł:

– Chryste, przepraszam. Dureń ze mnie.

– Przecież ty też mógłbyś znaleźć pracę – zasugerowała zachęcającym tonem Ingrid. – Co chciałbyś robić? – Nie było pewne, czy mówi to szczerze, czy z sarkazmem.

Ralph nigdy nie opowiadał o tym, co pragnie zrobić ze swoim życiem; nie musiał i nie chciał o tym myśleć.

– W tej chwili chciałbym zdobyć coś smacznego do jedzenia.

– Myślałam, że zajmiemy się dzisiaj obsypywaniem mnie prezentami – przypomniała mu Ingrid.

– Tym też – zapewnił ją Ralph.

– W przyszłym tygodniu są moje urodziny – wyjaśniła mi Ingrid. Był początek października. Miała skończyć dwadzieścia jeden lat.

Wyszli pod rękę. Przy drzwiach Ralph zawołał przez ramię:

– Do zobaczenia wieczorem!

Właścicielem antykwariatu był Martin, funkcjonujący z trudem alkoholik, a kierownikiem jego asystent Neil, kilka lat starszy ode mnie. Martin przeważnie nie opuszczał swojego maleńkiego gabinetu na zapleczu, rozwiązując krzyżówki i popijając z flaszki ukrytej w dolnej szufladzie biurka. Neil właśnie zapoznawał mnie z procedurą zamykania kasy, gdy usłyszałam za oknem klakson samochodu. Podniosłam wzrok i ujrzałam małe bmw w kolorze zmatowiałego srebra, model z końca lat osiemdziesiątych, z żółto-czarnymi tabliczkami z literą L przymocowanymi z przodu i z tyłu oraz Ingrid za kierownicą. Obok niej siedział Ralph, a w głębi dostrzegłam jeszcze jedną osobę. Ingrid znowu zatrąbiła.

– W porządku, zajmiemy się tym w przyszłym tygodniu – powiedział Neil i uśmiechnął się do mnie.

- Przepraszam...
- Nie ma sprawy, idź.

Wyszłam.

Bmw było wspólnym prezentem od Eda i Ralpa. Gdy jechałam z nimi, zastanawiałam się, kto pierwszy wpadł na ten pomysł. Ingrid była zachwycona. Raz na jakiś czas pożyczała od Eve małą alfę, a na ogół używała samochodu należącego dawniej do George'a, wiekowego mercedesa, w którym należało wymienić skrzynię biegów. Bmw chodziło znakomicie. Wyglądało niczym pojazd z odlotowego muzycznego klipu i miało nową aparaturę stereo. Fotele były obite ciemnoczerwoną skórą. Ed sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego z siebie. Widzieliśmy się po raz pierwszy od czasu przyjęcia, na którym próbował mnie obmacywać. Postanowiłam zawrzeć rozejm i wsiadłszy do auta, nachyliłam się, żeby pocałować go w policzek. Dłoń Eda na chwilę spoczęła spokojnie na mojej talii.

- Cześć – powiedział radośnie.
- Niezła fura – zauważyłam, rozglądając się po samochodzie.

Ingrid prowadziła bardzo szybko, ale Ralph i Ed chyba tego nie dostrzegali albo nie mieli nic przeciwko temu. Jechaliśmy, jak się wydawało, przez wiele godzin, aż dotarliśmy na jakąś plażę, gdzie kupiliśmy ryby z frytkami i najdroższego szampana, jakiego zdołaliśmy znaleźć – zapłaciła za niego Ingrid – a potem jedliśmy w samochodzie, podając sobie butelkę z ręki do ręki. Nad oceanem świecił pękaty biały księżyc.

– Dziś w nocy mam zamiar spać tutaj! – oznajmiła Ingrid. – W ogóle nie chcę wysiadać!

– W porządku, ale skoro wytrąbiłaś połowę butelki, będziesz musiała mi oddać kierownicę – odparł Ed.

Niechętnie ustąpiła mu miejsca za kółkiem, a Ralph dosiadł się do mnie.

- Kiedy go kupiliście? – zapytałam.
- W ubiegły weekend – odparł. – Fajna niespodzianka, co?
- Jest fantastyczny. Dobra robota.

Wylądowaliśmy z powrotem na podjeździe domu w Kirribilli i siedząc w bmw, upijaliśmy się coraz bardziej przy dźwiękach radia,

a Ralph kursował tam i z powrotem, donosząc kolejne butelki wina i wody oraz kieliszki.

Samochód Eda, który pił mniej od nas, stał nieopodal.

– Mogę podrzucić cię do domu? – zapytał, gdy był gotów do odjazdu. Zastanawiałam się, czy zamierza ponowić swą próbę.

– Nie zostaniesz, Julio? – zdziwiła się Ingrid.

Ed spojrzał na nią oczyma pełnymi żalu. Pewnie zdał sobie sprawę, że skoro teraz nie dostał zaproszenia, by spędzić noc z Ingrid, to już nigdy go nie dostanie.

– Możesz zostać – zaproponował mu Ralph.

– Nie, w porządku – odparł Ed. – Czas się zbierać.

Ingrid objęła go i dziękowała mu raz po raz. Stali metr od samochodu. Ralph bawił się pokrętłem radia. Zauważyłam, jak Ingrid całuje Eda mocno w usta – raz, drugi; oboje byli niemal tego samego wzrostu, nie musiała w ogóle wspinać się na palce – i mamrocze coś, czego nie usłyszałam. Ed odszedł sztywno wyprostowany. Nie widziałam jego twarzy.

Ingrid odwróciła się do nas, wspierając się na jednej nodze i lekko kołysząc rękami. Miała na sobie nową wersję czerwonego płaszcza, który przymierzała przy mnie tydzień wcześniej, robiąc zakupy w drogim sklepie przy bocznej ulicy w Paddington. Ze starego stale odpadały teraz guziki. Ten nowy bardzo go przypominał, był tylko mocniej rozkloszowany od talii w dół. Gdy Ingrid spojrzała na metkę, wydała z siebie udawany okrzyk i okręciła się na pięcie przed lustrem, zanim odłożyła płaszcz na wieszak. Sądziłam, że był prezentem, jaki sprawiła sobie na urodziny, potem zaś zastanawiałam się, czy nie kupił go jej Ralph.

– Ed jest taki kochany – powiedziała. Otarła usta grzbietem dłoni, oczy jej się zamgliły. – Mogłaś gorzej trafić, Julio – dodała, lekko marszcząc brwi, gdy podeszła do samochodu i zdjęła kieliszek z deski rozdzielczej.

Ralph odwrócił się do mnie z wyrazem niedowierzania na twarzy. Jeżeli Ingrid popisywała się swoją władzą, to nie wiedziałam, co chce tym osiągnąć. Uznałam, że jest pijana, i wybaczyłam jej, ale była to jedna z chwil, gdy uodporniłam się na jej wpływ, gdy rana natychmiast

się zablizniła.

Nieco później Ingrid zaprowadziła mnie do jednego z dodatkowych pokoi gościnnych na piętrze. Maeve nocowała w nim podczas swojej wizyty i pozostał po niej ślad w postaci słabej woni perfum. Poznałam ją, ponieważ kiedyś skrapiała się nimi czasami moja matka, a ojciec ich nie znosił. Nazywały się Fracas. Miały intensywny, mroczny zapach zapierający dech w piersiach – zawsze kojarzył mi się z ciemnopurpurową, czarną niemal barwą kanciastego flakonika.

Ingrid wręczyła mi wielki złożony ręcznik. Coraz częściej zachowywała się tak, jakby nie tylko czuła się tam jak u siebie w domu, ale też jakby ten dom naprawdę należał do niej. Zastanawiałam się, czy często zostaje w nim sama; Eve wyjeżdżała rzadziej niż przed śmiercią George'a, ale nie zawsze była w domu.

Bawełnianą pościel wypełniał miękki puch, a mimo to przez pewien czas nie mogłam zasnąć. Przez korytarz niosły się dźwięki otwieranych i zamykanych drzwi, odkręcanych i zakręcanych kranów, ciekącej wody. Miałam wrażenie, że słyszę odgłosy kąpieli, i poczułam woń róż. W drugim pokoju rozległ się śmiech Ingrid. W końcu zasnęłam, po czym – trudno mi było ocenić, jak długo spałam – obudziłam się z myślą, że słyszę kogoś za drzwiami. Zaskrzypiała podłoga, ale nie usłyszałam pukania, a drzwi pozostały zamknięte. Kiedy znowu się obudziłam, był późny ranek i z kuchni dolatywał zapach grzanek z bekonem.

*

Kilka dni później, po urodzinach Ingrid, przyszedł list od Gila. Powiedziała mi o tym, gdy spotkałam ją w kampusie.

– Zaprosił mnie do Nowego Jorku. Fleur ma tam dużą wystawę. Będzie uroczysty wernisaż i mogę przyjechać. Zatrzymam się u Maeve.

– No, no! Kiedy?

– W końcu listopada. Nie zdążę na sesję, ale mam tylko jeden egzamin i zdam go wcześniej, przed wyjazdem.

– Pozwolą ci?

– O tak.

Zapomniałam, że Ingrid miała szczególną zdolność uzyskiwania

dowolnego rodzaju przedłużeń lub zwolnień od swoich nauczycieli.

– Tak bardzo liczyłam, że mnie zaprosi – wyznała. – Zresztą i tak miałam zamiar tam pojechać pod koniec roku.

Już wcześniej mówiła o wyjeździe do Stanów, ale z jakiegoś powodu nie kojarzyłam tego z Gilem.

– Utrzymujecie kontakt?

– Trochę... pisaliśmy do siebie parę razy.

Znowu zaczęłam się zastanawiać, ile Gil ma lat. Pewnie jest po trzydziestce... może starszy? Widziałam już jego zdjęcie. Szczupły, o bystrym spojrzeniu, oparty o balustradę nad weneckim kanałem. Mógł mieć od trzydziestu do czterdziestu pięciu lat. Jego kasztanowe włosy były przyprószone srebrem siwizny, nosił piękny lniany garnitur.

Doszliśmy do gmachu biblioteki. Ingrid zamierzała wejść do środka, a ja szłam dalej, do pracy. Znowu miała na sobie nowy czerwony płaszcz – na prawdziwie letnią pogodę wypadało jeszcze trochę poczekać – a jej zaróżowione policzki pokrywała ciemna opalenizna. Włosy opadały jej za kołnierz. Ralpa nie było wcześniej na zajęciach. Miałam właśnie zapytać, czy wie, co on porabia, gdy Ingrid pożegnała się i weszła do budynku.

Teraz brakowało napięcia, które można było wyczuć przed jej poprzednią podróżą. Wydawało się, że Ralph przyjmuje to inaczej i rozmawiając o Greyu, lepiej panuje nad sobą. A mniej więcej tydzień po nadejściu zaproszenia okazało się, że postanowił pojechać z Ingrid.

– Czemu nie? – zapytał, gdy późno po południu spotkaliśmy się w barze uniwersyteckim. – I tak rozmawialiśmy o tym, by gdzieś się razem wybrać podczas przerwy międzysemestralnej. Do Londynu, Nowego Jorku lub w inne miejsce. Po prostu spędzę tydzień lub dwa w Nowym Jorku, a potem trochę czasu w Londynie. Może w Paryżu. Co sądzisz o Paryżu?

– Ale... – zaczęłam, lecz nie wiedziałam, jak mu to wytłumaczyć. Wydawało się, że przyjęcie roli świadka wakacyjnego romansu Ingrid lub tego, w co teraz się przerodził, to zły pomysł. – Masz zamiar zasięgnąć informacji na jego temat? – zapytałam, niebezpiecznie zbliżając się do granicy, której wcześniej nie przekraczaliśmy.

Ku mojej uldze Ralph się uśmiechnął.

– Cóż, to by chyba nie zaszkodziło? Ty nie jesteś tego ciekawa? Facet mieszka w Nowym Jorku. Zobaczę, co się stanie. – Postukał papierosem o dłoń. – Już nie mogę się doczekać.

– No to dobrze.

– No. – Ralph wziął do ręki kość, bo graliśmy w Trivial Pursuit, i rzucił ją na planszę. Kości były małymi kolorowymi kawałkami plastiku, pochodzącymi z zestawu do innej gry. Policzył oczka i jęknął. – Geografia. Czyż nie mieliśmy jej pominąć w tej rundzie?

– Nie. W tej rundzie pomijamy sport.

– Sądzę, że skoro przez wzgląd na ciebie pomijamy sport i rekreację, to z uwagi na mnie powinniśmy pominąć geografię.

Podniosłam kartę.

– Daj mi przynajmniej jakąś wskazówkę – powiedział Ralph.

Odczytałam pytanie.

Po dwóch grach, obu zakończonych łatwym zwycięstwem, Ralph był zadowolony z siebie. Poszłam zamówić jeszcze jedną kolejkę, a tymczasem on pakował planszę. Ludzie siedzący na kanapie obok też chcieli zagrać. Kiedy wróciłam, plansza do gry w scrabble była na wpół otwarta, a Ralph palił papierosa.

– Słuchaj – rzekł, gdy usiadłam. – Może ty też pojedziesz?

– Dokąd?

– Ze mną na ferie. Do Nowego Jorku. Do Londynu. Do Paryża. Jak ci się podobał Paryż? Moglibyśmy pojechać, dokąd tylko zechcesz.

Rozłożyłam planszę i złożyłam ją ponownie.

– Zapłacę. To może być twój prezent urodzinowy – ciągnął Ralph.

– Już mi kupiłeś prezent na urodziny. – Było nim piękne wydanie *Tajemnicy jeziora Chandlera*.

– Co ty powiesz! Nie bądź głupia, pieniądze to nie problem.

– W porządku, zastanowię się. – Nie miałam ochoty się nad tym zastanawiać, ale wolałam zakończyć tę rozmowę. – Dzięki. To znaczy, oczywiście byłoby fantastycznie... tylko sama nie wiem...

– Wesprzesz mnie moralnie – stwierdził cierpko, sięgając jedną ręką do popielniczki, by strzepnąć popiół; drugą położył na kolanach. Nadal palił camele, a ja tęskniłam do zapachu jego dawnych marlboro.

– Myślałam, że się tam wybierasz wyłącznie z ciekawości.

Zapewne miał świadomość, o co mnie prosi, pragnąc, bym wsparła go w trosce o dobro Ingrid, choć sama cierpiałam z powodu nieodwzajemnionej miłości. Pomyślałam, że nie zdaje sobie sprawy, iż jest to dla mnie bolesne, nawet się nie domyśla, a zarazem negowałam niszczący wpływ całej tej historii na mnie. Wiedziałam jednak, że sama postanowiłam się go trzymać, więc nie mogłam go winić.

Nic nie powiedział. Słońce w końcu zaszło i lampy nad ścieżkami jarzyły się w ciemności, oświetlając punktowo stare budynki z piaskowca. Gra w Trivial Pursuit przy sąsiednim stoliku stawiała się coraz hałaśliwsza; ktoś zamazał odpowiedź na karcie rozrywki i spierano się o to, jak brzmi prawidłowa. Znałam ją i zamierzałam wkroczyć w ten spór. Chwilę później Ralph pochylił się ku nim.

– Chodzi o rok tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty siódmy, na litość boską – powiedział, ale to nic nie dało.

– Wybierz swoje litery – poradziłam i rozłożyłam planszę.

*

Zatelefonował do mnie parę dni później.

– W porządku, Julio, British Airways sprzedaje dwa bilety w cenie jednego, więc nie możesz odmówić.

Nie mogłam.

Kilka dni przed odlotem Ingrid poprosiła mnie o pomoc w pakowaniu. Siedziałam w jej pokoju, gryząc kawał sera Brie, który znalazłam w lodówce, ona zaś wyciągała rzeczy ze swojej garderoby i dwóch ogromnych komód. Na ogół nie przejmowała się zbyt ubraniami i teraz chyba uznała, że powinna się zatroszczyć o swój strój na tę podróż, ale nie miała pewności, jak się tym zająć.

– Ile rzeczy bierzesz ze sobą? – zapytała.

– Nie wiem. Wyjeżdżam tylko na trzy tygodnie.

Spojrzała z zakłopotaniem na stertę leżących na łóżku spódnic.

– Na dworze będzie naprawdę zimno, ale za to wewnątrz ciepło. – Przejrzałam jedną stertę i odłożyłam na bok wszystko, co nie byłoby wystarczająco ciepłym okryciem. Nosiliśmy taki sam rozmiar, lecz Ingrid była wyższa i na niej ubrania wyglądały inaczej. Czasem patrzyłam na nią i zastanawiałam się, gdzie dokładnie podziało się tych kilka dodatkowych centymetrów; zarówno nogi, jak i tułów oraz szyję miała smuklejsze niż ja.

– Dzięki. – Westchnęła i usiadła.

Zajęłam się następną stertą.

– Nie masz nic czarnego? – zapytałam.

– Och, jedną rzecz – odparła, wyciągając jakąś bluzkę. – Tobie byłoby w niej do twarzy. – Koronkowa bluzka z okrągłym dekoltem i trzema kryształowymi guziczkami w zapięciu z tyłu była bardzo ładna.

– Lecisz do Nowego Jorku – zauważyłam.

– Więc będę tam mogła kupić wszystkie czarne rzeczy, jakich potrzebuję.

– Owszem. Prawdę mówiąc, powinnaś mieć lekki bagaż. Gdy już tam będziesz, wybierz się na zakupy.

– Będziesz musiała mi doradzić, dokąd mam pójść. Och! Przecież możesz się wybrać ze mną!

Spojrzała na sterty ubrań.

– Zróbmy sobie przerwę. Skończę jutro. Masz zamiar zjeść cały ten ser czy też możemy zejść na dół i przyrządzić coś na kolację?

Nastał upalny listopad, w powietrzu unosiła się już woń płonącego buszu i trudno było sobie wyobrazić zimne ulice Nowego Jorku i przegrzane wnętrza, ściąganie i wkładanie kolejnych warstw odzieży, oddechy zmieniające się w mgiełkę w mroźnym powietrzu. Widoczny z okien pokoju Ingrid skrawek wody za linią drzew skrzył się wyraziście.

Oboje z Ralphem wyjechaliśmy parę tygodni później, dzień po świętach Bożego Narodzenia, i wtedy z radością uciekaliśmy przed australijskim latem. Wieczorami w antykwariacie było gorąco i duszno, a u schyłku dnia brudne uliczne powietrze parzyło skórę. Mój samochód – teraz równie wrażliwy na letni upał, jak wcześniej na zimowe chłody – zepsuł się i na wiele dni wylądował u mechanika. Nie znosiłam długiej jazdy ruchomymi schodami w głąb dworca kolejowego w drodze do Newtown, gdzie smog był jeszcze gęstszy. Ralph powtarzał, bym przeniosła się na wschód – „Przecież i tak masz dosyć tego domu” – i poważnie się nad tym zastanawiałam. Ale stare i grube mury domu szeregowego w Newtown stanowiły dobrą izolację cieplną i gdy przestępowałam próg, korytarz zaskakiwał mnie chłodem.

Gdy już napisaliśmy swoje eseje i pozdawaliśmy egzaminy semestralne, mieliśmy trochę wolnego czasu przed wylotem i spędzaliśmy go na plaży, popijając lemoniadę i piwo niemal do wieczora. Z jakiegoś powodu Ralph postanowił się opalić i jego oliwkowa cera pociemniała. Ja stosowałam krem o nieprawdopodobnie wysokim współczynniku ochrony. „Setka. Jak to możliwe?” – drwił Ralph. Mimo to z upływem dni dostrzegałam na swojej skórze coraz bielszy ślad stroju kąpielowego.

*

Nasz samolot dotarł do Nowego Jorku z wielogodzinnym opóźnieniem i do jaskrawo oświetlonego hotelu Plaza przybyliśmy w środku mroźnej nocy. Pokój pełen złocień i aksamitu tchnął atmosferą ciepła. Przystąpiwszy próg, skakaliśmy po ogromnych łózkach jak małe dzieci. Po kilku minutach, czekając, aż z ciężkich, dziwnie jasnoszarych chmur spadnie śnieg, zasnęłam na jednej z wyściełanych kanap

stojących przy oknach.

Nazajutrz Ingrid spotkała się z nami wczesnym wieczorem w maleńkiej japońskiej knajpce w Upper West Side. Dotarliśmy do drzwi restauracji w chwili, gdy kuzynka Ralpa wysiadała z taksówki. Miała na sobie czerwony płaszcz i wysokie czarne buty, których przedtem u niej nie widziałam, oraz luźny czerwony beret, pod który wetknęła niemal wszystkie włosy. Objęła nas oboje i weszliśmy do środka.

Ingrid i Ralph usiedli obok siebie, ja naprzeciw niego. Wierciliśmy się trochę w nieznanym nam miejscu. Wszystkie ściany były wyłożone sosnowym drewnem, poduchy i wykładziny miały cytrynowozielony kolor. Grey również miał się tu z nami spotkać. Po półgodzinie oczekiwania Ingrid zaczęła się usprawiedliwiać: Gil uprzedził ją, że może się trochę spóźnić; wyjaśniła, że pewnie zatrzymała go rozmowa z jednym z najważniejszych klientów, zamożnym rosyjskim kolekcjonerem, którego pasją było kolekcjonowanie dzieł amerykańskich abstrakcjonistów i który przyjechał do miasta z kilkudniową zaledwie wizytą. Po kolejnych trzydziestu minutach zaczęliśmy jeść bez Greya i chwilami, gdy zapominałam, że w ogóle przyjdzie, odprężałam się.

Jedzenie było przyrządzone pomysłowo, przykrojone i uformowane na talerzu w subtelne wzory. Ingrid zatrzymała się u Maeve w jej mieszkaniu w Meatpacking, dzielnicy położonej bardziej na południe w West Side. Przez wzgląd na dobre obyczaje nie było pewne, czy zamieszka z Greyem.

– Chodzi o Fleur – powiedziała, delikatnie trzymając w pałeczkach swoje sushi. – To mogłoby być niestosowne.

Skinęliśmy głowami. Fleur była jeszcze nastolatką. Wyobrażałam sobie dziwne sceny, w których Ingrid przychodzi do niego, gdy Fleur jest w szkole lub z koleżankami, i dba o to, by zanim wróci, oboje z Gilem się ogarnęli albo znaleźli poza domem, jakby nastąpiło zupełne odwrócenie ról i to oni byli w wieku dojrzewania.

Na widok rozpromienionej twarzy Ingrid przypomniałam sobie, jakim podniosłym tonem mówiła o Greyu, dzwoniąc z Florencji i potem, po powrocie do Sydney.

– Tyle się uczę – wyznała nam teraz.
– Zabrzmiało to tak, jakbyś tu była w podróży naukowej
– zauważyłam. – Dobrze się bawisz?
– Tak – odparła z zadowoloną miną, uśmiechnęła się i wypita mały łyk. – Jest wspaniale.

Ralph milczał. Emanował zaborczością i troską, które dostrzegłam u niego od pierwszych tygodni, odkąd poznał Ingrid: wręczając jej menu, odbierając je, żeby oddać kelnerowi, obserwując jej kieliszek, by w porę dostrzec, że jest pusty, zawieszając na krótko rękę na oparciu jej krzesła. Ona zaś jak zawsze sprawiała wrażenie, że nie dba o to ani trochę.

Grey zjawiał się, gdy byliśmy w połowie posiłku. Twarz Ingrid pojaśniała. Ralph spojrział na nią, potem na Gila podchodzącego do stolika za moimi plecami i znowu na nią. Uniósł się lekko, jakby zamierzał wstać, lecz Grey powstrzymał go ruchem dłoni.

– Nie, nie, nie wstawaj.

Pocałował Ingrid szybko w policzek i usta, kładąc dłoń na jej ramieniu, po czym usiadł obok mnie.

– Przepraszam, że wpadam tak późno – rzekł. – Cieszę się, że zaczęliście jeść i nie jesteście głodni. – Gdy kelner zjawiał się z kartą dań, Grey zajrzał do niej i już po chwili złożył zamówienie, wydając przy tym szereg zawiłych instrukcji.

Odwrócił się do mnie i uścisnął mi dłoń.

– Miło cię poznać.

Miał czarujący uśmiech. Właśnie wtedy jego nazwisko naprawdę zapadło mi w pamięć – później już nigdy nie potrafiłam nazywać go w myślach po imieniu, jak Ingrid, lecz określałam go mianem Grey², jak Maeve, od koloru ubrań, które zawsze nosił w mojej obecności, i jego poważnych oczu. Miał drobne dłonie i zaskoczył mnie delikatnością swojego uścisku.

Sięgnął przez stół i uścisnął dłoń Ralpa.

– Ralph. Jakże mi przyjemnie. – Ralph wymamrotał coś w odpowiedzi. – Co pijecie? Zamówmy trochę wina. – Zerknął do karty win i zamówił coś u przechodzącego obok innego kelnera.

Ralph już chciał poprosić o drugie martini, ale zrezygnował. Sama

też miałam ochotę na kolejne.

Mój przyjaciel zaprzestał opiekuńczych gestów wobec Ingrid. Przez resztę wieczoru nasze spojrzenia spotkały się tylko raz i w jego oczach dostrzegłam mieszane uczucia. Strach? Powątpiewanie? Trudno było ocenić.

Grey wykazał stosowne zainteresowanie naszym lotem i hotelem, w którym się zatrzymaliśmy.

– Jak on obecnie wygląda? – zapytał, jakby się dowiadywał o wspólnego znajomego. Nie byłam pewna, jak odpowiedzieć. Dla mnie Plaza była pałacem z kosmosu, marmurowo-złotym światem, zupełnie innym niż miejsca w Nowym Jorku, które poznałam podczas poprzedniego pobytu.

– Mnie bardzo się podoba – oświadczył Ralph. – Mam stamtąd wspaniałe wspomnienia.

Wcześniej opowiadał mi o pobycie w hotelu Plaza z matką, gdy miał dziesięć lat i po raz pierwszy – i dotąd jedyny – znalazł się w tym mieście. Wówczas podwieczorek w wielkiej jadalni stanowił magiczne przeżycie, a gdy jego matka godzinami rozmawiała przez telefon, on obserwował z okien pokoju, jak ludzie przemierzają park krętymi ścieżkami.

Okazało się, że Grey pracował tam kiedyś jako konsultant.

– Pomagałem im znaleźć jakieś prawdziwe dzieła sztuki do powieszenia na ścianach.

To, co wisiało w naszym pokoju, było niewarte zapamiętania. Gdy wróciliśmy tam później, spojrzałam krytycznie na te grafiki: sepiowe obrazy pączkujących kwiatów, złote ramy na tle tapety w grube prążki.

Zapytałam Greya, czy przyjdzie Fleur.

– Tyle o niej słyszałam.

– Wyszła z przyjaciółmi – odparł. – Oglądają jakiś film. – Uśmiechnął się, marszcząc czoło z udawanym zdumieniem. – Coś w ramach retrospektywy filmów Antonioniego w śródmieściu.

Powiększenie?

– Nie mogę się doczekać obejrzenia wystawy.

– Doskonale. Ingrid? Wybierasz się z nimi, prawda? Pod koniec tygodnia?

Skinęła głową.

Wyglądało na to, że Grey znał prace mojej ciotki, i zapytał mnie o nią. Dopytywał się też o Keitha.

– Mamy mu za co dziękować – dodał i popatrzył na Ingrid. Wymienili spojrzenia; jej błękitne oczy były okrągłe i zakochane.

Łączyła ich zażyłość typowa raczej dla par, które były ze sobą dłużej. Ingrid wydawała się przez to starsza bądź ujawniła drzemiącą w niej dojrzałość, jakby starała się ze wszystkich sił dojrzeć dla niego. Miała na sobie wiązaną z boku czarną sukienkę z głębokim dekoltem w szpic i sięgającymi łokcia szerokimi jak skrzydła rękawami.

Wyglądała na uszytą z angory. Skóra Ingrid była złocista, uplecione w warkoczyki ciemnozłote włosy opadały na ramiona.

– Mam wezwać taksówkę? – zapytał Grey, gdy wyszliśmy z restauracji i staliśmy na chodniku. Nadciągnął porywisty wiatr i temperatura wyraźnie spadła.

Spojrzałam na Ralpa, który odparł:

– Nie, dzięki, zamierzamy trochę pospacerować. Znaleźć jakieś miejsce, gdzie można się napić.

Ingrid popatrzyła na niego z wahaniem. Chciałam zaproponować, by z nami poszła. Już miałam to zrobić, gdy Grey minął mnie i przywołał taksówkę. Potem objął Ingrid ramieniem i wyciągnął drugą rękę, by uścisnąć dłoń Ralpa.

– Miło było... Do zobaczenia – rzucił i jakby salutując, pomachał mi na pożegnanie.

Ingrid uniosła dłoń okrytą teraz rękawiczką z pięknej czarnej skóry i uśmiechnęła się do mnie, po czym chwyciła mnie za rękę i szybko objęła.

– Do zobaczenia. Tak się cieszę, że tu jesteście.

Grey zaprowadził ją do samochodu. Taksówka włączyła się do ruchu dopiero po kilku sekundach. Obserwowałam ich oboje przez okno – widziałam ich splatające się na tylnym fotelu dłonie, a potem Greya szokująco szybko pochylającego się, by ją pocałować, przywierającego do Ingrid ciałem i wsuwającego dłonie w jej włosy i pod połę czerwonego płaszcza. Pomyślałam o jego delikatnej dłoni spoczywającej na plecach Ingrid i teraz dostrzegłam w tym gościu napięcie i pożądanie.

Taksówka ruszyła.

Ralph stał z rękami głęboko w kieszeniach ciemnobrązowego płaszcza, z zawiązanym na szyi długim brązowym szalikiem. Drżał.

– Jest mi przeraźliwie zimno – powiedziałam. Kąciki jego ust powędrowały w dół w bladym uśmiechu. – Chyba nie będziemy spacerować?

– Nie – odparł. – Jasne, że nie. Jedźmy do hotelu i zamówmy coś do pokoju. Moje sashimi było zupełnie bez smaku.

Zamówiliśmy hamburgery i jedliśmy je w dużym salonie jak ze snu przy świetle jednej tylko lampy. Ralph palił papierosy i prawie nie tknął swojego hamburgera. Długa podróż samolotem mnie także pozbawiła apetytu i kolacja pozostała na talerzach. Rozmawialiśmy o Ingrid i Greyu, próbując odgadnąć, ile on ma lat. Ralph twierdził, że czterdzieści pięć. Dla mnie wyglądał raczej na trzydzieści kilka.

– Czemu jeszcze się z nikim nie związał? – nie przestawał pytać Ralph. – W Nowym Jorku pewnie aż roi się od samotnych kobiet.

Nie był świeżo po rozwodzie; Ralph dowiedział się tego od Eve. Matka Fleur zmarła przed kilku laty i Grey nie ożenił się ponownie. Zdaniem Eve na pewno nie był też związany z Maeve, choć nie mogła pojąć dlaczego. Maeve miała wówczas tajemniczy długotrwały romans z jakimś włoskim potentatem, który był wciąż żonaty, ale co najmniej od dwudziestu lat pozostawał w separacji. „Ten układ wszystkim odpowiada” – mówiła Eve, wzruszając ramionami.

Według niej – a właściwie według Maeve – Grey był bardzo oddany córce i z poświęceniem zajmował się jej karierą. Pewnego dnia po lunchu, gdy Ralph siedział obok z posępną miną, jakby to wszystko już słyszał, zapytałam o tę sprawę Eve. Rozmawiałyśmy tydzień po wylocie Ingrid do Nowego Jorku, w ciepłe popołudnie, gdy wszystkie zasłony były zaciągnięte dla ochrony przed słońcem, a duże przeszklone drzwi ogrodowe otwarte. Zdaniem Eve sukces Fleur był głównie zasługą Greya oraz Maeve. Po śmierci jego żony mieszkali w małym mieście nad Hudsonem, pełnym artystów i marszandów. Podobno żona Greya zmarła na raka, gdy Fleur była małym dzieckiem. Maeve wraz z dwoma współnikami prowadziła bar z galerią w budynku pełnym malarskich atelier. Zaprzyjaźnili się i kiedy pewnego dnia była u nich w domu,

ujrzała ponoć obraz Fleur na dziedzińcu. Dziewczynka malowała codziennie całymi godzinami – latem na kamiennych płytach podwórza, a gdy robiło się zimno, duże kolorowe obrazy na papierze.

Zanim Maeve zobaczyła te prace, Grey zaczął kupować dla córki papier lepszej jakości, ale zasadniczo były to wciąż duże arkusze kartonu, na których malują wszystkie dzieci – teraz ich konserwacja sprawiała ponoć piekielną trudność – i gdy Maeve je oglądała, pojęła, że są szczególne, niezwykle.

– Zrozumiała, że ta dziewczynka ma artystyczną wizję, co zaskakujące w wypadku obrazów malowanych palcami przez jakieś dziecko. Miała wycucie konstrukcji, zmysł kompozycji – powiedziała Eve. – Już wtedy dopracowywała koncepcje wizualne, rozbudowywała motywy, wyrażała coś... a wszystko z całkowitym wyzwoleniem od konwencjonalnej formy... wszystko abstrakcyjne, czysty kształt, czysta barwa, linia... – Przerwała. – To dzieła naprawdę imponujące. Nawet te bardzo wczesne. Widać, co ona w nich dostrzegła. Ale też widać, że trzeba było jej oka... jest taka bystra... by to w nich dostrzec, by zrozumieć ich prawdziwą wartość oraz potencjał.

Maeve przekonała Greya, by pokazał kilka obrazów Fleur w jej barze. Reakcja oglądających była niezwykła.

– Wszyscy chcieli się dowiedzieć, kim jest ich autor. czy to ktoś z miasteczka – wyjaśniała Eve. Z początku nie wystawili obrazów na sprzedaż, potem zaś zaczęły napływać propozycje. W lokalnej gazecie ukazało się omówienie, po czym trafił tam kiedyś krytyk z „New York Timesa”, obejrzał wystawę i właśnie wtedy to wszystko naprawdę eksplodowało. Jakiś poważny kolekcjoner z okolicy zobaczył obrazy Fleur i zapragnął je kupić. – Przez pewien czas nie bardzo wiedzieli, co robić – ciągnęła Eve. – Fleur miała... cztery, może pięć lat. Nie pamiętam. Na pewno była genialnym, utalentowanym, ale także inteligentnym dzieckiem. Rozmawiali z nią na ten temat. Nie polegało to na tym, że zabierali jej namalowane palcami obrazy i sprawdzali, ile mogą za nie dostać. Fleur rozumiała, co się dzieje... czuła, że skoro ludzie lubią patrzeć na jej obrazy, to powinni móc je mieć na własność. Zawsze mogła namalować następne, tak właśnie na to patrzyła. I była taka płodna... niewiarygodna jest jej konsekwencja, jakość i liczba prac,

które stworzyła w tamtych latach.

Krytyk z „Timesa” przekonał Greya, by pomyślał o większej wystawie w jakiejś nowojorskiej galerii. Tymczasem przyjęli oferty od kilku kolekcjonerów na grubo ponad dziesięć tysięcy dolarów za niektóre z dzieł Fleur – w trzech z nich podstawowym elementem był czerwony trójkąt, który miał się stać jej najbardziej znanym motywem.

– Snuto naprawdę paskudne domysły co do losów tych pieniędzy – wspominała Eve. – One zaś trafiły do funduszu powierniczego. Edukacyjnego. To przecież zrozumiałe. Człowiek pragnie jak najlepiej zabezpieczyć swoje dzieci... nie wyobrażasz sobie, ile kosztuje posłanie dziecka do szkoły w Nowym Jorku... ale po pierwszej nowojorskiej wystawie wiele osób twierdziło, że Fleur jest wykorzystywana. Spotkałam ją – Eve spojrzała na mnie spod ściągniętych brwi – raz, u Maeve, i nie wierzę ani trochę, by to dziecko pozwalało komukolwiek sobą dyrygować, nawet w przedszkolu.

Maeve zawiązała spółkę z nowojorską galerią, jedną z pierwszych, które zasłynęły w rejonie Chelsea, i przeprowadziła się do Nowego Jorku. Zdaniem Eve stała się dla Fleur kimś w rodzaju zastępczej matki – sama nie miała dzieci – i uczestniczyła w podejmowaniu decyzji dotyczących nie tylko kariery artystycznej dziewczynki, ale również jej życia prywatnego, nauki i zajęć. Grey zachował dom nad Hudsonem, ale kupił też mieszkanie na Manhattanie i Fleur poszła do szkoły właśnie tam. Jeszcze przed otwarciem następnej wystawy, gdy miała prawie siedem lat, stała się sensacją w świecie sztuki. Nadal była związana z galerią, którą Maeve przejęła, a Grey pełnił w niej funkcję cichego wspólnika lub konsultanta, tworząc własne przedsiębiorstwo handlu dziełami sztuki.

– A więc razem zaprogramowali jej karierę – rzekł oschle Ralph. – Prawdziwie wspólne dzieło.

– Cóż, wytrzymała próbę czasu – zauważyła Eve. – Wciąż maluje. Ralph spojrzał na mnie.

– Nie straciła dobrej reputacji, to prawda. Maeve również.

A Grey... on też zrobił dzięki temu karierę.

Eve obserwowała go przenikliwym wzrokiem.

– Ale lubisz go, Eve, prawda? – zapytałam.

– Nie mogę powiedzieć, bym go aż tak dobrze znała. Ale... tak... to błyskotliwy człowiek. I ma zdumiewająco dobry gust.

Zdając sobie sprawę, że to najwyższa forma pochwały, Ralph chyba dał za wygraną.

– Owszem, najwyraźniej – odparł i zdecydowanym ruchem odstawił szklankę na stół.

Parę dni po kolacji w japońskiej restauracji razem z Ingrid wybraliśmy się na wystawę Fleur w Whitney. Na zewnątrz dużego betonowego budynku było zimno, ale Ralph uparł się, byśmy zaczekali na nią na ulicy. Weszłam do środka, żeby obejrzeć książki wystawione w foyer. Oni weszli dziesięć minut później, Ingrid w czerwonym płaszczu, kapeluszu i długiej czarnej spódnicy, ściągając rękawiczki z kolejnych palców. Sprawiała wrażenie wyższej niż kiedykolwiek, mimo że tym razem była w butach na niemal płaskich obcasach. Gdy przytuliła zimny policzek do mojej twarzy, w pachnącym metalicznie zimowym powietrzu wyczułam słabą woń Fracas oraz zwyczajny zapach Ingrid, który zawsze przywodził mi na myśl aromat herbaty i zgniecionej trawy. Zastanawiałam się, ile czasu spędza u Maeve.

Pojechaliśmy windą na pierwsze piętro, gdzie wisiały wystawione prace. Były wśród nich pierwsze malunki palcem oprawione w szkło, malowane na długich rolkach papieru, które ciągnęły się niekiedy kilka metrów. Późniejsze obrazy powstały na płótnie, niektóre w technice olejnej, ale większość stanowiły duże kwadraty pokryte kreskami farby akrylowej w krzykliwych barwach. Chociaż moja ciotka tworzyła obrazy abstrakcyjne i podobały mi się jej prace, niezbyt lubiłam sztukę abstrakcyjną innych malarzy i słabo się na niej znałam. Wydawało się, że w tych kwadratowych, oszczędnych obrazach kryje się wiele uczucia – odciski dłoni i ślady palców łączyły się z mocnymi pociągnięciami pędzla. Na niektórych pojawiały się kontury liter i liczb, po czym rozmazywały się i zmieniały w coś innego.

– One wydają się... gniewne – powiedziałam do Ingrid, gdy skończyła objaśniać jedno z płócien. Nie słuchałam jej. Spojrzałam jednak na obrazy Fleur jeszcze raz, zwróciłam uwagę na kolejny cykl na drugiej ścianie, gdzie wszystkie purpurowe linie ginęły w białym świetle, i już nie byłam taka pewna. – Niektóre – dodałam.

Ralph gapił się w podłogę.

– To szalenie miła dziewczyna – odparła Ingrid, odwracając się, by spojrzeć na ścianę obok nas, i uśmiechnęła się tajemniczo.

Potem chciała pospacerować po parku.

– Jest ogromny, Julio. Nie miałam pojęcia, jak bardzo. I taki piękny, nawet w zimie. Bardzo bym chciała zobaczyć go w śniegu...

Wyszła z Ralphem. Z włazów na powierzchni ulicy wznosiły się słupy pary, która rozpływała się w powietrzu i pachniała trochę zgnilizną, jak w metrze.

*

Tego wieczoru spotkaliśmy się ponownie u Maeve, która mieszkała w lofcie przy ulicy pełnej magazynów mięsnych wciśniętych między sklepy znanych domów mody i drogie restauracje. Oboje z Ralphem weszliśmy do jednego wielkiego pomieszczenia z posadzką ze szlifowanego betonu i oknami wychodzącymi na południe, obejmującego kuchnię, salon i jadalnię. Wzdłuż ściany stał długi czarny stół, pierwsza rzecz, jaką dostrzegłam. Dzień wcześniej poszliśmy razem na zakupy – uparłam się, żeby kupować na własny rachunek, choć on chciał sam płacić za wszystko – a gdy wróciliśmy do hotelu, ofiarował mi torebkę, którą uznałam za stanowczo zbyt drogą: z delikatnej skóry, z lamówką ze srebrnego tweedu wzdłuż brzegu. Trzymałam ją teraz w dłoni, a ubrana byłam w sukienkę, którą sobie sprawiłam: ze zwiewnego czarnego jedwabiu ozdobionego z przodu krezą niczym w fartuszką dziecięcym.

Maeve miała na sobie tę zielonkawoczną suknię, którą pamiętałam z naszego pierwszego spotkania. Maleńkie cekiny iskrzyły się na rękawach. Ingrid była już na miejscu, siedziała na czarnym fotelu. Grey stał u jej boku, z dłonią na oparciu fotela i taką miną, jakby pozowali do portretu. Ona uniosła głowę, by na niego spojrzeć, ukazując swój piękny profil. Gdy weszliśmy, została na miejscu i to Grey wystąpił naprzód i uściśnął dłoń Ralpha. Obecna była jeszcze jedna para, jakiś artysta i jego żona. Fleur, która miała przyjść, jeszcze się nie zjawiała.

Nie wiedzieć czemu tego dnia dopadło mnie zmęczenie długim

lotem i myślałam tylko o tym, by dotrzeć do końca wieczoru i położyć się spać. Wiedziałam jednak, że i tak zasnęłabym dopiero o trzeciej, wsłuchana w cichy syk rur instalacji grzewczej.

Kuchnia sprawiała wrażenie używanej tylko z rzadka. Z metalowego wieszaka nad kuchenką zwisały miedziane rondle. Na czarnej lśniącej lodówce dostrzegłam zdjęcie przymocowane magnesem do bocznej ścianki. Ukazywało Maeve z młodą dziewczyną. Obie stały w dużym pokoju pełnym ludzi widocznych niewyraźnie na drugim planie; twarze Maeve i dziewczynki były jasno oświetlone błyskiem lampy. Zdjęcie wyglądało na zrobione niedawno. Maeve miała włosy ściągnięte do tyłu, jej usta pokrywał błyszczący błyszczyk. Dziewczyna o delikatnej twarzy i włosach założonych za uszy uśmiechała się ostrożnie do fotografa z niemal ironicznym wyrazem oczu. Ich poza sugerowała, że to zdjęcie matki i córki, lecz podobieństwa w ich obliczach było bardzo niewiele. Twarz dziewczyny wyglądała znajomo, ale dostrzegłam w niej rysy Greya.

Maeve stanęła obok mnie, trzymając w ręce mój płaszcz, i podążyła wzrokiem za moim spojrzeniem.

– To Fleur – powiedziała tak, jakby wyjaśniała coś oczywistego nierozgarniętej osobie.

Szybko stało się jasne, że Grey zabiega o względy zaproszonego malarza, który niedawno przeprowadził się do Nowego Jorku i był Anglikiem, a jego żona Niemką lub Szwedką – jej imię uleciało mi z pamięci w chwili, gdy się przedstawiła. Artysta wystawiał w galerii Maeve i szukał nowego marszanda. Śledziłam ich rozmowę niezbyt uważnie.

Na twarzy Ingrid malowało się coś w rodzaju rozmarzenia, przypuszczalnie – sądząc z pocałunku, który zaobserwowałam przez okno taksówki – będącego owocem długich i namiętnych nocy. Wyglądała na zmęczoną i widziałam, jak grzbietem dłoni skrywa ziewanie. Grey popatrzył na zegarek i wyszedł zatelefonować do drugiego pokoju. Wrócił z niezadowoloną miną. Gdy telefon zadzwonił kilka minut później, posłał Maeve szybkie spojrzenie, a ona niemal pobiegła odebrać. Nie było jej parę minut – jej stłumiony głos dobiegał z drugiego pokoju. Wydawało się, że rozmowa przerodziła się w spór,

wypowiadane przez nią słowa brzmiały na przemian stanowczo i przymilnie. Gdy wróciła do salonu, skinęła głową do Greya, on zaś podszedł do aparatu. Zamknął drzwi i rozmawiał cicho, nie słyszeliśmy więc ani słowa z tej rozmowy.

Po pewnym czasie wrócił i znowu stanął obok Ingrid.

– Fleur nie spotka się z nami. Przeprasza za sprawiony zawód – rzekł i posłał mi oraz Ralphowi zdawkowy uśmiech. Jego głos zdradzał tylko cień rozczarowania.

Angielski artysta wydawał się zawiedziony. Teraz wyraz malujący się na twarzy Maeve, gdy wróciła po rozmowie telefonicznej, był bardziej zrozumiały; wyglądała po prostu jak zirytowana matka kłócąca się ze swoim dzieckiem, i tak też brzmiały urywki zdań, które słyszeliśmy. Maeve zajmowała się teraz otwieraniem butelki wina w kuchni. Na twarzy Ingrid widać było niepokój i wydawało się, że jest gotowa zapytać Greya o jego rozmowę z Fleur, ale on odwrócił wzrok i znowu zaczął konwersować z malarzem. Z lokalnej restauracji – według żony malarza serwującej najlepsze potrawy nowoczesnej kuchni francuskiej – przyniesiono jedzenie i człowiek, który je dostarczył, układał wszystko na stole.

Chwilę później, tuż przedtem, zanim zasiedliśmy do kolacji, dostrzegłam spojrzenia, które wymienili Maeve i Grey.

Czasami zastanawiałam się, czy gdybym tego nie zobaczyła, mogłabym polubić ojca Fleur lub bardziej mu ufać. W obecności Ingrid oboje rzadko patrzyli na siebie, nawet podczas rozmowy; ich spojrzenia pierzchały w bok jak żywe srebro. Ingrid wstała, by pójść do łazienki. Jej spięte kokardą włosy opadały do ramion. Miała na sobie krótką sukienkę w brudnofioletowym kolorze, odsłaniającą długie nogi w czarnych pończochach. Przy każdym kroku kołysała biodrami. Grey także się jej przyglądał, po czym napotkał wzrok Maeve; zrozumiałam, że ona obserwowała go, gdy patrzył na Ingrid. Nie skinęli do siebie głowami; nie musieli tego robić, wystarczyło dyskretne porozumienie. W oczach Maeve pojawił się wyraz triumfu – przypominała mi Eve zadowoloną z siebie po przywiezieniu Ingrid z Perth, popisującą się nią przed nami. Tak jakby Maeve wręczyła Greyowi prezent i czekała, aż go przyjmie. Wydawało się, że on sygnalizuje swą aprobatę, wdzięczność

i coś w rodzaju dumy z własnego osiągnięcia.

W pewnym sensie nie powinno to nikogo dziwić; przecież poznali się po części dzięki Maeve. To dzięki niej ich związek został utrwalony siecią znajomości. Jest chyba rzeczą naturalną, że Grey czuje wdzięczność wobec Maeve za pomoc we wprowadzeniu takiej kobiety jak Ingrid w swoje życie i że odczuwa samozadowolenie? To pytanie zadawałam sobie później, nad ranem, gdy wspomnienie tego spojrzenia stanęło mi przed oczami. I w tym sensie mogło ono być bardziej szczere, lecz kryło się w nim coś, czego nie można było wypowiedzieć, zażyłość szokująca w swej głębi i nagości. Tak samo jak szokujące były dla mnie żarliwość i gwałtowność namiętności, której oznaki zobaczyłam przez okno taksówki.

Chyba wtedy zrozumiałam, że jeżeli Maeve i Grey byli kiedyś kochankami, to w odległej przeszłości, a więź łącząca ich teraz jest trwalsza i bardziej skomplikowana. Było to szybkie, nieme spojrzenie, a gdy Ingrid opuściła salon, Maeve patrzyła na korytarz, przez który właśnie przeszła. Grey skierował oczy w drugą stronę, napotkał mój wzrok i wytrzymał go przez długą chwilę. Wiedział chyba, że go obserwowałam, i uznał, że to, co wyczytałam z jego twarzy, nie ma znaczenia.

Odwrociłam głowę i wstałam – zbyt szybko, omal nie przewracając kieliszka. Zadrżał i kołysał się przez moment na długiej nóżce, zanim go podniosłam. Reszta towarzystwa ruszyła w stronę stołu. Grey też wstał i czekał na Ingrid, a gdy się zjawiała, położył dłoń na jej plecach tak samo jak przed restauracją i poprowadził ją do stołu. Ten gest był mniej delikatny, silniej wyrażał chęć kontroli.

W dużym otwartym pomieszczeniu było ciepło, ale nie potrafiłam pozbyć się wrażenia chłodu, który mnie przeniknął. Jedzenie – wielkie porcje pieczonej kaczki i polane masłem jarzyny – było urozmaicone. Ingrid, teraz już bardziej ożywiona, jadła ze zwykłym u niej apetytem, jedną dłoń trzymając stale pod stołem, na udzie Greya. W ten sposób nigdy się nie zachowywała w stosunku do swoich adoratorów w Sydney, właśnie tak wyobrażałam ją sobie zakochaną, nie dziwiło mnie więc lekkie uwielbienie, z jakim traktowała Greya, ciesząc się szalenie z jego uwagi i aprobaty.

Pod koniec kolacji nadal siedzieliśmy przy stole, pijąc wino i dojadając resztki upieczonego bez mąki tortu czekoladowego. Żona malarza zerknęła w stronę okna i powiedziała:

– Patrzcie, pada śnieg.

Wszyscy spojrzeliśmy za okno. Maleńkie płatki sfruwały z nieba oświetlone przez uliczne latarnie.

Oczy Ingrid ożywiło podniecenie.

– Szybko, chodźmy na dół – zaproponowała.

W ciągu kilku sekund oboje z Ralphem znaleźli się za progiem domu. Ruszyłam ich śladem, usiłując włożyć na siebie płaszcz. Ingrid zwróciła twarz w górę i zacisnąwszy powieki, pozwoliła, by śnieg spadał na jej skórę. Płatki leżały przez moment na mojej ręce, po czym zamieniały się w wodę. Na zewnątrz wyszliśmy tylko we troje i przez chwilę miałam wrażenie, że jesteśmy dziećmi wysłanymi na dwór, żeby się bawić, a dorośli zostali w środku, by porozmawiać. Śnieg padał coraz bardziej obficie, było jednak zbyt ciepło i topiąc się, znikał na betonowej ścieżce.

Zostawiłam ich tam pochłoniętych obserwacją płatka, który spoczął na rękawie Ralpha; gdy znalazłam się z powrotem w lofcie, wszyscy stali przed dużymi oknami, wyglądając na zewnątrz. Zastanawiałam się, dlaczego Grey nie zszedł do Ingrid. Kilka minut później wróciła z Ralphem. Wieczór dobiegł końca.

Do sylwestra zostało tylko parę dni. Snując swoje plany, oboje z Ralphem nie wybiegaliśmy zbyt daleko w przyszłość, ale zakładaliśmy, że spędzimy go razem z Ingrid. Byliśmy więc zaskoczeni, a Ralph wyraźnie zraniony, gdy tuż po powrocie na górę powiedziała nam, że zamierza dołączyć do Greya w jego domu nad rzeką.

– Zawsze spędza tam Nowy Rok – wyjaśniła. – I pragniemy być tego dnia razem... a ja chcę zobaczyć dom. Tak więc jutro tam jedziemy. Na kilka dni. Zobaczymy się, gdy wrócę.

Ralph milczał z marsową miną.

– Cóż... myślę, że to naprawdę romantyczne – powiedziałam.

– Tak – odparła z ulgą Ingrid. – Właśnie.

Ralph spojrzał na mnie z wyrazem rozczarowania w oczach i westchnął, po czym chyba doszedł do siebie, gdyż pocałował ją

w policzek i rzekł:

– Wypijemy za twoje zdrowie. Kilka razy.

Pożegnaliśmy się i zeszliśmy na parter z malarzem i jego żoną, którzy szli do domu w drugą stronę. Ulica była cicha; minęło nas kilka zajętych taksówek i dopiero po przejściu paru przecznic znaleźliśmy wolną, która zawiozła nas do hotelu. Taksówkarz jechał szybko długą prostą aleją. Śnieg wciąż padał; biały meszek na naszych płaszczach zniknął, gdy tylko znaleźliśmy się w samochodzie.

Ralph był gderliwy i niespokojny.

– Grey to zimna ryba – powiedział, bawiąc się paczką papierosów.

Pomyślałam o bardzo namiętnym pocałunku, jaki złożył na ustach Ingrid w taksówce.

– Nie mam na myśli... – zaczął Ralph i spojrzał na mnie.

– W sensie emocjonalnym. Jest zimny. Tak jak Maeve.

Schował papierosy do kieszeni i dodał:

– Nie podoba mi się, jak na nią patrzy.

Wciąż miałam przed oczami spojrzenia, które między sobą wymienili, i obojętną minę, z jaką Grey wytrzymał mój wzrok.

Przyznałam mu rację.

– A widziałeś, jak ona patrzyła na niego?

Ralph prychnął.

– Jak to nazwałaś? Romantyczne?

– Bo to jest romantyczne!

Chciałam jakoś cieszyć się z powodzenia Ingrid, żyć jej radością. Przypomniałam sobie, jak Ralph bagatelizował ten romans, zanim wylecieliśmy z Sydney: „Facet mieszka w Nowym Jorku. Zobaczę, co się stanie”. Pomyślałam też o spojrzeniach Greya i Maeve oraz o tym, jak Ingrid patrzyła na Greya, i poczułam nagły niepokój.

– Ona jest naprawdę zakochana – powiedziałam ze zdumieniem.

Nie chciałam, żeby to tak smutno zabrzmiało, lecz Ralph powoli skinął głową i spuścił wzrok z wyrazem smutku i sprzeciwu na twarzy, jak gdybym właśnie oznajmiła, że dokonała się nieodwracalna tragedia.

W sylwestra trafiliśmy na jakieś przyjęcie w małym mieszkaniu w East Village ozdobionym lampionami z pomarańczowego papieru i upiliśmy się tanim winem musującym. Zatłoczone pokoiki – niewyraźna plama twarzy – porządny garnitur Ralpa wymięty w chwili, gdy przestąpiliśmy próg – jego mocny, szybki i beznamiętny pocałunek o północy, tuż przedtem, zanim całe mieszkanie eksplodowało głośnym rykiem. Resztę naszego pobytu w Nowym Jorku wypełniły kolejne zakupy oraz dni spędzone na spacerach po Chinatown i Lower East Side, jedzeniu olbrzymich kanapek z pastrami w tamtejszych żydowskich delikatesach i wędrowce po wszystkich barach opisanych w przewodniku Ralpa. Wyciągnął mnie do opery na *Cyganerię* i ku mojemu zdumieniu bardzo mi się spodobała i przeplakałam cały spektakl – Ralph uśmiechał się do mnie znacząco usadowiony wygodnie w fotelu – ale odmówiłam pójścia na balet i zamiast spędzić czas w jego towarzystwie, zamówiłam kolację do pokoju.

Zasypiałam przed telewizorem, gdy Ralph zadzwonił z baru na dole.

– Zejdź tutaj – powiedział. – Jest Ingrid.

Nie widzieliśmy jej od czasu kolacji u Maeve przed ponad tygodniem.

Miała zarumienione z zimna policzki, a na krześle obok niej wisiał płaszcz z ciemnoczerwonego aksamitu. Oboje z Ralphem nie mogli się nachwalić przedstawienia. Piliśmy kolejne kir royale, a gdy Ralph patrzył na Ingrid, na jego twarzy malowało się szczęście. O Greyu nie wspomnieliśmy ani słowem.

Po mniej więcej godzinie poczułam zmęczenie i poszłam się położyć, ale wcześniej, nie mogąc się powstrzymać, zapytałam:

– Jak się miewa Grey?

Coś poruszyło się we mnie, miałam wrażenie, że wbijam Ralphowi szpilę, i czułam się sobą rozczarowana.

– Gil – powiedziała, uśmiechając się do mnie. – Świetnie. Mieliśmy naprawdę wspaniałego sylwestra. – W jej oczach była serdeczność. – Dobranoc! Śpij dobrze! – dodała, po czym odwróciła się

do Ralpa i podjęła przerwana rozmowę.

Ralph rzucił mi spojrzenie i rzekł:

– Do zobaczenia za chwilę.

*

Rano leżał w drugim łóżku zmożony głębokim snem. Wyszłam, zanim się obudził, i spędziłam cały dzień sama w Metropolitan Museum, gubiąc się tam raz po raz. Obrazy, złożone ramy, brązy, przesywane skórzane fotele, kilometry płócien, marmuru i drewna. Pod wieczór wędrowałam po dziale uzbrojenia i skręciwszy nie tam, gdzie trzeba, po raz trzeci stanęłam przed czterema opancerzonymi rumakami.

Z wyczerpania do oczu napłynęły mi łzy. Salę muzeum wypełniało blade zimowe światło ze świetlików. Spojrzałam na plan, obróciłam go w dłoniach i jeszcze raz spróbowałam wytyczyć drogę do wyjścia.

Wydawało się, że sala odbiega kształtem od obrazu na kartce.

Uświadomiłam sobie wówczas, że ktoś na mnie patrzy, i podniosłam wzrok w chwili, gdy mężczyzna stojący po przeciwnej stronie najbliższego konia odwracał głowę. Kilka sekund później stał u mego boku i patrzył na plan.

– Można? – zapytał. Gdy mu go wręczyłam, bez przekonania analizował schemat sal. – Dokąd pani zmierza? – Mówił z angielskim akcentem, niskim i obojętnym głosem.

– Wychodzę. Szukam wyjścia – odparłam. Mężczyzna skinął powoli głową. Cała ta scena wydała mi się niedorzeczna i bardzo wiktoriańska: dama w tarapatach i szarmancki rycerz. Czekałam, aż poda mi złożoną chusteczkę.

Odgarnął opadające mu na oczy włosy w kolorze mokrego piasku z jasnymi pasmami. Wyglądało na to, że usiłuje powstrzymać uśmiech. Miałam wrażenie, że sala pustoszeje.

Mężczyzna uważnie przyjrzał się koniowi, który stał przed nami – potężny, z uniesionym kopytem, gotowy ruszyć do natarcia. Czy to prawdziwe zwierzę, zastanawiałam się, martwe i wypchane, czy też specjalnie zrobiony model? Stojąca obok mnie kobieta próbowała powstrzymać małego chłopca, który usiłował się wdrapać na grzbiet rumaka.

– Ja idę tędy, jeżeli tam pani zmierza – rzekł mężczyzna. Spojrzał na plan, przytknął palec do miejsca, w którym się znajdowaliśmy, i wskazał jedno z przejść.

– Dzięki. – Odebrałam od niego plan. Mężczyzna zawahał się i myślałam, że zamierza skomentować mój australijski akcent, ale nic nie powiedział. Niesforny malec z wyrazem triumfu na uradowanej buzi przywarł do końskiego zadu, a kobieta usiłowała ściągnąć go z powrotem na ziemię.

Przeszliśmy razem w milczeniu przez kilka następnych pomieszczeń – ze średniowiecznymi malowidłami przedstawiającymi płaczących świętych i kompletami zdobionej porcelany w gablotach – i dotarliśmy do sal wypełnionych klasycznymi rzeźbami, rzymskim szkłem i monetami.

– Tutaj panią zostawię – rzekł, przystając obok jakiegoś posągu. Przedstawiał on człowieka (bądź boga, trudno mi było ocenić) przebijającego włócznią jelenia, który padł obok. Mężczyzna po raz pierwszy spojrzał wprost na mnie. – To znaczy tutaj się zatrzymuję. Jeżeli idzie pani do wyjścia, to tędy. – Wskazał przed siebie. – Może pani zostać i nacieszyć oko sztuką starożytnego Rzymu. – Uśmiechnął się ironicznie. Jego piwnozielone oczy były upstrzone brązowymi plamkami.

Mimo uprzejmości mężczyzny miałam nieprzyjemne wrażenie, że źródłem jego zainteresowania mną jest moje zażenowanie. Czułam się tak, jakby się nade mną znęcał. Wyprostowałam się – byliśmy prawie tego samego wzrostu, lecz on lekko się garbił. Omiótł mnie szybko wzrokiem, po czym powrócił do oglądania posągu. W jego dłoni pojawił się mały czarny notes.

– Cóż, jeszcze raz dziękuję – powiedziałam.

– Och, cała przyjemność po mojej stronie – odparł, zerkając na mnie z ukosa.

Wyjście znajdowało się tuż za tą salą, trafiłam do niego po niespełna minucie. Bardzo długie schody prowadziły na ulicę, gdzie przed frontem budynku muzeum uliczni handlarze sprzedawali z wózków precle i hot dogi. Kupiłam sobie bajgla oraz kawę w papierowym kubku i ruszyłam do położonego wiele przecznic dalej

metra, czując zimno, ból w stopach i dziwny ucisk serca.

Spotkanie w muzeum wytrąciło mnie z równowagi bardziej, niż sobie to wówczas uświadamiałam: intensywność mojego zażenowania, pociąg do tego mężczyzny, który mógł być odwzajemniony. Parę dni później próbowałam opisać tę sytuację Ralphowi, ale trudno było mi wyjaśnić intensywność oraz wyjątkowość tego doznania i w efekcie zabrzmiało to banalnie, tak jak banalna była scena z szarmanckim rycerzem, którą nasze spotkanie na krótko wywołało wtedy w mojej wyobraźni.

Ralph zaczął się ze mnie nabijać.

– Byłaś zbyt zażenowana, żeby go poprosić o numer telefonu? To do ciebie niepodobne – rzekł z wyrzutem.

– A właśnie że podobne.

– Spodobałaś mu się, to jasne. Jestem przekonany, że oszalał z miłości do ciebie.

– Na pewno.

– Nigdy nie wiadomo. I nie wiesz, jak ma na imię. Tajemniczy nieznajomy. To dopiero romantyczne.

Ale jakoś nie było romantyczne. Sprawilo, że czułam się nieswojo. Wspomnienie bezimiennej twarzy mężczyzny, urodziwej i rozbawionej, nie dawało mi spokoju.

Ostatecznie Ingrid zgodziła się polecieć z nami do Paryża – stwierdziła, że musi zobaczyć Luwr – a potem zamierzała pojechać z Greyem do Londynu. To, iż znalazła czas dla nas, wydawało się w pewnym sensie obliczone na pokazanie, że w swoim nowym związku nie jest zniewolona; szczególnie dla Ralpa był to ważny sygnał, że nadal coś dla niej znaczy. Uczepił się tego z rozpaczliwą wdzięcznością, którą skrzętnie skrywał przed Ingrid, udając, że jest po prostu zadowolony i tak czy owak chętnie wyruszy w tę podróż. Ale w jego oku pojawił się triumfalny błysk, a ramiona wyprostowała mu pewność siebie, która na wiele dni po jej decyzji przerodziła się w lekką butę.

Ingrid zarezerwowała sobie miejsce w tym samym hotelu co my, starym budynku w pobliżu Jardin du Luxembourg, z kwadratowym dziedzińcem wewnętrznym. Trafiała do pokoju po przeciwnej stronie dziedzińca piętro niżej. Gdy przylecieliśmy, Paryż był siny od mrozu,

stare dachówki pokrywał śnieżny lukier. Nasz apartament okazał się ciągiem pokoi w amfiladzie z łazienkami na obu końcach, sypialniami obok i długim salonem pośrodku.

– Przypomina palindrom – zauważył Ralph.

Wydawało się, że ściany są pokryte tapetą w takie same grube złote pasy jak w Plazie, ale skala całości była mniejsza. Każdy pokój miał wyjście na biegnący wzdłuż apartamentu balkon z balustradą z niewielkich kolumn. Balkon był wystarczająco szeroki, by na nim stanąć, brakowało jednak miejsca na stoły i krzesła czy rośliny w doniczkach. Łóżka nakryto narzutami ze złocistej szenili. Wszystko pachniało trochę farbą, ale chyba żadna z widocznych powierzchni nie była świeżo malowana.

Nazajutrz wstałam wczesnym rankiem i zamówiłam śniadanie, po czym stałam na balkonie w piżamie i płaszczu z kawą w dłoni. Bładopurpurowe o świcie niebo stało się bardziej błękitne. Na balkonie po przeciwległej stronie dziedzińca pojawiła się Ingrid – z mokrymi włosami, w wielkim białym szlafroku. Zadrżała i odwróciła się, by wejść do pokoju; gdy pomachałam jej ręką, spostrzegła mnie, uśmiechnęła się i mocniej zawiązała szlafrok.

– Przyjdź tutaj! – zawołała.

Na leżącym na biurku w salonie papierze listowym – gustownym, brązowym, z obrazkiem hotelu, który wyglądał jak narysowany przez dziecko – napisałam wiadomość dla Ralpha i wsunęłam ją pod zamknięte drzwi jego sypialni.

Gdy zapukałam do pokoju Ingrid, okazało się, że nadal ma na sobie szlafrok i białą piżamę. Na stole stała taca z kawą, pieczywem i ciasteczkami. Jej apartament wyglądał jak nasz, tyle że przecięty w połowie długości. Słońce za przeszklonymi drzwiami balkonowymi padało na balkony po drugiej stronie dziedzińca.

Ingrid rozczesała palcami splątane mokre włosy, po czym usiadła przy stole i zaczęła smarować masłem rogalik.

– Czyż nie jest piękny? – zapytała z pełnymi ustami.

Przytaknęłam i nalałam kawę do filiżanek.

– Czy wasz apartament jest równie wspaniały?

Znowu skinęłam głową. Ingrid skupiła na mnie wzrok.

– Tyle że większy – wyjaśniłam. – Tak jak ten razy dwa – dodałam, rozsuwając ręce.

Ingrid pokiwała głową. Wyglądała na usatysfakcjonowaną.

Zastanawiałam się, czy ciekawi ją, jak śpimy. Wypiła mały łyk kawy i spojrzała przez drzwi balkonowe.

Na niskim stoliku obok leżało na stosie kilka przewodników i jedna ciężka z pozoru książka na temat sztuk plastycznych; wszystkie miały strony pozaznaczane poprzyklejnymi karteczkami. Ingrid zauważyła, że na nie patrzę.

– Och – westchnęła. – W Paryżu tyle jest do obejrzenia.

Pomyślałam, że moglibyśmy zacząć dzisiaj od Luwru, co ty na to?

– W porządku – odparłam. – To chyba dobry pomysł.

Jej plan zwiedzania był wyczerpujący. Chodziłam z nią przez trzy dni – do Luwru przez pierwsze dwa, a następnego dnia, żeby zobaczyć Notre Dame oraz inne atrakcje turystyczne na Ile de la Cite – i w czwartym miałam już dosyć. Nie chodziło tylko o liczbę miejsc, które chciała obejrzeć, lecz także o to, że choć zwiedzanie sprawiało jej autentyczną przyjemność, traktowała je jako poważne doświadczenie edukacyjne i zabrała się do niego z deprimującą zawziętością. Ralph poszedł z nami do Luwru i został tam tylko do momentu obejrzenia *Mony Lisy*. Przecisnęliśmy się razem przez tłum, żeby popatrzeć na obraz Leonarda osłonięty grubą szybą, ale potem nasz przyjaciel zniknął. Gdy tamtego popołudnia wróciłam do hotelu, siedział na kanapie i z nogami na stoliku czytał *Małego Księcia*. Zerknął na mnie znad szkieł okularów i rzekł:

– Nie daj się jej ciągnąć do tych wszystkich muzeów.

– Och, ja też chcę je zwiedzić – odparłam bez przekonania.

Uśmiechnął się do mnie znacząco.

– To wszystko sprawka Greya. To on jej zaplanował tę wycieczkę po Europie.

Zmarszczyłam czoło.

– W Rzymie zachowywała się podobnie.

– Cóż, on naprawdę w niej to rozbudził.

– Myślisz, że Ingrid próbuje mu coś udowodnić?

Ralph przymknął książkę.

– Dał jej listę z masą miejsc do odpajkowania, zanim wyruszą we wspólną podróż edukacyjną po Londynie. Są na niej również restauracje. Przynajmniej to powinno być coś warte. Chciałbym zjeść w tej, gdzie zawsze przesiadywał Sartre – oznajmił. Jego palec nadal spoczywał w miejscu, w którym przerwał lekturę. – Wybierzmy się tam dziś wieczorem.

W działach kulinarnych przewodników Ingrid widziałam wcześniej jej uwagi.

– Właściwie to Ingrid chyba myślała o innym lokalu.

– W porządku. – Usadowił się wygodnie w fotelu i znowu otworzył książkę. – Niebawem do niej zadzwonię.

Przez uchylone drzwi jego sypialni widać było na nocnym stoliku opróżnioną do połowy butelkę whisky, lecz Ralph nie sprawiał wrażenia pijanego. W pewnym sensie było to jeszcze bardziej niepokojące i sprawiło, że zaczęłam się zastanawiać, czy nie pije regularnie, więcej, niż sądziłam.

Zadzwonił do Ingrid ze staroświeckiego telefonu z ciężką czarną słuchawką. Chciałam go zabrać do domu, ale nie bardzo sobie wyobrażałam, jak zrealizować ten plan. W torbie miałam już złoty pleciony sznur z frędzlami, który służył do podwiązywania zasłon, zabrany z naszego pokoju w hotelu Plaza. Wyniosłam go z łatwością. Ralph oparty plecami o ścianę kiwał głową, śmiejąc się cicho. Na nogach miał nowe, kupione w Nowym Jorku brogisy i patrzył teraz na nie, złączywszy stopy.

– Dobra. Do zobaczenia.

Odłożył słuchawkę i z powrotem usiadł.

W Paryżu relacje między naszą trójką były łatwiejsze niż w Nowym Jorku. Pobyt tam mógł się stać wakacjami, które od początku zaplanowaliśmy razem. Łatwiej było zapomnieć, że Grey stanowi część tego układu, wyobrazić sobie, że tak nie jest, lub po prostu pomijać go w rozmowach. Wiedziałam, że Ingrid rozmawia z Greyem prawie co wieczór, ale rzadko o nim wspominała. Jednak jego imię, inaczej niż w Nowym Jorku, nie było żadnym tabu; gdy jedliśmy poza hotelem i wybieraliśmy coś do picia, sporadycznie rzucała uwagi o jego ulubionym winie lub o wysoko cenionym dziele sztuki, które

widzieliśmy tego dnia w muzeum, a którym on sam gardził. Słyszac te zapewnienia o wyrafinowanym guście Greya, Ralph zwykle przewracał troche oczami.

Czwartego ranka zadzwoniłam do Ingrid, żeby ją poinformować, że nie chcę jechać do Wersalu. Chętnie pojechała tam sama. Wyobrażałam sobie, jak w drodze powrotnej starannie notuje swoje spostrzeżenia.

Kiedy się żegnałyśmy, Ralph wyszedł z sypialni.

– I co chcesz dzisiaj robić? – zapytałam. Uśmiechnął się i podrapał po głowie, jeszcze bardziej burząc zmierzwione podczas snu włosy. – *Pas de Versailles?*

– *Non.* – Wcześniej praktycznie nie starałam się uczyć francuskiego, polegając na tym, że Ralph zna go biegle, a Ingrid dość dobrze.

Powiedział jeszcze parę niezrozumiałych słów po francusku i się uśmiechnął. Za oknem słońce przeświecało blado przez cieką warstwę chmur.

Ralph usiadł w jednym z foteli, wyciągnął ręce nad głową i zaproponował:

– Cóż, chodźmy napić się kawy i coś zjeść do tego baru na rogu ulicy. Staram się wykombinować, jak poprosić o numer telefonu gościa, który parzy tam kawę.

– Oho ho!

– Właśnie! – Roześmiał się. – Człowiek nigdy nie traci nadziei.

*

Gość od parzenia kawy pozostał wyniosły i tajemniczy i podczas naszej wizyty ani razu nie odwrócił się twarzą do nas. Zmitrężywszy sporo czasu przy kawie i croissantach – a potem przy croque monsieur, croque madame i kolejnej kawie – Ralph zostawił numer hotelu na odwrocie rachunku i pojechalismy metrem, by poszukiwać domu, w którym mieszkał Wolter. Gdy wyszliśmy z metra, okazało się, że zmieniła się pogoda, chmury wisiały nisko na niebie, a na ziemi po lekkim deszczu potworzyły się już kałuże. Zeszliśmy stromym wzgórzem, mijając krótkie wąskie uliczki, i skręciwszy za rogiem,

zaczęliśmy się wspinać na kolejny pagórek.

– Cholera – mruknął Ralph. – Myślałem, że to gdzieś tutaj.

– Nie wiesz, gdzie to jest?

Wzruszył ramionami.

– Nie wziąłem przewodnika. Myślałem, że zapamiętam z porannej lektury... – Przeszukał kieszenie i wyciągnął egzemplarz *Małego Księcia*. – Ale mamy Saint-Exupery'ego!

– Jesteśmy w odpowiednim rejonie? Chyba powinna na nim być jakaś tabliczka? I jakieś drogowskazy?

– Chyba tak.

Szliśmy dalej. Stało się jasne, że wysiedliśmy z metra na niewłaściwej stacji, a może też jechaliśmy złą linią. Dotarliśmy do krótkiej, brukowanej kocimi łbami uliczki biegnącej w prawo. Ralph spojrzał w nią spod przymrużonych powiek.

– Chyba widzę tam jakąś tabliczkę na jednym domu.

Podeszliśmy bliżej. Dom był pokryty żółtymi stiukami i nie umiałam ocenić, ile ma lat. Bruk wydawał się wiekowy, lecz zabrudzony psimi kupami i plackami gumy do żucia beton na wąskiej ścieżce pod naszymi stopami był stosunkowo nowy. W rynsztoku leżała przemoczona wełniana rękawiczka. Ralph odczytał napis na tabliczce i wyjaśnił, że jego mieszkańcem był Henry Miller. Patrzyliśmy na dom. Nie było widać, by ktokolwiek w nim obecnie mieszkał. Wyobraziłam sobie Millera siedzącego przy stole w kiepsko oświetlonym pokoju, z piórem w dłoni, jakąś kobietą na kolanach i szklanką w drugiej ręce.

– Nie wiem nawet, czy lubię Henry'ego Millera – stwierdził Ralph.

– Ja też.

Uliczka była ślepa. Wróciliśmy tą samą drogą i szukaliśmy miejsca, gdzie moglibyśmy uciec przed mżawką.

Gdy wróciliśmy do hotelu, było już ciemno. Ingrid zastaliśmy w naszym apartamencie. Siedziała z nogami na kanapie, czytając jakąś powieść. Kiedy weszliśmy, odłożyła lekturę. Byłam ciekawa, jak dostała się do środka. Ucieszyła się na nasz widok.

– Poszliśmy do domu Henry'ego Millera – wyjaśnił Ralph.

Ingrid przekrzywiła nieco głowę.

– Czy to jakiś znajomy...?

– Nie, nie, pisarz. Pisarz. I nie był to dom Woltera...

– Och, dom Woltera! Bardzo bym chciała go zobaczyć.

Zaczekajcie... poszliście tam... czy moglibyśmy pójść jutro, po Orsay...
powtórz, gdzie byliście?

Oboje kontynuowali rozmowę, robiąc plany. Ralph zachwycał się kieliszkami w barze, do którego wstąpiliśmy po obejrzeniu domu pisarza, i zanim stamtąd wyszliśmy, wsunęłam jeden do swojej torebki. Przystąpiwszy próg salonu, sięgnęłam po kieliszek, żeby mu go pokazać, i moja dłoń nadal spoczywała w torebce, a palce obejmowały jego śliską ciemnozieloną nóżkę, gdy słuchałam ich obojga.

Po powrocie do Sydney wydawało się, że nasza trójka bardzo szybko się rozpadła. Skończyły się wspólne wieczory w hotelu, zaczęły zaś długie upalne dni stycznia i lutego, kiedy prawie się nie widywaliśmy. W nowym semestrze mieliśmy niemal zupełnie odmienne programy zajęć. Jedynym wyjątkiem były zajęcia z filmoznawstwa, na które zapisałam się razem z Ralphem i w których on rzadko uczestniczył. Miesiące mijaly powoli. Wieczorami Ingrid i Ralph odwiedzali mnie w wypożyczalni osobno.

Od czasu do czasu Ingrid wozila mnie swoim bmw. Podczas tych długich wypadów zwiedzała Sydney i penetrowała sobotnie targi we wszystkich dzielnicach miasta. Była na ostatnim roku studiów. Moje trwały dłużej, studiowałam w niepełnym wymiarze, żeby móc więcej pracować w antykwariacie, co cieszyło mnie bardziej niż godziny poświęcane nauce. Siedząc za kierownicą, opowiadała mi o swoich pracach okresowych i pracy dyplomowej na temat przyswojenia przez Celtów kultu bóstw rzymskiego panteonu. Słuchałam jej jednym uchem.

Podczas przerwy międzysemestralnej poleciała zobaczyć się z Greyem i wróciła zza oceanu zaręczona. Powiedziała mi o tym w Kirribilli w weekend po powrocie do Sydney. Nastal chłodny zimowy lipiec, ulicami płynęły rzeki deszczu. Ralpa nie było w domu.

Ingrid nosila na palcu pierścioneK z podłużnym, oszlifowanym jak szmaragd ogromnym diamentem. Kamień przytrzymywały z obu stron łapki z białego złota. Wyjaśniła mi, że to pierścioneK matki Greya. Czy należał także do jego pierwszej żony, nie było jasne. Wytłumaczyła mi, że małżeństwo to jedyny sposób, by mogła się przeprowadzić do Nowego Jorku i z nim żyć, tego zaś pragnęła najbardziej na świecie. Siedziałyśmy, popijając herbatę na jej łóżku, jak wiele miesięcy temu. Ingrid miała na sobie rozpinany sweter z przydługimi rękawami. Zamiast nadać jej wygląd dziecka, postarzył ją jednak, ponieważ podwinęła mankiety i podciągnęła je do łokci.

– I tego właśnie oboje pragniemy – powiedziała. – Przecież wiesz, że go kocham. – Wciąż wyglądała tak jak w Nowym Jorku, gdy byli razem: niewątpliwie zakochana i dumna, na jej twarzy malował się

wyraz zdecydowania.

Trzymałam jej krótkie palce – wieńczące kwadratowe, lecz ładne dłonie – i patrzyłam na pierścionek. Kamień był tak duży, że wydawało się, iż jej ciąży. Z jego faset, niczym światło z kryształowego żyrandola, błyskały małe tęcze.

– On jest od ciebie znacznie starszy – powiedziałam, złożywszy jej gratulacje. Moja niechęć do Greya wzmogła się przez te miesiące. Początkowo chciałam myśleć o nim dobrze, ale nie trwało to długo. Wspomnienie spojrzeń, które wymienił z Maeve, było zbyt silne. Z Ralphem nigdy o tym nie rozmawiałam. Już i tak od początku wystarczająco nienawidził Greya.

– Och, jemu mój młody wiek nie przeszkadza – odparła Ingrid i było oczywiste, że z jej punktu widzenia to on wnosił do tego małżeństwa wszystko, co naprawdę cenne: mądrość, doświadczenie i wiedzę.

– Ralph przyjedzie? – zapytałam, gdy schodziłyśmy na parter.

– A nie ma przyjechać? – Obróciła się nieco, żeby na mnie spojrzeć. – Myślałam, że ty będziesz wiedzieć.

Zjadłyśmy bez niego, z Eve siedzącą u szczytu stołu. Ralph zjawił się, gdy dopijałam kawę i zbierałam się do wyjścia. Ingrid stała w drzwiach salonu, gotowa go powitać.

– Nie zostaniesz? – zapytał.

Było to jedno z naszych ostatnich wspólnych spotkań. Wyszłam.

Tego wieczoru ciotka przyrządzała dla mnie kolację. Deszcz bębnił delikatnie po blaszanym dachu domu, a kuchnię wypełniał zapach piekących się w piekarniku pomidorów. Keith był u niej w pracowni, pili razem wino. Poinformowałam ich o zaręczynach Ingrid.

– Jest za młoda, by wychodzić za mąż – odparła Jenny. – Ale razem są bardzo szczęśliwi, prawda?

Keith patrzył w podłogę.

– To ty ich poznałeś ze sobą, prawda, Keith? – zapytałam.

– Tak, owszem. W Wenecji. Oczywiście. Cóż, to wspaniała wiadomość.

– Powinni cię zaprosić na ślub – zauważyła Jenny.

Keith spojrział na mnie z powagą. W jego bystrych oczach

malowało się poczucie winy i przez chwilę wydawało się, że zaraz za coś przeprosi. Potem uśmiechnął się i pozwolił, by moja ciotka naigrawała się z jego roli swatki. Żartowali, że znajdą mężów kolekcjonerów wszystkim jej koleżankom malarkom. Wy też go nie lubicie, pomyślałam.

*

Kiedy teraz to wspominam, czas spędzony z Ralphem, a potem z Ingrid – gdy wszystko było w porządku, gdy dopiero się zaczynało, ów dynamizm, który próbowałam potem odtworzyć – wydaje się taki krótki. Był krótki w sensie rzeczywistej liczby dni, tygodni i miesięcy – niewielkiej w porównaniu z tym, ile minęło ich od tamtej pory. Ale te miesiące były pełne tego, co wtedy odczuwałam, a teraz postrzegam jako niemal idealną zażyłość oraz intensywność, która sprawia, że czas sztucznie rozciąga się w ślad za wspomnieniami: technikolor przesycony szczegółami w zestawieniu z otaczającą je bardziej mglistą przeszłością.

To wszystko było w pewnym sensie bardzo zwyczajne, jeśli nie liczyć tygodni spędzonych przez nas w luksusowych warunkach w Nowym Jorku i Paryżu: w Sydney chodziliśmy na zajęcia, czytaliśmy książki i rozmawialiśmy o nich. Wylegiwaliśmy się na zielonym trawniku przed kamiennym dziedzińcem i przesiadywaliśmy w cieniu jakarandy – kilka scen typowych dla romansu uniwersyteckiego – ale przeważnie piliśmy razem w barze, odnajdywaliśmy się nawzajem na szalonych imprezach, dochodziliśmy po nich do siebie późnym rankiem, rozmawialiśmy do późna w nocy w domu, w wypożyczalni, przez telefon. Eve i George ignorowali się nawzajem i traktowali lodowato, lecz w ich domu byłam mile widziana i w porównaniu z doświadczeniami rodzinnymi – z mojego nieprzewidywalnego, fragmentarycznego dzieciństwa – był on oazą stabilności i ciepła. Bardzo podobało mi się poczucie braku ciągłości między nerwowym nocnym światem miasta, przez który wędrowaliśmy – krętych zaśmieconych ulic, zaniedbanych wnętrz i neonowego światła – a obfitującym w luksusy domem Ralpa w Kirribilli, światłem lamp, miękkimi dywanami i dobrym winem, arystokratycznym bogactwem North Shore. Tyle razy lądowaliśmy tam na niedzielnym lunchu

z przygotowanymi dla nas kryształowymi kieliszkami w dłoni, potwornie skacowani lub wycieńczeni po całonocnym raczeniu się piwem, koktajlami i chrzczonymi prochami, ze stopami poobcieranymi od wędrowania chwiejnym krokiem po ulicach centrum i wąskich schodach, i tyle razy osuwałam się na wielką skórzaną kanapę w ich salonie, jakby to była wanna z gorącą wodą, słuchając, jak ojciec Ralpa cytuje Makbeta lub Churchilla i dostraja radio na stację z muzyką poważną.

To Ralph był moim kluczem do obu tych miejsc: znał dealerów, którzy sprzedawali źle i dobrze rozcieńczone narkotyki w foliowych woreczkach, znał lokale w maleńkich zaułkach, gdzie po godzinach można było jeszcze dostać coś do picia. To on wprowadził mnie do pięknego domu na drugim brzegu portu i korzystając z rodzinnego abonamentu, zabierał do teatru w Opera House, gdy jego matka nie mogła pójść na przedstawienie, to on wiedział, że promy są lepszym środkiem komunikacji miejskiej niż kolej. W Kirribilli mogłam się spodziewać, że zniknie na piętrze w starych džinsach i sztruksowej marynarce i pojawi się ubrany do kolacji w smoking, stąpając po schodach niczym postać z filmu z lat trzydziestych, kończąc to przejście z nizin na wyżyny, od moralnego zepsucia do szlachetnego wyrafinowania.

W tym domu dowolne z zestawu naszych niemoralnych zachowań wydawało się bardziej nickszemne i zarazem bardziej wyrafinowane, pełne zuchwałego, naturalistycznego uroku; mieszanie kokainy pocztówką z Londynu na dużym i ciężkim albumie z pejzażami Moneta w łazience ze złotymi kranami i czarnymi kafelkami na piętrze, w chwili gdy jego matka zastawiała stół srebrami; wymknięcie się do ogrodu z butelką dobrego merlota, by popijać go tam z filiżanek z półprzezroczystej porcelany, paląc papierosy i skręty z marihuaną. Gdybyśmy mogli dopełnić ten obraz ukradkowym seksem uprawianym w ubraniach w łazience, to chyba moje szczęście byłoby całkowite, nigdy jednak do tego nie doszło. Kilka razy myślałam, że dojdzie – drżąca dłoń Ralpa na mojej dłoni zamykająca za nami drzwi; inne chwile nieznośnej bliskości i kontaktu „o mały włos”.

Sądzę, że to wrażenie zapamiętanej intensywności pogłębiane jest

przez poczucie nieodwzajemnionej tęsknoty, która przepelniała pierwsze miesiące naszej znajomości, wywołując najpierw rozpacz, potem zaś słabnąc do postaci szmeru w tle mojej świadomości. Ralph mnie drażnił, ja go uwielbiałam, dokuczałam mu, toczyliśmy nieistotne spory i takie, które wydawały się ważne, a w istocie były abstrakcyjne i absurdalne: o to, czy George Eliot jest lepsza niż T.S. Eliot i czy dawne filmy są lepsze od współczesnych. Wydawało się po prostu, że natychmiast zapalaliśmy do siebie miłością, choć najwyraźniej nie w ten sam sposób. Zwykle potrzebowałam więcej czasu, by kogoś polubić, Ralph zaprzyjaźniał się jednak szybko i z łatwością. Gdy pojawiła się Ingrid, pokochał ją od razu, a ja też ją polubiłam mimo początkowej nieufności. Ta sympatia była pełna ambiwalencji, lecz w naszych stosunkach zapanował rodzaj muzycznej harmonii, która w moich wspomnieniach nadal wydaje się piękna nawet wtedy, gdy dostrzegam dysonanse, często zabarwiające ją smutkiem i zazdrością. Niczym w operetce.

Tych tygodni i miesięcy było niewiele, ale gdy wszystko się rozpadło, zrodziły we mnie zobowiązanie oraz słabnącą z czasem wiarę, że można wskrzesić coś z łączącej nas wszystkich przyjaźni. Moja nieśmiała walka o to trwała w sumie znacznie dłużej niż ten pierwszy, szczęśliwy okres. U kresu tej batalii, w grudniowych tygodniach poprzedzających wyjazd Ingrid z Sydney na ślub z Greyem, zaczęłam to oceniać w tych kategoriach, a sam akt oceny świadczył o tym, że to naprawdę koniec.

Wówczas mieszkałam u ciotki – przeniosłam się tam tuż przed wyjazdem Ingrid. Wygasła umowa najmu domu w Newtown, a Leah, moja współlokatorka, przeprowadzała się do mieszkania w Petersham ze swoim chłopakiem. Jenny zaproponowała mi to pewnego wieczoru, gdy wybrałyśmy się razem do kina.

– Przestałaś mówić o Ralphie – zauważyła, gdy czekałyśmy w kolejce po popcorn i napoje.

Jenny zawsze lubiła Ralpha, ale parę razy wspomniała, że niepokoi ją głębia moich uczuć do niego. Były to niezręczne rozmowy, po których zawsze czułam się jak chodzący stereotyp: kobieta zakochana w najlepszym przyjacielu homoseksualiście.

– Widuję się nie tylko z nim – wyjaśniłam jej wtedy niechętnie.

– Nie mam zamiaru umawiać cię na randkę w ciemno –
odpowiedziała – choć bardzo bym chciała. Byłabym jednak znacznie
szczęśliwsza, gdybyś zaczęła się widywać z ludźmi, których naprawdę
lubisz.

Dopóki Ingrid nie wyjechała, te rozmowy były jeszcze ostrzejsze.

– W niej także jesteś trochę zakochana – zaszokowała mnie kiedyś,
gdy nasza trójka dopiero zaczęła się od siebie oddalać.

– Nieprawda – odparłam zdumiona, że w ten sposób krytykuje
Ingrid; spodziewałam się, że powie coś innego, że przyjaźń z Ingrid ma
jedynie zbliżyć mnie do Ralpa. Obie te ewentualności, z pozoru
niemożliwe do pogodzenia, wzbudziły we mnie tak silne zażenowanie,
że uznałam, iż musi w nich być ziarno prawdy.

Z maszyny dalej wysypywała się prażona kukurydza i obsługujący
zgarzał jej trochę do papierowego kubelka. Jenny nie była chyba tak
zadowolona z braku wieści o Ralpie, jak przypuszczałam. Zmieniłam
temat, mówiąc jej o wygaśnięciu umowy najmu.

– W moim domu jest dla ciebie miejsce – odparła swobodnie. –
Nie musiałabyś płacić za wynajem. W tym roku z uwagi na twoje studia
chybaby ci to odpowiadało? Mogłabyś mniej pracować. A ja nie będę ci
wchodzić w paradę.

Myślałam o tym w trakcie filmu i pod koniec seansu przystałam na
jej propozycję. Wiedziałam, że to zwiastuje koniec pewnej epoki.
Kirribilli było teraz dla mnie praktycznie zamknięte. W ostatnich trzech
miesiącach prawie tam nie bywałam, a ilekroć składałam wizytę, Ralph
kłócił się z Eve lub wszczynał kłótnie ze mną. Koniec z ukradkowym
zażywaniem prochów w łazience, zostało jedynie przeciągające się picie
przy stole. Dom mojej ciotki znajdował się dość blisko Kirribilli – na
kolejnym przedmieściu North Shore, także z widokiem na akwen
otaczający śródmieście, choć kawał drogi od przystani tej samej linii
promowej.

W bezbarwności tej zamieszkaney przez wyższą klasę średnią
dzielnicy było coś kojącego i zarazem odstręczającego. Pragnęłam się
wyrwać z podupadłej części śródmieścia, ze wszystkich miejsc, które
teraz były ściśle związane z dawnymi przyjaźniami. Jazda do kampusu
trwała długo, ale lubiłam ją, a przeprawianie się mostem w drodze do

domu stanowiło jakąś odmianę. Gdy przyjechałam, przy bramie powitał mnie zarośnięty ogród Jenny, wąsy kwitnących pnączy winorośli przeciskały się przez drewniane sztachety i metalowe zawiasy; odłamałabym je lub przeciągnęłabym przez bramę i owinęła wokół ogrodzenia.

Ten dom zawsze stanowił dla mnie i Petera rodzaj sanktuarium. W dzieciństwie spędzaliśmy w nim co drugi weekend, ulokowani oboje w pokoju z dwoma skrzypiącymi łózkami w głębi domu. Ściany wciąż pokryte były nalepkami, które kiedyś przykleiliśmy, przedstawiającymi spłowiałe błękitne smurfy i zwierzęta, błyszczące rożki po lodach, rowery BMX i tęcze znikające w roziskrzanej chmurze. Był tam też regał zaopatrzonej w klasyczne powieści w miękkich okładkach oraz stare książki z czasów dzieciństwa Jenny – wspomnienia szkolnego mundurka, opowieści o koniach – przez które i ja przebrnęłam. Peter już wtedy miał bzika na punkcie medycyny oraz nauki i sięgał po książki z dolnej półki, która zawierała niekompletny zestaw *Encyklopedia Britannica* oraz olbrzymi podręcznik do anatomii z przerażającymi ilustracjami wnętrza ludzkiego ciała, wszystkich jego zakamarków, na cienkich śliskich kartkach. W nim mój brat odnalazł świat, który był poznawalny, miał granice, dawał się odwzorować i posiąść; antidotum na niepewność, w jakiej żyliśmy w naszym domu.

Raz na jakiś czas Jenny pozwalała nam posiedzieć w pracowni, gdy malowała, i to były najcudowniejsze chwile. To się zawsze zdarzało pod wieczór, gdy do pokoju wpadało światło gorącego późnopołudniowego słońca, i wtedy rozmawiała z nami, gruntując płótno lub kończąc róg obrazu. Na ogół w trakcie malowania zamykała drzwi do pracowni, ale nie przeszkadzało jej, że hałasujemy bądź oglądamy telewizję, co mogliśmy robić całymi godzinami.

Panowała tam cisza, lecz była pełna spokoju, jakże inna od tej w naszym domu, ciszy pustki, oczekiwania na powrót ojca, a potem ciszy, którą wymuszał i której żądał, przerywanej jego podniesionym gniewnym głosem, niemal zawsze skierowanym do Rachel, a sporadycznie do Petera. Przypuszczam, że czasami musiał się zwracać do nas bezpośrednio i kłócić się z nią w naszej obecności, jednak w moich wspomnieniach ów odgłos zawsze dociera zza zamkniętych

drzwi, przyciszony, ale nie stłumiony przez ściany domu.

Owe weekendy wydłużały się niekiedy do całego tygodnia – uważaliśmy to za rzecz naturalną i było coś ekscytującego i ryzykownego w długich podróżach z domu Jenny do szkoły. Pod koniec tych wizyt, gdy już przygotowywaliśmy się do powrotu do domu, często błagałam, by pozwoliła nam zamieszkać u siebie. Niełatwo jest wspominać, jak poważnie to mówiłam w wieku niespełna ośmiu lat. Później wydarzył się wypadek samochodowy i ojciec zginął, a Rachel na pewien czas trafiła do szpitala. Dopóki nie wyzdrowiała i nie przestała chodzić o kulach, Jenny mieszkała u nas. Pamiętam, że myślałam w dzieciństwie przesądny sposób, iż spełniło się moje życzenie, byśmy mogli mieszkać z Jenny w jej spokojnym domu, lecz stało się to inaczej, niż sobie tego naprawdę życzyłam (w najbardziej egoistycznych wersjach wyłącznie dla siebie, nie dla nas obojga); tymczasem wyglądało na to, że swoim pragnieniem uruchomiłam potworny ciąg zdarzeń. Trudno było tęsknić za naszym ojcem, ale przez wiele miesięcy matka była jeszcze bardziej nieszczęśliwa niż wcześniej, a Jenny też wydawała się w naszym domu spięta i smutna. Inaczej niż u siebie, gdzie emanowała radosnym spokojem, odprężona i uśmiechnięta, zaabsorbowana swą twórczością, lecz cierpliwie reagująca na nasze pytania i żądania, gdy wychodziła z pracowni. W każdym razie tak to wygląda z dzisiejszej perspektywy.

Kiedy więc tego wieczoru w kinie Jenny zaprosiła mnie do swojego domu, uznałam to za spóźnioną i zmienioną odpowiedź na błagania małej Julii. W pierwszym odruchu pomyślałam o nalepkach na ścianie, wiedząc, że z jednej strony nie mogłabym znieść ich ciągłego widoku, a z drugiej nie potrafiłabym ich usunąć.

– Możesz zająć pokój z boku – dodała. – Nie ten, w którym dotąd nocowałam. W kącie została okropna plama po wodzie z cieknącej rynny. Wysprzątałam dla ciebie pokój przy werandzie. – Pamiętałam go jako zamknięty składzik nieużywanych mebli i starych płócien.

Do domu Jenny musiałam zabrać zaskakująco mało rzeczy. Mój pokój został opróżniony ze starych obrazów, a łóżko i biurko z moim ulubionym krzesłem oraz brzydka stara szafa i mała pomalowana na biało komoda, której wieku nie dało się określić, już tam były. Do

przywiezienia miałam głównie książki oraz parę walizek z ubraniami i innymi rzeczami. Peter pożyczył od kolegi kombi i pomógł mi wszystko załadować do bagażnika, po czym ruszyliśmy do Mosman z pudłami i lampami ułożonymi w chwiejną stertę z tyłu auta. Wniósł to wszystko ze mną do domu i zniknął na kilka minut w naszym dawnym pokoju na tyłach – z nalepkami i wilgocią w kącie. Wszedł stamtąd z poważną miną. Ciekawe, jakie naszyły go wspomnienia.

– Jest tam miejsce i dla mnie – zażartował. – Wprowadzę się w przyszłym tygodniu i może być dokładnie tak jak dawniej. Będziemy musieli jednak zaktualizować encyklopedię.

Ciotka weszła do pokoju, gdzie gapiłam się na jakieś pudło, które miałam otworzyć, i posłała Peterowi nieco zatrwożony uśmiech.

– Żartowałem – powiedział.

– Wiem – odparła. – Zostań, przygotuję coś do jedzenia. Ty też, Julio.

W tym momencie było tak jak kiedyś i gdy weszliśmy za Jenny do kuchni i zasiedliśmy do stołu, urok wspomnień nie prysł od razu, lecz słabł stopniowo, niepostrzeżenie, dzięki czemu nie poczuliśmy nagłego smutku.

W mojej nowej sypialni wszystkie okna znajdowały się na jednej ścianie i wychodziły na werandę. Pofalowane szkło załamywało wpadające do środka światło. Ściany były białe, a pomalowane kiedyś deski podłogi – ogołoczone z lakieru i niewypastowane. Na środku pokoju okrywał je spłowiałą tęczą barw owalny szmaciak. Nad komodą wisiało owalne lustro z wytrawionymi na górnym i dolnym obrzeżu stylizowanymi kwiatami. Pod metalowe obejmy łączące lustro z podłożem wetknęłam kartkę pocztową. Moja jedyna pocztówka od Ralph'a – stare zdjęcie wieży Eiffla, które kupił w Paryżu i na którym zapisał dla mnie wiadomość w hotelu: *Wrócę później, zjedźmy razem kolację, ma chérie! R.* To wszystko. Rozpakowałam się i poczułam jak w domu.

*

Gdy Ingrid na dobre wyjechała do Stanów, często winiłam za to George'a. Ralph zgadzał się ze mną czasem, po czym zmieniał zdanie

i kłóciliśmy się o to, przerzucając się argumentami. Wnosił w te spory wiele swego bólu, żalu z powodu utraty ojca, wyjazdu Ingrid, z powodu własnej bezsilności i poczucia winy. Wskutek tych sporów coraz bardziej się od siebie odsuwaliśmy.

– Wiesz, że to wina George’a – powiedziałam pewnego ranka przy śniadaniu, chociaż przez cały wieczór – na spokojnym przyjęciu z okazji opublikowania nowej książki jednego z nauczycieli Ralpa, a potem podczas długiej libacji z innymi akademikami i kolegami z zajęć w pubie za rogiem – udało nam się nie poruszyć tego tematu. Nocą leżałam na wygodnej kanapie Ralpa, nie mogąc oderwać oczu od wykonanego wiele lat wcześniej zdjęcia Ralpa, George’a i Eve, które stało na gzymsie kominka naprzeciwko. – A wszystko z powodu pieniędzy – ciągnęłam.

Ingrid z widoczną ulgą mówiła nam o tym, jak wspaniały użytek będzie można zrobić z jej pieniędzy złożonych w zdolne ręce Greya. Zapisy. Zakupy. Powiększenie jego zbioru dzieł sztuki nowoczesnej i przejście z roli marszanda do roli kolekcjonera.

– Gil od lat tworzy poważną kolekcję, lecz brakowało mu funduszy na spełnienie życzeń. Teraz będzie mógł ją uzupełnić. Cóż, będzie naszą wspólną własnością. To ważne... kolekcjonerzy tacy jak on naprawdę mogą mieć spory wpływ. Nie żeby o to dbał. Tak bardzo angażuje się w kształcenie nowych malarzy.

Po nieprzespanej nocy ścisnęło mnie w żołądku. Chandra Ralpa stawała się męcząca. Gdy Ingrid wyjechała, wydawało się, że jest szansa na to, by wróciło coś z naszej dawnej zażyłości. Tymczasem widywaliśmy się jeszcze rzadziej, a on nie potrafił się otrząsnąć z przygnębienia.

– W porządku – odparł. – Gdyby nie dostała tych pieniędzy, mogłoby być inaczej. Ale tego nie wiesz. Może byłoby tak samo. Mogłaby i tak polecieć do Wenecji, poznałaby Greya. Równie dobrze możesz obwiniać Maeve za to, że ich zachęcała. A przede wszystkim Eve za to, że przywiozła ją do Sydney.

– Obwiniam.

– Myślałem, że obwiniasz tatę.

– Owszem. Jego też. Obarczam winą ich wszystkich. – Ralph

patrzył w stół. – A ty go zachęciłeś – dodałam, sama siebie szokując.

– Co?

– W sprawie pieniędzy. Wiem, że tak było. – Wcześniej tego nie wiedziałam, ale nagle uświadomiłam to sobie.

Skrzywił usta, jak miał zwyczaj czynić, gdy się zastanawiał.

– Sądziłem, że to jej pomoże – rzekł w końcu. – Nie potrzebowiałem całej tej forsy. Czemu nie miałbym się podzielić?

– Przecież nie chciałeś, żeby wyjechała! – zaprotestowałam.

– Nie chciałem, ale wiedziałem, że ona tego chce. W tym właśnie rzecz. – Obrócił stojącą na stole filiżankę z kawą za ucho, tak samo jak Ingrid robiła z dzbankiem na herbatę. Przypomniałam sobie jego niewzruszony spokój w dniu, w którym odwiedziłam go po odczytaniu testamentu. – Nie przypuszczałem, że już nigdy nie wróci.

– Sprawileś, że Ingrid... – usiłowałam znaleźć właściwe określenie – ...stała się dla niego łupem. – Te słowa były okropne. Przypomniał mi się Homer, ulubiony cytat Ingrid: *Jakież to słowo wymknęło się z zagrody twych zębów?*³.

Ralph, podobnie jak ja, objął dłońmi skronie.

– Do kurwy nędzy!

– Też za nią tęsknię. Źle się z tym czuję. Nie jesteś jedyny.

Ralph nie podniósł wzroku.

– Słuchaj, nie mówiłam tego poważnie... o tym, że to zrobiłeś. Ona sama podjęła decyzję. Kretynka. – O ten epitet spieraliśmy się już wcześniej, odkąd postanowiła poślubić Greya. Ostatecznie to był jej wybór.

– Po prostu nie mówmy o tym więcej! – zaproponował Ralph.

– W porządku, świetnie. Dobrze.

– Mówię serio. Nie chcę już o tym rozmawiać.

– Nie powinieneś czuć się winny.

– Mówię poważnie. Nie chcę już więcej o tym rozmawiać i kropka. To wszystko.

– Dobrze.

Więc nie rozmawialiśmy.

Ingrid i Grey pobrali się w maju następnego roku w Nowym Jorku podczas skromnej uroczystości w domu Greya nad Hudsonem. Oboje z Ralphem otrzymaliśmy zaproszenie, nie umiałam jednak ocenić, jak szczerze w rzeczywistości ono było; kilka miesięcy później urządzali w Sydney przyjęcie dla australijskich przyjaciół oraz krewnych, którzy nie mogli dotrzeć za granicę, i wydawało się, że moje miejsce jest raczej wśród nich niż na nowojorskiej imprezie. W każdym razie z finansowego punktu widzenia było to prawie niemożliwe. Ralph wymyślił na usprawiedliwienie, że musi się uczyć do egzaminów z rosyjskiego.

Ingrid wysłała nam po zestawie zdjęć ze ślubu nad Hudsonem, małe odbitki przewiązane wstążką oraz liściki identycznej treści: „Oto Pani Ja! Szkoda, że was tu nie ma. Ucałowania, Ingrid”. Liścik został napisany na różowej kwadratowej kartce. List do Ralpha zobaczyłam, gdy odwiedziłam go pewnego wieczoru. Zdjęcia leżały rozrzucone pod niskim stolikiem, a atrament rozmazał się w miejscu, gdzie okrągła podstawa kieliszka z winem pozostawiła wilgotny czerwony ślad.

Na tych fotografiach Ingrid wyglądała na lekko naćpaną, oszołomioną i szczęśliwą. Wieczorem przez wiele godzin przyglądałam się im z uwagą, trzymając za gustowne białe brzegi. Z osób widocznych na drugim planie znałam tylko nieliczne. Każda była urodziwa i dobrze ubrana. Wśród nich stały Eve, owinięta żółtym szalem, oraz Victoria, siostra Ingrid, spoglądająca z wyrzutem na kogoś, kto znajdował się tuż poza kadrem. Na jednym zdjęciu rozpoznałam Fleur, drobną i szczupłą, z długimi pięknymi włosami splecionymi w misterne warkoczyki. Stała między ojcem a Maeve, patrząc nieufnie w obiektyw, żadnych póz ani uśmiechów.

W kolejnym kadrze Ingrid wyglądała niczym biała zjawia na tle ciemnej kępy drzew, pod jej stopami ścieliła się zielono trawa. Nieopodal widać było sznury lampionów, małe barwne plamy na tle drzew i mrocznego nieba. Bukiet trzymała w zwieszanej ręce, jakby miała go zaraz upuścić. Piwonie i dalie, błyski szkarłatu i różu skierowanych ku ziemi kwiatów. Pierścionek z brylantem przyciągał

światło. Upięte włosy Ingrid zaczęły opadać. Wyglądało na to, że to koniec przyjęcia. Suknia przypominała nieco rzymską plisowaną tunikę z delikatnego lnu, sięgała do samej ziemi, zasłaniając stopy. Sznury w kolorze kości słoniowej wiły się wokół talii oraz na ramionach Ingrid, co sprawiało, że suknia przylegała do ciała. Drugą dłonią trzymała Greya za rękę. Patrzyła w obiektyw z lekko rozchylonymi ustami. Grey miał na sobie jasnoszary garnitur i białą koszulę z rozpiętym kołnierzykiem, był bez krawata, obrócony pięknym profilem w stronę aparatu, z zuchwą rzucającą blady cień na szyję. Spoglądał na Ingrid z wyrazem twarzy, który mówił: Mam cię! Nie mogło być co do tego wątpliwości. Słyszałam jego głos wypowiadający te słowa. W dłoni lekko trzymał dłoń Ingrid. Ich ręce były nieco rozmazane, jakby w chwili zrobienia zdjęcia poruszali ramionami. Wydawało się, że Ingrid idzie, mimo że Grey stał jak skamieniały.

Trzymałam to zdjęcie w jednej dłoni, a kieliszek w drugiej. Kciukiem marszczyłam papier. Starłam się przygotować na spotkanie w Sydney w następny weekend. Oczywiście Ingrid błyszczały i wyglądała teraz niczym lekko zmięty kwiat, zerwana właśnie z drzewa biała gardenia. Odłożyłam fotografię na stos pozostałych.

*

Przyjęcie w Sydney okazało się małą katastrofą, choć przypuszczalnie po naszym wyjściu atmosfera się poprawiła. Wcześniej, tuż przed ich ślubem w Nowym Jorku, rozmawiałam na temat uroczystości weselnych z Ingrid przez telefon. Mówiła spokojnym głosem, dopóki nie pojawiła się kwestia Sydney – wtedy napięcie było ewidentne.

– Oczywiście urządzimy fetę w Sydney. Piękną, naprawdę uroczystą. Myślę, że fajnie będzie zrobić to w ten sposób, prawda? – mówiła pośpiesznie, nie czekając na odpowiedź. – Ponieważ nie wszyscy z moich przyjaciół w Sydney, nie wszyscy moi krewni mogą tu przyjechać. A to jest mój dom, naprawdę tak czuję. Teraz Nowy Jork stanie się moim domem, ale Sydney nim jest, to takie ważne.

– Owszem – przyznałam i pomyślałam, że byłoby ją stać na sprowadzenie wszystkich przyjaciół do Ameryki, gdyby naprawdę

chciała to zrobić. Wciąż po trosze liczyłam na to, że będzie nalegać, bym przyjechała, a po trosze się tego bałam. Myśl o obecności na ślubie w Nowym Jorku wydawała się romantyczna, lecz moje wyobrażenia zawsze mąciło wspomnienie nowojorskiego zimy; z jakiegoś powodu czułam, że wiosną wieczory będą tam chłodne. Niekiedy w tych rozważaniach pojawiał się jakiś przystojny malarz zaprzyjaźniony z Greyem, który nalewał mi szampana, potem jednak przypominałam sobie, że tym zajmować się będą kelnerzy zatrudnieni na tę okazję, a myśl o rozmowie z mnóstwem obcych mi ludzi budziła we mnie przerażenie.

– Będziesz na uroczystości w Sydney – powiedziała Ingrid. – A Ralph przyjedzie, jeżeli to będzie w Sydney. Będzie musiał.

– Zjawi się – zapewniłam ją. – O to możesz być spokojna.

Nastąpiła krótka przerwa.

– Mam mu to powtórzyć? – zapytałam, dopiero wtedy uświadamiając sobie, że tak naprawdę po to zadzwoniła. – Tego właśnie chcesz?

– Cóż... będę ci ogromnie wdzięczna, Julio! Dzięki. Nie... nie wiedziałam... Tak czy owak, dziękuję.

Przecież nie obiecałam, że to zrobię.

Ingrid mówiła dalej o przyjęciu, z ulgą, że kwestia powiadomienia Ralpa jest załatwiona.

– ...żadnych przemówień, po prostu chcę was wszystkich zobaczyć i wszystkich zgromadzić... – Głos Ingrid się urwał.

Zaczęłam rozumieć, że Grey nie chce urządzać przyjęcia w Sydney.

– Grey nie chce przylecieć? Nigdy tu nie był.

– Och, wiem, to tak daleko, to prawda. Ale nie zostaniemy długo. Gil nie chce spędzić tego czasu poza domem... to znaczy... nie będzie nas przez kilka tygodni, cały miesiąc miodowy, ale trudno mu się odrywać na dłużej od pracy, a Fleur chodzi do szkoły. – Ingrid milczała przez chwilę, wstrzymując oddech. – Trochę się awanturuje, ale wszystko będzie dobrze. To dla mnie ważne. Victoria pomaga to wszystko załatwić.

Musiałam stłumić prychnięcie.

– To świetnie, naprawdę świetnie.
– Jej asystentka Meredith jest wprost cudowna. I bardzo pomocna. Wysłała to wszystko przez internet, zdjęcia...
Zamierzałam zaproponować, że jej pomogę, ale tego nie zrobiłam.
– To świetnie – powtórzyłam. – Gdzie...
– Muszę kończyć – przerwała mi Ingrid. – Mam kwaciarnię na drugiej linii. Z jakiegoś absurdalnego powodu bardzo trudno teraz zamówić piwonie, wyobrażasz sobie? – Usłyszałam w tle głos rozmawiającego z kwaciarnią Greya.

Życzyłam jej powodzenia. W słuchawce zapanowała głucha cisza. Wyobraziłam sobie dom Greya nad Hudsonem, który widniał w tle na zdjęciach – zaniedbana budowla w stylu wiktoriańskim z wieżyczkami i mnóstwem pięt. Rzeka płynęła gdzieś poniżej, za drzewami. Wyobraziłam sobie za domem pola przekwitłych bladoróżowych piwonii zrzucających płatki na lekkim wietrze.

*

Po nowojorskim ślubie z kwiatami i kolorowymi lampami Ingrid i Grey spędzili trzy tygodnie we Florencji w mieszkaniu będącym własnością jednego z jego przyjaciół. Mieli się stamtąd wybrać w krótką podróż do Wenecji, żeby odwiedzić miejsce swojego pierwszego spotkania. Grey musiał również zobaczyć się tam z kimś w sprawie następnego biennale. Po mojej rozmowie z Ingrid przez jakiś czas nie miałam żadnych wieści na temat przyjęcia weselnego w Sydney. Minęła zaplanowana pierwotnie data. Ingrid wysłała z Londynu pocztówkę krótkiej treści: „Nadal wybieram się do Sydney, teraz w sierpniu, wkrótce zadzwonię. Tak tu zimno i deszczowo. Ingrid”. I po dwóch tygodniach przyszło bogato zdobione zaproszenie. Minutę później zadzwonił Ralph.

– To ja – rzekł.

Czekałam, nie chcąc pytać. Dotrzytałam swojej „obietnicy” i powiedziałam mu... uprzedziłam go, jak gdybym przekazywała złą prognozę pogody... dopiero przed tygodniem.

– Kurwa mać – mruknął.

– Pójdziemy razem – powiedziałam w końcu. – Będzie dobrze.

Jesteś w domu? Przyjadę.

– Kurwa mać – mruknął ponownie i dodał: – Świetnie, wpadnij.

O zaproszeniu wspomnieliśmy dopiero pod koniec wieczoru, po obejrzeniu dwóch filmów i wypiciu dwóch butelek wina. Gdy przyjechałam, Ralph wydawał się trzeźwy, aczkolwiek później stało się oczywiste, że to pod wpływem szoku i uspokajającego działania ginu. W finale *Końca romansu* rozplakał się i wtedy pożałowałam wyboru filmu.

– Pójdziemy razem – powtórzyłam. Pociągnął nosem i uśmiechnął się blado. – Będziesz musiał mi pomóc w znalezieniu jakiejś sukienki – ostrzegłam i wówczas Ralph lekko się rozpromienił.

Dopiłam wino i chwiejąc się nieco, zaniiosłam kieliszek do kuchni i wstawiłam do zlewu. Zaproszenie z gustowną kartą R.S.V.P. z kratkami do zaznaczenia potraw jarskich lub koszernych, jak w formularzach linii lotniczych, leżało na kuchennym blacie. Znalazłam jakieś pióro i umieściłam krzyżyk w kratce z dopiskiem „obecny”. Nazwisko Ralpha zostało wykaligrafowane u góry karty starannym pismem. Zakleiłam ją w małej kopercie i trzymałam w dłoni.

Ingrid jest szczęśliwa, pomyślałam. On to zrozumie. A wtedy ona może wracać do cholernego Nowego Jorku.

Podszedłszy z powrotem do kanapy, pogładziłam go po głowie.

– Wyślę to za ciebie – powiedziałam i wsunęłam kopertę do torebki. Ralph gapił się bezmyślnie w ekran telewizora. – Obejrzyjmy coś w telewizji – zaproponowałam i usiadłam na kanapie.

Pięć minut później zaczął chrapać. Zostawiłam go przed telewizorem i pojechałam do domu.

*

Dwa dni przed przyjazdem do Sydney Ingrid powiedziała mi przez telefon, że zostaną tylko na tydzień. Tym razem zaproponowałam pomoc, wiedząc, że jest już na nią za późno.

– Jeżeli coś mogę zrobić, coś na ostatnią chwilę. Dostałaś piwonie?

– Och, one były na ślub w Nowym Jorku. Na Sydney kwiaty załatwia Vicky. Myślę, że to będą orchidee. Coś tropikalnego. – Nie zabrzmiało to zbyt entuzjastycznie. – Tak się cieszę, że Ralph przyjdzie

– dodała.

Powiedziałam, że przyjdziemy razem i że przyprowadzę ze sobą Marka. Ingrid nie miała jeszcze okazji go poznać.

– Jestem mężatką! – zawołała nagle. – To najprawdziwsza prawda!

– Jesteś. Mam cię nazywać panią Grey?

Ingrid się roześmiała, a mnie spodobał się ten śmiech i nagle za nią zatęskniłam.

Jej śmiech przeszedł w westchnienie.

– Nie. Jestem panią Holburne-Grey, z dywizem. Chodzi właśnie o ten dywiz. Mogłam nie zmieniać nazwiska, ale chciałam, żeby było inne. – W jej głosie wyczułam większe przejęcie. – Chciałam, żeby czymś się różniło, żeby nie było takie samo jak przedtem. To jakaś zmiana.

Nagle się zamyśliła.

– Będę nosiła takie samo nazwisko jak Fleur. Prawie identyczne.

– Czy ona przyjedzie z wami?

– Nie. Jest w Londynie ze swoimi przyjaciółkami ze szkoły, pojechały tam z rodzicami. Spotka się z nami w Nowym Jorku.

– Och.

– To dziwne być macochą – powiedziała Ingrid, kładąc przesadny nacisk na ostatnie słowo. – Ale ona nie pała do mnie nienawiścią.

– To dobrze.

– Lubi mnie. – Ingrid wydawała się zdziwiona. – Ja lubię ją.

Darzymy się wzajemną sympatią. Fleur jest właściwie dość nieśmiała. I po prostu genialna. – Ingrid znowu się roześmiała. – To brzmi głupio, prawda? Ale rzeczywiście tak jest.

Mogłam sobie wyobrazić, że siedzi oparta o ścianę, jak czyniła podczas rozmów przez telefon, okręcając kabel wokół palców. Telefon w Nowym Jorku prawdopodobnie był bezprzewodowy. Na linii rozległ się trzask zakłóceń. Chciałam znowu usłyszeć jej śmiech, ale nie przychodziły mi na myśl słowa, którymi mogłabym go wywołać. Powiedz coś, myślałam, coś, co by świadczyło, że jesteś szczęśliwa. Wydawało się, że cieszy się z dobrych relacji z Fleur.

– Coś chyba słyhać, prawda? – upewniła się. – Zaledwie parę tygodni po naszym powrocie zaczynam zajęcia na Columbii. Nie mogę

w to uwierzyć. Znowu będę studiować.

W Nowym Jorku był wczesny ranek, a w Sydney późna noc. Ziewnęłam.

– U was jest przecież bardzo późno! – wykrzyknęła. –
Przepraszam!

Okręcałam przewód telefonu wokół palca, naśladując gest Ingrid. Teraz moja ręka zastygła w bezruchu. Siedziałam na łóżku w swoim pokoju, z nogami na narzucie. Sukienka, w której zamierzałam iść na przyjęcie, wisiała na oparciu starego szkolnego krzesła przy biurku. Wyciągnęłam rękę i przesunęłam w palcach ciemnogrnatową tkaninę w szafirowym odcieniu. Materiał pokryty maleńkimi, przypominającymi kamyki czarnymi koralikami przelewał się w moich dłoniach niczym woda.

– Podobał ci się dzbanek do herbaty? – zapytałam.

Wydawało się, że spośród wielu rzeczy na obszernej liście prezentów ślubnych dzbanek najbardziej przypadnie jej do gustu. Był okrągły, pękaty i niebieski jak lazuryt.

– Dzbaneł?

– Ten niebieski...

– Och, mówisz o prezencie? Żadnego jeszcze nie widziałam. Nie mogę się doczekać... wszystkie czekają na nas w Nowym Jorku. Wreszcie będziemy mogli skończyć urządzenie mieszkania. Odkąd się wprowadziliśmy, wydawało się dość puste. To było wieki temu, przed ślubem. Ale gdy wrócimy, będzie już pomalowane i wytapetowane i wtedy rozpakujemy prezenty.

Wówczas po raz pierwszy wspomniała o malarzach. Opowiadała mi o dużym mieszkaniu w West Side z widokiem na Central Park. Było wielopoziomowe – w środku znajdowały się schody, nieprawdopodobny luksus. Kiedy ja myślałam o tych schodach i zastanawiałam się, jak wysokie są kondygnacje, ona mówiła o zabytkowych stolikach.

Pożegnałyśmy się. Na drugim końcu linii rozległ się trzask odkładanej słuchawki, a ja powoli odwinęłam kabel z palca, na którym odcisnął słabe ślady.

*

Wieczorem w przededniu przyjęcia Ralph nie odbierał telefonu. Spróbowałam po raz ostatni przed północą.

– Do kurwy nędzy. Daj spokój – rzekł Mark, wciągając podkoszulek przez głowę, gdy zostawiałam wiadomość na automatycznej sekretarce.

– Już daję – powiedziałam, spoglądając na aparat.

Sypialnia Marka była małym kwadratowym pomieszczeniem z szafą wciśniętą w kąt i dostateczną ilością wolnego miejsca, by obejść łóżko. Położyłam się na nim i spojrzałam w sufit.

– Na wszelki wypadek wstąpmy po niego jutro trochę wcześniej.

– Dobrze – mruknął Mark.

W końcu dotarliśmy tam punktualnie. Gdy otworzył drzwi, stwierdziłam ze zdziwieniem, że jest ubrany i ogolony.

– Wcześniej się zjawiałaś – zauważył z uśmiechem. – A gdzie Jenny? – zapytał, stukając papierosem o grzbiet dłoni.

– Nie przyjdzie. – Ciotka była w Melbourne na jakimś wernisażu.

– Och. Jak się miewa?

– Świetnie.

– Ładny garnitur – stwierdził Mark, który nie przepadał za Ralphem, ale miał szacunek dla jego wyczucia elegancji.

Jasny jak scukrzony miód garnitur Ralpha był naprawdę piękny. Przypomniłam mi się poplamiony winem liścik Ingrid, który przyszedł ze zdjęciami. Z takiej tkaniny raczej trudno byłoby usunąć plamy z wina. Strój Marka: ciemnoniebieski wełniany garnitur, wyjęty teatralnym gestem z kąta szafy, prezentował się zaskakująco dobrze. Chyba po raz pierwszy widziałam go nie w dżinsach. W swojej ciemnogrnatowej sukience pasowałam do niego niemal idealnie. Koralliki drapały mnie, gdy się poruszałam. Mark podziwiał szew na mankietach marynarki Ralpha.

– Wolę twój ciemny garnitur – spróbowałam zażartować.

Ralph zareagował krótkim hałaśliwym śmiechem.

– Ejże, przecież idziemy na przyjęcie, nie na pogrzeb, prawda? – rzekł i mruknął do Marka.

Popatrzył mi w oczy. Widząc, co się kryje w jego spojrzeniu, poczułam lekki dreszcz, a potem dostrzegłam, że miodowy garnitur

tylko dodatkowo podkreśla bladość jego skóry, która wyglądała tak, jakby można było ją przebić jednym dotknięciem palca. Gdy poprawiał kołnierzyk koszuli, drżały mu ręce.

– Ile wypiliśmy?

Uśmiechnął się, wziął mnie za rękę i zapytał spokojnie:

– Masz ochotę na xanax? A ty, Mark?

Mark odwrócił się do niego, rozważając propozycję.

– Nie! – zaprotestowałam i trzepnęłam Ralpha w ramię mocniej, niż zamierzałam. – Gdy mieszasz go z alkoholem, jesteś w okropnym stanie. Jezu Chryste!

W jego mieszkaniu panował większy niż zwykle bałagan, jak po bójkę lub wizycie niezdecydowanych włamywaczy. Na ruszcie kominka w głębi pokoju leżały drobne kawałki szkła.

Mark zdążył już wyciągnąć rękę. Westchnęłam z rezygnacją.

– No dobra, daj mi jeden.

Ralph wyjął z kieszeni srebrzysty blister i wycisnął na moją dłoń różową tabletkę.

– I jeden na później – powiedział i znowu mrugnął.

– Przestań mrugać. Przed domem czeka taksówka.

Gdy słońce przesunęło się na niebie, pod opuszczonymi w oknie żaluzjami wpadła do wnętrza odrobina przedwieczornego światła. Pokój pojaśniał w tym jednym kącie. Przyglądałam sukienkę.

– Jazda! – powiedział Ralph i zamaszystym ruchem ręki wskazał drzwi. Mark wypchnął mnie za próg, obejmując w talii.

*

Gdy przybyliśmy na miejsce, do przestronnej szklanej restauracji na końcu jednego ze starych pirsów portowych, wiał zimny wiatr. Zanim wysiedliśmy z taksówki, narkotyk zaczął działać i poczułam, że ruch moich kończyn jest płynny i spowolniony, jakbyśmy brnęli w gęstej, lepkiej cieczy.

W sali było całkiem sporo ludzi, zebranych w grupki wokół umieszczonego centralnie długiego stołu. Ingrid rozpromieniła się na nasz widok, na policzki wystąpiły jej rumieńce. Odsunęła się od męża, który z kimś rozmawiał, i podeszła do nas.

– Jesteście w komplecie! – zawołała i szybko objęła Ralpa, zanim zdążył coś powiedzieć. W drodze przez salę zdołał już zdobyć kieliszek szampana i teraz balansował nim niezdarnie, gdy jedną ręką trzymał Ingrid za ramię, a drugą obejmował w talii. Musnął wargami ucho Ingrid i znieruchomiał, by coś jej szepnąć. Gdy się cofnęła, spojrzenie miała surowe, a uśmiech trochę niewyraźny.

Ruszyła w moją stronę. Jej oczy zrobiły się błyszczące od napływających i szybko powstrzymanych łez. Przywarła policzkiem do mojej twarzy.

– Dziękuję, że przyszłaś – wyszeptała.

W kącie sali jakieś trio – kontrabas, saksofon z tłumikiem i czarny fortepian – grało brzmiały żałobnie jazz. Muzycy spoglądali w podłogę lub na instrumenty kolegów, nie na gości.

Uświadomiłam sobie, że rozmawiam z naszym dawnym wykładowcą historii sztuki i że rozmowa się nie klei. Nie znałam stojących przede mną ludzi i nie byłam pewna, czy w ogóle uczestniczę w tej konwersacji. Kątem oka widziałam Marka. Siedział w kącie pochłonięty rozmową z dziewczyną, która wyglądała na zbyt młodą, by pić, i raz po raz napełniał jej szklanekę. Dziewczyna o oczach okrągłych i szczerych coś mu powiedziała. Wtedy pojawił się przede mną Ralph, który ściągnął drinka z tacy niesionej przez kelnera. W palcach trzymał papierosa i kelner, spojrzawszy nań, powiedział coś ku przestrodze, a mój przyjaciel zignorował jego słowa.

– Jak leci? – zapytałam. Mój głos zabrzmiał tak, jakbym go od dawna nie używała. – Chcesz wyjść zapalić na zewnątrz? – Wzdłuż sali ciągnął się długi balkon upstrzony postaciami palących. Za wodą mrugały światła przeciwnego brzegu.

– Nie, nie ma potrzeby – odparł spokojnie. Jego oczy lśniły sennym blaskiem, który trochę mnie przeraził. Ralph zaciągnął się papierosem, zachwiał się lekko i odwrócił wzrok.

Byłam ciekawa, kiedy coś zjemy. Gdzieś na drugim końcu sali wznosiły się na tacach małe stosy pasztecików i ułożone z ogórków wieże. Spojrzałam na długi biały stół i zastanawiałam się, czy kiedyś przy nim siądziemy, czy też będziemy tu sterczeć cały wieczór, przetykając maleńkie kęsy i popijając, aż padniemy z nóg. Wszyscy

z wyjątkiem Marka z jego butelką, dziewczyną i krzesłami w kącie sali. Zasłaniała go teraz wysoka palma w doniczce. Odwróciłam się i już po chwili wyjaśniałam jakiemuś mężczyźnie mówiącemu z trudnym do określenia akcentem, jak poznałam Ingrid. Widząc jego uniesione brwi, odniosłam wrażenie, że nie jest przekonany – nie wiedziałam tylko, czy informacją o znajomości Ralpha z Ingrid, czy mojej z nią. Mężczyzna patrzył na mnie z wyraźnym niedowierzaniem – zastanawiałam się, czemu to się wydaje tak nieprawdopodobne? Obok przechodziła siostra Ingrid Victoria. Złapałam ją za rękę.

– Victorio! Właśnie opowiadałam... opowiadałam o tym, jak poznałam Ingrid.

Victoria zerknęła na mnie z wyraźną pogardą i odparła:

– Nie może być.

Odgarnęła długie włosy na plecy i uśmiechnęła się promiennie do mężczyzny o uniesionych brwiach. Ten pocałował ją w oba policzki – wyglądało na to, że się znają – a ja znowu poczułam się wyrzucona poza nawias. Było to i tak lepsze niż niedowierzanie mojego rozmówcy. W kącie za palmą pod przysuniętymi do ściany krzesłami stała pusta butelka, lecz Mark i dziewczyna zniknęli. I wtedy zobaczyłam, jak wychodzi bez kieliszka w dłoni z nieoznakowanych drzwi koło wejścia do kuchni. Zanim do mnie dotarł, miał już dwa; jeden wetknął mi do ręki i pocałował mnie w szyję.

Stuknął szkłem o mój kieliszek i błysnąwszy uśmiechem, przerwał Victorii i energicznie ściskając jej dłoń, rzekł:

– Cześć, jestem Mark.

– Masz rozpięty rozparek – powiedziałam.

Odwrócił się do mnie i zasuwając zamek, znowu stuknął kieliszkiem w mój. Victoria odeszła z uniesioną ręką, by przywołać kelnera z tacą.

– Co robiłeś z tą dziewczyną? – zapytałam.

Mark pociągnął łyk i spojrzał mi w oczy, po czym uciekł wzrokiem i objął mnie ręką w talii.

– Jesteś nieźle wstawiona – syknął. – Ile wypić?

Stuknęłam w kieliszek Marka i zdałam sobie sprawę, że mój jest pusty.

– Po prostu przynieś mi coś do jedzenia – odparłam i odwróciłam się od niego.

Ingrid stała koło muzyków na końcu sali, rozmawiając z grupą ludzi, w której była wyglądająca na zaledwie dziesięć lat dziewczynka o włosach opadających na plecy czarną lśniącą kurtyną. Długa i luźna sukienka Ingrid została uszyta z grubej jasnoniebieskiej mory, jej włosy złociły się na tle tkaniny. Niebo latem, pomyślałam i w powietrzu pełnym wina i morskiej soli wyczułam woń skoszonej trawy: Ingrid stała ze zgiętą w łokciu ręką, przyciskając drugą do boku. Naszło mnie bolesne wspomnienie minionych dni, gdy na takich przyjęciach trzymałyśmy się razem, to my upijałyśmy się zawartością przemyconej butelki, chichotałyśmy gdzieś w kącie i to ja byłam tą, która uprawiała niezdarny seks z czyimś chłopakiem za nieoznakowanymi drzwiami.

Ingrid spojrzała mi w oczy i się uśmiechnęła, a wcześniej na jej twarzy odmalowało się coś jeszcze: coś, co odzwierciedlało mój chwilowy smutek. Ale nie tylko to. Podeszła do mnie, dotknęła z wahaniem moich włosów i cofnęła dłoń. Jej usta poruszyły się i w końcu zrozumiałam wypowiedziane słowa o przyjęciu i wodzie za oknem. Potwierdziłam skinieniem głowy.

– Masz papierosa? – zapytała udawanym szeptem. – Chodźmy na dwór.

Nie miałam papierosów.

– Znajdziemy coś – stwierdziła i pociągnęła mnie za rękę w stronę drzwi.

– Mam xanax – zaproponowałam, a ona się roześmiała.

Na zewnątrz było zimno. Ingrid zapaliła dla nas dwa papierosy otrzymane od jakiejś wchodzącej do środka starszej kobiety, która pocałowała ją w policzek i przytknęła dłoń do jej twarzy.

– Kim są ci ludzie? – zapytałam.

Spojrzała na mnie z urazą.

– Dużo osób przyleciało z Perth i Australii Zachodniej – odparła. – No wiesz, przyjaciele rodziny. Nie możesz ich znać. – Palila tak, jakby nabrała w tym wprawy. – Są też znajomi z uniwerku... nie wszyscy mogli przyjść.

Spojrzałam w głąb restauracji i zobaczyłam twarze znane

z wykładów i uczelnianego baru oraz z imprez z udziałem Ingrid, o których myślałam wcześniej. Mark rozmawiał z kolejną kobietą z okrągłymi oczami. Gdzie on je znajdował?

Balkon nad wodą, z balustradą zrobioną z dużych nierównych listew z wyblakłego od soli drewna, ciągnął się wokół budynku.

– Pamiętasz tamte przyjęcia? – zapytała Ingrid. Spoglądała na coś w oddali.

– Tak. Właśnie o nich myślałam.

Sięgnęłam po jej kieliszek, posiawszy gdzieś swój w drodze na dwór, pociągnęłam łyk i oddałam go Ingrid. Piła wodę, zimną i słodką.

Moje wspomnienia niemal krzyczały w bezruchu nocy i ciszy, która zapadła między nami. Zastanawiałam się, czy Ingrid myśli o tych samych czasach. W jakimś oświetlonym świącami domu znajdowała się maleńka kuchnia z jarzeniowym światłem, z aparatury stereo wydobywała się szalenie hałaśliwa – mimo wystawienia głośników do ogrodu – muzyka. Cały blat pokryty był kolorowymi plastikowymi kubkami, a oprócz guinnessa do picia została tylko butelka zielonego likieru o nazwie, której nie dało się wymówić. Czuć było woń grzanek. Ingrid smarowała je masłem znalezionym w lodówce (wypełnionej poza tym piwem), śmiejąc się do rozpuku z nożem w dłoni, z rozmazaną kredką do oczu. Kojący smak przypalonego chleba i dreszcze obrzydzenia na myśl o zielonej cieczy.

– Pamiętam to wszystko jak przez mgłę – powiedziała radośnie Ingrid.

Moje wspomnienia też były mgliste, po czym nabrały ostrości. W jarzeniowym świetle kuchni pojawił się wymachujący butelką ginu Ralph. Aplauz. Mgła.

– Pamiętam to – odparłam. – Pamiętasz tę kuchnię, moment, gdy przyrządzałaś grzanki?

Na twarzy Ingrid odmalowała się niepewność, potem pojawił się uśmiech.

– Och, grzanki. – Przełożyła papierosa do drugiej ręki. – Chyba tak. Myślę, że w taki sposób skończyło się kilka wieczorów. Masz na myśli przyjęcie u Terry'ego?

Zmarszczyłam brwi. Pamiętałam, że spałam w czyimś łóżku

i obudziłam się z okruchami grzanek w pościeli, ale to chyba nie było u Terry'ego.

– Nie, przecież to ja przespałam się z Terryem – zauważyła w odpowiedzi na moje myśli. – Jednak grzanki jedliśmy w jego domu. Milczałyśmy, dopalając papierosy.

– Co masz zamiar tu zrobić, Julio? – zapytała Ingrid, opierając się skrzyżowanymi rękami o poręcz balkonu.

Zadrżałam.

– A co ty zamierzasz zrobić tam? – odpowiedziałam pytaniem, akcentując ostatnie słowo.

Ingrid odwróciła się z grymasem niezadowolenia na twarzy. Rozmowa w rodzaju tych, które toczyłyśmy tuż po jej zaręczynach, gdy jej twarz pałała podnieceniem, gdy mówiłyśmy o małżeństwie, sztuce, miłości, studiach, Nowym Jorku, o wszystkim, nie była już możliwa. O żadnej z tych spraw.

– Muszę się zacząć przygotowywać do studiów na Columbii, do semestru jesienno... to wszystko pochłania tyle czasu i energii. Gil uważał, że powinnam się przez rok wstrzymać, ale ja nie chcę.

Wtedy Grey pojawił się przed nami i wziął ją pod rękę.

– Stęskniliśmy się za tobą – rzekł spokojnie i pocałował ją. – Witaj, Julio. Jak miło cię tu zobaczyć. – Cmoknął mnie w policzek. Jego dłoń pozostała na plecach Ingrid w takim samym władczyim geście, jaki zapamiętałam z obserwacji ich obojga w Nowym Jorku. – Bardzo mi się podoba wasze miasto – dodał, ogarniając spojrzeniem cały port, całe Sydney. – Tyle w nim naturalnego piękna. – Życzliwy ton Greya świadczył o jego lekceważącym stosunku do wszystkiego, co Sydney mogło zaoferować w innych, kulturowych kategoriach. – Woda jest naprawdę wyjątkowa.

Wszyscy troje patrzyliśmy na fale rozbryzgujące się na słupach pirsu, na migoczące światła przepływających łodzi, na okna na drugim brzegu.

– Mówiłam ci, że Julia uwielbia Nowy Jork – przypomniała mu Ingrid. – Wkrótce nas odwiedzisz, prawda?

– Bardzo byśmy tego chcieli – dodał Grey, lecz jego spojrzenie było zimne, tak samo beznamiętne jak to, którym uraczył mnie przed

kolacją w mieszkaniu Maeve, gdy zaobserwowałam, jak patrzyli na siebie nawzajem.

Zdałam sobie sprawę, że się ze mną żegnają. Światła miasta błyskały zwielokrotnione w szklanych ścianach i drzwiach restauracji. Goście zaczęli siadać przy długim stole, czekając na Ingrid i Greya. Przypominało to współczesne odtworzenie Ostatniej Wieczery. Teraz, gdy Ingrid miała zasiąść na środkowym krześle, głosy raczących się winem i czekających na nią osób były podniesione, głośniejsze też brzmiała muzyka.

– Zostanę tu jeszcze przez chwilę – powiedziałam i pozwoliłam im wejść do sali. Szklane drzwi zasunęły się za nimi, budząc we mnie przenikliwe poczucie nieodwracalności. Ich wyjście już w tej chwili zyskało wymiar głęboko symboliczny: Grey zabrał moją przyjaciółkę do środka i zamknął drzwi, odgradzając nas od siebie. Patrzyłam na jej piękną sylwetkę i zastanawiałam się, czy zobaczę ją jeszcze kiedyś w Sydney.

To, co wydarzyło się potem, miało osobliwą perspektywę snu i potwierdziło moje obawy związane z tą uroczystością. Ujrzałam przez szybę, jak Mark rozmawia z Ralphem, który wyglądał na mocno wstawionego. Ralph strząsnął dłoń Marka z rękawa. Ich słowa były nieczytelne, ale spostrzegłam, że Ralph rusza w stronę wchodzących do sali gospodarzy przyjęcia. Podeszedł bliżej i zwrócił się do Greya. Ten spojrzał nań powściągliwie, z troską, lecz to, co mówił Ralph, gwałtownie zmieniło wyraz twarzy jego rozmówcy i ręka Greya powędrowała do jego piersi. Zaskoczyła mnie gwałtowność tego ruchu, który omal nie zakończył się ciosem. Ralph cisnął w Greya kieliszkiem. Rzut nie był zbyt celny. W kieliszku było czerwone wino, więc na grafitowym garniturze nie było widać śladów, została jednak plama na białej koszuli i srebrzystym krawacie, przypominająca kroplę krwi na śniegu.

Widok tej sprzeczki mnie sparaliżował, lecz ujrawszy plamę z wina, ruszyłam się z miejsca powodowana rozpaczliwym, nieszczerym lękiem przed tym, co Ralph może zaraz uczynić. Ręka mi zadrżała, ześlizgnęła się z klamki rozsuwanych drzwi, a gdy próbowałam je otworzyć, zacięły się w pokrytych zaschniętą solą prowadnicach.

Ralph objął Ingrid, przywarł wargami do jej ust i wtedy Grey złapał go za szyję. Do mojej świadomości dotarło słowo „kark”. Przez chwilę widać było konsternację i rozpacz na twarzy Ingrid, nim Mark zdołał odciągnąć Ralpha na balkon – drzwi otworzyły się przed nim gładko, gdy tylko ich dotknął. Poczułam też nagle zapach ich ciał, woń potu i adrenaliny. Drzwi się zasunęły, tworząc dźwiękoszczelne pudło, w którym wszyscy zawzięcie ignorowali tę scenę i pili kolejnego drinka. W samą porę, gdy tylko panna młoda, żona, zajęła swoje miejsce i podniosła kieliszek w stronę pana młodego, na stole pojawiło się pierwsze danie i zerwały się oklaski.

Mark głośno dyszał, głośno też uderzały o pirs niewielkie fale. Ralph wyglądał na chorego i niezadowolonego. Mark pochylił się nad balustradą i przez chwilę wydawało się, że zwymiotuje. Odwrócił się i zaczął rozmawiać gniewnie z Ralphem, który nadal milczał i patrzył na mnie wyzywająco z ponurym błyskiem w oku.

– Chodź – powiedziałam. – Musi tu być jakieś inne wyjście.

Dotarliśmy na koniec balkonu i w szybko zapadającym zmroku obeszliliśmy pirs, którego spłowiałe drewniane ściany i pomost były upstrzone plamami światła. Droga opustoszała.

– Gdzie się podziały te pieprzone taksówki? – zapytał Mark, lustrując wzrokiem ulicę i zapinając rozporek. Znowu.

– Co ty tam wyprawiałeś? – zwróciłam się do Ralpha, nie mogąc powstrzymać furii. Głowa pękała mi w pierwszych objawach kaca.

Ralph strzepnął z garnituru odrobinę popiołu. Jeśli nie liczyć maleńkiego śladu, jaki po nim został, garnitur był nieskazitelnie czysty, natomiast twarz przypominała zniszczoną maskę, która wykrzywiła się w ponurym uśmiechu.

– Tylko się nie rozpłacz – powiedział beznamiętnie i zaczął się oddalać.

Ruszyłam za nim, lecz Mark zatrzymał mnie siłą. Szamotałam się, więc skrępował mi ręce. Ralph dalej szedł. Dłonie trzymał w kieszeniach, rękawy marynarki zmarszczyły się przy łokciach, jak zawsze, gdy zginał ręce w ten sposób. Przepelniały mnie gniew i rozterka, czułam wzbierającą w sercu gorycz. Mark jęknął i zzieleniał na twarzy. Nadjechała krążąca w poszukiwaniu pasażerów taksówka

i zatrzymała się bezgłośnie, by nas zabrać.

W drodze do domu, siedząc na skrzypiącej i pachnącej plastikiem kanapie, myślałam o wyrazie malującym się na twarzy Ingrid, gdy napotkała wzrokiem moje spojrzenie. Barwa cieni pod jej oczami, dołeczki pod delikatną skórą, powiększone tęczówki oczu. Przez ułamek sekundy dostrzegłam w jej obliczu strach, uczucie, którego Ingrid nigdy nie okazywała ani chyba nie czuła. Trudno mi więc było sobie wyobrazić, jakie ślady zostawiłby strach na jej twarzy – czy takie właśnie, sińce pod oczami?

Przez kilka następnych lat myślałam o tym. Doszło do tego, że ilekroć przywoływałam wspomnienie twarzy Ingrid, zawsze najpierw widziałam jej oświetlony słońcem profil, posągową, delikatną twarz Wenus, uśmiechniętej dziewczyny odgarniającej dłonią zbłąkane kosmyki włosów – ale zaraz potem pojawiała się tamto oblicze. Cień pierwszego. Wmawiałam sobie, że to skutek zmęczenia spowodowanego zmianą strefczasowych i stresu, potem zaś byłam przekonana, że to oznaka przerażenia i żalu, i pomstowałam na tę myśl. To była tylko chwila. Wyobrażałam sobie wszelkie możliwe znaczenia.

– Co Ralph mu powiedział? – zapytałam Marka.

Mark poruszył się na kanapie i niechętnie odparł:

– Był naprawdę zalany. Nazwał go dupkiem.

To określenie wydawało się dość mało wyrefinowane jak na Ralpa, ale uwierzyłam.

– Powiedział, że jest niegodziwym sukinsynem. To wszystko. – Mark nabierał sił. – I jeszcze coś o jakiejś suce... chyba o Maeve. Oraz...

– Przestań – wtrąciłam. – Wystarczy. – Nagle znałam każde słowo Ralpa, całą jego przemowę, od początku do końca, i nie byłam w stanie wyobrazić sobie tonu, jakim ją wygłaszał.

Za oknem przesuwwały się ciche ulice, plamy jasności i mroku. Na desce rozdzielczej samochodu widać było podświetloną tarczę zegara. Byliśmy na przyjęciu nieco ponad godzinę. Taksówka zatrzymała się na czerwonym świetle.

– Niech pan mnie wypuści – powiedziałam, łapiąc za klamkę. Rozległ się trzask otwieranych zamków.

- Co takiego? – zdziwił się Mark. – Do ciebie jeszcze kawał drogi.
- Jedź do domu – odparłam i wysiadłam z samochodu.

Gdy tamtego ranka samoloty wbiły się w nowojorskie wieże, w Sydney była późna noc. Cały wieczór spędziłam w łóżku przy ponownej lekturze *Miasteczka Middlemarch* na przyszłotygodniowe zajęcia, jedząc kruche ciastka prosto z pudełka. W momencie zamachu prawdopodobnie czytałam o Lydgate'ach spierających się o to, czy sprzedać meble na spłatę swoich długów. Kiedy się zbudziłam nazajutrz, otwarta książka leżała przygnieciona na łóżku obok mnie. Poszłam do kuchni zaparzyć herbatę i na korytarzu usłyszałam radio. Nie zwracałam uwagi na to, co mówiono w nadawanych właśnie wiadomościach. Słyszałam również, rzecz niezwykła, dobiegający z salonu przy drugim końcu korytarza dźwięk telewizora.

Jenny stała przy kuchennym blacie ze skrzyżowanymi rękami, wpatrując się w podłogę. Pomyślałam, że pewnie czeka, aż zagotuje się woda w czajniku, ale spostrzegłam, że kuchenka jest wyłączona. Ciotka słuchała. Musiała usłyszeć moje kroki i wtedy zwróciła ku mnie twarz.

– Co się stało? – zapytałam, ujrawszy jej zbolące oblicze.

– To z Nowego Jorku – odparła.

– Co?

Zmarszczyłam czoło i potarłam oczy. Wsłuchiłam się w głos z radia. Gdy zaczęłam rozumieć, co w nim mówią – *runął drugi wieżowiec... oddawanie krwi... zaginionych i tysiące uznanych za zmarłych* – rozległ się dzwonek telefonu. Nie przestawał dzwonić. Pogłośliłam radio. Ciotka poszła odebrać. Usłyszałam gwizd czajnika, który potem ustał, okazując się tylko złudzeniem. Przymknęłam oczy, podniosłam czajnik i napełniłam go wodą z kranu.

Ciotka trzymała w dłoni słuchawkę.

– To Ralph – powiedziała.

Wzięłam od niej telefon i przytknęłam do ucha. W tym momencie przypomniałam sobie o Ingrid. Wcześniej o niej nie myślałam – jedynie o samolotach, budynkach i pięćdziesięciu tysiącach worków na zwłoki, które zdaniem spikera zamówił Giuliani.

– Ralph?

Przez chwilę na linii była cisza, po czym usłyszałam:

– Próbuję się dodzwonić do Greya. Nie mogę uzyskać połączenia. Nie słysząc nawet sygnału. Po prostu głucha cisza.

– Jej nic się nie stanie, prawda? – Próbowałam słuchać radia i uporządkować myśli. Musiałam się napić herbaty. Ciotka zaczęła ją przygotowywać, wsypując listki łyżką do dzbanka. – To się stało w samym centrum, prawda? Ingrid nigdy nie zapuszczała się tak daleko. Cóż by miała tam robić? – zaczęłam analizować. – Po co miałyby być w World Trade Center o... dziewiątej rano?

– Wiem...

– Mieszka poza centrum. To przecież daleko. W Upper West Side.

– Wiem, Julio...

– To chyba ze sto przecznic dalej. Może nawet więcej niż sto.

– Wiem, Julio, wiem. Chcę po prostu wiedzieć, że jest cała i zdrowa.

Wtedy zaczęłam myśleć o innych osobach, które znałam w Nowym Jorku. Czy ktoś z nich w ogóle jeszcze tam mieszka? Nie wiedziałam.

– Obudziłem się pół godziny temu i po prostu włączyłem radio... – W głosie Ralpha dominował ton panicznego lęku.

– Zadzwoń, gdy będziesz miał jakieś wieści od Greya, dobrze? Gdy się do niego dodzwonisz – poprosiłam.

Myślałam o tym, by zaproponować, że do niego przyjadę. To właśnie zrobiłabym pół roku wcześniej. Ale sytuacja się zmieniła. Czajnik zaczął hałaśliwie gwizdać, tym razem naprawdę. Jenny wyłączyła gaz, a ja pożegnałam się z Ralphem.

– Robię herbatę – powiedziała Jenny, jakby chciała mnie uspokoić.

– Dzięki.

Była dziewiąta rano, mniej więcej o tej samej porze samolot uderzył w pierwszy wieżowiec. Jenny nalala herbaty do filiżanek. Zaniósłszy je do salonu i siedziałyśmy tam przez godzinę, oglądając telewizję, patrząc, jak samoloty znowu atakują raz za razem w ujęciach z różnych stron, jak budynki zmieniają się powoli w chmurę pyłu i dymu. Widziałam, jak ciemny pióropusz wznosi się i wygina na niebie, by opaść na Brooklyn po drugiej stronie East River, i czekałam, aż telefon ponownie zadzwoni. Milczał.

Zatelefonowałam do Ralpa, lecz linia była zajęta. Włączyłam komputer i zirytowana warkotem i szumem ozywającej maszyny wysłałam w końcu e-mail do Ingrid – zakładka dowodziła, że od ostatniej wymiany korespondencji między nami minęło sześć miesięcy. „U Ciebie wszystko w porządku? Zadzwoń do mnie”. Wyślij. Modem wydał z siebie szmer, na ekranie w równym rytmie małej maszyny zamrugał kursor.

Po następnych dwóch godzinach i kolejnych próbach dodzwonienia się do Ralpa poszłam do mojego pokoju i wyszperałam notes z adresami. Było w nim nazwisko Ingrid oraz jej nowojorski numer telefonu. Miałam wrażenie, że sygnał w słuchawce rozległ się po nieskończone długim czasie, w którym na wyobrażenie głosu Greya skręcało mi kiszki.

Ciotka popatrzyła na mnie. Na głowie miała biały słomkowy kapelusz i wychodziła do ogrodu. Telewizor był wyłączony, ale radio wciąż grało.

– Nie chcę tego dłużej oglądać – wyjaśniła. Zgodziłam się z nią. Jenny podwinęła rękawy lnianej koszuli. – Na pewno znowu zadzwoni, gdy będą jakieś wieści – dodała. – Jeżeli stało się coś złego, dowiesz się o tym.

Skinęłam głową. Chciałam jej powiedzieć, by zmieniła koszulę, żeby nie wychodziła w niej do ogrodu. Chodziło o tę w perłowoszarym kolorze, która mi się podobała i która kiedyś była biała, lecz zbyt wiele razy została wyprana z rzeczami w innych kolorach. Wróciłam do lektury *Miasteczka Middlemarch* i kłopotów Lydgate’ów. Komputer nadal milczał uspiiony, ekran monitora był pusty.

Zbliżał się wieczór i gdy telefon znowu zadzwieczał, plama słonecznego światła zdążyła już przewędrować z łóżka na podłogę. Szybko odłożyłam książkę – ręka mi zeszywniała od jej trzymania – i wstałam, żeby odebrać. W słuchawce usłyszałam nie Ralpa, lecz Marka.

– Cześć, Julio. Właśnie włączyłem radio i się dowiedziałem.

Jakie to dziwne, pomyślałam, że wszyscy otrzymujemy pierwsze wieści o ataku w ten sposób, niczym doniesienia z drugiej wojny światowej.

- Dlaczego dopiero teraz? – zapytałam.
- Cały dzień czytałem w domu, pracując nad tym cholernym rozdziałem. – Miałam wrażenie, że się broni. – Czemu do mnie nie zadzwoniłaś? Chryste...
- Nie myślałam o tym. Przepraszam.
- Westchnął.
- To ja przepraszam. Słuchaj, czy z twoją przyjaciółką wszystko w porządku? Ingrid... mieszka w Nowym Jorku, zgadza się?
- Nie wiem. Nie wiem, czy nic się jej nie stało, nie mogę się z nią skontaktować... ale ona mieszka poza centrum. Jestem pewna, że nic jej nie będzie.
- Słusznie. W porządku. Co porabiasz?
- Czytam. – Zmiotłam z kolan parę okruchów.
- Przyjedziesz?
- Cóż, dobrze.
- Zaczynam przygotowywać kolację.
- Kolację? – Zapomniałam. Tego wieczoru Mark przyjmował gości. – Zaraz u ciebie będę.

*

Zanim wyszłam, próbowałam jeszcze dwa lub trzy razy dodzwonić się do Ralpa i Greya. Nie odbierali. Samochód zapalił po kilku próbach i ruszyłam w drogę. Ulice wydawały się mniej ruchliwe niż zwykle. Mark mieszkał tylko parę przecznic od mieszkania Ralpa w Kings Cross i myślałam, żeby tam podjechać, ale zrezygnowałam.

Oboje z Markiem wybraliśmy się na zakupy i wróciliśmy z górą jedzenia – z długimi bagietkami, które sterczały z papierowych toreb niczym włócznie, z wilgotnymi paczkami ryb i krewetek, kilkoma jasnozielonymi porami i sałatami, workami cytryn i jajkami w pudełkach. Wydawało się, że trzeba nakarmić gości lepiej niż zwykle.

Gdy znaleźliśmy się w mieszkaniu, Mark od razu włączył mały telewizor. Ja przystanęłam tuż za progiem i patrzyłam na ekran z korytarza. Wieżowce zawały się na nim raz za razem. Postawiłam ostrożnie torby z zakupami i stałam bez ruchu. Z odbiornika dolatywały ciche dźwięki i głosy. Podeszłam do telefonu i wybrałam numer do

Ralpa. Nadal nie odbierał. Mark wyjął aparat z moich rąk.

Nie znosił łez. Pocałował mnie. Małe wieżowce na ekranie płonęły, dymiły i rozsypywały się w proch. Mark wyłączył telewizor.

On gotował, a ja siekałam, obierałam ze skóry i myłam wszystkie składniki. Był dobrym kucharzem. Pierwsi goście przybyli wcześniej, potem przychodzili następni: sąsiedzi z góry z butelkami wina, przyjaciele zaproszonych przyjaciół, którzy nie chcieli być sami i chcieli coś zjeść. O siódmej w jego małej kuchni-jadalni zebrało się dziesięć osób i wszyscy szybko traciliśmy trzeźwość. W zlewie i na stolikach piętrzyły się talerze.

Zanim zasiedliśmy do stołu, zadzwoniłam do Jenny.

– Są jakieś wieści od Ralpa? – zapytałam.

– Nie, kochanie, przykro mi. Gdy tu zadzwoni, powiem mu, żeby natychmiast się z tobą skontaktował.

– Dobrze się czujesz?

– Och, w porządku. Smutno mi... obawiam się tego, co zdarzy się teraz. Wojny, która zaraz wybuchnie. – Jenny sprawiała wrażenie zmęczonej. – O mnie się nie martw. Trzymaj się.

– Cześć.

Mark – wylewny i wielkoduszny gospodarz otwierający butelki z winem, napełniający opróżnione kieliszki, dogadzający wszystkim gościom – czuł się jak ryba w wodzie. Nalał mi wina i pocałował niedbale. Popatrzyłam na niego. Jeżeli kiedykolwiek należało powiedzieć „Kocham cię”, byłby to odpowiedni moment. Potwierdzenie w obliczu tego, co działo się tam, na ciemnym teraz i niemym ekranie telewizora, na drugim końcu świata, w dymiącej dziurze w ziemi i stercie gruzów.

– Może się tutaj przeprowadzisz? – zaproponował.

Nie miałam nawet klucza. To znaczy miałam, ale Mark o tym nie wiedział.

– No, no!

– Po prostu to przemyśl – dodał, ścisnął mnie w tali i powrócił do roli gospodarza, ściągając brwi w reakcji na właśnie opowiedziany przez kogoś dowcip i rozlewając wino z butelki.

Wszyscy byliśmy wciąż oszołomieni. Poczucie zagrożenia, jak

można było przewidzieć, zjednoczyło nas i w ciągu wieczoru zjawiali się następni mieszkańcy budynku, rósł tłum gości. Było to jednak zagrożenie dziwnie odległe: tam, na drugim końcu świata, znowu nastał ranek. To sprawiało, że Nowy Jork i całe Stany Zjednoczone wydawały się bliższe i dalsze zarazem. Druga półkula, druga część doby. Raz na jakiś czas ktoś wstawał i podchodził do telefonu lub otwierał komórkę, żeby zadzwonić do kogoś stamtąd albo do znajomego stąd, by poznać aktualne wieści. Jedna z sąsiadek z góry czekała na wiadomość o przyjacielu jej brata, zatrudnionym w jednej z instytucji finansowych, które miały siedziby w zburzonych wieżowcach. Co pół godziny podchodziła do stojącego w kącie komputera Marka, żeby sprawdzić pocztę elektroniczną. Jej partner z upływem wieczoru robił się coraz bardziej nieznośny i wdał się z jednym z zaproszonych gości, podobnie jak Mark studiującym filozofię, w długi spór o to, co naprawdę się wydarzyło w Sudanie i podczas wojny w Zatoce Perskiej.

Nie wiem, czy już wtedy miałam poczucie sztuczności tego braterstwa, czy też tak to widziałam z perspektywy czasu, ale cała scena tego wieczoru wydawała się drobiazgowo zaplanowaną sekwencją filmową, w której starannie zaaranżowano ruchy wszystkich postaci. Ktoś zapalił świece stojące na regałach pod ścianami i na parapetach okien. Wydawało się, że nie ubywa w nich wosku. W ich blasku wszystkie twarze były delikatnie oświetlone. Przypuszczam, że to braterstwo było nie tyle sztuczne, ile powodowane zażenowaniem i nieokreślonym panicznym lękiem wszystkich obecnych. Wszyscy bowiem szukaliśmy towarzystwa i pocieszenia, obawiając się samotności w swoich domach. Po deserze jeden z przyjaciół Marka próbował wejść za mną do łazienki.

– No, Julio – rzekł, sięgając mi ręką pod bluzkę. – W takich chwilach należy afirmować życie, prawda?

– Chyba żartujesz. – Trzepnęłam go w rękę. – W każdym razie odmawiam. Odpieprz się. Wracaj do salonu.

Ku swemu przerażeniu przypomniałam sobie wówczas, że wiele lat wcześniej to jego chwyciłam za kolano okryte czarnym dżinsem. To on, Derek, nie widział filmu *Ben Hur*. Co ja sobie wyobrażałam? Mroczny korytarz rozjaśniało światło padające od drzwi łazienki, nasze

cienie stały mu na drodze.

– Nie ma sprawy. – Wzruszył ramionami. – Chcesz trochę hery?

– Nie. I nie szprycuj się tutaj. Jedź do domu.

Derek zasiadł z powrotem przy stole i gdy wróciłam z łazienki, z kieliszkiem wódki Marka w dłoni gawędził z jednym z pozostałych gości. Zastanawiałam się, jak szybko zostanie prawdziwym ćpunem. Dobrze rozważyłam jego narkotykową propozycję i postanowiłam dalej pić swoje czerwone wino. Pomyślałam o Ralphie, ciekawa, co robi. Wspomnienie sygnału jego dzwoniącego w nieskończoność telefonu nie dawało mi spokoju. Na końcu stołu jakaś para z góry otworzyła pudełko z CD i oboje studiowali teksty piosenek wydrukowane na ulotce w środku. Wyglądało na to, że rozstrzygali jakiś spór. Mężczyzna rozsiadł się na krześle i wzruszył niechętnie ramionami.

– Zawsze myślałem, że chodziło o „klej”, a nie „lej”, to w każdym razie brzmi sensowniej.

Pomyślałam też o Ingrid i po raz pierwszy od wielu miesięcy zastanawiałam się, jak wypełnia swój ranek; wyobrażałam ją sobie w domu w Upper West Side, którego nigdy nie widziałam. Miałam nadzieję, że żyje. Potem poczułam gwałtowny ból i z lekkim zdziwieniem uzmysłowiłam sobie, że przez cały dzień byłam otepiąta. W sporej mierze był to ból znajomy i prozaiczny – Ralph, Ingrid, strata. Bałam się tego, co przyniesie następny dzień. Czy ostatni kieliszek wina nie był błędem? Rozejrzałam się za następnym.

Mark kroił dwie okrągłe tarty cytrynowe.

– Możesz ubić trochę śmietany? – zapytał, nie spuszczać oczu z noża.

Uznałam to za nudne zajęcie.

– Nie – odparłam. – Nie wydaje mi się.

Spojrzał na mnie.

– Może usiądziesz – zaproponował, wziął mnie za rękę i zaprowadził do kanapy.

Usiadłam między dwiema osobami, które przesunęły się, żeby zrobić mi miejsce. Mark wrócił po kilku minutach z widelcem i kawałkiem żółtej tarty na talerzyku. Ciasto było należycie słodko-kwaśne. Wszystkie zmysły skupiły się w moim języku.

– Ona czeka na wiadomość o swojej przyjaciółce – powiedziała siedząca obok mnie kobieta do mężczyzny, który przysiadł na poręczu kanapy. Ten skinął poważnie głową. Przełknęłam ślinę i ze zdziwieniem zrozumiałam, że kobieta mówi o mnie. Następne dni jakby rozciągały się na resztę tego tygodnia i kolejny tydzień. Otrzymam wiadomość od Ralpha, on w końcu skontaktuje się z Greyem, przypuszczalnie pokłóci się z nim przez telefon i okaże się, że to wszystko było fałszywym alarmem. Oczywiście nic się jej nie stało. Mieszkali w dzielnicy willowej. Ona w ogóle tak daleko do śródmieścia nie jeździła. Czegóż by tam miała szukać? Zresztą cóż ja wiem o jej życiu?

– Ona nie jest bliską przyjaciółką – usłyszałam swój głos.

Jak na dany znak zadzwonił telefon. Zapadła krótka cisza, którą szybko wypełniły rozmowy. Przestałam się tym przejmować, nie przypuszczałam, że dzwonią do mnie. Ale ktoś, kto odebrał, podszedł do Marka, on zaś stanął za mną, położył mi dłoń na ramieniu i rzekł:

– Julio, dzwoni Eve.

Uszy wypełnił mi gwałtowny szum, spowodowany zapewne napływem mojej własnej krwi. Ton głosu Eve powiedział mi wszystko, zanim usłyszałam szczegóły; przebił się przez zgiełk w mojej głowie na tyle, bym usłyszała, że Eve dowiedziała się od Greya, że nie ma wiadomości, i że Ingrid się nie odzywa i że była tam.

Następna godzina. Ekran ciemnieje, zlewa się kolejnego ranka z szybko zmieniającymi się, zastygłymi w bezruchu obrazami, na których widzę siebie jakby we śnie: siedzącą, słuchającą z czarnym plastikowym telefonem przy uchu; stojącą w łazience, lgnącą do kogoś (czy to Derek, czy kobieta z kanapy?) z posmakiem wymiocin i cytryny w ustach, teraz mdląco słodkim. Leżącą nago w łóżku z zaczerwienionymi oczami i bólem gardła, obok Marka, który zsuwa się ze mnie ociężale. Nadal w łóżku, tym razem ubrana w jedną z jego błękitnych prążkowanych koszul. Obraz staje się jasny, gdy późnym rankiem otwieram oczy i w pokoju z opuszczonymi roletami jest ciemno. Z kuchni dobiega odgłos płukanych i odstawianych na suszarkę naczyń i dolatuje zapach kawy na kuchence.

Mark stał bosy w kuchni, odziany w popielatą koszulę oraz dżinsy. Był tam też jeden z sąsiadów z góry i obaj stali przy zlewie. Grało radio.

Spojrzałam ostrożnie na Marka.

– Czy to prawda? – zapytałam, ponieważ zaczęło to do mnie wracać. Miałam jeszcze nadzieję, że to był tylko zły sen.

– Cześć, kolego – rzekł sąsiad i poklepał Marka po plecach. – Przykro mi – wymamrotał, przechodząc obok mnie.

Weszłam do łazienki i znowu zwymiotowałam. Wyrzuciłam z siebie niewiele, ale i tak poczułam się lepiej. Gdy wróciłam do kuchni, Mark nadal mył talerze.

– W porządku – powiedziałam.

– Nadal jesteś w szoku.

– Nie, nic mi nie jest.

– Dobrze.

Nalał mi kawy do filiżanki. Wypiłam i usiadłam przy stole. Błat był wykonany z niemalowanego, zeszpeconego wgłębieniami drewna, zniknęły zeń wszystkie ślady ubiegłej nocy. W radiu puszczone muzykę: gitary i głosy.

– Masz zamiar zadzwonić do Ralpha? – zapytał Mark.

Pękła we mnie jakaś cienka nić, otwierając ziejącą otchłań.

Zamknęłam ją i usiadłam wyprostowana na krześle.

– Nie.

I nie zadzwoniłam.

*

Mark przez jakiś czas nie wracał do pomysłu mojej przeprowadzki do niego. Ulżyło mi, chociaż byłam ciekawa, jak daleko by się posunął. Wszyscy jego sąsiedzi – nawet ci, których tamtego wieczoru na pewno nie było u Marka – spoglądali na mnie z troską, gdy widywali mnie teraz w budynku bądź na ulicy nieopodal. Stałam się dla nich znajomą osobą, która znała kogoś, kto... Czasami któryś z nich wstępował do antykwariatu – mieszczącego się w niewielkiej odległości – i doszło do tego, że zawstydzona i zła na siebie odchodziłam od lady, chowając się w małym ciasnym biurze Martina, żeby uniknąć takich spotkań. Przypuszczam, że wyglądało to na dowód przytłaczającego żalu. Może rzeczywiście mnie przytłaczał. Ja traktowałam to jak zwyczajny unik.

Ralph nie dzwonił do mnie ani ja do niego. Dni niewiele różniły

się od poprzednich, tyle że gdy teraz pomyślałam o Ingrid, musiałam dokonywać gwałtownych zabiegów w świadomości, żeby skierować myśli na jakikolwiek inny tor.

Wcześniej ten manewr był wolniejszy. Niekiedy zwrot okazywał się nie dość szybki i te chwile bywały bardzo trudne. Wywoływały je drobne głupstwa: ktoś kupujący książkę po łacinie (niewiele ich mieliśmy w antykwariacie); kadr z *Ogni świętego Elma* pokazywanych w telewizji późną porą; odgłos błyskających na niebie fajerwerków. Kiedy po raz pierwszy po zawałeniu się wieżowców World Trade Center usłyszałam huk sztucznych ogni, dech mi zaparło w ataku panicznego lęku i weszłam przez najbliższe drzwi. Znalazłam się w paskudnym barze drogiego hotelu pełnym mężczyzn w garniturach, odprężających się tam po pracy w piątkowy wieczór. Wypiłam coś szybko, wciąż słysząc odgłos odległych wybuchów, pamiętając zapach słonego powietrza na wieczornym promie.

Dziesięć dni po jedenastym września otrzymałam przesyłkę z wydziału filologii klasycznej. We współpracy z wydziałem anglistyki urządzał on „spotkanie dla uczczenia pamięci Ingrid Holburne-Grey”. Było to krótkie zawiadomienie na cienkim papierze z datą i godziną spotkania. Złożyłam je wpół, żeby nie było widać tekstu, i zostawiłam na biurku, gdzie leżało tak lekkie, jakby miało odlecieć z najdelikatniejszym podmuchem wiatru. Zastanawiałam się nad pogrzebem w Nowym Jorku, nabożeństwem żałobnym, nad czymś, co robią ludzie, gdy nie ma ciała zmarłego. Grey nie wysłał mi żadnej informacji na ten temat – w ogóle nie miałam od niego wiadomości, a jedynie ich fragmenty uzyskane raz czy dwa razy od Eve w postaci krótkich nagrań na automatycznej sekretarce. To wszystko, co mieliśmy otrzymać.

Nabożeństwo miało się odbyć w czwartek o szesnastej. Rano postanowiłam się na nie wybrać i powiedziałam Martinowi, że będę musiała wyjść wcześniej.

– Oczywiście – odparł, mrugając i kiwając głową, gdy weszłam do jego biura.

Zasiedziałam się w sklepie, mimo że minęła już pora wyjścia. Po południu zrobiło się ciepło i sucho. Ruch na ulicy był niewielki.

– Idź już – rzekł w końcu Martin, przejmując pieczę nad kasą, i na odchodnym otworzył mi drzwi.

*

„Uroczystość” odbywała się w świetlicy wydziału filologii klasycznej. Gdy szłam po schodach, słyszałam, jak ktoś przemawia. Dotarłszy za próg szklanych drzwi, spostrzegłam, że to promotor Ingrid. Wyglądał znacznie starzej, niż go zapamiętałam. W świetlicy było około trzydziestu osób, wszyscy stali, i kilka stołów pod ścianą, zastawionych butelkami wina i tacami z kanapkami, które wyglądały okropnie. Stary szef wydziału anglistyki siedział na krześle z przodu sali, marszcząc ponuro brwi, z laską w dłoni. Próbowałam się skupić na słowach promotora Ingrid – trudno go było dojrzeć zza pleców wszystkich zebranych, a jego głos nie był zbyt donośny. Domyślałam się, że mówi o jej pracy dyplomowej i o tym, jakim szacunkiem darzono ją na wydziale, odkąd przyjęto ją na studia w Columbi, po czym skończył.

Ralph stał twarzą do zebranych, przekładając kartki w dłoni. Zauważyłam ze ściśniętym sercem, że ma na sobie sztruksową marynarkę w kolorze przymglonej czerni, która, co zakrawało na ironię, miała na rękawach w okolicach łokci łąty z miękkiej skóry. Zobaczył mnie, dopiero gdy postąpił naprzód i stanął na miejscu promotora Ingrid. Wtedy, lustrując wzrokiem słuchaczy, popatrzył mi prosto w oczy. Nie był chyba zaskoczony moim widokiem i prawie nie pokazał po sobie, że mnie poznał. Na czoło wystąpił mu pot i wyglądał równie niezdrowo jak zawsze. Odchrząknął, uniósł brodę i zaczął mówić swoim uroczym głosem, przeciągając samogłoski.

Mówił krótko. Podziękował obu wydziałom za urządzenie spotkania i przypomniał, jak bardzo Ingrid kochała zarówno filologię klasyczną, jak i angielską.

– Roztaczała wokół siebie blask – powiedział – czego świadkami byliście wy, którzy ją znaliście i uczyliście. Wszyscy pokładaliśmy w niej wielkie nadzieje. I nie mogliśmy się doczekać jej kolejnych dokonań.

Wtedy przypomniałam sobie z olśniewającą wyrazistością, jak jego śmiejący się niemal do rozpuku ojciec wydyszał: „Nie mogę się doczekać, Ingrid, co teraz zrobisz!”. George zawsze wymawiał jej imię z lekko muzyczną intonacją, więc wydawało się, że ma więcej sylab, niż naprawdę miało. Tydzień – a może miesiąc? – później zmarł. Od kiedy planował swój zapis testamentowy, swój wielki wkład w jej pragnienie ciekawszego życia? Zwiesiłam głowę.

Gdy uniosłam wzrok, Ralph czytał z kartek, ale te zapiski nie były mu potrzebne i w pewnym momencie złożył je wpół i mówił dalej. Nie rozumiałam po łacinie, ale jakoś rozpoznałam łacińską intonację i słowa. Słuchający go ludzie patrzyli na małe złożone ulotki, na których wydrukowano ten wiersz wraz z przekładem na angielski.

Chodziło o Apolla ścigającego Dafne oraz o jej błaganie o ratunek. Usłyszała ją matka, bogini Gaja, i zmieniła Dafne w drzewo laurowe. Ingrid recytowała nam, mnie i Ralphowi, fragment pewnego popołudnia na trawniku przy barze. Gdy przerwała, Ralph spojrzał na nią z ukosa. Słońce świeciło mu w oczy i osłonił twarz dłonią. Ingrid spoglądała na swą książkę. Ralph wyjął z torby tomik w broszurowej oprawie, przekartkował go i przeczytał następujący tekst:

*Po to Apollo ścigał Dafne krewką,
By przemieniła się w bobkowe drzewko;
Pan nimfę Syrinks dlatego jedynie
Gonił, by w końcu zaświstać na trzcinie*⁴.

Były to wersy z *Ogrodu*, wiersza Andrew Marvella – wiedziałam o tym, ponieważ dzień wcześniej, siedząc obok Ralpa, wysłuchałam wykładu o nim. Ingrid zmarszczyła wówczas brwi, po czym uśmiechnęła się do niego z typową dla niej pobłażliwością. Trudno było ocenić, co sobie pomyślała. Wiersz Marvella stanowił mrozącą krew

w żyłach wizję bezdusznych bogów ścigających biedne nimfy i zrozumiałam ukazaną w nim zimną logikę pożądania. Przecież laur zwycięstwa i trzcina, z której wykonano muzyczny instrument, nie były namiastkami kobiet, których nie udało się schwytać. Od samego początku stanowiły cele pościgu, kobiety były po prostu ofiarą złożoną dla ich osiągnięcia.

Bez względu na to, czy Ralph myślał teraz o Marvellu, czy nie, jego wybór wydawał się dziwny, choć Ingrid uwielbiała Owidiusza. Dafne krzyczała ze strachu i rozpacz, czuła też, jak zmienia się w roślinę. Już dawno nie słyszałam głosu Ralpa. Przymknęłam na chwilę powieki i uświadomiłam sobie, jak bardzo lubię jego brzmienie i jak bardzo było ono czasem irytujące. Jeszcze jeden skrócony moment żałoby. Otworzyłam oczy. Głos Ralpa był niewzruszony, ale trzęsła mu się dłoń. Skończył mówić i poprzedni mówca znowu podszedł bliżej i poprosił wszystkich, by zostali, porozmawiali i wzniesli toast za Ingrid, naszą drogą zmarłą przyjaciółkę.

Jak najszybciej ruszyłam do stołu z jedzeniem i piciem.

Na szczęście nie wystawiono zdjęć Ingrid. Przychodząc, bałam się między innymi, że ktoś urządzi pokaz slajdów. Z aparatury stereo płynęła cicho muzyka Bacha. Pewnie to Ralph przygotował płytę z zestawem utworów specjalnie na tę okazję. Ściany ze starych cegieł w kolorze rdzy zmieszanej z krwią, z białymi spoinami, nie zostały otynkowane. W pomieszczeniach uniwersytetu nie było klimatyzacji. Dwa wentylatory zwisające z odsłoniętych grubych belek stropowych mieszały powietrze. Czarna krepa sukienki przyłgnęła mi do pleców.

Ed stał parę kroków dalej, w jego oczach widać było straszny smutek. Muskularne kiedyś ciało wioślarza zwiotczało pod prostym garniturem w wąskie prążki. Pracował w bankowości. Nie byłam nawet pewna, czy faktycznie tak jest, czy tylko to wymyśliłam. Na drugim końcu sali dostrzegłam profil Eve pochłoniętej rozmową z jakimś siwowłosym akademikiem. Gdy spojrzałam ponownie w tę stronę, już jej nie było.

– Przepraszam, czy pani Julia Alpers? – zwrócił się do mnie mężczyzna w białej koszuli.

– Tak.

Miał niemal zupełnie siwe teraz, a kiedyś rude włosy i jasne rzęsy.
– Nazywam się Roger White. Jestem dawnym nauczycielem...
dawnym znajomym... Ingrid. – Długo ścisnął moją dłoń. – Bardzo miło
panią poznać. Przez te lata wiele o pani słyszałem.

Uśmiechnął się z głębokim smutkiem. Przypomniałam sobie, że
w szkole średniej uczył Ingrid łaciny i francuskiego, to on był jej
mentorem i przygotowywał ją do studiów uniwersyteckich. Ingrid
mówiła o nim jak o wybawcy. „W tej... dziczy, w tym liceum – słowo
»liceum« zabrzmiało w jej ustach jak synonim specjalnego kręgu piekła
– był po prostu... światłem przewodnim. Wskazującym drogę ku
inteligencji, wiedzy i tłumaczącym, że nie chodzimy tam tylko po to, by
się przygotować do przyszłej pracy dyrektorów finansowych, szefów
firm, lekarzy lub do roli ich żon. Że chodzi w tym o coś więcej”. Z tego,
co mówiła, byli sobie bliscy i czasem się zastanawiałam, czy kochała się
w nim lub on w niej. Spotykając go teraz, nie bardzo mogłam to
zrozumieć, ale potrafiłam sobie wyobrazić ich razem, jak analizowali
przekłady w bibliotece po zakończeniu lekcji, snując wielkie plany na jej
udaną uniwersytecką przyszłość.

Nie bardzo wiedziałam, co powiedzieć.

– Ja też sporo o panu słyszałam.

– To taka tragedia... tak się ucieszyłem na wieść, że wybiera się na
studia na Columbii, że nie zrezygnowała z dawnych marzeń. A teraz... –
Westchnął. – Była taką bystrą dziewczyną. Ale przecież pani o tym wie.

– Owszem.

– Cóż, dobrze, że panią w końcu poznałem – rzekł i się oddalił.

Był tam jedyną osobą z jej życia przed przybyciem do Sydney,
z życia w Perth. Zanim poznała Ralpha, mnie, przed tym wszystkim.
Rozmawiali też ze mną inni ludzie. Nikt mnie nie dotknął ani nie
uścisnął mi dłoni. Gdy wróciłam do stołu z winem, zderzyłam się
z Ralphem.

– O, cześć – powiedziałam.

– Cześć.

Przypomniałam sobie brzmienie jego głosu, gdy tamtego dnia
rzekł przez telefon: „Już wiem, Julio”.

– Eve do mnie zadzwoniła – dodałam.

– Wiem.

Napełnił nasze kieliszki. Wypiłam szybko, nim zdążył wznieść toast, po czym uświadomiłam sobie, że w tych okolicznościach byłoby to niemożliwe. Kiedyś miał taki zwyczaj, zwyczaj wznoszenia toastów przy każdym drinku, nieprzemyślanych, żywiołowych, głupkowatych. Pił za zdrowie każdego, kto urządzał przyjęcie, na którym byliśmy, lub za osobę, która właśnie wygrała w Trivial Pursuit, albo za zupełnie nieznaną lub skrajnie przygnębiających poetów czy filmowców, których dzieła analizowaliśmy na zajęciach w danym tygodniu. „Za starego poczciwego George’a Mereditha. I za nowoczesną miłość!”.

– Ja ją o to poprosiłem – wyjaśnił. – Sam nie byłem w stanie.

– Tak powiedziała.

Odsunęliśmy się od stołu i wmieszaliśmy z powrotem w rzednący tłum.

– Przez pewien czas niewiele byłem w stanie zrobić. – Uśmiechnął się blade, nie patrząc na mnie. – Dziwnie jest znowu znaleźć się tutaj, prawda?

Rozejrzałam się po sali. Wcześniej byłam tu może ze dwa razy i chyba raz z nim oraz Ingrid. Na jakimś wykładzie publicznym, na uroczystym pożegnaniu jednego z naszych profesorów, przechodzącego na emeryturę.

– To znaczy w kampusie. W tym starym budynku. Na starych śmieciach.

– Tak, też tak sędzę.

– Te kanapki są okropne. Co raczej nie dziwi.

– Za to wino mi smakuje. – Tym byłam zdziwiona.

– Och, to. – Odwrócił wzrok. – Ja je przywiozłem – wyznał. – Nie mógłbym przełknąć tego, co normalnie podałiby tutaj przy takiej okazji. Kanapki to jedno, ale... – Wypił łyk wina. – Spenetrowałem piwnice w Kirribilli w poszukiwaniu kilku butelek czegoś porządnego.

– To bardzo ładnie z twojej strony.

– Owszem.

W głosie Ralpa pojawiła się drobna nuta figlarności i autoironii – niewielka plamka pod grubą warstwą żalu i desperacji. Wcześniej zdjął marynarkę i widać było, że koszula jest na niego za duża; z tyłu

wysunęła mu się spod paska. Wetknął dłoń do kieszeni. Bardziej niż kiedykolwiek chciałam mu wyznać miłość. To było zatrważające. Pragnęłam wziąć go za rękę. Chciałam wyjść.

Podszedł do nas Ed. Spojrzał na mnie surowo, bacznie przypatrując się mojej twarzy.

– Julia – rzekł. – Dawno się nie widzieliśmy.

Wydawał się o wiele lat starszy zarówno od Ralpa, jak i ode mnie. Jego szeroki krawat nie pasował do garnituru, który miał na sobie.

Klepnął Ralpa w plecy.

– Muszę lecieć, wracam do biura. – Jego twarz miała ponury i surowy wyraz. Wymienili uścisk dłoni i Ed zniknął.

Wszyscy pozostali byli nauczycielami akademickimi lub osobami, które kiedyś studiowały razem z nami. Rozpoznałam parę twarzy z wykładów, z zajęć, z baru. Wiedziałam, że z tymi ludźmi należało porozmawiać i powspominać – czyż nie temu służyły takie spotkania? Ta perspektywa była nie do zniesienia. Przypomniałam sobie, dlaczego zamierzałam zostać w domu.

Poczułam na policzku gorący oddech Ralpa.

– Wynośmy się stąd... możemy? Chodźmy się czegoś napić.

– Już myślałam, że nigdy tego nie zaproponujesz.

W świetlicy pojawił się cień tego, jak kiedyś było między nami. Wyszliśmy z budynku.

– Tam nie – powiedział Ralph, gdy mijaliśmy uniwersytecki bar, nie patrząc nawet w jego stronę. Szliśmy na wzgórze do Newtown i wylądowaliśmy w małym lokalu, gdzie w przyćmionym świetle usiedliśmy na samym końcu baru. Akurat sprzedawano dwa drinki w cenie jednego i piliśmy czerwone koktajle zrobione z jagód i aromatyzowanej wódki.

Przez tę jedną „radosną” godzinę rzeczywiście znaleźliśmy powody do śmiechu. Ucieczka ze stypy podniosła nas na duchu. Po zamówieniu drugiej kolejki umilkliśmy. Bar wypełniał się ludźmi. Jakaś kobieta przy stoliku za nami opowiadała historię, która coraz bardziej śmieszyła jej przyjaciół. Ralph zapalił papierosa i uśmiechając się, spojrzał na mnie kątem oka.

– Co twoim zdaniem ich tak bawi? – zapytał i wypuścił dym z ust.

– Nie wiem. Słyszałam tylko coś o tym, że nie była całkowicie ubrana.

Ralph zamarkował wzruszenie ramionami.

– Cieszymy się, że nie możemy dosłyszeć reszty.

Kolejni goście tłoczyli się wokoło, spychając nas w kąt baru. Dotknęłam kolanami nóg Ralpha, on zaś ponownie je skrzyżował, trącąc mnie podudziem.

O Ingrid nie rozmawialiśmy. Długo opowiadał mi o tym, co teraz czyta i czego słucha – wyglądało na to, że za dużo opery. Ja opowiedziałam, jak mi idzie w antykwariacie i o moich zamiarach podjęcia w przyszłym roku studiów na wydziale prawa. Ralph miał mnóstwo własnych pomysłów na to, nad czym powinnam pracować. Tworzyliśmy w tłumie drobną niszę intymności. Nie mogłam oprzeć się refleksji, jak osobliwa i zarazem dobrze znana jest ta intymność – zatrzymując ją dla siebie, nie chcąc, by prysł czar.

Dłoń Ralpha musnęła moje udo tuż nad kolaniem i zatrzymała się tam o jedną sekundę za długo. Zakręciło mi się w głowie. Za barem zaświszczał ucierający owoce mikser. Dwaj barmani z twarzami bez wyrazu poruszali się szybko, napełniając kieliszki, nalewając alkohol z butelek, przyjmując pieniądze. Prysło wrażenie, że otacza nas bańka intymności. Poczulałam się wręcz obnażona, jakby wszystkie oczy mogły ujrzeć przez skórę burzącą się w moich żyłach krew. Z trudem oddychałam. Zastanawiałam się z odrazą nad typowym zestawem objawów zaburzeń w moim układzie nerwowym. Wróciło też zażenowanie zbyt długo odczuwaną, nieodwzajemnioną miłością.

Ralph wstał, zgniótł papierosa w popielniczce i rzekł:

– Zaraz wrócę.

Dopiłam drinka. Gdy wstałam i przewiesiłam torbę przez ramię, znowu był u mego boku. Wyszliśmy razem, przeciskając się przez tłum. Powietrze na zewnątrz było chłodne i wypełnione drażniącym smogiem i zgiełkiem ulicznego ruchu. Paliły się latarnie.

– Dobrze się czujesz? – zapytał, gdy naciągnął marynarkę. Potarł powieki, unosząc na chwilę okulary, i spojrzał na mnie. – Okazuje się, że to mnie czasem dopada... w różnych momentach... – powiedział z wahaniem.

Dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że mówi o Ingrid.

O swoim żalu. Czyżby się przede mną usprawiedliwił? Mówił poważnie? Straciłam nadzieję, burza w moim sercu ucichła.

– Przepraszam – powiedział.

– Po prostu milcz.

Przystanął. Nie miał zamiaru mnie pocałować.

– Zadzwoń do ciebie. Proszę... wracasz do domu? – Sięgnął dłonią do portfela. – Proszę... przepraszam... pozwól, że złapię ci taryfę.

Włożył mi w dłoń pieniądze i szybko się odwrócił, obserwując przejeżdżające samochody; podniósł rękę, by zatrzymać taksówkę. Przypominało to dziwną próbę odtworzenia dawnych czasów, gdy – jeżeli nie zwałał się nieprzytomnie na kanapę lub ja nie lądowałam nocą u niego w mieszkaniu – wciskając mi w dłoń banknot, wsadzał mnie do taksówki. Zawsze, odkąd zrozumiał, że w odróżnieniu od niego nie mam pieniędzy, za wszystko płacił. Robił to szybko, wyciągając z kieszeni forszę na jedzenie, napoje, taryfę lub bilety, zanim zdążyłam otworzyć portmonetkę. Początkowo ochrzaniałam go za to, ale wtedy wpadał w jeszcze bardziej nieznośne zakłopotanie, co było znacznie gorsze. Dałam więc za wygraną i próbowałam zachować się w tej sprawie elegancko. Starłam się jakoś zrewanżować, dając mu książki i inne rzeczy, gdy tylko miałam ku temu okazję. I wypożyczając filmy za darmo.

Ralph był chyba bliski łez. Objął mnie, wtulając usta w moje włosy. Miał chude ręce. Och, niech to się wreszcie skończy, pomyślałam. Taksówka minęła nas, za to na przystanku obok zatrzymał się z sykiem autobus. Ralph miał zamiar coś powiedzieć. Odsunęłam się od niego i wsiadłam do autobusu. Drzwi się zamknęły. W zaciśniętej dłoni trzymałam kurczowo dwa banknoty pięćdziesięciodolarowe.

– Będiesz, skarbie, musiała znaleźć jakiś mniejszy nominał – stwierdził ponuro kierowca i obrócił potężną kierownicę. Otworzyłam torebkę, wsunęłam do niej banknoty i zaczęłam szukać opłaty za przejazd wśród luźnych monet na dnie.

===Y1JrDzhaY1NmBWRcZQNnUjRXYlcyVzFTal88DzYEMAI=

CZEŚĆ DRUGA

Gdy w drodze z lotniska na Manhattan przemierzałam taksówką Brooklyn, pędząc najpierw autostradą otoczoną szpalerem budynków mieszkalnych, a potem tkwiąc w korku przy wjeździe na most, niebo miało brudnoszary kolor. W pewnej chwili wyraźnie dostrzegłam linię dachów na Manhattanie – gdy podchodziliśmy do lądowania, była niewidoczna z okien po mojej stronie – i wydawało się, że drapacze chmur odbijają tę szarość z jakimś ponurym, mieniącym się blaskiem. Spojrzałam na kraniec wyspy i zobaczyłam pustkę. Zbliżał się koniec dnia. Miałam wrażenie, że jest noc. Przez pręty i liny mostu widać było East River. Nic, tylko szarość. Kłęby chmur chyba jeszcze bardziej się obniżyły. Gdy wjeżdżaliśmy na Manhattan, przebił się przez nie promień słońca i padł na zamknięte okna jakiegoś budynku, zmieniając je w kwadraty oślepiającego złota.

Ralph zapisał mi adres swojego stryja na kartce, która teraz złożona spoczywała w mojej kieszeni. Mieszkanie znajdowało się w Village przy ulicy położonej tuż przy Szóstej Alei. Znałam to miejsce dość dobrze z pobytu na Manhattanie po ukończeniu szkoły średniej, gdy praktycznie mieszkiałam przez pewien czas w pokoju jakiegoś studenta z NYU. Jego współlokator bywał tam rzadko, zawsze nocował u swojej dziewczyny, która miała własne mieszkanie w East Village. Gdy w końcu zerwali ze sobą, wrócił do akademika; dąsał się potem i zatrząskiwał drzwi szafek nogą. Niedługo z nim wytrzymaliśmy.

Gdy wysiadłam z taksówki, poczułam w powietrzu – nieco wilgotnym i szarym jak cała reszta – woń wieczoru. Mieszkanie znajdowało się w wysokim narożnym budynku z czerwonej cegły odgrodzonym od ulicy wąskim pasem ogrodu. W oknach parteru wisiały opuszczone żaluzje. Podniosłam wzrok i zobaczyłam, że wyższe piętra są ukształtowane tarasowo. Z drzwi frontowych wychodził jakiś doręczyciel, który przytrzymał mi skrzydło zrobione z grubego szkła. Wtaszczyłam walizkę przez próg. Drzwi pierwszego mieszkania z lewej strony korytarza były otwarte – to stamtąd wyszedł doręczyciel – i jakaś kobieta przystanąła w nich, patrząc na mnie. W ręce trzymała szarą papierową torbę ze sklepu spożywczego.

– Dzień dobry – powiedziała. – Witam.

Trudno było ocenić, w jakim jest wieku. Miała siwe włosy, była niska, nosiła ciemnozieloną sukienkę. Wnętrze jej mieszkania było niewidoczne; właśnie w jego oknach widziałam z ulicy opuszczone żaluzje.

– Cześć – odparłam. – Będę mieszkać... na górze.

– Dobrze. – Sprawiała wrażenie zadowolonej. – W takim razie zobaczymy się jeszcze.

– Oczywiście.

Podłoga zaczęła się przechylać podę mną niczym samolot, gdy dolatywał nad miasto. Drzwi zamknęły się cicho. Zastanawiałam się, kim ona jest i czy wiedziała o moim przybyciu, czy też po prostu jest miłą osobą. W przeciwległej ścianie holu osadzono dwie windy. Guzik palił się na czerwono i z oddali dobiegał zgrzyt mechanizmu. Po długim czasie oczekiwania spojrzałam na klatkę schodową ze stopniami z pstrokatego granitu. Moje mieszkanie znajdowało się na piątym piętrze. Nadjechała winda.

Klucz z łatwością obrócił się w zamku. Co za ulga. Drzwi, duża płyta z ciemnego litego drewna, otworzyły się gładko.

Powietrze w korytarzu było gorące i stęchłe. Na prawo ode mnie znajdowała się sypialnia. Wniosłam do niej walizkę i postawiłam na podłodze zadowolona, że pozbyłam się ciężaru. W jednym kącie stało łóżko z białą pościelą. Białe łóżko, białe ściany. Drewniana podłoga. Wysoka ciemna komoda. Kwadratowy fotel obity pastelową tapicerką. Odczekałam, aż moje oczy przywykną w zapadającym zmroku do topografii pokoju. Przez drzwi balkonowe przedostawała się niewielka ilość światła. Gdy je otworzyłam, do środka razem z delikatnym wilgotnym powietrzem wdarły się uliczne odgłosy. Zanosilo się na deszcz.

Drzwi wychodziły na mały, wyłożony płytami taras z pojedynczymi roślinami w doniczkach. Przy ścianie budynku stał wiklinowy fotel ogrodowy, a przed nim długi wiklinowy stół, który ucierpiał w kontakcie z kurzem, wiatrem i deszczem. Pokryte lakierem powierzchnie błyszczały miejscami, złącza były pomalowane na ciemnoczerwono. Na ścianach wisiały chaotycznie rozmieszczone

sznury zgaszonych świątecznych lampek. Zanotowałam sobie w pamięci, żeby znaleźć włącznik i później je zapalić. Powietrze na tarasie wypełniały wilgoć i dźwięki, które miały jakby własną energię. Ogarnęło mnie nagłe zmęczenie.

W tym momencie dotarł do mnie cichy metaliczny brzęk, bliższy od odległego gwaru ulicy. Gdy moje oczy przywykły do ciemności, ujrzałam w przeciwległym kącie tarasu, w miejscu, gdzie balustrada sięgała nieco powyżej pasa, dużą elegancką konstrukcję z drutu. Klatka. Stałam obok; jej wierzchołek sięgał mi do ramion. W środku wisały rozmaite huśtawki, lusterka, ciąg trapezów i dzwonki. Mały ptasi pałac. Wystarczająco duży, z pobrzękującymi zabawkami. Zawieszane na sznurkach dzwonki brzęczały na słabym wietrze. Ptaka w klatce nie było – zostały jedynie ozdoby i lusterka.

Był piętnasty września. Nie żałowałam, że przybyłam do Nowego Jorku już po rocznicy zamachu. W samą rocznicę wypadł mój ostatni dzień w pracy w antykwariacie przed wyjazdem i ze wszystkich sił starałam się znaleźć sobie jakieś zajęcie. Odkurzanie półek. Układanie książek w porządku alfabetycznym. Wymiana, reorganizacja, zmiana ustawienia. Staranne odliczanie reszty po sprzedaży. Ponowne sprawdzenie sumy w kasie, wykaz sprzedanych książek, potrójna kontrola. Neil mnie obserwował i wyciągnął – błyskawicznie – rękę, by złapać zszywacz, który straciłam, grzebiąc się pod wieczór z pokwitowaniem zamiany, jakby czekał, aż coś spieprzę. Nic nie powiedział, oddał mi go tylko i przyglądał się, jak odkładałam zszywacz na ladę, znowu próbuję go użyć, otwieram i kaleczę się w palec złamaną zszywką. Spojrzałam na cienką strużkę krwi i kroplę zbierającą się na końcu skaleczenia. Wówczas Neil wziął zszywacz i naprawił go jednym płynnym ruchem, zszył pokwitowanie i włożył je do szuflady. Wzięłam książkę wręczoną mi przez następnego klienta, odwodząc zakrwawiony palec, żeby nie poplamieć obwoluty.

Nad tarasem wisało matowe jednolite niebo. Obok przeleciał samotny gołąb. Gdy zapadł wieczór, wróciłam do mieszkania.

W korytarzu znajdowało się kilkoro drzwi, które uznałam za drzwi szaf wnękowych – pomyślałam, że zajrzę do nich później – a na jego końcu dwa pomieszczenia: salon i kuchnia. Ściany wzniesiono pod

dziwnymi kątami, więc w każdym z nich był tylko jeden kąt prosty; pozostałe naroża były albo dziwnie rozwarte, albo zbyt ostre. Większość miejsca w salonie zajmowały fotele i skórzana kanapa, oddzielone od siebie niskim stolikiem, na którym leżały w równych stertach czasopisma. Na głębokim parapecie stały rośliny doniczkowe. Na ścianie wisiała kwadratowa gablota pełna motyli, których martwe ciała zostały przymocowane szpilkami. Przez chwilę, zanim zdałam sobie sprawę, że to tylko fotografia, czułam obrzydzenie. Obok powieszono małe akwarele. Do drugiej ściany przypięty został plan metra. Wodziłam oczami po znajomych kolorowych liniach. Niebieska linia A. Pomarańczowa linia F. Czerwone 1, 2 i 3. Spojrzałam na część śródmiejską i ze zdziwieniem dostrzegłam, że jest kompletna, pokazując linie i przystanki w pobliżu World Trade Center. Zastanawiałam się, dlaczego w MTA nie wydrukowano dotąd nowego planu. Potem przyszło mi do głowy, że pewnie to zrobiono, a ten plan może być pamiątką. Docisnęłam jego odstający róg do ściany.

Górne oświetlenie w kuchni ukazało wnękę mieszczącą stół z lat pięćdziesiątych – z chromowanej stali i laminatu w kolorze mięty – oraz dwa krzesła do kompletu. Stojak na wino był obficie wypełniony butelkami z czerwonym i białym trunkiem. W lodówce znalazłam lód i na wpół opróżnioną butelkę absoluta. Widok był kuszący, ale ogarnęło mnie znużenie i zamiast kieliszka poszukałam szklanki na wodę.

Wydawało się, że szafki zawierają jedynie kawę i cukier, właściwie nie było innego jedzenia, ale kieliszków, misek i talerzy nie brakowało. Sprawdziłam szuflady ze srebrem stołowym. Prezentowało się jak prawdziwe, kosztowne srebro.

Wróciłam do sypialni i spostrzegłam, że przylega do niej mała łazienka wyłożona biało-turkusowymi kafelkami. Niebieskie płytki oraz widoczne tu i ówdzie plamki przypominały mi o oceanie i moim ciele miotanym falami w stronę plaży w Sydney. Zostawiłam włączone lampy, żeby oświetlić sypialnię, i zaczęłam szukać piżamy. Z klatki na tarasie dolatywały brzęczące odgłosy. Zasunęłam drzwi.

Łóżko było twarde. Leżałam na wznak i myślałam o wyłączeniu światła w łazience. Drzwi na taras były okolone długimi, ściągniętymi na boki zasłonami. Zamierzałam je zaciągnąć. Gdzieś raz po raz dzwonił

telefon.

*

Gdy otworzyłam oczy, panował jeszcze mrok i przez chwilę zastanawiałam się, czy przespałam całą dobę. Trudno było powiedzieć. Cyfrowy zegar na stoliku obok łóżka wskazywał czwartą piętnaście rano. Znowu pomyślałam o tym, by zaciągnąć zasłony, wyłączyć światło i nie wstawać, dopóki nie wejdzie słońce, zmieniając kolor nieba na różowoszary. Gdy nastał ranek, znowu zasnęłam. Nic mi się nie przyśniło. Zbudziłam się wczesnym popołudniem.

*

Ujrzałam wówczas, że słońce znowu sygnalizuje porę dnia odmienną od odczuwanej przez mój organizm, chociaż mniej boleśnie niż przedtem. Drzwi balkonowe jarzyły się słonecznym blaskiem, a w sypialni było bardzo jasno.

Z kuchni dobiegał jakiś szokujący w tym bezruchu hałas. Ktoś mocno odkręcił kran. Zastygłam w bezruchu zdezorientowana, ze strachu zapomniawszy na chwilę, gdzie jestem, w jakim pokoju i w jakim mieście. Hałas nie ustawał: gdzieś w salonie zabrzmiała muzyka, potem usłyszałam męskie nucenie.

Szybko sprawdziłam swój strój – piżama, niebieska, bawełniana, przyzwoita – i wyszłam na korytarz.

– Dzień dobry!?! – mój głos zabrzmiał chrapliwie.

Człowiek, którego nucenie słyszałam, stanął w drzwiach kuchni. Wyglądał na dwudziestokilkulatka, miał starannie „zmierzwiłone” włosy. Nosił bardzo czyste džinsy i bardzo czysty biały T-shirt. Uśmiechnął się.

– Ty jesteś Judy? Cześć. Jak się masz? – Trzymał w dłoniach kubek, wycierając go kraciastą ścierką. – Pani Bee z parteru uprzedziła mnie o twojej obecności. – Wszedł z powrotem do kuchni. – Parzę kawę. Chcesz się napić? Aha, mam na imię Matt. Jaką miałaś podróż? Przyleciałaś z Australii? Chętnie bym tam pojechał.

Przyjęłam kawę w białym kubku i wypiliśmy ją z wdzięcznością.

– Nie wiedziałam, że ktoś tu mieszka – powiedziałam. Sytuacja była kłopotliwa. Czy powinnam zaproponować, że się wyprowadzę?

Czemu Ralph nie wspomniał o lokatorze? – Nie chcę się wpychać do twojego lokum. Myślałam, że to mieszkanie jest puste. Mój przyjaciel Ralph... znasz Ralpa? Nie. Powiedział, że jest puste, to mieszkanie jego stryja...

– Nie, nie, to żaden kłopot – zapewnił mnie Matt. – Rob od czasu do czasu przysyła tu na nocleg swoich przyjaciół. Przyjaciół, znajomych, ludzi, których poznał poprzedniego wieczoru, bez różnicy. Nic się nie stało. – Dolał mi kawy. – Nieźle jest mieć towarzystwo. I dzięki Bogu masz własną łazienkę. – Błysnął uśmiechem. – Lubię mieć łazienkę do swojej dyspozycji.

Okazało się, że Matt mieszka tam bezpłatnie w porozumieniu ze stryjem Robertem w zamian za podlewanie kwiatów i przesyłanie poczty. Wyglądało to na bardzo korzystną umowę.

– To wielkoduszny facet. – Matt wzruszył ramionami. Wrócił wczoraj późną nocą. – Zajrzałem do ciebie. Byłaś zupełnie nieprzytomna.

Matt miał sypialnię między moim pokojem a kuchnią – za jednymi z drzwi, które uznałam za szafę wnękową. Rozmiary tych pomieszczeń – większych, niż się wydawały, zważywszy na układ mieszkania – stale mnie zaskakiwały. Sypialnia Matta była takiej samej wielkości jak moja, tyle że ściany miała pomalowane na zielonkawoniebiesko. Na łóżku, podłodze i małym biurku w kącie leżały porozrzucone części garderoby.

– Muszę wreszcie zrobić pranie – rzekł w zamyśleniu i zamknął drzwi.

Oprowadził mnie po mieszkaniu, którego dotąd, jak się okazało, nie spenetrowałam do końca. Drzwi naprzeciwko jego sypialni prowadziły do lśniącej czystością łazienki, gdzie wszystkie dostępne powierzchnie były pokryte słoiczkami oraz tubkami z kremami i płynami do włosów, ustawionymi w równe rzędy i ułożonymi w równiutkie stosy. Wewnątrz przyjemnie pachniało, chyba miętą i pomarańczami. Lustro zasnutę było na brzegach mgłą po niedawnym braniu prysznica.

Za dwójgiem pozostałych drzwi ukazały się duże szafy wnękowe, obie wypełnione ubraniami, obuwiem i innymi przedmiotami. Na dnie jednej z nich leżały dwie pary nart. W kącie drugiej stało kilka

zwiniętych dywanów. Wydawało się, że pierwsza zawiera głównie wierzchnie okrycia – stare tweedowe płaszcze, skórzane kurtki, parki, a także aksamitną pelerynę oraz sięgające podłogi luksusowe jasnobrązowe futro. Pogładziłam je dłonią. Futro było zimne i dziwnie wilgotne w dotyku. Cofnęłam rękę.

– Wszyscy coś zostawiają – wyjaśnił Matt, wracając do kuchni. – Włóż tam, co tylko chcesz. Ale w twoim pokoju też jest szafa. I komoda. Możesz z nich skorzystać.

Usiadłam i ujęłam kubek w obie dłonie. Kawa powoli stygła.

– Nie wiem, jak długo tu zostanę – powiedziałam.

– Cóż, w każdym razie witaj w Nowym Jorku. To twoja pierwsza wizyta?

– Nie. Byłam tu kilka lat temu. Parę razy. – Nie wiedziałam, co powiedzieć o poprzednich pobytach i o tym, dlaczego przyjechałam tu teraz. Zmęczenie długą podróżą napłynęło z wolna kolejną falą. – Chyba chciałabym pójść na spacer. Powinnam wziąć prysznic.

– Masz jakieś plany na dzisiejszy wieczór?

– Nie. Żadnych. – Zero planów, kropka, pomyślałam. – Muszę je dopiero obmyślić – odparłam i westchnęłam.

– W porządku. – Matt wydawał się bardzo skoncentrowany. – Oto mój plan. Idź na spacer. Weź prysznic, cokolwiek. Później pójdziemy coś zjeść i wtedy możesz mi o tym opowiedzieć. – Odwrócił się i zaczął napełniać do zlewu wodę do mycia kubków.

Rozejrzałam się po kuchni i znowu zauważyłam czyste blaty i powierzchnie, żadnego brudu ani okruchów. Zrozumiałam teraz, dlaczego mieszkanie wydawało mi się puste.

– Masz bzika na punkcie czystości – rzuciłam pod nosem.

Tym razem to Matt westchnął.

– Co masz zrobić jutro... – rzekł zrezygnowanym tonem. Zabrał mój właśnie opróżniony kubek ze stołu.

– Chwileczkę – powiedziałam. – O czym niby mam ci opowiedzieć?

– O tym, co tutaj robisz.

Umył już kubki i wytarł czysty blat, po czym starannie złożył ścierkę do naczyń i powiesił ją na poręczy piekarnika.

Zanim weszłam do swojego pokoju, coś sobie przypomniałam:
– Aha. Mam na imię Julia, nie Judy.

Gdy stałam pod prysznicem, przyszła mi do głowy myśl, że przecież mogłabym być Judy. Czemu nie? Judy w Nowym Jorku. Jaka byłaby Judy? Odruchowo pomyślałam o Judy Garland, o stukających obcasach, o mieniących się czerwonych butach. Nie ma to jak w domu. Nie ma to jak w domu.

Woda była gorąca, płynęła jednostajnym strumieniem i miała swoisty miejski zapach, metaliczny i dziwnie intensywny. Zmyłam z ciała woń samolotu, spływającą niewidzialnymi warstwami do ścieku.

W tym mieście zostało ze mnie niewiele, pomyślałam, ale chyba i tak za dużo, by zrobić z tego Judy. Po prostu Julia.

*

Kiedy godzinę później wyszłam na ulicę, poczułam całkowite zaburzenie zmysłów. Wydawało mi się, że moja głowa jest dwa razy większa niż normalnie i odłączyła się od szyi, jakby była ciężkim balonem na cienkim sznurku, który chce odlecieć – sprawiała jednak wrażenie tak dużej, że z pewnością opadłaby na ziemię. Zebrałam się w sobie i ruszyłam pieszo. W alei panował spory ruch.

W zatłoczonym sklepie za rogiem kupiłam kawę oraz bajgla i spożyłam je, stojąc przy wąskim barze w witrynie sklepu. Kawa była słodka, miała kremowy kolor i pomogła mi trochę rozszelnić błonę wokół głowy. Świeciło słońce. Kończyła się pora lunchu, ulica była pełna ludzi śpieszących się bardziej niż zwykle.

Wyszędłszy na zewnątrz, skierowałam się na południe. Aleja opadała w linii prostej. Zbierając siły przy każdym kroku, szłam przed siebie. Pomyślałam, że jeżeli się to nie stanie dzisiaj, to nie stanie się nigdy. Chodziłabym codziennie, tak jak chciałam, ale gdybym nie zrobiła tego dzisiaj, to z każdym następnym dniem chęć uchylenia się od tego obowiązku byłaby trudna do przewyciężenia. Mijałam przecznice i skrzyżowania, aż dotarłam do wijącego się nierówno Broadwayu, jedynej zniewagi dla powszechnej symetrii siatki ulic. Im dalej na południe wędrowałam, tym głębszą miałam świadomość pustki na niebie w miejscu, gdzie powinny być wieżowce. Ulica wypełniła się wonią

słodkich pieczonych orzechów sprzedawanych z wózków w jednym kwartale i zapachu precli w drugim. Gdy moim oczom ukazała się Canal Street, byłam wyczerpana. Chodnikiem przewalali się ludzie walczący o miejsce, schodzący na jezdnię przed trąbiące samochody.

„Przepraszam” – rzucił ktoś krótko, gdy wpadliśmy na siebie, dając wyraźnie do zrozumienia, że to moja wina. W jednym tylko sklepiku, zwyczajnej luce w murze, ujrzałam tysiąc różnych torebek, a w sklepie tuż obok dokładnie taki sam zestaw. Kolorowe zegarki wystawione na sprzedaż na rozkładanych stolikach. Maleńkie żółwie z nosami przytkniętymi do ścianek plastikowego zbiornika z rączką u góry, przebierające maleńkimi przednimi łapami. Kolejne torebki. Obróciłam się na pięcie i poszłam z powrotem.

*

Matt stanął w drzwiach tuż po siódmej, zastając mnie rozpartą na kanapie przed telewizorem. Na ekranie widać było źle zachowujące się piękne nastolatki.

– Wstawaj! – rzekł. – To dwa kroki stąd.

Poszliśmy do jakiejś chińskiej knajpy kilka przecznic dalej i gdy na stół wjechała miska z dymiącą zupą, ucieszyłam się, że tam jestem. Matt zjadł podsmażaną potrawę, która pachniała chili i mięta, upstrzoną kawałkami fluoryzującej czerwonej wieprzowiny. Pozwolił mi nakreślić pokrótce, co robię w Nowym Jorku, przedstawić opowieść o mojej zaginionej przyjaciółce.

– Myślałam, że przespaceruję się tam dziś po południu. Chyba zapomniałam, że to tak daleko.

Matt pokiwał ze współczuciem głową.

– Pojedź metrem.

– Słusznie. – Zjadłam swoją zupę.

– Rozczarujesz się.

– Tym miejscem?

– Tak. Jeżdżę tam do Century 21. – Bardzo taniego domu towarowego w pobliżu dawnego World Trade Center. – Ta koszula jest stamtąd... to od Prady, za trzydzieści dolarów. Nieważne. Niewiele tam jest do zobaczenia. Sporo turystów.

Matt opowiedział mi o sobie. Pracował w jakiejś dużej galerii w SoHo, w której pokazywano wiele prac rzeźbiarskich.

– Jestem jednym z gości, którzy przenoszą eksponaty i przygotowują wystawy. Wieszam obrazy, prostuję drążki do wieszania. Trochę dźwigania, trochę ciesielki. Zamawiam wino. Ogólna krzątania.

Wieczorami chodził na kurs grafiki komputerowej w New School. Odznaczał się sympatyczną szczerością i autoironią, którą od czasu do czasu łagodził swą pewnością siebie. Wydawał się bardzo uczciwy i chyba wolny. Był dokładnie tego rodzaju facetem, w jakim w życiu bym się nie zakochała. W każdym razie podejrzewałam, że jest gejem, i dziękowałam losowi, że mnie nie pociąga.

– Co teraz wystawiacie? – zapytałam. – Coś godnego obejrzenia?

– Och, to dość interesujące – odparł. – Parę instalacji. Jedna ze ślimakami... sam nie wiem. Właściwie trochę nudna. Bardzo konceptualna.

Zapytałam, czy zna Maeve i Greya. Spojrzał na mnie bardziej nieufnie i zapytał:

– Ta twoja przyjaciółka to Ingrid Grey?

Wcześniej wspomniałam, że była studentką, nie podałam jej nazwiska.

– To poważni gracze – wyjaśnił. – Galeria Maeve należy do najbardziej wpływowych w mieście. Wystawia kilka głośnych nazwisk. Oboje z Greyem potrafią wykreować artystę.

– Albo go zniszczyć?

– Tego nigdy nie zaobserwowałem. Ale stanowią twardy zespół. Skinęłam głową.

– Znasz ją? – Gdy powiedziałam, że trochę, pokręcił głową. – To bezlitosna megiera – rzekł łagodnie. – W głębi duszy.

Ten obraz wyjaśnił zagrożenie, które wyczułam pod powierzchnią, gdy widziałam ją w towarzystwie Ingrid, ten intrygancki umysł.

Gdy zapytałam Matta, czy znał Ingrid, zaprzeczył, ale dodał, że ją widywał.

– Czasami przychodziła na wernisaże, na niektóre przyjęcia. Imprezy muzealne. Zawsze widywałam ją z Fleur, z tą dziewczynką. Artystką. Od pewnego czasu już ich nie widuję. Cóż, to oczywiste. – Na

jego twarzy odmalowało się zażenowanie. Sięgnął po swoje piwo. –
Przepraszam.

– Nie ma sprawy.

– Wyglądasz tak, jakbyś się miała zaraz przewrócić – zauważył
z uśmiechem.

Byłam tak zmęczona, że się roześmiałam niemal przez łzy i przez
długą chwilę nie byłam w stanie przestać.

Wróciliśmy do mieszkania i ten spacer wydawał się znacznie
dłuższy niż przedtem, w drodze do restauracji.

Kiedy w pierwszym tygodniu nadszedł piątek, było to dla mnie zaskoczeniem. Spowodowane zmianą strefy czasowej otumanienie zakłóciło porządek dni, którym brak regularnych zajęć odebrał wszelką wymowę. Kiedy jednak tego wieczoru wyszłam na ulicę, panująca wokół atmosfera nie pozostawiała żadnych wątpliwości. W głosach mijających mnie w pośpiechu ludzi słychać było ton podniecenia; idące razem kobiety mówiły do siebie szybko, wysokie obcasy ich butów mocno stukwały o beton. Szły w innym celu niż w zwykłe dni tygodnia – krokiem o parę centymetrów dłuższym, zajmując dla siebie więcej chodnika, nieco szybciej. Inni zwolnili kroku wskutek wyczerpania lub z ulgą, że tydzień pracy dobiegł końca. Wieczór niósł mnóstwo możliwości, lecz ja byłam odseparowana od tego wszystkiego i wpadłam w płaczliwy nastrój; wydawało się, że te możliwości są zarezerwowane dla innych.

Zmęczenie długą podróżą znikło, wciąż jednak czułam się wytrącona z rytmu, powolna i wymaglowana przez uliczny ruch. Ludzie tłoczyli się na chodnikach, czekali na taksówki i w szybkim tempie pokonywali schody do i ze stacji metra. Straciłam apetyt i przekraczając Czternastą Ulicę, minęłam sklepik, do którego zaczęłam wstępować po jedzenie o dziwnych porach dnia, gdy tylko doskwierał mi głód. Skręciwszy za rogiem, trafiłam na ulicę otoczoną szpalerem restauracji. Idące przede mną szybko kobiety weszły do jednej z nich. Przechodząc chwilę później obok tej restauracji, ujrzałam ich nogi zwieszane ze stołków przy słabo oświetlonym barze. Cały kwartał zaroił się ludźmi pozdrawiającymi się nawzajem, odbierającymi telefony i śmiejącymi się. Jakaś kobieta ze zziębniętymi policzkami otworzyła telefon i pośpiesznie zapytała:

– Gdzie teraz jesteś?

W połowie kwartału mieściła się restauracja z dużym oknem z widokiem na ulicę. Jakiś mężczyzna siedział przy jednym ze stolików. Nakryto go tylko dla jednej osoby, obok talerza stały elegancki kieliszek i butelka wina. Mężczyzna czytał książkę, którą przytrzymywał jedną dłonią, popijając z kieliszka. Stałam jak osłupiała pod wpływem tej

samej fascynacji podglądacza, którą wzbudza obserwowanie kogoś przez okno salonu. Mężczyzna wydawał się odprężony, chociaż mógł tylko odgrywać komedię.

Pomyślałam, że mogłabym też tak zrobić – zjeść sama dobry posiłek i napić się czegoś w piątkowy wieczór w restauracji. Poczułam, że coś ciągnie mnie tam z zimnego dworu, ale zaczęłam mieć wrażenie, że wszyscy na mnie patrzą, gdy tak stoję w ubraniu, które najwyraźniej nie było odpowiednie do restauracji tej kategorii – w dżinsach i za dużym czarnym kożuszku znalezionym w szafie i pachnącym nieco drewnem cedrowym. Przyjemny zapach. Kobieta, która wcześniej rozmawiała przez telefon komórkowy, minęła mnie z jakimś mężczyzną u boku, teraz już zlokalizowanym, i oboje weszli do holu restauracji.

Wiatr przeciągnął ulicą i obniżył temperaturę powietrza. Było zbyt zimno, by długo tak stać bez ruchu. Chwila utożsamienia się z wygodną samotnością mężczyzny minęła, okazała się złudzeniem. Pragnienie towarzystwa przyprawiało mnie o mdłości i zazdrościłam mu. Poszłam znaleźć jakieś jedzenie na wynos, żeby zabrać je do domu.

Gdy wróciłam do budynku, taszcząc w ramionach gin w papierowej torbie, papierosy i kawałek pizzy, w mieszkaniu na parterze paliło się światło. Zasłony w oknie nie drgnęły.

Zatrzymałam się przed drzwiami mieszkania. W skrzydle osadzony był mały judasz, taki, który pozwala wyjrzeć od środka i ukazuje osobę w korytarzu w zniekształconej perspektywie rybiego oka. W jego okrągłej ramce błyszczało szkło.

*

Gdy nazajutrz wyszłam z domu, zatrzymałam się przed witryną sklepu zagraconą obrazami i drobnymi przedmiotami: pamiątkowe modele Statuy Wolności; śnieżne półkule z widokiem Manhattanu na tle nieba. Od wewnątrz do szyby przyklejono wycinek z magazynu, tak aby widać było go z ulicy: zdjęcie kasyna New York w Las Vegas z repliką wieżowców World Trade Center, przekształconych w prowizoryczny pomnik po zamachu. Wieżowce stały przed fontanną, u podstawy okalały je wieńce. Fontanna tryskała za nimi niczym plastikowy śnieg w szklanych półkulach. Na ziemi w pobliżu siedział w kucki żałobnik.

Wejście do sklepu blokowały stojaki z pocztówkami, które wysypywały się na ulicę. Obróciłam jeden. Zachwiał się i zaskrzypiał. Widoków miasta była cała masa, ale tylko nieliczne ukazywały zburzone wieżowce, tworząc wrażenie, że sprzedawcy taktownie ich nie eksponują. Być może zostały wyprzedane. Gmach ONZ, gładki i monolityczny, był bardzo popularnym obrazem. Zauważyłam również Empire State Building. U dołu stojaka leżał plik pocztówek przedstawiających wieżowce, tylko dwie wieże, a pod nimi zamazane całe miasto. Osobno wyglądały inaczej. Gdy ukazano je jako część dawnej panoramy Manhattanu na tle nieba, uwagę oglądających przyciągał jej zmieniony odtąd kształt, dziura w niebie, którą widać było z każdego miejsca na wyspie.

Znalazłam jeszcze jedną kartkę z okresu po jedenastym września. Czyjaś dłoń trzymała zdjęcie wieżowców przed obiektywem aparatu na tle nieba, tak że wypełniało lukę i „naprawiało” zepsuty widok. Na tym zdjęciu przed World Trade Center stał most Brooklyński, a piękne łukowe zwieńczenia jego pylonu przypominały dwa wieżowce. Teraz wolna przestrzeń widoczna przez łuki sygnalizowała ich brak. Cienkie białe brzegi trzymanego w dłoni zdjęcia okalały niebo wokół budynków jak tarcza.

Uświadomiłam sobie, że właśnie to czynią moje oczy pragnące podtrzymać ekran wspomnień przed tą niesamowitą, błękitną i niewidzialną dziurą w niebie. Była to dziura zupełnie innego rodzaju niż ta prawdziwa w ziemi, którą widziałam tylko na zdjęciach i która wydawała się oczyszczoną raną. Ta dziura w ziemi także była na swój sposób niesamowita, stanowiła zniewagę dla wyobraźni: nie sposób było uwierzyć, że tak małe z pozoru fundamenty mogły utrzymać ciężar takich budowli, że tak niewielka przestrzeń mogła pomieścić ich gruzy. Ale dziura w niebie była dokładnie ich wielkości, ich obraz wypełniał ją idealnie, błękitna rama tego bezchmurnego dnia zamykała się wokół niej. Tak trudno było sobie wyobrazić ich nieobecność, że odkąd przyjechałam, czasem miałam wrażenie, iż w rzeczywistości wcale nie runęły, lecz stały się niewidzialne wskutek czarów, spowite otaczającym je powietrzem niczym statek kosmiczny w filmie science fiction. Dziura w niebie promieniowała tak intensywnie, że jej obecność stała się

namacalna.

Wzięłam trzy takie kartki i kolejne trzy. Jedną, żeby wysłać do Jenny, jedną dla Ralpha, następne dla siebie. Ruszyłam do drzwi sklepu, żeby za nie zapłacić, lecz przystanęłam na progu między stojakami. Wnętrze pełne zagraconych, sięgających aż po sufit półek przyprawiało o klaustrofobię. W oczy rzuciły mi się rzędy małych bogiń wolności, w mrocznym wnętrzu jarzyły się ich czerwone pochodnie. Przygotowałam pieniądze, wygładziłam banknoty i weszłam do środka.

*

Później wyszłam po bajgle i w przedsionku, w którego ścianie osadzone zostały skrzynki na listy, wpadłam na panią Bee, lokatorkę z parteru. Właśnie zamykała jedną z nich na kluczyk, w dłoni trzymała kilka kopert. Przywitałam się, a ona uśmiechnęła się do mnie serdecznie.

– Wychodzisz? – zapytała. Wyglądała nieskazitelnie w długiej lnianej sukni, z włosami spiętymi grzebieniem.

– Tylko za róg – odparłam i odruchowo dodałam: – Idę po bajgle. Do sklepu za rogiem. Mogę pani coś kupić? Ma pani ochotę na bajgla? – Trudno było sobie wyobrazić panią Bee jedzącą bajgle.

– To bardzo uprzejme z twojej strony – odparła. – Już jadłam. Ale chętnie zachowam jeden na później. Mogę zaprosić cię na herbatę? Gdy już wrócisz?

Podziękowałam za zaproszenie i obiecałam, że wpadnę.

W sklepie z bajglami nie wiedziałam, jakie jej kupić, poprosiłam więc o bajgle z makiem, sezamem, rodzynkami i jeden bez dodatków. Były grube, lśniące i ciepłe. Swój, z serem śmietankowym, zjadłam w drodze powrotnej.

Zapukałam do jej drzwi, wyobrażając sobie widok przez wizjer. Pani Bee wpuściła mnie do środka, wzięła papierową torbę i zapytała:

– Jak jest na dworze?

– Ciepło – odparłam, a ona z powagą pokiwała głową.

Drzwi prowadziły wprost do salonu, którego okna wychodziły na ulicę. Podłoga była pokryta wykładziną dywanową w jasnozielonym kolorze z delikatnym wzorem w liście paproci. Na jednej ścianie znajdował się kominek z czymś, co wyglądało na zasilane gazem

palenisko. Ogień nie płonął, leżały tylko sztuczne węgle, a nad paleniskiem biegł długi kamienny gzyms. Na jego szerokiej powierzchni stały zdjęcia w ramkach oraz inne przedmioty: gliniany królik, trzy szklane wazony, wysoki świecznik i kryształowa kula na lakierowanej podstawce. Cały ten zestaw odbijał się w lustrze w złoczonej ramie wiszącym na przeciwległej ścianie. Przodem do okna ustawiono kanapę z miękkimi poduchami, a przed nią zwykły niski stolik. Naprzeciwko kanapy pod oknem stały dwa fotele. W kącie salonu w szerokiej donicy z terakoty rósł jakiś krzew, którego gałęzie sięgały prawie do sufitu. Gospodyni spostrzegła, że na niego patrzę, i wyjaśniła:

– To fikus. Usiądź, zaparzę herbaty.

Usiadłam na kanapie, a pani Bee zniknęła w sklepionym przejściu do sąsiedniego pokoju. Kilka minut później przyniosła tacę i postawiła ją na stoliku. Na tacy stał ciemnobrązowy fajansowy dzbanek z zaokrąglonymi brzegami oraz dwie filiżanki na spodkach. Były białe i wzdłuż górnej krawędzi miały kolorowy pasek, jedna jaszczurkowy, druga różowy.

– Miło mi cię wreszcie poznać – zagadnęła.

Nie bardzo wiedziałam, co powiedzieć.

– Robert zadzwonił do mnie z informacją, że przyjedziesz – ciągnęła. – To mój dobry znajomy. Jesteś przyjaciółką jego bratanka, prawda? I Matt też tu mieszka, tak?

Potwierdziłam.

– To dobrze. To uroczy chłopak. Ja również mam zapasowy klucz do tego mieszkania. – Zastanawiałam się, czy pani Bee jest kimś w rodzaju dozorczyńi. Wtedy powiedziała: – Jest dozorca... mieszka w kamienicy naprzeciwko, zajmuje się obydwojma budynkami.

Herbatę nalała z gracją prosto z dzbanka, nie używając sitka – tak aby listki osiadły na dnie filiżanki. Zaproponowała mleko, lecz wypiałam herbatę bez dodatków, delektując się jej posmakiem.

– Jak przebiega twoja wizyta? – zapytała.

– Świetnie.

Znowu skinęła znacząco głową. Nie miałam poczucia, że jestem przez nią sprawdzana, odniosłam za to niepokojące wrażenie, że już mnie zna, że zostałam jakoś rozszyfrowana – szybko niczym krótki

tekst.

Gospodyni odetchnęła głęboko i zacisnęła wargi.

– Zobaczmy – powiedziała i zrobiła drobny ruch dłonią. Herbatę już niemal wypiałam i myślałam, że prosi o moją filiżankę. Podałam ją razem ze spodkiem, lecz ona powstrzymała mnie i się uśmiechnęła. Moje zmieszanie pewnie było widoczne. – Powróżę z fusów – wyjaśniła.

Zawahałam się, ale zaciekawiło mnie to i nie odmówiłam. Poprosiła, bym obróciła filiżankę na spodku trzy razy, a następnie odwróciła ją do góry dnem. Rozległ się cichy stuk. Przyglądałyśmy się przez minutę, jak niewielka ilość płynu wycieka z filiżanki i zbiera się na spodku.

W całym salonie zapachniało lekko herbatą niczym po pierwszym otwarciu puszek z porządną angielską mieszanką śniadaniową. W tym zapachu nie było w ogóle żadnych kwiatowych odcieni, a jedynie nuty spalonej słońcem brunatnej ziemi.

Pani Bee podniosła filiżankę i zajrzała do środka, obracając ją w palcach.

– Co mówią? – zapytałam.

Gospodyni przechyliła filiżankę ku mnie, żebym mogła do niej zajrzeć. Na nadgarstku lewej dłoni miała szeroką srebrną bransoletę pokrytą delikatną siateczką wygrawerowanych linii. Na środku dna filiżanki została linia drobnych kropek.

– Tam widać trasę twojej podróży – odparła, wskazując palcem. – Ciągnie się dookoła... ale miejscami jest przerywana.

Wodziła wzrokiem po grudkach herbacianych liści. Nie widziałam w nich żadnych konkretnych kształtów, żadnych wzorów.

– Kwiat – dodała pani Bee i posłała mi szybkie radosne spojrzenie. – Gdy pochyla się w stronę poszukującego jak tutaj... normalnie oznacza to, że czeka cię uznanie i komplementy.

– Poszukującego?

– Osoby pragnącej interpretacji. Osoby, która piła z filiżanki. Jej ucho uważa się za część reprezentującą ciebie. Twoją drogę.

– Co to za kwiat? – zapytałam.

– Spójrz. – Palec gospodyni wskazał listki zebrane przy brzegu

koło ucha. Dostrzegłam coś na kształt kwiatu... łodyżkę, płatki. – Jest jeszcze jeden – dodała, wskazując podobną grudkę bliżej dna.

– Sądzę, że to kwiat – przyznałam. – Pospolity.

Wzruszyła ramionami.

– Chwileczkę... coś widzę – powiedziałam o listkach, które przyciągnęły mój wzrok, gdy dostrzegłam drugi kwiat.

– To kłódka.

Pani Bee uniosła brwi, zacisnęła lekko usta i odparła:

– Widzę.

– Jest otwarta czy zamknięta?

Spojrzała na mnie.

– A ty jak myślisz?

– Co to znaczy?

Jeszcze raz popatrzyła na filiżankę.

– Może być otwarta lub zamknięta. Pierwsza możliwość oznacza niespodziankę. Druga potrzebę przedsięwzięcia środków ostrożności.

Popatrzyłam na kwiat widoczny tuż nad kłódką i pomyślałam o Fleur, dziewczynie, której nigdy nie spotkałam. Odniosłam wrażenie, że naraz zebrane listki łączą się w pośpiechu w różne kształty: chmurę z krzyży; ciemny klucz ptaków na tle nieba; łódź na wodzie; załamujące się fale.

Gospodyni obserwowała mnie z nieodgadnionym wyrazem oczu, na swój sposób wyniosła, a zarazem serdeczna. Dobrze poznałam to spojrzenie i doszłam do wniosku, że wynika ono ze sporej wiedzy, którą stale musiała ukrywać. Kształty w filiżance straciły ostrość i znowu stały się mokrymi listkami.

– Mam wrażenie, że dobrze się pani na tym zna – zauważyłam.

Pani Bee się uśmiechnęła.

– Zajmuję się tym od pewnego czasu. – Znowu zaczęłam się zastanawiać, ile może mieć lat. – Wróżenie. Parapsychologia. To właśnie robię – wyjaśniła. Pobiegnęła wzrokiem do lustra, w którym odbijała się szklana kula.

Zmrużyłam oczy.

Znowu się uśmiechnęła.

– Wiem. Nie wyglądam na wróżbiarkę.

Pomyślałam o witrynach licznych sklepów z zaciągniętymi zasłonami w East Village i całym mieście, o wszechobecnych neonach reklamujących przepowiadanie przyszłości oraz o parapsychologicznych gorących liniach z ogłoszeń w gazecie. W nobliwej lnianej sukni i dyskretnie urządzonego mieszkania pani Bee wydawała się tak rozsądną i racjonalną osobą w odróżnieniu od całej tandety i lipy, które kojarzyły mi się z tym fachem, jeżeli na tym właśnie polegał. Za bardzo przypominało mi to uzdrawianie kryształkami i arkana spirytualizmu, na punkcie których miała obsesję moja matka.

Podeszłam do gzymsu kominka.

– Używa jej pani? – zapytałam, wskazując ruchem głowy szklaną kulę.

Przechyliła głowę w wymijającej odpowiedzi.

– Karty. Dłonie. Ludzie czują się dobrze z różnymi rekwizytami. – Powoli obróciła swą filiżankę na spodek. – Jesteś sceptyczką – zauważyła obojętnie.

Dotknęłam palcami szklanej kuli. Była zimna w dotyku i idealnie przejrzysta.

– To zdrowe podejście – dodała. – Rozumiem cię.

Obok szklanej kuli leżał niewielki plik jasnobrązowych niczym rozcieńczona herbata wizytówek. Wypukłym czarnym drukiem napisano na nich: „M. Bee. Taseografia. Tarot. Przepowiednie”. Poniżej widniał numer telefonu.

Moja pusta filiżanka stała na stole. Miałam wrażenie, że wróżbitka nie mówi mi wszystkiego, co w niej zobaczyła – przecież właściwie wcale mi nie powróżyła, a tylko wskazała na oczywisty znak podróży i zauważyła, że jej trasa jest poprzerywana. Mój sceptycyzm chyba nie gwarantował pełnowartościowych przepowiedni.

Zadzwieczał dzwonek i pani Bee przycisnęła guzik blokady.

Chwilę później rozległo się szybkie pukanie do drzwi i gdy je otworzyła, w progu stał jakiś mężczyzna z trzema torbami pełnymi artykułów spożywczych w rękach. Wszedł do mieszkania i zaniósł torby do kuchni. Gospodyni wcisnęła mu do ręki parę dolarów i podziękowała, a on bez słowa wyszedł.

– Wybacz mi, proszę – powiedziała. – Część tych rzeczy muszę

schować, zanim się zepsują.

– Może pani pomóc? – zaproponowałam.

Pani Bee przyglądała mi się przez chwilę.

– Nie – odparła. – Dzięki. Ale możesz dotrzymać mi towarzystwa.

Wprowadziła mnie do kuchni. Pod jedną ścianą stał kwadratowy stół, wystarczająco duży, by pomieścić trzy osoby. Zwisająca z sufitu lampa oświetlała stół i podłogę. Przyniosłam tacę z dzbankiem i filiżankami. Torby z zakupami stały na kuchennym blacie. Pani Bee wypakowywała je kolejno, chowając żywność do lodówki i szafek. Siadłam przy stole. Na torbach widniał nadruk z nazwą pobliskiego luksusowego supermarketu.

– Jak ci się podoba ta dzielnica? – zapytała.

Odparłam, że bardzo ją lubię, i wyjaśniłam, że kilka lat temu przez krótki okres mieszkałam niedaleko stąd.

– Pewnie zmieniło się tutaj trochę od tego czasu.

– Nie tak wiele.

W żółtawym świetle, w zestawieniu z jasnozielonymi blatami szafek i białymi kafelkami podłogi, jej skóra była blada. Gdy się przyglądałam, jak wypakowuje wiktuały – zestaw zwykłych artykułów, chleb, pomidory w puszkach, mleko, makaron w pudełku – aura tajemniczości wróżbitki ulotniła się częściowo i pani Bee upodobniła się do zwykłej osoby. Zapytałam, jak długo tu mieszka.

– Och, bardzo długo – odparła z lekkim uśmiechem. – Od wieków – dodała i odstawiła filiżanki do zlewu.

*

Potem często wstępowałam do pani Bee na herbatę. Nigdy nie zdradziła, jak ma na imię, ani nie powiedziała, jak się do niej zwracać. W jej towarzystwie udawało mi się uniknąć używania jej nazwiska. Gospodyni wyjawiała, że kiedyś był pan Bee, lecz albo już nie żył, albo mieszkał gdzieś daleko; ujęła to w taki sposób, że zabrzmiało niejednoznacznie. Traktowała mnie trochę po matczynemu, w jej stosunku do mnie czasem pojawiała się – zawsze dyskretna – opiekuńczość, coś mi jednak mówiło, że sama nie ma dzieci. Parę razy widziałam, jak wchodzą do jej mieszkania ludzie, którzy mogli być

klientami. Jakaś porządnie ubrana kobieta w niesamowicie wysokich szpilkach, elegantka, której nie spodziewałam się zobaczyć poza Upper East Side, z dwoma sznurami pereł na szyi i w kostiumie wyglądającym jak od Chanel. Łysiejący mężczyzna z teczką w dłoni, zerkający nerwowo na boki, zanim przestąpił próg. Na ogół jednak osoby, które wchodziły tam i wychodziły z mieszkania, coś doręczały. Kolację, kwiaty, artykuły spożywcze, rzeczy z pralni chemicznej i paczki.

Pewnego popołudnia weszłam do niej i siadając na kanapie, zrzuciłam płaszcz. Pani Bee była jeszcze w kuchni, nastawiała wodę w czajniku.

– Była pani dzisiaj na dworze?! – zawołałam. – Jest zimno.

– Zbliża się zima – stwierdziła, nie odpowiadając na moje pytanie.

Zaczęłyśmy pić herbatę i rozmawiać o czymś innym. Zadzwieczał dzwonek domofonu i pani Bee otworzyła drzwi kolejnemu doręczycielowi. Podał jej papierową torbę spiętą u góry zszywaczem, a ona zaniósła ją do kuchni.

– Ten system dostaw jest dobrze obmyślony – zauważyłam, gdy wróciła.

– Nowy Jork – odparła. – Tutaj wszystko mogą ci dostarczyć na próg domu.

Gdy dopiłam herbatę, zapytałam:

– Była pani tam? Na miejscu World Trade Center? – Sama jeszcze się nie wybrałam do Strefy Zero.

– Och, nie – odparła, jakbyśmy rozmawiały o wizycie w koszarnej części Bronxu.

Zapadło krótkie milczenie.

– To mnie nie interesuje – wyjaśniła w końcu z właściwym sobie spokojem. – Ale ty tam dotrzesz.

Miała zwyczaj okraszać bezceremonialnie rozmowę takimi drobnymi, niepompatycznymi przepowiedniami. W ustach każdej innej osoby brzmiałyby one niczym zapewnienia lub życzenia, ale wypowiedziane przez nią miały inne, prorocze zabarwienie.

Chciałam zapytać, od kiedy nie opuszcza domu, ale wydawało się to przekroczeniem pewnej granicy. Wcześniej doszłam do wniosku, że

pani Bee nie wychodzi na dwór. Próg mieszkania przekraczała chyba tylko po to, żeby odebrać pocztę ze skrzynki w przedsionku. Duże okno od frontu wychodziło na ulicę, żaluzje były pochylone w dół, tak że dało się wyjrzeć na zewnątrz, lecz trudno było zajrzeć do środka.

– Dotrę – potwierdziłam.

Gospodyni wyłożyła na talerz podłużne słodkie ciastka.

Jedno rozpadło mi się w dłoniach, rozsiewając okruchy na mojej spódnicy i podłodze.

– Nie przejmuj się tym – powiedziała pani Bee z uśmiechem.

Tego dnia nie wróżyła z fusów w mojej filiżance. Nie wiedzieć czemu nie zostały w niej prawie żadne liście. Spojrzałam na dno, zanim wstałam, by się pożegnać. Całe to wróżenie przypominało test Rorschacha, a liście herbaty reprezentowały zamazane kształty, w których umysł mógł się wszystkiego doczytać. Powiedziałam to kiedyś pani Bee.

– To w pewnym sensie prawda – odparła. – To element całości. Ale czasem widzisz jakiś kształt i wiesz, co przedstawia... wiesz, co ów kształt dla ciebie znaczy.

Dzisiaj te nieliczne listki zwinięte na dnie filiżanki wyglądały po prostu jak liść, który opadł z drzewa. To też pewnie coś znaczyło.

Kiedy w końcu podczas drugiej lub trzeciej wizyty powiedziałam jej, co robię w Nowym Jorku, pokiwała głową, lecz o nic nie pytała. Wybierałam się z wizytą na wydział filologii klasycznej na Columbi. Pani Bee wysłuchiwała mnie cierpliwie. Trudno mi było oprzeć się wrażeniu, że ona już wszystko wie. Musiałam jej o tym powiedzieć i ciekawiło mnie trochę, jakich słów użyję, żeby to opisać, jak dużo wyjawię lub ukryję. Byłby z niej doskonały psycholog. To też przypuszczalnie należało do jej pracy. Wiedziałam, że wytwarza wokół siebie taką aurę – stąd to spokojne, znaczące spojrzenie. Była dobra w swoim fachu. Ale to działało, dając w efekcie silne poczucie, że ktoś mnie zna, rozumie i nie osądza – i wierzyłam, że naprawdę tak jest.

Gdy dotarłam na miejsce, drzwi gabinetu profesora zastałam zamknięte. Podobnie jak ściany były pomalowane na kolor złamanej bieli, poszarzałej na brzegach skrzydła i wokół klamki. W panującej na korytarzu ciszy zastanawiałam się, czy zapukać, gdy drzwi otworzyły się nagle i za próg ze stukiem sandałów na wysokich obcasach wypadła jakaś dziewczyna. Nie spojrzała na mnie. Zauważyłam, że płakała. Miała ciemne, ściągnięte do tyłu włosy, krótką czarną sukienkę, na szyi różowy szal. Chudymi rękami kurczowo przyciskała do piersi książki. Korytarz wypełnił się studentami, którzy całą długowłosą zgrają wyszli z plecakami z sali dwoje drzwi dalej. Zapłakana dziewczyna szybko zniknęła w tym tłumie.

Ralph podał mi nazwisko: Jones, doradca Ingrid do spraw naukowych na Columbii. Umówiliśmy się za pośrednictwem poczty elektronicznej, zwięzłych wiadomości, w których przedstawiłam się jako przyjaciółka Ingrid i poprosiłam o krótką rozmowę przy okazji pobytu w Nowym Jorku. Było to jedyne spotkanie, na które umówiłam się przed wylotem z Sydney. Kiedy znowu się odwróciłam do drzwi, stał w progu. Był wysoki i miał na sobie koszulę w kolorze sjeni. Nie uśmiechał się raczej, ale mimo całej tej sytuacji patrzył na mnie dość życzliwie; z zaciekawieniem i wyzywająco. Ukośnie przystrzyżona grzywka jego prostych ciemnoblonde włosów opadała na jedno oko. Miał ich wystarczająco dużo, by widać było, jak wspaniałe są i gęste. Rozpoznałam kolor mokrego piasku i spojrzałam w uderzająco piękne piwnozielone oczy z brązowymi plamkami. Twarz z muzealnego działu uzbrojenia.

– Julia Alpers.

Wypowiedział moje imię i nazwisko wyrobionym głosem, jakby wydawał oświadczenie, z angielskim akcentem. Takim, jaki zapamiętałam.

– Tak. – Zawahałam się. – Przyszłam w złym momencie?

Przez chwilę miał zmieszana minę.

– Nie. Tak się umówiliśmy. Wejdz.

Odsunął się na bok i ruchem ręki zaprosił mnie do gabinetu. Dwie

jego ściany były pokryte książkami, przeważnie grubymi tomami co najmniej z dziewiętnastego stulecia. Spojrzałam na nie i pomyślałam o antykwariacie w Sydney. Grzbiet jednej został lekko uszkodzony; listek złota na pięknym nadruku tytułu był nienaruszony. Tytuły po łacinie, niemiecku i grecku. Oderwałam wzrok od regału.

Na podłodze pokrytej szarą zakładową wykładziną leżał perski dywan w rudobrunatnej tonacji. Jedno okno wychodziło na pełen słońca i ostro zarysowanych cieni plac poniżej. Miałam na sobie porządne rzeczy – wąskie spodnie z czarnej wełny i płaszcz, długi top w czarno-kremowajodełkę, czerwoną szminkę na ustach – żałowałam jednak, że się bardziej nie wystroiłam, że nie włożyłam szpilek.

Gabinet był pełen reminiscencji wydarzeń, które doprowadziły dziewczynę do łez. Intrygowało mnie, że Jones nie okazał zażenowania tamtą sceną. Zajął miejsce przy biurku i odchylił się w fotelu, rozsuwając nogi i luźno splatając dłonie. Rysy miał łagodniejsze, niż je zapamiętałam, lecz równie piękne i posągowe. Fotel był stary, zrobiony z polerowanego drewna, obrotowy. Ruchem ręki wskazał mi drugi, z tandetnego tworzywa, który zupełnie nie pasował do tego pokoju. Usiadłam. Milczenie Jonesa zaczęło budzić we mnie grozę. Wyczułam w nim coś w rodzaju mocy belfra, którego trudno zadowolić, i zbyt późno zdałam sobie sprawę, że wypowiadam słowa mające go ująć. Powiedziałam o zapłakanej dziewczynie coś, co go rozśmieszyło – o tym, że nie zdołała go przekonać, iż zasłużyła na lepszą ocenę. Poczulałam się wtedy źle i było mi przykro, że zażartowałam sobie z jej niedoli.

– Więc – westchnął – była pani przyjaciółką Ingrid?

– Tak, przyjaźniłyśmy się w Australii, zanim przeprowadziła się tutaj na stałe.

– Rozumiem. Niewiele słyszeliśmy o jej życiu na antypodach. Mówiła z dziwnym akcentem, w którym nie od razu rozpoznałbym australijski. Trochę jak pani. – Zabrzmiało to nieco oskarżycielsko.

Pamiętałam, że głos Ingrid cechowała pewna precyzja wymowy połączona z nieprawidłowym niekiedy doborem słów.

– Jej ojciec był... Francuzem? Szwajcarem? Bo jej głos miał takie brzmienie. – Na twarzy Jonesa odmalował się wyraz powątpiewania. –

I przy okazji zwiedza pani Metropolitan Museum?

Było to pierwsze nawiązanie do tamtego przypadkowego spotkania i zastanawiałam się, czy rzeczywiście je pamięta, czy też zapytał mimochodem. Analiza tych różnych ewentualności zajęła mi chyba dużo czasu. Długie i zgrabne dłonie profesora spoczywały na biurku, a on przyglądał się im podczas naszej rozmowy.

Rozległo się pukanie do drzwi, które pozostawił lekko uchylone. Jones nie zareagował; spojrzał mi w twarz, wciąż oczekując odpowiedzi na swoje pytanie. Po chwili drzwi otworzyły się szerzej i do gabinetu zajrzała jakaś dziewczyna z wylęknioną twarzą, bardzo długimi rzęsami i poczernionymi proszkiem antymonowym powiekami.

Akademik popatrzył na nią z rozdrażnieniem.

– Czy prosiłem, żeby pani weszła?

Dziewczyna spuściła na chwilę oczy.

– Po co pukać, skoro nie czeka pani na odpowiedź?

Stała bez ruchu.

Chrząknęłam.

– Chyba przyszedłam w złym momencie. Jest pan bardzo zajęty swoimi studentami. Przepraszam, że panu przerwałam. Może zobaczymy się innego dnia w tym tygodniu?

Gdy odwrócił się do mnie, oddychał z lekkim trudem, jakby usiłował się skupić naraz na mnie i na studentce.

– Może innym razem. Ale nie bardzo wiem, czego chce się pani dowiedzieć. I nie wiem, jakich informacji mogę pani dostarczyć. – Wydawał się rozdrażniony, postanowił jednak jakoś mi pomóc. – Powinna pani porozmawiać z Trinh. Była jej przyjaciółką.

– Z Trinh?

– Studentką tego wydziału. Może pani otrzymać numer jej telefonu w sekretariacie. Jeśli pani zaczeka, może spotka ją pani na wydziale. – Zerknął na zegarek. – Powinna teraz kończyć zajęcia.

Dziewczyna nie powiedziała ani słowa, czekała po prostu w drzwiach odprężona. Wychodząc, dostrzegłam jej wyrażające coś w rodzaju pogardy spojrzenie kątem oka. Drzwi zamknęły się za mną mocno.

Ruszyłam korytarzem, myśląc o zapłakanej dziewczynie i jej

zaczerwienionej, zmęczonej twarzy.

Sekretariat wydziału był długim i wąskim pokojem połączonym z małą kancelarią z regałami na wszystkich ścianach, z przegródkami dla kadry i dla studentów. Za szklanym przepierzeniem jakaś okularnica siedząca za biurkiem otoczonym szafami na dokumenty pisała na komputerze.

– Przepraszam – powiedziałam. – Szukam Trinh.

– Słucham. – Ten głos dobiegł z kancelarii za mną, z ust młodej kobiety stojącej przed regałami. – To ja.

Jej oczy miały zadziwiający szarobłękitny kolor barwionych szkieł kontaktowych. Trinh trzymała plik prac studentów. Niebiesko-czarna linia tatuażu wiła się na jej nadgarstku jak wąż wypływający spod mankietu koszuli.

– Julia. Jestem przyjaciółką Ingrid Grey.

Kartki wysunęły się jej z rąk i zaczęły spadać na podłogę. Schyliłyśmy się, żeby je pozbierać. Jej włosy były krótkie, czarne i lśniące. Milczała.

– Liczyłam na to, że z tobą porozmawiam – oświadczyłam. – Właśnie spotkałam się z profesorem Jonesem i to on mi powiedział, że się przyjaźniłyście. Przyjechałam do Nowego Jorku i szukam... badam, co Ingrid tu robiła.

Trinh sięgnęła po stojącą na podłodze skórzaną teczkę i wsunęła do niej studenckie prace.

– Dobrze, porozmawiam z tobą. Ale teraz jestem zajęta.

Ruszyłyśmy do drzwi. Co najmniej pięciocentymetrowe obcasy jej butów stuknęły głośno o podłogę. Szłam za nią.

– Możemy się spotkać później? – zapytała. – Chcesz pójść ze mną na drinka?

– Jasne.

– To fajnie. Podaj mi rękę.

Chwyciła mnie delikatnie i na grzbiecie mojej dłoni napisała piórem nazwę i adres jakiegoś baru.

– To w Chinatown. Możesz tam przyjść koło dziewiątej?

– Dobrze.

– To do zobaczenia.

Przystanęłyśmy przed drzwiami windy, które rozsunęły się natychmiast, gdy Trinh przycisnęła guzik ze strzałką skierowaną w górę. Weszła do środka. Gdy drzwi się zamykały, uśmiechnęła się do mnie, a wtedy jej twarz się przeobraziła.

Nacisnęłam drugi guzik i czekałam. Korytarz przytłaczał swym nisko podwieszonym białym sufitem, wykonanym z ospowatych kwadratowych płyt. Uśmiech Trinh był talizmanem, który miał mnie wyprowadzić z budynku, z dala od zapłakanych i pogardliwych studentek, na świeże powietrze. Spojrzałam na prawą dłoń.

Lilac Lounge.

Atramentowe litery zaczęły się już rozmazywać na skórze.

*

Zanim wreszcie znalazłam się na schodach prowadzących do Lilac Lounge, w poszukiwaniu tego lokalu co najmniej dwa razy przeszłam obok nieoznakowanego budynku. W końcu dostrzegłam na rogu fasady wyblakłe L, które mogło coś znaczyć. Z frontu budynku odpadały płatami warstwy farby – żółta, czerwona i niebieska – a każda z nich odślaniała inny zestaw niemożliwych do odróżnienia liter. Schody wiodły z chodnika do drzwi na poziomie piwnicy, które prowadziły do oświetlonego świecami wnętrza. W niewielkich rozmieszczonych dookoła niszach tłoczyły się pary i grupki ludzi.

Trinh odziana w błyszczącą skórę siedziała przy barze. Powitała mnie i zagadnęła cicho barmana, zamawiając mi coś do picia.

– Mam nadzieję, że znalezienie tego miejsca nie nastroczyło ci zbyt wielu kłopotów.

Wzruszyłam ramionami.

Podano mi drinka, pękatą szklanekę wypełnioną przejrzystą cieczą i rozgniecionymi jagodami. Zapytałam Trinh, co to za trunek.

– Absynt – odparła i roześmiała się na widok mojej miny. – Obecnie robią go w mniej trującej wersji. Nie martw się. Usiądźmy.

Przeniosłyśmy się do boksu z czarnego winylu pod panelem z oprawionych w ołów szybek. Ten lokal był tak bardzo odcięty od zewnętrznego świata, że wydawało się, iż w dzień światło słoneczne nigdy nie zdoła dotrzeć do tych zakamarków.

Przebrnęliśmy przez pytania i odpowiedzi na temat długości mojego pobytu w Nowym Jorku i tego, czy to moja pierwsza wizyta.

– Mieszkałam tutaj przez parę miesięcy – wyjaśniłam. – Kilka lat temu.

Trinh skinęła głową.

– A potem?

– W Sydney.

Trinh ściągnęła kurtkę. Winyłowe fotele zaskrzypiały, gdy się poruszyła. Jej ręce były pokryte na całej powierzchni ciemnymi misternymi wzorami tatuaży. Próbowałam nie gapić się na nie.

– Więc Jones kazał ci ze mną porozmawiać.

– Owszem. Widziałam się z nim dzisiaj przez chwilę.

– Miał ci coś do przekazania?

– Niezupełnie. Zanim naprawdę doszło do rozmowy... przerwano nam.

– No tak. Jest zajęty swoimi studentami. – Uśmiechnęła się. – Rozmowa z nim mogłaby cię zainteresować. Sama nie wiem. Gdy Ingrid zniknęła, był zdruzgotany. Była jedną z jego studentek. Niewiele z nich przyjmuje pod swoje skrzydła. A one zazwyczaj się do niego nie garną... cóż, coś takiego nigdy wcześniej się nie wydarzyło.

– Przykro mi – powiedziałam. – Wiem, że to się pewnie wydaje nieco dziwne. Już od dawna nie miałam od Ingrid wiadomości. Mój dobry znajomy... jej kuzyn... poprosił, żebym tu przyjechała i dowiedziała się czegoś więcej o jej życiu, o tym, co się z nią działo. – Zastanawiałam się, co jeszcze powiedzieć. – On sam nie może podróżować.

Trinh spojrzała na swój kieliszek.

– Nie byłam z nią blisko. Trochę się przyjaźniłyśmy. Ingrid była zamknięta w sobie. Łączyły ją bliskie stosunki z Fleur, jej pasierbicą... pewnie miała też innych przyjaciół.

Skinęłam głową. Nie pasowało to do tej Ingrid, którą znałam.

– Kontakt z Ingrid urwał się jeszcze przed wrześniem, ale sporadycznie, bardzo rzadko, się pojawiała. – Wypiła łyk i odstawiła kieliszek. – A teraz jest jedną z „zaginionych”. Gdy skończą dokładne badanie gruzów i szczątków, pewnie gdzieś znajdą kawałek jej ciała. –

Przyjrzała mi się z obojętnym wyrazem twarzy. Czułam niemal wszystkie kości w moim ciele, całe, a nie starte w proch.

– Jeszcze jeden? – Wskazała na mój pusty kieliszek. Skinęłam głową.

Piliśmy dalej i zaczęłam jej opowiadać o sobie – o antykwariacie, osobliwych klientach, nudzie książek na półkach, radości ze zrozumienia złożonego mechanizmu wyceny rzadkich książek, o pierwszych wydaniach. O planach studiów na wydziale prawa. O Marku. Określiłam kształt rzeczy przedstawionych w stylizowanych wzorach jej tatuaży: pnącza albo żyły. Kwiaty, a może dłonie.

Trinh rozsiadła się wygodnie.

– Opowiedz mi więc o Ralphie. Chyba pamiętam, że Ingrid wspomniała o nim. W pewnym momencie przestał z nią rozmawiać?

– Rozeszli się. Po jej ślubie. To znaczy zerwali kontakty.

– Spojrzałam w jej błękitne, plastikowe i ukryte w półmroku oczy.

– A ty?

– Ja też chcę wiedzieć. Kiedyś się przyjaźniłyśmy. Wszyscy się przyjaźniliśmy. Gdy wyjechała, po prostu trochę odsunęliśmy się od siebie.

– To się zdarza, prawda?

– Tak sądzę.

*

Ta rozmowa przypominała mi o ostatniej wizycie Ingrid w Sydney, rok po ślubie. Po nieudanym przyjęciu przez pewien czas nie rozmawiałam z Ralphem, po czym znowu zaczął wstępować do antykwariatu. Zaczął też dość sporo pić – sam, w domu i innych miejscach. W tym czasie rozmawiałam z Ingrid chyba dwukrotnie; raz niedługo po jej powrocie do Nowego Jorku, gdy zadzwoniła, żeby podziękować za prezent ślubny. Przyszła również kartka z podziękowaniami od niej i Greya. Ja zadzwoniłam do niej raz, parę tygodni po pierwszym styczniu, czując przygnębienie i tęsknotę. Był rok 2000, koniec drugiego tysiąclecia. Nie rozmawiałyśmy długo. Ingrid szła na zajęcia, mówiła pośpiesznie i monosylabami. Niewiele ponad rok po jej ślubie Ralph wylądował w szpitalu. Atak serca, arytmia, bardzo

podobnie jak u jego ojca. Tak samo jak w przypadku George'a dowiedziałam się o tym przez telefon od Eda. Wyjaśnił, że to choroba dziedziczna i właśnie nastąpił kryzys. Doprowadzenie go do stanu stabilnego okazało się trudnym zadaniem. Gdy to się stało, Ralph był z matką.

Kiedy poszłam go odwiedzić, Eve była w szpitalu – chudsza niż poprzednim razem, gdy ją widziałam, z postarzałą i przemęczoną twarzą. Ralph wyglądał okropnie, przyprawiająca o mdłości zieleń szpitalnej pościeli podkreślała tylko jego wątłą budowę. Poprosił, bym mu przyniosła papierosy. Dałam mu trochę swoich, gdy Eve nie patrzyła. Ralph skarżył się, że nie pozwalają mu pić, był marudny jak dziecko.

Byłam na niego wściekła, że nie powiedział mi, jak poważna jest jego choroba.

– To prawda, że rozmawiałeś o tym z Ingrid? – zapytałam oskarżycielskim tonem. – Przecież wiedziałeś. Mogłeś bardziej dbać o siebie. Nie ma sensu udawać, że choroba nie istnieje. Mogłeś umrzeć. – Zawsze ulegałam, gdy nie chciał rozmawiać o swoim zdrowiu, nie chcąc wierzyć, że naprawdę coś jest nie w porządku.

Ralph nie przeproszał ani się nie bronił. Popatrzył na mnie.

– Powiedz Ingrid – poprosił z opanowaniem i powagą na twarzy.

Dzwoniłam już do niej dzień wcześniej i zostawiłam wiadomość, że Ralph jest w szpitalu, podając numer telefonu. Nie powiedziałam mu o tym.

Nazajutrz ponownie do niej zadzwoniłam, znowu bez powodzenia. Ralph wyglądał gorzej. Lekarze próbowali stosować nowe leki, by zmusić jego serce do bicia w bezpieczniejszym rytmie.

– Myślisz, że ona przyjedzie? – zapytał mnie w oczekiwaniu odpowiedzi, lecz ja jej nie znałam.

W końcu dodzwoniłam się do Ingrid następnego dnia. Telefon odebrała Fleur. Wtedy rozmawiałyśmy po raz pierwszy. Jej głos nie różnił się od głosów innych nastolatków.

– Julia – powtórzyła za mną, gdy się przedstawiłam. Minęły długie milczące sekundy, po czym w słuchawce odezwała się Ingrid.

– Julio?

- Ingrid... otrzymałaś moją wiadomość?
– Nie... nie. – Jej głos był niewyraźny, jakby właśnie się obudziła.
– Nie dostałam żadnej wiadomości. Automatyczna sekretarka czasem wariuje...
– Chodzi o Ralpa.
Opowiedziałam jej o nim.
– To dość poważna sprawa – uprzedziłam. – Wypytuje o ciebie.
Obiecała, że zadzwoni. Czekałam, aż powie, że przyleci do Sydney, ale milczała.

Kiedy znowu ujrzałam Ralpa, nie poruszaliśmy tego tematu, ale kilka dni później okazało się, że najwyraźniej rozmawiali ze sobą. Ralph sprawiał wrażenie osoby pełnej optymizmu. Na stoliku przy jego łóżku leżał stos powieści, które przyniosłam w minionym tygodniu. Próbowałam mu przynieść inne lektury, lecz on uparcie czytał Thomasa Hardy’ego. W tych okolicznościach nie było to chyba korzystne. Oznajmił mi, że Ingrid ma zamiar przyjechać. Nie wierzyłam w to. Przez następny tydzień nie miałam z nią kontaktu. Gdy tylko lekarze znaleźli właściwą kombinację leków, stan Ralpa szybko się poprawił – na tyle, by mógł wrócić do swojego mieszkania. Pokłócił się o to z Eve, która chciała, by znowu zamieszkał w Kirribilli. On jednak powiedział, że nie pozwoli się traktować jak dziecko, i zapytał, czy ona chce tą kłótnią wywołać u niego kolejny atak serca. Ten argument ją uciszył i jednocześnie doprowadził do wściekłości.

Nazajutrz przyszedłam do niego z następnymi książkami – najnowszą nagrodzoną Bookerem i jakąś inną nowością. Na kanapie u jego boku zastałam Ingrid. Ta scena, nieruchoma i niema, dzięki porannemu światłu wlewającemu się przez okna wyglądała niczym z obrazu Vermeera. Ingrid miała na sobie jasne rzeczy oraz białą koszulę z gniecionej tkaniny i światło padało na nią pod kątem, sprawiając, że promieniała niczym anioł lub jakaś zjawa. Jej twarz była zboląła, usta równie blade jak cera. Włosy skróciła o kilka centymetrów i gdy odgarniała je na plecy, trwało to krócej niż kiedyś. Właśnie przyjechała – prosto z lotniska. Srebrzysta walizka stała za progiem mieszkania.

Ralph uśmiechnął się błogo i rzekł:

– Spójrz. A nie mówiłem?

Może błędnie to zapamiętałam – czyżby to pytanie tylko odmalowało się na jego twarzy?

Gdy chcąc zaparzyć herbatę, podniosłam czajnik z kuchenki i napełniłam go wodą z kranu, pokrywała go cienka warstwa kurzu. Ingrid nie ruszyła się z kanapy. Wyglądała na bardziej chorą niż Ralph.

– Miałam okropny lot – wyjaśniła z bladym uśmiechem.

Podaliśmy jej herbatę. Piła ją powoli.

– Przyjechałam tylko na kilka dni – dodała. – O tej porze roku ciężko się wyrwać.

– Cieszę się, że jesteś.

– Dziękuję, że skontaktowałaś się ze mną – odparła. – Cieszę się, że się do mnie dodzwoniłaś. Dam ci numer mojego telefonu komórkowego. – Wzięła kartkę i zapisała na niej ciąg cyfr. – W ten sposób łatwiej się ze mną skontaktować.

Wspomnienie chwili, którą przerwałam swoją wizytą, psuło atmosferę. Dopiliśmy herbatę i zostawiłam ich dokładnie tam, gdzie ich zastałam.

Tego wieczoru zadzwoniłam do Ralpha. Okazało się, że Ingrid wyszła na kolację z Eve, ale miała jeszcze wrócić.

– Źle się jej tam układa – powiedział. – Z nim. Jest gorzej, niż myśleliśmy.

Przypomniałam sobie jej blade usta i wymizerowaną twarz i nie byłam zaskoczona.

Ralph zamierzał ją namówić do pozostania w Sydney, dowieść jej, że słusznie uważał całe to małżeństwo za błąd.

– Po co ma tam wracać? – zapytał. – Może po prostu zostanie tutaj.

– Jest mężatką – przypomniałam. – Teraz mieszka w Stanach.

– To wszystko było błędem.

– Być może. Może jest tak jak w każdym małżeństwie. Wzloty i upadki.

– Nie. Ty nie rozumiesz. To był... on nie chciał, żeby tu przyjechała.

– Zobaczyć się z tobą?

– Tak.

– Powiedziała ci o tym?

– Domyśliłem się.

Czekałam.

– Wy dwaj nigdy się nie lubiliście. To jeszcze nie znaczy, że małżeństwo Ingrid jest nieudane. – Tak właśnie powiedziałam zniecierpliwiona jego jego podejrzeniami, choć w głębi serca wiedziałam, że ma rację.

– To nie ma nic wspólnego ze mną.

– Owszem, ma.

– Mam na myśli problemy... z nim. – Zaniepokojenie w jego głosie osłabło. – Ona niebawem tu wróci.

Pożegnaliśmy się.

*

Minęły dwa dni, po czym kolejnego wieczoru Ralph zjawił się w moim domu. Padał deszcz i gdy stanął w korytarzu, był przemoknięty. Bez słowa wszedł do środka. Pomyślałam tylko, że nie powinien przebywać na deszczu, przecież dopiero co wyszedł ze szpitala, i że byłoby dobrze, gdyby się napił brandy. Nie miałam jednak ani kropli tego trunku. Usiedliśmy na kanapie. Twarz miał taką samą jak zawsze, lecz tym razem była pozbawiona wyrazu. Siedział sztywno, wciśnięty w róg kanapy. Podałam mu zapalonego papierosa. Trzymał go w palcach, nie unosząc do ust. Wędrujący do góry dym tworzył w powietrzu pionową zasłonę.

– Chodzi o Ingrid? – zapytałam.

Skinął głową i wsparł się na mnie. Objęłam go ręką. Gdy na chwilę przytknęłam policzek do jego głowy, poczułam chłód i woń mokrych od deszczu włosów. Nie był to jedyny zapach; rozpoznawszy go, omal się nie odsunęłam od Ralpa – pachniał Ingrid. Rozluźniłam uścisk. Mijały minuty i zdrętwiała mi ręka. Na zewnątrz mocno padało, po szybach spływała woda. W ów dziwny sposób ciało Ralpa powiedziało mi o tym, że wreszcie ją posiadał i zarazem całkowicie utracił. Pomyślałam o mojej żółtej sukience tamtego ranka przed wieloma miesiącami, uniesionej w mojej wyobraźni ponad głowę i o spętanych nią rękach, sukience, która wylądowała na dnie szuflady. Rzadko ją nosiłam.

*

Głos Trinh przywołał mnie z powrotem do rzeczywistości.

– Trójkąta miłosny – stwierdziła.

– Nie zawsze wyglądało to tak okropnie.

– Nie. Pewnie było wspaniale.

Spojrzała na mnie spod opuszczonych powiek.

– Muszę już iść, ale chciałabym się znowu z tobą zobaczyć.

Dopiłam swojego drinka.

– Mam umówione spotkanie, którego nie mogę odwołać. Może zajrzysz na wydział jutro? Mój gabinet znajduje się w pokoju pięćset dwadzieścia.

Uzgodniłyśmy, że spotkamy się o drugiej. Trinh znowu posłała mi uśmiech, który widziałam na jej twarzy, gdy się rozstawałyśmy przed windą, i wyszła.

Poprosiłam o jeszcze jedną porcję tego, co piła, i usiadłam przy barze.

*

Nazajutrz o drugiej po południu zapukałam do drzwi pokoju 520 w korytarzu wydziału filologii klasycznej. Naklejono na nich karteczki z kilkoma nazwiskami i wypisanymi obok godzinami konsultacji. Otworzył mi mężczyzna z ciemnymi kręconymi włosami, ubrany w brązowy rozpinany sweter.

– Słucham?

– Szukam Trinh.

– Nie ma jej. Pracowała tu dzisiaj rano, ale jakiś czas temu wyszła.

W czym mogę pomóc?

Byłam pewna, że przyszłam o właściwej porze.

– Nie, nie, później ją złapię.

Rozejrzałam się po pokoju. Był to gabinet zastawiony biurkami i regałami pełnymi książek. Zastanawiałam się, które biurko należy do Trinh. Ściana nad każdym biurkiem była oklejona kartkami: cytatami po łacinie, w starożytnej grece i w innych językach, obrazkami przedstawiającymi antyczne świątynie, popękane wazy i słoje, ziarnistymi zdjęciami inskrypcji oraz wycinkami prasowymi.

Kędzierzawy mężczyzna usiadł za jednym z biurek przy otwartym laptopie. Błat biurka był usłany papierowymi kubkami po kawie.

– Znał pan Ingrid? – zapytałam.

– Ingrid?

– Holburne. Albo Grey.

– Niezupełnie... trochę – odparł i pokręcił głową, po czym wyciągnął rękę i rzekł: – Gabriel. – Mówił z południowoamerykańskim akcentem.

– Julia, byłam przyjaciółką Ingrid... – Urwałam niepewna, co jeszcze powiedzieć.

– Ona współpracowała z Jonesem, prawda?

– Tak, zgadza się. Cóż, zostawię Trinh wiadomość w jej skrzynce.

– Dobrze. Do widzenia.

Gabriel miał miły uśmiech.

Wsparłam się na kontuarze koło skrzynek na listy, żeby napisać wiadomość. W torebce miałam tylko dość tępy ołówek. Żadnego pióra. Napisałam krótki list i podałam numer telefonu stacjonarnego. Dodałam adres e-mail, po czym go wykreśliłam. Jedyne komputery w mieszkaniu znajdowały się w pokoju Matta – pozwolił mi z niego korzystać, ale modem był wolny i zawodny, więc rzadko sprawdzałam pocztę. Byłam gotowa włożyć wiadomość do skrzynki Trinh, gdy sobie uświadomiłam, że przecież nie znam jej nazwiska. Na regale były rzędy przegródek i nie dało się tego odgadnąć. Okularnica siedząca za biurkiem w przyległym pokoju rozmawiała przez telefon, obracając pióro w palcach. Miała na sobie bliźniak podobny do tego, który widziałam na niej poprzedniego dnia, tyle że w nieco innym kolorze.

Odwróciwszy się, spostrzegłam, że do kancelarii wszedł Jones ubrany w jasny garnitur, który zupełnie nie pasował do pory roku. Posłał mi równie poważne spojrzenie jak dzień wcześniej i rzekł:

– Julia Alpers.

– Dzień dobry. Miałam się spotkać z Trinh, ale jej nie ma.

Milczał.

– Wie pan, jak ona ma na nazwisko? – zapytałam, trzymając w dłoni wiadomość. Jasne, że wie, pomyślałam z irytacją i poczułam się jeszcze głupiej.

Jones zrobił krok naprzód, wziął ode mnie wiadomość i umieścił ją w przegródce. Nie udało mi się zobaczyć, w której. Wyjął ze swojej przegródki parę listów, zerknął na koperty i odłożył je na miejsce.

Przypomniałam sobie wieczorną rozmowę z Trinh i zapytałam:

– Jest pan zajęty?

Przyjrzał mi się bacznie, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Jadła pani lunch?

– Nie.

– To chodźmy.

Był klasycznie przystojnym, aroganckim, pełnym ambiwalencji mężczyzną, który niewątpliwie skrywał urazy psychiczne lub przynajmniej kilka kompleksów. Serce zabiło mi gwałtownie, ale i tak poszłam za Jonesem. Na korytarzu minęliśmy dziewczynę, która poprzedniego dnia opuściła z płaczem jego gabinet. Teraz nie płakała. Jones skinął jej głową. Odpowiedziała nieznacznym skinieniem, nie patrząc mu w oczy.

Gdy znaleźliśmy się na zewnątrz budynku, profesor ruszył szybkim krokiem, omiatając wzrokiem twarze mijanych na ulicy osób. Po przejściu kilku kwartałów nagle skierował się do zatłoczonego baru. Zaczął się przeciskać do kontuaru, a ja czekałam na obrzeżach tłumu gości i studiowałam jadłospis, ogromną zawieszoną na ścianie tablicę pokrytą nazwami potraw, rozmaitych kanapek, bajgli, setek rodzajów krojonego chleba i bułek. Za ladą ręce obsługi kroїły na kromki pieczywo i chwytaly dodatki. Wybierałam coś z pomidorem, bazylią i mozzarellą, gdy obok pojawił się Jones i zbliżając usta do mojego ucha, delikatnie ujął mnie za łokieć.

– Zamówiłem pani kanapkę – rzekł, spoglądając gdzieś nad moją głową. – Odbiorę ją. Proszę zaczekać.

Zaczekałam. Czułam ciepło na skórze w miejscu, gdzie mnie dotknął. Wrócił z jedzeniem w ręku i wskazał stolik, jakimś cudem wolny w zatłoczonym barze.

Ingrid bez przerwy ukazywała mi się w tłumie niczym zjawa i zastanawiałam się, czy przychodziła tu, stała i siedziała, czy zamawiała lunch i wybierała zimne napoje.

– Chwileczkę – powiedziałam i precisięłam się przez grupkę

ludzi, żeby sięgnąć do lodówki. Wyjęłam z niej jaskraworóżowy sok żurawinowy i wróciłam do stolika.

Kanapka – z chrupiącej bagietki z szynką i awokado – była bardzo smaczna.

Jones zadał mi sporo pytań o miejsce, w którym się zatrzymałam, z właściwym nowojorczykowi obsesyjnym zainteresowaniem jego lokalizacją. Znał ten kwartał, znał budynek, a także dom po drugiej stronie ulicy, w którym kiedyś mieszkali jego znajomi. Był pod wrażeniem mojego opisu tarasu, powiedziałam mu również o pustej klatce. Dopytywał się, jak duży jest ten taras, a ja nie potrafiłam określić jego powierzchni.

– Ile osób by się tam zmieściło?

Wyobraziłam sobie taras pełen ludzi. Sznury zapalonych o zmroku bombek, kobiety i mężczyźni stojący i siedzący na niskich krzesłach. Nie byłam pewna, jak ich policzyć: łączyli się niezbornie w moich myślach w dwójki, czwórki i piątki.

– Około dwudziestu? Trzydziestu? – zgadywałam. – Nie wiem.

– Powinna pani urządzić przyjęcie.

– Po co?

– Coś wymyślimy. Niech pani wykorzysta taką przestrzeń w tym mieście.

O Ingrid nie rozmawialiśmy. Jones wyjawiał, że mieszka w Nowym Jorku od sześciu lat, odkąd zrobił doktorat w Oksfordzie. Jego imię pozostawało tajemnicą. Krótkie chwile milczenia, gdy jedliśmy, były dziwnie swobodne i stwarzały pozory zażyłości ukształtowanej długą znajomością. Jones zjadł sporo i chętnie częstował się moim sokiem, wypijając połowę jednym haustem, gdy ja przeżuwałam kanapkę.

– Pije pan mój sok – zauważyłam.

– Kupię pani jeszcze jeden.

Mój łokieć płonął. Jones, podnosząc się, znowu go lekko dotknął i można było odnieść wrażenie, że pomaga mi wstać od stolika.

Nazajutrz postanowiłam spróbować jeszcze raz. Stałam przed zamkniętymi drzwiami pokoju 520, odczytując wypisane na nich nazwiska, gdy Trinh pojawiła się u mojego boku, mówiąc „Dzień dobry”.

I znowu miała ręce pełne kartek, może ten sam plik, który dźwigała dwa dni wcześniej. Teraz wydawał się grubszy. Na jednej ze stron widniały ślady czerwonego pióra: kółko wokół jakiegoś słowa, znak zapytania na marginesie i trochę nagryzmołonych uwag. Czulałam się jak szpieg. Odwróciłam wzrok. Trinh usiłowała utrzymać plik kartek, gdy otwierała zamknięte na klucz drzwi.

– Wejdz do mojego saloniku – powiedziała i posłała mi przez ramię porozumiewawcze spojrzenie zmrużonych oczu.

– Czy popełniłam jakiś błąd? – zapytałam. Zasady etykiety były w tym miejscu wymuszone, przypominały o nierównowadze sił pośród zamieszkujących je ludzi. Wydawało się, że pokoje i korytarze służą uwzględnieniu reguł w stosunkach wykładowców ze studentami i nie tak łatwo dopuszczają innych. – Mam na myśli wczorajsze spotkanie.

– Nie wiem – odparła. – Popełniłaś?

Trinh zajęła się układaniem kartek na biurku w kilka plików, po czym wyprostowała się i wygładziła bluzkę z kołnierzykiem i wąską spódnicę, uszyte idealnie na miarę. Jedna i druga były w ciemnoniebieskim, lecz nie granatowym kolorze, który przypominał mi kolor indygo. Albo atramentu. Czulałam w ustach wyrazisty smak tego słowa.

Trinh sprawiała wrażenie roztargnionej.

– Niebawem mam spotkanie ze studentami, więc niedługo będziemy musiały się pożegnać. Ale pomyślałam o czymś dla ciebie.

Podeszła do wysokiego regału w kącie pokoju. Jego półki uginały się od ułożonych bez ładu i składu przedmiotów: książek, teczek, papierów, pudeł, kubka i popielniczki ze śladami popiołu. Na górnej półce opierała się o ściankę regału ozdobna urna.

– Biurko Ingrid opróżniliśmy wiele tygodni temu, po czym podczas przeszukiwania szuflad ktoś znalazł to pudło. Byłabyś

zainteresowana zabranieniem go?

Skinęłam głową.

– Tak. Dzięki.

Trinh sięgnęła po pudło spoczywające na jednej z niższych półek i mi je wręczyła. Miało wielkość dużego pudła na buty i zostało zrobione ze sztywnego brązowego kartonu.

– Nad czym pracowała? – zapytałam. – Nawet tego nie wiem.

– Przygotowywała pracę na temat rzymsko-brytyjskich tabliczek z klątwami.

– Tabliczek z klątwami?

– Ingrid skupiła się na tabliczkach znalezionych w świątyni Sulis-Minerwy w Bath.

Gdy Trinh podniosła wzrok, ujrzała wyraz zmieszania na mojej twarzy.

– Chodzi o antyczne tabliczki do pisania. Wiesz, co mam na myśli?

Uśmiechnęła się.

– Tak, tak sędzę. – Pamiętałam zdjęcia kamienia z Rosetty, jego wielką powierzchnię pokrytą rzędami tajemniczych postaci. – Kamień. – Położyłam pudło na biurku.

– Te są w większości ołowiane.

– I są obłożone klątwą? – Wyobraziłam sobie grobowce w piramidach egipskich, pogłoski o klątwie cięższej na mieszkańcach Zachodu zaangażowanych w ich otwarcie.

Trinh zaśmiała się lekko.

– Nie, nie są obłożone klątwą. Klątwy są na nich zapisane. To cienkie ołowiane rękopisy. Gdybyś chciała rzucić na kogoś klątwę, sprawić, by spotkało go nieszczęście, zapisałaś ją, wyryła na tabliczce lub wynajęła w tym celu czarownika i zwinęła ją w rulon. Czasami przebijano je gwoździem, żeby się nie rozwijały. Potem zaś zostawiłaś ją gdzieś, zakopała w grobowcu. Tak aby mogli ją przeczytać bogowie. W tym wypadku ludzie wrzucali je do wody w tej świątyni, do źródła. – Trinh spojrzała na pudełko. – Sulis-Minerwa była jednym z bóstw, którymi interesowała się Ingrid, boginią łączącą w sobie celtycką Sulis z rzymską Minerwą. Strażniczką bramy. Myślę,

że każda tabliczka z Bath stanowi prośbę do bogini o obłożenie klątwą osoby, która ukradła rękawiczki, pelerynę lub pieniądze. Popęłniała kradzież. Wszystkie brytyjskie tabliczki są takie. – Westchnęła. – Greckie są o wiele bardziej interesujące. Posłuchaj... może przeczytasz pracę Ingrid? W tym pudle na pewno jest jej szkic. Z niej dowiesz się o nich wszystkiego.

Wzięłam pudło i spojrzałam z powrotem na półkę, na której powstała po nim lukę wypełniły już przewracające się książki. Wypełnione papierem pudło było tak ciężkie, że musiałam je trzymać obiema rękami.

Gdy Trinh na mnie spojrzała, coś się zmieniło w wyrazie jej twarzy. Sprawiała wrażenie zdenerwowanej, jakby chciała pomóc, lecz czuła się przy tym nieswojo.

– Masz jakieś plany na dziś wieczór? – zapytała.

Uświadomiłam sobie, że mam ochotę skłamać. Nie dlatego, że nie chciałam się z nią znowu zobaczyć. Chciałam. Czułam dla niej pewien podziw, jakbym znalazła się z powrotem w liceum, a ona, tuż przed dyplomem, była dobrze ubrana i starannie wykształcona. Moje wieczory wydawały się puste i pragnęłam to ukryć.

– Podobał ci się Lilac? – ciągnęła. – Mogłabym cię trochę oprowadzić, ale brak mi fantazji, stale chodzę w te same miejsca.

– Tak – odparłam nagle.

– Świetnie, tam się zobaczymy. Przyjdę o dziewiątej.

Jeszcze raz podziękowałam jej za pudło.

*

Gdy znalazłam się z powrotem w korytarzu, w moją stronę szedł właśnie jakiś student. Odwróciłam wzrok i ujrzałam Jonesa. Ten, niczym koń, gwałtownym ruchem głowy odrzucił ciężkie, opadające na czoło włosy. Wydawało się, że zaraz się ze mną przywita, gdy jego spojrzenie padło na pudło w moich dłoniach. Przyśpieszył kroku. Rzucił szybkie „Dzień dobry”, szarpnął klamkę i wszedł do gabinetu Trinh, zamykając drzwi za sobą. Ich stłumione głosy były ledwie słyszalne, słowa niewyraźne. Wypowiedzi obojga padały jedna za drugą.

Student dotarł do drzwi pokoju 520. Stał przed nimi, po czym

westchnął niepokieszony i płynnym ruchem osunął się na podłogę obok framugi. W środku zapanowała cisza, a drzwi pozostały zamknięte.

*

Wyniosłam pudło z kampusu i poszłam do baru kawowego po drugiej stronie ulicy. Stoliki były pozajmowane przez żaków studiujących wielkie podręczniki i powieści wiktoriańskie. Usiadłam przy jednym z nich i przypatrzyłam się bacznie pudłu. Wcześniej zamierzałam usiąść przy kieliszku i przejrzeć zawartość pudła, lecz przyglądając mu się, czułam się coraz bardziej nieswojo. Wydawało się, że jego masa rośnie, że pochłania energię otoczenia. Znowu przypominałam sobie o badaczach grobowców. Pudło wyglądało jak trumna, pojemnik na szczątki zmarłych. Nie chciałam go tam otwierać.

Było nieporęczne, zbyt ciężkie. Podeszłam do lady i poprosiłam o kawę na wynos. Zbyt późno zaczęłam się zastanawiać, jak zaniosę je do metra, mając nadzieję, że wagon nie będzie zatłoczony, że znajdzie się dla mnie miejsce oraz drugie obok na pudło. Przyniesiono mi kawę, oparłam karton trochę wyżej na biodrze, zabrałam styropianowy kubek z plastikowym wieczkiem i wyszłam.

Zanim dotarłam do mieszkania, prawie całą kawę miałam na koszuli, mokra plama odznaczała się na białym bawełnianym tle. Na ulicy panował upał, a w budynku chłód, gdy otworzyłam drzwi od frontu. Przystanęłam za progiem i zastanawiałam się, czy zapukać do drzwi pani Bee. Pudło ciążyło mi niczym ołów. Weszłam na górę i znalazłszy się w mieszkaniu, położyłam je na krześle w sypialni.

Matta zastałam w salonie, właśnie zabierał klucze ze stołu i szykował się do wyjścia. Był wzburzony.

– Co się stało? – zapytałam.

Wzruszył z irytacją ramionami.

– Te pieprzone ślimaki. W tej instalacji, o której ci opowiadałem, gromada ślimaków pełza po paru kawałkach pleksi... ich ślady są podświetlane... niektórym do skorup przymocowano sznurki... trudno to opisać. W każdym razie jakiś bojownik o prawa zwierząt uznał, że znęcamy się nad ślimakami, więc stale przyłazi i je zabiera. Uwalnia. – Matt naciągnął na siebie postrzępioną dżinsową kurtkę. – Myślę, że

wiem, kto to jest. Kobieta.

– Co z nimi robi?

– Nie mam pojęcia. Teraz jednak muszę znaleźć następne ślimaki.

Chcesz pójść ze mną?

Zaprzeczyłam.

– Skąd je bierzesz?

– Mam znajomego, który pracuje w restauracji i wyświadcza mi przysługę. Jak na ślimaki są kurewsko drogie.

Zadzwoił telefon. Matt odebrał. Głos jego rozmówcy był bardzo donośny.

– Pojadę taksówką – powiedział po chwili i się rozłączył. Wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

W kuchni między zlewem a oknem, w miejscu, gdzie padało słońce, kawałek wyłożonej linoleum podłogi był gorący. Zdjęłam buty i stanęłam tam, grzejąc bose stopy w silnym świetle. Zniosłam do sypialni szklankę z wodą, usiadłam na łóżku i spojrzałam na pudło. Przestało już roztaczać aurę powagi i nieco pokiereszowane wyglądało dość skromnie. Źródłem awersji, którą czułam, okazałam się ja sama, nie zaś pudło. Uniosłam ostrożnie wieko i ujrzałam w środku stos kartek, parę skopiowanych z jakiejś książki i jedną, której róg wystawał spod reszty, zapisaną przez Ingrid grubym ołówkiem. To wystarczyło. Opuściłam wieko pudła i zesłam na parter.

Pani Bee otworzyła drzwi. Nie wyglądała na zaskoczoną moją wizytą.

– Wejdz – powiedziała. – Miałam właśnie zaparzyć herbaty.

Zanim uważnie przyjrzała się fusom w filiżance, odczekała kilka minut od momentu, gdy ją opróżniłam. Przechylała ją na obie strony z kamiennym wyrazem twarzy. Spojrzała na mnie przenikliwie.

– Cóż, robisz pewne postępy – zauważyła spokojnie i odstawiła filiżankę z powrotem na spodek.

Zajrzałam do niej ukradkiem, nie chcąc okazać zbytniego zainteresowania jej zawartością. Po jednej stronie filiżanki do ścianki przylgnęły pojedyncze listki. Ich widok przypominał mi morskie wodorosty brązowiejące w słońcu na skałach. Pomyślałam o brązowej plamie na białej koszuli ciśniętej na podłogę w sypialni. Przypomniało

mi się jasnobrązowe pudło na krześle, biel wnętrza wieka, zaskakująco duży ciężar, podwinięcie kartonu na brzegach. W ustach czułam mocny smak herbaty.

*

Pół godziny później przeglądałam zawartość pudła z większym zdecydowaniem. Strony zapisane ręką Ingrid wydawały się jej notatkami na temat rozdziału książki lub artykułu. Znalazłam też wydrukowany szkic eseju zatytułowanego *Kradzież i zemsta na tabliczkach z klątwami z rzymskiej Brytanii*. Mógł to być wstępny lub końcowy szkic; około dwudziestu kartek, lekko zredagowanych ręką Ingrid, z paroma usuniętymi słowami, dodanym przecinkiem, kilkoma skreślonymi w całości zdaniami i nowymi frazami dopisanymi na marginesie każdej ze stron. Przejrzałam go i pobieżnie przeszukałam resztę zawartości. Następne szkice referatów, kolejne kserokopie. Żadnych rękopisów. Rewelacji nie było. Poczulałam rozczarowanie.

A czego się spodziewałam? Dziennika? Pamiętnika?

Wyciągnęłam papierowy obrazek przedstawiający Merkurego, który wyglądał niczym reprodukcja jakiegoś fresku. Odwrócony profilem bóg gotował się do biegu. Papier był poprzecierany, a na odwrocie widniały ślady po pinezkach, którymi przypięto go do ściany. Przypominały mi się biurka w dawnym gabinecie Ingrid i ściany nad nimi pokryte obrazami, cytatami i wiadomościami. Z głębokich pokładów pamięci wydobyłam informację, że Merkury to posłaniec, pośrednik; pamiętałam też, iż był jednym z bogów odpowiedzialnych za odprowadzanie dusz zmarłych w zaświaty. Zastanawiałam się, jaką wiadomość niesie tutaj i komu będzie towarzyszył w drodze na drugi brzeg rzeki.

Na następnej kartce w pliku, tytułowej stronie książki o Minerwie oraz innych boginiach, widniał pojedynczy słaby odcisk, ślad palca ubrudzonego tonerem z fotokopiarki lub drukarki. Wtedy coś we mnie pękło i nagle odczułam wstrząs wywołany tą tragedią. Przypomniałam sobie, jak Ingrid ścigała palcami swe bujne włosy w warkocz, słońce w tym warkocz, jego kolor w zestawieniu z szylkretową spinką. Wydawało mi się, że to bardzo odległa przeszłość, inne życie.

Nagle zapragnęłam zadzwonić do Ingrid i usłyszeć jej głos przez telefon, zapominając na ułamek sekundy, że to niemożliwe. Przykładając do ucha słuchawkę, odgarnęłaby dłonią włosy. Popatrzyłam na czarny aparat na komodzie obok łóżka. Kiedy po raz ostatni rozmawialiśmy?

Nie chciałam dzwonić do nikogo innego. Przykryłam kartkę z odciskiem palca stosem pozostałych, zamknęłam wieko pudełka, opuściłam sypialnię i poszłam pod prysznic.

Pod gorącym strumieniem wyszorowałam całe ciało i umyłam włosy, wykręcając z nich wodę bardziej zawzięcie niż zazwyczaj. Kłęby pary wypełniły małe pomieszczenie. Kafelki były zroszone wodą. Pomyślałam o spotkaniu z Jonesem na korytarzu, o tym, jak gwałtownie potrząsnął głową, gdy włosy opadły mu na oczy – zrozumiałam, jak bardzo przypominają włosy Ingrid, ich ciemny blond, kolor słomy w słońcu i cieniu lub tylko moje wyobrażenie tego koloru, nigdy bowiem czegoś takiego nie widziałam. Jeden włos przylgął do wykafelkowanej ściany prysznic, tworząc ciemną prostą linię. Już jest martwy, pomyślałam i splukałam go do ścieku.

*

Gdy tego wieczoru spotkałam się z Trinh, nie rozmawialiśmy o Ingrid ani o pudle. Kiedy zamawiała kolejne drinki, u jej boku pojawił się Jones, który skrzyżował ręce i oparł się na kontuarze. Skinął mi głową i uśmiechnął się na powitanie, ale potem nie zwracał na mnie uwagi. Opowiedział jej dowcip, rozmawiali przez minutę, po czym odszedł do stolika za nami. Jakiś czas później, gdy wróciłam z toalety, znowu stał przy barze; tym razem siedząc na moim stołku. Tymczasem lokal wypełnił się ludźmi. Ujrzawszy mnie, Jones wstał i powiedział:

– Trzymałem miejsce dla pani.

Trinh zaczęła rozmawiać z przyjaciółką, która zjawiała się niedługo potem – Darryl lub Cameron, jej imię miało męskie brzmienie. Gdy ruszyłam do wyjścia, Jones stwierdził, że też wychodzi. Trinh omiotła nas wzrokiem i przez chwilę wahała się, jakby chciała mi coś powiedzieć, jednak albo się rozmyśliła, albo nie mogła tego zrobić w jego obecności. Stwierdziła tylko, że niedługo się zobaczymy.

Wyszliśmy po schodach na ulicę.

– Zatrzymać pani taksówkę? – zapytał.

– Nie – odparłam.

Noc była ciepła i po tak długim siedzeniu w podziemiach mąciło mi się w głowie. Miałam ochotę pospacerować. Jones chyba się ucieszył i zaproponował, że się ze mną przejdzie. Trudno mi było ocenić, która jest godzina. Na ulicach i w barach wciąż panował spory ruch, w mijanych restauracjach nadal siedziało po kilka osób. Przecieliśmy Broadway i razem zmierzaliśmy z powrotem do Village. Szedł wolniej niż w dniu, gdy zabrał mnie na lunch. Minęliśmy akademik, w którym kiedyś mieszkał mój chłopak z NYU, i opowiedziałam mu tę historię. Roześmiał się. Idąc, wskazywał witryny sklepowe w różnych punktach, wyjaśniając, że w tym zamkniętym na głucho lokalu kiedyś mieściła się restauracja, że w miejscu tej knajpy była dawniej apteka, a tu jego dobry znajomy robił szafki w kawalerce na piętrze. Gdy dotarliśmy do mojego budynku, przystanęliśmy przed wejściem.

– Ten pani taras – powiedział Jones. – Bardzo chętnie bym go obejrzał.

Zabrałam go na górę i przez przeszklone drzwi tarasu z powrotem wyprowadziłam na zimny wiatr. Jones rozejrzał się, lustrując bacznie klatkę dla ptaków, oceniając powierzchnię tarasu. Zostałam przy drzwiach i przyglądałam mu się, po czym, gdy zatrzymał się na chwilę przy wysokiej balustradzie i wsparł o nią rękami, podeszłam do niego. Patrzyliśmy na ulicę poniżej i na południe, na niebo pełne świateł. Jones uśmiechnął się z zadowoleniem, jakby trafił tam, gdzie pragnął się znaleźć. A może po prostu był trochę wstawiony. Po pewnym czasie ruszył do drzwi, a ja poszłam za nim.

Tuż przed progiem chwycił mnie za ręce nad łokciami i pchnął na ścianę. Sznury kolorowych lampek po drugiej stronie tarasu jarzyły się słabym blaskiem, ale my byliśmy w cieniu. Jones pocałował mnie gwałtownie. Jego dłoń szybko znalazła się pod moją spódnicą. Czułam, że jęczę przez ściśnięte gardło nie swoim głosem. Jedną rękę nadal miałam przygwożdżoną do ściany, a druga zwisała bezwładnie. Powinnam czuć na jego ustach smak nikotyny, ale tak nie było. Cofnął dłoń i odsunął twarz, żeby na mnie patrzeć chłodnym, taksującym

wzrokiem. Nie odrywałam od niego oczu. Oboje oddychaliśmy pośpiesznie.

– Hm – mruknął bardzo cicho. Zapragnęłam usłyszeć to jeszcze raz. Już miałam uwolnić ręce, żeby go dotknąć, gdy przesunął się delikatnie w drugą stronę, przywarł policzkiem do mej twarzy i rzekł: – Dobranoc.

Moja twarz płonęła. Pozostałam w cieniu, a on przeszedł przez pokój do drzwi mieszkania. Zamknęły się za nim z przyjemnym dla ucha trzaskiem.

Pudło wciąż spoczywało na łóżku z gotowym do biegu Merkurym w środku. Postawiłam je na podłodze i położyłam się w zagłębieniu, które pozostawiło na materacu.

Moje sny wypełniły się dźwiękami dzwoniących telefonów, wędrującymi po spiralnie skręconych, wijących się niczym węże kablach. Całe rzędy brzęczących bezustannie aparatów i ja, zbyt wystraszona, by odebrać, bo wiedziałam, że dzwoni Ingrid, i bałam się myśli o tym, skąd dzwoni. W końcowej fazie tego snu Ingrid siedziała cierpliwie w nogach łóżka, czekając, aż podniosę słuchawkę.

*

Nazajutrz rano zatelefonowałam do Ralpha. Odebrał Aaron. Powiedział, że Ralph odpoczywa i nie może podejść do aparatu.

– Jak się czuje? – zapytałam.

– Dużo odpoczywa. Czuje się dobrze. To jest... no wiesz. Łatwo się męczy.

Odczekałam chwilę i powiedziałam:

– Poproś go, żeby do mnie zadzwonił, gdy poczuje się lepiej.

– Dobrze, Julio. Mam przekazać jakąś wiadomość?

– Mam dosyć pobytu tutaj – odparłam. – To jest ta wiadomość.

– Przekażę mu – obiecał swoim miłym, obojętnym głosem Aaron.

Z delikatnym szumem fali ciepła napłynął z jego strony linii odgłos wołającego gdzieś w oddali ptaka. Odłożyłam słuchawkę.

– Mam dosyć pobytu tutaj – powiedziałam do siebie, jakby to była kwestia do przećwiczenia. – Jestem wykończona. – Westchnęłam, wiedząc, że to nieprawda.

Bez namysłu wzięłam prysznic, ubrałam się i pojechałam metrem aż na uniwersytet. Zapukałam do drzwi pokoju Jonesa i weszłam do środka, nie czekając na wezwanie. Było jeszcze wcześniej i korytarze wydziału świeciły pustkami. Siedzący za biurkiem Jones spokojnie podniósł wzrok, jakby się spodziewał mojej wizyty, i wypowiedział moje imię i nazwisko. Zamknęłam drzwi. Ponieważ nie dostrzegłam blokady zamka, przysunęłam do nich plastikowe krzesło w taki sposób, by unieruchomić klamkę. Jones zerknął na zegarek.

Stałam tuż koło drzwi, dwa kroki od niego. Patrzyliśmy na siebie. Wydawało się, że cała nasza rozmowa odbywa się w sekundach milczenia, które ciągnęły się jak minuty. Pytania, wyjaśnienia, uniki, zachęty. Zanim wciągnął powietrze w płuca i przemówił, poczułam, że doszliśmy do porozumienia.

– Później? – zapytał, kończąc dialog, którego nie prowadziliśmy. Obojętnie, głosem, który pamiętałam ze spotkania w muzeum.

Skinęłam głową. Gdy się odwracałam, żeby odsunąć krzesło i otworzyć drzwi, Jones błyskawicznie znalazł się obok mnie. Jedną ręką ujął przegub mojej dłoni, delikatniej niż przedtem, lecz z wyrachowaniem, a drugą, ułożywszy kciuk w czułym punkcie mojej szyi, uniósł mi twarz, żeby mnie pocałować. Tym razem moje ręce były pełne życia i uwolniłam jedną z uścisku, by go dotknąć; czułam przez koszulę jego ciepłe ciało. Z korytarza dobiegły jakieś głosy, poszczególne słowa były niezrozumiałe, ktoś coś wyjaśniał poirytowany, w odpowiedzi rozległ się chyba niestosowny śmiech. Wydawało się, że Jones nie zwraca na to uwagi albo jest mu to obojętne. Nie odrywał ust od mojej twarzy. Po chwili wytrącona z równowagi obecnością innych osób za drzwiami wyrwałam się z jego objęć.

– Później – powiedziałam i cofnęłam się bezszelestnie.

Na czerwonym dywanie leżał długi kosmyk włosów.

Spostrzegłam go, wychodząc: tworzył literę „S” na tle rombów dywanu, płonął złotym blaskiem w smudze słonecznego światła. Nie sposób było stwierdzić, do kogo należał.

*

Gdy wróciłam z torbami pełnymi zakupów spożywczych do

mieszkania, Matt ocenił sytuację jednym przeciągłym spojrzeniem.

– Masz włosy w nieładzie – powiedział, krzyżując ręce i opierając się o kuchenny zlew.

Grało radio i Matt nucił pod nosem. Wypakowałam zawartość toreb: chleb, masło, musztardę, cztery rodzaje szynki, sałatę. Pomógł mi zrobić sałatkę i kanapki, ale w końcu zjedliśmy niewiele. Piliśmy napój gazowany zrobiony z soku z jagód o niemożliwej do wymówienia nazwie – Matt miał bzika na jego punkcie. Poprzedniego wieczoru oglądał w telewizji program turystyczno-krajoznawczy i teraz zadawał mi głupie pytania o Australię.

– Czy koale naprawdę są fajne, czy są szkodnikami? – Wymyślił sobie, że są w całym Sydney, że roi się od nich na wszystkich drzewach jak od wiewiórek.

– W Sydney tak nie jest – wyjaśniłam. – Żadnych koali. – Spojrzał na mnie z powątpiewaniem. – Żadnych kangurów.

– Nie sądziłem, że kangury żyją w mieście – bronił się.

– Słusznie.

– Więc... Sydney nie jest bogate w faunę.

– Nie tam, skąd pochodzę. Nie brak za to karaluchów.

Matt był zawiedziony.

Zniknął w swoim pokoju, żeby zatelefonować, a ja poszłam się położyć i poczytać książkę, ale zasnęłam. Gdy parę godzin później wyszłam z sypialni, sałata była przywiedła, a chleb wyschnięty na brzegach. Matt zniknął, w mieszkaniu panowała cisza i wreszcie poczułam się jak u siebie.

Gdy kilka dni później poszłam zobaczyć się z Greyem w mieszkaniu, które oboje z Ingrid kupili przy Central Park West, było przedpołudnie. W powietrzu wisiała rzadka mgła, zasnuwająca bladym całunem budynki i przesłaniająca widok w długich alejach. Mieszkałam w jasnym murowanym budynku z lat dwudziestych, położonym przy samej ulicy za równo przystrzyżonym ciemnym żywopłotem. Tuż za progiem frontowych drzwi, na stole pośrodku korytarza, który trzeba było obejść w drodze do windy, wystawiono na pokaz budzące grozę kwiaty. Rajskie ptaki zwracały swoje kolczaste głowy w bok, profilem, a ze środka kwiatowej kompozycji rozchodziły się promieniście ich ostre zielone liście.

Wszystkie powierzchnie były wypolerowane, lecz nie błyszczące, szare i w różnych odcieniach szarej zieleni. Odziany w granatowy garnitur odzwierciadlający się w granitowym pulpicie, skinął ponuro głową i pozwolił przejść. Gdy go mijałam, spostrzegłam, że przykłada do ucha słuchawkę telefonu. Wyłożona w środku lustrami winda wywiozła mnie na piętnaste piętro. Drzwi kabiny rozsunęły się dokładnie na wprost mieszkania. Gdy Grey powitał mnie w progu, powietrze było przesycone wonią świeżo zmielonych ziaren kawy. Delikatnie chwycił moją rękę w obie dłonie w geście pocieszenia lub błogosławieństwa. Miał chłodne ręce.

– Witaj – rzekł i dał mi znak, bym weszła do środka.

Gdy parzył kawę i wlewał ją do białych filiżanek, staliśmy oboje w kuchni z marmurowymi blatami i szafkami ze stali nierdzewnej. Z sąsiedniego pokoju docierały słabe dźwięki muzyki poważnej, fortepianu, linie melodyczne przeplatające się wzajemnie w kontrapunkcie, narastające i cichnące na przemian. Zaczęłam szukać wzrokiem pękatego niebieskiego dzbanka do herbaty i dostrzegłam go wysoko na półce. Prezentował się okazale. Na wyspie w centralnym miejscu kuchni w ozdobionej krakelurą złotej misie leżała sterta granatów. Pośrodku wyspy znajdował się duży zlewozmywak, a na drugim jej końcu trzy stołki. Lśniący ekspres do kawy zaczął dymić, zadrżały małe tarcze. Pomyślałam o mojej poobijanej, plującej i syczącej

maszynce do kawy, która zawsze chwiała się na palniku kuchenki, i zatęskniłam za nią.

Grey miał na sobie czarny żałobny półgolf, ciemnografitowe spodnie i czarne buty. Spojrzałam w jego szare oczy otoczone gęstszą niż dawniej siatką zmarszczek, na jego szczupłe ciało, szukając oznak smutku. Jak zawsze był uosobieniem elegancji, jak zawsze imponował. Spokojnie wędrował między kontuarem a zlewem i lodówką. Po raz pierwszy byliśmy sam na sam, we dwójkę. Miałam wrażenie, że Ingrid właśnie wyszła z pokoju i czekamy w milczeniu na jej rychły powrót, nie zwracając sobie głowy znalezieniem nowego tematu do rozmowy.

– Chodź. – Zaprowadził mnie do salonu i ruchem ręki wskazał mi fotel.

Wszystko – ściany, wykładzina dywanowa, meble – z wyjątkiem umieszczonego w kącie czarnego fortepianu buduarowego było w różnych odcieniach jasnej szarości, kości słoniowej, bieli, jasnożółtego i kremowego. Za fortepianem stał oparty o ścianę złożony japoński parawan z lakierowanymi krawędziami, przedstawiający scenę w barwach spłowiałego srebra i złota. Dzięki swoim proporcjom i wysokim oknom salon miał klasyczny, harmonijny wygląd; jedyną oznaką braku umiaru w tym pokoju były długie, piękne zasłony. Opadały z wysoko zawieszanej szyny niczym plisowana suknia ślubna Ingrid i mięły się na podłodze jak tren panny młodej. Trzymałam ostrożnie filiżankę, wyobrażając sobie plamę, jaką zrobiłaby kropla kawy na pokrowcu mojego głębokiego fotela.

W tym, jak siedział, popijając kawę – o dziwo – nie dało się wyczuć nastroju oczekiwania. W drodze na nasze spotkanie nie zdołałam przemyśleć tego, co będę musiała mu powiedzieć lub o co poprosić, teraz zaś, zdeprymowana widokiem jasnego lnu w kolorze świeżego betonu na kanapie naprzeciwko, także miałam pustkę w głowie.

Lśniące białe schody na drugim końcu salonu prowadziły na niewielką antresolę z rzędem regałów wypełnionych książkami i podłogą z dębowych desek w żółtawym odcieniu. Stamtąd kolejne schody wiodły na następny poziom, do przejścia zamkniętego białymi drzwiami.

– Mam coś dla ciebie – powiedział Grey i wręczył mi ulotkę z gładkiego papieru z nagłówkiem „Sala Greyów: amerykański abstrakcjonizm” i logo Whitney Museum u dołu. Po jej rozłożeniu ukazał się jednostronicowy tekst i parę zdjęć obrazów. Obejmowałam wzrokiem poszczególne frazy: *...szczodry dar od rodziny... okazja do zaprezentowania... dziedzictwa... amerykańskiego abstrakcjonizmu.*

Pamięci Ingrid Grey.

Na końcu tekstu z ulotki znajdował się króciutki życiorys Ingrid: urodzona i wychowana w Australii, obiecująca filolog klasyczna, studentka Columbii, oddany mecenas sztuki.

– Zamierzaliśmy zwiększyć liczbę naszych darów dla Whitney – wyjaśnił Grey – i to była... cóż, sposobność ku temu. – Przerwał. – Otworzą tę salę pod koniec roku.

Ponownie przeczytałam tekst z ulotki. W sali wystawiano by dzieła zakupione dzięki funduszom zapewnionym przez rodzinę Greyów.

– Wydawało się, że tak należy spożytkować te pieniądze. Część pieniędzy.

– Pieniądzy – powtórzyłam. Z początku sądziłam, że Grey mówi o pieniądzach Ingrid.

– Odszkodowanie jest dość pokaźne – dodał i odchrząknął. Zdałam sobie sprawę, że mówi o jedenastym września, o pieniądzach, które trafiły do krewnych ofiar. – Pomyślałem, że chyba chciałybyś wiedzieć o tym projekcie.

– Dziękuję.

Zastanawiałam się, czy wziął moją małomówność za objaw smutku. Czy to był smutek? Czy też kolejny przejaw moich odczuć – niemoty, niemożności wykrztuszenia słowa? Siedząc w tym jasnoszarym pokoju, nie miałam poczucia straty. W tym mieszkaniu w ogóle nie czułam obecności Ingrid, trudno też było wyobrazić ją sobie w tym nobliwym otoczeniu kosztownych ekspresów do kawy, starannie wykonanych regałów oraz jasnych kanap. Dom rodzinny Ralpha zawsze emanował aurą bogactwa, tyle że w zupełnie inny sposób – pokoje wypełnione antykami, pięknymi stolikami i tyloma dywanami, że zachodziły na siebie, a na starej kanapie w pokoju na piętrze ułożono ich cały stos. Tamto bogactwo odznaczało się nonszalancją i bezładem. To

zaś tworzyło otoczenie pełne wyrafinowania i służyło skrupulatnej demonstracji poczucia smaku.

Zadałam mu jedyne pytanie, jakie nagle wykrystalizowało się w moim umyśle.

– Co Ingrid robiła tam, w śródmieściu?

Twarz Greya zdradzała... Współczucie? Przerażenie?

– Przepraszam – dodałam. – Po prostu chciałam o to zapytać.

– Nie masz za co przepraszać – odparł, zapanowawszy nad sobą. – Sądzę, że była na umówionym spotkaniu ze swoim doradcą finansowym. Korzystała z usług firmy, która... miała tam biura.

Spojrzałam na dzielący nas niski stolik ze starannie ułożonymi z boku książkami o sztuce. Reprodukacja jednego z obrazów wiszących na ścianie na wprost mnie, niedbale namalowanego czerwonego trójkąta z barwniejszymi znakami przy dolnej części ramy, widniała na okładce albumu leżącego na wierzchu. Rozpoznałam ten obraz.

Grey dostrzegł moje spojrzenie i rozciągnął usta w swym nieco drapieżnym uśmiechu.

– To katalog prac Fleur z Whitney Museum. – Z jego filiżanki lekko ulatywała para. – Jest najmłodszą artystką, jaka miała tam swoją wystawę. Oczywiście... pamiętasz. Oglądałaś ją z Ingrid.

Tamtego dnia w sklepie tuż za progiem muzeum były całe sterty tych katalogów. Podniosłam album i go otworzyłam. Na tylnym skrzydełku widniało zdjęcie Fleur, posępnej dziewczynki stojącej przy oknie. Jedną rękę zwiesiła bezwładnie. Wydawało się, że trzymany w niej pędzel zaraz wyślizgnie się jej z dłoni. Jego włosie było ciemne od farby. Przerzuciłam pierwsze kartki i ujrzałam kolejne zdjęcie, a na nim roześmianą dziewczynkę z zadartą głową i niemal całkowicie zamkniętymi oczami, klęczącą z uniesionymi, pokrytymi farbą rączkami. Przed nią na podłodze leżało duże płótno z widocznymi pierwocinami obrazu.

– Ile lat ma na tym zdjęciu?

Grey przez chwilę patrzył na fotografię.

– Cztery. – Wypił łyk kawy. – To był jej najbardziej owocny rok. Wtedy na jednym płótnie malowała pędzlem i rękami.

Na sąsiedniej stronie znajdował się wstęp napisany przez samego

Greya, a dalej kilka innych szkiców.

– Fleur nadal maluje?

Grey przesunął się nieco na fotelu. Twarz mu stężała.

– Będziesz musiała ją o to zapytać – odparł. – Z tego, co wiem, nie... a na pewno nie maluje po to, żeby wystawiać. – Zawahał się, po czym z wyraźnie zbolaną miną wyznał: – Zaczęła... fotografować. – Był tym tak zażenowany, jakby wyjaśniał, że wybrała złodziejski fach. – I kręci filmy wideo.

– To ciekawe.

Szybka lustracja ścian salonu ujawniła, że nie wyeksponowano na niej żadnych fotografii, tylko obrazy. Na regałach stało kilka małych zdjęć w srebrnych ramkach; obrazy innego rodzaju.

– Fleur ma wielki talent – rzekł Grey tonem świadczącym o tym, że często to mówił. – Mam nadzieję, że wróci do malarstwa. Artystką stała się w tak młodym wieku... przypuszczam, że wciąż rozwija artystyczną wizję po swojemu i wróci do malowania na płótnie jako najlepszego środka wyrazu tej wizji. – Była to starannie przemyślana wypowiedź.

– Dużo masz jej obrazów? Czy któryś z tych też namalowała?

Grey wyprostował się ochoczo i wskazał głową płótno wiszące na ścianie za mną. Przedstawiało charakterystyczne trójkąty, które zauważyłam na obrazie z okładki oraz innych reprodukcjach w katalogu. Ojciec Fleur potraktował moje pytanie jako sygnał do oprowadzenia mnie po mieszkaniu i pokazania swojej kolekcji.

– Ten malarz... bardzo niedoceniony... to szkic do jego najbardziej znanego dzieła... – Grey stał ze skrzyżowanymi nisko rękami, od czasu do czasu wznosząc dłoń, by wskazać jakiś element obrazu, nałożone cienką warstwą farby w odcieniach szarości i błękitu. Mniejsza wersja tego samego płótna, tyle że w bardziej różowej tonacji, wisiała obok. – I wcześniejszy obraz – dodał, wskazując go ruchem głowy. Mówił dalej i zaczęłam rozumieć, co takiego widziała w nim Ingrid. Był urodzonym nauczycielem. Rozmawiał o dziełach i artystach z prawdziwym uczuciem i nie stwarzał wrażenia, że tłumacząc coś, zniża się do mojego poziomu. Czułam, że zakłada, iż jestem wystarczająco inteligentna, by móc zrozumieć, i to mi schlebiało;

u Ingrid, pilnej uczennicy, to wrażenie było na pewno bardzo silne.

Grey pokazał mi swoje biuro na tym samym piętrze, pozbawiony ozdób pokój z biurkiem pośrodku i tylko jednym obrazem na ścianie naprzeciwko drzwi.

– De Kooning – powiedział po prostu i dostrzegłam na jego obliczu cień owej zaborczości, jaką zapamiętałam ze zdjęcia ze ślubu, na którym trzymał Ingrid za rękę. – Prezent od Ingrid.

Na jednym z regałów za biurkiem stała nisko oprawiona w ramki fotografia: kobieta z twarzą odwróconą od obiektywu, tak że widać było tylko część jej profilu. Wyglądało na to, że sfotografowana siedzi w malarskiej pracowni. Rękawy koszuli miała poplamione farbą, ciemne włosy ściągnięte z tyłu. Obrazy i szkice na ścianie za nią tworzyły niewyraźne plamy. Postać kobiety budziła we mnie niejasne wspomnienia.

Grey wyszedł z salonu. Podążyłam za nim. Drzwi do pokoju po drugiej stronie korytarza były uchylone. Góry ubrań, którymi usłana była podłoga – czarne, niebieskie i białe dżinsy, T-shirty, czerwone swetry oraz różowe chusty – świadczyły o tym, że należał on do Fleur. Dotarliśmy do schodów i wtedy zauważyłam, że Grey pominął milczeniem jeden obraz zawieszony pod schodami, kontrastujący z resztą domowej kolekcji, na którą w całości składały się prace abstrakcjonistów. Rozpoznałam w nim ze zdziwieniem płótno, które widziałam w domu Ralpa w Kirribilli, mały zamglony pejzaż w przytłaczającej złotej ramie, przedstawiający Tamizę. Było to cenne studium Turnera. George bardzo je lubił. „Jest wart więcej niż ten dom – powiedział mi kiedyś z dumą. – Możesz w to uwierzyć?”. Westchnął i dodał: „Uwielbiam go jednak”. Nie pamiętałam, by Ingrid kiedykolwiek zwróciła na niego uwagę.

Grey spostrzegł, że patrzę na pejzaż.

– To prezent ślubny – powiedział szorstko i ruszył po niskich stopniach schodów. – Zastanawiałem się, czy nie powinienem go oddać.

Domyśliłam się, że to Ralph był ofiarodawcą.

– Chciałabyś obejrzeć jej pokój? – zapytał, znalazłszy się na szczycie schodów.

Przeszliśmy krótkim, pokrytym wykładziną dywanową

korytarzem. W uchylonych drzwiach z lewej strony mignęła mi jakaś sypialnia, potem minęliśmy drzwi do innych pomieszczeń. Skręciwszy na końcu korytarza, dotarliśmy na próg kolejnego pokoju. Jego drzwi, podobnie jak reszta, były białe i też miały gałkę z grubego szkła. Były lekko uchylone. Grey przystanął, wyciągniętą ręką wskazał mi drogę i rzekł:

– Wejź.

Minęłam go i pchnęłam skrzydło drzwi. Otworzyły się bezgłośnie. Przeszłam próg.

– Jak jest... bez niej? – zapytałam w nagłym przypiływie odwagi i zaciekawienia tym, co skrywał pod maską gładkiej powierzchowności. W tym momencie znowu obudziła się we mnie świadomość nieobecności Ingrid, poczułam niewyraźne mrowienie na skórze, jakby musnęły mnie palce upiornej zjawy. Czułam wokół siebie przestrzeń tego mieszkania, budynku, całego miasta, przestrzeń rozciągającą się we wszystkich kierunkach, wszędzie, przestrzeń bez niej.

Twarz Greya nie zdradzała żadnych uczuć, ale utkwiał w moich oczach pytające spojrzenie, które uzmysłowiło mi zuchwałość tego pytania. W końcu posłał mi smutny, blady uśmiech.

– To miejsce straciło dawną jasność – odparł. – Wybacz mi, jeśli nie będę miał ochoty o tym rozmawiać.

„Z tobą” – mógłby dodać, ale tego nie zrobił.

– Pewnie chciałabyś zostać tu przez chwilę? – Grey wyczekiwał w progu. Skinęłam głową.

Zawahał się, jakby nie miał ochoty odchodzić.

– Tak. Cóż. – Jego dłoń spoczęła na framudze. – Gdy skończysz, będę na dole.

Wyszedł. Wykładzina tłumiała odgłos jego kroków.

Mój wzrok przykuł jedyny obraz wiszący w pokoju. Była to wersja obrazu, który zapamiętałam z sypialni Ingrid w Sydney. Zawsze uważałam, że ta kobieta to Dama z Shalott i znowu, jak zwykle, gdy patrzyłam na ten obraz, przyszedł mi na myśl poemat Tennysona, choć wiedziałam od Ingrid, że to Ofelia pędzla Millaisa. Na ścianie pokoju Ingrid w Sydney była to reprodukcja, plakat z wystawy malarstwa prerafaelitów oprawiony w pleksiglas. W jednym rogu papier odstawał

nieco od plastikowej powłoki. Obraz, na który patrzyłam teraz, był taki sam, ale wyglądał tak, jakby poddano go obróbce cyfrowej, niczym zdjęcie obrazu, które powiększono, by pokazać poszczególne piksele. Składał się z drobnych barwnych kropek w odcieniach spłowiałej szarości z wyjątkiem jaskraworóżowych kwiatów wokół głowy kobiety i jej jaskrawożółtych włosów unoszących się na powierzchni wody. Twarz Ofelii była zbiorem punktów i na moich oczach jakby się rozmywała i przekształcała w bezład oderwanych plam. Przyglądając się uważniej, nie byłam w stanie stwierdzić, czy widzę farbę na płótnie, czy fotografię. Widziałam włókna płótna i chciałam dotknąć jego powierzchni, by sprawdzić, czy to naprawdę płótno, czy ma je tylko imitować, lecz obraz budził we mnie odrazę. Odwróciłam wzrok.

Pokój miał tak samo przyjemne dla oka proporcje jak reszta pomieszczeń w mieszkaniu. W jedną ścianę, z obu stron wysokiej płyty okolonej gipsowym motywem ozdobnym w greckim stylu, wmurowano półki wypełnione podręcznikami Ingrid, starannie uporządkowanymi i równo odsuniętymi od brzegu. Znajdowały się wśród nich tytuły o starożytnym Rzymie, łacińskiej literaturze i ortografii. Połowa półki mieściła książki poświęcone magii w świecie antycznym. Pod przyległą ścianą stała szeroka komoda pokryta orzechowym fornirem. Lekko faliste kształty korpusu komody rzucały się w oczy, jego klasyczne proporcje i linearne elementy nie pasowały do tego pokoju i całego mieszkania.

Każda szuflada w komodzie miała małą mosiężną dziurkę na klucz. Próbowałam otworzyć pierwszą z prawej strony. Wysunęła się opornie; zawierała jedynie pęk kolorowych ołówków. Widok ich stępionych grafitowych pręcików i wytartych oprawek wywołał we mnie nagle zażenowanie, poczucie, że działam samowolnie. Ołówki zagrzechotały, gdy próbowałam zasunąć szufladę, i ta się zaklinowała. Poczułam, że zaczynam się pocić. Nagle opór ustąpił i szuflada wsunęła się do końca.

Na komodzie stało kilka przedmiotów: pięć lub sześć maleńkich drewnianych słoni w jaskrawych barwach; jakieś kolorowe butelki; szkatułka zrobiona z inkrustowanego drewna i macicy perłowej. Wszystkie te rzeczy pochodziły z pokoju Ingrid w Sydney. Nie

rozpoznałam tylko jednej: małego mosiężnego klucza. Wydawało się, że powinien pasować do dziurek w szufladach. Podniosłam go i poczułam znajome oznaki pożądania. Zastanawiałam się, czy Grey często tu przychodzi. Ten pokój sprawiał wrażenie nienaruszonego, jakby od dawna stał pusty. Wydawało się, że Grey bardzo nie chciał tu wejść i równie niechętnie odchodził. Nie byłam w stanie stwierdzić, czy tu w ogóle bywał ani jak często, ani jak dobrze znał kolekcję bibelotów na komodzie. Zabranie klucza byłoby ryzykowne. Postanowiłam tego nie robić, lecz lustrując wzrokiem resztę pokoju, i tak trzymałam go w dłoni.

W jednym końcu ustawiono na ukos duży szezlong, masywny i szeroki niczym łóżko. Był obity jasnozielonym lnem, miał krótką poręcz i oparcie, na którym spoczywała poduszka z pokrowcem z tego samego materiału. Ów mebel bardziej niż inne przedmioty w pokoju mówił o ciele Ingrid: to na nim siedziała i leżała. Doskonale nadawał się do czytania, był wystarczająco długi, by można się było na nim wyciągnąć i zasnąć. Na siedzeniu leżał złożony moherowy koc. Zapragnęłam okryć go prześcieradłem, spowić go niczym zwłoki.

Oprócz tego w pokoju znajdowały się jeszcze tylko biurko i krzesło, ustawione pod ścianą między dwoma oknami, które sięgały prawie do sufitu. Zdominowany przez biurko, książki i szezlong do czytania, wyglądał w pierwszej chwili jak gabinet, ale szezlonga można było chyba równie dobrze używać do spania, a komoda nadawała wnętrzu bardziej osobisty charakter. Zastanawiałam się, czy pozostałe szuflady zawierają ubrania. W tym pokoju można było nie tylko się uczyć, ale również żyć i spać, lecz to nie rzucało się w oczy.

Usiadłam przy biurku zwrócona plecami do Ofelii na zdjęciu i komody. Biurko było prostą konstrukcją z drewna bukowego pomalowanego białą przejrzystą bejcą. Nie miało szuflad. Miniaturowa wydrążona antyczna kolumna zawierała trochę piór i ołówków, na blacie leżał również glazurowany ceramiczny półmisek ze spinaczami do papieru oraz kołonośnik otwarty na pustej stronie. Stała też mała amfora. Wyglądała na starą, miała lekko porowatą powierzchnię.

Pochyliłam się i bez trudu podniosłam w jednym z okien roletę z cienkiej białej tkaniny. Światło słońca padało teraz na szybę w taki

sposób, że ta znikła w złocistej smudze, a oświetlony blat biurka olśniewał bielą. Odgłosy ulicznego ruchu nasiliły się i nagle uzmysłowiłam sobie, jak wysoko nad ziemią się znajduję, ile pięter leży przede mną, jak wielka odległość dzieli parapet od powierzchni jezdni. Drobiniki kurzu, maleńkie ruchome galaktyki, tańczyły w świetle słońca.

Z jednej strony blatu leżał stos teczek z szarego papieru wypełnionych dokumentami, a na nich czarny kieszonkowy terminarz. Zawahałam się, po czym postanowiłam je obejrzeć. Szybki rzut oka na teczki wystarczył, by stwierdzić, że wypełniają je skserowane artykuły i rozdziały książek do jej badań nad kulturą i literaturą starożytnego Rzymu. Odłożyłam je na bok i podniosłam terminarz spięty mosiężną klamerką.

Obróciłam ją delikatnie i otworzyłam notes na stronie zaznaczonej wstążką przymocowaną do grzbietu okładki. Strona była podzielona na dni tygodnia i widniały na niej skreślone ręką Ingrid słowa: „Paul, 9”. Przeskoczyłam do kolejnego zapisu, który wyglądał niczym krótka lista tytułów książek i nazwisk autorów zwieńczona nazwą księgarni w pobliżu kampusu – „Labyrinth”. Spojrzałam z powrotem na zapis „Paul, 9” i spostrzegłam, że widnieje pod datą jedenastego września. Upuściłam terminarz i poczułam ucisk w płucach. Notes bezgłośnie upadł na dywan.

Czytałam to z takim samym zażenowaniem i poczuciem winy jak wtedy, gdy otwierałam szufladę, lecz podniosłam terminarz i bacznie przyjrzałam się notatkom na tej stronie, znajomemu kształtowi dużych okrągłych liter. Cofnęłam się w czasie i przestudiowałam zapiski na innych stronach, w inne dni. Nazwiska, zdarzenia. Kolacja. Lunch. Kawa. Przyjęcia. Tytuły książek. Strony internetowe. Numery. Przekartkowałam naprzód, przez każdy tydzień następnych pustych miesięcy. Pustka. Pustka. Pustka.

Na przeznaczonych na notatki stronach na końcu kalendarza widniały następne tytuły, listy zakupów i pojedyncze słowa, których nie mogłam zrozumieć. Dopiero gdy natrafiłam na swoje imię, zdałam sobie sprawę, że szukałam go, patrząc na te inne słowa i żadnego z nich nie zachowując w pamięci, czekając, aż pojawi się moje imię. Znajdowało się na liście z imionami i datami. Urodziny. „Julia: 28 maja”. Był na niej

Ralph. Fleur. Gil. Victoria. Rozpoznałam jeszcze tylko parę imion. Lista zajmowała niecałą stronę.

Odkąd Ingrid przysłała mi życzenia urodzinowe, minęło parę lat. Pamiętałam datę jej urodzin, trzeci października, i ostatni raz, gdy je świętowaliśmy – w Sydney, ze skrzynką szampana. Ogarnął mnie smutek i pomyślałam z urazą o Ralphie. Chciałby otrzymać wyczerpujący raport na temat pokoju Ingrid, jej książek, jej miejsca w tym domu, listy zawierającej jego imię. Zmienił się kąt padania promieni słonecznych i szyba znowu była przejrzysta, ukazując mury oraz okna budynków po drugiej stronie ulicy i spory skrawek nieba.

Zamknęłam kalendarz i spróbowałam ułożyć stos papierów tak, jak leżały, gdy je znalazłam. Pora wyjść. Która godzina jest teraz w Sydney? A która tutaj? W pokoju nie było zegara.

Podeszłam z powrotem do komody i przez chwilę próbowałam przekręcić klucz w zamku drugiej szuflady. Ani drgnął. Odłożyłam go na komodę i szybko, bez zastanowienia, chwyciłam jednego z maleńkich słoni. Czułam w dłoni, jaki jest twardy i ostry; potem stracił te cechy w mojej kieszeni. Zanim wyszłam z pokoju, spojrzałam na Ofelię z grafiki na ścianie. Jej twarz znowu była jednolita, martwa i pozbawiona wyrazu na tle wody.

*

Zanim Grey zaprowadził mnie do wyjścia, dał mi jakąś pocztówkę. Była reklamą wystawy w galerii Maeve, z nazwiskiem artysty i zapisanymi czarnymi dużymi literami na białym tle słowami „Nowy Jork” po jednej stronie oraz adresem i szczegółowymi informacjami na temat galerii po drugiej.

– Wernisaż jest w czwartek – wyjaśnił. – Maeve bardzo chciałaby cię zobaczyć. Przyjdź i napij się z nami wina.

Powiedziałam, że zobaczymy się w galerii.

Gdy myślałam o Ingrid, próbowałam sobie nie wyobrazić jej śmierci, lecz przez pierwsze tygodnie pobytu w Nowym Jorku ten tragiczny finał jej życia pojawiał się w moich snach. Owe sny zawsze były zarówno odmienne, jak i takie same – uśmiechała się w nich lub odwracała głowę albo po prostu pokazywała nagie plecy z zaokrąglającymi się i przekształcającymi w skrzydła łopatkami. Potem jednak zawsze umierała. Dusząc się z obłędem i błaganiem w oczach niczym Desdemona na deskach sceny, z włosami splątanymi na prześcieradle, z twarzą znikającą pod poduszką. Albo naćpana, z ciałem rozpartym w fotelu. W pękatym fotelu w salonie o ścianach koloru złamanej bieli, tym samym, w którym siedziałam rano naprzeciw Greya.

W jednej z wersji tej narkotycznej śmierci ręka Ingrid spoczywa na poręczy fotela, światło odbija się w palcach niczym u dziewczęcia na obrazie Vermeera, paznokcie mają upiorny kolor śmierci. Są tak białe, że gdy to sobie uświadamiam, wiem, iż umarła. Paznokcie, ich biel, przypominają mi o trującym proszku, który ją zabił we śnie.

Następnej nocy w kolejnym śnie Ingrid siedzi w tym samym fotelu z kieliszkiem wina, przyglądając mi się z rozbawioną miną. Okna są jasne, matowe, nie widać przez nie, co jest na zewnątrz, tak jak tamtego dnia w jej pokoju, gdy promienie słońca padały na szyby pod oślepiającym kątem.

Jak myślisz, gdzie jestem? – pyta mnie wzrokiem. Albo głośno, nie pamiętam, choć to muszą być słowa, ponieważ nacisk pada na słowo „myślisz”, z miękką wymową ostatniej głoski.

Teraz w jej kieliszku widać pęcherzyki powietrza. To szampan lub wino musujące po wrzuceniu do niego tabletek, biała piana.

Ten sen pozostał w moim umyśle następnego ranka niczym fotografia i przechowywałam go tak jak zdjęcia, które miały do mnie później trafić, analizując pod każdym możliwym kątem. Co było widać przez te okna?

W niektórych wersjach snu śmierć Ingrid była mniej elegancka. Niekiedy po prostu widziałam płonące i walące się wieżowce. Pojawiały się w oddali jako maleńkie budowle wzniesione z zapalek, a innym

razem jako wielkie monolity z betonu i kamienia, które rozpadały się tuż przede mną, pograżając głęboko w ziemi.

Ingrid spadała. Z urwiska; z długich schodów; z trawiastego wzgórza. Spływała w dół rzeki niczym jej ukochana Ofelia, otoczona kwiatami. Tonęła w jeziorze i pojawiała się jako blade ciało bez twarzy, rozpoznawalne tylko po naszyjniku, pustej oprawie kamei na łańcuszku.

*

Szłam z Village do atelier Fleur w SoHo brukowanymi ulicami, mijając opancerzone witryny sklepów. Ich liczba malała w miarę zbliżania się do Chinatown. Przystanęłam przed sklepem, w którym sprzedawano albo buty, albo krzesła – albo jedno i drugie, a może lampy. Wszystkie te rzeczy zostały pomysłowo rozmieszczone na podłodze sklepu. Mogła to również być galeria sztuki.

Pracownia Fleur znajdowała się na najwyższym piętrze budynku. Nacisnęłam guzik obok nalepki z odręcznie napisanym nazwiskiem Grey. Wydawało się, że stycznik nie działa. Po pewnym czasie zadźwięczał dzwonek. Pchnęłam ciężkie żelazne drzwi i zaczęłam się wspinać po schodach z malowanego żelaza. Przez świetliki i okna na klatkę schodową wpadało światło i na trzecim piętrze w środku było jasno od słońca. Fleur otworzyła szerokie żelazne drzwi pomalowane na czerwono i przytrzymała je, gdy przestępowałam próg jej pracowni.

Drzwi prowadziły na rozległe poddasze, zajmujące co najmniej połowę kondygnacji. Duże okna pozwalały słońcu rozlewać się na podłodze i tworzyć na białych deskach ukośne plamy światła. W kącie przy drzwiach mieściła się mała kuchnia, a pod oknami leżały cztery obite czarnym sztruksem poduchy.

Fleur wyglądała na swoje siedemnaście lat: miała bose stopy i nosiła czarne dzinsy z T-shirtem, na który włożyła popielatą bluzę z kapturem. Jej włosy ściągnięte na czubku głowy w koński ogon wyglądały niczym włosy blondynki zafarbowane na czarno. Na powiekach widać było grube kreski tuszu. Uśmiechnęła się uroczo. Wbrew oczekiwaniom nie zauważyłam u niej metalowego aparatu korekcyjnego. Przypomniałam sobie jednak, że dziewczęta pokroju Fleur przypuszczalnie noszą nowe, niewidoczne dla oka. Jej twarz była

teraz dojrzała, ale trochę przypominała oblicze ze zdjęcia przyklejonego do lodówki Maeve, które widziałam tamtego wieczoru, gdy Fleur nie dotarła na kolację; te same dziecięce rysy, spiczasta broda.

Rozpoznałam wiszącą na ścianie fotografię Nan Goldin, przedstawiającą niezdrowo wyglądającą parę na łóżku, oraz kilka innych portretów lub zdjęć z ludźmi w kadrze. Była wśród nich fotografia przypominająca zdjęcie nieco młodszej Fleur: miała mocno umalowane usta, ciemną aksamitną sukienkę, a na szyi perły. W kadrze stała jeszcze jedna postać – kobieta odwrócona plecami do obiektywu, z dłonią na karku dziewczyny. Ich postaci jaśniały w rozproszonym świetle. Fleur spoglądała w stronę kobiety, która nieznacznie przechyliła głowę, jakby jej słuchała. Nagle zarys pleców nieznajomej skonkretyzował się w mojej świadomości i rozpoznałam Ingrid i te związane z tyłu ciemnoblonde włosy.

Fleur przyglądała mi się spostrzegawczymi oczami. Zapytała bardzo grzecznie, czy podoba mi się to miejsce. Potwierdziłam.

– Zechcesz mi na chwilę wybaczyć? – powiedziała. – Właśnie przygotowywałam ujęcie.

– Oczywiście.

– To mi zajmie tylko chwilę.

Jeden kąt poddasza został przekształcony w rodzaj planu filmowego z kamerą wideo na statywie oraz dwiema wysokimi lampami podłączonymi do kabli, które niczym węże wiły się po podłodze. Jasne światło lamp padało na niewielkie dekoracje, gdzie dwie lalki – jak się wydawało – rozbierały się nawzajem. Na ścianie nieopodal wisiały fotografie, dzieło Fleur: dwie czarno-białe i dwie kolorowe, ukazujące pomalowane na biało lalki upozowane na klasyczne posągi. Wszystkim lalkom brakowało części bądź całych kończyn. W rękach trzymały małe akcesoria, takie jak urny lub inne klasyczne rekwizyty. Sfotografowano je na tle namalowanego zielonego pejzażu znanego z osiemnastowiecznych portretów.

– Czy to Barbie? – zapytałam.

– Nie, przeważnie używam Sindy. Oraz innych, tańszych modeli. – Odwrócona do mnie plecami Fleur nadal skupiała uwagę na lalkach. – Barbie wyglądają zbyt pospolicie. Gdy tylko mogę, staram się używać

starszych lalek. I wolę te grubsze od Barbie. – Zaciągnęła się papierosem.

Filmowane lalki były ustawione na tle zasłony przypiętej pinezkami do ściany, jaskrawej tkaniny, która przypominała błyszczącą sztuczną murawę. Nie wyglądały na zbyt zdrowe. Jedna miała na sobie minispódniczkę i podmalowane czarną kredką oczy. Drugiej brakowało części blond włosów, była ubrana jedynie w biustonosz i kabaretki namalowane na plastikowych nogach. Podobieństwo do fotografii Nan Goldin wiszącej na drugiej ścianie było uderzające.

– Co tu się dzieje? – zapytałam.

Fleur przyglądała się przez chwilę lalkom i paliła papierosa, opierając dłoń na biodrze.

– Nie mogę tego zdradzić. – Zawahała się. – Jeszcze nie obmyśliłam tej historii.

– A jak to robisz?

– Nie mogę tego obmyślać podczas filmowania – odparła, odwracając się do mnie – chociaż najchętniej właśnie tak bym zrobiła. Zdjęcia poklatkowe idą zbyt wolno. Zwykle więc siedzę z nimi przez jakiś czas, odgrywam jedną scenę i to filmuję, potem zaś odtwarzam na tej podstawie coś w rodzaju scenariusza. Sceny są jednak nieme, więc tak naprawdę to nie jest scenariusz. Raczej rozrysowane kadry. – Nie przestawała palić. – Ale będzie muzyka. Właściwie to otrzymałam zamówienie na wideoklip. Ale sama nie wiem. Nie jestem pewna, czy chcę to robić. Oczywiście tato powiedziałby, że to prawie to samo.

– Nie podobają mu się twoje nowe prace, prawda?

– Nie. Jego zdaniem to nie jest prawdziwa sztuka i tak dalej.

W odróżnieniu od malowania z pędzlem w dłoni et cetera.

Uśmiechała się i nie wyglądała na specjalnie zmartwioną. Zastanawiałam się, czy kręci te filmy z lalkami po prostu w przejawie buntu, ale chyba przyczyna leżała w czymś innym. Nie było jasne, na ile to wszystko ma związek z Greyem ani czy analiza tego obrazu rozbierających się lalek mogłaby to wyjaśnić.

– Nie dorastałam wśród lalek – powiedziała niepytana. – Jeśli nie liczyć Cynthii. – Z niewielkiej niszy w ścianie, obok której wisiały fotografie, wyjęła lalkę, pogładziła ją po włosach i delikatnie odłożyła

na miejsce. Fotografie i filmowe opowieści wyglądały na rodzaj świadomego powrotu do dzieciństwa, tyle że takiego, w którym brakowało poczucia niewinności lub uległo ono przemianie. Gra, w której tutaj uczestniczyła, była bardzo poważna i niepokojąco wykraczała poza zwykłe formy okaleczenia, jakiego lalki doznawały zwykle z rąk swoich małych właścicieli. Komizm zawarty w tej twórczości szybko przeradzał się w coś bardziej ironicznego i zatrważającego. Fleur jako celebrytka obciążona oczekiwaniami, które niósł ze sobą sukces, na pewno nie miała zupełnie normalnego dzieciństwa, cokolwiek ono znaczyło. Miałam nadzieję, że znajduje w tym projekcie swoiste oczyszczenie.

W pracowni wisiał tylko jeden jej obraz i z zaskoczeniem stwierdziłam, że to reprodukcja naklejona na zwykłą deskę. Przedstawił czerwony trójkąt z okładki katalogu leżącego na stoliku w salonie Greya. Fleur zauważyła, że na niego patrzę.

– Ten obraz jest własnością muzeum.

– To twój ulubiony?

Fleur uśmiechnęła się, ale jej oczy pozostały beznamiętne.

Wytrząsnęła kolejnego papierosa z paczki w kieszeni bluzy i odpaliła go od poprzedniego. Wyglądała zbyt młodo jak na nałogową palaczkę.

– Mógłby takim być – powiedziała, gdy papieros się zapalił. – Jednak Ingrid się nie podobał.

Mijały sekundy.

– Opowiedz mi o niej – zaproponowałam.

– A co chcesz wiedzieć? – zapytała córka Greya ze znużeniem w głosie.

Znowu czekałam.

– Dobrze. – Fleur podeszła do małej lodówki w kącie pracowni i przykucnąwszy, wyjęła z niej dwa piwa. Ruchem ręki wskazała poduchę. – Usiądź. – Wręczyła mi butelkę, usiadła na drugiej podusze i zaczęła pić.

*

Tamtej nocy w moim śnie Ingrid pokazała mi wyciągniętą z szuflady tabliczkę z klątwami. Początkowo wydawała się maleńka,

mniejsza od mojej dłoni, ale gdy zaczęłam rozciągać ołowiany zwój, nagle zrobił się bardzo duży. Ingrid wzięła go i rozłożyła przede mną. Gdy był już całkowicie rozłożony, spostrzegłam, że to przecież płótno, nie ołów. Patrzyłam na obraz Fleur, czerwony trójkąt wyglądał na jego powierzchni niczym szrama.

Spoglądałam na Ingrid, żeby zapytać, co to znaczy, lecz ona uśmiecha się tylko, po czym odwraca się i upodabnia do swego portretu na ścianie pracowni Fleur. Patrzę znowu i prawa ręka Ingrid znika, ona zaś stoi niczym oszpecony antyczny posąg lub jedna z białych lalek swojej pasierbicy.

*

Gdy czwartkowego wieczoru weszłam do galerii Maeve, powitało mnie duże płótno zawieszona naprzeciwko otwartych drzwi. Wyglądało niczym obraz Sargenta przedstawiający kobietę w sukni z wąskimi ramiączkami, *Portret Madame X*. Widoczna na nim wysoka postać też była naturalnej wielkości. Stała prosto, z jedną stopą lekko wysuniętą do przodu, w sukni bez ramiączek uszytej z aksamitu lub grubego atłasu. Jedna blada dłoń kobiety spoczywała na jej udzie, drugą lekko trzymała róg małego stołu. Pierzaste liście stojącej na stole rośliny opadały ku podłodze. Na jednym przegubie kobieta nosiła srebrny łańcuszek. Jej szyja była naga, w widocznym na portrecie uchu, które samo lśniło jak nieskazitelna muszla, błyszcząły kamienie kolczyka. Cały obraz był ciemny i mocno laserowany, jakby płótno Sargenta pokryto warstwą słonawej, zniekształcającej kontury wody. Nie była to ta sama kobieta, ta sama suknia ani ciało. Patrzyła w innym kierunku. Stopy, nie wiedzieć czemu, miała białe; przypominały małe białe ryby przyciśnięte ciężarem jej długiej sukni.

Weszłam głębiej. Na ścianach galerii obrazy w podobnym stylu, same portrety. Niektóre ukazywały całe ciało, a inne tylko głowę i ramiona. Portretowanymi postaciami były kobiety – z wyjątkiem jednego obrazu dziecka i jednego przedstawiającego dwóch mężczyzn, obu w smokingach, z pochylonymi ku sobie głowami, jakby żartowali na osobności.

Grey i Fleur stali razem w mniejszym pomieszczeniu tuż za

główną salą wystawową galerii, oddzielonym od niej sklepionym przejściem, które było częściowo zasłonięte grubą czarną kurtyną. Wtedy jedyny raz mignęli mi oboje razem w krótkim niemym tableau. Grey stał z dłońmi na biodrach, odgarnąwszy poły marynarki na boki, a Fleur, ze skrzyżowanymi rękami, lekko zgarbiona, była od niego na w pół odwrócona. Miała na sobie czarne spodnie, tenisówki, koszulę z długimi rękawami i jakimś barwnym wzorem literowo-obrazkowym oraz czerwony rozpinany sweter. Grey był spięty i rozdrażniony. Fleur niecierpliwym gestem odrzuciła włosy przez ramię.

Ktoś przeszedł obok z tacą, na której poustawiano plastikowe kubki z winem. Sala zapełniła się mężczyznami i kobietami w ciemnych kosztownych ubraniach. Jedna z kobiet miała wpięte w czarne włosy pawie pióra. Przedemną, w sukni prawie identycznej z tą na obrazie i spiczastych butach na białych stopach, pojawiła się dama z portretu a la Sargent. Stała z winem w dłoni, przysłuchując się ubranemu na czarno siwowłosemu mężczyźnie. Ten wskazał ręką wiszący obok obraz. Chciałam usłyszeć jej głos. Mężczyzna nadal mówił. Kobieta roześmiała się z czegoś, co powiedział, chichocząc piskliwie. Zaczęła mówić i na przekór moim oczekiwaniom jej głos okazał się wysoki i lekko chropawy, jak u młodej dziewczyny. Poczułam zawód. Z tacy, która zatrzymała się obok mnie, wzięłam kubek z białym winem.

Czarna kurtyna w wejściu do pomieszczenia na tyłach galerii opadła, zza niej zaś wyłoniła się Maeve. Ruszyła ku mnie z głębi długiej wąskiej sali, stąpając charakterystycznym dla niej, posuwistym, bezszelestnym krokiem. Wyglądała jak zawsze elegancko, po królewsku; miała nawet na sobie tę samą czarną niczym smoła suknię, w której widziałam ją za pierwszym razem, tak mi się przynajmniej wydawało. Gdy znalazła się bliżej, spostrzegłam, że jest inna, jaśniejsza, modniej skrojona. Maeve pocałowała mnie w policzek i na chwilę ujęła za ramię.

– Och, Julio – powiedziała ekspresyjnie. Miała mocno umalowane oczy, ale jasny korektor nie ukrył cieni pod nimi. Im dłużej na nią patrzyłam, tym starsza się wydawała. – Powiedz, jak się miewa Ralph. Eve twierdzi, że jest bardzo osłabiony.

– Też tak sędzę.

Widząc ją tutaj, w jej galerii, trudno było zapomnieć, że to kontakty Maeve z Greyem i Ingrid pomogły scementować ich związek. Zastanawiałam się, czy kiedyś tego żałowała.

– To cudownie, że mogłaś przyjść. Spotkajmy się później. Zatrzymałaś się u Roberta? Wiem o tym od Eve – wyjaśniła.

Odplynęła, żeby powitać ludzi, którzy akurat wchodzili. Była u siebie, w swoim żywiolu. W centrum uwagi miał się znajdować artysta, gwiazda wystawy – młodszy, niż się spodziewałam, spokojny facet stojący w drugim kącie sali – lecz Maeve przyciągała zebranych z większą siłą. Wielu gości okazywało jej szacunek lub zachowywało się wobec niej z rezerwą, ona zaś krążyła wśród nich z wdziękiem jak troskliwa gospodyni.

Grey stał teraz pod przeciwległą ścianą, rozmawiając z dwojgiem ludzi. Uścisnął im dłonie i odsunął się, gdy poszli oglądać obrazy. Jakiś ciemnowłosy młody mężczyzna w okularach z czarnymi oprawkami stał nieopodal samotnie i Grey, cofając się, omal się z nim nie zderzył. Wyglądało na to, że się znają, i zamienili kilka słów. Nie słyszałam, co mówią. W galerii wzmógł się gwar, głosy odbijały się od betonowych ścian. Chyba się sprzeczali. Przez chwilę widziałam Ralpa na przyjęciu ślubnym Greyów w Sydney. Dłoń Greya na piersi Ralpa. Teraz marszand uniósł rękę, ale nie dotknął mężczyzny, który jakby tylko czekał na szturchnięcie lub cios. Grey opuścił rękę i się odwrócił. Miałam wrażenie, że kazał się temu drugiemu odpieprzyć. Ciemnowłosy mężczyzna trzymał w dłoni czerwone wino w plastikowym kubku. Opróżnił go i odsuwając rękę od ust, popatrzył w moim kierunku i napotkał moje spojrzenie. Odwróciłam wzrok. Wtedy pojawiła się Trinh. Zaprosiłam ją kilka dni wcześniej, zdeprymowana jak ktoś, kto zaprasza na pierwszą randkę, ale nie byłam pewna, czy się zjawi. Trzymała prawdziwy kieliszek napełniony białym winem.

– Skąd to masz? – zapytałam.

– Och, te plastikowe kubki są okropne – odparła ze śmiechem.

Postąpiła w bok i chwyciła za rękę faceta w czarnych okularach. Przeklinałam elegancję, z jaką unikała odpowiedzi na pytania.

– Richard! Co ty tu robisz?

– Właśnie wychodzę.

Trinh znieruchomiła na chwilę, po czym wyciągnęła rękę za moimi plecami w takim geście, jakby mnie przedstawiała mężczyźnie.

– Poznałeś Julię?

– Nie.

Uścisnęliśmy sobie dłonie, po czym Richard nerwowym ruchem wetknął ręce z powrotem do kieszeni.

– Julia była dobrą znajomą Ingrid.

Mężczyzna bąknął coś w odpowiedzi.

– Znałeś ją? – zapytałam.

– Richard chodził razem z Ingrid na zajęcia – wyjaśniła Trinh, zanim zdążył się odezwać.

Skinął głową i poprawił palcem okulary na nosie. W szklach odbijało się światło, więc nie widziałam dobrze jego oczu. Potem przesunął się nieco w bok i okazało się, że są ciemnoniebieskie.

Przestąpił z nogi na nogę.

– Jak się masz, Richardzie? – zapytała cicho Trinh.

– Dobrze.

Odbyli krótką rozmowę. Richard znał malarza z college’u. Właśnie dlatego przyszedł na wernisaż. Oboje uważali, że wystawa jest „mocniejsza” od poprzedniej. Mężczyzna powędrował wzrokiem ku drzwiom galerii.

– Cóż, skoro musisz już iść... – powiedziała Trinh, wyraźnie nie chcąc, by został. – Spotkajmy się niebawem. Wiem, że Julia bardzo chętnie by z tobą pogawędziła. Prawda, Julio?

Richard zrobił mały krok w tył, jakbym mogła go czymś zranić, po czym zawahał się i z tylnej kieszeni dżinsów wyciągnął portfel. Wyjął z niego wizytówkę i mi ją wręczył.

– Jeśli chcesz, zadzwoń – rzekł, nie patrząc na mnie, i na chwilę ujął Trinh za rękę, a potem wyszedł. Trinh przyglądała mu się ze smutkiem.

– To był dla niego cios – powiedziała.

Skinęłam głową. Widziałam, jak Grey obserwuje Richarda kątem oka i odwraca wzrok, gdy ten wychodził za drzwi.

– Nie widywałam go ostatnio. Chyba zrobił sobie roczną przerwę w studiowaniu. No dobra. – Uśmiechnęła się w sposób sugerujący

zmianę tematu, więc zrezygnowałam z pytań o to, jak dobrze Richard znał Ingrid. – Pooglądajmy może te obrazy. Myślisz, że ktoś jeszcze to robi? – Wzięła mnie pod rękę. Dzięki butom na wysokich obcasach niemal zupełnie zniwelowała różnicę wzrostu.

Obejrzałyśmy kolejno wszystkie prace. Gdy dotarłyśmy do ostatniego płótna i znalazłyśmy się w kącie sali z dala od drzwi, stałyśmy tam przez minutę i obserwowaliśmy tłum.

Galeria była teraz pełna. Trinh odwróciła się do mnie ze skruszonym wyrazem twarzy i powiedziała:

– Słuchaj, przepraszam. To nie moja sprawa.

Czekałam.

– Jaka? – zapytałam w końcu.

– Jones – odparła i skupiła wzrok na wiszącym obok obrazie przedstawiającym z profilu jakąś kobietę w czerwonej sukni bez rękawów, z widocznymi obojczykami. – Rzadko wspomina, że jest żonaty.

– Och, o to chodzi – powiedziałam. Jakoś się tego domyślałam.

– Ona często wyjeżdża – przyznała Trinh, jakby to wszystko tłumaczyło.

– Dlaczego go tak nazywasz? – zapytałam, szukając sposobu na zmianę tematu i nie bardzo wiedząc, jak to zrobić. Na półce w gabinecie Jonesa widziałam grzbiety jego książek, tych, które napisał i zredagował, ale nie było tam imienia ani inicjału.

– Nazywam jak?

– Jones. Jak ma na imię?

– Philip – odparła z powagą w oczach. – Nie wspominaj mu o tym. Nie znosi go.

*

Gdy dotarłam do domu, było późno, chyba zbyt późno na telefon, ale i tak wyjęłam z kieszeni wizytówkę Richarda – zwykły biały kartonik z nazwiskiem pisanym wersalikami oraz numerem kierunkowym 212. Richard Evans. Wybrałam numer, myśląc o chwili, gdy w trakcie rozmowy z nim Grey podniósł rękę. Moja ciekawość wzrosła i w oczekiwaniu, aż usłyszę jego głos, wstrzymałam oddech.

Włączyła się automatyczna sekretarka.

Przed upływem tygodnia zostawiłam mu dwie wiadomości, a raz się rozłączyłam w trakcie zapowiedzi. Zabolało mnie i zaintrygowało na swój sposób to, że cofnął się o krok, zanim dał mi wizytówkę. Kształt jego oczu, znikających i lśniących za szklami okularów, wrył mi się w pamięć i chciałam znowu je zobaczyć.

Stałam przy aparacie, zamierzając zadzwonić do niego jeszcze raz, gdy mój wzrok przyciągnęła żółta książka telefoniczna leżąca na regale pod telefonem. W spisie abonentów Richardów Evansów nie brakowało, ale dzięki numerowi telefonu mogłam znaleźć jego adres. Zapisałam go na odwrocie wizytówki. Północna część miasta. Zatrzasnęłam książkę telefoniczną. Był środek rana. Wypłukałam filiżankę po kawie i wyszłam.

*

Drzwi frontowe budynku, w którym mieszkał Richard Evans, nie były w najlepszym stanie; wyglądały, jakby ktoś potraktował zamek małą siekierą. Wykonane z bejcowanego drewna z wbudowaną szybą kiedyś prezentowały się porządnie. Gdy przycisnęłam czarny guzik obok numeru 14B, nikt nie zareagował. Poobijane drzwi otworzyły się popchnięte przeze mnie i weszłam schodami na czwarte piętro. Napisałam wiadomość, zmięłam kartkę, napisałam jeszcze jedną i wepchnęłam ją przez szparę pod drzwiami jego mieszkania. Wtedy już zbliżało się południe. Zeszłam na parter i zadzwoniłam z automatu na końcu ulicy. Odebrał od razu.

– Słucham?

– Mówi Julia. Chcesz zjeść lunch?

Zawahał się.

– Nie.

– Mówi się trudno.

– Teraz nie mam czasu, ale chętnie zobaczę się z tobą wieczorem.

– Wieczorem jestem zajęta – odparłam.

Odłożyłam słuchawkę.

*

Nazajutrz znowu zadzwoniłam do niego, postanawiając, że będzie to moja ostatnia próba. Pora była wczesna. Odebrał już po drugim sygnale.

– Uparciuch z ciebie – powiedział, usłyszawszy moje imię. Nie zabrzmiało to jak komplement.

Umówiliśmy się na kawę. Zgodził się niechętnie. Przypomniałam sobie moje niedoszłe spotkanie z Trinh.

– Jeżeli się nie zjawisz, pamiętaj, że wiem, gdzie mieszkasz – ostrzegłam.

Westchnął tylko i rzekł:

– Na to wygląda.

*

Jadąc tam metrem, myślałam o rozmowie z Fleur w jej pracowni, gdy siedziałyśmy na poduchach z butelką piwa w dłoni. Wydawało mi się, że jej prośba, bym usiadła, stanowi wstęp do wzajemnych zwierzeń, ale stało się inaczej. Córka Greya zaczęła mi opowiadać, jak doszło do spotkania z Ingrid w Wenecji i jak od początku liczyła na to, że kuzynka Ralpa spodoba się jej ojcu.

– Nigdy wcześniej nie spotkałam żadnego Australijczyka – powiedziała, marszcząc nos. – Z wyjątkiem artystów na tamtejszym biennale. Ale Ingrid była normalną osobą. – W tej refleksji wyszła na jaw opinia Fleur o innych artystach.

Ingrid przypuszczalnie była bliższa wiekowo Fleur niż Greyowi, ale gdy się poznały, jego córka była ledwie nastolatką, a Ingrid dojrzałą kobietą – dzieliła je przepaść. Tyle że patrząc na Fleur, trudno było sobie wyobrazić, by kiedykolwiek naprawdę była dzieckiem. Poza, jaką przyjmowała, siedząc na poduchach – kolana razem, łydki rozstawione, palce obutych stóp złączone – świadczyła o jej młodym wieku, ale wyraz oczu – czujny, poważny, wyrachowany i inteligentny – sprawiał, że się zastanawiałam, czy to młodzieńcze zachowanie na ogół nie jest po prostu użyteczną maską.

– Cieszyłam się, że się pobrali – powiedziała, wzruszając ramionami.

– Jak Ingrid podobało się tutaj, w Nowym Jorku?

Fleur wpatrywała się w podłogę niewidzącym spojrzeniem, na jej ustach igrał uśmiech.

– Pomogła mi znaleźć to miejsce – powiedziała radośnie. – Była ze mną, kiedy przyszedłam je obejrzeć. Tamtego lata, gdy zaręczyła się z tatą. Odwiedzając mnie, zawsze przynosiła mi rogaliki od Balthazara. Z czekoladą. – Mówiła o restauracji i cukierni niedaleko swojej pracowni. Ingrid bardzo lubiła słodczyce. – Chyba można by powiedzieć, że byliśmy przyjaciółkami – ciągnęła. – Macochy niektórych moich koleżanek to prawdziwe suki. Ingrid była inna. Nigdy nie próbowała być dla mnie matką. Nigdy mi nie mówiła, co mam robić, co nosić, nie słyszałam tych wszystkich bzdetów.

O swoich stosunkach z Ingrid Fleur nie powiedziała nic więcej, nie dała się też skłonić do wynurzeń, czy Ingrid naprawdę lubiła mieszkać tu, w mieście, z nią i jej ojcem. Chciałam wiedzieć o reszcie, o trójce stworzonej przez Fleur, Maeve i Greya i o tym, jak Ingrid ukształtowała go na nowo, ale te pytania były nie na miejscu. Fleur rozmawiała z lekką wstrzeźliwością, skrywała pewne rzeczy i w ich miejsce podsuwała inne. Na szczęście nie pytała o moją przyjaźń z Ingrid.

– Brakuje mi jej – stwierdziła na końcu ze spokojną rezygnacją i zrozumiałam, że to finał rozmowy.

Żegnając się z nią, rozejrzałam się po pracowni. W głębi wydzielony został mały pokój. Jego drzwi były uchylone i mignął mi za nimi niski futon z pomietą narzutą z indyjskiej bawełny. Widok łóżka sprawił, że zaczęłam się zastanawiać, czy Fleur rzeczywiście tu mieszka i czy spędza w pracowni więcej czasu niż w domu na północy Manhattanu. Nagle zaciekawiał mnie pewien problem i zapytałam:

– Kto wynajmuje to poddasze?

Gdy Fleur je przejęła, pewnie nie miała nawet czternastu lat.

Kiedy na mnie spojrzała, znużenie malujące się zazwyczaj na jej twarzy zniknęło.

– Maeve – odparła po prostu, jakby zdziwiło ją, że muszę o to pytać. – To ona wynajmuje. Wspólnie ze mną.

Na niebie zebrały się niskie deszczowe chmury, więc gdy wychodziłam z budynku, wydawało się, że jest wieczór. W oddali rozległ się grzmot. Albo dudnienie jakiejś ciężarówki. Przedemną długi

pionowy napis na ścianie budynku płonął jaskrawą czerwienią na szarym tle nieba i ulicy. PARKING – litery uformowane z małych żarówek; jedna z nich mrugała na literze P. Szeroki wjazd do garażu pachniał smarem i dymem.

*

Gdy o tym rozmyślałam, pociąg utknął w tunelu i rozbłysły lampy na suficie. Większość pasażerów gapiała się przed siebie, niektórzy zerkali nerwowo na boki. Zazgrzytały zębatki i znowu ruszyliśmy.

Richard zgodził się ze mną spotkać w barze niedaleko swojego domu. Gdy przyszłam, już tam był, przed sobą miał kawę i otwartą książkę, czoło wsparł na dłoni, łokieć ułożył na blacie stolika. Ze szklanego pojemnika wsypał sobie do filiżanki cukier i czytając, mieszał jej zawartość.

Kiedy mnie zobaczył, wstał i znowu usiadł. Zamówiłam kawę i kawałek placka z wiśniami.

– Przepraszam, że cię prześladuję – powiedziałam.

Popatrzył na mnie uważnie i zapytał:

– Jesteś... byłaś przyjaciółką Ingrid?

– Zgadza się.

Spojrzał na kawę w swojej filiżance. Jej powierzchnia była płaska jak lustro. Placek podano z dwoma widelcami.

Zaproponowałam mu jeden, a on odmówił z zakłopotaną miną. Poruszył się niepewnie na krześle. Placek bardzo mi smakował.

– Słuchaj, chyba nie powinienem być dawać ci mojej wizytówki – powiedział. – Jeżeli pozwolisz... to będę sobie z tym radził na osobności. Naprawdę nie jestem gotowy do poważnej rozmowy o Ingrid.

Jego napięta twarz, ściśnięte gardło, gdy z wahaniem wypowiadał jej imię, przypomniały mi o tym, by zawsze zakładać na wstępie, że każdy mężczyzna, który ją znał, przypuszczalnie był w niej zakochany.

– Cóż, w porządku – odparłam. – Mogłeś powiedzieć to przez telefon.

Richard przechylił głowę ruchem, który nie był skinieniem ani zaprzeczeniem. Miał przyjemną twarz i chciałam zobaczyć, jak znika z niej wyraz beznadziejnego zakochania. Na zuchwie miał cień zarostu,

jakby się nie golił tego dnia, lecz wyglądał na człowieka, który zwykle to robi. Zapiętą pod szyją koszulę powinien zdobić krawat, ale go nie było.

– O czym więc chcesz rozmawiać? – zapytałam.

Nie odpowiedział. Przypomniałam sobie jego krótkie zwanie z Greyem w galerii. Czułam do niego sympatię, pewnie dlatego, że Grey najwyraźniej za nim nie przepadał.

– Chcesz mi opowiedzieć o sprzeczce z Greyem podczas wernisażu?

Gdy na mnie spojrzał, jego oczy pociemniały z gniewu. Pokręcił głową.

– Zatem powiesz mi innym razem.

Twarz Richarda złagodniała.

– Powiedz mi coś o sobie. Nadal studiujesz na Columbi? Nad czym teraz pracujesz?

– Nie, nie – odparł. – Wziąłem rok wolnego. A pracowałem nad greckimi inskrypcjami.

– To co teraz robisz?

Richard wypił swoją kawę.

– Zawsze zadajesz tyle pytań?

Roześmiałam się.

– Jesteś może detektywem z zawodu?

– To brzmi bardzo efektownie, ale nie, nic z tych rzeczy. Pracuję czy też pracowałam... i nadal pracuję w antykwariacie...

i wybieram się na wydział prawa. To wszystko jest mało ciekawe. Wcześniej studiowałam z Ingrid.

Gdy wypowiedziałam jej imię, Richard lekko się wzdrygnął.

– No dobrze, przepraszam. Żadnych rozmów o niej.

– Jestem grafologiem – wyjaśnił. – Robię również tłumaczenia.

Z francuskiego i niemieckiego.

Nie wiedziałam, czym zajmuje się grafolog. Richard wytłumaczył mi, że wiąże się to z analizą charakteru pisma. Chodziło o coś w rodzaju „konsultacji” dla paru firm.

– Gdy zatrudniają ludzi lub czasem mają kogoś awansować, sprowadzają mnie, żebym przejrzał materiały kandydatów. Formularze,

które wypełnili. To sprawa z zakresu zarządzania zasobami ludzkimi.

– Więc analizujesz pismo osób ubiegających się o pracę.

– Owszem.

Wciąż było to dla mnie niejasne.

– Posłuchaj – rzekł. – Pokażę ci. Napisz coś tutaj. – Podsunął mi papierową serwetkę. – Masz długopis? – Trzymałam go w torebce.

– Co mam napisać?

– Cokolwiek.

Napisałam: „Placek z wiśniami. Cafe latte”.

Ledwie powstrzymałam uśmiech.

– Napisz swoje nazwisko. I adres – polecił.

Napisałam.

– Numer mojego telefonu już masz – zauważyłam, a on się lekko zarumienił.

– Nie, miałem na myśli... chodzi o liczby. O to, jak je zapisujesz. Nieważne.

Wziął serwetkę oraz długopis i poddał mój charakter pisma drobiazgowej analizie.

– Najpierw patrzymy na ogólny kształt pisma – wyjaśnił. – Czy biegnie w linii prostej... czy litery są duże, małe, równomiernie ukształtowane, konsekwentnie uformowane, czy nie, i tak dalej. – Trzymał długopis nad moim pismem. – Linia główna jest na ogół prosta, pismo mocno nachylone. Hm. Namiętne. – Posłał mi znaczący uśmiezek. – Pisziesz wolno... chyba jesteś uparta. Ale może to tylko kwestia powierzchni, na której pisałaś. – Długopis zahaczył o cienką serwetkę. – Ciekawe arkadowe połączenie w tym miejscu... tak duże spacje między słowami. Trzymasz ludzi na dystans. Jest jednak również element zaborczości. – Wskazał pętlę w moim S.

– Można to wywnioskować z mojego pisma?

– To nie jest metoda w stu procentach wiarygodna, ale pismo zawiera sporo informacji.

– Naprawdę w to wierzysz?

Długo zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Z początku była to dla mnie osobliwość. Coś nowego, czego mógłbym się dowiedzieć. Wówczas spodobał mi się ten pomysł.

Czasami dostrzegam rzeczy, które skłaniają mnie do wniosku, że grafologia potrafi objaśnić pewne kwestie. Kiedy indziej traktuję to po prostu jako ćwiczenie. Sam nie wiem.

– Pewnie jesteś w tym dobry.

Richard wzruszył ramionami.

– Zostałem dobrze przeszkolony. Pracuję w szybkim tempie.

– Co ci ludzie sądzą o takim obnażaniu przed tobą swoich dusz w podaniach o pracę?

– Och, oni nie mają o tym pojęcia – odparł, badając budowę dużych liter w moim piśmie. – To wszystko robi się bardzo dyskretnie. Płacą mi sporo, ponieważ cała sprawa jest poufna. Grafologia... cóż, obecnie nie uważa się jej za dyscyplinę naukową. Te firmy nie chcą się z tym afiszować.

– Bo to trochę odrażające – zauważyłam.

– Nie – odparł spokojnie. – Raczej niemodne.

– I tak nikt już nie pisze ręcznie. Wszyscy używają komputerów.

– Wiem – powiedział ze smutkiem.

– Pewnie nie znosisz się podpisywać. Zdradzać całej prawdy o sobie.

– Udaje mi się unikać tego dość skutecznie.

Jego twarz znowu przybrała poważny i nieobecny wyraz. Wyjął z portfela pieniądze i położył je na stoliku. Wyszliśmy z baru. Na ulicy Richard postawił kołnierz ciemnego płaszcza.

– Spotkajmy się znowu – zaproponowałam.

Tak samo jak przedtem ledwie powstrzymał uśmiech.

– Wiesz, gdzie mieszkam – odparł i odszedł.

*

Gdy zeszłam do metra, żeby wrócić do śródmieścia, peron był dziwnie opustoszały. Po białych kafelkach ścian i po drugiej stronie torów, wokół plakatów ze zdrowo wyglądającym szczurem, ostrzegających przed trutkami, ściekały ciemne strużki błota. Jakby w odpowiedzi na to ostrzeżenie pod torami mignął długi ogon. Nadjechał pociąg.

Kiedy weszłam do wagonu, rozpoznałam Gabriela, studenta, który

otworzył drzwi do gabinetu Trinh. Siedział koło drzwi i czytał książkę w wytartej okładce z czerwonego płótna; stare wydanie jakiegoś greckiego tekstu. Usiadłam naprzeciwko niego na krześle z pomarańczowego plastiku. Wagon się zakołysał.

– Gabriel? – zapytałam. Podniósł wzrok, zmrużył oczy i mnie rozpoznał.

– Cześć. Przepraszam... nie pamiętam, jak masz na imię... przyjaźnisz się z Trinh?

Przedstawiłam mu się.

– Przykro mi z powodu twojej przyjaciółki.

Trudno było stwierdzić, jakie normy postępowania obowiązują w odniesieniu do tej katastrofy. Zginęło tyle osób, że zakładałam, iż każdy napotkany człowiek mógł w niej stracić przyjaciela bądź członka rodziny. Czułam, że nie mam prawa zaliczać się do nich.

Wydawało się, że Gabriel czyta w moich myślach.

– Tylko ją znałem. Nie żebym znał bardzo dobrze... w zeszłym roku, moim pierwszym, chodziliśmy razem na zajęcia. Ale ona jest jedyną znaną mi ofiarą.

– Gdzie wtedy byłeś? – Po raz pierwszy zadałam komuś to pytanie.

Książka, którą czytał, była nadal otwarta w jego rozluźnionych dłoniach. Teraz poruszył nimi, ale nie zamknął książki.

– Widziałem to, widziałem sporo. Byłem w drodze do World Trade Center na spotkanie w śródmieściu. Z prawnikami. – Błądził wzrokiem. – Wyszedłem z metra przy Fulton Street i u szczytu schodów, zaledwie metr od wejścia na stację, leżała część samolotu, ogromny kawałek kadłuba. – Położył książkę na kolanach i rozłożył ręce, by pokazać niezwykle rozmiary fragmentu odrzutowca. – To było wręcz surrealistyczne.

Mogłam sobie to wyobrazić: pękaty kadłub – osmalony na brzegach, może spalony? – u szczytu schodów, blokujący wyjście na ulicę niczym ulokowany w niewłaściwym miejscu przedmiot na obrazie Magritte'a. Z twarzy Gabriela trudno było coś wyczytać. Nie wydawał się poruszony.

– Ale nikt nie patrzył na kadłub, ten ogromny kawał samolotu na ulicy, wszyscy spoglądali w górę. Ja też spojrziałem i zobaczyłem

budynek, wieżę. Topiła się.

Teraz Gabriel przełknął ślinę, a jego skóra jakby zmieniła połysk. A może to światła w wagonie metra stały się mocniejsze, bielsze w moich oczach, gdy próbowałam sobie wyobrazić to, co opisywał. Jakaś owinięta chustą kobieta siedząca parę miejsc dalej zastygła w bezruchu, gdy mówił, teraz zaś wstała gwałtownie i nie patrząc na nas, przeniosła się na drugi koniec wagonu. Jechała dalej, trzymając się metalowego słupka.

– Metalowe elementy na zewnątrz budynku... podpory, cokolwiek to było... topiły się. Zewnętrzna powłoka wieżowca spływała niczym ciecz.

Tym razem dłonie Gabriela nie znalazły sposobu na to, by pokazać, co wtedy widział. Wagon zakołysał się lekko, arytmicznie na boki, gdy pokonywaliśmy zakręt. Lampy świeciły jaskrawo i wydawało się, że zniknęły wszystkie cienie.

Ton jego głosu stał się znużony i Gabriel opowiedział trochę o dorastaniu w Bogocie. O tym, czym różnił się ten zamach od tamtejszego terroru. I o ich identyczności.

Zanim pociąg dotarł do mojej stacji, przez pewien czas oboje milczeliśmy. Pożegnaliśmy się. Z głośników wydobyła się wrzaskliwa zapowiedź. Ściany po drugiej stronie peronu były niemal identyczne z tymi na dworcu, z którego przyjechałam, włącznie ze strużkami błota i ostrzeżeniami przed trutką na szczury. Tyle że te ozdobiono jaskraworóżowymi napisami, nieczytelnymi imionami i komunikatami.

Szłam po schodach i myślałam o ulicy, która ukaże się moim oczom trzy kondygnacje wyżej. Poręcz z metalowej rury sprawiała w dotyku bardzo solidne wrażenie. Lśniła i odbijała wszystkie kafelki i kolory w cienkim kalejdoskopie. Nie mogłam uciec od myśli o tym, jak cała jej solidność topnieje. Różnica między chłodną twardością, którą czułam pod dłonią, a potencjalnym płynnym stanem skupienia metalu topiącego się w nagłym cieple wydała mi się raptem bardzo mała i potwornie nieziemska. Oderwałam dłoń od poręczy i miałam ochotę pokonać resztę schodów biegiem, stukając butami o wykafelkowane stopnie, lecz moje nogi zrobiły się ciężkie jak ołów i musiałam się wlec do góry krok za krokiem, bez pomocy zdradliwej poręczy, wtulając się

w swoje ramiona.

Gdy wróciłam do mieszkania, w korytarzu było ciemno, ale w salonie paliło się światło. Na kanapie siedział Jones. Grała muzyka, minimalistyczne nuty oddzielone tak długą ciszą, że dopiero po chwili uświadomiłam sobie, iż to jakaś kompozycja.

– Jak się tutaj dostałeś? – zapytałam.

– Nie bądź śmieszna – odparł.

Domyśliłam się, że wpuścił go Matt. Jones chciał mnie zabrać na kolację. Najpierw jednak poprosił nieśmiało, bym jeszcze raz oprowadziła go po tarasie.

Zapaliłam sznury lampek i wyszliśmy na taras. Jones znowu oparł się o balustradę. Zapadający zmierzch przerodził się w noc po jednej stronie nieba i smugę zachodu słońca po drugiej. Spędziliśmy jakiś czas przy tej samej ścianie, przy której mnie wcześniej całował. Przyciśnięta do muru czułam, jak powietrze ciemnieje wokół nas.

Odsunął usta od mojej twarzy.

– Nie kocham cię – rzekł niedbale, nie powstrzymując swoich dłoni, jakby mi przypominał o ważnym szczególe, o którym mogłabym zapomnieć, o objeździe, który należało zrobić w drodze do ostatecznego celu. Trudno było mi składać słowa, ośrodki mowy w moim mózgu zostały wyłączone. Przełknęłam ślinę. Na każdym skrawku obnażonej skóry, którego nie dotykaliśmy nawzajem, czułam wdzierające się w głąb ciała zimno.

Jones znowu wtulił twarz w moją szyję.

– Ja też cię nie kocham – powiedziałam, gdy jego usta przywarły do mojej krtani. Odrzucił wtedy do tyłu głowę i roześmiał się z prawdziwą rozkoszą. Uśmiechnęłam się.

– Teraz... – powiedział.

Pożądanie ścisnęło mi gardło. Zatraciłam się w nim i wciągnęłam Jonesa do mieszkania; gdy go pchnęłam, opadł ciężko na łóżko.

– Zostaw – zaoponował, kiedy zaczęłam rozpinać guziki bluzki.

Byłam rozgorączkowana i chciałam przyspieszyć bieg zdarzeń; przez chwilę pozwalał mi na to z uśmiechem, po czym przycisnął przeguby moich wyciągniętych nad głowę rąk do łóżka i posłał mi

chłodne, pożądlive spojrzenie. Znalazł słaby punkt w talii spódnicy, w miejscu, gdzie zaczął się pruć szew, i szarpnął mocno, wyćwiczonym ruchem, rozrywając ją na biodrze i udzie. Z piersi wydobyło mi się przeciągłe westchnienie i poczułam, jak moje ciało rozluźnia się wreszcie w akcie zmysłowej kapitulacji.

– Tak jest lepiej – rzekł Jones i odtąd sam decydował o rytmie swoich dotknięć.

Resztę odzienia zdejmowaliśmy z siebie z różną siłą i szybkością. Walczyliśmy ze sobą, popychaliśmy się i szarpali nawzajem z desperacją, która szybko przerodziła się w zabawę; on ograniczał mi swobodę ruchów i spełniał moje życzenia, rozśmieszał mnie i zmuszał do protestów, walki i rezygnacji.

Potem leżeliśmy wyczerpani; drzwi na taras były otwarte. Jones obrócił się i wymamrotał coś, co kończyło się słowem „iść”. Chwilę później zaczął lekko chrapać, leżąc na brzuchu z policzkiem wciśniętym w poduszkę.

Podciągnęłam się na łóżku i pozwoliłam, by głowa opadła mi na poduszkę. Pokój zastygł w bezruchu i kontury przedmiotów w otaczającej nas przestrzeni wyraźniej zarysowały się w ciemnościach. Jones oddychał ciężko, blask docierający z ulicy oświetlał fragment jego beztroskiej twarzy. Pudło Ingrid spoczywało na krześle naprzeciw łóżka, zajmując całą powierzchnię siedzenia. Jones chyba go nie zauważył. Chciałam je ukryć, narzucić na nie koc lub ręcznik.

*

Ta myśl nadal mi towarzyszyła, gdy otworzyłam oczy, nie pamiętając, bym je zamknęła. Pokój wypełniało blade poranne światło. Jones zniknął, obok mnie leżała płaska i milcząca poduszka. Poklepałam ją otwartą dłonią, czując, jak wypełniające ją pierze zapada się, a poszewka nadyma się i znowu kurczy. Z ulicy za oknem przenikały do sypialni odgłosy wczesnego poranka: kraty podnoszące się w witrynach sklepowych, pracujące na wolnym biegu ciężarówka, unieruchomione i ruszające z miejsca pojazdy. Narastający i cichnący warkot przejeżdżającego motocykla. Wyobraziłam sobie, jak Jones wychodził, i poczułam się nieswojo na myśl o tym, że budził się i ubierał, gdy ja

spałam. Pamiętałam, że poprzedniego wieczoru przyglądałam mu się, gdy zasypiał.

W łazienkowym lustrze ujrzałam swój nagi blady tułów, z boku jednej piersi widniał czerwony obłoczek tworzącego się sińca. Ślad po jego ustach i dłoni – przełknęłam ślinę, chwając się na nogach. Świadomość, że spałam w jego obecności, na jego oczach, wzbudziła znacznie boleśniejsze poczucie bezbronności niż świadomość, że poszłam z nim do łóżka. Skrzyżowałam ręce na piersiach, żeby ich nie widzieć, i ziewnęłam.

Wracając do sypialni po kąpieli pod prysznicem, zauważyłam zwisające z brzegu łóżka pozostałości mojej spódnicy. Widok ten sprawił, że przepełniła mnie gwałtowna fala podniecającego ciepła. Zsunęłam ją palcem u nogi na podłogę i wepchnęłam pod łóżko. Po trosze żałowałam straty – była stara, uszyta w latach czterdziestych, z wysoką talią i kwiatkiem wyhaftowanym na spłowiałej jedwabnej metce. Kupiłam ją przed laty na ulicznym straganie. Powróciło wspomnienie jej rozrywania, poczułam przyjemny dreszcz towarzyszący westchnieniu, które wydobyło się wówczas z moich ust.

Owinięta ręcznikiem zaparzyłam sobie kubek mocnej kawy. Rozjaśniła mi w głowie, usunęła z ust smak ostatniej nocy. Usiadłam na łóżku, położyłam przed sobą pudło, zdjęłam wieko i znowu zaczęłam czytać.

*

Gdy doszłam do końca lektury, przejrzawszy pobieżnie większość zawartości pudła i uważnie przeczytawszy tylko część, było popołudnie. Na łóżku był talerz z okruchami grzanek. Skończyłam przeglądać artykuł skopiowany z jakiejś gazety, traktujący o przechowywaniu ołowianych tabliczek z klątwami, warunkach, w jakich należało to robić, i o kruchości materiału. Wiele lat temu zniszczono cenne tabliczki, przechowując je w szufladzie zrobionej z niewłaściwego materiału. Powietrze w drewnianej szufladzie było zbyt kwaśne i nastąpił stopniowy rozkład tabliczek. Od początku zresztą znajdowały się w złym stanie. Wtedy ich zapisy zostały skopiowane, lecz teraz sprawdzenie poprawności transkrypcji byłoby niemożliwe.

Nawet z tak pobieżnej analizy dziedziny, którą zajmowała się Ingrid, jasno wynikało, że odzyskiwanie zapisów stanowi skomplikowany dramat utraty, operację ratunkową, której wyniki, choć czasem oszałamiające, są przypadkowe, fragmentaryczne, znikome – niczym drobne kawałki większego, niemożliwego do odtworzenia obrazu. Co przetrwało. Co umarło. Co o tym zdecydowało, a co nie. Kto żył. Kto zmarł nieznany. Kto wygłosił dwie kwestie przytoczone przez kogoś, kto z kolei tego kogoś zacytował.

Gra szeptów. Grafficiarz, który zaatakował swą kochankę, pisząc na murach ulicy w wymarłym mieście, może być cytowany w nieskończoność, podczas gdy znani w swoim czasie poeci nie zostawili po sobie niczego, co skreślili własną ręką.

Przewracałam kartki i odkładałam je na stertę leżącą obok opróżnionego pudła. Ostatnia kartka leżała samotnie na jego dnie. Zanim ją podniosłam, patrzyłam na nią przez jakiś czas.

Nie zawierała informacji o tabliczkach ani o literaturze starożytnych Rzymian. Była to jedna strona listu od towarzystwa ubezpieczeń medycznych, wyciąg z konta. List pochodził z sierpnia 2001 roku i zawierał wzmiankę o wizycie na oddziale pomocy doraźnej i wykonanych zabiegach ortopedycznych. Druga strona kartki była pusta; wyglądało na to, że dokument jest kserokopią. Jeszcze raz spojrzałam na kartkę, ale nie dostrzegłam żadnych śladów długopisu, żadnych uwag. Włożyłam list z powrotem do pudła, po czym rozmyślałam się i go wyjęłam. Zapakowałam do środka resztę kartek i położyłam wyciąg na wierzchu. W pokoju robiło się ciemno. Nadeszła nagła bryza i omiotła taras, wprawiając w drżenie klatkę dla ptaków i unosząc brzegi kartek u góry stosu. Drzwi na taras zamknęły się z trzaskiem. Przykryłam pudło wiekiem.

*

Kiedy się zbudziłam, pudło leżało na podłodze obok łóżka, chociaż nie mogłam sobie przypomnieć, bym je tam kładła, zniknął też talerz i kubki po kawie. Matt. Zegar wskazywał ósmą wieczór. Poczułam głód i pomyślałam o ostatniej grzance, którą zjadłam przed zaśnięciem. Wstałam, zapaliłam wszystkie lampy i światła na tarasie.

Matt wycierał naczynia w kuchni. Był bardziej opalony niż zwykle. Podejrzywałam, że skorzystał z solarium. Rozmawialiśmy o zamówieniu czegoś na kolację.

– Chirurg ortopeda zajmuje się kośćmi, prawda? – zapytałam Matta.

Uśmiechnął się figlarnie.

– Kiedyś byłem u ortopedy w sprawie złamanego nosa. Nie pytaj, jak to się stało.

Spojrzałam najpierw na Matta, a potem na stół.

– No dobrze, to długa historia – zaczął z zapalem. – Zakończona także złamaniem ręki i paroma innymi obrażeniami. Zaczekajmy na jedzenie. A tymczasem możesz mi opowiedzieć o tych odgłosach dochodzących wczoraj w nocy z twojej sypialni.

Matt miał ładny nos, a teraz, gdy już wiedziałam o złamaniu, widać było na nim niewielki wzgórek.

– Może przy kolacji? – zaproponowałam.

Gdy zjedliśmy, Matt pomógł mi wybrać strój, ciemną bluzkę ze zwiewnej połyskliwej tkaniny i czarne dżinsy. Uzmysłowiłam sobie, że z większym niż zwykle zainteresowaniem sprawdzam spoistość materiału, dotykając mocnego dżinsu, gdy zasuwiałam zamek błyskawiczny. W jednej z szaf w korytarzu mój współlokator znalazł też parę butów.

– Czekałem, aż ktoś je założy – powiedział. Wyglądały niczym wysokie buty do jazdy na motorze, z paskiem i klamrą na stopie i obcasami startymi z jednej strony. – Leżą tutaj od ponad roku.

Gdy byłam ubrana i uszmkowana, spojrzał krytycznie na moją twarz.

– Świetna bluzka. Wspaniałe buty. Teraz pozwól, że poprawię ci brwi.

Pozwoliłam, by przez pięć minut skubał je pęsetą. Bolało mniej, niż przypuszczałam. Ta uległa postawa, z twarzą zwróconą ku światłu w łazience, była dziwnie odprężająca. Zaczęły mi łzawić oczy.

– Dobra – rzekł w końcu.

Przedtem moje brwi były niemal zupełnie proste; teraz przypominały delikatne eleganckie łuki. Uniosłam jedną z nich dla

Matta.

– Jesteś piękna. Możesz iść.

*

Myślałam, że dotrę tam przed Trinh – nie byłam nawet pewna, czy przyjdzie, ale liczyłam na to, że bywa tam niemal co wieczór. Gdy jednak wchodziłam do Lilac, ona stała już przy barze i rozmawiała z barmanem. Miała na sobie zapiętą pod szyję skórzaną kurtkę oraz krótką spódnicę. Jej policzki były zarumienione, jakby dopiero co weszła z zimnej ulicy. Uśmiechnęła się na mój widok i powiedziała coś do barmana, ten zaś skinął głową i zaczął mieszać drinka.

– Cześć – powiedziała Trinh, jak gdyby mnie oczekiwała, i położyła delikatnie dłoń na moim biodrze. – Dziś wieczorem Ben robi doskonale martini.

Ben uśmiechnął się, postawił na barze dwie szklanki i napełnił je z shakera.

Po pierwszych kilku łykach koktajlu promieniałam nagłym poczuciem przynależności: wejść do baru i zastać tam przyjaciółkę. To właśnie znaczyło być w jakimś mieście u siebie. Nieprawdaż? Przypomniały mi się czwartkowe popołudnia tej ostatniej wiosny w kampusie, gdy wchodziłam po schodach do baru, licząc na to, że znajdę tam Ingrid i Ralpa przycupniętych na kanapie z powycieranej skóry. Pili gin i piwo, grając w gry planszowe na stoliku zastawionym popielniczkami i usłanym paczkami papierosów.

Potem uzmysłowiłam sobie, o czym zamierzałam tu porozmawiać z Trinh. Poczucie przynależności osłabło.

Usiadłyśmy w boksie z czarnego winylu. Trinh rozpięła zamek kurtki. Moje martini było bardzo mocne. Powiedziałam jej, że przejrzałam zawartość pudła Ingrid.

Trinh zmarszczyła czoło.

– Znalazłaś coś ciekawego? Wydawało mi się, że bardzo osobistych zapisków jest tam niewiele.

– To prawda. Za to wiem teraz sporo o magii w świecie antycznym. Więcej niż wcześniej, co nie najlepiej świadczy o mojej wiedzy.

Trinh się uśmiechnęła.

– Prace Ingrid były bardzo obiecujące. Była dobrą studentką.

– Znalazłam tam jeszcze coś.

Czoło Trinh nadal było zmarszczone.

– Rachunek lub raczej opis zabiegów medycznych. Z oddziału pomocy doraźnej.

Stolik oświetlała mała świeca wotywna w mętnym szklanym świeczniku. Trinh w zamyśleniu przesunęła nad nią dłoń tam i z powrotem.

– W jej szufladzie i na półce leżały najrozmaitsze papiery. Prawdę mówiąc, nie przeglądałam ich zbyt uważnie.

Czekałam w milczeniu.

– Ten opis pewnie powstał, gdy pod koniec dwutysięcznego roku złamała rękę... zgadza się? Dwa lata temu – powiedziała.

– Złamała rękę?

– Tak. Spadła ze schodów w mieszkaniu. Widziałas je. Paskudnie się potłukła, złamała... parę kości, już nie pamiętam ile, te drobne kości dłoni. Była wściekła z tego powodu... przez kilka tygodni nosiła sztywny opatrunek i nie mogła swobodnie pisać na klawiaturze, musiała to robić jedną ręką.

Wyobraziłam sobie Ingrid w opatrunku i pomyślałam o pozbawionych rąk lalkach Fleur. Coś tu nie pasowało.

– Ten opis pochodzi z dwa tysiące pierwszego – powiedziałam. – Nie z dwutysięcznego.

Trinh delikatnie zmarszczyła brwi.

– Być może źle to zapamiętałam. Myślałam, że to się stało rok wcześniej. Może wysłali opis z opóźnieniem... – Błądziła wzrokiem po sali.

– Wizyta odbyła się w sierpniu.

– Boże, tamtego lata prawie jej nie widywałam. Pewnie tylko wpadała do gabinetu. Nie wiem, co mogło być przyczyną. Od dawna jej nie widu... widywałam. Zresztą... – Spojrzała z powrotem na mnie. Miała zatroskany wyraz twarzy. Pochyliła się do przodu. – Przepraszam, Julio. Byłam bezmyślna. To okropne, że natrafiasz na takie rzeczy, takie osobiste, z jej życia. Gdy dawałam ci to pudło, nie pomyślałam, jak

przykre to będzie dla ciebie. – Spuściła wzrok. – Chciałam po prostu usunąć je z pokoju. Sądziłam, że może zechcesz obejrzeć niektóre z jej prac...

Spojrzałam na swoją dłoń, w której tkwił kieliszek; druga spoczywała na kolanach.

– Cieszę się, że je zobaczyłam. Dzięki.

– Może przyjdę i zabiorę te rzeczy? Uwolnię cię od nich.

– Nie... nie, w porządku. Zatrzymam je.

Trinh miała taką minę, jakby chciała mnie od tego odwieść.

– A ten Richard Evans – zmieniłam temat. – O co z nim chodziło?

Trinh zastanawiała się przez chwilę. Jej oczy wyrażały obawę.

– Ingrid była bardzo... atrakcyjna – powiedziała.

– Owszem – przyznałam, czekając na dalszy ciąg wyjaśnień.

– Byli bardzo zaprzyjaźnieni – dodała niechętnie. – Ale nic poza tym.

W zestawieniu z moimi obserwacjami brzmiało to sensownie.

– Bardzo ciężko to wszystko przeżył. Widziałaś się z nim jeszcze raz?

– Tak – odparłam. – Ale nie chciał rozmawiać o Ingrid.

Trinh skinęła refleksyjnie głową, po czym podniosła wzrok i uśmiechnęła się. Odwróciłam się. Jones stał za mną wsparty o brzeg boksu. W jednej dłoni trzymał kieliszek, a w drugiej papierosa. Wsunął się na kanapę obok mnie, stuknął kieliszkiem z Trinh, a potem ze mną i wypił.

– Dobry wieczór – powiedział. Zaciągnął się papierosem i spojrzał na mnie przelotnie. – Miło widzieć, w jak dobrej jesteście komitywie. – Rozsiadł się wygodnie.

Trinh posłała mu życzliwy, znaczący i na swój sposób ironiczny uśmiech.

– Za twoje zdrowie – rzekła – i za naszych zmarłych przyjaciół.

Uniosłam kieliszek do ust.

Dłoń Jonesa raz po raz wędrowała ku mojej nodze. Siedziałam nieruchomo, nie dając niczego po sobie poznać. Około dziesiątej Trinh zerknęła na zegarek.

– Praca? – zapytał Jones.

Skinęła głową.

– Gdzie pracujesz? – zapytałam, wyobrażając ją sobie za barem.

Przez parę sekund Trinh omiatała nas wzrokiem.

– W śródmieściu, niedaleko stąd. W zasadzie... jak by to ująć... mówię ludziom, co mają robić.

– Więc jesteś kierowniczką?

– Nie, niezupełnie.

Jones obserwował ją w milczeniu.

– Ludzie płacą mi, żebym im mówiła, co mają robić. Czekałam. Trinh trzymała kieliszek w dłoni. Konsultantka, pomyślałam; instruktorka?

– Jestem... partnerką dominującą, bo chyba tak się to określa.

Jones uśmiechnął się nieznacznie i uniósł kieliszek do ust.

– To nie jest seks – wyjaśniła. – Część tych praktyk... niewiele... odbywa się w miejscu, gdzie pracuję, ale głównie chodzi o dyscyplinę i tak dalej. To wszystko polega na władzy.

– Na przykład krępowanie? Sadoomasochizm? – zapytałam, czując się mało pojętną ignorantką.

– Właśnie tak.

– A ty wywijasz pejczem?

– Właśnie. – Uśmiechnęła się. – I wydaję rozkazy. Wspaniały zarobek i dodatkowe korzyści. Dzięki temu studiuję. Zwykle mówię ludziom, że uczę tańca.

Wręczyła mi wizytówkę z napisem „Salon Reage” i kołem z pięcioma szprychami pośrodku, numerem telefonu i imieniem Verity.

– Lepiej być tą, która trzyma pejcz, niż tą, która oddaje ciało. Dla Azjatek jest znacznie więcej pracy w tej drugiej roli, ale ja dobrze sobie radzę. Dziewczyny, które pracują u nas „na dole”, harują, zarabiają sporo forsy, lecz dla mnie nie było to tego warte.

Nie podobało mi się to, co sobie wyobrażałam. Łatwiej było myśleć o Trinh z pejczem w dłoni niż w roli okładanej nim osoby.

– Niektórzy studenci na wydziale uczestniczą dla zarobku w badaniach medycznych... gdzie płacą ci za zażywanie nowego leku lub wycięcie kawałka tkanki z ust, żeby sprawdzić, jak goi się rana. – Skrzywiła się. – To zbyt obrzydliwe. Można naprawdę dobrze zarobić,

ale to jest znacznie lepsze. Przynajmniej dla mnie.

– Jacy są ci faceci? – zapytałam. – Kobiet nie ma?

– Och, to sami mężczyźni. Prawnicy. Są naszą najlepszą klientelą. I politycy. Paru sędziów. Nic dziwnego. To sporo kosztuje.

– Trinh ma w tych sprawach szósty zmysł – wtrącił Jones. – Umie ocenić... w bardzo podobny sposób, w jaki niektórzy odgadują, spod jakiego jesteś znaku zodiaku... domyśli się, czy jesteś sado, czy maso, dominująca czy uległa. Niektórzy potrafią zadziwić. – Popatrzył z zachwytem na Trinh.

– Więc do której grupy się zaliczam? – zapytałam.

Trinh się roześmiała.

– Jesteś zbyt łatwym przypadkiem. – Opróżniła kieliszek.

– Zapytaj jego... ma równie dobry zmysł jak ja. A tak nawiasem mówiąc, jesteś spod znaku Bliźniąt.

Uwolniła się zza stolika i wstała.

– Wychodzę, żeby poddominować przez kilka godzin. Bawcie się dobrze, moje dzieci. – Zanim wyszła, przez chwilę ścisnęła dłoń Jonesa.

Ten spojrział na mnie.

– Mogę ci postawić tego drinka?

Później szliśmy w górę Szóstej Alei, obok sklepów z witrynami pełnymi zabawek i fajek do palenia marihuany. Zatrzymałam się przed jednym z kajdankami na wystawie i marszcząc czoło, popatrzyłam na Jonesa.

– To nie dla mnie – rzekł, ledwie dostrzegalnym ruchem kręcąc głową. – Zbyt dosłowne.

Ruszyliśmy dalej w kierunku mieszkania.

*

W jego obojętnym sposobie bycia, w tym, że pozostawał po trosze beznamiętny i powściągliwy nawet wtedy, gdy całym ciałem angażował się w seks, było coś, co doprowadzało mnie do wściekłości i podniecało zarazem; im bardziej był chłodny, tym gwałtowniej pragnęłam zobaczyć, jak traci kontrolę. Przyglądałam mu się bacznie, żeby uchwycić moment, w którym mogło się to zdarzyć, nasłuchując zmiany

rytmu oddechu i załamania się głosu. Nawet gdy wydawało się, że ta chwila nigdy nie nadejdzie, zabiegałam o nią coraz bardziej bezradnie, niczym zwierzę rzucające się na kraty klatki. Jones chyba zdawał sobie z tego sprawę i się tym nie przejmował, pozwalając, bym traciła cierpliwość. Zrezygnowałam więc i gdy w końcu nadeszła, zaniedbałam czuwania – wbrew oczekiwaniom nie miał zamkniętych oczu, lecz rozbiegane, nagle bezbronne. Nie trwało to długo. Zamknął powieki i znowu skrył się za swym pancerzem. Osunęłam się na niego i wtuliłam twarz w jego pierś. Nie czułam spodziewanego triumfu, lecz niepewność i wyczerpanie.

*

Kiedy we wczesnych godzinach rannych otrząsnęłam się ze snu, sama w łóżku, pościel była chłodna. W moim śnie widziałam rzędy szuflad przypominające wysuwane szafki w ścianie kostnicy lub szuflady z próbkami, jedne płytkie, a drugie głębokie. Wszystkie wykonano z drewna, wypełniono tabliczkami, kartkami i innymi, bardziej niepokojącymi artefaktami. Nie chciałam na nie patrzeć. Ingrid wysuwała je wprawnie jedną po drugiej i odwracała do mnie swą skupioną i zatroskaną twarz. Jej ręka spoczywała na uchwycie szuflady na wysokości biodra. Mówiła o tych zniszczonych tabliczkach przechowywanych w nieodpowiedniej skrzynce. „Nawet ołów się rozkłada – wyjaśniła. – Rysunki – dodała, a może chodziło o »warunki«? – Skrzynka była nieodpowiednia”. Sądziłam, że mówi o jakichś maszynkach, i się roześmiałam; w swoim śnie wyobrażałam je sobie pod postacią pojemnych skrzynek na sens. „Były problemy z transkrypcją – powtarzała uparcie i natarczywie. – Z transkrypcją”.

W pokoju było ciemno. Na ulicy trwała kłótnia, długie, wypowiedane zalotnym głosem zdania kontra gniewny krzyk. Zegar pokazywał jaskrawoczerwone cyfry. Odsunęłam go od siebie. Ciemność zaczęła podnosić swą zasłonę. Pościel nie była już taka chłodna. Głosy za oknem cichły w oddali. Gorąco pragnęłam, by szuflady zasunęły się w moim umyśle, i znowu usnęłam.

*

Jones wspomniał o Ingrid tylko raz, parę tygodni później. Byliśmy w jego gabinecie. Zdjęłam z półki książkę, najnowsze dzieło profesora, antologię pod jego redakcją. Jego nazwisko widniało na stronie tytułowej wraz ze znienawidzonym imieniem – Philip R. Jones. Z otwartej książki wysunęła się karteczka zapisana ręką Ingrid – tytuł jakiegoś artykułu, odsyłacz, który przepisała z bibliografii. Numery stron. Później jedno przekreślone, nieczytelne słowo.

Jones niemal brutalnie odebrał mi książkę, spojrzął na okładkę i po chwili rzekł:

– Pożyczyła ją ode mnie. – Oddał mi antologię, zatrzymując kartkę. Złożył ją wpół i trzymał, jakby nie był pewny, co z nią zrobić. Przysiadł na brzegu biurka. Na półce stało kilka egzemplarzy jego książki, a on patrzył na nie niewidzącym wzrokiem. – Przez ostatnie sześć miesięcy, może rok przed tamtym wrześniem, rzadko ją widywałem – dodał w końcu. Takie słowa stawały się częstym refrenem w ustach znajomych Ingrid. – Było mi przykro z tego powodu. Kiedy starała się o przyjęcie na studia, byłem w komisji rekrutacyjnej. Znałem więc ją od początku. Jeszcze przed rozpoczęciem zajęć. W tym czasie ogromnie się zmieniła. – Miałam wrażenie, że szuka słów na opisanie tej zmiany. – Początkowo trudno było to dostrzec. Jej prace były doskonałe, ale miała spore trudności z wyborem tematu. Wydawało się, że traci zaufanie do własnych sądów, że ma problem z zachowaniem przekonania o wartości swoich prac. I oczywiście po pierwszych sześciu miesiącach była bardzo niezadowolona. Ale przecież wiesz o tym. – Posłał mi blady uśmiech.

Przypomniałam sobie, że Ed widział się z nią raz w Nowym Jorku kilka miesięcy po jej przyjeździe do Sydney z kilkudniową wizytą u Ralpa. Dla Eda była to podróż służbowa. Gdy wrócił, oboje z Ralphem spotkaliśmy się z nim w jakimś barze. Tamtego wieczoru sporo pił, a kiedy mówił o Ingrid, nie mógł opanować wściekłości. Najpierw w ogóle nie chciała się z nim zobaczyć. Potem, gdy się zgodziła, poszli coś zjeść. „Wyglądała tak samo – wspomniał – ale zupełnie nie była sobą”. Ed obwinił jej męża, twierdził, że Grey próbuje kierować jej życiem i musi wiedzieć, gdzie spędza każdą chwilę dnia. „Ona po prostu udaje. To tylko gra. Bardzo ostrożna. Tak jakby

zastąpił ją robotem. Dobrym robotem”.

W odpowiedzi Ralph przyrównał Greya do Pigmaliona kształtującego Ingrid zgodnie z własnym widzimisię. Wspomniałam o tym Jonesowi, a on zastanawiał się przez chwilę, po czym pokręcił głową.

– Nie – odparł. – Pigmalion zaczął od posągu... sam go wyrzeźbił... a bogowie zmienili go w żywą istotę. Grey jest jego przeciwieństwem... – Przerwał. Czekałam, aż dokończy. Znowu pokręcił głową.

Chyba zrozumiałam.

Skinął głową w kierunku książki w moich dłoniach i rzekł:

– Jest twoja. Weź ją sobie. Tutaj stoi dziesięć egzemplarzy. To żenujące.

Zawahałam się.

– Jeżeli jej nie chcesz... Niektóre fragmenty są całkiem dobre. Ale ty chyba nie lubisz takich książek. – Wyciągnął rękę, gotów wziąć ją z powrotem.

Nie oddałam mu jej.

– Dajesz mi ją? – upewniłam się.

– Tak – odparł zniecierpliwiony. Wyjął antologię z moich rąk, otworzył ją na stronie tytułowej, *Spojrzenia na trybut w późnym cesarstwie rzymskim*, i wyjął długopis z kieszeni koszuli. Jego dłoń zawisła nad książką, gotując się do napisania dedykacji. Wydawało się, że się rozmyślił, pstryknął końcówką, po czym skreślił coś szybko. Uśmiechnął się przeproszająco, zamknął książkę i znowu mi ją wręczył. Przyjęłam ją niepewna i podziękowałam.

Podczas pierwszej wizyty w jej pracowni Fleur zaprosiła mnie na przyjęcie za dwa tygodnie. Zapytałam, czy urządza je z jakiejś szczególnej okazji. Zmieszała się, po czym po chwili namysłu odparła: „Są urodziny Theo”. Ale odniosłam wrażenie, że to stwierdzenie faktu, a nie powód organizacji przyjęcia.

Gdy tam dotarłam, pracownia była pełna ludzi w różnym wieku, od rówieśników Fleur po osoby nieco starsze ode mnie, z kilkoma siwiejącymi włóczkami. Wszyscy na czarno i w dżinsach naszpikowanych metalowymi błyskotkami. Nad lampami stojącymi umieszczono arkusze kolorowej błony żelatynowej, tak aby wnętrze było oświetlone na bladoczerwono. Ze świec na wysokim rozgałęzionym kandelabrze w jednym kącie ściekał na podłogę wosk. Na moich oczach jakiś nastolatek wziął niemal zupełnie wypaloną świecę i pochylił ją tak, by kropla wosku spadła mu na dłoń. Zaimponował tym siedzącej obok dziewczynie. Przeniósł świecę nad rękę dziewczyny i kolejna kropla spadła na jej skórę. Nastolatka zachichotała, a on dalej trzymał świecę, uśmiechając się do niej.

Fleur spostrzegła mnie i wciągnęła w krąg ludzi zebranych w małej kuchni. Powietrze było gęste od dymu. Ktoś wsunął mi do ręki kubek z przezroczystego plastiku i powiedział do ucha: „Poncz”, przekrzykując głośną muzykę. Poncz smakował jak burbon zmieszany z czerwonym likierem. W ciemnoróżowym płynie pływał jakiś owoc. Fleur miała na sobie srebrzystą bluzkę bez rękawów, a rozpuszczone włosy odgarnęła za uszy. Jej policzki pokrywał brokat. Umalowane na czarno i srebrno oczy były jaśniejsze niż kiedykolwiek.

Wyostałam się z zatłoczonej części atelier. Kąt, który posłużył za plan filmowy, został odgradzony wysokim składanym parawanem z drewna i papieru. Weszłam za parawan. Muzyka brzmiała tu ciszej, jakby tworzył lepszą barierę dźwięku, niż powinien. Pod ścianą stał stół do pracy zarzucony gazetami i slajdami, pod jego blatem znajdowały się dwie szuflady. Brakowało światła. Szuflady wysuwały się z łatwością. Były pełne piór i spinaczy do papieru, zdjęć, pocztówek, rolek taśmy i monet. W niewielkim pliku fotografii w głębi drugiej z nich znalazłam

jedno zdjęcie Ingrid, zrobione gdzieś na dworze w słoneczny dzień. Wyglądało na stosunkowo nowe. Ingrid uśmiechała się do obiektywu. Tyle zdołałam zauważyć, zanim usłyszałam za sobą jakiś odgłos i szybko wsunęłam je do tylnej kieszeni.

Obejrzałam się za siebie i ujrzałam Richarda Evansa z piwem w dłoni.

– Cześć – powiedział i spojrzał na biurko. Zdążyłam zasunąć szuflady. Mój kubek z ponczem zostawił mokry ślad na białej laminowanej powierzchni. – Bawisz się w detektywa?

Na ścianie między nami wisiało zdjęcie Fleur oraz odwróconej plecami Ingrid i nasze spojrzenia powędrowały ku niemu. Miałam wrażenie, że Richard przyszedł tu, za parawan, żeby je obejrzeć.

– Wychodzę – rzekł, zerkając w stronę parawanu. Nasadą dłoni przyglądał ciemne proste włosy.

– Zostań – poprosiłam. – Jesteś tutaj jedyną oprócz Fleur osobą, którą znam.

Richard spojrzał z wahaniem w stronę parawanu, a później na mnie.

– Mogę jeszcze trochę poczekać.

Żadne z nas nie popatrzyło znowu na zdjęcie. Richard usadowił się na podłodze pod ścianą. Cynthia siedziała w swojej niszy nad jego głową. Ja zostałam na lichym krześle przy biurku.

– Co masz w kubku? – zapytał.

Skrzywiłam się.

– Poncz. Masz ochotę skosztować? Początkowo smakował okropnie, ale coraz bardziej mi odpowiada.

Pokręcił głową i wypił łyk z butelki.

– Tutaj jest ciszej – zauważył, a ja skinęłam głową.

Miał gładko ogoloną twarz. Od szkieł jego okularów odbijało się światło. Kosmyk włosów, który usiłował przyglądać, uparcie odstawał. Rysy miał bardzo przeciętne, lecz oczy przydawały jego twarzy czegoś wyjątkowego. Były stalowoniebieskie, poważne i badawcze.

Siedzieliśmy tam tak, niewiele mówiąc, przez pewien czas. Wkrótce mój kubek był pusty, cienki plasterek truskawki przywarł do jego ścianki.

Gdy już miałam zaproponować, byśmy poszli poszukać kolejnej porcji,

Richard wstał i rozprostował zeszywniałe od siedzenia nogi. Nagle złożenie takiej propozycji okazało się trudne; zabrakło mi śmiałości i gdy stało się jasne, że on wychodzi, poczułam rozczarowanie.

Wyszliśmy za parawan.

– W takim razie do zobaczenia – powiedział z uśmiechem.

– Byłoby miło – odparłam.

Jego uśmiech przerodził się w pytające spojrzenie, nieśmiałe, lecz nie obojętne. Zaczepiłam obcasem o jakąś dziurę w podłodze i spuściłam wzrok. Richard podszedł do grupki rozmawiających osób i zwrócił się do mężczyzny, w którym rozpoznałam artystę z wernisażu w galerii Maeve i który miał na sobie tę samą kamizelkę w brązowo-zieloną szkocką kratę. Skłonili ku sobie głowy i po chwili pożegnali się z resztą grupki. Zanim wyszli, Richard przebiegł wzrokiem po atelier. Gdy Fleur przypadkiem odwróciła się ku drzwiom, ich spojrzenia spotkały się na krótko, lecz ona nie dała po sobie poznać, że go zauważyła. Poszłam poszukać ponczu.

*

Kilka dni później wychodziliśmy oboje z Jonesem z budynku i przed drzwiami mieszkania pani Bee minęliśmy mężczyznę w brązowej marynarce, który czekał, aż mu otworzy. Jones wymienił z nim niedwuznacznie rozpoznawcze spojrzenie zakończone skinieniem głową. Pchnęliśmy skrzydła drzwi frontowych, a on tkwił tam przez chwilę nieruchomo. Obejrzałam się i zobaczyłam, jak uśmiecha się czule do pani Bee i podaje jej to, co miał dostarczyć.

Kąciki ust Jonesa uniosły się w bladym uśmiechu, a może tak mi się tylko zdawało; przede mną udawał powagę. Nadciągnęła silna bryza. Po powierzchni chodnika fruwały papierki po gumach do żucia i Jones wykonał szybki manewr, żeby uniknąć kontaktu z nimi. Jakaś papierowa torba przywarła do mojej nogi; strząsnęłam ją na bruk. Nie chciałam ciągnąć go za język; zdenerwowało mnie to, że milczał. Próbowałam wyrzucić to pytanie z mojej świadomości, ale tłuło się tam niczym porywane przez wiatr uliczne śmieci. To, jak krąg znajomych pani Bee mógł się stykać z kręgiem znajomych Jonesa, było niejasne, lecz w Nowym Jorku każdy związek wydawał się możliwy.

W końcu to Jones poruszył tę kwestię. Widocznie radość z ujawnienia informacji przeważała nad przyjemnością z jej zatajania.

– Ta twoja znajoma to zagadkowa postać – powiedział, na pozór zwracając się do swojej whisky i patrząc na menisk w kołysanej w dłoni szklance. Jego oczy błyszczały jak kryształ. Palce, długie i kształtne, z nieskazitelnymi paznokciami, rozpraszały moją uwagę. Odstawił szklankę.

Staralam się udawać taką samą powagę, ale straciłam cierpliwość.

– Kim był ten facet?

– To doręczyciel – odparł z chytrym uśmiechem.

– Tak. Domyśliłam się.

– Domyśliłaś się czego?

Miałam już dość tej rozmowy, a moja szklanka była prawie pusta. Jones wstał.

– Kupię ci jeszcze jednego drinka, smutasie. Sam, ten doręczyciel, dostarcza prochy. – To ostatnie słowo wypowiedział tajemniczym, ironicznym szeptem, pochyliwszy się do mojego ucha, gdy przechodził obok.

Odszedł do baru leniwym krokiem.

Gdy wrócił, postawił drinki na stoliku. Mnie kupił martini.

– Elegancja Francja.

– Uznałem, że wolisz z plasterkiem cytryny niż z oliwką – powiedział i wypił spory łyk ze swojej szklanki. – Niezłe.

Zapach ginu raził moje powonienie.

Jones pochylił się ku mnie wsparty łokciami na stoliku.

– Przypuszczam zatem, że twoja pani Bee należy do ekskluzywnego grona ćpunów pokroju Williama Burroughsa... żywiących się dobrym towarem, dopóki im żyły wytrzymują.

Czemu nie, pomyślałam. Trudno było jednak skojarzyć panią Bee z uzależnieniem od heroiny. Uznałam, że Sam prawdopodobnie dostarcza jej innych narkotyków, czegoś, czym wróżbitka wywołuje swoje paranormalne wizje.

– Wypij, kotku – powiedział Jones.

To wypowiedziane z angielskim akcentem polecenie zabrzmiało wulgarnie i trochę absurdalnie w jego ustach. Wyglądał na

zawiedzionego, gdy nie doczekał się protestu z mojej strony. Wiedziałam, na co liczy: że będzie mógł mi wytknąć, iż wcześniej nigdy nie protestowałam, gdy nazywał mnie tak w innych, bardziej intymnych okolicznościach. Zamiast protestować, uśmiechnęłam się i żałowałam, że w szklance nie ma oliwki, którą mogłabym rozgryźć. Moje ciało lekko zwiotczało. Jones podniósł szklankę w wymuszonym toaście.

*

Jenny! Tutejsze niebo wygląda dziwnie bez wieżowców World Trade Center.

Tęsknię za Tobą

Wreszcie zabrałam się do wysłania jednej z pocztówek. Znaczek przedstawiał Statuę Wolności; na poczcie miałam do wyboru jeszcze taki z amerykańską flagą. Sięgając ręką do skrzynki w kącie, znieruchomiałam zaniepokojona. Spojrzałam na kartkę, na te kilka skreślonych moją ręką słów. Charakter pisma nagle przestał wyglądać znajomo, stał się pismem innej osoby. Co nimi zdradzam? – zastanawiałam się na widok znaków, kresek i linii, które dla grafologa Richarda Evansa oznaczałyby całą gamę rzeczy, jakich nie dostrzegłam we własnym piśmie.

Za mną czekał ktoś ze swoimi przesyłkami, kobieta w brązowym futrze i dużych okularach przeciwsłonecznych. Zerknęłam na nią. Wzdychała cicho, pomrukiwała z irytacją i przestępowała z nogi na nogę w swoich czółenkach. Na uniesionej do pasa ręce trzymała miniaturowego psa rasy chihuahua o wielkich wilgotnych oczach. Czworonóg przechylił ku mnie małą głowę i obnażył garnitur maleńkich zębów.

Odsunęłam się na bok, pozwalając kobiecie wysłać kilka listów.

Gdy skończyła, wsunęłam pocztówkę przez otwór w skrzynce. Wpadła bezgłośnie do środka.

Kiedy wróciłam do domu, na bloczku leżącym obok telefonu widniała wiadomość:

Julio, prosi o telefon
w piątek po południu.

Odkąd znalazłam się w Nowym Jorku, nie rozmawialiśmy ze sobą.

Zanim wyjechałam, Peter rozpoczął rezydenturę w szpitalu na zachodnich przedmieściach Sydney, tym samym, w którym kiedyś odbywał staż. Zadzwoiłam. Po kilku sygnałach włączyła się automatyczna sekretarka. Zostawiłam krótką wiadomość. Czyżbym zapomniała o jego urodzinach? Nie – obchodził je w maju, tydzień przed moimi. Próbowałam dodzwonić się do ciotki. Jej telefon nie odpowiadał.

Nazajutrz spróbowałam znowu, tym razem najpierw dzwoniąc do Jenny. I znowu nikt się nie zgłaszał. Ledwie odłożyłam słuchawkę, rozległ się dźwięk telefonu. Dzwonił Peter. Mówił znużonym głosem. Miał złe wieści.

– Chodzi o Jenny. Miała wylew. Poważny. Chyba wróci do zdrowia, ale to może potrwać. Odnalezienie twojego numeru zabrało mi trochę czasu.

Wpatrywałam się w zegar ścienny i chłonełam detale. Dwie wskazówki, jedna dłuższa – o ile, zastanawiałam się. Dwa centymetry? Ile centymetrów mieści się w calu? Krótkie czarne kreski na obwodzie tarczy oznaczały sekundy, a wszystkie cyfry były pogrubione i wykończone maleńkimi zakrętami. Pomyślałam, że takie wyczulenie na szczegóły to skutek szoku.

Straciłam czucie w dłoni obejmującej plastikową słuchawkę. Ile sekund upłynęło? Cienka wskazówka odmierzająca sekundy nie pomogła mi w odpowiedzi.

– Wrócę jak najszybciej – zapewniłam. Głos Petera brzmiał tak znajomo, a mój własny tak obco.

– Myślę, że chciałaby cię zobaczyć.

– Jest przytomna?

W dzielącej nas przestrzeni słyhać było szum podobny do odgłosu wody kłębiącej się za płynącym statkiem. Mijały kolejne sekundy, aczkolwiek trudno było mi teraz skupić wzrok na czarnych kreskach na tarczy zegara. Głos Petera wydobył mnie z głębokiego zamyślenia.

– Więc kiedy uda ci się tu dotrzeć?

– Nie wiem. Niedługo. Różnica czasu... nie wiem, ile to potrwa. Kupię bilet jak najszybciej. – Zaczęłam się skupiać na logistyce podróży lotniczej.

Przyglądałam się, jak zachodzące słońce znika na brudnym niebie. Gdy zadzwieczał dzwonek u drzwi, było ciemno, a pokój oświetlała tylko jedna lampa. Chwilę później znowu zabrzmiał sygnał dzwonka, tym razem długi. Wstałam, by otworzyć.

W skrzynce domofonu zatrzeszczał głos Jonesa. Wciśnięciem guzika otworzyłam drzwi na parterze i poszłam otworzyć zasuwę. Szybko znalazł się w środku. Omal nie podniósł mnie z podłogi, mocnym uściskiem ramion wyduszając głośne tchnienie z mojej krtani, po czym cofnął się i popatrzył na mnie.

– Co się dzieje? – zapytałam.

– Co się dzieje z tobą? – odpalił. – Jesteś blada. – Dotknął moich ramion. – I zimna jak lód. – Zaczął ściągać marynarkę.

– Moja ciotka miała wylew.

– Twoja ciotka?

– Byłyśmy sobie bliskie. Mieszkamy... mieszkałam u niej w Sydney.

Jones nagle stał się uprzejmy i życzliwy. Zaprowadził mnie pod rękę na kanapę, otworzył butelkę wina i nalał mi kieliszek.

– Jadłaś coś? – zapytał. Pokręciłam głową. Wszedł do kuchni i skorzystał z telefonu. – Jedzenie w drodze – powiedział, gdy wrócił. – No – rzekł, patrząc na mnie tak, jakby miał zaraz wyjaśnić jakieś skomplikowane pojęcie. – Nie masz jeszcze rezerwacji na samolot, prawda?

Znowu pokręciłam głową.

– W porządku – rzucił i włączył telewizor. Gapiłam się w ekran. Zmieniał kanały, dopóki nie pojawił się na nim czarno-biały film. Poszedł zatelefonować. Gdy po chwili wrócił, wręczył mi kartkę z zapisanym na niej adresem i paroma zestawami cyfr. – Rano możesz odebrać stamtąd bilet.

Spojrzałam na kartkę.

– To niedaleko – wyjaśnił.

Byłam skołowana, przez chwilę sądziłam, że miał na myśli Sydney.

– Och, chodzi ci o to miejsce – powiedziałam w końcu. Pod tym adresem, parę przecznic od mojego mieszkania, znajdowała się agencja

podróży. Zawsze pełno w niej było studentów. Cyfry na kartce oznaczały datę, godzinę i numer lotu, ale czytałam je, nie bardzo rozumiejąc, co znaczą.

Potem do drzwi dostarczono zamówione dania i zjadłam zupę z makaronem prosto z plastikowego pojemnika. Gdy skończyliśmy, Jones sprzątnął ze stołu. Telewizor był wciąż włączony, puszczał inny film, który niczym nie różnił się od poprzedniego.

– Jest jeden lot jutro, a następny dopiero w przyszłym tygodniu. Więc wylatujesz jutro – powiedział Jones. – A teraz chodź do łóżka.

Bałam się trochę, że będzie próbował wydobyć mnie ze stanu półobecności, w którym tkwiłam, ale chyba rozumiał, że szukam zapomnienia. Bo czy kiedykolwiek tak naprawdę było inaczej? – zastanawiałam się, wzdychając przeciągle, i to pytanie rozwiało się jak dym. Jones był surowy i powściągliwy. Zachodziłam w głowę, jak się objawia wstrząśnienie mózgu. Potem zmógł mnie sen.

*

Następnego ranka światło padało przez drzwi tarasu pod dziwnym kątem. Było za wcześnie. Gdy się zbudziłam, doskonale zdawałam sobie sprawę z tego, że Jenny doznała udaru. Nie zapomniałam ani na chwilę, nie miałam poczucia, że wiedza o tym powoli powraca. Po prostu tkwiła w mojej świadomości.

Marynarka Jonesa leżała na fotelu na drugim końcu sypialni, ciśnięta w taki sposób, że przekrzywione rękawy przywodziły na myśl ręce kogoś, kto upadł. Zdziwiło mnie to. Pewnie zapomniał ją zabrać, gdy wychodził w nocy. Zadzwieczał dzwonek. Wciągnęłam na siebie koszulę, wyszłam na korytarz i przycisnęłam guzik domofonu, mówiąc chrapliwym głosem „Dzień dobry”.

– To ja – odparł ktoś.

– Jones?

Cisza. Wpuściłam go do środka.

Wszedł z kawą i pączkami – sześcioma w pudełku z cienkiego kartonu. Wyjęłam mu je z dłoni, otworzyłam i wybrałam pączka w polewie czekoladowej. Smakował jak tort czekoladowy.

– Jesz najgorsze świństwo – powiedziałam z pełnymi ustami.

Uśmiechnął się szeroko i przestąpił próg mieszkania.

– Proszę bardzo. Dzień dobry.

– A co ty tu robisz? – zapytałam.

Nie odpowiedział. Stał w sypialni zwrócony twarzą do przeszklonych drzwi, odgarniając włosy do tyłu i pijąc kawę. Usiadłam na łóżku i żułam swojego pączka. Rozpinając guziki koszuli, Jones przyglądał się, jak jem.

– Dobrze – przyznałam.

– Wydawało mi się, że powiedziałaś, iż to najgorsze świństwo.

– Nie, smakuje mi. Dzięki.

– Hm.

*

Kiedy jakiś czas później wyszłam spod prysznic, z salonu dochodziły słowa Jonesa i Matta. Ubrałam się i poszłam do nich. Matt patrzył na Jonesa pełnym uwielbienia wzrokiem i z trudem skierował go na mnie.

– Powiedział ci? – zapytałam.

– O czym? – Matt szybko spojrzał z powrotem na swojego rozmówcę.

– Moja ciotka miała wylew. W Sydney. Dzisiaj wyjeżdżam.

– O Boże – westchnął i mnie objął. – Pomogę ci się spakować.

I możemy ustalić termin twojego powrotu. Nie waż się tam zostać.

Popatrzyłam na Jonesa, ale on unikał mojego spojrzenia.

– Idę – powiedział. – Nie zapomnij o bilecie. Twój lot jest dziś po południu.

Kartka ze wszystkimi szczegółami wciąż leżała na niskim stoliku. Jones przesunął ją palcem w moją stronę. Obaj z Mattem wymienili porozumiewawcze spojrzenia i skinienia głową wyrażające chęć dopilnowania, bym cała i zdrowa dotarła na lotnisko.

Odprowadziłam Jonesa do drzwi. Tulił mnie przez chwilę, po czym wsunął dłoń w moje mokre włosy i ścisnął niemal do bólu.

*

Spakowanie walizki nie zajęło mi dużo czasu. Gdy skończyłam,

zeszłam na parter i zapukałam do drzwi pani Bee. Wpuściła mnie za próg. Ujęła mnie serdecznie za rękę, spojrzała w oczy i powiedziała:

– Usiądź.

Napełniła czajnik wodą i postawiła na kuchence. Odgłosy jej krzątania przypomniały mi o Jenny i poczułam, że tracę wewnętrzny spokój.

Herbatę przyniosła jak zwykle na drewnianej tacy, którą z brzękiem porcelany postawiła na niskim stoliku. Wlała herbatę do dwóch filiżanek. Poczułam delikatny ziemisty aromat i wyobraziłam sobie herbaciany kwiat na łądzy świeżo wyciągniętej z ziemi, która przywarła do niciowatych korzeni. Czarne listki opadały na dno naczynia.

– Mężczyźni przynoszący pączki i kawę mogą być zwiastunem wielu rzeczy – powiedziała z uśmiechem. – Nie wiem, co to znaczy w twoim wypadku, ale wyglądasz, jakbyś doznała szoku.

– Moja ciocia miała wylew. W Sydney. – Przyglądałam dłonią włosy.

Pani Bee pokiwała powoli głową.

Piłam herbatę, czekając, aż coś powie. Ujrzałam swój przyjazd do tego miasta i swój rychły wyjazd spięte w nawias utraty jednej osoby i teraz niemalże drugiej. Żal po stracie Ingrid został ożywiony tym nowym smutkiem. Wiedziałam, że teraz się pogłębi i zmieni.

– Miała pani rację, twierdząc podczas mojej ostatniej wizyty, że poszukiwania dobiegają końca.

Pani Bee powiedziała to kilka dni wcześniej niezwykle konkretnie, przyglądając się fusom z mojej herbaty.

Uśmiechnęła się łagodnie.

– Wszystkie poszukiwania kończą się w taki czy inny sposób. Twoje też musiały się kiedyś zakończyć. Ale możesz do nich wrócić, jeżeli czujesz, że tutaj masz jeszcze czego szukać.

Sięgnęła po moją filiżankę, teraz już prawie pustą. Obróciłam ją machinalnym ruchem. Gdy postawiłam dnem do góry na spodku, wyciekły z niej resztki płynu. Gospodyni zajrzała niedbale do filiżanki i przechyliła ją, bym zobaczyła dno naczynia. Listki tworzyły nierówny krąg pęknięty w jednym miejscu. Spojrzałam jeszcze raz i zobaczyłam

klepsydrę lub obłok. Zamknęłam powieki i spostrzegłam brunatną przejrzystą rzekę, na której dnie spoczywały stare liście i gałęzie.

Otworzyłam oczy.

– Widziała to pani? – zapytałam.

Pani Bee odstawiła filiżankę na spodek.

– Czy gdy byłam tutaj ostatnim razem... dostrzegła to pani?

– Nie – odparła, patrząc mi w oczy. – Ale zastanów się. Co uczyniłabym z taką wiedzą, nawet gdybym ją miała?

Odchyliła się do tyłu na kanapie, a na jej twarzy pojawił się nowy wyraz – wyraz znużenia.

CZEŚĆ TRZECIA

Gdy wyciągałam książkę, wiedząc, że nie zacznę jej czytać od razu, lecz chcąc mieć pod ręką słowa, które mogłyby odwrócić moją uwagę od startu, samolot stał jeszcze na pasie. Wyjęcie książki wymagało przepakowania rzeczy pozostałych w torbie; woreczków w woreczkach; przedmiotów, na które patrzyłam teraz i trudno mi było sobie wyobrazić, że będą mi potrzebne. Co najmniej dziesięć długopisów. Po co włożyłam tu te wszystkie pokwitowania? Łyknęłam valium, z trudem zasunęłam zamek błyskawiczny i wetknęłam torbę pod fotel. Sąsiednie miejsce było jeszcze wolne. W fotelu przy przejściu siedział odziany w garnitur mężczyzna w średnim wieku. Gdy tylko usiadł, zdjął krawat i wcisnął go bezceremonialnie do siatkowej kieszeni fotela przed sobą. U dołu jego marynarki powstały pierwsze zagniecenia. Żadne z nas nie próbowało niczego położyć na fotelu między nami. Po chwili namysłu postanowiłam z tym poczekać.

Duża, niemal kwadratowa książka, powieść kryminalna z okładką, której dominującym elementem były wypukłe srebrne litery, leżała na moich kolanach. Pod okładką uwięzła koperta ze zdjęciami i teraz wzięłam ją do ręki. W ostatnich tygodniach kilka razy pożyczyłam od Matta aparat, lekkiego nikona, i dałam film do wywołania. Na kopercie z zakładu fotograficznego widniała scenka rodzajowa z ośnieżonymi alpejskimi szczytami i nienaturalnie przyciemnionym niebem.

Koła samolotu bardzo powoli poszły w ruch, odrzutowiec włókł się po pasie startowym. Wyjęłam fotografie z koperty i zaczęłam je uważnie oglądać. Pierwsza przedstawiała zdjęcie ze ściany w pokoju Fleur z odwróconą plecami Ingrid i młodą, umalowaną twarzą córki Greya. Ingrid wydawała się na tym zdjęciu bardzo silna i żywa. Coś w tym obrazie sprawiło, że pomyślałam o ciotce; pamiętałam, jak stała odwrócona do mnie plecami przy kuchence. Okna zasnuły się parą od gotującej się w czajniku wody, a światło lampy było miękkie, ja zaś czekałam przy stole, aż Jenny zaparzy herbatę. W tym wspomnieniu zawierała się tęsknota za domem i zastanawiałam się, czy takie chwile, gdy ona stoi przy kuchence i obie czekamy, kiedyś powrócą. Przełożyłam zdjęcie na spód pliku.

Następne było zdjęcie Ingrid, które wyjęłam z szuflady w pracowni Fleur i zapakowałam do koperty razem z własnymi fotografiami. Wyglądało na zrobione na Brooklyn Heights Promenade, szerokim pasażu biegnącym przez pół kilometra wzdłuż East River, z rzędami placów zabaw i rezydencji z widokiem na południowy kraniec Manhattanu. Za nią na drugim brzegu rzeki rozciągało się zamazane miasto. Fruwające luźne pasma włosów Ingrid tworzyły jasnozłotą koronę wokół jej głowy. Uniosła dłoń, żeby ochronić twarz przed słońcem lub odgarnąć włosy, zasłaniając przy tym jedno oko. Uśmiechała się jak Mona Lisa, skrywając zęby za miękkimi wargami. Sięgnęłam po następną fotografię, a samolot lekko przyśpieszył. Skupiłam uwagę na zdjęciach – ulic SoHo, mieszkania, klatki na ptaki na tarasie, dachów sąsiednich domów, panoramy miasta na horyzoncie, nieba – i wróciłam do oglądania promenady.

Tym razem ujrzałam na zdjęciu coś innego. Tak jakby zmienił się kąt widzenia. Być może ta zmiana wynikała z obejrzenia tuzina innych zdjęć, na których często widać było linię horyzontu, ale to pokazywało miasto za plecami Ingrid w nowy sposób. Gdzie dokładnie stała? Koła samolotu obracały się coraz prędszej i w miarę jak odrzutowiec nabierał szybkości, dostawałam coraz większego rozstroju żołądka. Teraz jednak to wrażenie wiązało się w równym stopniu z fotografią.

Próbowałam sobie wyobrazić, że znowu jestem na promenadzie: szeroki chodnik, roześmiani spacerowicze, ludzie siedzący na ławkach, rozłożyste drzewa rzucające cętkowane cienie na szarą ścieżkę, ryk autostrady, biegnącego poniżej monstrum. Staralam się odtworzyć, jak wyspa wyglądała z tego miejsca, na początku spaceru – tutaj ładny stary drapacz chmur, tam dach drugiego budynku przypominający kształtem piramidę schodkową, liny mostu opadające w kierunku przeciwnego brzegu. Ale gdzie dokładnie stała Ingrid? Usiłowałam sobie przypomnieć to miejsce. Niebo za nią było białoszare lub błękitne. Z rosnącym zdziwieniem uświadamiałam sobie, że jest puste. Nad schodkową linią horyzontu w śródmieściu palce wieżowców World Trade Center nie sięgały nieba. Nie było ich. Gdzie ona stała? Kiedy tam była?

Uśmiech nie schodził z jej twarzy. Nigdy jeszcze nie wydawał się

tak drwiący, tak tajemniczy, tak irytujący. Zdjęcie było mniejsze od pozostałych o centymetr z każdej strony. Zawsze przypuszczałam, że to Fleur jest jego autorką, ale teraz miałam wątpliwości. Samolot pędził już po pasie startowym, drżały ściany kadłuba. Stłumiłam chęć krzyknięcia: „Stać! Wypuście mnie!”. Pragnęłam pobiec przez terminal, dotrzeć aż na poddasze w SoHo i zapytać Fleur o tę fotografię – kiedy została zrobiona? Kto ją zrobił? Co przedstawia?

Spuściłam wzrok i spostrzegłam, że rozpięłam pas, gotowa wstać z fotela. Pomyślałam, że przecież nie mogę tego zrobić. Sprawa musiała poczekać do czasu rozmowy telefonicznej. Znowu zapięłam klamrę. Mężczyzna w fotelu przy przejściu zasnął i gdy samolot oderwał się od ziemi, głowa pochyliła mu się nienaturalnie.

Kiedy zbliżyliśmy się do chmur, zaczęły się turbulencje. Miasto, woda, kurczące się autostrady, budynki i wysepki powoli znikwały w dole. Przeniosłam wzrok z kwadratowego okienka na zdjęcie. Teraz kontury miasta za plecami Ingrid wydawały się mniej wyraźne, a perspektywa jeszcze mniej dokładna; lek, który zażyłam, dostał się do krwiobiegu.

Kilka rzędów przede mną krzyk dziecka zagłuszył mechaniczne brzęczenie silników samolotu cienką piskliwą nutą w tej samej tonacji. Po długiej minucie, w reakcji na niemal niedosłyszalny głos matki, przeszedł w szlochanie. Usłyszałam płaczące dziecko i wskutek chwilowej dyslokacji zastanawiałam się ze strachem, czy szloch nie wydobywa się przypadkiem z moich ust. Płacz nie ustawał. To chłopczyk czy dziewczynka? Otumanione przez valium zmysły odbierały wstrząsy samolotu niczym kołysanie wielką, niewidoczną ręką.

Mój brat Peter wyjechał po mnie na lotnisko ładnym czarnym samochodem.

– Dokąd mam cię zawieźć? – zapytał.

– Do domu. W Mosman. – Nazywanie tego miejsca domem jakoś nie wydawało się właściwe.

W połowie drogi z lotniska zaczęliśmy się przedzierać przez zatłoczone ulice.

– Jak się miewa Leonora? – zapytałam.

Peter od wielu miesięcy miał tajemny romans z jedną z lekarek w swoim szpitalu, kobietą na wysokim stanowisku. Utrzymywanie go w tajemnicy miało jakiś związek z ich stosunkami służbowymi; próbował mi to parę razy wyjaśnić, ale te wyjaśnienia nie wydawały się sensowne. Zrezygnowana Jenny odnosiła się do tej znajomości z milczącą dezaprobatą.

Peter wzruszył ramionami i udał, że skupia się na obserwacji sytuacji na drodze.

Podszedł ze mną do drzwi frontowych i gdy weszłam do mojego pokoju, został na werandzie. Dom wydawał się pusty niczym grobowiec i znowu pomyślałam o komorach w piramidach egipskich oraz tabliczkach z klątwami, nad którymi pracowała Ingrid. Maleńkie, zwinięte w rulon kawałki metalu, niektóre wetknięte pod język nieboszczyka. Czego wymagało ich odnalezienie – rozwierania starych kości?

Powietrze w moim pokoju było chłodne i nieruchome. Rzuciłam torbę na podłogę i poszłam do pracowni. Wypełniało ją światło słoneczne, przy którym Jenny lubiła pracować. Płótna opierały się o ścianę. Jedno stało na sztalugach w głębi pokoju. Stanowiło wielką plamę błękitu, kolorowe pasy przecięte białymi kreskami. Chmury; spienione fale. Jaskrawa biel wpadającego przez okno słonecznego światła w smudze na podłodze.

Coś we mnie odpowiedziało na długą białą linię przecinającą błękit – żalem, poczuciem winy, ulgą. Potem ta linia się cofnęła, rozplaszczona na powierzchni płótna.

Peter stanął przy drzwiach.

– W kuchni jest herbata – rzekł cicho. Garnitur wisiał na nim niezgrabnie. – Powinienem ją przynieść...

– Nie – przerwałam mu. – Przyjdę tam.

Wypiliśmy herbatę. Peter użył sitka, więc w filiżankach nie było liści, została ledwo widoczna smuga mokrych drobinek na dnie. Wstawił filiżanki do zlewu i zalał wodą.

*

Gdy jechaliśmy do szpitala, Peter przedstawił mi stan Jenny.

Powoli wracała do zdrowia – na razie jednak miała trudności z mówieniem i ograniczoną ruchliwość lewej strony ciała. Chodziła z trudem. Proces rehabilitacji będzie długi: dalszy pobyt w szpitalu, a potem wiele tygodni w przychodni rehabilitacyjnej. Gdy tylko mi to wyjaśnił, przez resztę drogi jechaliśmy w milczeniu. Zaparkował samochód i zaciągnąwszy hamulec ręczny, przed zgaszeniem silnika jakby się ocknął. Zerknął na mnie, po czym szybko odwrócił wzrok.

– Cholera! – mruknął. – Zapomniałem ci powiedzieć.

– O czym?

Westchnął krótko.

– Jest tutaj mama. Przepraszam, powinienem był o tym wspomnieć.

Teraz to ja z kolei westchnęłam. Peter przekręcił kluczyk w stacyjce i silnik zgasł.

*

Rachel, moja matka, czuwała przy łóżku w szpitalnym pokoju ciotki. Miała na sobie sukienkę ze szkarłatnej bawełny z brązowym nadrukiem w postaci małych pudełkowatych brył, przypominających zdeformowane znaki pisma Majów. Jej włosy były długie i proste. Czytała jakąś książkę i nosiła okulary w szkarłatnych oprawkach, których wcześniej nigdy nie widziałam. Gdy mój brat powiedział „Dzień dobry”, podniosła pośpiesznie wzrok i zdjęła je błyskawicznym ruchem. Wydawało się, że zniknęły w niewidocznej kieszeni jej sukienki.

Matka objęła mnie żyłastymi rękami, pochylając się tak, że nie dotknęła mnie resztą ciała.

– Julia. Jak miło z twojej strony, że przyleciałaś – powiedziała.

Wtedy poczułam do niej gwałtowną urazę. Nie było mnie zaledwie kilka tygodni, podczas gdy ona nie widziała się z siostrą od wielu lat. Peter spojrzął na mnie ostrzegawczo.

W szpitalnym łóżku otulona sztywną, wykrochmaloną pościelą Jenny wydawała się drobna i mała. Uśmiechnęła się do mnie połową twarzy. Obok niej leżały długopis i kołonotatnik.

Matka szybko wdała się z moim bratem w rozmowę o stanie ciotki i uwagach lekarzy z poprzedniego dnia.

– Przyleciałam najszybciej, jak tylko mogłam – wyjaśniłam Jenny. Ciotka podniosła długopis i powoli napisała: „Miło cię widzieć, J...”.

Zajęłam krzesło, na którym wcześniej siedziała matka. Jej książka – najnowszy odcinek poradnikowej serii, który obiecywał „Kurs czynienia cudów” – leżała teraz na stoliku nocnym.

W pokoju dominował wielki telewizor ustawiony wysoko w kącie, teraz wyłączony. Zza ścian docierały ciche dźwięki odbiorników w sąsiednich pokojach. Naprzeciw łóżka znajdowało się duże kwadratowe okno z napierającym nań z drugiej strony drzewem, którego ciemnozielone liście dotykały szyby.

Peter rozmawiał dalej z matką. Chwile ciszy między wymienianymi przez nich uwagami robiły się coraz dłuższe. W końcu Rachel podeszła do łóżka i współczująco pochyliła ku mnie głowę.

– Napijmy się kawy – zaproponowała.

– To ty pijesz kawę? – zdziwiłam się.

Zmarszczyła czoło.

– Cóż – odparła stanowczo – ja napiję się herbaty, a ty pij, na co tylko masz ochotę.

Uśmiech powrócił na jej oblicze.

*

Peter zszedł z nami do oświetlonej jarzeniówkami szpitalnej stołówki. Trzymając plastikowe tace wypełnione niesmacznymi – jak się okazało – ciastkami, przeszliśmy między stolikami i w końcu usiedliśmy koło okna. Peter zmiotł z blatu okruchy i starł małą kałużę brązowej cieczy, zapewne resztkę herbaty.

Przyglądał się uważnie Rachel, jakby był gotów w razie potrzeby odegrać rolę rozjemcy w naszej rozmowie. Matka wypila łyk miętowej herbaty i wyjaśniła, że zamierzała znowu przeprowadzić się do Sydney i że to idealny moment. Spojrzałam nerwowo na Petera.

Odchrząknął.

– Jenny przynajmniej z początku będzie potrzebowała dużego wsparcia – powiedziała matka. – Rehabilitacji. Kogoś, kto będzie przy niej.

– Gdzie się zatrzymałaś? – zapytałam.

Uśmiechnęła się.

– U dobrego znajomego. W Rozelle. Na razie. Niedługo Jenny wyjdzie ze szpitala. Wtedy się nią zajmiemy. – Z wyrazu jej twarzy wyczytałam, że dobry znajomy to ktoś więcej. Ale tajemniczość w tego rodzaju sprawach, nawet wobec nas, była dla niej typowa.

Przemilczałyśmy poważny problem – matka miała się przeprowadzić do domu w Mosman. Napotkałam wzrok Petera. Rozsiadł się na swym krześle, zerknął na zegarek. Włosy miał równie brązowe jak Rachel, proste jak moje, krótkie i źle obcięte nad uszami.

– Muszę lecieć.

Pozegnaliśmy się i mój brat odszedł szybkim krokiem, obciągając marynarkę. Zostałyśmy same i wydawało się, że obie czujemy się z tym równie nieswojo. Rachel ujęła kubek w dłonie. Rozmawiałyśmy tylko o niej: zrezygnowała ze sporządzania horoskopów oraz uzdrawiania kryształami i teraz była dyplomowaną terapeutką reiki. Miało to jakiś związek z energią promieniującą z dłoni. Wyjaśniła, że wszystko się dzieje w idealnym momencie – cóż za „zbieżność”, bo w centrum naturalnego uzdrawiania w Balmain istnieje możliwość zatrudnienia, którą właśnie bada. Pomysł, by udar ciotki stał się kolejnym elementem wyznawanego przez moją rodzicielkę poglądu na szczęśliwy traf lub coś, co nastąpiło w tak odpowiednim momencie, nie przypadł mi do gustu. Zastanawiałam się, jakie niepowodzenie na północnym wybrzeżu tak naprawdę skłoniło ją do tej przeprowadzki, jeżeli była to przeprowadzka, ale nie zapytałam.

Błękitne oczy Rachel, jaśniejsze od moich, w kolorze oczu Jenny, były obwiedzione niebieską kredką do powiek, która błyszczała metalicznie. Jej ręce powędrowały ku kawałkowi ametystu, który nosiła na zawieszonym na szyi sznurku, zaostrego na jednym końcu niczym krystaliczny kiel jakiegoś zwierzęcia. Kamień miał jakieś niepojęte dla mnie znaczenie mistyczne.

– Cieszę się, że mogliśmy trochę pogawędzić – powiedziała matka. – Widzę, że ty i Jenny jesteście silnie związane. To potężna więź.

Zamieszałam resztki herbaty w papierowym kubku. Sala stołówek zakołysała się pod moimi stopami. Rachel wyszła i pojechała do

Balmain, a ja wróciłam na górę do Jenny.

Kilka dni po tej pierwszej wizycie w szpitalu pojechałam do domu Ralpa. W oranżerii było cieplej niż kiedykolwiek. Aaron ciągle nosił sarong, tym razem z białą koszulą z długimi rękawami. Nalał mi brandy z sokiem z limonki i wodą sodową. Ralph siedział w tym samym miejscu i w tym samym fotelu, lecz wyglądał trochę pogodniej niż ostatnim razem. Jego czarną koszulę pamiętałam z Paryża. Przez chwilę pragnęłam ująć ją w dłonie, trzymając za mankiety, żeby muskać knykciami jego pierś, ale to pragnienie minęło, zastąpione zaskakującym wrażeniem spokoju.

Zapytał o Jenny. Nie chciałam o tym mówić.

– Jest tutaj moja matka – powiedziałam.

Ralph przybrał zatroskany wyraz twarzy i próbował zmienić temat.

– Widziałaś się z Markiem?

Pokręciłam głową.

– To naprawdę skończone – stwierdziłam stanowczo. – Nie było lepszego wyjścia. – Nasze rozstanie przed moim wyjazdem było spokojne i wręcz wzorowe, oboje byliśmy niemal zażenowani swoim emocjonalnym chłodem.

Ralph westchnął.

– Mówiłem, żebyś trzymała się z daleka od studentów filozofii.

– Mówiłeś. Dzięki za przestrożę.

Zagryzł wargę, uśmiechając się blado.

– No to gadaj – polecił głosem, w którym pobrzmiwał dawny ton.

Powiedziałam mu to, co mogłam: o Fleur i jej dramatach wideo z udziałem lalek oraz przyjęciach; o mieszkaniu w kolorze złamanej bieli pełnym dzieł sztuki; o pokoju Ingrid z szezlongiem i słoniami na toaletce (pomijając fakt, że jeden z nich jest nadal u mnie, w kieszeni walizki). O biurze Ingrid, jej badaniach, o tabliczkach z klątwami. O Trinh i jej wytwornej elegancji. Wiele z tej opowieści przyszło mi łatwo. Pominęłam postać Jonesa, stwierdzając jedynie, że wykładowcy podziwiali ją i lubili i że sami sprawiali wrażenie ludzi dość inteligentnych.

Ralph słuchał, przerywając mi tylko od czasu do czasu, żeby

poprosić o dodatkowe wyjaśnienia – o więcej informacji na temat wyglądu mieszkania, rozkładu pokoi, widoku z okien pokoju Ingrid.

Zdjęcie miałam przy sobie w torebce, nadal tkwiło w książce razem z pozostałymi. Zamierzałam pokazać je Ralphowi, ale tego nie zrobiłam. Światło wpadające przez szyby cechowała poranna bladość, było żółtawe od lamp w kątach pomieszczenia. Do oranżerii wszedł Aaron z butelką w ręce i zaczął spryskiwać rośliny, tworząc nad ciemnozielonymi liśćmi drobną mgiełkę.

– Coś przede mną ukrywasz – rzekł Ralph.

Zawahałam się i odparłam:

– Przespałam się z jednym z wykładowców Ingrid. – Była to pierwsza rzecz, która przyszła mi na myśl; nie chciałam rozmawiać o zdjęciu ani o wypisie ze szpitalnego oddziału pomocy doraźnej.

Miał lekko zawiedzioną minę. To naprawdę nie miało z nią nic wspólnego.

– Och. – Uniósł brwi, a jego oczy pobiegły najpierw w bok, a potem w stronę sufitu. – Jest przystojny?

– Tak sądzę.

To wzbudziło w nim większe zaniepokojenie.

– Zaczekaj... to ten Anglik?

– Tak.

– Myślisz, że ona...?

– Nie – przerwałam mu i pokręciłam głową. – Najwyraźniej nie. Na twarz Ralpha powrócił wyraz rozczarowania.

– Co masz teraz zamiar zrobić?

Wbiłam wzrok w ciemnoszarą podłogę.

– Jeżeli chcesz wrócić... – zaczął Ralph.

Spojrzałam na niego.

– Sama nie wiem.

– Cóż. Proszę bardzo, jeżeli na to właśnie masz ochotę.

Zastanawiałam się nad tym.

– Co ty tutaj robisz przez cały dzień?

Uśmiechnął się do mnie łagodnie, niemal spokojnie, lecz wokół jego oczu dostrzegłam zmarszczki napięcia.

– Znasz mnie przecież. Nieróbstwo dobrze mi wychodzi. Myślę, że

w przyszłym tygodniu znowu spróbuję poczytać Prousta.

Ingrid towarzyszyła nam w sposób, jakiego nie odczuwałam w Nowym Jorku – w bielonym pokoju, gdzie siedziałam z Greyem, właściwie w ogóle jej nie było, w swoim pokoju i w pracowni Fleur była jedynie zjawą, lecz tutaj, w domu w Kirribilli, jej obecność wycisnęła wyraźne piętno. Oczekiwałam niemal, że zobaczę jej białą sylwetkę za kotarą liści w głębi oranżerii. Rośliny szeleściły wokół mnie. Żyła też tutaj dla Ralpha. Wszelkie pozostawione przez nią ślady były ożywiane jego głębokim pragnieniem, nostalgią, którą się na swój sposób karmił. To oczywiste, że czyta Prousta, pomyślałam – w poszukiwaniu straconego czasu.

Aaron pojawił się u boku Ralpha z porcelanowym talerzem wypełnionym fiolkami z tabletkami, czterema lub pięcioma, oraz szklanką wody. Przyniósł ze sobą delikatny powiew chłodnego, ożywczego powietrza z innej części domu i zapragnęłam znaleźć się na zewnątrz.

Wstałam.

– Trafie do wyjścia.

Aaron przyjrzał mi się w milczeniu.

– Zadzwoń do mnie! – zawołał Ralph, gdy znalazłam się w korytarzu i ruszyłam ku drzwiom.

*

Wiosna w Sydney minęła jak we śnie, w odrętwieniu i ciepłe. Peter odwiedzał mnie i zawoził do Jenny do szpitala oraz ośrodka rehabilitacyjnego. Przynosiłam ze sobą powieści i czasem czytałam jej ich fragmenty lub wiersze Elizabeth Bishop, których zbiór trzymała przy łóżku.

Telefonowałam też do Ralpha, a on dzwonił do mnie; kontaktowaliśmy się tą drogą co tydzień, prowadząc krótkie rozmowy pełne długich pauz i powtórzeń. Na nowo pojawiła się w nich cząstka dawnej zażyłości; wydawało się, że bardzo powoli, po omacku odnajdujemy drogę powrotu do punktu, w którym moglibyśmy znowu normalnie rozmawiać.

Raz na jakiś czas moja matka wkraczała lekkim krokiem do domu

w Mosman w sukienkach z marnie drukowanych tkanin, legginsach i drogich sandałach. Ilekroć przychodziła, wypijała resztki herbaty lub dojadła bochenek chleba, ostatnie herbatniki bądź resztkę sera. „Przepraszam, kochanie – mówiła. – Następnym razem coś przyniosę”. Zrobiła to jeden jedyny raz, przynosząc panettone w popielatożółtym pudełku przewiązanym wstążką. Nie było jasne, jak właściwie się je otwiera, cienki karton wsuwał się w zagadkowy sposób w szczelinę biegnącą wokół dna. Mogłam sobie wyobrazić, że ciasto będzie smakować tak samo jak żółty karton. Nie skosztowałyśmy go i pudełko stało na kuchennym blacie, spychane z upływem dni coraz głębiej w kąt.

Jej wizyty nigdy nie trwały długo, chociaż wyczerpywały mnie tak, jakby za każdym razem zostawała na wiele godzin. Gdy wychodziła, padałam na kanapę i przez resztę popołudnia i cały wieczór gapiałam się w telewizor z głośm ustawionym na pełny regulator.

Pewnego ranka razem z pocztą przyszła do domu moja kartka, ta wysłana przeze mnie z Nowego Jorku. Moje pismo wciąż wyglądało niesamowicie. Kartka została pokiereszowana w drodze przez ocean, widać było kilka długich zagięć i niewielkie rozdarcie w rogu. Statuę Wolności pokrywał falisty czerwony stempel, a z wierzchu, na obrazie linii dachów na tle nieba i wieżowców, znajdowała się długa i cienka nalepka z wydrukowanym niezrozumiałym zestawem liczb. Kiedy próbowałam ją odkleić, odchodziła razem z papierem, więc zostawiłam ją tam, gdzie była.

Przy okazji następnej wizyty u Jenny zabrałam pocztówkę ze sobą i oparłam ją o dzbanek z kwiatami stojący obok łóżka. Włosy ciotki sięgały jej już poniżej ramion i zostały ściągnięte do tyłu klamerką. Miała na sobie lawendową koszulę z dekoltem w szpic i krótkimi rękawami, która wzbudziła we mnie nieprzyjemne wspomnienie ubrań noszonych przez pielęgniarki, z praktycznej, wykrochmalonej bawełny. Odwróciła się powoli od kwiatów oraz pocztówki i patrzyła na mnie z troską przez długą chwilę.

– Ta kartka przyszła przedwczoraj – wyjaśniłam. – Wysłałam ją tuż przed wylotem. – Opowiedziałam historię jej zakupu, rozsiadłam się wygodnie na krześle i mówiłam dalej.

*

Pewnego ranka w dzień powszedni ujrzałam na ulicy w Mosman, w miejscu, gdzie znajdowały się sklepy i bary,

Victorię, siostrę Ingrid. Stałam przed staroświeckim sklepem z wystawionymi na chodnik owocami w przechylonych pudłach i skrzynkach. Wyeksponowano w nich mandarynki tworzące woskowane jasnopomarańczowe sterty. Victoria wyszła z mieszczącej się obok apteki. Miała na sobie przypominającą halkę krótką czarną sukienkę, a na długich szczupłych nogach płaskie sandały z rzemyków, które plaskały o betonowy chodnik. Jej włosy przytrzymała opaska. Przez krótką chwilę nie byłam pewna, co zrobić, i dopiero gdy mnie minęła, wykrzyknęłam jej imię.

Zatrzymała się i spojrzała na mnie. Najwyraźniej mnie nie poznała. Duże okrągłe okulary przeciwsłoneczne skrywały jej oczy, a pokryte warstwą błyszczyka usta były bez wyrazu. Przez moment wydawało się, że uda, iż mnie nie zna, i odwróci się plecami; wtedy pomyślałam, że nie będę żałować. Ale podeszłam do niej bez namysłu.

– Jak się masz? – zapytałam.

Siostra Ingrid zagryzła wargę.

Nie widziałam jej od tamtej imprezy, przyjęcia ślubnego Ingrid i Greya na wodzie.

– Cześć. A co u ciebie? – odpowiedziała niechętnie.

– W porządku.

Victoria uniosła głowę wyzywająco. Trzymałam w dłoni mandarynkę; była zaskakująco lekka. Cytrusowa woń mieszała się ze spalinami silnika stojącego obok nas samochodu. Stałam w cieniu rzucającym przez markizę sklepu, a mocno opalona skóra Victorii błyszczała w pełnym słońcu. Przystąpiła z nogi na nogę, gotowa odejść.

– Właśnie wróciłam z Nowego Jorku.

– Słucham? – zdziwiła się, marszcząc nos w grymasie wyraźnej odrazy i niedowierzania. – A co tam robiłaś?

Oczu Victorii nie było widać za przyciemnionymi szklami. Żałowałam, że cokolwiek powiedziałam, że wykrzyknęłam jej imię.

– Och, po prostu przejeżdżałam. Spotkałam się z Greyem.

I z Fleur.

Victoria zastygła w bezruchu.

– Z obojgiem? – zapytała z zaciekawieniem.

Oderwałam foliową torbę z rolki obok skrzynki i zaczęłam ją wypełniać mandarynkami.

Victoria skrzyżowała ręce.

– Z kim jeszcze? Co tam robiłaś? – zapytała ponownie. W jej uszach lśniły dwa brylantowe kolczyki, a gdy opuściła ręce, na palcu zamigotał kolejny brylant: duży, misternie oszlifowany, w błyszczącej platynowej oprawie.

– Zareczyłaś się? – zapytałam.

Skinęła głową i zasznurowała wargi.

– Moje gratulacje. Zobaczysz się z Eve, póki jesteś w mieście?

Potwierdziła skinieniem głowy, zerkając nad moim ramieniem do wnętrza sklepu.

– Taak. Na niedzielnym lunchu. W jej mieszkaniu. – Nagle zmarszczyła czoło. – Będiesz tam?

– Tak mi przykro z powodu Ingrid, Victorio – powiedziałam.

Spojrzała na mnie z urazą, po czym złagodniała.

– W porządku. Dzięki. Do widzenia, Julio.

Gdy to mówiła, zadzwonił jej telefon, z wiszącej na ramieniu skórzanej torebki dobiegło melodyjne brzęczenie. Ponieważ nie odebrała od razu, pomyślałam, że ma zamiar zapytać mnie jeszcze o coś, potem jednak odwróciła się i sięgnęła po aparat. Przyglądałam się, jak odchodzi z telefonem przy uchu, poprawiając drugą ręką cienki skórzany pasek torebki. Kilka sklepów dalej przystanęła i nie przerywając rozmowy, obróciła się nieco, żeby na mnie spojrzeć, po czym ruszyła szybszym krokiem w głąb ulicy.

*

Keith odwiedził nas parę razy. Jego galeria nie zamierzała rezygnować z zaplanowanej wystawy obrazów Jenny. Gdy skończył sortować i pakować obrazy na płótnie lub papierze, przyszedł późnym popołudniem z butelką wina, żeby się ze mną napić. Wiosenne słońce służyło mu, dodając nowe ładne piegi do tych, które miał już na twarzy i rękach. Podczas drugiej wizyty rozlałam resztkę zawartości butelki

i właśnie miałam otworzyć następną, gdy zapytał:

– Nadal zamierzasz studiować na wydziale prawa?

Zmarszczyłam brwi.

– Nie wiem.

– Czy też wracasz do księgarni? Wiem, że Martin stęsknił się za tobą.

– Och.

Pochylił się ku mnie nad stołem.

– Nie musisz się śpieszyć, ale myślę, że poczujesz się lepiej, gdy... no wiesz... zrobisz coś z wolnym czasem.

– Poczuję się lepiej?

– Mniej przygnębiona.

Nie przyszło mi do głowy, że jestem przygnębiona, ale teraz wydawało się to oczywiste. Zastanawiałam się, czy powinnam się tym przejmować lub coś z tym zrobić. Była to chyba typowa oznaka przygnębienia.

– Przypuszczalnie masz rację.

– A może myślałaś o powrocie do Nowego Jorku? – Wypił łyk wina. – To wspaniałe miasto... wiem, że bardzo je lubisz.

Pomyślałam o mieszkaniu, Matcie i klatce dla ptaków na tarasie. Wyobrażenie tarasu przywiodło mi na myśl Jonesa. Odkąd wróciłam do Sydney, nie rozmawialiśmy. Pewnej nocy, o trzeciej lub czwartej nad ranem, zadzwieczał telefon i czułam, że to na pewno on. Słuchałam dzwonięcia i właśnie usiadłam na łóżku, zamierzając odebrać, gdy ucichło.

– Nie chcę opuszczać Jenny – odparłam.

– Wiesz przecież, że świetnie sobie radzi. Twoja matka często u niej bywa. Myślę, że doszło między nimi do pewnego... – Uśmiechnął się, szukając odpowiedniego słowa. – Zbliżenia?

– To chyba dobrze.

– Owszem.

Od czasu powrotu nie patrzyłam na zdjęcie Ingrid. Nadal tkwiło między kartkami książki, która leżała na półce szafy w moim pokoju. Podczas lotu odczuwałam tak silną potrzebę jego oglądania, a teraz zupełnie zanikła. Kilka razy bez powodzenia usiłowałam się dodzwonić

do Fleur i uznałam, że powinnam z nią porozmawiać, gdy się spotkamy, nie przestając zakładać, iż wrócę do Ameryki. Potem jednak była wizyta w szpitalu, spotkanie z matką, ciąg zdarzeń, które pod koniec pierwszego tygodnia zupełnie zmieniły stan mego umysłu. Otworzyło to nowe rany we wspomnieniach o Ingrid, tak że unikałam myślenia o niej.

Keith popatrzył na mnie i rzekł:

– Słyszałem, że Grey bardzo dobrze sobie radzi. Pojawiła się pogłoska, że ma zamiar rozstać się z Maeve, odejść z galerii, ale teraz chyba wszystko wróciło do normy.

Przybrał minę winowajcy, jak zawsze, gdy mówił o Greyu. Milczałam.

Gdy wyszedł, stałam w kuchni, patrząc na wiszący na ścianie kalendarz. Przedstawiał październik, miesiąc, w którym wróciłam do Sydney. Wiedziałam, że październik minął, nie byłam jednak pewna, czy jest listopad, czy to już grudzień. Musiałam się mocno zastanowić, żeby sobie uzmysłwić, jaki jest dzień tygodnia. Przerazałam samą siebie. Na zewnątrz bez przerwy padał deszcz, spływający z zadaszenia werandy. Noc była chłodna, lecz dzień ciepły. Wyglądało to na koniec listopada. Październikowe zdjęcie z kalendarza przedstawiało stary kościół gdzieś we Francji. Na listopadowym widniał francuski wiejski dom i morze barwnych kwiatów przed nim.

Wydawało się, że ten obraz nie pasuje do europejskiego listopada. Kwiaty z kalendarza przypominały szkarłatne kwiatki, które teraz pojawiały się wzdłuż ściany domu koło werandy.

Powróciwszy do swojego pokoju, spojrzałam na książki leżące na półce w szafie, powieść ze zdjęciem pod obwolutą oraz *Spojrzenia na trybut w późnym cesarstwie rzymskim*. Grzbiet książki Jonesa był jeszcze nowy i niepopękany. Otworzyłam ją teraz na jedynej stronie, której naprawdę się przyjrzałam – stronie tytułowej, gdzie tamtego popołudnia w swoim gabinecie wpisał mi dedykację. Mocno nachylone litery biegły równym sprintem przez stronę. „Julii – Twój Jones”. Była to najprostsza z dedykacji i nie wiedziałam, czy jest bezosobowa, czy serdeczna w swojej zwięzłości. Nic nie mówiła czy też była pełna niewypowiedzianych słów? Myślnik po moim imieniu był tak długi, że sprawiał wrażenie, iż wskazuje pustą przestrzeń, którą trzeba dopiero

wypełnić.

Zadzwiećzał telefon. Dzwonił Peter.

– Tylko się melduję – wyjaśnił.

– Przyszedł do mnie dzisiaj Keith – zaczęłam. – Twierdzi, że mama bywa u Jenny. I że dobrze się ze sobą dogadują.

– Owszem – odparł chyba zaskoczony tym, co powiedziałam, lub sytuacją; nie potrafiłam ocenić. – Myślałam, że o tym wiesz. Wydaje się, że mama wchodzi w swoim życiu w fazę odpowiedzialności. –

Roześmiał się ironicznie.

– Keith powiedział, że zbliżyły się do siebie.

– Sądzę, że można by tak to ująć. One w zasadzie nigdy się nie pokłóciły, nieprawdaż? Po prostu się nie dogadywały. Co nie znaczy, że są teraz przyjaciółkami. Ale tak będzie.

– Myślę o kolejnej podróży.

– Proszę bardzo, ja też tu jestem. Wiem, że Jenny bardzo lubi twoje towarzystwo, ale...

– To się nie powtórzy, prawda? Chodzi mi o wylew.

Peter ciężko westchnął.

– Jest możliwy, ale niezbyt prawdopodobny. Jeżeli tym właśnie się martwisz...

– Sama nie wiem, czym się martwię.

– Cóż, o to się nie martw. W tej sprawie i tak nic nie możesz zrobić.

Zapadła krótka cisza.

– Czy rozpaczasz z powodu kogoś w Ameryce? – zapytał niecierpliwie Peter. – Myślałam, że ucieczka od Marka wyjdzie ci na dobre... to do niczego nie prowadziło... ale wydaje się, że jest inaczej.

Westchnęłam. Peter wypytywał mnie o życie osobiste wyłącznie w takim kontekście, sporadycznie, działając pod wpływem chęci chronienia mnie przed niemądrymi odruchami. Wiedziałam lepiej od niego, że moje miłosne wybory są zawsze nietrafione.

– To takie autodestrukcyjne – zauważył.

Takie rozmowy toczyliśmy już wcześniej.

– Nic o tym nie wiesz – odparłam. – I wcale nie rozpaczam.

– Nie, bo to wymagałoby chyba prawdziwego zaangażowania.

- Gadaj zdrow. Czy dlatego mnie sprawdzasz?
 - Jesteś cholernie drażliwa.
 - Przepraszam.
 - Melduję się. Mówię tylko „cześć”. Pomyślałem, że będziesz chciała wiedzieć, iż Jenny dobrze sobie radzi. Jeżeli chcesz wstąpić, zjeść lunch, to będę tam w niedzielę.
 - Dobra.
 - Mamy nie będzie.
- Odetchnęłam z ulgą.
- W porządku.
 - Nie będę cię zamęczał o tego faceta, kimkolwiek jest. Możesz mi o tym opowiedzieć, jeśli chcesz.
 - Tak jakby – odparłam, ale moje rozdrażnienie zniknęło.

*

Nazajutrz rano ogród był zielony i odświeżony deszczem. Wyniosłam herbatę na werandę i usiadłam w fotelu. Obserwowałam, jak słońce przedziera się przez skrawki rzadkiej chmury. Z kuchni docierał dźwięk radia informującego mnie, jaki jest dzień i data. Wyjęłam słonika z walizki i teraz trzymałam go w dłoni. Z radia dowiedziałam się, która jest godzina: zbyt wczesna, bym mogła do kogokolwiek dzwonić. Poszłam do sklepu i kupiłam gazetę. Przyniosłam ją do domu i przeczytałam w cieniu. Słońce wzeszło wyżej. Zadzwoiłam do Ralpha. Odebrał jak zwykle Aaron, a Ralph dopiero po długim czasie dotarł do telefonu.

- Ralph? Chyba chcę wrócić do Nowego Jorku.
 - Dzięki Bogu. Wiedziałem, że w końcu to zrobisz. W Sydney zmieniasz się w trupa. Odpłacając mi pięknym za nadobne.
 - Nie zdawałam sobie sprawy, że jest aż tak źle.
 - Wiem. W porządku. Kiedy chcesz lecieć? Każę Aaronowi, żeby załatwił przelot.
 - W porządku... nie ma potrzeby...
 - Nie, Julio.
- Milczałam.
- Wracasz z jej powodu, prawda?

Znowu pomyślałam o zdjęciu, o zagadkowym uśmiechu Ingrid.

– Chyba tak. Jest jeszcze kilka rzeczy do zbadania.

– Pozwól, że zapłacę. Chcę, żebyś się czuła wobec mnie zobowiązana. W ten sposób będę miał prawo zmusić cię do informowania mnie o wszystkim.

– I tak wszystko ci powiem.

– Wiem, że tak naprawdę wracasz dla swojego okrutnie pięknego profesorka. Powodzenia.

– Och, on. – Staralam się, by zabrzmiało to obojętnie. Ale przyszła mi na myśl twarz Richarda pochylonego nad stołem, interpretującego mój charakter pisma.

– Także we wszystkim, co zmalowałaś. Aha, jutro zobaczę się z Victorią na lunchu. – Zaczął kaszleć i trwało to niepokojąco długo. – Przepraszam – rzekł w końcu wciąż ochrypłym głosem. – Chcesz przyjść?

– Żartujesz sobie?

– Cóż. Zadzwoiła do mnie wczoraj i powiedziała, że przypadkiem cię spotkała.

– W Mosman.

– Zaciekawiała ją twoja wizyta w Nowym Jorku.

– Zaręczyła się.

– Wiem... Eve mi powiedziała. Bogacz ze Złotego Wybrzeża, jakiś deweloper. Teraz wiemy, dlaczego nie przejęła się tym, że jej siostra stała się multimilionerką.

– Jesteśmy wobec niej zbyt surowi?

– Chyba tak. Tak. Nie. To smutne... teraz wszystko straciła. Wszystkich bliskich krewnych. Eve próbuje ją wesprzeć. – Przerwał i dodał z bólem: – Tak bardzo przypomina Ingrid.

Nie wiedziałam, czy zaraz powie, że uwielbia się z nią widywać, czy że tego nie znosi.

– Ale Ingrid nigdy o niej nie mówiła – zauważyłam.

– Nie, lecz były sobie bliskie na swój dziwaczny sposób.

Czyżby? Sądziłam, że Ralph powinien wiedzieć lepiej ode mnie.

Był koniec listopada. Mogłam polecieć w następnym tygodniu.

Aaron zarezerwował bilet.

Na nowojorskim lotnisku długo czekałam na taksówkę i podczas jazdy do miasta przedwieczorne niebo szybko zrobiło się ciemne. Kierowca przez całą drogę mówił do telefonu w nieznanym mi języku. Niektóre słowa brzmiały z hiszpańska. Wcisnęłam się w róg kanapy i gdy zmierzaliśmy w stronę Manhattanu, przyglądałam się mijanym budynkom na tle rozognionej masy nieba na horyzoncie.

Śródmiejskie ulice były dziwnie puste i przejechaliśmy wiele kwartałów, nie napotykając niemal żadnego samochodu, na zielonej fali. Gdy wysiadłam z taksówki, było zimno, kałuże brudnej wody zamarzły na chodniku. Okno mieszkania pani Bee było ciemne. W budynku także panował chłód; pod moją nieobecność zakradła się do niego zima. Wydawało się, że całe miasto zapadło w zimowy sen, zamykając się przed światem.

Mieszkanie było puste. Zajrzałam do wszystkich pokoi, ale po Matcie zaginął wszelki ślad. Pościel na jego łóżku była wymięta, leżały na nim trzy pary identycznie wyglądających dżinsów oraz szalik tworzący czarny zygzak na ciemnoczerwonej narzucie. W lodówce znalazłam kilka pojemników z jedzeniem na wynos sprzed wielu dni bądź tygodni. Mój pokój – tak o nim myślałam i wciąż czułam, że do mnie należy – sprawiał wrażenie pogrążonego w milczeniu i bardziej pustego niż przedtem. Rozsunęłam zasłony na drzwiach na taras, wdychając opadający z nich kurz. Na ogołoconym z pościeli łóżku leżał materac z paroma bladymi plamami na pikowanym pokrowcu. To miejsce tchnęło atmosferą opuszczenia i smutku.

Zajrzałam do jednej z szaf wnękowych w korytarzu, gdzie wiele tygodni wcześniej znalazłam buty; liczyłam na to, że zawiera jakąś pościel lub koce. Wciąż pełno w niej było płaszczy i zwiniętych w rulon dywanów. Przejrzałam płaszcze z myślą o zimnej nocy za oknem, lecz zamiast wziąć jeden z nich, pożyczyłam sobie szalik Matta.

Gdy pół godziny później wróciłam z sokiem pomarańczowym i pizzą, mieszkanie było tak samo puste. Wzięłam z kuchni szklankę i usiadłam przed telewizorem. Właśnie pokazywali *Przyjaciół*. Niebawem na ekranie pojawiła się jakaś reklama. Wyjęłam z torebki

książkę, tę ze zdjęciami w kopercie, obejrzałam je jeszcze raz i odłożyłam na stolik.

Zadzwoiłam do Ralpa. Aaron odebrał po kilku sygnałach. Byłam gotowa przekazać wiadomość, ale powiedział:

– Sprowadzę go.

Minęły długie sekundy, po czym usłyszałam głos Ralpa.

– Julio.

Chciałam powiedzieć: „Mów dalej. Powiedz coś, cokolwiek”. Ciszę wypełniła tęsknota, którą poczułam, kiedy widziałam go ostatnim razem w Sydney; pragnienie, by uchwycić palcami jego koszulę, wywołało gwałtowne bicie mego serca, które przecież miało się pogрузić w wiecznym śnie.

Uspokoiliam się, gdy tylko znowu usłyszałam jego zmęczony, wyczekujący głos.

– Jesteś tam?

– Jestem.

– W porządku.

Śmiech z telewizora.

– Tutaj jest już zima.

Nie zareagował.

– Chciałam tylko dać ci znać, że dotarłam na miejsce.

– Dzięki.

– Dobrze się czujesz?

– O tak. – Wyobraziłam sobie, jak się uśmiecha. – Cóż...

– Masz jakieś wieści od Victorii?

– Victorii?

Pomyślałam o jej długich nogach i napiętym grzbiecie, gdy tamtego dnia oddalała się szybko ode mnie na ulicy; o jej nieprzyjaznej reakcji na wiadomość, że byłam w Nowym Jorku.

– Od tamtego lunchu nie. Przypuszczam, że znowu smaży się w słońcu w Queenslandzie. Czemu pytasz?

– Nieważne. Zadzwonię znowu, później.

– Dobrze.

– Dobranoc.

– Właśnie. Dobranoc.

Poczułam niespokojne szarpnięcie w piersi i emocje opadły. Próbowałam jeszcze poczytać powieść, ale przy końcu rozdziału zapomniałam treści początku i musiałam zacząć od nowa; zrezygnowałam po dwóch próbach. Rozpoczął się kolejny odcinek *Przyjaciół*, a potem następny.

*

Obudziłam się na nagim materacu owinięta puchową narzutą Matta. Otumaniona tabletkami nasennymi dopiero po chwili sobie przypomniałam, że zabrałam ją, idąc spać. W sypialni było lodowato. Nie zauważyłam żadnych grzejników. Zamiast nich były otwory wentylacyjne, z których nie wydobywało się chyba wcale ciepło. Drżałam z zimna i pod prysznicem puściłam wodę tak gorącą, jaką tylko mogłam wytrzymać.

Gdy wysiadłam z metra w Brooklynie, był mglisty poranek. Idąc przez Brooklyn Heights wzdłuż Montague Street do Promenade, przystanąłam po drodze, żeby kupić kawę i pączki. Kawa miała delikatny posmak orzechów laskowych i mleka w proszku. Przeszłam promenadą na jej południowy koniec i usiadłam na ławce. Nianie i matki pchały w wózkach otulone kołderkami niemowlęta, z placów zabaw za moimi plecami dobiegały krzyki dzieci. Mijali mnie amatorzy joggingu. Na drugim końcu chodnika niewielka ekipa filmowa rozstawiała kamery i duże foliowe parasole. Osłoniłam oczy przed blaskiem słońca, wyciągnęłam kopertę i wyjęłam zdjęcie Ingrid. W mojej dłoni wydawało się bardzo małe. Spojrzałam przez East River na Manhattan, na kaskadowe bryły budynków. Lustrzane powierzchnie szklanych ścian budowli ukazywały zdeformowane kontury sąsiednich budynków, tworząc ich upiorne kopie.

Ingrid patrzyła na mnie z półuśmiechem. Przyjrzałam się uważniej jej ustom i wydało mi się, że na dolnej, nierównomiernie spuchniętej wardze dostrzegłam cień stłuczenia. Błękit oczu Ingrid był ledwie widoczny na zdjęciu, wszystkie kolory wyblakły. Dostrzegłam schodkową bryłę budynku za jej plecami i podniosłam wzrok, żeby go dopasować do widoku przede mną. Przypominał trochę dwa budynki. Próbowałam odtworzyć w pamięci położenie wieżowców World Trade

Center i zorientować je względem tych istniejących. Wydawało się, że powinny być tam, na zdjęciu, bez względu na to, który z oglądanych gmachów odpowiadał widocznemu na fotografii. Podeszłam do balustrady i ruszyłam promenadą, trzymając w dłoni fotografię, porównując ją z tym, co widziałam. Zanim opuściłam nabrzeże, niebo rozświetlił blask południa.

*

Przycisnęłam guzik obok nazwiska Fleur i czekałam. Nikt nie odpowiadał. Ponowiłam próbę. Wcześniej starałam się dodzwonić do niej z automatu w Brooklynie – bez powodzenia. Na końcu kwartału, w którym mieszkała, był telefon, ale w rozbitej słuchawce brakowało mikrofonu. Odsunęłam się od drzwi.

W sklepie na parterze budynku zmieniono wystawę, lecz nowa była równie dwuznaczna. W oknie stała aksamitna kanapa z otwartą książką na siedzeniu i parą butów na wysokich obcasach na podłodze z jednej strony. Sznurówki były rozwiązane, a prawy but przewrócił się na bok. Całą tę aranżację oświetlała wysoka lampa. Aksamitne kotary zasłaniały wnętrze sklepu, a tabliczka na drzwiach informowała: NIECZYNNE. Buty? Meble? Lampy? Dzieła sztuki? Może książki? – zastanawiałam się. Na kanapie leżała lornetka teatralna.

Nadeszło południe. Fleur pewnie była w szkole.

Poszłam coś zjeść. Parę godzin później z niewielką nadzieją znowu przycisnęłam guzik dzwonka. Raz, drugi. Lornetka zniknęła z kanapy na wystawie. Drzwi budynku otworzyły się z głośnym trzaskiem i pojawiła się w nich wynędzniała i obojętna twarz Fleur.

– Cześć – powiedziała. – Ten pieprzony domofon jest zepsuty. Kompletnie. Słyszałam cię, ale nie mogłam otworzyć drzwi z góry...

Jej pomalowane srebrną i czarną kredką oczy były jasnoszarzielone.

– Wejdz – dodała i przytrzymała skrzydło drzwi.

W korytarzu było ciepło. Fleur miała na sobie dzinsy i biały, zrobiony ścięciem warkoczowym gruby sweter, który sięgał jej do połowy ud. Zbyt długie rękawy swetra były podwinięte i podciągnięte do łokci. Nosiła uggi.

– Co to za sklep na parterze? – zapytałam w drodze na górę.
Fleur wzruszyła ramionami.

– Stale się zmienia. Myślę, że teraz sprzedają tam bieliznę.

– Podeszliśmy do drzwi mieszkania. – A może to nadal galeria. Sama już nie wiem.

Na poddaszu grała muzyka, a dwoje nastolatków, chłopak i dziewczyna, siedziało na poduchach i patrzyło w obiektyw kamery. Dziewczyna trzymała na kolanach jedną z lalek Fleur. Oboje mieli czarne włosy i paznokcie pomalowane czarnym, łuszczącym się lakierem.

– Cześć. – Pomachałam im na powitanie. Uśmiechnęli się w odpowiedzi.

– Pomagają mi w kręceniu – wyjaśniła Fleur. W kącie, gdzie ostatnio fotografowała lalki, stało parę wysokich lamp, które wyglądały tak, jakby tylko czekały na włączenie. Sztuczna murawa zniknęła i plan filmowy był pokryty włochatym dywanem na podłodze i łuszczącym się złotkiem na ścianach. Czarnowłosa dziewczyna uniosła lalkę i poruszyła jej rękami w górę i w dół w serii gestów, pokazując ją chłopakowi. Ten skinął głową, po czym zaczęli rozmawiać ściszymi poważnymi głosami.

– Więc jesteś – powiedziała Fleur. – Dość długo nie miałam od ciebie żadnych wieści.

– Byłam w Sydney.

– Rozumiem.

– Moja ciotka miała wylew.

– Boże, tak mi przykro. Tato wspominał o tym. To okropne.

Ciekawe, skąd wiedział – od Maeve – od Eve – od Ralpa...

– Dzięki. Teraz już sytuacja jest pod kontrolą.

– Wróciłaś więc tutaj, żeby od tego wszystkiego uciec?

– Chyba tak.

Fleur przez pewien czas obserwowała z założonymi rękami bawiących się lalką przyjaciół.

– Chciałam z tobą porozmawiać o tym zdjęciu.

Wyraz twarzy Fleur zmienił się na jego widok. Jej ręce pozostały skrzyżowane.

- To moje zdjęcie.
- Wiem... przepraszam.
- Cóż, dzięki, że je przyniosłaś z powrotem.
- Mogłabym... mam niewiele zdjęć Ingrid...

Fleur przyjrzała mi się bacznie, po czym przez chwilę patrzyła w podłogę, kalkulując. W końcu posłała mi stanowcze spojrzenie.

– Dobrze, na razie. Ale znajdę ci inne. To chciałabym odzyskać. Przyjdź za kilka dni, zobaczę, co mam u siebie. – Spojrzała na swoich przyjaciół, a potem znowu na mnie. – Chcesz tu posiedzieć? Mamy zamiar ustawiać sprzęt... nie wiem jednak, jeżeli chcesz, to mogłabyś mi pomóc przy lampach.

- Dzięki, Fleur, ale chciałam cię zapytać o to zdjęcie.
- O co chodzi? – odezwała się z ożywieniem.
- Właśnie byłam na promenadzie.

Fleur zmarszczyła czoło.

– Skąd je zrobiono? – dociekałam.

– Słusznie... promenada... dopiero co tam byłaś. O co chciałaś zapytać?

– Chodzi po prostu o to, że... nie mogłam ustalić... z jakiej perspektywy je zrobiono.

Fleur zerknęła na fotografię.

– Trudno powiedzieć.

Ponownie skrzyżowała ręce, po czym wyjęła papierosa z paczki na ławce za jej plecami oraz zapalniczkę z kieszeni. Miała szczupłe dłonie; dłonie ojca. Zapaliła i wypuściła dym z dala ode mnie.

– O co chodzi? – Posłała mi pytające spojrzenie. – Wyglądasz tak, jakbyś zobaczyła ducha.

– Ty je zrobiłaś?

– To zdjęcie? Taak.

– Szukałam tego miejsca... z którego mogło zostać zrobione... – Czułam, że zaczynam się powtarzać, nie będąc w stanie sformułować pytania.

– Czy to część twojej misji? Prześledzenie ostatnich kroków Ingrid? – Fleur przestała się uśmiechać. – To ja zrobiłam to zdjęcie. To było latem. Ingrid uwielbiała promenadę. Bardzo lubiła oglądać stamtąd

miasto. Lubiła chodzić na drugą stronę mostu Brooklyńskiego. Było tam miejsce, w którym chętnie kupowała muffinki. – Zaciągnęła się papierosem. – Sama nie wiem dlaczego. Na mnie nigdy nie robiły szczególnego wrażenia. Nieważne.

Znowu zerknęła na zdjęcie i przez chwilę myślałam, że ma zamiar wyjąć je z mojej dłoni. Czułam, że żałuje, iż zgodziła się mi je zostawić.

– Tam, na zdjęciu, nie ma wieżowców – powiedziałam.

– To z powodu perspektywy. Przecież to ja zrobiłam to zdjęcie.

– Tak właśnie myślałam. I dlatego tam poszłam. Żeby sprawdzić.

– Cóż, może powinnaś sprawdzić jeszcze raz. A może po prostu powinnaś znaleźć w życiu jakiś cel.

Popiół na czubku jej papierosa przybrał kształt długiego, zakrzywionego walca. Gdy Fleur znowu przemówiła, jej głos brzmiał łagodniej.

– Przepraszam. Widzę, że próbujesz się z tym uporać na własną rękę. Ale dla mnie to trochę denerwująca sprawa. Pozwolisz, że zmienimy temat?

– Jasne... oczywiście – odparłam.

Fleur podeszła do zlewu i strzepnęła do niego popiół.

– Wiem, co to znaczy, gdy czujesz taki smutek – powiedziała. – Wtedy nic nie ma sensu. – Widziałam z profilu jej twarz, zaciśnięte usta i nagle zrozumiałam źródło tego smutku. Tak naprawdę nigdy nie poznała swojej matki, a teraz Ingrid też odeszła.

– Przykro mi, Fleur.

– Nic się nie stało.

W tym momencie miałam wielką ochotę pogrzebać wszystkie moje wątpliwości co do tego zdjęcia. Wypytywanie Fleur wydało mi się rzeczą bezcelową i okrutną. Córka Greya podeszła do lamp i zdjęła z regału kamerę wideo, przyglądając się jej z uwagą. Jej przyjaciele popatrzyli na mnie podejrzliwie.

Fleur spojrzała w moją stronę.

– Zostań, jeśli chcesz – powiedziała obojętnie, pojednawczo. – Przydałaby mi się pomoc.

– Dobrze. – Powiesiłam płaszcz i torebkę na kołku koło drzwi, obok tuzina innych, obwieszonych zakietami, płaszczami i torebkami.

– Dzisiaj testujemy tylko oświetlenie – wyjaśniła. – Sprawdzamy, jak to wygląda z różnymi lalkami, jak prezentują się nowe dekoracje.

Lampy sporo ważyły. Zaciągnęłam jedną do miejsca, które Fleur zaznaczyła kredą na podłodze.

– Dobrze. – Przycisnęła przełącznik i plan utonął w powodzi światła.

Zostałam przez blisko godzinę, przyglądając się, jak Fleur oraz Eric i Erika ustawiali lalki w różnych kombinacjach i pozach. Fleur robiła zdjęcia i kręciła film. Pojawiły się lalki, których nie widziałam ostatnim razem, paru Kenów, w tym jeden nagi, z garniturem namalowanym na ciele, oraz trochę nowych lalek dziewczyn. W połowie sesji Fleur wyjęła z pudełka robota zabawkę. Dorównywał wysokością lalkom. Nakręciła go i obserwowała, jak drepcze po podłodze, kucając, żeby dokładnie widzieć jego ruch. Silniczek zabawki terkotał, mechaniczna twarz była pozbawiona wyrazu. Robot zatrzymał się, potrąciwszy ubraną w minispódniczkę Sindy. Fleur podniosła ją z podłogi i postawiła obok pozostałych lalek. Robota usadziła na brzegu krzesła stojącego w pobliżu planu. Z nogami zgiętymi w kolanach, jakby na coś czekał, wydawał się bardziej patetyczny i żywy niż lalki. Fleur stanęła w zadumie.

– Nie jestem jeszcze pewna, czy ten robot tu pasuje – zauważyła. – Problemem jest zaprojektowanie kostiumu.

Gdy musiałam wyjść i Fleur wyłączyła wielkie lampy, na pograżonym w mroku poddaszu świeciła się tylko jedna jarzeniówka, brzęcząca z przerwami nad kuchennym zlewem. Fleur włączyła niektóre światła.

– W porządku, Julio? – zapytała, taksując mnie wzrokiem.

– Tak. Do zobaczenia – odparłam. Czułam, jak odprowadza mnie spojrzeniem za próg mieszkania.

*

Rankiem następnego dnia, który wstał mglisty i zimny, wróciłam na promenadę. Tym razem wiedząc, jaki był stosunek Ingrid do tego miejsca, czułam się inaczej. W drodze ze stacji metra minęłam co najmniej siedem barów, w których sprzedawano muffinki,

i zatrzymałam się przy ostatnim przy końcu ulicy. Kupiłam kawę i muffinkę z jagodami, wybierając ją na chybił trafił.

Zdjęcie było w mojej torebce, wetknięte do książki. Usiadłam na ławce niedaleko miejsca, w którym byłam poprzedniego dnia, i wyjęłam książkę. Przebrnęłam przez kilka rozdziałów i ich treść była zrozumiała, choć wydawało się, że we wcześniejszej części pojawiła się istotna informacja, której nie zapamiętałam. Po wodzie płynęły łodzie, z autostrady biegnącej pod chodnikiem dobiegał warkot samochodów. Jakaś para ponuraków przystanęła w pobliżu, zrobili sobie nawzajem zdjęcia z Manhattanem w tle i poszli dalej.

Muffinka miała przeciętny smak. Spojrzałam na linię horyzontu. Nad głową przeleciał z hałasem helikopter. Trudno było wyczarować obraz Ingrid w towarzystwie Fleur w tym miejscu. Nigdy wcześniej nie widziałam ich razem i próbowałam sobie wyobrazić ich wspólne wycieczki. Kostka brukowa pod moimi stopami przypominała wzorem plaster miodu. Poszłam na koniec promenady i dotarłam do wejścia na kładkę biegnącą przez most Brooklyński. Już raz tędy spacerowałam. Było to przed wieloma laty, w ostatnich dniach przed wyjazdem z Nowego Jorku. Wielkie błękitne łuki mostu ujmowały budynki na drugim brzegu w ramę, śródmiejskie drapacze chmur iskrzyły się na tle nieba. Tamten dzień był upalny, lato dobiegało końca, most i ulice pachniały palącym się bitumem i śmieciami.

Idąc, miałam uczucie, że posuwam się pod prąd, wędrując po śladach w niewłaściwym kierunku. W połowie kładki odwróciłam się i spojrzałam na Brooklyn, balustrady, chodnik oraz drzewa na promenadzie i rezydencje z oknami wychodzącymi na Manhattan. Widok jasnowłosej postaci w czerwonym płaszczu sprawił, że nagle wstrzymałam oddech; była to tylko mała dziewczynka oparta o balustradę, obok stała jakaś kobieta, pewnie jej matka. Dziewczynka rozciągnęła ręce na poręczy, wsparła brodę na dłoniach. Obok mnie przeciskali się ludzie. Kładka była zatłoczona. Nigdy wcześniej nie miałam wrażenia, że brak Ingrid tak łatwo uzupełnić. Czy Ralph, a teraz i ja, musieliśmy dowiedzieć się czegoś więcej o jej życiu dlatego, że nie odnaleziono ciała? Byłoby inaczej, gdybym mogła pójść na jej grób lub popatrzeć na wypełnioną prochami urnę. Ale jej prochy w pewnym

sensie zostały rozrzucone właśnie tutaj; przypomniałam sobie pióropusz dymu i spalonych szczątków, które utworzyły łuk na niebie po zawaleniu się wieżowców, by rozwiać się w powietrzu i osiąść na ziemi, częściowo w Brooklynie. Jedyne grób, jaki można było odwiedzić, stanowiła ta dziura w śródmieściu. Poszłam dalej mostem i jak najszybciej zmieniłam kierunek marszu.

*

W mieszkaniu nadal było zimno. Myślałam już o tym, by ściągnąć pościel z łóżka Matta, gdy tuż za drzwiami jego sypialni ujrzałam kosz na bieliznę z ułożoną z wierzchu czystą pościelą. Zniosłam ją do mojego pokoju i usiadłam na łóżku.

Ogarnęło mnie zmęczenie, mdlący wpływ zmiany stref czasu. Położyłam się spać.

Kiedy obudziłam się po wielu godzinach, była noc. Słyszałam, jak Matt krząta się w kuchni, nucąc pod nosem, tak jak za pierwszym razem. Gdy przestąpiłam jej próg, objął mnie w półścisku z butelką w jednej i kieliszkiem w drugiej dłoni.

Nalał mi wina i zaczęliśmy rozmawiać. Sprawiał wrażenie spiętego i zatroskanego, słuchał jednym uchem, pił szybko. Gdy opróżnił kieliszek, spojrzął na zegarek i rzekł:

- Wychodzę.
- Baw się dobrze.

Nie miałam pojęcia, która jest godzina. Włączyłam telewizor. Znowu pokazywali *Przyjaciół*, dźwięk był ściszony. Tak by wyglądał czyściec, pomyślałam, albo piekło w którejś ze swoich postaci. Potem pokazano kolejny odcinek serialu i jeszcze jeden. I znowu obudziłam się na niezaścielonym łóżku. Wydawało mi się, że jest po południu; w każdym razie był już dzień.

Klatka dla ptaków nadal stała na tarasie. Wyszłam na zewnątrz w skarpetkach. Dzisiaj było cieplej, zniknął przejmujący chłód. Dzwonki zabrzczały delikatnie. Wetknęłam palce między kraty, ale nie dołąłam dosięgnąć małych huśtawek.

Matt dołączył do mnie z filiżankami kawy w dłoniach. Podał mi jedną i staliśmy, opierając się o krawędź balustrady.

– W pracy mam sporo roboty – rzekł, patrząc w dal ze zmarszczonym czołem. – W tym tygodniu w galerii będą wystawiane naprawdę skomplikowane dzieła. Artysta stale przyłazi i każe nam je przewieszać, przestawiać, po czym przychodzi kurator i ma być tak, jak było. To ciężkie rzeczy. Syf z malarią.

– Niedługo sama będę musiała pomyśleć o zdobyciu jakiejś pracy – powiedziałam. Wybrałam się w kolejną podróż, nie zastanawiając się zbyt nad tym, czy mnie na to stać; poprzedni pobyt w Nowym Jorku wyczerpał moje oszczędności niemal do cna.

– Naprawdę? – zdziwił się Matt.

– Cóż... – Zaczęłam się wycofywać. – W gruncie rzeczy nie jestem pewna, jak długo tym razem tu zostanę. Więc nie wiem. Może. Zerknął na mnie i przez chwilę przyglądał mi się badawczo.

– Jeden z tych artystów, następny, którego wystawiamy, chyba potrzebuje nowej asystentki. Obecna odchodzi.

– Dlaczego?

Matt zagryzł wargę i wzruszył lekko ramionami.

– Cóż, może – powiedziałam. – To znaczy dzięki, daj mi znać.

Popatrzył na mnie, marszcząc czoło.

– To wszystko było dla ciebie dość ciężką próbą, prawda? – Objął mnie ramieniem. – Mam nadzieję, że wkrótce zamkniesz ten rozdział – dodał. – Czyż nie tak właśnie się mówi?

– Tak sędzę – odparłam. – Tak właśnie się mówi.

– Ha!

– Taak.

Powróciwszy do pokoju, przeszukałam plik papierów w kieszeni wieka walizki. Wyciągnęłam komplet zbroszowanych kartek: książkę adresową studentów wydziału filologii klasycznej, którą pewnego popołudnia zabrałam z biurka Jonesa. Adres Ingrid, numer jej telefonu i adres e-mail wciąż w niej były. Przeglądałam wykazy, dopóki nie znalazłam nazwiska Trinh.

Dom, w którym mieszkała Trinh, okazał się starą czteropiętrową kamienicą z elewacją z brunatnego piaskowca. Wspięłam się na werandę i nacisnęłam dzwonek. W czarnej plastikowej kratce głośnika rozległ się jej głos:

– Tak?

– Julia.

Czekałam – dwie, trzy, cztery, pięć sekund – po czym zamek otworzył się z brzękiem i drzwi drgnęły. Mieszkanie Trinh znajdowało się na najwyższym piętrze. Moje kroki odbijały się głuchym echem na klatce schodowej. Trinh uchyliła drzwi, ciężki prostokąt ze stali, i przez sekundę trzymała je w tej pozycji, patrząc na mnie, a potem cofnęła się, żeby mnie wpuścić do środka. Miała bladą twarz. Jedno jej oko było brązowe, drugie plastikowoniebieskie. Spostrzegła, że patrzę to na jedno, to na drugie.

– Właśnie wyciągałam szkła kontaktowe – wyjaśniła. – Więc wróciłaś. Siadaj. – Zaprowadziła mnie do stolika w pokoju, który spełniał funkcję kuchni i salonu. Usiadłam. – Za chwilę wrócę. – Trinh miała na sobie długi biały podkoszulek, paznokcie jej bosych stóp były pomalowane na srebrno. Po jednej nodze wiło się wytatuowane stylizowane pnącze z liśćmi w kształcie serca.

Spojrzałam na czarny czajnik stojący na kuchence naprzeciw mnie i zapragnęłam napić się herbaty. W oknie wisiały opuszczone do połowy żaluzje z cienkich listew. Na stole obok leksykonu greki w czarnej oprawie leżały kamienie ułożone w niedokończonej grze w madżonga. Wazon z gałązkami szkarłatnych frezji stał na regale pod przeciwległą ścianą, obok kanapy. Wszystkie pozostałe powierzchnie były puste. Metalowy grzejnik na ścianie za moimi plecami brzęczał cicho, emitując ciepło.

Trinh wróciła do salonu z obojgiem oczu w kolorze brązu, w okularach w drucianych oprawkach i czarnej elastycznej spódnicy. W dłoniach trzymała dużą szarą kopertę, rekwizyt znany mi ze wszystkich obejrzanych filmów *noir*. W środku takiej koperty zawsze znajdowały się zdjęcia, ewidentny dowód szantażu.

Ani słowem nie wyjaśniłam jej powodu swojej wizyty. Nie wypowiedziałam ani jednego słowa.

– Miło cię widzieć – odezwała się z uśmiechem. Jej twarz bez makijażu sprawiała wrażenie nagiej. Spojrzałam na kopertę leżącą teraz na stole między nami.

Trinh westchnęła.

– Chyba powinnam była ci je dać, gdy byłaś tutaj poprzednim razem. – Wstała, zdjęła z kredensu dwie szklanki i nalała nam do nich wody z dzbanka wyjętego z lodówki. – Przyszło mi to do głowy dopiero po twojej pierwszej wizycie na wydziale. Potem było to pudło, a później pomyślałam o nich, nie wiedząc, co będziesz chciała z nimi zrobić.

Żadna z nas nie tknęła wody.

– Proszę, obejrzyj, jeśli chcesz. To ostatnia rzecz, jaką muszę ci dać. – Trinh znowu wstała i wylała swoją wodę do zlewu, zostawiając w nim szklankę. – Przyjechałaś tu w sprawie Ingrid, prawda?

– Tak – odparłam. – Tak przypuszczam.

Nie miałam ochoty otwierać koperty, podobnie jak wcześniej pudła. Trinh podniosła ją i wyjęła jakieś papiery – rysunki węglem, obrazki namalowane na grubym papierze oraz kilka zdjęć.

Rysunki nie były nowe – trudno mi było ocenić ich wiek. Papier żółkł. Jeden, niemal abstrakcyjny, przedstawiał patykowate drzewo nakreślone oszczędnymi, prostymi kreskami. Pierwszy malunek wyglądał znajomo: szkarłatne i białe linie, niektóre nierównomiernie szrafowane. Drugi rozpoznałam od razu. Przedstawiał kilka kolorowych brył z niewyraźną plamą pastelowych warstw w jednym rogu, ale w oczy rzucała się największa: czerwony, prymitywnie namalowany trójkąt, nieco przesunięty względem środka, z białym cieniem farby z tyłu. Papier odkształcił się w kontakcie z moką farbą.

– Czy to dawne rysunki Fleur? – zapytałam.

Trinh się zawahała.

– Nie – odparła. – Nie sędzę.

Patrzyłam na zdjęcia. Pierwsze też wyglądało znajomo. Rozpoznałam na nim natychmiast twarz osoby, którą wcześniej ujrzałam prawie w takiej samej pozie w gabinecie Greya, sfotografowaną w tym samym pokoju, w tym samym atelier; wtedy była częściowo odwrócona

i trudniejsza do rozpoznania. To zdjęcie różniło się głębią ostrości od fotografii stojącej u niego na półce i teraz wyraźniej widziałam obrazy przybite do ściany za plecami Maeve oraz płótno na sztalugach. Patykowate drzewa; prymitywnie namalowane kwadraty; trójkąt. Na tym zdjęciu patrzyła prosto w obiektyw, jej spojrzenie wyrażało zażyłość z fotografującym. Pasma siwych włosów widać było nawet na tej wówczas znacznie młodszej głowie. Wyglądała najwyżej na dwadzieścia parę lat.

Następne zdjęcie zrobiono z innej perspektywy, ale w tym samym pokoju. Znalazło się na nim głęboko osadzone okno z częściowo zaciągniętymi cienkimi zasłonami i niskim parapetem służącym za ławeczkę. Siedział na nim jakiś mężczyzna, którego ciemna sylwetka na jaskrawym tle widoczna była niemal wyłącznie w zarysie. Sposób skrzyżowania nóg w kolanach i rąk na piersi, szczupłość jego ciała oraz papieros w dłoni przypomniały mi na moment Ralpa i wtedy poczułam w sercu skurcz. Znałam te dłonie, ale nie były to dłonie Ralpa. Miałam wrażenie, że krew odpływa pośpiesznie z powierzchni mego ciała do wewnątrz, tak jak zdarzało się na zimnym powietrzu.

Trinh zapaliła reflektory zainstalowane we wnęce pod szafkami kuchennymi. Za oknem zapadła noc. W pokoju zrobiło się bardzo cicho. Zauważyła to chyba w tym samym momencie, bo włączyła radio stojące na kuchennym blacie. Z odbiornika dobiegły ciche, niemal atonalne dźwięki jazzu. Trąbka, śpieszący jej z odpowiedzią fortepian.

Miałam kilka pytań w sprawie zawartości koperty, nie liczyłam jednak na to, że Trinh zdoła lub zechce odpowiedzieć na wiele z nich. Rozsiadła się wygodnie w fotelu.

Zaczęłam od pytań, na które musiała znać odpowiedź.

– Kiedy je dostałaś?

Trinh zapaliła powoli papierosa i wypuściła dym.

– Pod koniec lata ubiegłego roku. Wtedy rzadko się widywałyśmy... rzadko się pojawiała... już o tym mówiłam. W każdym razie pewnego dnia przyszła tutaj. Właśnie szykowałam się do pracy. – Odetchnęła. – Była lekko wzburzona. I miała złamaną rękę... pamiętasz, widziałas wypis z oddziału pomocy doraźnej. Drugi raz. Przyszła więc i siedziałyśmy przez chwilę, zaparzyłam kawę. Wydawało się to trochę

dziwne... Nie miała zwyczaju tego robić, wpadać bez uprzedzenia... zwykle wychodziłyśmy na drinka, ale tak naprawdę nie była to przyjaźń tego rodzaju. Musiałam iść do pracy. Sądziłam, że już się rozmyśliła, po czym tuż przed wyjściem wyciągnęła to z torebki i dała mi.

– Co o tym mówiła?

Trinh zastanawiała się przez chwilę.

– Powiedziała, że ma pewne dokumenty, które chce trzymać w bezpiecznym miejscu, i poprosiła, bym przechowała je przez pewien czas. Myślę, że wiedziała, jak dziwnie to zabrzmiało, i była trochę zażenowana. – Zmarszczyła czoło. – Znasz... to znaczy znałaś ją... nie traciła zimnej krwi, prawda?

– Owszem.

– Zapytałam, czy myślała o wynajęciu skrytki w banku... czy to nie jest właściwy pomysł... i usłyszałam, że przymierza się do tego. W tej kwestii wyrażała się niezbyt jasno.

Zgasiła papierosa w okrągłej porcelanowej popielniczce.

– Słuchaj, wiem, że to zabrzmiało dziwnie, ale przez parę tygodni po tym, jak mieliśmy tutaj włamanie, nawet nie zaglądałam do tej koperty. Pamiętam też, że pomyślałam, iż jak na ironię, Ingrid zostawiła te dokumenty u mnie i nie umieściła ich w skrytce bankowej, a tu proszę, padliśmy ofiarą włamywaczy. Niewiele było do zabrania... cóż, miałam jednak fajną aparaturę stereo, która zniknęła... ale poza tym niczego nie zabrali... narobili tylko bałaganu. Mam niewiele biżuterii i tego typu rzeczy. – Uśmiechnęła się cierpko. – Tego, co mam, nie potrzebowali, nie interesowały ich moje buty. Ich kradzież uderzyłaby mnie po kieszeni. Tak czy owak, to było po włamaniu, zaledwie parę dni później. Wypakowywałam rzeczy z torebki i była w niej ta koperta. Pewnie zabrałam ją z innymi teczkami z mojego biurka i Bóg jeden wie, jak długo leżała w torebce. Wtedy właśnie do niej zajrzałam.

Podniosła paczkę papierosów i odłożyła ją na miejsce.

– Ingrid nie prosiła mnie, bym ją otwierała, więc paskudnie się czułam.

– Co sobie pomyślałaś, gdy je zobaczyłaś... o co w tym wszystkim według ciebie chodziło?

– Nie chciałam o tym myśleć – odparła kategorycznie Trinh. – Jak

powiedziałam, trochę paskudnie się z tym czułam. Gdyby chciała mi powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi, zrobiłaby to. Nie utrzymywałyśmy aż tak bliskich stosunków. To była sprawa prywatna. – Spojrzała na mnie. – Cokolwiek zaszło... między nią a Gilem... o cokolwiek chodzi... to była jej prywatna sprawa. Wszyscy mamy swoje sekrety, swoje problemy, sprawy, które chcemy zachować dla siebie. Wiele takich sytuacji, spraw, które ludzie zazwyczaj zachowują w tajemnicy, widzę w mojej pracy. Przywykłam po prostu do... odsuwania ich od siebie.

– Ale pokazujesz je mnie.

Trinh pochyliła się do przodu, po czym znowu opadła na oparcie.

– Teraz to wszystko skończone – odparła. – Nie chcę mieć tych... rzeczy dłużej u siebie.

– Ale czemu dajesz je mnie? Czemu nie oddałaś ich Greyowi?

Trinh niemal prychnęła.

– Nie musisz mnie o to pytać. Sama potrafisz do tego dojść.

– Nie.

– Słuchaj... sama nie wiem. Nie chcę tego dać Gilowi. Jeśli ty chcesz mu to oddać, w porządku, to przypuszczalnie w pewnym sensie jego własność. Ale jeżeli to zrobisz, nie mów mu, że dostałaś to ode mnie.

– Nie oddam mu tego.

– Mówię poważnie. – Jej głos brzmiał teraz surowo. – Naprawdę. Nie chcę, żeby wiedział, że otrzymałaś to ode mnie. Gdy to zabierzesz, jeśli chodzi o mnie, nie miałam tej koperty, a ty znalazłaś ją w gabinecie Ingrid. Nie żartuję.

– Nie mam zamiaru mu jej oddawać.

– W porządku.

Westchnęła gwałtownie.

– Boisz się go – zauważyłam.

Trinh wbiła wzrok w róg sufitu. Pomyślałam o oziębłości Greya, o wrazeniu pełnej samokontroli, które stwarzał i które chyba chciał ukryć. Zastanawiałam się przez jedną szaloną chwilę, czy mógł być jej klientem. Albo klientem z drugiej strony układu, tym, który płacił za prawo trzymania pejcza. Chyba lepiej pasował do tej roli. Było to jednak

mało prawdopodobne, wiedziałam też, że Trinh nigdy mi nie powie, czy to prawda.

– Trinh...

– Julio – przerwała mi. – To przerażający człowiek. Poznałam go i dobrze wiedziałam, jaka jest sytuacja Ingrid. Cokolwiek jednak działo się między nimi... było, jak już mówiłam, ich prywatną sprawą. Gdyby Ingrid chciała, żebym wiedziała, toby mi powiedziała. Tylko dlaczego miałyby mi o tym mówić?

– A dlaczego ci to dała?

Trinh zastanawiała się nad moim pytaniem. Prawdopodobnie nie mogła dać na nie pełnej odpowiedzi.

– Wiedziała, że nie zadaję pytań i potrafię dochować tajemnicy. Być może nie jest to odpowiedź na twoje pytanie, ale tak czy inaczej to prawda.

– Grey pytał kiedyś, czy masz tę kopertę?

– Niezupełnie.

– W porządku... pytał, czy masz cokolwiek, co należało do Ingrid?

– Dałam mu wszystko, co wedle naszej wiedzy znajdowało się w jej gabinecie... mówiłam ci, że pudło, które ode mnie dostałaś, znaleźliśmy później, a nie byłam w nastroju do kolejnych kontaktów z Greyem.

– Nie dawałam za wygraną.

– Czy wiedział, że Ingrid to ma? Czy tego szukał?

– Nie mogę ci powiedzieć. To znaczy nie wiem.

– Dlaczego mi to dajesz?

– Już ci powiedziałam... nie chcę tego dłużej trzymać u siebie. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Zrób z tym, co tylko chcesz. Na twoim miejscu bym to spaliła.

– Sama mogłaś to zrobić.

– Cóż, oszczędzisz mi tego kłopotu, nieprawdaż? – odparła z uśmiechem.

Papier w mojej dłoni był sztywny od wyschniętej farby, miałam wrażenie, że mógłby się rozpaść pod byle naciskiem. Poczułam straszny smutek i ucisk w krtani.

– Posłuchaj, Julio – powiedziała spokojnie Trinh. – Zastanów się

dobrze, co chcesz z tym zrobić. Wcale nie żartuję, gdy mówię, że najlepiej byłoby to schować, pozbyć się tego. Lubię cię. I lubiłam Ingrid. I bardzo mi przykro z powodu tego, co się z nią stało.

– Była nieszczęśliwa, prawda? – W gruncie rzeczy nie było to pytanie.

– Była, jak wszyscy. – Trinh westchnęła, w jej głosie pobrzmiwało rozdrażnienie. – Ale dla niej brak szczęścia był chyba największą życiową niesprawiedliwością. – Pokręciła głową. – Jak już mówiłam, lubiłam ją. Nikt nie zasłużył sobie na to, by być aż tak nieszczęśliwy. Pod koniec Ingrid była naprawdę w opłakanym stanie... w każdym razie tak uważałam. Wydawało się, że ma tak wielkie... – Zawahała się. – Możliwości? Na początku. To było wzruszające. Ingrid chyba bardziej niż ktokolwiek inny była zaszokowana tym, jak to wszystko się ułożyło.

Zastanawiałam się, jak dużo Trinh rzeczywiście wiedziała i przeczuwała – prawdopodobnie wszystko, o ile tylko chciała wiedzieć, ale tego nie byłam pewna. Skrzyżowała ręce i wyglądało na to, że skończyła rozmowę. Zgarnęłam rysunki, malunki oraz zdjęcia, wyrównałam ich brzegi, stukając o blat stołu, i wsunęłam z powrotem do koperty. Ledwie się zmieściła do mojej torebki.

– Przemyśl to, proszę – powiedziałam.

Trinh spojrzała na mnie.

– Co?

– To, żeby mi powiedzieć. O tym, o czym mi nie mówisz.

– Czekałam na jej reakcję.

– Słuchaj, zaufałam ci przecież – przypomniała.

– Nie powiem Greyowi, że mam je od ciebie. Obiecuję.

– W porządku.

Odprowadziła mnie do drzwi.

– Decyzja należy do ciebie, ale myślę, że pójście z tym do Gila byłoby zupełnym szaleństwem. Zrób, co chcesz, żeby pozbierać jej rzeczy, zakończyć tę sprawę, ale jego zostaw w spokoju.

Uniosła rękę ku drzwiom, ukazując siateczkę czarnych linii. Po raz pierwszy zadałam sobie pytanie, czy zrobienie tego tatuażu było bolesne. Jasne, że tak – delikatna skóra u dołu jej przedramion

wyglądała na napiętą i cienką.

– Wybierzmy się na drinka – zaproponowała. – Wiesz, gdzie mnie znaleźć. O ile zgodzisz się nie rozmawiać na ten temat. – Przesunęła bosą stopę, opierając ją lekko na drugiej. – Chciałabym nadrobić zaległości – wyjaśniła.

Stałam w progu. W korytarzu unosił się zapach wypiekanego chleba.

– Dobrze. Byłoby świetnie.

– Trzymaj się.

Dopiero gdy byłam u dołu schodów, usłyszałam trzask zamykających się drzwi.

*

Nawet o tak późnej porze wagon metra był prawie pełny. Stojąc, trzymałam się zwisającego z wysokiej poręczy uchwyty i na myśl o zawartości mojej torebki czułam coraz większy mętlik w głowie. Gdy dotarłam do budynku, w oknie pani Bee paliło się światło. Miałam zamiar zapukać do jej drzwi, ale się rozmyśliłam. W mieszkaniu na górze panowała ciemność, zapaliłam światło i postawiłam torebkę tuż za progiem. W kuchni pachniało zwietrzałą kawą, w zlewie leżała góra szklanek. Zadzwieczył dzwonek.

Przycisnęłam guzik domofonu i zapytałam:

– Halo?

– Cześć. – To był głos Jonesa.

– Co cię tu sprowadza?

– Zaproś mnie na górę, to ci powiem.

Szybko dotarł na piętro i ledwie zamknęły się drzwi, nim się spostrzegłam, wylądowaliśmy najpierw na nieobleczonym materacu, a potem na podłodze.

– Cóż zatem cię tu sprowadza? – zapytałam potem.

– Czy to nie oczywiste?

– Chodzi mi o to, skąd wiedziałeś, że wróciłam.

– Rozmawiałem z Trinh – odparł. – I byłem w okolicy.

Przejeżdżałem. Mam dobre wycucie czasu.

– Dobre wycucie czasu – powtórzyłam za nim.

– Warunki trochę... spartańskie, prawda? – zapytał, patrząc na łóżko.

Od leżenia na podłodze zeszywniał mi kręgosłup. Usiadłam.

– Właśnie weszłam.

– Jesteś głodna?

– Przecież wiesz.

Naciągnął na siebie ubranie i wyszedł z pokoju. Pomyślałam o torebce pozostawionej przy drzwiach mieszkania i tekturowym pudle pod komodą. Zastanawiałam się, co powiedziała mu Trinh, i czekałam, aż zapyta o kopertę. Nie zrobił tego.

Zjedliśmy chińszczyznę, którą wyjął z pojemników na talerze. Gdy już sobie poszedł, wyciągnęłam kopertę z torebki i włożyłam ją do drugiej szuflady w komodzie, a następnie zaczęłam układać na niej rzeczy wypakowane z walizki: bieliznę, koszule, dzinsy. Posłałam łóżko prześcieradłami z kosza na bieliznę i się położyłam. Pościel pachniała deszczem oraz farbą i przypominała mi paryski hotel.

Rano koperta leżała na swoim miejscu, na dnie szuflady – żółta i nieopisana. Po trosze oczekiwałam, że zniknie, po trosze liczyłam na to, że to sen, lecz ona nadal tam była.

*

Kilka następnych dni spędziłam, wychodząc na kawę, wędrując do księgarni w dole ulicy, kupując jakąś powieść lub czasopismo, czytając je na kanapie, wychodząc po kolejną porcję jedzenia, czytając, śpiąc i pozwalając, by myśli o kopercie przemijały w tej części mojego umysłu, którą wyparłam ze świadomości. Peter zadzwonił z informacjami o Jenny – a w rzeczywistości po to tylko, by mi powiedzieć, że jej stan zgodnie z oczekiwaniami się poprawia. Matt wpadał i znikał, stale w pośpiechu.

– Kolejne kłopoty ze ślimakami? – zapytałam pewnego wieczoru, gdy przyszedł z udręczoną miną, zabrał coś pośpiesznie ze swojego pokoju i znowu ruszył do drzwi.

– Nie – odparł. – Żałuję. To ci pieprzeni artyści.

Nie byłam pewna, czy w ogóle sypia w mieszkaniu.

Jones wrócił o tej samej mniej więcej porze następnego i kolejnego

wieczoru i później wyszliśmy na drinka do Lilac.

– Masz mnie na oku? – zapytałam, gdy szliśmy do śródmieścia. Posłał mi pytające, krytyczne spojrzenie.

– O czym ty mówisz?

– Och, nieważne. – Ściągnęłam mocniej poły płaszcza. – A tak w ogóle, to gdzie jest twoja żona? – Jedyne, co o niej wiedziałam od Trinh, to to, że sporo podróżuje służbowo.

– W Berlinie – odparł krótko, nie patrząc na mnie.

Zatrzymaliśmy się przed skrzyżowaniem. Przez resztę drogi do baru nie rozmawialiśmy, a gdy dotarliśmy na miejsce, Jones wciągnął mnie do jednej z toalet.

Spojrzałam na zamek, którego nie przekreślił, ale on oparł się plecami o drzwi, nie rozluźniając uścisku.

– Nie bój się. I milcz.

Stałam, patrząc mu przez moment wyzywająco w oczy.

Stracił cierpliwość i nie wytrzymał mojego spojrzenia. Zanim położył mi rękę na ramieniu, popychając w dół, na jego twarzy pojawił się uśmiech rozdrażnienia. Byłam już uzależniona od tego poczucia uległości, które we mnie wzbudzał, choć w takich chwilach towarzyszył mu lekki niepokój. Poczułam pod kolanami zimną i twardą posadzkę, odzyskując pełną świadomość własnego ciała. Tę scenkę mieliśmy już przećwiczoną i tego wieczoru dobrze ją odegraliśmy, doprowadzeni do stanu ekstazy czułymi dotknięciami w niespodziewanych dla mnie chwilach i ponurym poczuciem, że wkrótce minie.

*

Gdy kilka minut później wyszliśmy z toalety, Trinh siedziała przy barze. Uśmiechnęła się, widząc, jak wyglądam spodnicę. Dosiedliśmy się do niej, a potem zjawili się jeszcze jej znajomi. Pijąc, zapomniałam o kopercie. Trinh czarowała całym swym wdziękiem i przedstawiała mnie swoim przyjacielom. Jonesa obstały niebawem trzy kobiety, które chłoneły jego słowa.

– Nowe studentki – szepnęła mi do ucha Trinh, ściągając brwi. Dosłyszałam fragment ich rozmowy o dyplomacji w cesarstwie rzymskim, który brzmiał niczym wymyślna gra erotyczna. – On tak

naprawdę z nimi nie sypia – wyjaśniła Trinh. – Wszystko kończy się na grze wstępnej.

Musiałam mieć sceptyczny wyraz twarzy, bo dodała:

– Chodzi o jego pokrętną etykę. – Wciągnęła resztkę alkoholu przez słomkę, tak że zabrzmiało to jak siorbnięcie. – Żadnych studentek. – Przewróciła oczami. – Mam tylko nadzieję, że uda ci się uniknąć wykładu na ten temat. Nic oryginalnego.

Trudno było sobie wyobrazić, by Jones odczuwał potrzebę zrobienia mi takiego akurat wykładu. Potwierdziło się jednak moje wrażenie, że jego znajomość z Ingrid nie obejmowała seksu; była intensywna na swój profesorsko-studencki sposób, ale nie pod tym względem. Nie wiedzieć czemu myśl o niej w jego gabinecie, omawiającej swą pracę, dyskutującej o następnym błyskotliwym pomysle, była równie trudna do zniesienia z uwagi na zażyłość, jaką to oznaczało, jak wyobrażenie na wpół rozebranej Ingrid na jego biurku. Przypomniałam sobie o długim kosmyku jasnych włosów, który przylgnął do dywanu tamtego rana, i odegnałam to wspomnienie.

– Jak leci w pracy?

– Och, świetnie. To tylko parę zmian w tygodniu. Mniej roboty. – Wędrowała wzrokiem po sali. – Prawdę mówiąc, bardzo mnie to nudzi. A więc... – Napotkała moje spojrzenie. – Żadnych wieści?

– Myślałam, że nie chcesz o tym mówić – przypomniałam.

– Po prostu sprawdzam.

– Żadnych.

– To dobrze.

– Czy wysłałaś Jonesa, żeby miał na mnie oko?

Spojrzała na mnie z irytacją i współczuciem.

– Twoja paranoja naprawdę jest do pewnego stopnia urocza – zauważyła. – Neurotyczna w sympatyczny sposób. Tylko nie strać nad nią kontroli. – Przyjrzała mi się uważnie. – Tak czy owak, całkiem wyraźnie widać, że Jonesa nie trzeba o to prosić.

*

Nazajutrz wieczorem Jones się nie pojawił. Gdy minęła dziewiąta, zeszałam na parter i zapukałam do drzwi pani Bee. Otworzyła

natychmiast.

– Jesteś – powiedziała i wprowadziła mnie do środka. Miała na sobie wielowarstwowy strój w kolorze bluszczu i sosnowych igieł.

Opowiedziałam jej trochę o szpitalu i pobycie w Sydney. Nie byłam pewna, co powiedzieć o zdjęciach, które obejrzałam w samolocie, i o wizycie u Fleur, o kopercie schowanej w moim pokoju, o każdej z tych spraw. Chwilami myślałam, że domyśla się wszystkiego na swój paranormalny sposób, a chwilami właśnie z tego powodu chciałam to przed nią ukryć.

– Daj mi znać, gdy zechcesz, żebym poczytała w kartach – powiedziała, zanim się rozstałyśmy.

– Zapomniałam, że się pani tym zajmuje.

Pani Bee wzruszyła ramionami.

– Od czasu do czasu.

– Karty do tarota.

– Zgadza się.

– Może następnym razem. Ale jestem sceptyczką, pamięta pani?

– Po prostu daj znać. Zobaczymy się jutro na podwieczorku.

– W takim razie do zobaczenia.

*

Zesłam do niej następnego popołudnia. Właśnie skończyłam lekturę czwartej powieści od czasu mojego przyjazdu, książki Agathy Christie.

Pani Bee spojrzała na moją filiżankę i przechyliła ją przez chwilę.

– Co masz zamiar zrobić? – zapytała.

– Nie wiem. To skomplikowana sytuacja.

– Właśnie widzę. – Odstawiła filiżankę.

Spostrzegła, że oglądam pudełko do gry w scrabble leżące na regale pod ścianą.

– Grasz? – zagadnęła.

Odparłam, że kiedyś grywałam. Pani Bee ściągnęła pudełko i rozegrałyśmy partyjkę. List. Kulisty. Okulistyczny. Stos. Stosowny. Niestosowny.

– Proszę nie używać wobec mnie swoich psychologicznych

sztuczek – zastrzegłam. – Wie pani, jakie mam litery?

Roześmiała się tylko. Wygrałam.

– Lepiej wracaj na górę – poradziła, gdy sprzątnęłam literki z planszy. – Wkrótce tu będzie.

Wsypałam plastikowe kostki do aksamitnego woreczka.

– Nie znoszę, gdy pani to robi.

Pomyślałam o łóżku; Jones lubił teraz, gdy było niepościelone, ścigał prześcieradła i skręcał je w liny na podłodze. Materac zostawiał na mojej skórze ślady otarć.

– Przepraszam – powiedziała pani Bee. Zawahała się i znowu skupiła wzrok. – Nie chodzi mi o tego, o którym myślisz.

Kostki z literkami zastukały o siebie w woreczku. Ogarnął mnie strach. Koperta, nadal leżąca w szufladzie w moim mieszkaniu, wydała mi się niebezpieczną jaskrawą boją świetlną. Przyszło mi do głowy, by zostawić ją u pani Bee, ale po chwili poniechałam tej myśli.

*

Gdy wróciłam na górę, wygrzebałam kopertę z szuflady i usiadłszy na łóżku, wysypałam jej zawartość na materac. Malunki i rysunki nie zostały podpisane. Były podobne do obrazów ze zdjęcia widocznych za plecami Maeve, lecz nie identyczne. Ona wyglądała na nim jak malarka, rękaw miała poplamiony farbami, ale nie było jasne, czy to jej atelier ani czy to jej obrazy. Wydawało się, że Grey jest równie dobrym kandydatem do roli sfrustrowanego lub niespełnionego artysty, a przecież na fotografii siedział w oknie z elegancko skrzyżowanymi rękami i nogami. Wsunęłam wszystko z powrotem do koperty i włożyłam ją do torebki. Fotografia, którą zabrałam Fleur, znajdowała się w leżącej na blacie komody książce, tej, którą czytałam wtedy w samolocie i której nie dokończyłam. Ona też trafiła do torebki. Ruszyłam do wyjścia, upuszczając klucze, gdy w pośpiechu zamykałam drzwi, i z niecierpliwością czekając na przyjazd windy.

Popołudnie było już mroźne i ulica wydawała się mniej zatłoczona niż zwykle. W drodze do metra minęło mnie zaledwie parę osób. Chciałam zejść z ulicy, zniknąć z pola widzenia. W pociągu wszyscy z wyjątkiem jednej pary splecionej w leniwym uścisku na środkowym

fotelu czytali gazety lub książki.

Ściany wagonów były wyklejone plakatami. Ten naprzeciwko mnie był zdjęciem zrobionym z wnętrza pokoju przez okno, pewnie z czyjegoś salonu. Dwa zielone krzewy doniczkowe zostały przycięte do postaci wysokich prostokątów i umieszczone w otworze okiennym, tak że wypełniły miejsce po bliźniaczych wieżowcach World Trade Center. Jeden był nieco wyższy, więc tworzyły efekt perspektywy, wrażenie obserwacji z ukosa, z oddali. Napis u dołu plakatu reklamował szkołę sztuk plastycznych.

Z drugiej strony drzwi znajdował się kolejny plakat, powiększony obraz odręcznego listu, podpisanego przez trzydziestosześcioletnią kobietę o imieniu Maria, mieszkankę Queens. List zwięźle opisywał jej przygnębienie po jedenastym września i to, jak doszła do siebie z pomocą przyjaciół i rodziny. Na plakacie podano numer poradni telefonicznej. W głębi wagonu wisiał podobny list, tym razem po hiszpańsku, podpisany przez dwudziestoczteroletniego Johnny'ego z Brooklynu.

Pismo Marii było mocno pochylone, a litera G miała wąskie zawijasy. Zaczęłam się zastanawiać, czy Maria może być leworęczna. Moja rozmowa z Richardem Evansem o charakterze pisma musiała wywrzeć na mnie głębszy wpływ, niż się wówczas wydawało. Przerwałam te rozmyślenia, wyprostowałam się i przesunawszy wyżej dłoń, chwyciłam za słupek. Pociąg z łoskotem minął zakręt. Odwróciłam się od listu Marii i zielonych wieżowców, ale teraz patrzyły na mnie okrągłe i równe cyfry oraz litery skreślone ręką Johnny'ego. Informacje, numery telefonów oraz logo MTA wydrukowano u dołu plakatu i moje oczy powędrowały ku nim, chłonąc kształt zapisanych maszynowo słów. Ów druk miał własną osobowość, przyjazną krągłość liternictwa oficjalnych druków MTA; władcze szeryfy i cienkie kreski reklamy powyżej, zachwalającej drogie piwo, cydr lub coś innego. Ale pismo odręczne było inne. Nosilo cechy piszącej osoby. Oczom kogoś takiego jak Richard mogło wyjawic różne tajemnice. Zastanawiałam się, co sądziłby o Marii i wynikającym przypuszczalnie z leworęczności nachyleniu jej pisma.

Pociąg wjechał na stację i gdy wychodziłam przez rozsuwane

drzwi, z głośników płynęła bełkotliwa nazwa dworca. Wsiadłam o jeden przystanek ze wcześniej, ale spacer nie był długi. Szłam w górę Manhattanu, lecz miałam wrażenie, że rozświetlone łuną zachodzącego słońca niebo za moimi plecami wciąż ujawnia tę lukę. Po zmroku zawsze wydawało się, że traci na wyrazistości, wchłonięta przez pustkę ciemnego nieba.

Podeszłam szybko do budynku, w którym mieszkał Richard, i nacisnęłam dzwonek.

– Julia.

– Czy ty nigdy nie korzystasz z telefonu?

– Po prostu... wpuść mnie.

Szybko pokonałam schody. W drzwiach były cztery zamki, ale tylko jeden ustąpił, zanim się otworzyły. Richard przyjrzał mi się i położył rękę na ramieniu, żeby wprowadzić mnie do środka.

– Skąd ten pośpiech? – zapytał. – Nie wiedziałem nawet, że wróciłaś do Nowego Jorku. – Trzymał w dłoni połowę kanapki i przeżuwał.

– Czy to masło orzechowe?

– Tak. – Richard przełknął kęs. – Tak. Chcesz jedną?

– Poproszę. – Korytarz mieszkania był wąski i ciasny, pod ścianą stał niski regał, a nad nim wisiała czarno-biała fotografia wieży Eiffla. – Paryż – zauważyłam.

Zbył to lekceważącym ruchem dłoni.

– Wisiała tu już, gdy się wprowadzałem.

Zdjęłam płaszcz. Torebkę trzymałam przy sobie.

– Pewnie chciałybyś się napić.

– A co masz w barku?

Usiedliśmy na ciemnozielonej sofie; moja kanapka leżała na talerzu na niskim stoliku, torebka wciąż wisiała na moim ramieniu, a w dłoni trzymałam szklankę z whisky. Po chwili położyłam torebkę na sofie i wyjęłam z niej kopertę oraz książkę ze schowanym w środku plikiem zdjęć.

– Dzwoniłaś do mnie przedwczoraj? – zapytał Richard.

Skinęłam głową.

– Nie zostawiłaś żadnej wiadomości.

W odpowiedzi wzruszyłam ramionami.

– Co robisz z powrotem w Nowym Jorku? To znaczy... miło cię widzieć.

Richard pił kawę z czarnego kubka. Na biurku na drugim końcu

pokoju leżały jakieś dokumenty. Stojąca na nim lampa rzucała na nie snop światła. Gospodarz podążył wzrokiem za moim spojrzeniem, wstał i wyrównawszy papiery, wsunął je do białej teczki. W rogu biurka stała maszyna do pisania w ładnym popielatym pokrowcu. Spoglądając na szafy na dokumenty pod ścianą, zawahał się, po czym odłożył teczkę na biurko i znowu usiadł obok mnie.

Na parapecie okna przy biurku stał w doniczce fiołek afrykański z trzema szkarłatnymi kwiatami. Pomyślałam o plakacie w wagonie metra z dwoma krzewami przyciętymi na kształt wieżowców World Trade Center. Wcześniej Richard przyniósł z kuchni zielone jabłko i trzymał je teraz w dłoni. Miał na sobie czarną kamizelkę z cienkiej wełny włożoną na koszulę w drobne prążki i okulary w kanciastych oprawkach. Wyglądał jak Clark Kent.

– Przepraszam, że pytam o to dopiero teraz: jak poszło w Sydney? Jak się czuje twoja ciotka... dużo miałaś spraw do załatwienia?

Westchnęłam.

– Och, było całkiem nieźle. Wyjdzie z tego. – Pomyślałam o swoim pokoju w domu Jenny, o świetle wpadającym przez okno i chłodnej pościeli, która szybko nabierała słonecznego ciepła. Zapragnęłam się tam znaleźć. – Wieloma sprawami zajmuje się mój brat. Jest bardzo zorganizowany.

Richard wgrzył się w jabłko.

– Widziałeś te plakaty w metrze? – zapytałam. – Z oświadczeniami ludzi po jedenastym września?

– O tak.

Zastanawiałam się, czemu go o to pytam. Naprawdę miałam zamiar zapytać, czy uważa, że trzydziestosześcioletnia Maria jest leworęczna? Czyżbym próbowała mu zaimponować jako pilna uczennica? Szykowałam się do zmiany tematu, gdy Richard odpowiedział:

– Są bardzo ciekawe. Jestem prawie pewny, że są autentyczne.

– Autentyczne?

– Wygląda na to, że naprawdę są dziełem ludzi, którzy się pod nimi podpisali. Oczywiście są zbyt staranne, by uznać je za pierwsze wersje, zbyt eleganckie, ale mogą być własnoręczną kopią tego, co sami

napisali.

Ugryzł następny kęs.

Myśl, że te zapiski zostały sfabrykowane, wydała mi się teraz oczywista. Zestaw odczuć i sytuacji starannie wydestylowanych z życia, z jakiegoś archiwum, mających odzwierciedlać właściwe spektrum wieku, pochodzenia etnicznego oraz płci. Oświadczenie Marii prawdopodobnie napisał jakiś adiustator z firmy, która zaprojektowała plakaty.

– Tak uważasz? Dlaczego? Skąd wiesz?

– Po prostu wydają się prawdziwe. Charakter pisma jest odpowiedni dla osoby tej płci i w tym wieku. Widziałem list autorstwa człowieka o imieniu Carl...

– A ich treść? – przerwałam mu. – Rzeczy, których jak twierdzą, doświadczyli, to, co jest w tych oświadczeniach? Myślisz, że opisują coś, co naprawdę przydarzyło się tej osobie?

Richard się zawahał.

– Hm...

Moje pytanie było bezsensowne. Dla niego prawdziwość tych oświadczeń nie wiązała się z ich treścią, tym, co wyrażały w słowach. Wszystko kryło się w linii, w kształcie liter. Każdy mógłby przekonująco skłamać w tym, co mówił, w głównym przesłaniu tego, co pisał. Ale jego charakter pisma zawsze by go w jakimś sensie zdradził, pozostawiając nieświadome tropy. Na tym w każdym razie w moim rozumieniu polegała idea grafologii. Tym, których szkolono w interpretacji charakteru pisma, ono zawsze ujawniało prawdę, nawet wbrew sobie; przynajmniej tę prawdę, której szukał Richard. Jedną jej warstwę.

– To nie ma znaczenia – powiedziałam.

On jednak zaczął się już nad tym zastanawiać i wyjaśnił, że w tym wypadku trudno jest to ocenić, ponieważ te zapiski zostały chyba starannie skorygowane; trudno było stwierdzić, czy odczucia odpowiadają charakterowi pisma, bo wygląda na to, że zapiski na plakatach stanowią kopię wcześniejszej wersji.

– Więc odczucia mogą pasować do charakteru pisma? Możesz stwierdzić, czy jakiś człowiek jest, powiedzmy, naprawdę smutny, gdy

o tym pisze?

– Chyba tak – odparł Richard. – Noah... człowiek, który mnie wyszkolił... twierdził, że potrafi rozpoznać szczerłość lub oszustwo w paru skreślonych przez kogoś słowach, wyjaśnił, że to się kryje w pociągnięciach z dołu do góry, w śladach nacisku... Nie sądzę jednak, bym sam mógł to zrobić, nie jestem aż tak dobry. Ogólny kształt pisma ujawnia takie skłonności, ale nie odnosi się to do konkretnego oświadczenia.

Wstał i zaniósł ogryzek do kubła w kuchni. Kiedy wrócił, skierowałam rozmowę na temat szarej koperty i książki.

– Znalazłam to przed wyjazdem w mieszkaniu Fleur. – Wyjęłam zdjęcie Ingrid zrobione na promenadzie i podałam je Richardowi.

Spojrzał na nie i zapytał:

– Znalazłaś je?

Wzruszyłam ramionami.

– W szufladzie. Na tym przyjęciu, na którym się spotkaliśmy.

Wzięłam je.

Richard wciąż patrzył na zdjęcie.

– Chciałam...

– W porządku, rozumiem – rzekł, odwracając na chwilę fotografię, by spojrzeć na jej pusty rewers. Gdy patrzył na twarz Ingrid, w wyrazie jego twarzy było coś smutnego i surowego. Oddał mi zdjęcie.

– Ale popatrz... popatrz, gdzie ona stoi. – Trzymałam za jeden brzeg fotografii, a on za drugi. Przyjrzał się zdjęciu.

– Gdzie... o, zostało zrobione na promenadzie?

– Owszem.

Richard popatrzył na mnie zaintrygowany.

– Nie ma tam wieżowców – dodałam.

– To z powodu perspektywy.

– Nie. Byłam tam, poszłam w dniu przyjazdu i nazajutrz rano. Nie rozumiem, jak można by znaleźć ujęcie bez wieżowców w kadrze.

– Cóż, trudno to ocenić, gdy nie patrzy się przez obiektyw aparatu. Może zostało zrobione z innego miejsca... budynki w tle są dość nieostre.

– Cóż... tak przypuszczam.

Milczeliśmy przez chwilę.

– Słuchaj, wiem równie dobrze jak wszyscy, że trudno się z tym pogodzić. Te etapy rozpacz... dobrze je poznałem. Los uświadomił mi je z całą mocą. – Uśmiechnął się krzywo. – Zaprzeczenie. To ważny etap. Najbardziej bolesny, gdy w końcu mija.

– Myślałam, że mnie zrozumiesz – zaprotestowałam.

– Myślałaś, że przyznam ci rację? Że widzisz zjawę? Na zdjęciu? Julio, ona nie żyje.

– Wybierz się tam ze mną.

Richard westchnął.

– To nic nie da.

– Może jednak da.

Miał zatroskaną minę.

– Pomyślę o tym – obiecał.

– To nie zjawa. Żywa osoba. Myślałam, że chciałbyś, żeby żyła.

Zamknął oczy.

– Sądziłam, że będziesz chciał rozgryźć tę zagadkę. Richard otworzył oczy, przyjrzał mi się uważnie, ważąc coś w myślach. Cokolwiek to było, widziałam, że nie zostało ostatecznie rozstrzygnięte.

– Co jeszcze tam masz?

Wręczyłam mu kopertę. Wyciągnął z niej rysunki, obrazki oraz zdjęcia i obejrzał je po kolei. Twarz mu pobladła. Wzięłam kubek Richarda, zaniiosłam do kuchni i ze szklanego dzbanka ekspresu nalałam do niego kawy. Była bezwonna. Wręczyłam mu go z powrotem.

Gdy napotkał mój wzrok, na jego twarzy dostrzegłam cień złości, ale nie była to złość na mnie.

– Poszłaś zobaczyć się z Greyem? – zapytał. – Jak je stamtąd wyciągnęłaś? A może Maeve...

– Nie. Nie dostałam ich ani od niego, ani od niej.

– Więc...?

– One są... – Nie byłam pewna, czy wspomnieć o Trinh. – Ingrid zostawiła je u... znajomej. A teraz trafiły do mnie.

– Ingrid je miała? – zdziwił się, a jego oczy nagle pojaśniały.

Skinęłam głową. Richard zrobił głęboki wdech i nie wypuszczał powietrza z płuc tak długo, że uświadomiłam sobie, iż sama też

wstrzymałam oddech.

Uznałam, że w rozmowie z nim niewiele ryzykuję.

– Zostawiła je u Trinh.

Richard pochylił głowę, jakby przytakiwał.

– Kiedy?

– Pod koniec lata.

– Oczywiście.

– Słuchaj, sama nie wiem, co z tym począć ani co o tym sądzić.

Ślęczę nad nimi od wielu dni, nie mając pojęcia, co zrobić.

Po części chciałam zostawić te rysunki, malunki i zdjęcia u niego, zostawić, wyjść, pojechać prosto na lotnisko i czekać tam, aż znajdzie się dla mnie miejsce w jakimś lecącym do Sydney odrzutowcu.

Wiedziałam jednak, że gdybym to miała zrobić, to zrobiłabym już wcześniej.

Richard położył dłonie na kolanach, ożywiony nagle i rzeczowy.

– Dobra. Powiedz mi wszystko. Czy Grey wie, że jesteś w Nowym Jorku? Czy wie, że masz te rzeczy? I czy wie, że Ingrid je zabrała?

– Nie dzwoniłam do niego, ale rozmawiałam z Fleur. próbowałam porozmawiać. Ale od tego czasu nie kontaktowałam się z nią. –

Przypomniałam sobie wcześniejsze słowa pani Bee: „Nie chodzi mi o tego, o którym myślisz” i znowu poczułam, jak przenika mnie dreszcz.

– Jeżeli z nią rozmawiał, to pewnie już wie, że jestem w mieście. Ale nie wiem, czemu miałyby mu o tym mówić. A jeśli chodzi o resztę... to wiem tylko tyle, ile raczyła mi powiedzieć Trinh. Tak naprawdę nie chciała mówić zbyt wiele... nie jestem nawet pewna, ile sama wiedziała. Ponoć Ingrid była wyraźnie zestresowana, dając jej tę kopertę... przez wiele tygodni Trinh nawet do niej nie zaglądała.

Richard uniósł brwi.

– Dobra. Nieważne. Trinh twierdzi, że Ingrid nie wspomniała ani słowem, co w niej jest, ani nie wyjaśniła, o co chodzi, gdzie zdobyła te zdjęcia. Powiedziała tylko, że chce je przechować i przymierza się do zdeponowania ich w skrytce bankowej, ale tego nie zrobiła.

– Po jej śmierci Grey miałby dostęp do wszystkiego, do tych wszystkich miejsc.

– Tak przypuszczam. – Przeanalizowałam jego słowa. – Ale nie

wiedziała, że umrze... nie spodziewała się tego, po prostu chciała je schować, po prostu...

Posunęłam się dalej, niż dotarłam sama, rozmyślając o tych obrazkach i zdjęciach. Przez kilka minionych dni, ilekroć czułam, że pojawiają się w moich myślach, spychałam je w głąb, nie potrafiłam znieść obrazu Ingrid w kuchni Trinh, myśli o jej lęku, którego ujawnienie byłoby dla niej takie bolesne. Aż przykro było teraz o tym myśleć.

– Bo i skąd miałyby wiedzieć? – zapytałam, zdając sobie świetnie sprawę, że jest odpowiedź na to pytanie i że nie chcę jej usłyszeć.

Richard chciał coś powiedzieć.

– Nie – zastrzegłam i zrezygnowałam.

Siedzieliśmy tam przez jakiś czas. Wydawało się, że cokolwiek wcześniej postanowił, rozstrzygnął to w tamtych chwilach. Wstał i podszedł do szaf na dokumenty, otworzył jedną z nich i od razu sięgnął po akta w głębi szuflady. Wyjął z nich coś, jakieś zdjęcie polaroidowe, i mi je podał. Patrzyłam na jego twarz niewidzącymi oczami. Wolałam nie patrzeć na to, co trzymał w ręce.

Pamiętałam, jak dostałam mdłości po telefonie dwunastego września tamtego roku – czy może było to już trzynastego? – i znowu je poczułam. Ręka Richarda opadła. Spuściłam wzrok. Siniak na zdjęciu miał krwistoszkarłatny, nienaturalnie zmieniony na błonie polaryzującej kolor. Obok i poniżej pod skórą widać było zebra. Drugi plan zdjęcia był pogrążony w mroku.

Gdy odwróciłam spojrzenie, mój wzrok padł na sam polaroid leżący wysoko na regale przy biurku, złożony, z niebieskim foliowym opakowaniem filmu obok.

Pomyślałam o schodach w mieszkaniu Greya – białych i ostrych jak kość. Jego stopy w czarnych butach kroczące szybko do góry przede mną.

– Trochę zzieleniałaś na twarzy – zauważył Richard. – Może to był zły pomysł – wskazał na zdjęcie, trzymając je oburącz – ale nie byłem pewien, co powiedzieć. Nie byłem nawet pewien, czy o tym wiesz.

– Wiedziałaś o złamanej ręce. To też stało się wtedy?

Richard wzruszył ramionami.

– Nie mogę potwierdzić w stu procentach. Nigdy o tym nie mówiła.

Na zdjęciu widziałam tylko połowę jej twarzy; była odwrócona, a całe jej ciało lekko skręcone. Jedną ręką podciągnęła koszulę, żeby pokazać posiniaczoną talię. Włosy miała spięte z tyłu. Z dolnego rogu zdjęcia rozchodziła się zielonkawa plama, jakby ktoś podczas wywoływania kliszy przycisnął ją zbyt mocno kciukiem.

Richard odwrócił się, włożył zdjęcie z powrotem do teczki i zasunął szufladę.

– Usiądź – powiedział. Wcześniej wstałam, nie zdając sobie z tego sprawy. Pokój był czarny na obrzeżach niczym polaroidowa fotografia. Usiadłam. – Włóż głowę między kolana – polecił.

– Nie, już mi lepiej. – Wyprostowałam się lub próbowałam to zrobić, ale zastygłam w bezruchu, pochylona do przodu.

– Twierdzisz, że on ją zabił? – zapytałam w końcu. – Czy że miał zamiar ją zabić?

Richard zacisnął wargi.

– Cóż, z początku tak właśnie sądziłem – odparł bardzo rzeczowo. – Możesz sobie wyobrazić przyjęcie, z jakim spotkałem się na policji. – Uśmiechnął się z żalem. – W Nowym Jorku pełno było ludzi zaprzeczających, że ich przyjaciele, kochanki i kochankowie lub żony naprawdę zginęli w wieżowcach. Plakaty informujące o „zaginionych” tygodniami wisiały w całym mieście. – Richard wziął moją szklankę i dopił resztę whisky. – A ja twierdziłem, że mąż tej zaginionej kobiety ją sprzątnął.

– Więc poszedłeś na policję.

Skinął głową.

– Nie mówiłem ci o tym, gdy tu byłaś wcześniej... odłożyłem to tak jakby... niepotrzebnie... cóż, z początku nie chciałem się z tobą zobaczyć, bo byłaś jej przyjaciółką, a ja robiłem, co mogłem, żeby o tym zapomnieć. Złożyłem to niejako do archiwum. I zasunąłem szufladę. – Westchnął ciężko. – Sądzę jednak, że teraz możesz się o tym dowiedzieć. Ostatecznie przyniosłaś to ze sobą. – Rzucił okiem na rysunki. – Byłem wtedy zrozpaczony. Myślałem, że straciłem jeszcze jednego przyjaciela... kogoś, kto pracował w restauracji w World Trade

Center. Okazało się, że tamtego dnia nie było go w pracy. Tak czy inaczej, gdy tylko się dowiedziałem, że Ingrid nie wróciła do domu, pomyślałem, że Grey wreszcie dopiął swego. W lipcu tamtego roku wyjechałem do Maine... moi rodzice mają tam dom nad jeziorem. Byłem u nich przez kilka tygodni i po powrocie zadzwoniłem do Ingrid. – Znowu zrobił głęboki wdech. – Trochę rozmawialiśmy. Zgodziła się spotkać ze mną przy kawie. – Przesunął dłonią po powiekach. – To było okropne lato. Wyjechałem zaledwie parę tygodni po tym, gdy to dostałem – wskazał głową szafkę na dokumenty – i przez ten czas się kłóciliśmy. To znaczy doszło między nami do paru sporów.

Czekałam.

– Próbowałem ją przekonać, żeby od niego odeszła – dodał.

– Tego właśnie naprawdę nie rozumiem. Czemu tego nie zrobiła.

Richard spojrzał na mnie.

– Naprawdę? Myślałem, że znając ją tak dobrze, zrozumiesz.

Zastanowiłam się nad jego uwagą.

– Nie potrafiła znieść niepowodzeń na żadnym polu – wyjaśnił. –

Nie mogła znieść myśli, że nie ma racji. Wciąż hołdowała... temu wyobrażeniu o idealnym małżeństwie. A najbardziej nie znosiła własnego zawstydzenia.

Staralam się to sobie wyobrazić i udało mi się, choć poczułam przy tym mdłości. Zawstydzenie rolą bitej żony i koniecznością przyznania, że jej małżeństwo jest nieudane. Czy to mogło być gorsze od przemocy? Ów wstyd bardziej niż cokolwiek innego sprawiał, że wydawała się o wiele starsza niż wtedy, gdy wyjeżdżała z Australii. Przypomniałam sobie, jak bardzo postarzała się jej twarz, gdy ostatnim razem widziałyśmy się w Sydney.

– Ale zrobiłeś to zdjęcie – zauważyłam. – Widziałeś stłuczenie.

– Tylko że ona tamtego wieczoru nic nie powiedziała. Nie zaprzeczyła temu... po prostu przez cały spędzony tutaj czas prawie się nie odzywała. Próbowałem ją skłonić do wizyty w szpitalu, ale nie chciała tam pojechać. Bałem się, że ma złamane żebro... widziałas, prawda?

Skinęłam głową.

– To stłuczenie wyglądało naprawdę paskudnie.

– Owszem. Bo było paskudne. Ale nie miała ochoty na rozmowę, pragnęła tylko tu zostać, nie chciała wracać do domu. Fleur nie było... dokądś wyjechała. Do szkolnej koleżanki? Nie wiem. Może właśnie dlatego Ingrid przyjechała tutaj. – Mieszkanie Greyów znajdowało się niedaleko lokum Richarda, wystarczyła krótka jazda taksówką. – Wcześniej była już u mnie kilka razy. Zostaliśmy... przyjaciółmi, pewnie tak byś o nas powiedziała... – głos uwiązł mu w krtani – na pierwszym roku studiów na Columbii. Mimo to jej wizyta tamtego wieczoru była dla mnie zaskoczeniem. – Westchnął. – Nie płakała, ale była naprawdę wstrząśnięta. To ja wpadłem na pomysł, by zrobić zdjęcie. Jako dowód, skoro nie chciała pojechać do szpitala na obdukcję. Początkowo zamierzała je ze sobą zabrać, ale potem chyba po prostu o nim zapomniała. Przypuszczam, że była w szoku. W każdym razie później, gdy przez parę następných tygodni próbowałem z nią o tym porozmawiać, serwowała mi tę bajkę o spadaniu ze schodów. Nie chciała powiedzieć, dlaczego wówczas tu przyszła. Domagała się, bym oddał jej to zdjęcie. – Richard umilkł, rozdrażniony wspomnieniem tamtego spotkania. – Zacząłem odnosić wrażenie, że jeżeli mamy pozostać przyjaciółmi, muszę to przemilczeć, przestać drażnić temat.

Przypomniałam sobie wizytę w Nowym Jorku z Ralphem, milczenie, jakie zaległo wokół tematu Greya. Zastanawiałam się, czy Richard stał się takim przyjacielem Ingrid, jakim kiedyś był Ralph – jej wielbicielem, powiernikiem z premedytacją trzymanym zawsze na dystans.

– Naprawdę trudno mi było się z tym pogodzić. – Zawahał się. Oparł łokcie na kolanach, splótł dłonie. – Gdy byłem w Maine, nie rozmawialiśmy ze sobą. A gdy ujrzałem ją latem po moim powrocie, zaszła w niej kolejna zmiana. Po prostu kategorycznie odmówiła rozmowy o Greyu, ich związku, o wszystkim, co się z tym łączyło. Raz na jakiś czas wyjeżdżała do domu nad Hudsonem. Tuż przed jej kolejnym wyjazdem... znowu tam się wybierała i naprawdę martwiłem się o to, co może się tam, na wsi, dziać... po raz kolejny domagałem się rozmowy.

Skinęłam głową.

– Przysięgam... widziałem na jej ręce ślad po oparzeniu. Chryste.

– Wsparł czoło na dłoni. – Ale ona powiedziała, że niepotrzebnie się martwię. Wybrała ten tryb postępowania... miała jakiś plan, ale nie chciała go zdradzić. Nie chodziło o odejście od Greya... przynajmniej tak mi się zdaje... po prostu powiedziała, że nie muszę się martwić, że ma zamiar to wszystko załatwić. Zastanawiałem się, czy próbowała go przekonać, by spędzał więcej czasu w tym domu, mniej na Manhattanie, żeby po prostu rzadziej był na miejscu.

Richard wstał nagle i poszedł do kuchni. Wrócił z butelką whisky. W środku niewiele już zostało. Wlał jej zawartość do szklanki, wypił trochę i wręczył mi ją.

– I wtedy widziałem ją po raz ostatni. W sierpniu.

– Kiedy więc zniknęła, pomyślałeś, że Grey... że ją zabił.

Nawet po obejrzeniu zdjęcia trudno mi było pogodzić się z tą myślą. Ludzie używali przemocy wobec bliźnich, ale ich nie zabijali. Przypomniałam sobie kciuk Jonesa uciskający mi zuchwę, jego dłoń napierającą na moją szyję i twarz. Przez myśl przemknęła mi cała seria obrazów – granaty w złotej misie na granitowej wyspie – delikatna dłoń Greya na plecach Ingrid – jego stopy pnące się po schodach – Ingrid w moim śnie, dłonie rozchylające się, żeby mi pokazać zwój z namalowanym obrazem.

Richard zastanawiał się, starannie dobierał słowa.

– Pomyślałem, że to możliwe, iż ją zabił, owszem, że naprawdę stracił panowanie nad sobą. – Spojrzał na trzymaną w dłoni szklankę.

– Co na to Grey?

– Cóż, nasze rozmowy na ten temat... trudno to nazwać rozmowami. Od razu zaangażował w to policję. On był bardzo przekonującym, opłakującym żonę mężem, a ja oszalałym, odrzuconym kochankiem, możesz to sobie wyobrazić. Bardzo szybko zakazano mi zbliżać się do niego na odległość mniejszą od paruset metrów. – Richard splótł dłonie i znowu je rozłączył. – Wiem, to wydaje się paranoidalne. W smutku, no wiesz... wszystko zaczyna dziwnie wyglądać. Nie wiem, dlaczego łatwiej było uwierzyć w to niż w coś innego, że po prostu zginęła jak wszyscy pozostali.

O to właśnie chodziło – o jej szczególną, wyjątkową zaletę, tę błyskotliwość, której wspomnienie zachowaliśmy. Ta myśl mnie

poraziła. Richard spojrział na mnie.

– To przez to dziwne zdenerwowanie, które okazywała ostatnim razem. Jakbym zobaczył cały strach, którego tak długo próbowała nie ujawniać. Ujrzałem go jednak tylko dlatego, że zanikł i został zastąpiony nowym rodzajem strachu, którego jeszcze nie nauczyła się maskować. Była na skraju...

Richard popatrzył na kopertę.

– A teraz sądzę, że chodziło o to.

– Uważasz, że go szantażowała? – Chciałam posłuchać jego przemyśleń na ten temat. Moje myśli, zbyt ponure, by je odsłaniać, zaczynały dopiero kiełkować.

– Moim zdaniem – rzekł, pochylając się ku mnie – w pewnym momencie musiała dojść do wniosku, że coś jest nie tak z Fleur, z jej obrazami.

Przypomniałam sobie uroczystą kolację u Maeve w dniu, gdy zaczął padać śnieg, po obejrzeniu prac Fleur w Whitney, telefon od Fleur i jej nieobecność na przyjęciu. Tuż po tej wystawie przestała malować. Czy presja związana z wystawą w Whitney uczyniła nieznośnym brzemieniem tajemnicę kryjącej się w zdjęciach, które otrzymałam od Trinh?

– Ingrid musiała dojść do takiego wniosku – powtórzył Richard. – Pewnie wiedziała coś, cokolwiek, od dawna i nie robiła z tej wiedzy użytku, żeby chronić Fleur. Kochała ją. Były sobie naprawdę bliskie. Gdy jednak stosunki z Greyem się pogorszyły... może tamtego lata zaczęła szukać w domu nad Hudsonem i znalazła to.

– Ale po co? – zapytałam. – Po co miałyby go szantażować, skoro nie chciała od niego odejść?

– Może miała zamiar to zrobić i po prostu nie chciała mi powiedzieć. Albo po prostu po to, żeby przestał ją bić – odparł otwarcie Richard – i pozwolił jej trochę pożyć.

– Ale gdyby zdradziła tajemnicę, zaszkodziłaby również Fleur.

– To właśnie mogło sprawić, że posługiwanie się tym szantażem było tak długo niemożliwe.

– Ale co pomyślałaby o tym Fleur? – nie dawałam za wygraną.

– Były wobec siebie bardzo lojalne – odparł. – Może postanowiła

zgodzić się na ten plan.

– A może nie.

– Kto wie.

– Ale te obrazki... – zaczęłam. – Co one w rzeczywistości przedstawiają?

Richard spojrział na malunki.

– Nie zostały podpisane, ale najwyraźniej to one wiszą na ścianie na tym zdjęciu lub są do nich bardzo podobne, stanowią szkice do nich bądź inne wersje. A na tym zdjęciu widać Maeve... widać, że jest bardzo młoda... a na drugim Greya... jeszcze przed narodzinami Fleur. Albo zanim zaczęła malować. – Pociągnął za brzeg fotografii Maeve. Spojrzała na mnie swym czarno-białym okiem. – Rodzi to sporo pytań o proces powstania malarstwa Fleur – dodał. – Przede wszystkim: kto naprawdę stał za tymi obrazami?

– To widzę – przyznałam. – Ale to jeszcze nie dowodzi, kto naprawdę jest ich autorem. Czy to obrazy lub rysunki Maeve – popatrzyłam na leżący na wierzchu rysunek patykowatego drzewa – czy Greya? – Wydawało się, że obrazy na zdjęciu noszą ślady sygnatur, zbyt małe jednak, by dało się je odcyfrować.

– Nie wiem, ale stawiam na Maeve. Widziałem pismo Greya i nie sądzę, że to jego charakter.

– Rysunek różni się jednak od pisma, nieprawdaż?

– Owszem.

Spokojne spojrzenie Maeve na zdjęciu wydawało się teraz tragiczne i porozumiewawcze zarazem. Gdy przed laty zapytałam ją w Kirribilli, czy sama jest artystką, zbyła mnie obojętnym, lekceważącym ruchem ramion. Odparła, że brak jej talentu. Tamtego popołudnia Eve wzięła mnie na bok i powiedziała, że krążyły pogłoski, iż Maeve kiedyś malowała – teraz zaprzeczała, że kiedykolwiek traktowała to poważnie – lecz zdruzgotana początkowym niepowodzeniem wyrzekła się malarstwa i ukryła głęboko wszystkie dowody swej wczesnej twórczości. „Nie ocalał żaden z jej obrazów – wyjaśniła Eve – oprócz paru, które widziałam w jej domu. Twierdzi, że reszta nie zasługiwała na ocalenie”.

Współczułam jej oraz Greyowi – jakie niespełnione ambicje legły

u podstaw twórczości „ich” cudownego dziecka, tej utalentowanej dziewczynki? Pamiętałam jednak wymianę spojrzeń między nimi tamtego wieczoru, zanim spadł śnieg. Zaczęłam rozumieć kryjące się za nią tajemnice oraz zobowiązania i znienawidziłam ich oboje.

– W istocie nie ma znaczenia, czyje one są – stwierdził Richard. – Jeśli ich autorką nie jest Fleur, to ta wiadomość doprowadziłaby ich wszystkich... Maeve, Fleur i Greya... do upadku. – Richard sprawiał wrażenie dziwnie zadowolonego. – Wcześniej nigdy tak naprawdę nie było dla mnie jasne, co może wyprowadzić go z równowagi... myślałem, że to ma coś wspólnego z tą zmianą w zachowaniu Ingrid, tym nowym strachem, który ją ogarnął. Teraz sądzę, że to jasne... skonfrontowała go z tymi materiałami albo on odkrył, że je zabrała, i nie mógł ryzykować... musiał znaleźć sposób, żeby zamknąć jej usta. Po czym runęło World Trade Center. pojawiła się idealna sposobność, doskonała przykrywka, zawsze tak uważałem... i to właśnie próbowałem wyjaśnić policji. Gdybyś planowała morderstwo i czekała na właściwy moment, czyż nie spróbowałabyś skorzystać z nadarzającej się okazji? To bardzo dogodna sytuacja... ona znika akurat w tym dniu, w którym czyjeś zniknięcie będzie tak naturalne, że w ogóle nie będziesz musiała się z niego tłumaczyć.

Mówił coraz szybciej i zaczęłam dostrzegać oznaki maniakalnego napięcia, które mogły przekonać policję, że Richardowi trochę pomieszało się w głowie.

Szkarłatny siniak przesłaniający mi część pola widzenia nie chciał zniknąć. Zmrużyłam oczy.

– Grey najwyraźniej jest okropnym, gwałtownym człowiekiem i jestem skłonna uwierzyć, że pomyślałby o tym i chciał to zrobić. Ale ona tam była. Była w śródmieściu, była w World Trade Center.

– On zawsze tak twierdził.

– Ale ja widziałam jej terminarz. Widziałam zapiski dotyczące umówionego spotkania.

– Jakiego spotkania?

– O dziewiątej. O dziewiątej rano z Paulem, jej doradcą finansowym, w śródmieściu.

Richard milczał.

– Jak... gdzie to widziałaś?

– Leży na jej biurku. Był na nim, gdy tam poszłam podczas poprzedniego pobytu w Nowym Jorku, gdy spotkałam się z Greyem w ich mieszkaniu. Byłam w pokoju Ingrid. Przejrzałam go... – Zarumieniłam się. – Przejrzałam rzeczy na jej biurku... tylko zerkałam... w każdym razie zauważyłam tam ten terminarz... kalendarz i zajrzałam do niego. Jest tam odnotowane: dziewiąta rano, Paul. – Pamiętałam pojedynczy wiersz zapisu pod tą datą, niebieski atrament, długość tego zapisu.

– To było jej pismo?

Zawahałam się.

– Tak wyglądało.

Westchnął ze zniecierpliwieniem.

– Ale właśnie w tym rzecz... jak łatwo byłoby mu zapisać to później, to doskonały sposób... stworzyć dowód, że Ingrid tam była. Skąd w ogóle wiesz, że miała tam księgowego?

– Przypuszczam, że sprawdzenie tej informacji nie byłoby zbyt trudne. Po cóż miałby kłamać w aż tak oczywisty sposób?

Richard miał niepewną minę. Wstał i wędrował tam i z powrotem za kanapą.

– Możesz go zdobyć?

– Co?

– Ten kalendarz. Chciałbym go obejrzeć.

– Mówiłam ci... jest w mieszkaniu Greya. W pokoju Ingrid.

– Właśnie, więc wiesz, gdzie go znaleźć.

– Myślisz, że wrócę tam po niego?

Zatrzymał się.

– Daj spokój, Julio.

Przełknęłam ślinę.

– Wiem, jak dobrze sobie z tym radzisz. Widziałem, jak wyciągasz to zdjęcie z szuflady Fleur. Samego zdjęcia nie widziałem, ale zauważyłem, jak wsuwasz je do kieszeni. Bardzo wprawnym ruchem.

Zaschło mi w ustach.

Richard znowu zaczął wędrować.

– Aż tak dobrze sobie nie radzę – odparłam. – To ważna rzecz, to

oczywiste... gdybym go zabrała, byłabym główną podejrzaną. Nawet nie wiem, jak się tam dostać.

– Coś wymyślimy.

– Chyba żartujesz.

– Nie.

Wydał mi się teraz większy i cięższy niż wcześniej, nie zdawałam sobie sprawy, że w jego ciele drzemie taka siła.

– Twierdzisz, że Grey zabił Ingrid. Zatłukł ją na śmierć lub załatwił w inny sposób. A teraz prosisz mnie, bym przyniosła dowód... jeżeli nim właśnie jest ten terminarz... z jego domu.

Richard patrzył na mnie bezmyślnie.

– Ale on nie wie, że masz to. – Ruchem ręki wskazał zdjęcia. – Nie wie też, że o tym rozmawialiśmy. Może po prostu mogłabyś poprosić o możliwość kolejnej wizyty w pokoju serdecznej przyjaciółki? Czemu miałby ci odmówić?

– Pod koniec życia Ingrid nie byliśmy już w tak serdecznych stosunkach.

I znowu to poczułam – że nie jestem w pełni uprawniona do odgrywania roli zrozpaczonej serdecznej przyjaciółki.

– A Fleur by cię wpuściła? – zapytał Richard.

– Nie wiem.

Czekał.

– Pozwól, że skorzystam z twojego telefonu.

Zadzwoiłam do pani Bee.

– Mówi Julia.

– Jak się masz?

– W porządku. Proszę posłuchać... czy może mi pani powiedzieć... ten człowiek, który pani zdaniem był w drodze... pojawił się?

Przez chwilę milczała.

– Nie – odparła. – Sądzę, że wzięłaś sprawę w swoje ręce i zamiast czekać, poszłaś się z nim zobaczyć.

– Kiedy? Teraz?

Zaśmiała się cicho.

– Przykro mi, nie potrafię powiedzieć... to po prostu nie jest jasne.

Mogło się już wydarzyć... wydarzyło się? Możliwe też, że to spotkanie dopiero cię czeka.

– To mało konkretna odpowiedź.

– Owszem. Dobrze się czujesz, moja droga?

– Miała pani na myśli Gila czy Richarda?

– Przykro mi. Nie mogę ci pomóc. Nie powinnam była nic mówić.

Nie zdawałam sobie sprawy, że to będzie takie intrygujące.

Rozłączyłam się. Pomyślałam o Jonesie – tym, o którym wcześniej myślałam u pani Bee, tym, który nie przychodził. Według niej. Ciekawe, czy moje pytanie o jego żonę nie zdenerwowało go i nie uraziło bardziej, niż po sobie pokazał. Tamtej nocy niewiele rozmawialiśmy i odtąd go nie widziałam. Coś mi mówiło, że zjawi się dopiero za jakiś czas.

Zrobiło się późno. W budynku naprzeciwko połowa okien była ciemna. Nieliczne samochody na ulicy poniżej przejeżdżały powoli.

Richard stanął obok mnie przy oknie.

– Gdybyś chciała zostać, to bardzo proszę.

– Dzięki.

Zostałam jeszcze przez chwilę przy oknie i słyszałam, jak cicho stąpa po podłodze swojego małego mieszkania, wkładając naczynia do zlewu. Z łazienki docierał szum płynącej wody, odgłosy otwierania i zamykania drzwi. Gdy się odwróciłam, na kanapie, która była wystarczająco długa, by można się było na niej wygodnie położyć, ujrzałam poduszki i kołdry. Na jednej poduszce leżała szczoteczka do mycia zębów wciąż zapakowana w folię. Wyobraziłam sobie, że gdzieś w szafce mieści się ich cała kolekcja.

Koperta leżała na biurku. Podeszłam tam, włożyłam ją z powrotem do torebki, którą postawiłam obok kanapy. Wszystkie światła z wyjątkiem lampy na biurku i światła w sypialni Richarda były wyłączone. On sam stał w drzwiach w podkoszulku i długich ciemnych spodniach od piżamy, a na nosie nadal miał okulary.

– Użyj wszystkiego, czego potrzebujesz – zaproponował.

– Dobranoc. – Odwrócił się i przymknął drzwi.

Wymyłam zęby w łazience z białymi kafelkami na ścianach i różowo-białymi na posadzce. Znad pokrytej lustrami szafki ściennej padało światło lampy. Moja twarz wyglądała blado w zestawieniu

z ciemnymi włosami, na ustach zostały słabe ślady szminki, a odbite w lustrach ściany były gładkie i białe. Szafka miała troje lustrzanych drzwi, które otwierały się tak, by jedna powierzchnia odbijała pozostałe. Otworzyłam te zewnętrzne i patrzyłam na mój odbity odwrotnie policzek i zwielokrotnione w zwierciadlanych obrazach ściany i kąty łazienki. Pomyślałam o zdjęciu Ingrid i o tym, jak próbowałam znaleźć tę samą perspektywę na promenadzie.

Usiadłam na brzegu wanny. Kurek z gorącą wodą był ciepły w dotyku, ale gdy próbowałam go odkręcić, stawiał opór moim palcom i przeszła mi ochota na kąpiel. Czulałam na udach zimną powierzchnię wanny i kafelki pod bosymi stopami.

Drzwi sypialni Richarda osadzono prostopadle do drzwi łazienki. Wciąż były tylko przymknięte, zapadka nie dotykała ościeży. Klamka miała długie ramię. Wyglądała na mosiężną. Patrzyłam na nią przez chwilę, położyłam na niej dłoń bielejącą w ciemności na tle mosiądzu i pchnęłam drzwi. Pokój był większy, niż się spodziewałam. Łóżko Richarda stało pod oknem z białą opuszczoną roletą, naprzeciw drzwi. On leżał na nim na wznak i gdy spostrzegł, że otwieram drzwi, uniósł się powoli na łokciu. Jego twarz tworzyła w mroku zamazaną plamę. Z ciemności wyłoniły się kontury eleganckiego krzesła w kącie i lustrzanych drzwi szafy wnękowej. Richard pozostał w bezruchu.

Zamknęłam drzwi tak, że zadziałał mechanizm zapadkowy, ale nie rozległ się żaden trzask. Podeszłam bezszelestnie do łóżka. W sypialni panowała tak absolutna cisza, że nawet mój oddech stał się bezgłośny. Richard obrócił głowę, by śledzić moje kroki. Odbite światło przejeżdżającego samochodu przemknęło po oknie, pozostawiając za sobą jeszcze głębszą ciemność. Wydawało się, że wtedy do sypialni powrócił dźwięk, pod moją stopą zaskrzypiała deska podłogi. Miałam wrażenie, że słyszę, jak wypowiada moje imię, ale dźwięk dotarł do mnie dziwnie stłumiony i zastanawiałam się, czy nie śnię na jawie. Richard był nieruchomy niczym posąg. Moje ciało wypełniało pragnienie bliskości i chciałam położyć się w jego łóżku po prostu po to, żeby wiedzieć, że nie jestem sama. W głowie rozbrzmiewało mi echem moje imię, jego nie jego głos. Już miałam się odwrócić i wyjść, gdy przemówił, tym razem bez wątplenia swoim głosem.

– Nie odchódź.

Te same słowa wypowiedziałam do niego na przyjęciu po wernisażu wystawy Fleur. Wsunęłam się pod kołdrę i leżeliśmy obok siebie, nie dotykając się nawzajem. Prześcieradła były sztywne i świeżo uprane, puchowa kołdra lekka i miękka.

Zerknęłam w ciemności na jego twarz. Głowę miał odwróconą, szyja była odsłonięta. Gdzieś pod skórą tętniła krew i chciałam przytknąć palce do miejsca pod żuchwą, tak jak się sprawdza, czy ktoś naprawdę umarł, żeby wyczuć tam oznaki życia.

*

Nazajutrz rano światło w pokoju było przyćmione, promienie słońca nie docierały do niego bezpośrednio. Ujrzałam niewidoczne w nocy spirale ozdobnej metalowej ramy łóżka, pomalowanej błyszczącą czarną farbą, spod której wyłaziły warstwy poprzedniego koloru – szarego i bladoniebieskiego. Na podłodze obok łóżka stała prawie pusta szklanka z wodą oraz gazeta otwarta na stronie z krzyżówką, do której rozwiązania brakowało tylko jednego hasła.

W sypialni, podobnie jak w całym mieszkaniu – z wyjątkiem tego jednego plakatu w korytarzu – ściany były puste, nieme.

Kurtyna nocnej ciszy uniosła się, ale w mieszkaniu nadal panował spokój. Zostałam w łóżku, na wpół siedząc i nasłuchując kroków Richarda, lecz nie dotarł do mnie żaden dźwięk. Po kilku minutach klucze zazgrzytały jeden po drugim w czterech zamkach i otworzyły się frontowe drzwi, przynosząc odgłos kroków, szmer stawianych na szafce papierowych toreb i słaby plask gazety o kuchenny blat. Doszły do tego inne dźwięki, później bulgotanie kawy w ekspresie.

Wygramoliłam się z łóżka i wyszłam z sypialni. Moje dzinsy rzucone na oparcie fotela stanowiły jedyną oznakę nieporządku w salonie. Pościel zniknęła z kanapy. Richard milczał. Wzięłam spodnie i zamknęłam się w łazience, żeby wziąć prysznic. Woda trysnęła gwałtownie, szybkim i bardzo gorącym strumieniem. Żółty szampon miał zapach grejpfruta, który nocą czułam na poduszce.

Gdy weszłam z mokrymi włosami do kuchni, Richard stał przy blacie, pijąc kawę i czytając gazetę. W spojrzeniu, które mi posłał,

wrogość łączyła się z pożądaniem. Szybko spuścił wzrok i wygładził czytaną stronę.

– Jest kawa – rzekł obojętnym głosem.

Nalałam sobie trochę.

Usiadł z gazetą w dłoni. Pod oknem stał czarny kwadratowy stolik, oddzielony od reszty kuchni wysoką półką. Tego rodzaju napięcia spodziewałabym się, gdybyśmy się przespali i teraz tego żalowali, ale tak się nie stało. Łóżko Richarda było szerokie i zdołaliśmy zasnąć w sporej odległości od siebie, chociaż obudziłam się, leżąc niemal na jego stronie.

Przewertował gazetę.

– Przepraszam za wczorajszą noc – powiedziałam. – Nie chciałam ci się narzucać.

– Nie masz za co przepraszać – odparł pośpiesznie, a w jego głosie pobrzmiwała serdeczność. – Nic się nie stało. – Popatrzył na mnie i dodał pojednawczo: – A więc promenada. Jest ładny dzień. W sam raz na spacer. – Niebo za oknem było błękitne.

– Dobrze.

Wyglądał na zadowolonego.

– Pozwól tylko, że najpierw załatwię jedną sprawę. Zaraz wrócę.

– Jasne – odparł. – Zaczekam.

*

Kserokopiarnia znajdowała się kilka przecznic dalej; poprzedniego wieczoru minęłam ją w drodze do domu Richarda. Rząd kopiarek stał przy szklanej ścianie od frontu. Gdy weszłam, było pusto – tylko wyglądająca na studentkę dziewczyna kopiowała w wielu egzemplarzach strony kołonoatnika. W jaskrawym świetle lamp jej twarz wyglądała blado i jedynie na policzkach malował się sztuczny morelowy rumieniec rozjaśniony blaskiem jarzeniówek.

Wybrałam kopiarke stojącą najdalej od niej. Wrzuciłam monety, wydobyłam z koperty zdjęcie Maeve w atelier i umieściłam je na szybie. Guziki maszyny były oblepione brudem. Wcisnęłam funkcję POWIĘKSZ. Oryginalne zdjęcie było drobnoziarniste. Powiększenie, które wyszło z koparki, miało większe ziarno, lecz ukazywało więcej

szczegółów. Ale i tak okazało się zbyt małe. Położyłam powiększoną kopię na szybie i przycisnęłam ten sam guzik. Po ponownym powtórzeniu tego procesu obrazy wiszące na drugim planie i ten na sztalugach zmieniły się niemal w zestawy pikselowych kropek, ale byłam pewna, że na dwóch – na tym z drzewem i na jednym ze szrafowanych, przypominającym szkarłatno-biały obraz Fleur, który widziałam w Whitney – mogę odczytać widoczną u dołu sygnaturę. Róg obrazu z trójkątem był zasłonięty.

MW. Dwie litery w prawym dolnym rogu, ich wzajemnie odwrócone, zwierciadlane obrazy. Maeve Wheeler. A może w tamtych czasach, kiedykolwiek to było, nazywała się inaczej. Zastanawiałam się, gdzie mieściło się to atelier, skąd dochodziło światło przenikające przez cienkie zasłony w oknie. Eve zdradziła mi, że Maeve pochodzi ze Środkowego Zachodu. „Z jakiegoś zadziwiającego miejsca” – powiedziała z zatroskaną miną. Wyobraziłam sobie Idaho lub Nebraskę, jeden z tych wielkich, kwadratowych i płaskich stanów, gdzie wiatr mógł pędzić bez przeszkód przez wiele kilometrów.

Ktoś wystraszył mnie niespodziewanym kasznięciem. Okazało się, że to tylko gość za ladą. Nie zwracał na mnie uwagi. Tymczasem na kserokopiarce zebrała się mała sterta kartek, kopii obrazów ze zdjęcia. Nie wypadało ich zostawić w koszu na śmieci. Złożyłam je byle jak. W kopiarni była jedna maszyna do reprodukcji barwnych. Uniosłam jej pokrywę i spostrzegłam, że na szybie jest jakaś plama przypominająca ślad po rozlanej kawie.

– Nie mam pojęcia, co to jest. Nie chce zejść – powiedział mężczyzna za ladą, nie podnosząc wzroku.

Wróciłam do swojej kopiarki i wyciągnęłam z koperty zdjęcie Ingrid. Jego kopia, która wysunęła się z maszyny, stanowiła kontrastową translację oryginału, wszystkie elementy w kolorze delikatnego błękitu i żółci zmieniły się w biel i czern. Ów niewielki prostokąt ulokowany wysoko u góry białej kartki wyglądał równie kiepsko jak powiększone odbitki drugiego zdjęcia. Odległe budynki za Ingrid zatarły się w niewyraźny maswerk szarości. Kopia w ogóle nie przypominała oryginału. Wiedziałam, że nadejdzie moment, gdy będę musiała zwrócić zdjęcie Fleur. Marna była ta namiastka.

– Kilka przecznic stąd jest Kinko's – odpowiedział mi mężczyzna, gdy chowałam wszystko do torebki. Wciąż wpatrywał się w ekran komputera. – Chyba mają maszynę do reprodukcji barwnych.

– Proszę się nie przejmować – odparłam.

– Słucham? – zapytał, podnosząc wreszcie wzrok. Nie wiedziałam, czy chodziło o mój akcent, czy po prostu reakcja na jego komentarz wywołała takie zdziwienie.

– Nieważne. Dzięki.

Nie potrafiłam wymyślić, co mam powiedzieć Greyowi przez telefon bądź napisać w e-mailu, więc po prostu kilka dni później zjawiłam się w jego mieszkaniu – o tej samej porannej porze co podczas ostatniej wizyty; podobne zimne światło słońca przeganiało ślady mgły, padając pod innym o tej porze roku kątem. I znowu oznajmiłam o swojej wizycie temu samemu portierowi siedzącemu za masywnym granitowym biurkiem w foyer. Gdy telefonował do mieszkania, zastanawiałam się, co zrobię, jeżeli Grey nie będzie chciał mnie przyjąć – ale pomyślałam, że przecież nie ma ku temu powodu. Ich rozmowa była bardzo krótka i po chwili podeszłam do windy i pojechałam prosto na górę.

– Julia. Co za niespodziewany zaszczyt. – Grey miał na sobie ciemnopopielaty garnitur, węzeł jego czarnego krawata był poluzowany.
– Proszę, wejdz.

W mieszkaniu panowała cisza. Pokrywa klawiatury fortepianu była opuszczona; czy tak samo jak poprzednim razem?

Grey stąpał tak lekko – te delikatne dłonie, brak gwałtownych ruchów, wszystkie płynne i przemyślane – że nie potrafiłam dopatrzeć się w tym człowieku sprawcy obrażeń z polaroidowego zdjęcia schowanego w szafie Richarda. Ślad brutalnej siły w postaci siniaka, jego ponura realność. Obserwując z drugiego końca pokoju, jak krząta się po kuchni, uświadomiłam sobie, że szybko opadają mnie wątpliwości. Ingrid powiedziała, że upadła; a jeśli Richard mylił się we wszystkim? Wyobrazenie sobie stojącego przede mną Greya w akcie fizycznej przemocy zakrawało na obrazę dla jego gościnności. Wzdrygnęłam się na tę myśl i puściłam ją w niepamięć.

Grey nie zapytał, dlaczego przyszłam, i chyba było mu to obojętne; tak jakby, podobnie jak ostatnim razem, spodziewał się mojej wizyty. Bez pytania nalał mi wody gazowanej z wyjętej z lodówki niebieskiej butelki. Miała słonawy smak, bąbelki były maleńkie i drażniły gardło. Usiedliśmy w salonie w tym samym miejscu co ostatnio. Pochyliwszy głowę, zerknął na zegarek.

– Wczesnym popołudniem mam być w muzeum na spotkaniu. –

Spojrzał na poręcz swojego fotela. – Wiadomość o twojej ciotce bardzo mnie zmartwiła. – Napotkałam jego wzrok i zaskoczył mnie wyraz współczucia na jego twarzy. Posłał mi blady uśmiech. – I cieszę się, że teraz dobrze się czuje. Moja matka zmarła, gdy byłem twoim rówieśnikiem. To była dla mnie katastrofa.

– Rozumiem.

– I niedługo potem... – Głos Greya stał się niewyraźny.

Słowa, których nie potrafiłam zawczasu wymyślić ani przećwiczyć, teraz przychodziły z łatwością.

– Przypuszczam, że w pewnym sensie przywołało to wspomnienia – odparłam zgodnie z prawdą. Znowu próbowałam znaleźć Ingrid w tym zimnym pokoju. Wydawał się ciemniejszy niż ostatnim razem. Nie było jej tam.

Grey patrzył na mnie, lecz w jego spojrzeniu nie kryła się denerwująca litość, która sprawiła, że po jedenastym wrześniu unikałam sąsiadów Marka. Ze współczuciem w takiej postaci mogłam sobie poradzić. Żadnego „Pewnie czujesz...”; zamiast tego, o dziwo, wrażliwość na to, co rzeczywiście czułam, lecz tak wyniosła, że tchnąca niemal chłodem. Po raz pierwszy odniosłam wrażenie, że mam z nim coś wspólnego, i zazdrościłam mu, że tak umiejętnie strzeże własnych uczuć, iż prawie w ogóle tego nie widać.

– Byłam w drodze do muzeum. Do Metropolitan. – Właśnie to ogólne wyjaśnienie przygotowałam, na wypadek gdyby zapytał, co tutaj robię.

– Rozumiem. – Odchrząknął. – Okazuje się, że Ingrid zostawiła tam trochę pieniędzy.

Jego słowa wywołały na chwilę wyobrażenie portmonetki Ingrid leżącej na ławce w jednej z niezliczonych sal muzeum oraz wysypujących się z niej banknotów i monet.

– Zapis na rzecz działu starożytności – wyjaśnił.

– Mają tam zwoje z klątwami? – zapytałam, potem jednak mogłam myśleć jedynie o postaci przebijającej włócznią jelenia, o bezradnym zwierzęciu, o tym, jak blednące światło padało tamtego dnia na włosy Jonesa, gdy wyciągnął swój czarny notes. Zamrugałam.

Grey spojrzał mi w oczy bardzo surowo i po kilku sekundach

rzekł:

– To ogólny zapis na rzecz tego działu. – Zawahał się. – Nie zdawałem sobie sprawy, że jesteś tak dobrze zorientowana w jej badaniach. Chyba powinienem był o tym wiedzieć.

– Rozmawiałam z paroma osobami na wydziale Columbii... które z nią studiowały. I z wykładowcami.

Grey skinął głową.

– To świetny wydział. Poniósł dotkliwą stratę. – Nie zapytał, z kim dokładnie rozmawiałam.

– Wiem, że to dziwna prośba, i nie chcę się narzucać, przepraszam... zastanawiałam się po prostu... pokój Ingrid... pozwolisz, że... mogłabym znowu go obejrzeć?

Gdy wstawał, miał kamienny wyraz twarzy.

– Oczywiście.

– Trudno jest... zapomnieć...

Wstałam niezdarnie. Znowu powiedziałam prawdę, ale to wszystko było kłamstwem, uwłaczało jego gościnności i współczuciu. Poczucie winy spowolniło moje ruchy. Grey czekał u stóp schodów z ręką na poręczy.

– Oczywiście – powtórzył. Stałam obok, gotowa się wspiąć na pierwszy stopień. – Jakie to smutne, że nie utrzymywałyście bliższych kontaktów po naszym ślubie.

Znieruchomiałam.

– To smutne, ale nieuchronne, prawda? Taka duża odległość siłą rzeczy... – szukał odpowiedniego słowa – ...źle wpływa na znajomość. – Uśmiechnął się życzliwie z nieznośnie rozbijającą szczerością. Jego oczy były jak zawsze zimne i przenikliwe. – Wówczas nie myśleliśmy o tych sprawach... tak trudno przewidzieć przyszłość. Ale wiem, że wiele dla niej znaczyłaś.

Było to wyzwanie, którego się bałam i któremu stawiałam dotąd czoło tylko w wyobraźni. Szłam po schodach powoli, ze spuszczonym wzrokiem. Wydawało się, że – kanciaste i białe jak przedtem – nie mają końca. Rzeźbiona kość. Łatwo było się na nich poślizgnąć i złamać zebro albo rękę w nadgarstku. Nie oglądałam się na Greya; gdy dotarłam na podest, usłyszałam, jak kroczy cicho w stronę swego gabinetu.

Pokój się zmienił. Komoda zniknęła i na pierwszy rzut oka nie widać było przedmiotów, które na niej spoczywały. Biurko wciąż stało przy oknie, teraz jednak leżał na nim stos innych notatników i podręczników oraz sterta czasopism. Zauważyłam małą amforę oraz popielniczkę w kolorze błękitu kobaltowego. Czuć było słabą woń papierosów. Podciągnęłam roletę. Szezlong stał pod nieco innym kątem, jego zielone lniane obicie przykryto piękną indyjską tkaniną pozszywaną ze skrawków w różnych odcieniach rdzawej czerwieni i szkarłatu, tu i ówdzie na jej powierzchni lśniły maleńkie lusterka.

Książki Ingrid nadal – z tego, co zapamiętałam – stały na regale, a na najniższej półce zauważyłam papiery, które przedtem znajdowały się na biurku. Terminarz też tam leżał, wciśnięty między jakieś teczki. Uklęknęłam, wyciągnęłam go szybkim ruchem i wepchnęłam na dno torebki pod książkę, rękawiczki i portfel.

Richard chciał, żebym przyniosła coś w zamian, książkę w takim samym formacie i kolorze, która pasowałaby do terminarza i tym samym pozwoliła ukryć fakt, że został zabrany.

– Mogłabyś chyba kupić podobny wzór – powiedział. – Sądząc z opisu, to po prostu filofax lub jeden z notatników tego typu.

Wydawało się, że to dobry pomysł – wiedziałam, jak ważne jest pozostawienie wszystkiego na swoim miejscu – ale nie chciałam być zmuszona do zanoszenia go z powrotem w celu ponownej zamiany.

– A jeśli jednak zauważą, że zniknął, że to nie ten sam notatnik? – zapytałam. – Czyż znalezienie fałszywki nie wywołałoby gorszego wrażenia? Jeżeli go tam nie będzie, mógł zaginąć. Ale pusty terminarz... byłby dowodem, że oryginał został zabrany. – W końcu Richard się ze mną zgodził.

Bez terminarza półka wyglądała podobnie. Pamiętając, jak Grey się wzbraniał przed wejściem do tego pokoju ostatnim razem, liczyłam na to, że tam nie wchodzi, lecz teraz istniało spore prawdopodobieństwo, że z pokoju korzysta Fleur. Usiadłam przy biurku i patrząc przez okno, odczekałam kilka minut, zanim wyszłam.

Grey usłyszał, że schodzę, i wyszedł mi na spotkanie ze swojego gabinetu.

– Czy z tego pokoju korzysta teraz Fleur? – zapytałam.

– O tak. Zapomniałem o tym powiedzieć. – Grey wsparł dłonie na biodrach, rozsuwając poły marynarki. – Nie byłem pewien, co z nim zrobić. – Skrzywił się lekko. – Pozostawienie go w takim stanie... to nie mogło trwać wiecznie. A Fleur powiedziała, że chętnie wykorzysta go na pokój do nauki. Wydawało się, że to dobry pomysł.

Skinęłam głową.

– Nie żeby tam zakuwała. Z tego, co widzę, sporo za to rozmawia przez telefon. Wydaje się wręcz, że bez przerwy.

Jego uśmiech był pełen wdzięku i autoironii; takim zapamiętałam go z pierwszej kolacji, gdy Grey mówił o Fleur. Dumny, irytujący, pełen uwielbienia. To wszystko mogło być grą albo mogło istnieć wraz z całą resztą: wykorzystywaniem dziecka i umiejętnym naginaniem zasad. Mógł sobie wyobrażać, że sława i dobra opinia, których wraz z Maeve przysporzył córce, są nieocenionym darem, aktem miłości.

Gdyby choć raz popatrzył na mnie z prawdziwym ciepłem, być może uległabym czarowi jego dobrych manier i urody. W pewnym sensie chciałam ulec, żeby wreszcie położyć tamę podejrzeniom Richarda, żeby pogodzić się z wersją, którą starała się nam „wcisnąć” Ingrid. Przecież we wnętrzach, chociaż silna i wysportowana, była niezdarna; każde lokum ze schodami stanowiło dla niej potencjalne zagrożenie. Spojrzenie Greya pozostało jednak chłodne, a widok jego spoczywających na biodrach dłoni nappełnił mnie zgrozą, gdy pomyślałam, jaki mógł czynić z nich użytek.

– Dzięki, Gil. – Nie po raz pierwszy wymówiłam jego imię, ale wciąż źle się z tym czułam.

– Mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy.

Zanim dotarłam do drzwi, zapytałam:

– Jak się miewa Maeve?

– Dobrze. – Zrobił pauzę. – To był dla niej straszny cios.

Traktowała Ingrid jak córkę... – Zawahał się, dostrzegając chyba osobliwość faktu, że jego przyjaciółka i rówieśnica traktowała w ten sposób jego żonę. – Albo siostrę – ciągnął – lub siostrzenicę... to się dało wyczuć. Myślę, że teraz, cóż, znajdzie wewnętrzny spokój. Na pewno bardzo chętnie by się z tobą spotkała.

Otworzył mi drzwi.

– A więc do widzenia. Mam nadzieję, że twoja wizyta w muzeum będzie udana. Czeka cię przyjemny spacer przez park.

*

Strach, nad którym zdołałam zapanować w pokoju Ingrid, wdarł się do mojego serca, gdy tylko weszłam do windy; oblał mnie pot. Ktoś wyssał z kabiny cały tlen. Winda mijala kolejne piętra i dopiero gdy rozsunęły się drzwi, mogłam znowu odetchnąć.

Jak zapowiedział Grey, spacer przez przywdziewający zimową szarość park, w którym trawa traciła zielony kolor, a drzewa odsłaniały swe pónagie gałęzie, był bardzo przyjemny. Dopiero ujrawszy tyły gmachu Metropolitan Museum, przystanęłam, żeby się zastanowić, dokąd właściwie idę. Niegotowa do wędrówki przez sale działu starożytności lub uzbrojenia zawróciłam i ruszyłam na zachód. Richard spędzał ten dzień w Nowojorskiej Bibliotece Publicznej w związku z przekładem, nad którym pracował, sprawdzając tekst w kilku źródłach. Zamierzaliśmy się później zobaczyć w jego mieszkaniu, ale nie przychodził mi do głowy żaden inny pomysł poza spotkaniem się z nim już teraz.

Na stacji przy Czterdziestej Drugiej Ulicy, w pobliżu której znajdowała się biblioteka, szłam z peronu do wyjścia tunelem ozdobionym niedawno mozaiką. Korzenie drzewa sięgały białych ścian na kawałkach złotobrazowych kafelków niczym roślinny ornament z obrazu Klimta. Lśniące zielone liście opadały na drugą stronę. W cienkiej płycie z szarego granitu wyryto wers z Owidiusza i usłyszałam głos Ingrid recytującej słowa: *Gutta cavat lapidem* – kropla drąży skałę. W zestawieniu z betonowym chodnikiem zaśmieconym papierami i plastikowymi opakowaniami wszystkie te kafelki wyglądały na niesamowicie czyste.

Wielka kamienno-marmurowa bryła biblioteki ciągnęła się przez cały kwartał Piątej Alei między Czterdziestą Pierwszą a Czterdziestą Drugą Ulicą. Na schodach prowadzących do wejścia wysychały płytkie kałuże: woda drążąca skałę. Dopiero w holu głównym przypomniałam sobie, że to przecież duża biblioteka, a Richard nie powiedział, w której z wielu sal i pomieszczeń ze zbiorami zastrzeżonymi będzie pracował.

Poszłam na piętro, pokonując długie kamienne schody, i znalazłam się w Czytelnicy Różowej. Wydawało mi się, że to najlepsze miejsce do rozpoczęcia poszukiwań lub przynajmniej sprawdzenia, a jeżeli go tam nie będzie, mogę znaleźć jakiś automat i usiąść z kawą w Bryant Park.

Drewniane przejście otwierało dostęp do rozbrzmiewającej echem kroków sali z rzędami biurek i świecących lamp; dąb i złoto. Wokół mnie stali lub siedzieli ludzie wpatrzeni w wyświetlający numery ekran, informujący o pojawieniu się zamówionej przez nich książki z regałów poniżej. Atmosfera tego kombinatu dla myślących, czytających i oczekujących działała kojąco. Szłam powoli środkowym przejściem, szukając wśród masy czytelników siedzących przy długich biurkach ciemnowłosej głowy Richarda. W kadrze ogromnego łukowatego okna widać było fragment zwieńczenia Chrysler Building z grotami i łukami, przypominający pękniętą koronę. Patrzyłam na wieżowiec, zapomniawszy o skradzionym terminarzu w mojej torebce, gdy usłyszałam z boku znajomy głos.

Był to głos Jonesa. Jego dłoń zetknęła się na sekundę z moim łokciem i nie miałam pewności, czy to dotknięcie, czy też głos uświadomił mi, że to właśnie on. Staliśmy i patrzyliśmy na siebie.

– Cóż – powiedział w końcu. – Miło mi, że wpadłaś się ze mną zobaczyć.

Spojrzałam na niego, marszcząc brwi.

– Sprawdzam swoją pocztę – wymamrotałam, dostrzegłszy kątem oka rzędy ludzi siedzących przed komputerami z jednej strony sali.

Jones popatrzył na zegar na przeciwległej ścianie.

– Chodźmy coś zjeść. Jesteś głodna? – Trzymał w ręce dużą księgę w wytartej skórzanej oprawie, która wyglądała na zbyt starą, żeby można ją było wyjmować z futerału ochronnego. – Daj mi tylko chwilę na zwrot tego.

Zabrał swą czarną teczkę z krzesła przy biurku parę rzędów dalej, pozostawiając na nim stos notatek, książek oraz długopisów, i wrócił do mnie. Rozejrzałam się szybko za Richardem. Chyba go tutaj nie było. Wyobraziłam go sobie w jakiejś mniejszej, ciemniejszej sali w głębi korytarza – gdzie ściągano książki przy użyciu drabin, które jeździły po podłodze na kółkach, i prawdopodobnie dawano rękawiczki – jak czyta

przy biurku, mając przed sobą pięć różnych wydań przekładanego tekstu.

Jones włożył wełniany płaszcz na swój jasny garnitur. Miał płowy kolor. Jak jelenie podbrzusze.

– Na co się tak patrzysz? – zapytał, gdy spostrzegł, że mu się przyglądam. Pokręciłam głową.

Barokowy sufit z nieskończoną ilością nisz i szpalerem nagich, niemych kobiet dzierżących wysoko sztandary. Kupidyn o obojętnym spojrzeniu pod obliczem satyra. Przeszliśmy między rzędami biurek i czytających, drogę ku drzwiom oświetlały nam żyrandole, a niebo namalowane nad naszymi głowami płonęło jaskrawym blaskiem.

Zjedliśmy coś w małym barze przy następnej przecznicy, ściśnięci w tłumie gości przy małym stoliku. Jones przez cały czas był czarujący i uparł się, żeby zamówić mi na deser duży kawałek tortu czekoladowego. Nie chciał, bym się z nim podzieliła, i obserwował z wyraźnie erotyczną fascynacją, jak go pałaszuję. Tort był ciemny, wysokokaloryczny i nie dość słodki.

– Jesteś strasznie wyciszona – zauważył, gdy znaleźliśmy się na ulicy, i zapalił papierosa. Spojrzał na mnie kątem oka i ruszył z powrotem w stronę biblioteki. Poszłam razem z nim.

– Mam nadzieję, że wszystko w porządku.

Skinęłam głową. Przez całe czterdzieści minut spędzone w jego towarzystwie prawie w ogóle się nie odzywałam. Podziałało to na mnie dziwnie uspokajająco. Miałam wrażenie, że słowa czekają gdzieś w pobliżu, wstrzymując oddech od czasu jazdy w dusznej windzie z mieszkania Greya.

Gdy zaczęliśmy się piąć po monumentalnych schodach przed biblioteką, przystanąłam. On też się zatrzymał.

– Słuchaj, dziś wieczorem jestem zajęty – powiedział przepraszającym tonem. – Ale jutro... może umówimy się na drinka?

Staliśmy obok jednego z pary olbrzymich, pięknych i niewzruszonych kamiennych lwów, które strzegły wejścia. Spojrzałam na leżącego naprzeciw mnie króla zwierząt. Jakaś dziewczyna pozowała przed nim do zdjęcia, naśladując lwi ryk i unosząc ręce w drapieżnym geście. Jej przyjaciel z aparatem znieruchomiał i obserwując ją bacznie,

nacisnął spust migawki.

Jones spojrział na mnie i uniósł kącik ust w lekkim uśmiechu. Dotknął mojej ręki i poczułam ten dotyk w całym ciele. Pomyślałam o Richardzie siedzącym gdzieś w bibliotece, ale nie chciałam iść za Jonesem. Ten odwrócił się i żwawym krokiem ruszył po schodach ku drzwiom budynku. Poszłam z wolna aleją w przeciwnym kierunku.

*

Kiedy Richard dotarł w końcu do domu, zastał mnie czekającą przed wejściem. Do uzgodnionej pory spotkania pozostała jeszcze godzina.

– Cześć – rzekł ze spokojnym wyrazem twarzy.

Nadal nie miałam ochoty rozmawiać.

Wczesnym wieczorem w mieszkaniu robiło się coraz ciemniej i Richard zapalił lampy. Szarej koperty nie było widać, chociaż zostawiłam ją u niego. Nasza wycieczka na promenadę sprzed kilku dni nie przyniosła rozstrzygnięcia; gdy już tam dotarliśmy, nie wykazał większego zainteresowania porównywaniem zdjęcia z widokiem z promenady i mówił tylko: „Być może”, „Możliwe” lub przyjmował moje sugestie w milczeniu. Spędził sporo czasu, stojąc przy balustradzie i spoglądając w kierunku mostu oraz skrzących się w słońcu budynków w środku Manhattanu. Dałam mu wtedy zestaw powiększonych fotokopii. Przejrzał je z kamiennym wyrazem twarzy i stwierdził: „Jest tak, jak się spodziewałem”.

Usiedliśmy teraz przy stole w świetle lampy. Wyciągnęłam z torebki terminarz Ingrid i podsunęłam go Richardowi. Przewrócił kilka stron i znalazł zapisek z jedenastego września. Patrzył na niego przez chwilę i cofnął się o jedną, potem o dwie strony, przyglądając się bacznie innym wpisom, po czym znowu spojrział na stronę z feralnego dnia.

– Używała kilku różnych długopisów, ale wydaje się, że lubiła ten niebieski, dość grubo piszący. Tym samym długopisem sporządzono wiele innych notatek.

Skinęłam głową.

– Nie wiem, czy powiedziałbym to pod przysięgą w sądzie – dodał

– ale nie jestem pewien, czy to jej charakter pisma.

– Ale... myślisz, że to jej pismo czy nie? – Mój głos brzmiał chrapliwie.

Richard wzruszył ramionami.

– Widać brak konsekwencji... to mógłby być brak konsekwencji... w budowie litery „a”, minuskuły.

Obrócił terminarz i wskazał mi to palcem na kartce. Popatrzyłam na tę literę, a potem na niektóre wpisy z wcześniejszych dni. W paru z nich kółko „a” było zamknięte laseczką; w innych wydawało się, że tak nie jest.

– Powinienem był o tym pomyśleć – powiedział do siebie, odchylając się na krześle. – Charakter pisma Greya. Muszę to z czymś porównać.

– Cóż, nie wrócę tam, żeby zwinąć coś jeszcze, jeżeli to ci chodzi po głowie.

– Nie. W porządku. Mogą być inne sposoby. Tak przypuszczam.

– Nie podoba mi się to.

Richard spojrzał na mnie.

– Takie czytanie jej terminarza. Mam wrażenie, że to niestosowne.

– To przecież nie jest pamiętnik... jedynie wykaz godzin i dat.

– Wiem. Ale i tak źle się z tym czuję.

Nic nie powiedział.

– Ty robisz to stale... czytanie rzeczy, które nie były przeznaczone dla twoich oczu, i poddawanie ich analizie to twoja praca. Rozgryzanie ludzkich tajemnic. Aleja nie jestem do tego przyzwyczajona.

Leżący na stole terminarz wydawał się niewielki, lecz śmierć Ingrid przydała mu wagi, ciężaru większego, niż powinien mieć.

– Jeśli chcesz, możesz go zostawić u mnie.

– Nie to miałam na myśli.

Znowu pole widzenia wypełnił mi ciemnoszkarłatny siniak na ciele Ingrid. Zacisnęłam na moment powieki. Obraz nie chciał zniknąć.

– A zresztą co ja o tobie wiem? – zapytałam.

Richard się zasępił.

– Snujesz jakieś zupełnie obłąkańcze myśli. Zmusiłeś mnie, żebym ci pomogła... sam przecież wciągnąłeś mnie w to szaleństwo.

– A ty przyniosłaś mi te rzeczy, rysunki od Trinh. Co chciałaś tym osiągnąć?

– Nie wiem. Nie wiem, co sobie wyobrażałam. – Zapomniałam o myśli, która mi towarzyszyła, gdy tamtego wieczoru przyjechałam tu metrem: że z jakiegoś powodu darzę go pełnym zaufaniem. Teraz wydawało się, że moich poczynań nie sposób zrozumieć. Sądzę, że nawet wtedy nie chciałam, by jego podejrzenia okazały się trafne, i złościłam się na niego zupełnie niesłusznie. Moje słowa brały się jednak skądinąd, głos brzmiał trochę obco. – Nic o tobie nie wiem oprócz tego, że otrzymałeś nakaz sądowy ograniczający twoje kontakty z Greyem. Ty zaś... pewnie ci się wydaje, że wiesz o mnie wszystko, prawda?

– Nie.

– Masz chyba jeszcze ten list, który do ciebie napisałam? Ten, który zostawiłam w drzwiach twojego mieszkania? Przechowujesz go gdzieś? – Richard poruszył się na krześle.

– Tak myślałam. Sądzę też, że dzięki niemu stworzyłeś pełny profil mojej osoby.

Zamknął terminarz.

– Ale nic o mnie nie wiesz – ciągnęłam. – A ja nic nie wiem o tobie. Spójrz na to mieszkanie... przypomina hotel lub biuro. Sama nie wiem... – Usiłowałam coś wymyślić. – Wiem jedynie, że pijesz whisky, ale nawet to może być tylko pozorem. Może masz ukryty zapas innych trunków, jakieś czerwone wino w zamkniętej na klucz szafce. Nie wiem, kim jesteś, skąd przyjechałeś, jaki jest twój ulubiony kolor.

– Mój ulubiony kolor? – zdziwił się Richard. – Jesteś z policji?

– Nie traktuj mnie protekcjonalnie.

– To prawda – rzekł po chwili bardzo oficjalnym tonem. – Nie wtajemniczam ludzi w swoje sprawy.

– Ale kochałeś ją. Ingrid.

Spuściwszy wzrok, wsparł czoło na dłoni. Wzięłam torebkę i wyszłam, zostawiając mu wszystko – kopertę, zdjęcia i terminarz.

*

Matt był w domu. Siedząc na kanapie, oglądał telewizję.

– Cześć! – zawołał. – Na blacie w kuchni masz resztę obiadu.

Napełniłam miskę smażonym ryżem z kubelka w papierowej torbie i przysiadłam obok Matta. Puszczali *Okno na podwórze*; rozpoznałam ujęcie z kamienicą, która staje się miejscem zbrodni, rzędy okien, a w jednym z nich widoczna blondynka z końskim ogonem wykonująca ćwiczenia baletowe. James Stewart spoglądał na nią tęsknym wzrokiem z wózka inwalidzkiego po drugiej stronie dziedzińca.

– Patrz – rzekł Matt, wskazując telewizor.

– Wspaniały – odparłam całkiem nieszczerze.

– Wiem – powiedział z radością. – To maraton filmów Hitchcocka. Właśnie obejrzałem *Ptaki*. Następny jest *Zawrót głowy*.

Niechętnie rozsiadłam się na kanapie.

– Co porabiałaś? – zapytał.

– Nie pytaj.

– Od paru wieczorów nie widuję boskiego pana Jonesa.

– Jego żona wróciła.

– Niemożliwe! Ejże, jeśli nadal cię to interesuje, to ten artysta wciąż szuka asystentki. Nazywa się Carson. Sądzę, że polubiłby cię. Jest trochę, no wiesz, chimeryczny, ale ty dobrze sobie radzisz z ludźmi.

Spojrzałam na niego.

– Dobra. Z nim dałabyś sobie radę. Zaczęłabyś w przyszłym miesiącu. Przemyśl to.

Obiecałam, że się zastanowię. Myśl o podjęciu pracy była interesująca, choć miałam wątpliwość, czy jeszcze silniejsze wiązanie się ze światem sztuki jest rozsądne. Wiedziałam, że to nie jest szansa na karierę, lecz dzięki temu mogłabym zostać w Nowym Jorku na własnych warunkach.

– Jeżeli zostaniesz tu znacznie dłużej, będziesz musiała od czasu do czasu podlewać kwiaty – zastrzegł Matt.

– Cokolwiek robisz, nie proś mnie o to.

– Jasne. Powiem Carsonowi, że cię to interesuje. Ucieszy się na wieść, że nie jesteś początkującą artystką.

Roześmiałam się.

– Ale tak poważnie, mogę tu nadal mieszkać? – Kiedy pobyt tutaj, zastanawiałam się, z nocowania stał się mieszkaniem?

Matt wzruszył ramionami.

– Tak długo, jak zechcesz.

Grace Kelly skłoniła nas do milczenia, pojawiwszy się na ekranie.

*

Po zakończeniu *Zawrotu głowy* wlażłam do łóżka i we śnie natrafiłam na Ingrid, której twarz stała się obliczem nieszczęsnej Carlotty spoglądającej na Kim Novak z portretu na ścianie muzeum, z bukietem kwiatów w dłoni i w lawendowej sukience okrywającej posiniaczony bok. Jej ręce były białe, a bukiet wydawał się za mały, jakby brakowało w nim kilku kwiatów. Fiołków? Bratków? Były szkarłatno-żółto-zielone, miały barwę zebranej pod stłuczoną skórą krwi. Uśmiechała się do mnie ze smutkiem.

*

Kiedy rano wstałam, pod frontowymi drzwiami leżała wsunięta przez szparę biała koperta – wielkości typowego listu, z moim imieniem wypisanym z wierzchu niebieskim atramentem. Przypominał on atrament, którym Ingrid napisała „Paul, 9”. O ile sama to zrobiła. Oczywiście, że sama, zrugalam siebie, pokręciłam głową, żeby odsunąć tę myśl, i podniosłam kopertę. W środku znajdowała się kartka papieru listowego z zapisanymi dwoma tylko słowami. Pismo Richarda wyglądało niezupełnie tak, jak się spodziewałam. Litery były niezbyt foremne i nie tworzyły idealnie równej linii.

„Smutno mi”.

Odszukałam w portfelu jego wizytówkę i zadzwoniłam pod podany na niej numer.

– W porządku – powiedziałam. – Przepraszam za wczorajszy wieczór.

– Nie ma o czym mówić.

– Postawię ci lunch.

– Dobrze. Będę w bibliotece.

– Gdzie mogę cię znaleźć?

– W czytelnii. Po lewej stronie. Numer sześćset pięćdziesiąt.

Spotkałam się z nim tam i zjedliśmy kanapki w Bryant Park.

Zrobiło się zbyt zimno, by siedzenie na zewnątrz sprawiało przyjemność, więc kuliliśmy się w płaszcach na krzesłach ustawionych na skraju kwadratowego trawnika pośrodku parku. Trawnik był ogrodzony. Wybrukowaną przestrzeń wokół niego wypełniono dobranymi na chybił trafił krzesłami i stolikami podobnymi do naszych. Były wystarczająco lekkie, by dało się je przenosić; połowa została zajęta przez jedzących i czytających ludzi.

– Nie musisz tego ciągnąć, jeśli nie masz ochoty – powiedział. – Rozumiem. To bolesna sprawa. Może nawet byłoby lepiej, gdybyś ją zostawiła.

– Nie, jestem z tobą – odparłam. – Na razie.

– Wczoraj wieczorem byłaś bardzo zdenerwowana.

Przeżuwałam kanapkę. Odkąd ujrzałam Richarda w bibliotece, z głową pochyloną nad czterema książkami rozłożonymi na biurku pod lampą, w pozycji dość podobnej do moich wcześniejszych wyobrażeń, unikałam jego wzroku. Jego ciemne włosy lśniły w świetle lampy, a ja stałam, przyglądając mu się przez moment.

– Poznanie prawdy o tym, co się stało, jest dla mnie bardzo ważne – wyjaśnił. – Ale zdaję sobie sprawę, że to pragnienie może się stać trochę... obsesyjne.

– Obsesyjne – powtórzyłam. – Pod warunkiem że nie jesteś po prostu opętany chęcią poznania jednej jedynej wersji tej historii, której prawdziwość założyłeś.

– Wcale nie chcę, by okazała się prawdziwa – odparł. – Właśnie dlatego dałem wcześniej za wygraną. Niezależnie od faktu, że i tak nigdzie nie mógłbym z tym pójść. Uznałem, że ta wersja jest bardziej makabryczna niż myśl o wypadku.

– Czemu więc nie rezygnujesz z tego teraz? – zapytałam, lecz on milczał, a ja nie potrzebowałam odpowiedzi.

Zaproponowałam, że porozmawiam z Fleur.

– Mogłaby chyba zdobyć dla nas jakieś próbki jego pisma – rzekł Richard.

– Nie chcę jej o to prosić – wyjaśniłam. – Po prostu chcę z nią pogadać.

– Uważaj na nią – ostrzegł. – Nie należę do jej ulubieńców.

– Co przez to rozumiesz? – dociekałam, lecz Richard pokręcił głową i nie odpowiedział.

Żadne z nas nie wspomniało o jego liście. Mogłam się tylko domyślać, jak wiele prawdy o sobie ujawnił w swoim mniemaniu. Ciekawe, ile jeszcze było takich jego śladów w całym mieście. Zauważyłam, że nie nosi kart kredytowych, gdy rankiem zostawił na kuchennym blacie rozłożony portfel. Płacił zawsze gotówką, nie musiał niczego podpisywać. Gdy przyszedłam po niego przed lunchem, na bibliotecznym biurku leżał równy plik żółtych rewersów na książki, które wystukał zawczasu na domowej maszynie, żeby uniknąć konieczności wpisywania szczegółów zamówień własnoręcznie.

Rano zostawiłam ten list w kopercie na moim niezaścielonym łóżku.

*

Richard wrócił do biblioteki, a ja poszłam do Village. Pomyślałam o tym, żeby zatelefonować do Ralpa, i zastanawiałam się, która jest tam godzina. W drodze do domu kupiłam parę rzeczy w minimarkecie oraz w barze i zapukałam do drzwi mieszkania pani Bee.

– Przyniosłam pani zakupy – powiedziałam, gdy mi otworzyła, wręczając jej papierową torbę. W środku było mleko, chleb i jej ulubione kruche ciastka.

– Dzięki – powiedziała. – Właściwie to przed chwilą był u mnie doręczyciel.

– Nie wiedziała pani, że przyjdę? – Uśmiechnęłam się do niej przekornie.

– Zaskoczyłaś mnie.

Zaparzona przez nią herbata była mocna i gorąca. Parzyła mi wargi, więc odstawiłam filiżankę, żeby trochę ostygła.

Fleur wpuściła mnie do atelier i spojrzała na mnie z wyrzutem, wspierając się ręką o ławę stojącą obok kuchennego zlewu. Trzymała w dłoni butelkę coca-coli, małą, staromodną, ze szkła, i napiwszy się, odstawiła ją gwałtownym ruchem.

– Posłuchaj – powiedziała surowym tonem – chcę odzyskać to zdjęcie. Masz mi je przynieść.

– Chcę ci coś pokazać.

Wyjęłam z torebki terminarz Ingrid. Fleur nie poruszyła się, lecz wyglądała tak, jakby chciała się cofnąć.

– Odłóż to.

– Proszę...

– Nie! Wiem, co to jest.

– Chodzi o tamten dzień.

Ustąpiła.

– W porządku.

Otworzyłam terminarz na tej dacie i wręczyłam go Fleur. Patrzyła nań przez chwilę.

– Tato wspomniał, że byłeś u niego. Czy po to tam poszłaś, Julio?

– Głos Fleur brzmiał teraz współczująco. – Jeśli naprawdę zależy ci na czymś, co było własnością Ingrid... mogę coś dla ciebie znaleźć.

Odchrząknęłam.

– Chodzi o umówione spotkanie, które Ingrid zapisała pod tą datą.

– Paul był jej księgowym, doradcą finansowym. Spotykała się z nim raz na jakiś czas. Jego firma mieściła się w World Trade Center. I właśnie z powodu tego spotkania była tamtego dnia w śródmieściu.

– Wiem.

– On zginął – dodała beznamiętnie. – Razem ze wszystkimi pracownikami jego firmy, wszystkimi, którzy byli wówczas w biurze. Tego chciałaś się dowiedzieć?

Odczekałam chwilę.

– Po prostu zastanawiałam się... czy to ci wygląda na jej pismo?

– Taak... sama prowadziła kalendarz. Czasami sekretarka taty pomagała jej w organizacji, odpowiadając na zaproszenia i inne listy,

lecz ona wpisywała w nim wszystko własnoręcznie.

– Więc nie sądzisz... nie sądzisz, że mógł to zapisać ktoś inny?

Fleur zmarszczyła brwi.

– Nie mówię teraz o sekretarce – wyjaśniłam. – Mówię o tym, że ten wpis został dodany... cóż, potem.

– Do czego zmierzasz? – zapytała w końcu.

Włożyłam terminarz z powrotem do torebki.

– Czy możemy o tym po prostu porozmawiać? Fleur, nie jestem pewna... chciałam tylko z tobą pogadać.

– Co ty wyprawiasz?

Jak to określił Richard?

– Chyba... szukam prawdy.

Nawet w moich uszach zabrzmiało to niewłaściwie.

Fleur gapiła się na mnie z niedowierzaniem, a potem powróciła dawna złość.

– Nie sądzisz, że już jej zniknięcie było wystarczająco ciężkim ciosem? Co masz zamiar z tego wysnuć? Gdy byłaś tutaj poprzednio... było inaczej... teraz wszędzie widzisz duchy... nosisz ze sobą terminarz i tworzysz teorie wielkiego spisku?

Milczałam.

– Richard jest obłąkany. Jest po prostu wściekły, bo nie chciała się z nim przespać. Chryste Panie. Myślałam, że skończył już z całym tym gównem.

Fleur chodziła po pracowni i paliła. Dopięła swą colę i wyciągnęła z lodówki piwo. Mnie nie zaproponowała. Lalki stały w kącie małego planu filmowego w drugim końcu pokoju; meble, które tam przedtem widziałam, zniknęły, a ich miejsce zajął miniaturowy telewizor i fotel z regulowanym oparciem. Byłam ciekawa, jaka rozgrywała się tam teraz historia.

– Nie wiem, dlaczego... tak grzebiesz w jej życiu.

Mogłam powiedzieć, że Ingrid była moją przyjaciółką, ale to by zabrzmiało gorzej niż moja wcześniejsza uwaga o szukaniu prawdy.

– W moim też – ciągnęła Fleur. – W życiu nas wszystkich. Ona odeszła.

Wciąż nie miałam pewności, jak dużo Fleur wie – o kopercie,

którą dała mi Trinh; czy wie, że miała ją Ingrid, że ja ją miałam, jakie porozumienie zawarła z Ingrid w całej tej sprawie, jeśli je zawarła. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Czułam niepewność i zawstydzenie.

Fleur napotkała moje spojrzenie i wydało mi się, że jej oczy są o wiele starsze od samej twarzy; były lodowate i wyzbyte blasku; wcześniej nie miałam takiego wrażenia.

– Nie sądzisz po prostu... – Przerwała z braku słów, nie mogąc mówić dalej. Chyba zrezygnowała z prób ich znalezienia i trochę się rozluźniła. Czekałam. – Po prostu oddaj mi to zdjęcie – powiedziała. – Jeżeli chcesz jakąś... pamiątkę... to powiedz. Mam mnóstwo innych fotografii Ingrid. Wyślę ci jedną. Ta ma dla mnie szczególne znaczenie. To wszystko. Ona odeszła, Julio. A teraz idź sobie.

Podeszła ze mną do drzwi i wtedy ku memu zaskoczeniu objęła mnie mocno, krępując mi ręce, i wtuliła twarz w moją szyję.

– Przepraszam – szepnęła.

Próbowałam się poruszyć, położyć dłonie na jej plecach, odpowiedzieć, ale Fleur puściła mnie i się odwróciła.

*

Zadzwoiła do mnie nazajutrz wieczorem.

– Masz ochotę pójść się czegoś napić? Możesz wybrać miejsce.

Spotkałyśmy się w barze przy Bleecker Street, który w końcu sama zaproponowała. Było to po prostu jedno małe pomieszczenie ze szpalerem czerwonych boksów z kłozami zwisającymi z sufitu. Gdy czekałam na przybycie Fleur, barman prowadził po rosyjsku długą beznamiętną rozmowę z jakimś klientem. Kierujący do wyjścia znak nad drzwiami migotał. Znajdowała się nad nim zakrywająca połowę słowa nalepka z napisem EKSPLODUJĄCY.

Fleur miała na sobie płaszcz z kapturem, który okalał jej delikatną twarz. Gdy weszła do środka, zsunęła kaptur z głowy. Usiadłyśmy w narożnym boksie. Zamówiła coca-colę i piła ją przez słomkę.

– Gdy rozmawiałyśmy wczoraj, chyba mnie trochę poniosło – powiedziała, odgarniając włosy za ucho. Znowu wyglądała młodo, a gdy mrugała oczami, widać było, jak ładne ma rzęsy. – Po prostu nadal mi ciężko i czasem bardzo za nią tęsknię.

– Wiem. Przykro mi.

Spojrzała na mnie.

– Wiem, że tobie też jest ciężko... mogę to sobie wyobrazić. Po prostu sędzę, że byłoby lepiej... również dla ciebie... gdybyś odpuściła.

Była uosobieniem spokoju i perswazji. Napiłam się ze swojej szklanki i odparłam:

– Widziałam siniaki na jej ciele. Na zdjęciu.

Fleur uśmiechnęła się do mnie dziwnie, ze znaczącym wyrazem twarzy, w którym ujawniła się jej inteligencja i cząstka dziwnego życia, jakie wiodła do tej pory.

– Widziałas zdjęcie – powiedziała. – Widziałas mnóstwo zdjęć.

Pomyślałam o posiniaczonej skórze, białych schodach i jasnym dywanie, który tak dobrze tłumił dźwięki.

– Słuchaj, Julio – dodała. – To było jej życie.

Naszło mnie wspomnienie pewnej rozmowy z Ingrid, jednej z ostatnich naszych rozmów w cztery oczy przed jej ostatecznym wyjazdem do Nowego Jorku.

„To moje życie – powiedziała wtedy gniewnym tonem. – Nie Alpha. On się zachowuje, jakby... jakby za nie zapłacił – wyrzucała z siebie słowa – jakby je kupił, więc należy do niego... ale tak nie jest”.

„Nie w tym rzecz – odparłam. – On tylko chce, żebyś była szczęśliwa”.

Ingrid westchnęła. „Więc zrozumie. Dam mu czas. Ale przestań się zachowywać jak jego bezrozumny posłaniec”.

Fleur wytrzymała moje spojrzenie z powagą na twarzy.

– Zdjęcia pokazują rozmaite historie. Coś o tym wiem. –

Pomyślałam o lalkach odgrywających swoje dramaty w uszkodzonych wnętrzach, które dla nich tworzyła. – Widziałas wystarczająco dużo, by już teraz wiedzieć: odpuść.

Odwrociłam wzrok. Jej słowa zabrzmiały niczym ostrzeżenie. Zastanawiałam się, jak bardzo powinnam się bać Greya, i pomyślałam o kopercie leżącej gdzieś w szafce u Richarda.

– A tak w ogóle, co ty tutaj robisz? Czemu nie wracasz do domu? – zapytała łagodnym głosem, subtelnie operując ostrzem słów. – Zaufaj mi – dodała. – Ingrid nie chciałaby tego wszystkiego. – Siedziała twarzą

do mnie, jej oczy nadal wyglądały młodo i teraz dostrzegłam w nich coś na kształt paniki. – Proszę cię, odpuść.

– Chronisz go? – zapytałam. – Próbujesz ochronić mnie? Przed czym?

Znowu spojrzała na mnie z niedowierzaniem, które potem ukryła pod maską obojętności.

– Masz to zdjęcie? Chcę również odzyskać terminarz.

– Nie.

Utkwiła we mnie wzrok.

– Chcę je dostać z powrotem. Słuchaj... mam inne.

Wyjęła jakąś kopertę. Zauważyłam w środku kilka zdjęć Ingrid w atelier, uśmiechniętej, siedzącej z poważnym obliczem przy biurku, zza którego padało światło. Fleur nachyliła się ku mnie.

– Nie masz negatywu, drugiej odbitki? – zapytałam.

Wcisnęła mi kopertę do ręki i odparła niemal szeptem:

– Nie pomagasz mi. Możesz wszystko zepsuć.

Odłożyłam zdjęcia na środek stolika.

– Nie interesują mnie twoje sekrety... ani prace malarskie – powiedziałam.

Zmarszczyła brwi. Chwilę przedtem, zanim zmieniła wyraz twarzy, spostrzegłam, że nie myślała o obrazach. Z trudem wytrzymałam jej spojrzenie. W sali zrobiło się nagle duszno. Fleur przełknęła nerwowo ślinę.

– Nie mam pojęcia, co takiego wiesz o obrazach – odparła. – Ani co takiego wiedziała o nich Ingrid. Nie obchodzi mnie to.

– Fleur.

Ona jednak ruszyła już do drzwi baru – z wyrzutem w oczach i twarzą pełną strachu oraz czegoś jeszcze: determinacji.

*

Nazajutrz wieczorem w domu Richarda opisałam moje rozmowy z Fleur. Poprosił, bym jak najdokładniej powtórzyła jej słowa.

Od chwili rozstania z Fleur przypomiinałam je sobie: wypowiedzianą prawie szeptem uwagę o tym, że wszystko zepsuję, i spojrzenie, które oznaczało, że Fleur nie miała na myśli obrazów. To

wspomnienie było jasne i dziwne niczym sen, którego sensu jeszcze nie rozumiałam.

Richard nie wykluczał jednak, że Fleur wiedziała o kopercie, którą otrzymałam od Trinh, i chciała ukryć wszelkie dowody.

– Nie sędzę – powiedziałam.

– Ale co innego mogła mieć na myśli? – zapytał. – Jeżeli pominiemy założenie, że przyczyniła się do morderstwa. A nie sędzę, by tak było. Chyba że po prostu próbuje chronić ojca po fakcie. To nie jest wykluczone. Raczej niezbyt go lubi, ale jest wobec niego lojalna.

W barze miała tak bardzo strapioną minę, tak mocno mnie objęła, gdy wychodziłam z jej mieszkania. „Przepraszam”.

Głos Richarda wyrwał mnie z zamyślenia.

– Nadal widzisz się z Philipem Jonesem?

Nie zapytałam, skąd o tym wie.

– Trudno powiedzieć.

Richard spojrzał na leżącą na stole otwartą gazetę. Wyglądało na to, że czyta cały artykuł, od pierwszej strony do zakończenia na ostatniej stronie.

– Nie lubię go – rzekł w końcu.

– Jonesa?

– Tak.

– Był twoim wykładowcą?

– Tak. – Popatrzył na mnie i dodał: – To bystry gość. Ingrid go uwielbiała.

– Miał więc więcej szczęścia niż ty? – zapytałam z goryczą. Bez względu na to, jaki dramat zazdrości się tutaj rozgrywał, chodziło o Ingrid, to oczywiste.

– Nie, nie sędzę. – Jego głos był spokojny. – Nie więcej ode mnie. Złożył gazetę w pół.

– Nieważne. Przepraszam, że zapytałem. To przecież nie moja sprawa.

– Nic się nie stało.

– Znałem jego żonę. Z college'u.

– O! – Nagle poczułam się obnażona. Odgarnęłam włosy z czoła. Richard po raz pierwszy wspomniął o swojej przeszłości.

– Jest równie nieprzyjemna jak on. Są siebie warci.

Z papierowej torebki leżącej na blacie kuchennym wyjęłam bajgiel i wgrzyłam się weń.

– Nie zawsze jest taki nieprzyjemny. Bywa świetnym facetem.

– Jest... – Przerwał. – Nieważne. Z pewnością masz rację.

*

Mijały dni. Próbowалам zadzwonić do Jenny przebywającej w ośrodku rehabilitacyjnym, ale jeszcze nie była w stanie mówić. Gdy rozmawiałam z Peterem, powiedział, że ciotka świetnie sobie radzi. Rachel mieszkała teraz w domu w Mosman. Cokolwiek łączyło ją z jej przyjacielem w Rozelle, nic z tego nie wyszło.

– Gdzie śpi? – zapytałam.

– Nie wiem – odparł. – W sypialni Jenny? W naszym dawnym pokoju? Jak to ma znaczenie?

Pewnego popołudnia zadzwiezczał telefon. Odebrałam po chwili przysłuchiwania się, jak dzwoni. Telefonował Ralph.

– Która jest u was godzina? – zapytałam.

– Nie wiem. Późna. Wczesna. Jak leci?

Westchnęłam.

– To bardzo skomplikowane.

– Skomplikowane?

Odczekałam chwilę.

– Pojawiły się pewne... nowe okoliczności.

– Jesteś bardzo tajemnicza.

– Przepraszam.

– Jak tam twój profesor?

Odpowiedziałam dopiero po chwili.

– Chyba jest żonaty.

Nasza rozmowa stała się krępująca. Powiedziałam, że widuję się trochę z Richardem, i wtedy w głosie Ralpa wyczułam zazdrość i napięcie. Nie mogłam zrozumieć dlaczego. Być może chodziło o to, że Richard był przyjacielem Ingrid i Ralph go z nią skojarzył. W końcu obiecałam, że zadzwonię do niego za kilka dni. Wydawał się zadowolony.

*

Matt, wciąż w złym humorze, pojawiał się i znikał. Ja zaś chodziłam na długie spacerunki po okolicy, wędrując krętymi ulicami na zachód i zupełnie prostymi alejami na wschód. Kiedy nie spacerowałam, czytałam książki o nowojorskiej architekturze i budowlach East oraz West Village. Drapacze chmur z całym ich chromem i stałą niezbyt mnie interesowały, uwielbiałam natomiast bloki mieszkalne, kamienice czynszowe i budynki z wysokimi mieszkaniami i rzędami okien pozwalających obserwować życie innych ludzi. Przy tych ulicach mieszkało kiedyś wielu pisarzy, malarzy i muzyków. Wydawało się, że Matt zna adresy ich wszystkich, zwłaszcza tych wciąż żyjących. „Tam jest dawne mieszkanie Elvisa Costello” – mówił, usłyszawszy nazwę ulicy, którą przechodziłam tamtego dnia. Albo: „Czyż w tym kwartale nie mieszkał przypadkiem Philip Glass? Przysięgam, że kiedyś widziałem, jak wynosi śmieci”. Ci drugorzędni celebryci nie wzbudzali mojego zainteresowania, ale za to stałam się w pewnym sensie specjalistką od kształtu nadproży z cegieł w domach z okresu międzywojennego.

*

Pewnego ranka zadzwonił Richard z informacją, że widział próbkę pisma Greya – nie zapytałam, jak ją zdobył – i nadal nie jest pewien, czy autorką wpisu w terminarzu była Ingrid. W jego głosie wyczułam niepokój i zaniepokojenie. Telefonował z biblioteki. Miał trudności z przekładem, nad którym pracował. Chodziło o powieść nieżyjącego już niemieckiego pisarza. Mogłam sobie wyobrazić, jak stoi w jakimś zacisznym kącie, nerwowo przeczesując dłonią włosy.

– Nie wiem, czy zdołam to rozgryźć – powiedział.

– Tłumaczenie? Nie masz, no wiesz, słowników. innych tłumaczeń?

– Nie – odparł i zdałam sobie sprawę ze swojej pomyłki. – Chodzi o charakter pisma. Nie wiem, czy będę w stanie ostatecznie rozstrzygnąć, czy to jego, czy jej pismo. Czy też jakiejś innej osoby. Myślałam o tym, żeby zabrać to do jakiegoś specjalisty, mojego

znajomego, który robi dla sądów tego rodzaju ekspertyzy.

– Zrób to, co musisz zrobić – odparłam, ale ta perspektywa była przygnębiająca. – Może jednak tego nie da się udowodnić ani rozstrzygnąć.

– Nie wiem, czy potrafię się z tym pogodzić.

– Może będziesz musiał. Pogodzenie się z losem. Czy to nie jeden z etapów?

Richard prychnął.

– Nie sądzę, bym już doszedł do tego etapu.

– No to się pośpiesz. To ten ostatni.

– Wiem.

Zapadła długa – takie miałam wrażenie – cisza. Odkąd zostawiłam terminarz u niego w domu, potrzebowałam sporo czasu, by znowu poczuć, że gram naprawdę czysto. Nie chciałam do tego wracać. Pożegnaliśmy się.

*

Tamtego popołudnia znalazłam się w księgarni przed stołem pełnym notesów i terminarzy, stosów książeczek identycznych z terminarzem Ingrid, we wszystkich barwach tęczy – różowych, niebieskich, żółtych, oprawionych w białą porowatą skórę. Wszystkie w tym samym formacie i z taką samą klamerką. Miałam wrażenie, że mnożą się na moich oczach. Przymknęłam powieki i się odwróciłam.

Obok stał regał z książkami o architekturze i kupiłam parę na temat budynków w West Village i Lower East Side. Przejrzałam je, wróciwszy do mieszkania. W rogu jednego ze zdjęć, zrobionego głównie po to, żeby pokazać budynek znajdujący się o kilka numerów dalej, ujrzałam naszą kamienicę. Widać było brzegi tarasów z wystającą ponad parapety zielenią.

*

Gdy Richard stanął tego wieczoru w drzwiach mojego mieszkania, od razu uderzyło mnie, że jest pijany. Nigdy wcześniej nie widziałam ani nie wyobrażałam go sobie w takim stanie.

– Lepiej wejdź do środka – powiedziałam.

Chwiejnym krokiem, w milczeniu przestąpił próg. Odsunęłam się na bok, by go przepuścić, i poczułam, że wraz z nim z mroźnej ulicy napływa aureola zimnego powietrza, jakby jego warstwa przylgnęła do ubrania Richarda. Czułam je na twarzy, przenikało do skóry. Wydawało się, że zimno potrzebowało na to długich, płynnych sekund, a w tym czasie Richard znieruchomiał na tle bladych ścian. Zastygł w chwiejnej równowadze, gotowy zwalić się zaraz z nóg.

Kiedy się poruszył, niemal upadł na mnie i uderzyłam plecami o ścianę. Kątem oka zauważyłam, że drzwi nadal są otwarte. Zaczęły się powoli zamykać. Richard wtulił zimną twarz w moją szyję, resztę jego ciężkiego ciała skrywał mrok, po czym w ciągu kilku sekund poczułam żar jego ust i gwałtowną falę ciepła.

– Richard – powiedziałam. – Richard.

Chciałam, żeby był przy mnie, lecz pomyślałam z goryczą o czasach, gdy Ingrid pośrednio pchnęła pożądanego przeze mnie mężczyznę w moje ramiona. O Ralphie na moim łóżku, z dłonią na moim udzie; siedzącym na kanapie, przemoczonym deszczem.

Wiedziałam, co Richard ma zamiar powiedzieć, zanim padły te słowa:

- Nie mogę tego znieść.
- Wiem – odparłam z westchnieniem.

Nazajutrz, choć było zimno, wyszłam z filiżanką na taras. Otwarta książka leżała na moich kolanach, kartki trzepotały na lekkim wietrze, a moja kawa szybko stygła. Światło jaskrawego słońca było na przemian miękkie i ostre, jaśniało i gasło, w miarę jak małe chmury sunęły po niebie. Brzęczały dzwonki w klatce dla ptaków. Na wysokim ceglanym parapecie biegnącym wokół tarasu usiadł gołąb. Miał szarobłękitne upierzenie i łypał złowrogo okiem w czerwonej obwódce; typowy przedstawiciel swojego gatunku. Skoczył na szczyt klatki i dziobnął w nią parę razy. Ciekawe, jak wyglądała w oczach ptaka, czy rozumiał, czym jest, że służy do ograniczania swobody takim skrzydlatym stworzeniom jak on. Niezupełnie takim samym; jego bardziej reprezentacyjnym kuzynom. Wymyśliłam sobie lokatora tej klatki: zielonozłotą ziębę o słodkim, szczebioczącym głosie. Gołąb niezdarnie dreptał chwiejnym krokiem, przekrzywiając głowę na boki, po czym wzbił się w powietrze i ten ruch na chwilę uczynił go istotą pełną gracji. Wstałam, by zobaczyć, jak frunie. Zniknął za balustradą; kilka sekund później wylądował na parapecie okiennym budynku po drugiej stronie ulicy i został tam na moment, witając się z parą innych gołębi, a może to tylko wyglądało na powitanie. Potem znowu odleciał i zniknął z pola widzenia. Spojrzałam na pustą klatkę. Nie widać było na niej śladów rdzy, co wydawało się dziwne. Lusterka migotały w świetle słońca.

Moje odczucie przypominało trochę wrażenie towarzyszące picciu bardzo zimnego napoju, gdy jego chłód napełnia szybko żołądek i przenika ciało, oziębiając je tylko odrobinę, czasem zaś, nie wiedzieć czemu, czyniąc je cieplejszym. Widok gołębia odlatującego z klatki sprawił, że to wszystko wydało się jakoś bardziej możliwe i bardziej oczywiste niż przedtem. To musi być prawda, pomyślałam. Ona uciekła. Ta metafora była tak zwyczajna, że czułam się zawiedziona samą sobą. Chmury się rozwiały i słońce świeciło czystym jaskrawym blaskiem, w którym mój cień padał na betonowe podłoże.

Niebo pozostało bezchmurne. Szłam w stronę pracowni Fleur. Jak się okazało, wpadłyśmy na siebie na ulicy w połowie drogi do mojego mieszkania.

– Szłam właśnie, żeby się z tobą zobaczyć – wyjaśniła.

Włosy miała związane z tyłu. Na ramieniu nosiła coś, co wyglądało na szkolny plecak. W dłoni trzymała firmową torbę na zakupy ze sklepu Toys R Us. Duży tornister nie pasował do jej chudego ciała. Szybko wypaliła trzymanego w dłoni papierosa i wyrzuciła niedopałek. Ruszyliśmy do śródmieścia w kierunku ulicy, przy której mieszkała, i zatrzymałyśmy się przed barem nieopodal jej atelier.

– Wejźmy tu – powiedziała i weszłam za nią do środka. Wzdłuż ścian baru, ogromnej przestrzeni oświetlonej wielkim zestawem świetlików w głębi sali, stały w donicach wysokie krzewy. Kupiliśmy kawę i usiadłyśmy przy stoliku.

Wyjęłam z torebki zdjęcie i położyłam je między nami. Fleur szybko zakryła je dłonią, jakby osłaniała je przed cudzymi oczami. Zauważyłam, jak na nie zerka, zanim rozsunęła zamek torebki i włożyła je do środka. Gdy tylko fotografia zniknęła, pożałowałam, że ją oddałam, ale wydawało mi się, że będzie to znaczący gest dobrej woli.

– A terminarz? – zapytała.

– Dostarczę ci go później – wyjaśniłam.

Fleur była wyraźnie niespokojna, jej drobne dłonie wędrowały nerwowo od filiżanki do kolan.

– Chyba rozumiem – powiedziałam.

Jej spojrzenie stanowiło mieszankę zniecierpliwienia i protekcjonalności.

– Mówiłam poważnie: nie obchodzą mnie obrazy – dodałam. – Naprawdę.

Rozejrzała się. W lokalu było dość cicho. Zza kontuaru z przodu dobiegał wizg miksera, rozległ się syk ekspresu do kawy.

– Nie chcę o tym mówić – zastrzegła. – Nie tutaj.

Wstałyśmy.

– Możemy porozmawiać u ciebie? – zapytałam.

Najpierw chciała odmówić.

– Dobrze – odparła niechętnie i wyszłyśmy z baru.

*

Znalazłszy się w swoim atelier, Fleur zamknęła drzwi i stanęła ze

skrzyżowanymi na piersi rękami. Torba Toys R Us stuknęła ciężko, gdy jej zawartość opadła na podłogę.

– Posłuchaj – powiedziała. – Po pierwsze, niczego nie możesz udowodnić.

Nie miałam pojęcia, czy mówi o Ingrid, czy o obrazach, czy też o niej i o nich.

Z pokoju z tyłu atelier, tego z futonem, przyniosła szeroką czarną teczkę. Podeszłam za nią do poduch pod oknem, przy których uklękła na podłodze. Otworzyła teczkę i okazało się, że jest w niej pełno obrazów namalowanych na papierze. Wyciągnęła jeden z nich i położyła go przede mną, zamykając teczkę. Na malunku widniały szkarłatne ślady odcisniętych dziecięcych dłoni oraz pociągnięcia palcami i pędzlem – rozmazana chmura w rogu i trójkąt przypominający zagiętą błyskawicę.

Na paru obrazach wystawionych w Whitney też były takie odciski dłoni. Teraz zrozumiałam, że służyły za swego rodzaju dowód autentyczności – prawdziwy ślad dłoni artysty na jego dziele. Kto jednak nałożył farbę, która je otaczała, kto dzierżył pędzel? Z takim lekceważeniem traktowała przedtem romantyczną koncepcję sztuki prezentowaną przez jej ojca – o „dłoni dzierżącej pędzel”. Fotografika Fleur chyba bardziej niż kiedykolwiek stanowiła świadectwo odrzucenia wszystkiego, co oznaczały te obrazy. W patosie i furii pobielonych, rozczłonkowanych laleczek na fotografiach zawieszonych na ścianach atelier zakodowane było coś, czego nie dało się wysłowić. Trójkąt pojawiający się prawie na wszystkich obrazach wyglądał teraz niczym nieme wskazanie trójcy, która kryła się za tymi pracami: Fleur, Maeve oraz Greya.

– To twoje dzieło, prawda?

– Ten jest mój – odparła w zamyśleniu, wpatrując się w obraz. – Wszystkie są moje. – Spojrzała na mnie. – Ale nie są... myślę, że wiesz o tym... nie we wszystkim są moje, dokładnie rzecz biorąc – dodała, podkreślając słowa „we wszystkim”.

Chociaż głos Fleur był spokojny, na jej twarzy malowała się okropna udręka. Odwróciłam wzrok. Tym samym właściwie przyznała się do wszystkiego. Brzemie, które tak długo dźwigała, uwikłana w misternie zaplanowane przez Maeve i Greya oszustwo, było niemal

widać w nienaturalnym ułożeniu ramion i tułowia, w ostrożnym sposobie trzymania głowy, w mowie ciała, która czasami, jak teraz, była zbyt dojrzała, zbyt znacząca.

Fleur włożyła obrazy z powrotem do teczki, ale nie zasunęła zamka. Wstała. Z dłonią wspartą na biodrze znowu wyglądała jak każda inna, trochę bierna, trochę agresywna nastolatka.

– W przeszłości pojawiały się spekulacje – powiedziała lekceważąco. – Nigdy do niczego nie prowadziły. Zazwyczaj wdawali się w nie ludzie zawistni. W całym świecie sztuki sporo jest zawiści. – Mogłam sobie tylko wyobrazić, do czego posuwali się Maeve i Grey, żeby położyć kres tego rodzaju pytaniom. – Ingrid doszła do tego. A ty twierdzisz, że cię to nie obchodzi?

– Jestem ciekawa. Ale rzeczywiście mnie to nie obchodzi.

Spojrzała na mnie podejrzliwie.

– Nie mam zamiaru... cię szantażować – wyjaśniłam.

Roześmiała się hałaśliwie.

– Nie podejrzewam cię o to. No i proszę. Wszystko już tutaj załatwiłaś?

– Prawie. – Zawahałam się. – Tak więc... hipotetycznie... Pomyślałam sobie, że gdyby ktoś... gdyby ktoś chciał wyjechać z miasta... hipotetycznie... żeby nikt o tym nie wiedział... jedenasty wrześnie byłby odpowiednim dniem. Na wyjazd.

Fleur stała nieruchomo, patrząc mi w oczy z kamiennym wyrazem twarzy.

– Oczywiście wszyscy bliscy musieliby sądzić, że nie żyjesz – dodałam.

– Wszyscy – powtórzyła w końcu jak echo. – To by się udało tylko wtedy, gdyby wszyscy sądzili, że nie żyjesz. Że ta hipotetyczna osoba nie żyje.

Czekałam.

– Nie mogę ci pomóc – powiedziała. – Nie potrafisz tego zrozumieć. Musisz na tym poprzestać. – Jej słowa brzmiały nienaturalnie. Jak gdyby świadomie usiłowała użyć ich jak najmniej, by przekazać to, co musiała wyrazić.

– Czy możesz mi tylko powiedzieć...

– Nie – przerwała mi stanowczo. Usiadła na poduszce pod oknem i wyciągnęła papierosy. Gdy zapalała jednego, ręce jej nie drżały.

– Nie możesz mi zdradzić, dokąd pojechała.

Gdy odwróciła ku mnie twarz, miała niewinną minę, brwi ściągnięte w wyrazie zatroskania i nieodgadnione oczy.

– Nie wiem. Nie wiem, o czym mówisz – rzekła beznamiętnym cichym głosem.

– Pomogłaś jej?

Fleur powiedziała jednak już wszystko, co miała mi zamiar wyjawić.

Gdybym chciała skłonić ją do tego, by ujawniła, co wie, zawartość szarej koperty zapewniłaby mi możliwość wywarcia nacisku. Ale Fleur miała stanowczy wyraz twarzy i zastanawiałam się, jakiego w końcu dokonałaby wyboru, czy ten nacisk byłby skuteczny. Coś mi mówiło, że to może się nie udać. Zrozumiałam, dlaczego Ingrid obdarzyła ją zaufaniem.

– W porządku – powiedziałam.

No bo dlaczego miałaby mi zaufać Ingrid? I czemu Fleur miałaby mi zaufać teraz? Czulałam mocny ucisk kamyka ukrytego w piersi, twardej waluty uraz i zazdrości, która przez lata straciła na wartości. Czulałam się przed nią przejrzysta jak woda i było mi wstyd.

Twarz Fleur przybrała wyraz wystudiowanej obojętności i dostrzegłam na niej wszystko, czego szukałam i co przypuszczałam sobie wyobraziłam: strach, ulgę, gniew i poczucie winy.

W witrynie na parterze budynku nadal stała kanapa, a obok na podłodze para rozsznurowanych butów. Kobieta wychodząca ze sklepu niemal nie zderzyła się ze mną przed drzwiami. Niosła po dwie duże torby z zakupami w każdej ręce i miała na nogach szpilki, które zaskrzypiały na chodniku, gdy się zatrzymała. Uśmiechnęła się z zakłopotaniem i obróciła, by nie blokować mi przejścia. Jej twarz wyglądała znajomo: to ona była kobietą z obrazu w galerii Maeve, współczesną *Madame X*. Ruszyła dalej ulicą na północ zdecydowanym krokiem, chwiejąc się lekko na wysokich obcasach. Zawahałam się, odwróciłam i poszłam w stronę śródmieścia.

Zanim dotarłam do Strefy Zero, było późne popołudnie, powietrze poszarzało od dymu unoszącego się z krat wentylacyjnych i dziur w ulicy, a wieczór, nieodległy, czekał. Niebo na zachodzie miało żółtawy odcień. Dojście do celu okazało się nadszpiewanie trudne; bez wież World Trade Center jako punktów orientacyjnych straciłam poczucie kierunku i zanim dotarłam na miejsce, okrążyłam je parę razy. Gdy skręciłam w Church Street, nagle ujrzałam je przed sobą. Minęłam małą kaplicę oraz wysoki, pokryty czarnym szkłem gmach Hiltona i stanęłam przed ogrodzeniem z drucianej siatki. Wszędzie dokoła byli ludzie, niektórzy spoglądali na miejsce zamachu, większość jak zwykle dokądś zmierzała. Ktoś próbował wręczyć mi ulotkę z tytułem, w którym była mowa o Bushu, Osamie bin Ladenie oraz Iraku i o jakimś spisku. Uniosłam dłoń i odmówiłam przyjęcia. Przez ogrodzenie dostrzegłam dziurę w ziemi, białoszary kredowy beton. Dziura była żałośnie mała i pusta. Spojrzałam na kaplicę po drugiej stronie ulicy, St. Paul's, która wciąż stała tam pośrodku trawnika i rosnących wokół drzew. „Paul, 9”, przypomniałam sobie, zastanawiając się, czy w swoim zapisku na tamten dzień Ingrid wskazywała właśnie to miejsce.

Ze zwartej bryły domu towarowego naprzeciwko wylewali się klienci z czerwono-białymi torbami w rękach. Chodnik sprawiał wrażenie bardzo wąskiego i zatłoczonego. Z mieszkania Fleur wyniosłam poczucie osamotnienia, które teraz we mnie narastało. Pomyślałam o szarej kopercie i zawartych w niej tajemnicach, które Fleur tak długo skrywała, oraz o brzemieniu tego, co Ingrid powierzyła jej przed swym odejściem, jak postanowiłam nazywać teraz jej zniknięcie.

Obok mnie przy ogrodzeniu stali ludzie odwiedzający cmentarzysko. Jakiś mężczyzna przystanął metr dalej z wiązanką kwiatów, czerwonych róż, w ręce i chyba nie bardzo wiedział, co z nimi zrobić. Odsunęłam się. Nie byłam pewna, co takiego zrozumiałam kiedykolwiek z życia bądź śmierci Ingrid. Albo z jej odejścia. Nie wiedziałam też, co mam o tym sądzić. Zapadł wieczór i ruszyłam z powrotem.

Gdy tak szłam przez dzielące mnie od domu kwartały, nachodziły

mnie potworne myśli. Chciałam sobie wyobrazić, że zdołała uciec, że być może uciekła od życia, które prowadziła z Greyem. Nawet wtedy, gdy spodziewałam się tego po niej, nie uczyniła tego. Czyżbym formułowała teraz jej historię na nowo, aby była bardziej zgodna z tym, w co chciałam wierzyć – z męstwem i błyskotliwością, które podziwiałam u Ingrid jako jej przyjaciółka? Wiara, że ostatecznie uciekła, że nas wszystkich nabrała i zaczęła nowe życie w jakimś nieznanym miejscu, niczym osoba objęta programem ochrony świadków, pobudzała do marzeń. Może tak wyglądała prawdziwa wolność. Łatwiej było to znieść niż myśl, że Ingrid zamierzała żyć dalej tak, jak żyła, nie pragnąc pomocy i zrozumienia, nie chcąc znaleźć innego wyjścia z tej sytuacji. Łatwiej było to znieść, niż wyobrażać sobie jej twarz na zdjęciu polaroidowym Richarda, stłuczenia oraz gwałtowną śmierć, która zdaniem Richarda w końcu jej groziła. Pomyślałam o jej zdjęciu na promenadzie, mojej czarno-białej odbitce, i znowu zaczęłam żałować, że je zwróciłam. Zbliżając się do SoHo, do ulic położonych niedaleko pracowni Fleur, zastanawiałam się, czy Fleur dostrzegła u mnie to pragnienie wiary w ucieczkę Ingrid i manipulując mną, je zaspokoila. Ostatecznie było to skrytą nadzieją wszystkich, którzy tamtego dnia kogoś stracili – że nie zginęła, lecz zaginęła, tak jak napisano w nielicznych ogłoszeniach krewnych, które tu i ówdzie w śródmieściu wciąż trzepotały na słupach telegraficznych i ścianach budek telefonicznych. Uznałam Fleur za obrończynię Ingrid, ale istniały wszelkie powody, by sądzić, że dziewczyna chroni także swojego ojca, Maeve i siebie. Gdy wychodziłam, jej twarz była nieodgadniona – czyżby malował się na niej również wyraz triumfu, poczucie, że sama też uciekła, że odniosła sukces?

Raz po raz analizowałam w myślach, dokąd Ingrid wyjechałaby, gdyby zdołała uciec. Trudno było sobie wyobrazić, by Victoria odegrała tu jakąś rolę, nie przypuszczałam też, by zechciała ze mną rozmawiać. Poza nią nikt nie przychodził mi do głowy; nie znałam wcześniejszego okresu życia Ingrid na tyle dobrze, by wiedzieć, jakie miejsca mogłaby zataić przed Greyem i Fleur. Sądziłam teraz, że zachowałyby szczegóły swojego planu w tajemnicy, nawet gdyby Fleur wiedziała o samej ucieczce i była tam z nią po pierwszym wyjeździe z Manhattanu, za

mostem prowadzącym do Brooklynu, na promenadzie, gdzie Fleur zrobiła to ostatnie zdjęcie. Dokąd udała się stamtąd? Na lotnisko Kennedy'ego? Do wypożyczalni samochodów? Na dworzec autobusowy? W miarę jak próbowałam sobie przypomnieć linię horyzontu z fotografii, jej obraz stawał się coraz bardziej mglisty i wydawało się, że mogła zostać zrobiona w dowolnym mieście, dowolnym miejscu. Przypominała solidną rzecz, która rozwiewała się w powietrzu pod najmniejszym naciskiem, najdelikatniejszym dotknięciem; lustro, które odzwierciedlało moje własne, nierozpoznane pragnienie.

*

Najtrudniejszą decyzją, której podjęcie stale odkładałam, było to, czy komuś powiedzieć, a jeśli tak, to komu. Jeżeli Ingrid naprawdę uciekła, to wydawało się, że powinnam tę informację zachować w tajemnicy. Wyobrażałam sobie siebie i Fleur jako jedyne strażniczki niebezpiecznej prawdy. Na peryferiach tego wyobrażenia czaił się Grey – krążący cierpliwie i groźny. Fleur liczyła trochę na to, że nikomu nie powiem i zaprzestaną dalszych pytań. Ale dręczyły mnie kolejne kwestie i poskramiałam potrzebę podzielenia się własnymi przemyśleniami z kimś innym. Gdyby Richard naprawdę uwierzył, że Ingrid żyje, to z pewnością wyruszyłby na jej poszukiwanie. Nie spocząłby, dopóki by nie odkrył prawdy, a jego nadzieje pewnie nigdy by się nie rozwiały. Pomyślałam o jego zimnej twarzy wtulonej w moją szyję poprzedniej nocy, o jego łamiącym się głosie i doszłam do wniosku, że na razie zachowam wszystko dla siebie.

*

Zaczęły mnie boleć stopy. Czułam, że chodnik staje się coraz twardszy. Znalazłam się na Bleecker Street, minęłam lokal, do którego wstąpiłam z Fleur, i skierowałam się do następnego przecznicy dalej. Na końcu sali za szafą grającą w jaskrawych kolorach dostrzegłam jasne włosy Jonesa; ujrzałam jego ułożoną na stoliku rękę. Potem poruszył się i okazało się, że to ktoś młodszy, mówiący z amerykańskim akcentem, który słyszałam ze stołka przy barze. Spojrzał mi w oczy i odwróciłam

wzrok. W poprzek lustra za barem wisiały małe podświetlone plastikowe czaszki, jarząc się na zielono i czarno. Wokół słyszałam Amerykanów, tu i ówdzie pobrzmiwał inny, obcy akcent, jednego, niższego od pozostałych głosu nie mogłam umiejscowić. Brakowało mi Jonesa i jego zdolności pojawiania się, gdy się tego nie spodziewałam i gdy potrzebowałam jego obecności. Oczekiwałam poniekąd, że wejdzie teraz do baru – na próżno. Z szafy grającej dobiegał utwór, który rozbrzmiewał w całym mieście przez ostatnie miesiące, piosenka grupy Wilco opowiadająca o perkusie zespołu heavymetalowego, o niewinności i o rzece. Zaprzagnęłam zadzwonić do Eve, nie potrafiłam jednak wymyślić sensownego sposobu zadania pytań, które chciałam zadać.

Od wielu miesięcy bez entuzjazmu, zrywami i kawałek po kawałku, dążyłam do poznania prawdziwej wersji wydarzeń i po raz pierwszy zaczęłam się zastanawiać, czemu to wszystko służyło. Z początku odgrywałam rolę zastępczyni Ralpa, a teraz, niestety, miałam informacje i podejrzenia, którymi nie chciałam się z nim podzielić. Byłam beznadziejnym śledczym. Nic w moim dochodzeniu nie przypominało opowieści o prywatnych detektywach lub cynicznych dziennikarkach, którzy kładli wszystko na jednej szali, by poznać całą prawdę. Przepelniało mnie przemożne pragnienie, żeby zapomnieć, a nie wiedzieć; żeby zaprzestać i odpocząć, a nie dalej szukać, zwłaszcza że – jak podejrzewałam – Ingrid sama skalkulowała ryzyko i postanowiła ukrywać się przed wszystkimi: mną, Ralphem i Richardem. Jeżeli Richard chciał dążyć do sprawdzenia swojej wersji przebiegu zdarzeń, mógł to robić. Zarzucenie poszukiwań było prawdopodobnie przejawem tchórzostwa z mojej strony, ale mogłam się z tym pogodzić. Gdyby Ingrid pewnego dnia zaprzagnęła wrócić, wiedziałyby, gdzie mnie znaleźć.

Wyglądało na to, że otwiera się przede mną perspektywa bezgranicznej cierpliwości. Od czasu, gdy się to wszystko wydarzyło, minął zaledwie rok, nieco ponad rok; być może za rok Fleur zdecyduje się powiedzieć mi więcej. Sytuacja mogła się zmienić. Wówczas może się to jej wydać mniej istotne.

We wszystkich miejscach i scenach z mego życia widziałam, jak

powoli dryfuję na margines: jak podsluchuję toczącą się obok rozmowę; jak odgrywam rolę tej, którą Jones ma na boku; jak stoję na scenie w cieniu, a Ingrid jest w centrum uwagi. Chciałam jednak zakończyć występ w tej roli, chciałam, żeby zmienił się scenariusz. Tutaj było dla mnie coś jeszcze, gdybym zdołała do tego dojść bez Ingrid.

*

Wróciłam do mieszkania nad ranem i ujrzałam obok telefonu nabazgrane ręką Matta wiadomości. Richard. Jones. Trinh. Lodówka była pusta, nie zostało w niej nic do picia.

Małeńki czerwony słon Ingrid stał na komodzie w sypialni, na wpół zakryty jakimś szalikiem i gazetą sprzed wielu dni. Wzięłam go do ręki. Z jego wyglądem coś było nie tak. Czerwień różniła się trochę od koloru, który zapamiętałam z czasów, gdy figurka stała na toalecie w pokoju Ingrid w Kirribilli. Mogło to być spowodowane oświetleniem. Czyżby słonik został podmieniony? Prawdziwy mógł się teraz znajdować u niej, być może uznała go za jedyną rzecz, której nie mogła zostawić. Miałam dar dostrzegania drobnych różnic, tak przynajmniej mi się wydawało. Oczy i ogon słonika zaznaczono czarnymi kreseczkami, a nogi i trąba nie były całkowicie symetryczne, wyrzeźbiono je starannie, ale zabrakło jubilerskiej precyzji. Słonik wyglądał niemal tak samo jak zawsze, ale im dłużej mu się przypatrywałam, tym bardziej wydawał się inny. Teraz przypominał małego oszusta. Miałam jednak kłopoty z pamięcią; nie byłam pewna. W końcu uznałam, że to nie ma znaczenia.

Położyłam się do łóżka i modliłam o noc bez snów.

*

Odkąd wróciłam do Nowego Jorku, sny o śmierci Ingrid, które nękały mnie podczas pierwszych tygodni pobytu w tym mieście, zniknęły zastąpione jej sporadycznymi wyobrażeniami jako złowieszczej Carlotty. Ta noc jednak była inna. Obudził mnie niesamowity ptasi śpiew, żałobny, znany z Sydney dźwięk, którego nigdy wcześniej nie słyszałam w Nowym Jorku. Nie miałam pewności, czy to, co widziałam, było snem, czy wizją, przeczuciem czy

pragnieniem, przyszłością, przeszłością czy teraźniejszością. Mogło być wyobrażeniem nieba, piekła bądź tego dziwnego życia pozagrobowego starożytnych, gdzie duchy żyją dalej w żalonym pólstnieniu, pozbawione zdolności dotykania.

Jak bywa w snach, nie miałam pewności, czy jestem sobą, nią, czy też jakąś zupełnie inną istotą; to było i zarazem nie było moje ciało, poruszało się naprzód resztkami sił i determinacji, zużywszy wszystkie inne uczucia. Przybyłam do tego miejsca po długiej podróży, lądując kilka razy w rowach bądź ślepych uliczkach. Dom, który ukazał się wśród drzew, był taki, jak oczekiwałam: kryty gontem, od dawna niemalowany, z otwartym oknem skrzydłowym, co sugerowało, że ktoś jest w środku.

Odgłos samochodów na odległej szosie przypominał łoskot fal. I wtedy rozległ się huk prawdziwych grzywaczy. Załamywały się i rozbijały na granicy słyszalności, a ich śladem podążały kolejne fale.

Farba na szerokich drzwiach frontowych pomalowanych na żółtawobiały kolor łuszczyła się w niektórych miejscach. Sześć kwadratowych okienek z cętkowanego szkła ukazywało białe ściany korytarza za progiem; na wprost drzwi wisiała oprawiona w ramkę fotografia. Rozpoznałam na niej dwie dziewczyny, jedną roześmianą i wpatrzoną w obiektyw zmrużonymi oczami, drugą z dłonią przy ustach, spoglądającą z uśmiechem na swą towarzyszkę.

Czułam w dłoni metaliczny chłód lekkich kluczy. Straciłam wszelką cierpliwość i pragnęłam, by ta podróż się już skończyła.

„Jesteś tam?”. Słowa te zniknęły w przestrzeni, nie odpowiedziało im echo.

Otworzyłam powieki; żalobny krzyk ptaka zmienił się w wycie syreny. Ręka mi się trzęsła, gdy unosiłam ją ku twarzy, lecz w moich oczach i na policzkach nie było łez.

*

W końcu miałam do przekazania Ralphowi nie lada historię, utkaną z fragmentów faktycznej lub możliwej wersji wydarzeń.

Rozmawialiśmy przez telefon wiele godzin, on słuchał, a ja cierpliwie dzieliłam się z nim starannie skonstruowanym serwisem

informacyjnym z minionych tygodni. Fleur, genialne dziecko, fascynowała go i opowiedziałam mu dodatkowo, jaka jest miła i dojrzała. Wspomniałam też o przywileju obejrzenia części jej pierwszych malunków na papierze, ojej znakomitych, niepokojących zdjęciach oraz filmach wideo i o tym, jak pozwoliła mi asystować w kręceniu ujęcia w swoim atelier.

– Wyglądało na to, że od początku łączyły ją z Ingrid stosunki szczególnego rodzaju – wyjaśniłam. – Przypuszczalnie uważała ją za kogoś w rodzaju matki albo starszej siostry, przyjaciółki. Darzyły się miłością.

– Ingrid mówiła o tym – odparł. – Wspominała, jak bardzo ją kocha.

Wydawało się, że wieści o Fleur, myśl, że była dobrym duchem w życiu Ingrid, a zatem nie określało go wyłącznie przygnębiające podporządkowanie się Greyowi, uśmierzyły część cierpienia Ralpha.

– Wyślę ci zdjęcia – obiecałam, mając na myśli fotografię, którą zachowałam z wcześniejszej wizyty, przedstawiającą Fleur w atelier koło planu filmowego wyłożonego sztuczną murawą. Ucieszył się.

Zgorszyła go i zafascynowała opowieść o tajemnym życiu zawodowym Trinh w roli zamaskowanej partnerki masochistów. Zabarwiła ona odrobiną erotyki i ryzyka mdły konserwatyzm, którego się spodziewał po filologach klasycznych.

– Lubi to robić? – zapytał.

– Nie wiem – odparłam. – Trudno powiedzieć. Wydaje się, że to dla niej najlepsze rozwiązanie.

– Co wtedy nosi? Musi mieć własne stroje?

Zmyśliłam odpowiedź.

Ubarwiłam również własną opowieść o złamanym sercu, nieuchronnym losie porzuconej kochanki. Ralph znowu nietaktownie domagał się ode mnie odpowiedzi na pytanie, czy Jones sypiał z Ingrid; odparłam, że to bardzo mało prawdopodobne. Richarda wyłączyłam z moich rozważań, a Ralph o niego nie zapytał.

Nasza rozmowa zakończyła się oficjalnie niczym podsumowanie jakiejś prezentacji. Ciekawe, czy robił notatki.

– A więc wszystko załatwiłaś? – zapytał.

– Skończyłam z Ingrid – odparłam.

I z tobą, dodałam w myślach – z poczuciem zdrady, dumy, smutku i ulgi. Wyobrażałam sobie Ralpa w oranżerii, lecz coś mi mówiło, że znajduje się gdzie indziej, może w jadalni, a może na kanapie stojącej naprzeciw aksamitnego fotela Ingrid. Czy jej obecność w tym domu powoli wygaśnie, czy też będzie trwała – dla niego? Co zmieni w jego życiu możliwość poznania tej historii, z której właśnie skorzystał? Jeżeli miał iść dalej, nie było jasne, dokąd skieruje swe kroki. Pomyślałam o leczonym sercu Ralpa usiłującym wytrzymać tempo tego marszu i odsunęłam od siebie tę myśl tak zdecydowanie, jakbym zdejmowała dłoń z jego ciała. Została po niej pustka.

– Chyba i tak zostanę tu przez jakiś czas. Mogłabym znaleźć jakąś pracę, inną niż zajęcie Trinh. W przyszłym miesiącu otwierają w Metropolitan wystawę późnych wnętrz Bonnarda. Chciałabym ją zobaczyć.

Ralph nie miał chyba nic przeciwko temu. Wywiązałam się ze swoich obowiązków. Byłam kłamczynią i złodziejką. Pożegnaliśmy się.

*

Po tej rozmowie miałam ochotę wyjść z mieszkania, zejść z oczu telefonowi, który jakby patrzył na mnie oskarżycielskim wzrokiem, wiedząc o wszystkim, czego nie powiedziałam. Dzień był zimny i nieprzyjemny, wczesnopopołudniowe niebo przybrało perłowoszary odcień gołębic skrzydeł. Po paru przesiadkach dotarłam metrem na Brooklyn Heights i ruszyłam Montague Street z zamiarem, jak przypuszczam, pożegnania się z promenadą oraz wszystkimi pytaniami i wątpliwościami, które zagnieździły się na tym skrawku chodnika i w pustej przestrzeni roztaczającego się zeń widoku. Kilka dni wcześniej spadł pierwszy śnieg, zaledwie parę centymetrów. Jego szare zmrożone bryły leżały tu i tam na chodniku, zepchnięte w ocienione kąty i przyciśnięte do ulicznych kubłów na śmieci. Parę przecznic dalej weszłam do sklepu o niestosownej nazwie MANHATTAN MUFFINS, zapisanej wyblakłymi zielonymi literami na markizie obok prostego widoku miasta na tle nieba. Był on zarówno nędzniejszy, jak i bardziej zatłoczony niż piekarnia, którą odwiedziłam poprzednio, ostatnia przy

Montague przed promenadą. Czekając w kolejce po kawę i bajgle, zauważyłam na ścianie przypięte pinezkami zdjęcie – jeden z tych pamiątkowych obrazów bliźniaczych wież, fotografię, która zniekształcała je, aby były wyższe i bardziej odsunięte od pozostałych niż w rzeczywistości. U dołu zdjęcia rozpościerał się czerwony transparent z maszynowym napisem kursywą: *9-11 – nie zapomnij*.

Kurwa mać, pomyślałam i omal nie powiedziałam tego na głos, tak silne było moje pragnienie amnezji i ucieczki od tych ciągłych przypomnień. Gdy dotarłam do lady, na półkach szklanej gabloty przede mną leżały muffinki wszelkiego rodzaju. Poprosiłam o kawę i bajgla z serem śmietankowym. Ciemnowłosy gość w czystym białym uniformie odwrócił się, żeby głośno przekazać zamówienie pozostałym. Gdy obrócił się z powrotem, by przyjąć ode mnie należność, trzymałam w dłoni zdjęcie, czarno-białą kopię fotografii, którą wciąż nosiłam w torebce. Ostatnia próba, pomyślałam. Czułam ucisk w krtani, ale podsunęłam mu zdjęcie Ingrid i zapytałam:

– Znasz ją? – Tygodnie spędzone w Nowym Jorku oduczyły mnie niepotrzebnych wstępów.

Sprzedawca popatrzył na mnie. Wydawało się, że całe jego ciało nieznacznie przytakiwało, jakby kołysał się w przód i w tył na czubkach palców.

– Joe! – zawołał nagle, odwracając głowę ku trzem mężczyznom, którzy nalewali kawę i smarowali bajgle serem. – Ktoś pyta o twoją dziewczynę. – Spojrzał z powrotem na mnie, przez sekundę patrzył mi w oczy z obojętnością, która stopniowo zmieniła się w coś innego... pogardę, urazę, współczucie... i wyciągnął dłoń po pieniądze. Zapłaciłam mu, a on wydał mi resztę oraz bajgla w białej papierowej torebce.

Drugi mężczyzna podsunął mi biały papierowy kubek z kawą i rzekł:

– Jestem Joe.

Wymamrotał kilka słów do gościa przy kasie, po czym wydostał się z lady, żeby do mnie podejść. Spojrzał błyskawicznie na zdjęcie w mojej dłoni i skinął głową w stronę drzwi.

Był chudy i młody, może kilka lat starszy od Fleur, miał piękną

poważną twarz. Swój biały uniform nosił z nieśmiałą nonszalancją. Wyglądało na to, że zapuszcza wąsy. Miałam ochotę powiedzieć, żeby dał sobie spokój. Stanęliśmy na ulicy tuż za drzwiami piekarni. Zapalił papierosa, osłaniając dłońmi płomień zapalniczki. Trujący zapach dymu był ostry i kuszący. Wydawało mi się, że całe otoczenie robi się brudniejsze i bardziej toksyczne. Wszystko wokół stawało się trwałe i określone na nowo przez to, co – jak czułam – miałam zaraz odkryć. Uparta łąta śniegu koło krawężnika szybko zmieniała się w lód, zatrzymując niczym skamieliny popiół z papierosów i brudy, które utkwily na nim przez cały dzień.

– Czy Ingrid tutaj przychodziła? – zapytałam.

Skinął głową.

– Ingrid? Racja, tak miała na imię. – Mówił z wrodzonym i wyuczonym brooklyńskim akcentem. Domyśliłam się, że wcześniej nie był pewny, jak miała na imię, i teraz widziałam, jak kojarzy je z obrazem tej kobiety.

– Kiedy widziałeś ją po raz ostatni?

– To było dawno temu, proszę pani.

– Jak dawno? – Nie ustępowałam. Moje stopy zlodowaciały, serce zmieniło się w kamień i stal.

Wzruszył ramionami i odparł:

– Ubiegłego lata. – Posłał mi długie i smutne spojrzenie.

– Widziałem jej zdjęcie w gazecie. W „Timesie”, wśród fotografii wszystkich ofiar, które zamieszczali. – Zaciągnął się. – Musiałem patrzeć na te zdjęcia. Obejrzałem każde z nich.

– Więc potem jej nie widziałeś?

– Widząc jej zdjęcie z całą resztą... byłem zaskoczony. –

Rozejrzał się nerwowo po chodniku. Pewnie chciał wrócić do pracy.

Skinął głową w stronę piekarni. – Oni wiedzieli, że ją lubiłem. –

Uśmiechnął się bez entuzjazmu. – Przychodziła tu od czasu do czasu.

Zawsze to ja przyjmowałem jej zamówienie.

– Kiedy widziałeś ją po raz ostatni? – zapytałam powtórnie.

Znowu wzruszył ramionami.

– To było kilka dni później. Niecały tydzień. Po jedenastym września. Zamiast niej przyszła jej młodsza siostra.

Gdy padło słowo „siostra”, nie wierzyłam własnym uszom – Victoria w swojej letniej czarnej sukience, dużych okularach przeciwsłonecznych i z jarmarcznym pierścionkiem nie pasowała do tej piekarenki. Tutaj. Kilka dni później.

– No wie pani, ta młoda. Ciemnowłosa.

Mówił o Fleur. Odetchnęłam z ulgą.

– To była jej pasierbica.

Zrobił wielkie oczy i odparł:

– Nieważne. Wie pani, kogo mam na myśli? Chuda dziewczyna z umalowanymi oczami. Zazwyczaj przychodziły tu razem.

Skinęłam głową.

– Weszła i złożyła zamówienie, wiedziałem, że to dla Ingrid, która, o dziwo, zawsze jadła to samo... muffinkę z jagodami podgrzewaną w kuchence mikrofalowej, przekrojoną na pół i posmarowaną masłem.

Owszem, pomyślałam i pojawiło się wspomnienie dłoni Ingrid, jej krótkich palców, gdy smarowała muffinkę masłem, czekając, aż się roztopi. I grubego porcelanowego talerza. I porysowanego stołu w Sydney.

– Ta dziewczyna przyszła sama, ale zamówiła też coś dla siebie, bajgla i kawę. Dwie kawy. – Joe spojrzał na stojącą przed witryną piekarni długą drewnianą ławkę, której noga była przykuta łańcuchem do grubego ogniwa osadzonego w betonowym chodniku. Teraz, w zimnie, nikt na niej nie siedział. – Zwróciłem na to uwagę, bo lubiłem ją widywać. Ingrid... tak miała na imię. – Przymknął powoli oczy. – Przypuszczam, że czekała tutaj, na ławce. Wyjrzałem przez okno... widziałem ją od tyłu. Miała jasne włosy. – Posłał mi szczere, inteligentne spojrzenie. – Cóż więc jej zdjęcie robiło w gazecie tamtego dnia? Zastanawiałem się nad tym.

Uniósł i opuścił jedną brew. Pod jego niedorzecznym wąsikiem rysowały się ładne cienkie wargi. Rozgniół papierosa obcasem buta ze stalowym noskiem. Niedopałek dołączył do innych śmieci wdeptanych w szczeliny betonowego chodnika, zatopionych w lodzie i leżących w rynsztokach. Kubek z kawą ogrzewał mi dłonie. Wypiłam łyk, parząc sobie usta i język.

– Więc gdzie ona teraz jest? – zapytał.

– Dobre pytanie – odparłam.

Joe pokiwał z wolną głową.

– Cóż, dzięki – powiedziałam w końcu.

Wetknął ręce do kieszeni i pchnął drzwi ramieniem, znikając wewnątrz piekarni.

Tym razem już ostrożniej uniosłam kubek do ust i wypiałam łyk kawy. Niebo nad moją głową zgęstniało, zaczęło się silniej mienić perłowym blaskiem. Popatrzyłam w stronę promenady, wiedząc, że gdybym tam poszła, odkryłabym zmieniony krajobraz; nogi same poniosłyby mnie do tego nieuchwytnego dawniej punktu, w którym Fleur stanęła i zrobiła zdjęcie; budynki na horyzoncie ustawiłyby się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, aby dopasować się do układu brył na drugim planie fotografii.

Zerknęłam na zdjęcie w dłoniach, na kpiący uśmiech Ingrid. Gdy jedna warstwa tajemnicy została zdarta, jej spojrzenie było na swój sposób bardziej nieme, jeszcze bardziej nieodgadnione niż przedtem.

Opowieść o ucieczce, w którą chciałam wierzyć, najwyraźniej była prawdziwa. Czemu więc nie czułam silniejszej euforii? Ucieszyłam się na wieść o tym, że Richard był w błędzie, że Grey nie zamordował Ingrid. Przyjemnie było przekreślić jego wizerunek zabójcy, z którym nigdy się nie oswoiłam. Jednak zadawnione urazy i poczucie winy sprawiły, że z przykrością wykluczyłam możliwość, iż Ingrid zginęła w okropnych okolicznościach tamtego dnia jak setki i tysiące innych zwykłych ludzi, że zamach położył nagły kres wszystkim wiązanim z nią nadziejom i jej wyjątkowości. Z niechęcią i podziwem przyjąłam to, że wybrała sobie taki oficjalnie znany i akceptowany los. Po namyśle doszłam do wniosku, że przecież dołączenie do masy męczenników – bohaterów – których nazwiska jeszcze długo będą odczytywane na pomnikach, których zdjęcia pojawiły się wraz z nekrologami na wielkich stronach „Timesa”, nie było takim zwyczajnym wyborem.

Pamiętałam, co czułam ostatnim razem w mieszkaniu Fleur, wiedząc i godząc się z tym, że Ingrid nie powierzyła mi żadnej z tych informacji, żadnej z tych tajemnic. Starłam się zwrócić myśli ku pytaniom o miejsce jej pobytu. Wyobraziłam sobie torbę podróżną spakowaną i przygotowaną od wielu tygodni w oczekiwaniu na

odpowiedni moment, dłoń zaciśniętą na jej uszach – i dalej moja wyobraźnia już nie sięgała. Odmówiła mi posłuszeństwa niczym wierzchowiec przed skokiem przez zbyt wysoką przeszkodę, zbyt szeroki rów z wodą. Na razie wystarczyła mi świadomość, że wiem, iż gdzie przebywa; nie tam, na drugim brzegu rzeki, w cząsteczkach betonowego pyłu. Była to tajemnica, którą Ingrid na razie z nikim się nie podzieliła.

Wróciłam do piekarni i ze stosu leżącego obok wypełnionej sokami i coca-colą lodówki wzięłam wizytówkę. MANHATTAN MUFFINS. Przez całą jej długość biegła zielona linia horyzontu. Wzięłam jeszcze jedną. Miałam już szarą kopertę, a teraz znalazłam kogoś w rodzaju świadka. W sklepie papierniczym kilka numerów dalej kupiłam znaczek pocztowy oraz kopertę, pożyczyłam długopis i napisałam na niej adres Fleur. Na odwrocie jednej z wizytówek zapisałam moje imię i adres e-mail, włożyłam ją do koperty i zakleiłam. Byłam już obeznana ze wszystkimi oznakami fałszu widocznymi zdaniem Richarda w moim charakterze pisma: nierównomiernym nachyleniem liter, zdradzającym mnie, ostrym jak w „rekinim zębie” kątem nachylenia kresek w literach „r”, „n” i „m”. Nie ukrywałam ich.

Perspektywa cierpliwości, którą kilka dni wcześniej odkryłam na końcu długiego spaceru z miejsca, gdzie dawniej znajdowało się World Trade Center, znowu się przede mną otworzyła i złagodziła ostrość, z jaką widziałam teraz wszystko dookoła. Zapomnieć się nie dało; sformułowane w trybie rozkazującym przypomnienie z pamiątkowego zdjęcia w piekarni nie byłoby mi potrzebne. Stary osad smogu i popiołu pokrywał cegły budynku za moimi plecami oraz naroża skrzynki na listy; chwyciłam brudną klapę, otworzyłam ją, wepchnęłam list do środka i odeszłam. Wtedy przypominałam sobie mój niedawny sen, poczucie, że docieram do celu podróży, i odzyskałam pewność, że ujrzałam kawałek rzeczywistości. Zamarznięta ulica ustąpiła miejsca zupełnie innemu krajobrazowi – zamazanemu, jaskrawoniebieskiemu horyzontowi w oddali, okolonemu zielenią i ciepłem.

*

Richard siedział naprzeciwko mnie w kawiarni, w której

umówiliśmy się na pierwsze spotkanie, gdy jeszcze grałam rolę jego prześladowczyni. Kiedy mu powiedziałam, że skończyłam z tym, że chcę kontynuować żalobę, przez parę tygodni do mnie nie dzwonił. Staralam się być wyrozumiała, zdając sobie sprawę, jak ryzykowne jest czekanie. Wiedziałam też jednak, że to się opłaci. Jego głos w słuchawce telefonu sprawił, że poczułam nagłą ulgę i dostrzegłam coś jeszcze: promyk nadziei. Teraz siedzieliśmy przy tym samym stoliku, tyle że po przeciwnych stronach. Podczas pierwszego spotkania to Richard nie wymieniał jej imienia w rozmowie; teraz robiłam to ja. Wsypał sobie cukier do kawy, pomieszał ją i rzekł:

– Trinh zdobyła stypendium naukowo-badawcze, o które się ubiegała. Dowiedziałem się o tym od niej przedwczoraj. W związku z tym wylatuje do Rzymu.

– To dobrze – stwierdziłam.

– Słyszałem też, że Jones spędzi swój urlop naukowy w Londynie. Nie spojrzał na mnie. Nie odpowiedziałam.

Na stoliku pojawił się mój placek z wiśniami, z dwoma widelczykami na talerzu.

– A dokąd ty się wybierasz?

– Ja? Donikąd. Mam dużo pracy. I jestem coraz bardziej przywiązany do mojego krzesła w bibliotece.

Gałka lodów leżąca obok placaka zaczęła się topić i rozplýwać, czarne drobinki wanilii odznaczały się na białym tle.

– Sądzę, że wkrótce sama powinnam wyjechać do domu – powiedziałam.

Kończyły mi się pieniądze. W zasadzie postanowiłam skorzystać z propozycji pracy dla Carsona, tego artysty, kimkolwiek był. Kiedy teraz myślałam o Sydney, czułam, że to miasto jest dla mnie mniej istotne niż wcześniej, trudniej też było mi wyobrazić sobie w nim miejsce dla siebie. Tutaj, w Nowym Jorku, wyobrazenie sobie tego – jeszcze niezupełnie miejsca, lecz sposobu na to, by je stworzyć – okazało się łatwiejsze. Dużo, choć nie wszystko, zależało od tego, co powie Richard. Przez chwilę w mojej piersi coś zadrżało, poczułam krótkie, nerwowe bicie serca, przypominające uderzenia ptasich skrzydeł o pręty klatki, po czym wszystko uspokoiło się i ucichło.

Richard podniósł długi widelczyk i obrócił go w palcach. Raz, drugi. Stal błysnęła lekko w świetle.

– Przecież dopiero co przyjechałaś.

Nie próbowałam maskować uśmiechu.

PODZIĘKOWANIA

Przede wszystkim dziękuję mojej mamie Lyn, fantastycznej agentce literackiej i świetnej czytelniczce, oraz ojcu Johnowi za ich nieustanne wsparcie i zachętę. Jestem zobowiązana błyskotliwemu Bruce'owi Gardinerowi, który wiele lat temu nieumyślnie zainspirował mnie do stworzenia tej historii podczas seminarium poświęconego Henry'emu Jamesowi i George Eliot. Podziękowania należą się również Debrze Adelaide, jednej z pierwszych i najlepszych czytelniczek tej książki; moim redaktorkom: Nicoli O'Shea i Lindzie Funnell z wydawnictwa HarperCollins Australia oraz Laurze Stern z Atrii; mojej wspaniałej nowojorskiej agentce Claudii Ballard; moim przyjaciółkom Tanyi Agathocleous, Yelenie Baraz, Bridget Crone, Heather Furnas i Tinie Lupton. I wreszcie dziękuję Danny'emu Fisherowi za jego miłość i wsparcie.

Podziękowania składam także wydawnictwu Faber and Faber Ltd... za uprzejmą zgodę na umieszczenie fragmentu *Portretu damy* T.S. Eliota, opublikowanego w całości w jego *Collected Poems 1909–1962*.

PRZYPISY

¹ W przekładzie Michała Sprusińskiego.

² *Grey* (ang.) – szary.

³ Cytat z *Iliady* w przekładzie Franciszka Ksawerego Dmochowskiego.

⁴ W przekładzie Stanisława Barańczaka.